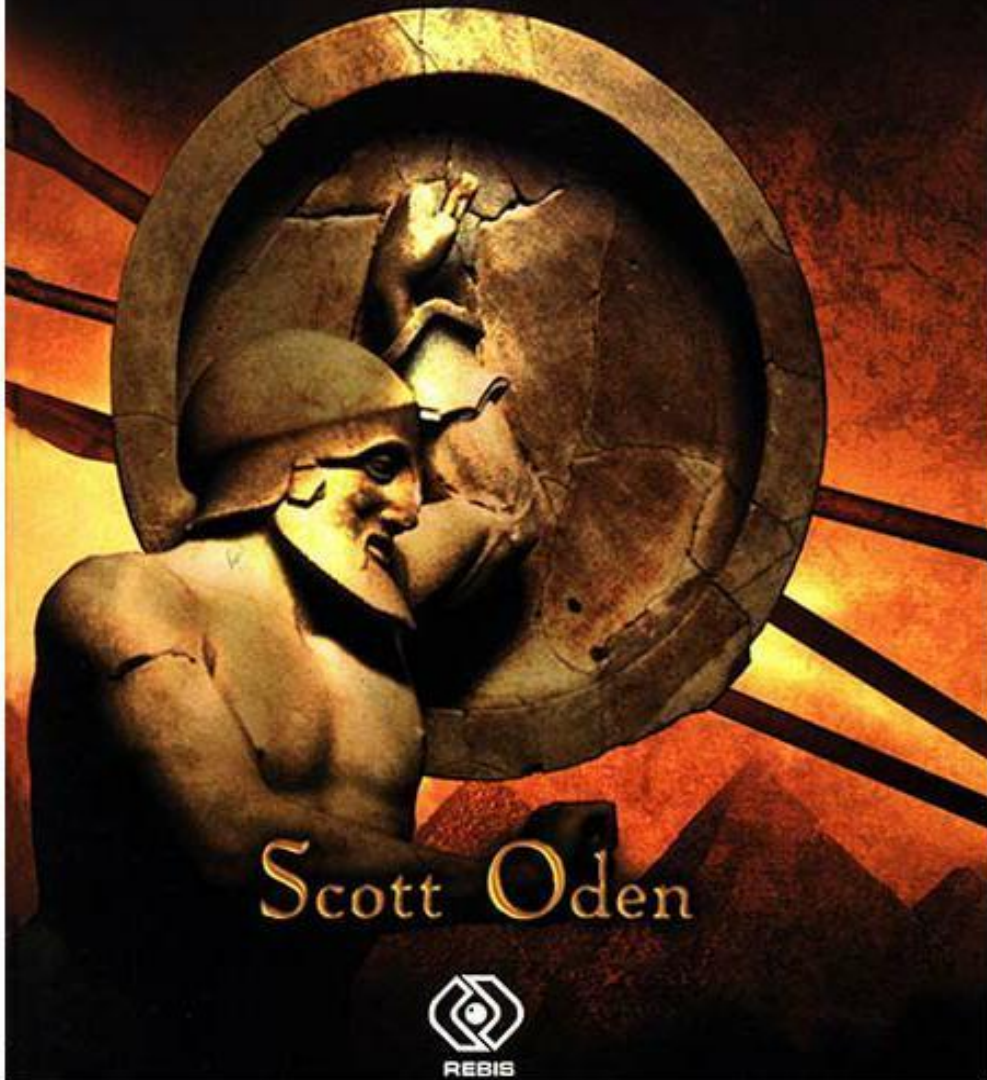


MEMNON



Scott Oden



Memnon z Rodos, według starożytnych niedościgniony strateg i człowiek wielkiej odwagi, jest godnym przeciwnikiem Aleksandra Wielkiego. Postawiony przez Dariusza III na czele wojsk i floty perskiej chce przenieść teatr działań wojennych do Grecji i Macedonii. W historii jego losów snutej przez tajemniczą kobietę odsłania się nadzwyczaj barwny obraz nietuzinkowej postaci, przez swój lud uważanej za zdrajcę, w oczach rywali zaś będącej li tylko najemnikiem. Poruszająca opowieść o jego triumfach i tragediach, miłości i determinacji, która kazała Grekowi zmierzyć się z najsławniejszym wodzem starożytności.

Scott Oden

MEMNON

Przełożył Konrad Majchrzak

dedykuję

SLM - Syrenie, muzie i... przyjacielowi

Podziękowania

Aby ziścić nasze marzenia, autorzy powieści historycznych muszą się wspierać na ramionach gigantów - pisarzy dawnych i współczesnych, naukowców, archeologów i najrozmaitszej maści badaczy starożytności. Ciągniemy za nimi jak zaciekli grabieżcy bitewnych pól, kradnąc szczątki ich geniuszu i przydając prawdopodobieństwa własnym dokonaniom. Powiedziałem to już wcześniej, ale powtórzę raz jeszcze, bo warto: bez potu i znoju naukowców żyzne poletka powieści historycznej przemieniłyby się w ugór.

Dziękuję dr Jeanne Reames-Zimmerman, która podzieliła się ze mną przemyśleniami na temat macedońskiej kultury i życia politycznego tego kraju, oraz koleżance po piórze i filohellenistce Ruth Kozak. Jej zdjęcia, a także dzienniki z podróży, przeniosły mnie w pejzaże macedońskiego świata. Mam dług wdzięczności wobec holenderskiego naukowca, Jony ego Lenderinga. Jego przepastna i godna zaufania baza danych na temat starożytnego świata, Livius (www.livius.org), stała się niezastąpionym narzędziem badawczym. Pragnę również wymienić w tym miejscu członków forum Aleksandra Wielkiego w Pothos (www.pothos.org/forum), którzy uprzejmie odpowiedzieli na moje pytania dotyczące najbardziej podstawowych wiadomości.

Wszelkie błędy, które zawiera ta książka, obciążają wyłącznie mnie.

Jak zawsze jestem wdzięczny Helen, Leslie i pracownikom Medallion Press, mojej agentce Rebecce Pratt i wiecznym podejrzany: Dar-renowi, Sarah, Wayne'owi, Tanji, Kristowi, Kristie, Joshowi, Ednie, Adamowi i Laurze.

Niekoniecznie [...] w najślawniejszych czynach ludzi objawiają się przymioty i wady ich charakterów.

Plutarch

Prolog

Wezwanie, które tego mokrego zimowego przedpołudnia dostarczono Aristonowi, sporządzono na najdoskonalszym pergaminie, eleganckim charakterem pisma, sugerującym żywy, ujęty w karby dobrych manier intelekt, jaki mógł być tylko owocem szlachetnego urodzenia. Z pewnością nie było to pismo najemnego żołdaka ani ledwo wiążącego koniec z końcem kupca, jego dwóch ostatnich patronów. Poza tym tekst nie wskazywał na Hellena i chociaż krótki, nie pobrzmiwał szorstkością, tak charakterystyczną dla rządzących Efezem aroganckich Macedończyków. Przeczytał go po raz wtóry:

Aristonowi z Lindos, synowi Trazyllosa, pozdrowienia. Niech bogowie błogosławią Tobie, twojemu domostwu i twoim przedsięwzięciom. Moja pani prosi uniżenie o spotkanie z Tobą. Przybądź najwcześniej, jak będziesz mógł, do posiadłości Pod Dębami, na zboczach góry Koressos.

Nie było podpisu.

Liścik nasunął Aristonowi wizję cienistych sadzawek i ukrytych ogrodów, ustronia oczekującej w samotności efeskiej Safony, której słudzy przeczesywali miasto w poszukiwaniu dystyngowanego męża, potrafiącego nie tyle zaspokoić jej lędźwia, ile zabawić umysł. Ariston pochlebiał sobie, że jest właśnie takim osobnikiem. Chociaż nie przekroczył nawet dwudziestu jeden lat, jego epos, *Chalkosidae*, wzbudził na miejskich Dionizjach pewne uznanie. Najwyraźniej autor listu pragnął zapewnić swojej pani prywatną lekturę dzieła.

- Trudno o lepszą wiadomość! - wykrzyknął Nikanor, jednonogi macedoński kramarz na nabrzeżach, u którego Ariston pochłaniał śniadanie. - Już trzy razy ją czytałeś.

Ariston podniósł głowę znad stołu i szeroko się uśmiechnął do starego wiarusa.

- Poeta przestrzega: nie nazywaj człowieka szczęśliwym, póki nie spocznie w grobie. W głowie mi się kręci po tym liście, odchodzę od zmysłów na myśl, że zyskam patrona. - W rzeczy samej trudno było o pomyślniejszy zbieg okoliczności. Rozpaczliwie potrzebował sponsora. Jego ostatni obol zniknął w kalecie Nikanora w zamian za skromny posiłek: pajdę czerstwego chleba posmarowaną ugotowaną i utartą soczewicą, zapijaną kubkiem cienkusa. Jeśli chciał zjeść kolejny posiłek, bez patrona mógł liczyć tylko na łaskę bogów. - Jak najłatwiej dostać się na tę górę?

Deszcz bębnił w płócienny daszek kramu. Nikanor uniósł brew.

- Na Koressosa, co? W tę pogodę? Dzielniejszyś ode mnie. Odwróć się plecami do morza i podążaj w kierunku bramy Magnezyjskiej. Kiedy dojdiesz do agory, udaj się wzdłuż doliny, ulicą Charyt. Tym sposobem łatwo dotrzesz do podnóża góry.

- Dzięki, Nikanorze - rzekł Ariston, skrapiając ziemię ostatkiem wina. - Chwała Apollowi i Muzom.

Zebrał cały swój dobytek - trzciniowe rysiki, płaskie gliniane kałamarze z atramentem, kawałki papirusu i pergaminu, wszystko owinięte w stary, wielokrotnie łatany chiton - i wepchnął go do marynarskiego worka z grubej, nasączonej olejem tkaniny, chroniącej przed wilgocią. Ruszył szczelnie owinięty płaszczem. Niezyczliwa pogoda nie rozpieszczała przechodniów.

Uporczywy deszcz oczyszczał rynsztoki Efezu, splukując do morza nagromadzone podczas długich jesiennych miesięcy odpadki i pokłady kurzu. Kiedy Ariston szedł zgodnie ze wskazówkami Nikanora, jego nozdrza wypełniły wonie namokłej gleby, morskiej wody i pieczonego chleba. Poryta niezliczonymi odciskami stóp, kopyt i kół ulica wiła się od nabrzeża i omijając podstawę góry Pion, biegła obok gimnazjonu, gdzie delegacja Spartan ćwiczyła nago,

nie bacząc na deszcz. Ariston chwilę się im przyglądał, zazdroszcząc utwardzonej w bojach muskulatury, po czym poczłapał dalej i minął amfiteatr. Krzykliwej barwy napisy na zbitych w kształcie dziobów deszczułkach obwieszczały przybycie z Attyki trupy aktorów. Wsławiła się, wystawiając sztuki Eurypidesa i Ajschylosa.

Ariston, trzęsąc się z zimna, dotarł do agory i schronił pod dachem portyku. Wokół wystawionych przez miasto koszy z płonącymi drwami zebrały się grupki mężczyzn, słuchając kapitana statku z Pireusu. Perorował z ułamka służącej za mównicę kolumny. Kiedy skończył, wybuchły spontaniczne owacje.

- Co się dzieje? - Ariston skierował pytanie do najbliższego słuchacza, bogatego człeka, jeśli za dowód jego zamożności mogła posłużyć szata z kremowej wełny z Miletu.

Mężczyzna, widząc jego zaniedbany strój i ociekający wodą marynarski wór, wyduł wargi z niesmakiem.

- Mamy wieści z Aten - burknął. - Demetriusz uwolnił to wielkie miasto ze złowieszczonego ucisku Kasandra. - Po tych słowach przyłączył się do tych, którzy zasypywali kapitana pytaniami.

Ariston podszedł do wolnego miejsca przy koszu i wyciągnął zgrabiałe ręce ku płomieniom. Wieści niby były dobre... Oswobodzenie Aten oznaczało zerwanie czteroletniego pokoju między diadochami, sukcesorami Aleksandra, walczącymi teraz o zjednoczenie pod własnym berłem imperium zmarłego wodza. Podczas podziału łupów Antygonos, stary szczwany lis, ojciec obecnego zbawcy Aten, otrzymał Azję i Syrię - w tym Efez; Ptolemeusz, o którym się mówiło, że jest bratem z nieprawego łoża Aleksandra, zadowolił się Egiptem. Lizymach i Se-leukos otrzymali Trację i Babilonię; Grecja oraz Macedonia wpadły w brutalne łapy Kasandra, syna Antypatra. Zerwawszy okowy pokojowego porozumienia, diadochowie kolejny raz mogli postawić armie pod broń. Kasander bez wątpienia szykował się do odzyskania Aten, podczas gdy Ptolemeusz marzył o panowaniu nad Syrią i wybrzeżem Morza Egejskiego. Z nadejściem wiosny grecka krew popłynie jak tający śnieg.

Ariston blisko godzinę słuchał wojennej retoryki, aż obudzone listem podniecenie okazało się silniejsze. Wzywał go cel wyprawy, syreni głos ze stoków góry. Opuścił agorę i ulicą Charyt, przemykając skulony pod portykami i drzewami, dotarł do otulonej chmurami góry. Dalej wspinał się wykładaną kocimi łbami dróżką, która biegła niezliczonymi zakosami i kręconymi schodkami. Wiatr i deszcz cięży przemoczone ubranie jak nożyce postrzygacza owcze runo. Przystanął i obejrzał się przez ramię.

Kamienisty szczyt górował nad świątyniami i publicznymi budynkami agory, na południowy wschód od wybrzeża. W przejrzystą pogodę Ariston sięgnąłby wzrokiem poza kramy na wzgórze Pion, poza złotą fasadę wielkiej świątyni Artemidy, do brzegów rzeki Kaystros. Dzisiaj ledwo dostrzegał agorę. Szczękając zębami, szczelniej owinął się płaszczem. Wyżej, pośród gajów wonnych cedrów i czarnej sosny, zbudowali swoje domy zamożni obywatele Efezu - Grecy, Macedończycy i Persowie. Posiadłości nosiły malownicze, umieszczone nad bramami lub żywopłotami nazwy: *Psiarnia*, *Duma Leonidasa*, *Błogosławieni Mitry*. Niektórych pilnowali zbrojni strażnicy. Spoglądali na Aristona jak na ciśnięte za pański próg wypatroszone wnętrzności.

- Pod Dębami...? - wołał pytająco za każdym razem, gdy mijał parę ponurych strażników, marniejących w półpancerzach z zimnego brązu i przemoczonych opończach. - Wiecie, gdzie to?

Za każdym razem dostawał taką samą odpowiedź: machnięcie kciukiem. Niebawem kocie łby ustąpiły błotu, a zbrojni strażnicy równie markotnym sługom. Tylko odpowiedź pozostała ta sama. Dalej. Niebawem. W końcu Ariston dostrzegł nagie konary drzew, które nadały imię

posiadłości. Przyspieszył, wręcz biegł dróżką, serce waliło mu w piersiach, gdy podniecenie osiągnęło szczyt...

...i opadło, jak Ikar z nieba, kiedy słońce rozpuściło wosk i pióra skrzydeł frunęły.

Niemal przystanął. Nawet patrząc okiem życzliwego obserwatora, widział, że posiadłość jest prawie niezamieszkała, a kamienne i drewniane elementy budowli zaczynają się już chylić ku upadkowi. Brama wisiała krzywo, chwasty i osty zarosły żywopłot. Wyboista ścieżka, obsadzona śmigłymi jak zastęp hoplitów dębami, biegła od ogrodzenia do przygarbionego portyku. Aristona czekało takie samo zamówienie jak dotąd - kilka drachm za kilka wersów, może epitafium patriarchy rodziny. Jeśli będzie strzegł zarobku ze spartańskim skąpstwem, wystarczy mu na tydzień, może dłużej.

Westchnął i ruszył ścieżką między dębami, uważając, by nie utonąć w błocku. Wszedł na stopnie portyku i przystanął przed pobliznionymi niezycliwą pogodą drzwiami. Ze środka płynęła delikatna, egzotyczna melodia fletu. Zasłuchany zapukał po chwili. Melodia natychmiast zamilkła. Ponowił stukanie, wkładając w nie więcej siły.

Drewno zatrzeszczało, kiedy niewidoczna dłoń pchnęła zasuwę; zaskrzypiały zawiasy i drzwi się uchyliły, odsłaniając pochmurną, zatroskaną twarz. Oczy barwy mahoni, załzawione, przesłonięte błoną katarakty, uważnie obejrzały Aristona.

- Z czym przychodzisz? - spytał starzec. Mówił nienaganną greką, chociaż wyraźnie naznaczoną płynnym egipskim akcentem.

Ariston lekko się skłonił i rzekł:

- Napisało mi, że pani tego domu pragnie mnie przyjąć.

Nastrój witającego uległ zmianie. Szeroko otworzył drzwi i wyszedł na dwór.

- Ach, tak. Więc musisz być Aristonem z Lindos, z wyspy Rodos?

Ariston rozluźnił ramiona i dumnie się wyprostował. Przynajmniej znają moje imię, pomyślał.

- A jakże. Twoja wiedza przerasta moją, panie, gdyż nie mam pojęcia, kim jesteś.

- Nieważną osobą - wyjaśnił starzec. - Sługą, nikim więcej. Jednak, doprawdy, nie spodziewałem się ujrzeć ciebie w taką pogodę. Moja pani się ucieszy.

- Kim jest twoja pani?

Starzec odwrócił wzrok.

- Może zechcesz wejść do środka. Wskażę ci miejsce, w którym będziesz mógł się osuszyć i napić nieco grzanego wina.

Zaciekawiony Ariston dał się zaprowadzić do sieni. Jednak nie ujrzał niczego, co by robiło wrażenie, wewnątrz rozczarowywało podobnie jak obraz na zewnątrz. Mozaika na posadzce, przedstawiająca Herkulesa zabijającego lwa nemejskiego, była dziurawa. Łaty pleśni załęgły się w spojeniach ścian i podłogi, niewątpliwie karmione letnią wilgocią. Malowidła na murach - sceny myśliwskie, rodzinne oraz baraszkujący wśród wspaniałości natury bogowie i boginie - stępiła patyna tłustego brudu i kurzu. Wszędzie widniały czytelne znaki upadającej świetności. Przypominały prowadzący do domu szpaler dębów, odarte z kory szkielety drzew.

- Jeśli wszystko tu tak wygląda, to wołałbym od razu udać się do twojej pani - zdecydował Ariston.

Egipcjanin skinął głową.

- Jak sobie życzysz.

Ariston szedł za sługą ciemnym korytarzem, a potem perystylem. Zmienne siły przyrody nadkruszyły kolumny. Aromatyczne zioła rosły w cieniu zimozielonych drzew oliwkowych o pniach powykrzywianych i zgiętych jak grzbiet starca. Wkroczyli do kolejnego korytarza, oświetlonego przez wąskie okno w głębi. Stary Egipcjanin zatrzymał się przed cedrowymi

drzwiami z okuciami z brązu. Delikatnie zapukał i otworzył drzwi. Pokazała się damska sypialnia.

W odróżnieniu od reszty willi tu panowała aura czystości i zadbania. Ręka artysty ozdobiła malowidłami mury, przedstawiając arkadyjski wawóz, w którym Muzy bawiły ojca, Zeusa; puszyste dywany i kolorowe bieżniki z Persji zaścielały podłogę. W koszu trzeszczał ogień. Woń płonących bierwion splatała się z zapachem kadzidła. Wpadający przez okno powiew marszczył okalające łoża parawany z czystego płótna. Stary Egipcjanin cmoknął z naganą, gdy przeczłapał przez pokój i zamknął okiennice.

- Pani, zaziębisz się.

- Chciałam poczuć zapach oceanu, Harmutesie. - Kobieta w łóżku zakaszłała, nie mogąc złapać tchu. - Ten ostatni raz.

- Jeszcze wiele razy zaznasz takich przyjemności, pani. Ale teraz przyprowadziłem ci gościa. Młody uczonec, o którym ci mówiłem.

Wykręciła szyję, spoglądając na Aristona oczami ciemniejszymi niż bezksiężycowa noc.

- Przyprowadź go bliżej.

Zanim starzec zdążył cokolwiek rzec, Ariston przystąpił do krawędzi łóżka i złożył ukłon. To sprowadziło wąty uśmiech na wargi kobiety. Ariston zdał sobie sprawę, że słabowała od jakiegoś czasu, na tyle długo, że nie potrafił określić jej wieku, chociaż w pełni zdrowia musiała jaśnieć niezrównaną urodą; miała oliwkową karnację, lśniące czarne włosy i delikatne rysy perskiej arystokratki. To ciało nawet wyniszczone chorobą gorzało cząstką dawnego żaru - chociaż przytłumione, jakby otulił je już pajęczy welon śmierci.

- Twoje oczy przemawiają zbyt szczerze - stwierdziła. Jej doskonałą grekę zabarwił lekki perski akcent.

- Proszę? - Ariston zamrugał zaskoczony.

- Myślisz teraz, że okrutne są Mojry, skoro tej zimy jedyna podsunęta ci propozycja patronatu przyszła z wyschłej piersi umierającej niewiasty. Myślisz, jak zachować reputację. - Zwróciła się do Harmutesa: - Zostaw nas, mój stary przyjacielu.

Sługa się uklonił i opuścił sypialnię.

- Harmutes ręczy za twój kunszt - powiedziała, gdy już drzwi szczelnie się zamknęły. - Oglądał Dionizja i twierdzi, że nie słyszał równego ci mistrza, od kiedy Ksenofont zaczernił pergamin. Nie byle jaka pochwała, zwłaszcza z ust Egipcjanina, którego lud stworzył sztukę uwieczniania historii.

Ariston skłonił głowę.

- Doprawdy, jestem zaszczycony. Wydajesz się dobrze zaznajomiona z moją obecną sytuacją, pani, jednak ja nie wiem niczego o tobie ani dlaczemu tu jestem. List twojego sługi wydał mi się tajemniczy, ale niemal uznałem go za żart, który można zlekceważyć.

- Nie zrobiłeś tego jednak.

Ariston zdobył się na słaby uśmiech.

- Nie, pani. Nie zrobiłem. Bieda nawet najszlachetniejszych popycha do rozpaczliwych kroków. Poza tym, szczerze mówiąc, tajemniczość pisma przemówiła do mnie. Chociaż nawet tajemniczość traci powab, gdy sięga ekstremum.

- Słuszna uwaga. Co do mojego imienia, to możesz do mnie mówić... - przerwała, zagubiona w myślach - ...Melpomeno.

Brwi Aristona powędrowały w górę.

- Nie lada z ciebie śmiałek, pani, gdy przywłaszczasz sobie imię greckiej bogini, mimo iż twoją ojczyzną najwyraźniej jest Persja. No cóż, świetnie. Czego ode mnie oczekujesz? Przyniosłem moje ostatnie dzieło, gdybyś miała ochotę go wysłuchać.

- *Chalkosidae...* Nie, mistrzu Aristonie. Nie po to cię przyzwałam. Chciałabym zamówić u ciebie dzieło, zapis życia sporządzony na wieczne czasy.

Ariston długą chwilę się nie odzywał. Zesznurował wargi, zmarszczył brwi.

- Wybacz mi, pani, ale moja sztuka nie przypomina wysiłków malarza czy rzeźbiarza. Kiedy piszę, mój bohater musi mnie w jakiś sposób poruszać. Musi mnie inspirować, abym szukał łaski Muz. Napisałem o Fanesie z Halikarnasu, ponieważ jego geniusz, jego pasja wzbudziły w mej piersi uczucie. Chciałem go tylko zrozumieć, nie unieśmiertelnić. Tak samo będzie z następnym człowiekiem, którego życie opiszę.

Melpomena skinęła głową.

- Czy mnie wysłuchasz, kiedy opowiem ci o człowieku, którego kiedyś znałam? Wtedy może Muzy spojrzą na ciebie życzliwie i zachęcą do napisania historii jego życia, aby poznały ją przyszłe pokolenia. Co do wynagrodzenia, to nie musisz się obawiać. Mimo marności mojego otoczenia nie zbywa mi na pieniądzech.

- A jeśli uznam twój temat za niewart moich umiejętności? - Widząc, że dotknął czulego punktu, Ariston uniósł rękę, by powstrzymać wybuch zniecierpliwienia. - Proszę, nie czuj urazy, pani. Zbadałem charaktery i czyny najznakomitszych mężów naszych czasów. Mężów, którzy stali ramię w ramię z boskim Aleksandrem. Być może ta wiedza w jakiś sposób mnie zatrula, oślepiła widok osiągnięć ludzi mniejszego formatu.

Kobieta spiorunowała go wzrokiem.

- Jesteś głupcem, Aristonie z Lindos, jeśli myślisz, że dowódcy, którzy wadzą się o spuściznę Aleksandra, to znakomitości - powiedziała twardym głosem. - Lew nie żyje, a jego orszak walczy nad trupem imperium jak psy! Antygonos? Phi! Ten cyklop myśli bardziej łędźwiami niż głową! Jego bastard, Demetriusz, jest jeszcze gorszy. I Kasander...! Gdybym była mężczyzną, odarłabym go ze skóry i wykąpała w Jeziorze Asfaltowym! - Przemawiała z taką znajomością rzeczy i furią, że to dało Aristonowi do myślenia. - Człowiek, o którym będę mówiła, miał więcej wdzięku i szlachetności w małym palcu niż ci wszyscy towarzysze Aleksandra razem wzięci! Więcej nawet niż... niż... - Rozkaszła się, jej twarz spurpurowiała, jakby życiodajne powietrze było duszącym oparem. Opadła na poduszki.

- Uspokój się, pani. Uspokój. Mam wezwać sługę? - Ariston obejrzał się na drzwi. Niepokój zarysował się na jego czole.

Melpomena potrząsnęła głową. Wskazała na komodę, na której stała srebrna, wykładana macią perłową skrzyneczka. Ariston spojrział zdziwiony, ale sięgnął po przedmiot i stanął z nim u boku chorej.

- D-daj mi ją - powiedziała łamiącym się szeptem.

Ręce drżały Melpomenie, kiedy wzięła skrzynkę z rąk Aristona i gładziła jej wieko oraz boki, z czułością rozpoznając opuszkami palców każdy detal. Skrzynka podziałała na nią jak balsam, dotyk metalu uspokoił oddech.

Ariston poczuł przyływ litości. Dlaczegożby nie mógł poświęcić tej nieszczęśnicy kilku godzin?

- Kim jest ten mąż, o którym wspomniałaś?

Melpomena zamknęła oczy i westchnęła.

- Był twoim ziomkiem. Od kiedy bogowie uznali za stosowne mi go zabrać, nie spotkałam nikogo, kto byłby mu równy. Zwał się Memnon, syn Timokratesa. Jego wrogowie znali go pod imieniem Memnon z Rodos.

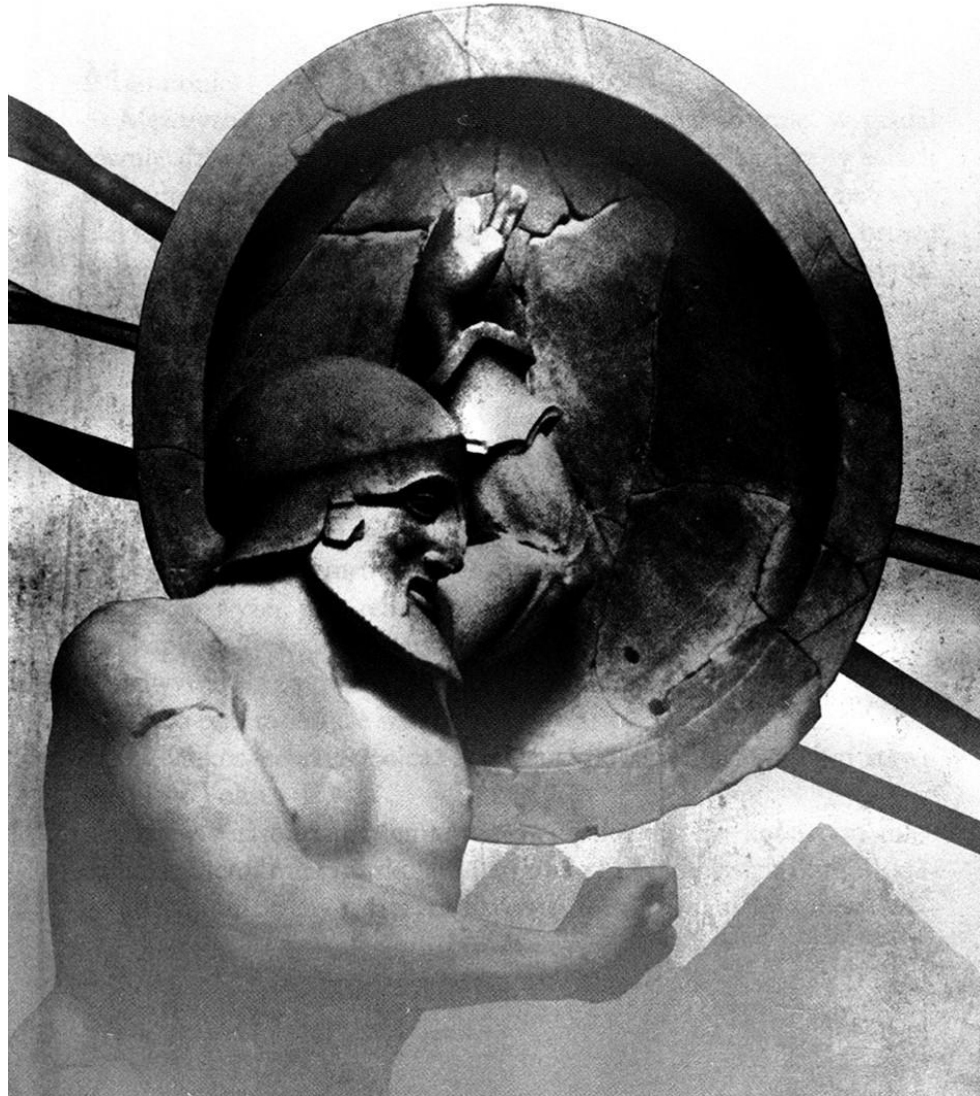
Ariston skinął głową.

- To imię obilo mi się o uszy. Walczył u boku Persów przeciwko Aleksandrowi. Najemnik, chociaż niektórzy nazwaliby go zdrajcą.

- Jakże często zwycięzcy brukają kłamstwami imię przeciwnika, a ci pośród nas, którzy znają prawdę i nic nie mówią, są ich współnikami. Ale koniec z tym - powiedziała, wskazując mu, aby przysunął bliżej krzesło. - Nie możesz pamiętać wojen Aten z sojusznikami, prawda, Aristonie? Tak, oczywiście, nie możesz. Jesteś na to zbyt młody. Niewątpliwie twój ojciec albo dziadowie byli pośród tych, którzy głosowali za tym, żeby Rodos odrzuciło osłonę ateńskiej hegemonii, podobnie jak Kos i Chios. Wszystkie trzy wyspy modliły się do bogów o własne rządy. Jak to często bywa, czas nadał blask wojnom społecznym, aurę patriotyzmu, która wam, Rodyjczykom, jest miłsza niż prawda. Twój ziomkowie zapomnieli, że wewnętrzne swary między falcjami prawie doprowadziły do podziału wyspy na dwa państwa. Zapomnieli o głodzie z powodu pirackich ataków ateńskich okrętów na dostawy żywności, który sprawił, że ich stryjowie i bracia porzucili swoje domy i szukali szczęścia pośród miast-państw Jonii. Zapomnieli o rozproszeniu waszego ludu na wygnaniu, tak by mogli sobie wmawiać, iż stawili czoło tyranii. Memnon nie zapomniiał tego wszystkiego. W takim to świecie osiągnął wiek męski...

RODOS

4. rok 105. olimpiady faraona Chnemibre Ahmose
(357 r. p.n.e.)



Rozdział pierwszy

Memnonie!

Mężczyzna, który ile sił w płucach wykrzyknął to imię, wyglądał równie dziwnie na wybrzeżu miasta Rodos, jak żeglarz w salach wykładowych ateńskiej Akademii. Mimo gorąca nosił himation z wyblakłego niebieskiego płótna, spięty na ramieniu miedzianą broszą w kształcie sowy. Jego łysa głowa połyskiwała w słońcu. Zatrzymał się w cieniu pokrytego odchodami mew posągu Heliosa i rąbkiem płaszcza otarł czoło.

- Memnonie! - powtórzył, machając ręką.

Memnon, syn Timokratesa, odwrócił się na dźwięk swojego imienia. Na ramieniu trzymał wiązkę oszczepów, które wydawał załodze *Kirke*. Oczy koloru chłostanego sztormem morza lśniły pod grzywą kędzierzawych czarnych włosów, trzymany w ryzach skórzaną opaską.

- Na Cerbera! - mruknął. - Czy on nigdy nie da mi spokoju?

Stojący wyżej, przy relingu, Patron, Fenicjanin z jońskiego wybrzeża i kapitan *Kirke*, zmarszczył brwi. Dziesięć lat starszy od Memnona zachowywał się z powagą członka spartańskiej starszyny.

- Kto tym razem cię szuka?

- Glaukos, sekretarz ojca. Pewnie Timokrates chce, żebym stawił się u jego boku.

Dziewiętnastoletni Memnon bynajmniej nie był kościstym młodzieniaszkiem; miał muskularne ramiona i płaski brzuch olimpijskiego atlety, mężczyzny u szczytu fizycznej formy. Bogowie słońca i wiatru spalili i utwardzili mu skórę, tak że pokryta siateczką delikatnych zmarszczek wyglądała niczym tęga, zaprawiona w bojach tarcza. Wokół kręciła się grupka młodych Greków, poszukiwaczy przygód z własnego wyboru, współczesnych argonautów - mężów złączonych na wieki poetycką więzią wspólnego trudu. Tworzyli załogę *Kirke*, podstarzałego pentekontera, który miał ich dostarczyć do Assos, na brzeg Azji i w ramiona sławy.

- Coś mi się zdaje, że wciąż jest wściekły - stwierdził Patron.

- Ojciec? A kiedy nie jest?

- Nie doprowadziłeś do zgody między wami?

Memnon potrząsnął głową.

- Gdzież tam. Uważa, że zdradzamy Rodos, porzucając je w godzinie potrzeby i udając się do Assos, żeby się przyłączyć do wojsk Mentora. Mówi, że powinniśmy być żołnierzami demokracji, nie najemnikami satrapy. Na wielkiego Heliosa! Bałem się, że pożałuję, kiedy wysnęło mi się, że uważam rodyjską demokrację za zdychające zwierzę w kleszczach włóczni Aten i mieczy Karii. A przecież to prawda. Gdybyś kiedyś miał ochotę się przekonać, jak wygląda prawdziwa furia, powtórz to w obecności ojca.

Patron spojrział powątpiewająco na Memnona i pokręcił głową.

- Co? - spytał młodzieniec.

- Nie myślę, żeby to było takie ot, wymsknięcie się, jak opisujesz - powiedział Patron. - Gdyby Mentor tu był, obciąłby ci uszy za drażnienie ojca. Ręka mnie świerzbi, żeby zrobić to za niego.

Memnon szeroko się uśmiechnął.

- Nie wzbraniaj mi tych drobnych przyjemności, które jeszcze mi zostały, Patronie.

Ojciec zacisnął mi smycz na szyi jak nieposłusznemu psu. Jego szpiedzy śledzą każdy mój krok, a każdy kęs, który przechodzi przez moje usta, i każdy łyk wina jest tematem doniesień. Nawet

Talia, urocza, nieposkromiona Talia, dała się wciągnąć na służbę tego pochlebcy. - Młody Rodyjczyk wskazał głową sekretarza ojca. - Na Zeusa Zbawcę! Nie mogę się wypróżnić w krzakach, nie czując na sobie tuzina oczu! Jak chcesz wiedzieć, to najwyższy czas, żeby ojciec zdał sobie sprawę, że jestem samodzielny!

Patron spojrział w dół, surowo marszcząc wąską twarz.

- To z pewnością Timokrates napuścił na mnie kapitana portu, żeby mnie przepętał. Stary Herodas chciał wiedzieć, kiedy zamierzam wyruszać i czy mam nadzieję wrócić. Pytanie wydało mi się dziwne, ale teraz... - Patron urwał.

- Wybacz ojcu wtykanie nosa w twoje sprawy, Patronie. Nie ma nic do ciebie.

- Myślisz, że nie? Doprawdy, Memnonie, jesteś mądrym chłopcem i radzisz sobie z rumplem, ale nie postawię się Timokratesowi. To potężny człowiek i nie zalicza się do takich, z którymi chciałbym szukać zwady. Jeśli ma wobec ciebie inne plany, nie zamierzam stawać im w poprzek. Załatw z nim sprawę i zapewnij sobie jego błogosławieństwo, zanim wyruszymy, albo *Kirke* odpłynie bez ciebie. Zrozumiano?

Memnon zacisnął szczęki. Skinął głową Glaukosowi, kiedy ten wdrapał się na pokład. Twarz sekretarza miała barwę dojrzałego owocu granatu.

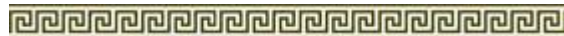
- To ci radość, synu Timokratesa! Talia powiedziała, że mogę cię tu znaleźć.

- Daleko się wypuściłeś poza zwykłe tereny polowań, Glaukosie - warknął Memnon. - Czy ojciec wysłał cię, żebyś szpiegował załogę *Kirke*? Czy też przyłączysz się do nas i będziesz szukał szczęścia wśród Persów?

- Nic z tych rzeczy, dzięki bogom. Timokrates polecił mi, abym poszedł z tobą na zgromadzenie ludowe. Dzisiaj oskarża oligarchię, a następnie pragnie zamienić z tobą słowo.

Memnon spojrział na kapitana *Kirke* i demonstracyjnie zdał się na jego sąd.

- Możemy się bez ciebie obejść - stwierdził stanowczo Patron. - Staw się przed obliczem ojca. Pamiętaj, co rzekłem. Z tobą czy bez ciebie.



Ludzie przepychali się na wąskich ulicach Rodos; tragarze z przeznaczonymi na targ koszami i balami, niewolnicy z poleceniami znanymi tylko im i ich panom, podróżnicy, którzy zeszli z pokładów cudzoziemskich statków, i znacznie od nich liczniejsi tubylcy, szukający drogi do dalekich portów przeznaczenia. Rdzennym mieszkańcom Rodos towarzyszył nastrój desperacji, aura lęku i niepewności. Memnon znał przyczynę tego stanu rzeczy.

Rodos znalazło się na krawędzi konfliktu. Demokraci spierali się z oligarchami. Jednak wojna na słowa w hali zgromadzeń przybierała postać autentycznej przemocy na ulicach. Memnon słyszał opowieści o całych rodach wyciętych w pień za pochwałę lub potępienie tyranii, o zaszytetylowanych w łóżku oligarchach i niezdecydowanych, którym spalono dach nad głową i cały dobytek. A jego ojciec, szlachetny Timokrates, mówca, mąż stanu, rodyjski Perykles w dobie niewydarzonych tyranów, tylko dolewał oliwy do ognia swoją proateńską retoryką.

Glaukos odchrząknął.

- Co miał na myśli twój towarzysz, mówiąc „z tobą czy bez ciebie”?

- A co cię to interesuje, Glaukosie? - odburknął przez ramię Memnon. - Jesteś sekretarzem ojca, nie moim. Poza tym nie zaliczam cię do grona moich przyjaciół. Dość szkody narobiłeś, tak mieszając w głowie Talii, że wprowadziła cię w moje zamierzenia...

- Urocza dziewczyna ta Talia. Szczęściarz z ciebie.

Memnon wydłużył krok, zmuszając Glaukosa prawie do biegu. Sapał i dyszał jak zgoniony koń, gdy podążali stromą brukowaną ulicą, w szpalerze wzniesionych na cześć ofiar Posejdonu kolumn. Każda nosiła imienny napis.

- Czy cię obraziłem?
- Nie strugaj mędrka, który niby wszystko wie - odparł Memnon.

Glaukos wzruszył ramionami.

- Tylko staram się cię zrozumieć, młody panie. Timokrates też nie pragnie niczego więcej.

Memnon zatrzymał się i odwrócił do sekretarza.

- Jak któryś z was mógłby mnie zrozumieć? Zeusie! Obaj jesteście urobieni z tej samej gliny! Urzędasy do szpiku kości, którym od kołyski marzyły się tylko tytuły i władza! Jak moglibyście zrozumieć powab dalekich wybrzeży, gdy wszystko, czego pożądacie, macie na Rodos.

- I kto tu struga mędrka? - odparował Glaukos. - Wszystkich młodzieńców pociąga szlak Achilleusa, droga sławy i nieśmiertelności. Ja nie byłem inny. Ale jeśli każdy mógłby zostać Achillesem, wtedy czar syna Peleusa prysnąłby, no nie? Droga miecza jest szlachetna i godna zazdrości, ale wojownicy nie mają wyłącznego prawa do chwały. Sekretarz może się nosić z równą szlachetnością; orator jest nie mniej godny chwały. Jedyna różnica jest taka, że poeci nie układają peanów na ich cześć.

- Nie zależy mi na sławie, Glaukosie. Chodzi tylko o to... - Memnon urwał. Zszedł na skraj drogi i zatrzymał się między kolumnami. Z tej wysokości Rodos wydawało się małe i nic nie znaczące w obliczu rozległego morza. Od osłoniętego falochronem, zatłoczonego statkami portu wspięły się rzędy domów jak siedzenia w amfiteatrze. Kamienne bielone ściany tłoczyły się obok drewnianych, połąci czerwonych dachówek obok strzech. Wysoko, na trzystustopowej kamiennej iglicy górował akropol. Serce miasta. Ustawione tarasowo, stojące wolno świątynie i budynki publiczne kryły się w cieniach gajów świętych oliwek, guzowatych sykomor i topoli barwy zakurzonej zieleni. Czerwonawy wapień opalizował w południowym słońcu.

Mimo urody miasta Memnon widział w nim zarysy więzienia, miejsca, w którym jego młodość zostanie stłamszona niekończącymi się godzinami dysput, a marzenia wyschną i zgniją jak jagody zaniedbanej winorośli.

- Czy naprawdę wyobrazasz sobie mnie tam - wskazał akropol stojącego na mównicy i gromiącego przywary społeczności?

- Jeśli taki będzie wyrok losu.

Memnon westchnął.

- Gdyby same Mojry przybyły do ojca i oznajmiły mu, że moje przeznaczenie leży gdzie indziej, podważyłyby ich wyrok. Chcę wraz z Mentorem służyć Artabazosowi, który wszczął bunt przeciwko wielkiemu królowi Persji. Co w tym takiego obrzydliwego? Artabazos jest zacynym człowiekiem, słyszałem to od ojca. Dość dobrym na męża mojej siostry. Czy ja jestem od niej lepszy? No, a Mentor? Zeusie Zbawco! Nie pojmuję dlaczego...

Glaukos drgnął; w nagłym przeblýsku świadomości ujrzał ścieżki Memnonowego serca.

- Naprawdę nie rozumiesz? Myślałem, że jedynie się drażnisz, drzesz koty z ojcem dla zaspokojenia jakiegoś dziecięcego kaprysu, ale ty po prostu nie masz pojęcia, co nim kieruje.

Memnon zmarszczył brwi.

- A ty masz?

- Posłuchaj, młody panie. Raz przynajmniej nadstaw ucha i skup się na tym, co mówię. Timokrates wiąże swoje nadzieje z tobą, z nikim innym.

- Ze mną? Ale Mentor jest najstarszy i...

Glaukos szorstkim gestem uciszył Memnona.

- Tak, tak! Mentor jest najstarszy. Ale co z tego, skoro w oczach ojca niczym nadzwyczajnym się nie wyróżnia. Timokrates ceni jego żołnierskie umiejętności, ale w skrytości ducha oplakuje to, że jego najstarszy potomek nigdy nie osiągnie żadnej znaczącej pozycji. Zawsze pozostanie najwyżej najemnikiem na służbie Persów. Dejdamia, żywe wcielenie waszej matki, jest godna pożądaną, lojalna i płodna jak efeska Artemida. Lecz i ona nigdy się nie wzbija ponad pozycję żony i matki. Timokrates chce, żebyś ty przejął jego dziedzictwo. Dlatego przywiązuje taką wagę do twojego wychowania. Widzi w tobie nowego Sokratesa, Peryklesa, nowego Alcybiadesa, jeśli tylko się opamiętasz i porzucisz głupie marzenia.

- Nie jestem tak wybitny - rzekł Memnon, czując, jak niewidzialna pętla zaciska się na jego szyi.

- Zgodziłbym się z tym, ale nie jestem Timokratesem - powiedział Glaukos. - Chodź. Jesteśmy spóźnieni. Twój ojciec lada chwila wstąpi na mównicę.



Zgromadzenie ludowe spotykało się w cieniu świątyni Ateny Polias, opiekunki miasta, w nadziei na to, że mądrość bogini wskaże mu drogę. Rotundowa hala zgromadzeń, wzniesiona z tego samego różowego wapienia, z którego zbudowano świątynię Ateny, miała obniżoną w stosunku do poziomu gruntu podłogę i marmurowe siedzenia. Wznosiły się wokół platformy z polerowanego kamienia, służącej za mównicę. Nie mury, lecz doryckie kolumny wspierały pokryty dachówką dach, który chronił przed słońcem, przepuszczając chłodne powiewy morza. Memnon odwrócił się i osłaniając oczy, popatrzył ku północy. Widział wibrujące niebieskie wody zatoki Marmaris i wyznaczającą granice Karii i Licji linię purpurowych wzgórz.

- Powinienem był polecić Bionowi, żeby zajął nam miejsca - powiedział Glaukos, patrząc rozeźlonym wzrokiem na zbity tłum, który miał przed sobą. Spóźnieni - pełnoprawni obywatele miasta, zarówno bogacze, jak biedacy - kotłowali się z mieszaniną nieobywateli i metożków, cudzoziemców. Okrażali rotundę, walcząc o lepszą pozycję, z której wyraźnie słyszeliby przemawiających.

Memnon ogarnął wzrokiem tłum i szybko policzył. Trzy tysiące obywateli musiało uczestniczyć w obradach, żeby propozycja stała się prawem. Bez problemu doliczył się kworum.

- Czy głosowanie będzie dzisiaj?

Glaukos potrząsnął głową.

- Tylko debata. Głosowanie jutro.

Sekretarz otulił się szczelniej płaszczem i rozpychając łokciami, ruszył przez tłum, pokrzykując „Przepraszam!” i „Przejdźcie!”. Za nim Memnon, wolniej, powłócząc nogami jak galernik. Stopień po stopniu zeszli i znaleźli miejsce pod pomnikiem Dorieusa, dalekowzrocznego męża stanu z Lindos, którego marzenia o zjednoczonym Rodos doprowadziły do powstania miasta.

Przesycone drobinami kurzu promienie słońca szatkowały cień pod dachem budynku, padając jak światło bogów na męża na mównicy. Timokrates z Rodos stał swobodnie wyprostowany. Przesadnie gestykulował, jakby był aktorem odgrywającym rolę mówcy. Cienka linia oddziela tych dwóch, oratora i artystę; gdy jeden z nich występuje dla publiczności, mając na względzie dostarczenie rozrywki, drugi występuje, mając na uwadze wyższy cel, los ludu. Dzisiaj, w swoim lekkim hełmie krótko przyciętych siwych włosów i z krótko przystrzyżoną

brodą Timokrates zakasowałby nawet Hermesa Złotoustego. Memnon natężył słuch.

- Oligarchowie rządzą teraz Chios oraz Kos i zagrażają Rodos.

Chcą przygiąć wam kark i nałożyć jarzmo niewolnictwa. Niewolnictwa! Zdumiewa mnie, że żaden z was nie dostrzegł zagrożenia naszych najświętszych praw, naszej wolności, które stanowią te samochwały, ci ludzie gotowi zniweczyć poświęcenia waszych przodków i wasze życie. Przejrzyjcie na oczy, a ujrzycie ich takich, jacy są naprawdę. Ujrzycie wrogów wszystkich, którzy kochają wolność. Jednakże chociaż nietrudno wykazać podłość tych demagogów i zganić was za obojętność, to prawdziwym zadaniem jest znalezienie takich argumentów i takich kroków zaradczych, które uratują naszą demokrację. Być może obecna sytuacja to nieodpowiedni moment na wszechstronne uporanie się z tym problemem, ale moim zdaniem powinniśmy zaatakować go z całym impetem i działać jak Rodyjczykom przystało. Wspomnijcie, bracia, jak cieszy nasze serca, kiedy słyszymy, gdy cudzoziemiec sławi naszych przodków, opisuje ich wyczyny i wylicza ich trofea. Pomyślcie więc, że wasi dziadowie i pradziadowie nie zdobyli tych trofeów, abyście gapili się na nie z zachwytem, lecz byście naśladowali cnoty mężów, którzy je wywalczyli.

Timokrates zakończył orację nieznacznym ukłonem. Niemal natychmiast wybuchł szaleńczy aplauz. Delegaci Jalysos i Kamejros zerwali się na nogi, pierwsi pragnąc wyrazić uznanie. Mężowie z Lindos kiwali głowami i gładzili brody, z dostojnością sygnalizując swoją aprobatę. Tylko oligarchowie, zwolennicy Filolaosa, zachowali powściągliwość. Z nieukrywaną pogardą patrzyli na Timokratesa, gdy schodził z mównicy.

Memnon czuł, jak stojący obok Glaukos drży z podniecenia.

- Genialne! To niewątpliwie jego najbardziej przekonująca mowa!

- Słyszałeś tylko fragment i już potrafisz ją ocenić? - zauważył z przekąsem Memnon. - Nie dorastam do pięt twojej znajomości rzeczy, Glaukosie.

- Miałem możliwość go wysłuchać, gdy ją sporządzał. Ty też byś mógł, gdybyś spędzał mniej czasu na zbijaniu bąków.

Memnon nie odpowiedział na tę krytykę. Timokrates dostrzegł ich i przeciskał się w kierunku syna i sekretarza. Jego twarz była kompletnie pozbawioną wyrazu maską. Memnon kątem oka dojrzał innego idącego, falowanie niebieskiej szaty i błysk złota. Jeszcze nie zwrócił się całkiem ku ojcu, gdy jakiś mężczyzna oddzielił go od rodzica. Niski nie potężnie rozrośniętym torsie i czerstwej twarzy, której wyrazu dodawała broda na perską modłę, uśmiechał się do Timokratesa. Memnon wyczuwał, że ten uśmiech jest zupełnie pozbawiony serdeczności. Glaukos zeszywniał.

- Filolaos - syknął.

Przybysz szyderczo skłonił się Timokratesowi w pas.

- Dzisiaj odniosłeś maleńkie zwycięstwo w imię swojej ukochanej demokracji - powiedział. - Ale równie dobrze mógłbyś tamować upływ krwi palcem. Twój sojusznicy każdego dnia wykrwawiają się coraz bardziej, ich siła i siła twojej sprawy słabną. Jak długo to się utrzyma, Timokratesie? Jak długo potrwają śmiertelne konwulsje demokracji?

- Twoje założenia są bezpodstawne, niewolniku Mauzolosie. Tak naprawdę powinieneś zapytać samego siebie, jak długo Karyjczycy będą mogli igrać z potęgą, zanim ich pan, król królów, powściągnie ich ambicje? Miesiąc? Rok? Twój pan nie namiesza wiele w sprawach Hellenów, król królów wcześniej zrobi z nim porządek.

- Najpierw musi dać przykład z twoim zięciem, Artabazosem - powiedział, szczerząc zęby Filolaos. - I, jak słyszę, z twoim najstarszym synem. Na psa Hadesa, Timokratesie! Jak na zagorzałego, kochającego Ateny demokratę miałeś doskonałe stosunki ze wszelkiej maści tyranami. Nie dość tego, sam służyłeś staremu satrapie Farnabazosowi podczas wojny ze

Spartanami, tak jak dzisiaj czyni to twój syn! Jakim prawem potępiasz tyranię, kiedy twój ród zaprzedał się jej duszą i ciałem? Czy jesteś liściem kłaniającym się każdemu politycznemu wiatrowi, który powieje w tych czasach?

- Jedną rzeczą jest służyć tyranom i oligarchom, gdy jest to przydatne - powiedział, uśmiechając się Timokrates - a inną żyć pod ich stopą. Rodos jest i powinno pozostać wolne. Jeśli Mauzolos, satrapa Karii, pożąda więcej, niech ściąga z talerza króla królów, jeśli zdobędzie się na tę śmiałość.

Wszędzie wokół demokraci i oligarchowie zaczęli warczeć na siebie, ciskać okrzyki i przekleństwa, każda strona wspierając swego orędownika. Przewodniczący zgromadzenia, starzec Diogenes, zastukał laską w podłogę i zawołał:

- Przywołuję was do porządku! Kto chce teraz mówić?
- Filolaos! - zawołał ktoś.
- Tak! Dajcie mu przemówić! - rozległy się wrzaski, wymieszane z głosami tych, którzy pragnęli jego krwi.

Filolaos zareagował na to ponaglanie uniesieniem ręki i pochylił się do Timokratesa ze słowami:

- Później dokończymy naszą rozmowę. Obecnie to rządzące ciało potrzebuje prawdziwego kierownictwa. - Mrugnął złowrogo, minął Timokratesa i wszedł na mównicę. Uniósł ramiona, wzywając tłum do zamilknięcia. - Mężowie! Rodyjczycy! Kiedy rozważamy tak poważne sprawy, waszym obowiązkiem jest udzielenie głosu każdemu, kto pragnie wam doradzić, i szlachetnie, i podle. Myślę, że mnie zawsze z łatwością szło wskazanie wam właściwego kursu działania, ponieważ wszyscy już wcześniej dostrzeegliście go z całą jasnością. Cała rzecz jednak sprowadza się do tego, byście zdobyli się na działanie, cóż bowiem z samej najlepszej nawet rezolucji! Nie wystarczy ją uchwalić, trzeba ją wprowadzić w życie!

Timokrates się odwrócił i dał znak synowi, by ruszył za nim.

- Nie chcesz go wysłuchać? - spytał Memnon.
- Nie usłyszę niczego, czego już bym nie znał.



Poniżej budynku zgromadzeń oliwny gaj oferował cień i samotność tym, którzy znużyli się politycznymi przepychankami. Tu służba świątyni Ateny utrzymywała skrawek raję, pokuszenie poetów i zakochanych, szukających objęć Muz. Szerokie żwirowane ścieżki wiły się pod konarami. Dalej węższe dróżki prowadziły do naturalnych altanek, jakie tworzyły opadające gałęzie, oferując schronienie przed wścibskimi oczami; kamienne ławki nosiły rzeźbione napisy, skierowane do bogini podziękowania hojnych i wdzięcznych suplikantów. Timokrates usiadł na jednej z nich i gestem przyzwał Memnona. W oddali, na zakręcie ścieżki, młody orator ćwiczył gestykulację przed audytorium drzew.

- Dobrze się prezentujesz, synu - stwierdził Timokrates. - Wygląda na to, że życie z pierwszą lepszą prostytutką ci służy.

Memnon powściągnął gniew.

- O Talii można powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że jest pierwszą lepszą, jak pewnie podszeptał ci twój zausznik. - Wskazał skinieniem głowy rotundę. Sekretarz pozostał w niej, słuchając Filolaosa. - Jeśli posłałeś po mnie tylko po to, żeby obrażać bliskich mi ludzi, to odchodzę.

- Nie, posłałem po ciebie, bo mam dobre wieści - odparł Timokrates. - Mój przyjaciel, a

obecnie gość, Androtion, zgodził się zaopiekować tobą w trakcie pobytu w Akademii w Atenach. Udasz się z nim, kiedy tylko zakończy poselstwo do Karyjczyków.

Memnon był wyraźnie zdziwiony.

- Ateny? Akademia?

- Nie uważasz, że wypracowałem szczęśliwy kompromis? Powinien zaspokoić twoje pragnienie poznania świata i jednocześnie wybawić mnie od troski o twoją przyszłość.

Oczywiście, nie twierdzę, że to mój pomysł. Właśnie Androtion...

- Nie, ojciec - rzekł Memnon tonem człowieka znużonego powtarzaniem po raz kolejny tego samego. - Podziękuj Androtionowi za gościnność, ale powiedz, że nie mogę przyjąć jego oferty.

Twarz starszego mężczyzny spurpurowiała.

- Co? Co to znaczy, że nie możesz przyjąć jego oferty?

Głos Timokratesa niósł się daleko. Młody orator przerwał w pół zdania i zmarszczył brwi.

- *Kirke* odpływa z końcem tygodnia. Moim zamiarem było znaleźć się na pokładzie.

- Czemu jesteś taki nieprzejednany? - spytał Timokrates, zrywając się na równe nogi. -

Stworzyłem ci możliwość, która wzbudziłaby zawiść większości ludzi, a ty ją odrzucasz!

- Bo nie tego pragnę! Tak, zgadza się, chciałbym zobaczyć trochę świata, zanim się ustatkuję, ożenię i sam wychowam synów. Tak, chciałbym zobaczyć piękno i chwałę Aten. Ale uczynię to na moich warunkach, nie twoich! Doceniam i szanuję to, co zaferowałeś, ale wzbranasz mi jednej rzeczy, o którą cię proszę. Twojego błogosławieństwa. To nic nie kosztuje, nie wymaga od ciebie niczego prócz uśmiechu i dobrego słowa, a mimo to mi ich odmawiasz.

Dlaczego?

Timokrates potrząsnął głową.

- Nie pobłogosławię ci, gdy odejdziesz drogą, która prowadzi tylko do ruiny i śmierci!

Wiem o tym!

- Skąd wiesz? - Frustracja podniosła Memnonowi głos o oktawę. - Skąd? Czy bogowie nagle obdarzyli cię zdolnością widzenia przyszłości?

Timokrates oparł się o drzewo.

- Przez całe życie widziałem i widzę, Memnonie, tę samą tragedię odgrywaną na tysiącu różnych scen. Udasz się na wojnę oślepiiony opowieściami o chwale i powrócisz jako ruina mężczyzny albo w ogóle nie wrócisz. „Z tarczą lub na tarczy” to piękna fraza w ustach poetów i demagogów, ale w realnym świecie nic nie znaczy.

Memnon chwilę nic nie mówił, tylko zwiesił głowę i się zamyślił. Wreszcie podniósł wzrok i rzekł:

- Podziwiasz takich mężów jak Alcybiades, Perykles i Sokrates? W twojej ocenie to giganci, czyż nie? Niezrównani politycy i mężowie stanu?

- Tak, i mógłbyś im dorównać, gdybyś tylko mnie słuchał!

Memnon powstał i złapał ojca za ramiona. Mało nim nie potrząsnął.

- Ojciec, ci wszyscy mężowie wpiery byli żołnierzami! Znali wartość krwi rozlanej w imię sławy, znali okropności wojny i dzięki temu później nigdy nie doprowadzali do niej lekkomyślnie. Nie mogę marzyć, że im dorównam, siedząc u stóp jakiegoś zaszuszonego demagoga. Muszę sam rozeznąć się w świecie i sam zdecydować o swoim losie. Chyba to rozumiesz?

Timokrates westchnął; jego opór kruszał.

- Czasem zapominam, że nie jesteś już dzieckiem. Może moje błogosławieństwo... - urwał, posłyszawszy chrzęst żwiru, i zmarszczył czoło.

Memnon poszedł za wzrokiem ojca i ujrzał Glaukosa. Sekretarz biegł ile sił. Zatrzymał

się, ślizgając, i mało nie upadł.

- Spokojnie, Glaukosie. Co się dzieje? - spytał Timokrates.

Spocony mężczyzna nie mógł złapać tchu. Ślina spływała mu po podbródku. Wskazał budynek zgromadzenia ludowego.

- Chodź szybko! Filolaos chce doprowadzić do głosowania!

- Czyż nie jest wzniosłą cechą demokracji, że pozwala ludowi decydować o swoim losie?

Filolaos stał na mównicy, otoczony morzem wzniesionych twarzy. Głosy zebranych niemal go zagłuszały. Wskazał roznamiętniony tłum.

- Odbierać ludowi prawo do głosowania, kiedy obecna jest wymagana większość, to obelga, złamanie podstawowej zasady waszej ukochanej demokracji!

Stojący w najwyższym punkcie rotundy, widziany przez wszystkich Diogenes wskazał laską mówcę.

- Nie pozwolę na natrząsanie się z naszej największej instytucji! Są rytuały, zanim się przystąpi do głosowania! Zwyczaje, których trzeba się trzymać! My...

- Rytuały i zwyczaje? Raczej strach i gnuśność! Czy za bardzo się boisz, Diogenesie, czy też po prostu jesteś zbyt leniwy, by wypełnić swoje obowiązki wobec ludu?

- Diogenes nie jest ani strachliwy, ani leniwy! - Timokrates w towarzystwie Memnona i Glaukosa przedarł się przez zgromadzenie i zajął miejsce na mównicy obok Filolaosa. - Jest mądry! Ani ty, ani ja nie dorastamy mu do pięt, jeśli chodzi o znajomość mechanizmów działania demokracji! Prawo rzecz jednoznacznie, Filolaosie! Zgromadzenie nie może głosować nad żadnym działaniem ani uchwałą bez wcześniejszych obrad! Sugerując odmienny tok postępowania, mówca naraża się na wygnanie albo coś jeszcze gorszego!

Diogenes skinął głową, oczyszczony z potwarzy, ale Filolaos tylko się zaśmiał.

- To właśnie dlatego w demokracji nie da się kiwnąć palcem bez poparcia samego Zeusa Zbawcy! Zgromadzenie starców upasionych na łupach zdartych z ludu ma decydować, co może, a co nie może być omawiane? Powiedz mi, czym się to różni od oligarchii. Przestańcie udawać, że czcicie wolność, i przyznajcie...

Memnon poczuł podniecenie tłumu - jego żar i napór gniewu. Spojrzał na ojca. Timokrates i Filolaos stali oko w oko, tak pochłonięci swoim sporem, że nie zwracali uwagi na to, jak ich słowa oddziałują na ich zwolenników. Niczym osły z klapkami na oczach parli przed siebie, wrzeszczeli, roztrząsając na całe gardło ezoteryczne szczegóły prawa. Pod mównicą wybuchły bójki. Ludzie popychali się, przeklinali, pluli i rzucali się sobie do gardeł jak psy na smyczy.

- Czy oni nie zdają sobie sprawy, do czego to może doprowadzić? - Memnon chwycił Glaukosa za ramię. - Musimy ich rozdzielić, zanim spowodują zamieszki!

Ale Glaukos tylko wybałuszał oczy, unosząc zaciśniętą pięść i wyrażając tyranię. Memnon puścił go, odwrócił się...

Coś świsnęło mu koło ucha. Nie większy niż piąstka dzieciaka kamień minął o włos Timokratesa i trafił nad prawym okiem Filolaosa. Oligarcha zatoczył się, przyciskając rękę do czoła.

- Nie! - ryknął Memnon.

Ale na widok krwi oligarchy wrzący tłum wpadł w szal. Prysty wszelkie pozory ładu i ludzie rzucili się na siebie, młóćąc pięściami, gryząc i kopiać, dając ujście przemocy, której przestały wystarczać słowa. Tylko dzięki starożytnemu zakazowi noszenia broni w rotundzie zgromadzeń nie doszło do rozlewu krwi. Na oczach Memnona zwolennicy obu faksji wdarli się na mównicę i oratorzy zniknęli pod napływem wyciągniętych rąk.

- Ojcie! - krzyknął Memnon i runął przed siebie, wyskakując ponad ludzką falę.

Niektórzy walczyli w imię swojej sprawy, inni, aby się wydostać poza tłum. Każdy krok groził upadkiem, gdy pod stopami zleżała lawica deptanych ciał. Memnon porwał za kark dwóch mężczyzn i odrzucił ich na bok. Jeden ugryzł go w policzek. Ktoś kopnął go w udo. Laska grzmotnęła go w ramię. Memnon warknął, odwrócił się i wyrwał kij z ręki jakiegoś starca.

Uzbrojony w kawał okutego brązem oliwkowego drewna przedzierał się przez wywijający rękami tłum. Nie dbał o to, kogo tłucze, oligarchę czy demokratę; zostawiał za sobą szlak połamanych kości, wybitych zębów, guzów na łbie. Dotarł do mównicy i znalazł ojca na ziemi, walczącego z oszalałym demokratą, który zaciskał dłonie na szyi Filolaosa. Człowiek bezduszny może zostawiłby oligarchę swojemu losowi - czy ten, który wzniecił rebelię, nie zasłużył na śmierć? - ale Memnon wierzył w rządy prawa, w sprawiedliwość. Człowiek powinien trafić pod sąd, zanim zostanie wysłany na egzekucję. Okrutnym ciosem laski wyzwolił z rąk zapaleńca Filolaosa i odciągnął go, przeklinając i wrzeszcząc. Drugie uderzenie odebrało szalejącemu demokracji przytomność.

Przyklękął i pomógł ojcu wstać.

- Czy oni rozum stracili? - mruknął oszołomiony Timokrates. - Przemoc rodzi tylko przemoc!

- Oratorzy podżegają do niej, nie panując nad swoim językiem - powiedział Memnon.

Dostrzegł w rozgardiaszu Glaukosa. Twarz miał podrapaną i krwawiącą, ubiór potargany. - Tutaj, Glaukosie!

Widok żywego Timokratesa dodał sił podupadłemu na duchu sekretarzowi. Pospieszył do boku pana.

- Bogom niech będą dzięki! Myślałem...

- Wasi zwolennicy obrywają najwięcej! - przerwał mu Memnon. - Zabierz ojca do domu i pilnuj go. Zadbaj o jego bezpieczeństwo! Przyjdę, kiedy będę mógł.

- Jak sobie życzysz - odparł Glaukos.

Sekretarz niczym spartański dowódca zebrał wokół Timokratesa falangę demokratów i pośpiesznie wyprowadził go z sali. Memnon odprowadził ich wzrokiem, po czym zajął się Filolaosem. Oligarcha klęczał i usiłował stanąć na nogi, chwytając się krawędzi mównicy. Twarz miał umazaną krwią, która kapiała mu z brody i plamiła szatę. Kaszlał i nie mógł złapać tchu.

- Podnieś się, ty cholerny głupcze! - Memnon przyklękął, zarzucił sobie na szyję rękę Filolaosa i powstał, dźwigając go w górę. - Rusz się, zanim ktoś cię ukatrupi.

- Próbowali - wydyszał oligarcha. - Zawdzięczam ci życie. Której faksji przysięgłeś oddanie?

- Żadnej i niczego mi nie zawdzięczasz.

Memnon dostrzegł w pobliżu kilku ludzi Filolaosa. Przyglądali się jednemu ze swoich, który kopał po żebrach leżącego demokratę. Widząc podtrzymującego ich przywódcę mężczyznę i zaufanie, jakim ten go darzy, wzięli go za sojusznika. Młody Rodyjczyk przyzwał gestem jednego z nich.

Filolaos potrząsnął głową i powiedział:

- Nie, nigdy nie zapomnę długu wdzięczności ani twarzy. Odszukaj mnie, kiedy to

wszystko się skończy. Przydałby mi się mąż o twoich umiejętnościach.

Memnon odrzucił zakrwawiony kostur, uwolnił się z objęcia oligarchy i przekazał go jego ludziom.

- Moje umiejętności, jak je nazywasz, zostały zaprzysiężone innym celom.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Podłoga była zasłana jęczącymi, czołgającymi się ludźmi.

- Zaczekaj! - zacharczał Filolaos. - Przynajmniej powiedz, komu winienem dług wdzięczności!

Memnon przystanął u stóp schodów, pod posągami Dorieusa. Przez chwilę rozważał, czy nie skłamać. Ale nie, nie miał powodu wstydzić się tego, kim jest. Skłaniając głowę, rzekł:

- Jestem Memnon, syn Timokratesa.

Twarz Filolaosa powlokła się bielą pod skorupą krwi.

- Wyczuwam w tym rękę boga - szepnął. - Znakomicie, synu Timokratesa. Idź w pokoju i z moją podzięką. Może któregoś dnia bogowie pozwolą mi się wypłacić ze zobowiązań wobec ciebie.

Memnon się odwrócił i wspinał po ostatnich kilku stopniach.

- Powiedziałem, nic mi nie zawdzięczasz.

Ale jego głos zatonął w wypełniających salę okrzykach triumfu. Zwycięstwo było minimalne, ale to się nie liczyło, należało je ogłosić.

Memnon wyobraził sobie, że wieści o bójce dotarły już do portu. „Oligarchowie powstali! Śmierć demokratom!” Obie faksje uzbroją się we włócznie i oszczepy, miecze i noże, łuki i proce. Weterani zdejmą tarcze ze ściany przy palenisku, młodzi żołnierze przywdzieją zbroje z brązu. Kupcy z pośpiechem umkną do wiejskich rezydencji albo załadują towary na statki, które popłyną do ukrytych plaż lub na zachodni brzeg wyspy. Groźba wojny domowej, *stasis*, sparaliżuje miasto. Memnon obejrzał się na Filolaosa, który brylował pośród rannych jak zwycięski król. Wszystko to dlatego, że cię oszczędziłem, pomyślał młodzieniec.

Nie zdawał sobie sprawy, że jego czyn dobrej woli może kosztować Rodos przetrwanie.

Rozdział drugi

Odejdź od tego okna - powiedziała Talia, szczelniej okrywając się pościelą.

Pokój, który wynajmowała nad gospodą przy ulicy Ofiussa, w pobliżu świątyni Afrodyty, przypominał Memnonowi seraj perskiego satrapy. Boazerie i meble były z ciemnego drewna. Cztery lampy, dwie z polerowanego brązu i dwie z terakoty, rozpraszały cienie, a ich słodka woń mieszała się z oparami kosztownych żywicznych kadzideł. Barwne kobierce i brokaty przykrywały podłogę i ściany. Lęk rozszerzył oczy kobiety. Przyzwała Memnona gestem i słowami:

- Proszę! Siądź przy mnie. Boję się.

Memnon się uśmiechnął, ale nie opuścił miejsca, w którym stał, spoglądając przez przymknięte okiennice na rozjaśnioną pożarami noc. O zmierzchu wybuchła orgia gwałtu i przemocy. Tłuszcza spoza miasta, niewątpliwie opłacona karyjskim złotem, zaatakowała domy i sklepy znanych demokratów, podpalając to, czego nie mogła zniszczyć ani zrabować. Memnon miał nadzieję, że wypadki potoczą się inaczej, ale *stasis* zaskoczyła fakcją ojca; w obliczu rządów motłochu każdy, kto się wahał, stanął za oligarchami. Pełen niesmaku Memnon odwrócił się od okna.

- Proszę, Memnonie! - Łzy zalśniły na rzęsach Talii.

Młody Rodyjczyk usiadł obok niej i wziął ją w ramiona.

- Nie przejmuj się tak - rzekł, gładząc jej płowe włosy.

Talia pochodziła z Kyrene w północnej Afryce. Jasna barwa włosów, często spotykana w jej ojczyźnie, nadawała jej egzotyczny wygląd, najbardziej ceniony przez wybrednych rodyjskich żeglarzy.

- To niebawem się skończy i twoje życie wróci do normy - dodał.

- Ale co zrobię, kiedy odpłyniesz? - spytała. - Kto się mną zaopiekuje?

- Spodziewam się, że znajdziesz tłustego, bogatego kupca i będziesz żyć, opływając w dostatki. Może nawet sama zobaczysz trochę świata.

Memnon nie żywił iluzji co do młodej kobiety, którą trzymał w ramionach. Traktowała mężczyzn jak baranów; niektórych przeznaczonych tylko do strzyżenia, innych na ołtarz Afrodyty - boskiej patronki heter. Wobec mężczyzn potrafiła być przebiegła i krwiożercza jak leopard.

- Świat mnie nie pociąga, jeśli nie jestem przy twoim boku - wyszeptowała zmysłowo.

Wyciągnęła szyję i pocałowała jego męsko zarysowany podbródek. - Zabierz mnie z sobą.

Potrząsnął głową.

- Obóz najemników to nie miejsce dla kobiety o twoich gustach. Prowiant jest najpośledniejszego rodzaju, do przełknięcia tylko przez najbardziej wygłodzonych piechurów. Nie ma łóżek, pościeli. Każdy śpi na ziemi, wydany na pastwę żaru i zimna, żywiołów. Wyobrażasz sobie, że dźwigasz mój ekwipunek przez góry i doliny? Nie, Talio. Nie życzę ci życia kobiety najemnika.

- W takim razie machnijmy ręką na życie najemnika. Moglibyśmy się wybrać do Efezu albo Aten czy Koryntu... Korynt, Memnonie! Wyobraż sobie! Mówią, że w Koryncie nawet najzwyczajniejsza kurtyzana nosi złoto i drogie kamienie. Ciekawa jestem, w co by mnie przystroili?

Odrzuciła głowę i przeciągnęła się. Puściła lniane okrycie; spłynęło, układając się wokół jej wąskiej talii. Złota skóra lśniła w świetle lamp; widok obfitych piersi sprawił, że Memnon poczuł ucisk w gardle. Jestem przy niej jak jagnię na ołtarzu, pomyślał.

- Faktycznie, w co? - szepnął, obejmując ją mocniej.

Talia zeszytniała, gdy zza drzwi rozległ się skrzyp podłogi. Memnon zmarszczył brwi. Ciche pukanie poderwało go na nogi. Dobył noża i jednym skokiem znalazł się przy drzwiach.

- Czego chcesz?

- Otwórz, cholerny szczeniaku!

Chociaż głos był przytłumiony, Memnon go rozpoznał. Podniósł sztabę. W wąskim korytarzu stał zmęczony Patron. Miał na sobie marynarską skórzaną zbroję wzmocnioną dyskami z brązu, poznaczonymi nalotem morskiej wody i śniedzi. Przez pierś biegł mu pas, na którym wisiał zakrzywiony miecz.

- Ryzykujesz życie, wychodząc sam na ląd w taką noc, Patronie - powiedział Memnon, przepuszczając do pokoju kapitana *Kirke*. - Co się dzieje?

- Nadal bardzo chcesz wypłynąć z Rodos? - Patron zerknął na Talię, która przeciągała się jak kot.

Memnon poszedł za jego spojrzeniem.

- Tak, chcę.

- Nie wypływamy z końcem tygodnia, ale dziś o brzasku - oznajmił cicho Patron.

Podszedł do okna i uchylił nieco okiennice. Wraz z nocną bryzą unosił się ostry smród. - Widziałem oblegane miasta, widziałem je rabowane i płonące, widziałem dziesiątkowane zarazą, ale nigdy nie widziałem miasta, które rozdziera się samo. Ludzie, którzy o poranku byli sąsiadami, o zmroku są zaprzysięgłymi wrogami. Wszystko to z jakiego powodu, idei?

- Jest taka chwila w dziejach - odrzekł Memnon - kiedy mieszkańcy regionu albo wyspy zbierają się razem i tworzą *polis*. Filozofowie nazywają to *synoikismos*. Ojciec porównywał to do płonących węgli, które zebrane w jedno tworzą ognisko. Te płomienie politycznej jedności płoną różnym żarem, ale wszystkie potrzebują strawy... nowych idei, nowych przeszkód, nowych wyzwań. Bez takiego pożywienia *polis* zje samo siebie, niszcząc właśnie te węgle, które dały mu życie. Jednakże nawet wtedy jest nadzieja. Wyobraź sobie ptaka Fenicji, feniksa, którego młode rodzą się z popiołów rodziców. Jeśli *polis* zniszczy samo siebie, ci, którzy przetrwali, niechybnie się zbiorą i powstanie nowe *polis*. - Wskazał za okno. - W naszych oczach to chaos, ale tak naprawdę etap cyklu życiowego miasta. Rodos odrodzi się na nowo, mam nadzieję, że silniejsze i mądrzejsze.

Patron się uśmiechnął i klepnął w ramię Memnona.

- Jesteś nieodrodnym synem swojego ojca. Cieszy mnie, że po tym, co przeżyłeś w sali zgromadzeń, widzę cię w dobrym zdrowiu.

- Słyszałeś?

- Wszyscy o tym mówią.

Memnon spochmurniał, oparłszy się o brzeg okna.

- A co mówią? Czy demokraci przeklinają mnie za uratowanie życia Filolaosowi?

Gdybym nie kiwnął palcem, może to wszystko - objął gestem Rodos - by się nie wydarzyło. Demokraci nadal panowałiby nad sytuacją.

- Twoja arogancja wprawia w zdumienie bogów, Memnonie - powiedział Patron. - Nawet gdybyś pozwolił Filolaosowi umrzeć, wojna domowa byłaby nieunikniona. Rodos przez lata dusiło się pod butem Aten. Demokratom i twojemu ojcu się wydaje, że sami decydują o waszym losie, ale tak naprawdę to Ateny pociągają za sznurki, podczas gdy oligarchowie spełniają kaprysy Mauzolososa z Karii. Wojna domowa to kulminacja długiego łańcucha wydarzeń, który ma niewiele wspólnego z tobą.

- Może się nie mylisz.

- Oczywiście, że nie. Ale pośpiesz się z pożegnaniem. Część pozostałych oczekuje

mnie... - Patron przerwał.

Z dołu doleciały strwożone głosy. Żeglarz i młodzieniec spojrzeli na siebie, po czym podeszli do drzwi. Na szczyt schodów wbiegł właśnie członek załogi *Kirke*, blady i pokryty potem. Patron zmarszczył brwi.

- Co się dzieje, Zaleukasie?
- Tłum szaleje! Diogenes zamordowany!



Broń Memnona błyszczała w świetle lamp - miecz, nóż, para oszczepów - polerowane krawędzie cieplejsze i bardziej miękkie niż wzrok tych, którzy przypatrywali się przygotowanym młodzieńca. Za jego plecami Patron chodził jak wilk w klatce, a lodowato milcząca Talia siedziała na kobiercu. Mimo braku bitewnego doświadczenia Memnon obchodził się ze swoim orężem jak weteran, sprawdzał wyważenie, każdy szczegół. Usatysfakcjonowany położył broń na łóżku i podniósł z podłogi żeglarski wór. Wyjął z niego skórzany napierśnik.

- Na Hadesa, Memnonie! Rusz głową! - skarcił go Patron. - Nikt nie przewidzi, co wytnie tłuszcz! Jest jak sfera Tartarowych brytanów, oszalała wonią posoki. Działa na oślepi.

- Ruszam głową! Ta ciżba jest sterowana, Patronie! Oligarchowie wykorzystują ją, żeby się pozbyć wrogów! Jak myślisz, na kogo się rzucą w następnej kolejności? - Miękki, wzmacniany na wysokości klatki piersiowej i brzucha ćwiekami z brązu napierśnik łatwo przesunął się przez głowę Memnona. Rodyjczyk zawiązał rzemyki z boku. - Diogenes był jednym z najwierniejszych sojuszników ojca. Logika wskazuje, kto będzie ich następną ofiarą.

- Powiedzmy, że to prawda, że chcą dopaść Timokratesa. W takim razie, co zamierzasz uczynić? Wpaść do jego domu i zaciągnąć go do portu? Zeusie Zbawco! Jego ludzie sami cię zabiją, jeśli tego spróbujesz! Walczyłeś w jednej potyczce z piratami! Jednej potyczce! Nie jesteś Achillesem, chłopcze! Stań na drodze motłochu, a rozedrze cię na strzępy!

- Więc mi pomóż! - wycedził Memnon. - Czy też te wszystkie godziny spędzone na słuchaniu twoich kazań o braterstwie to tylko strata czasu?

Urażony Patron odwrócił wzrok.

- Muszę myśleć o statku, zamówieniu, które mam dostarczyć, i czterdziestu dziewięciu chłopu, którzy oczekują, że ich poprowadzę. Nie mogę ich porzucić ani wciągać w uliczne zamieszki. Nie teraz.

Memnon wetknął nóż za pas, przesunął przez głowę pas miecza i zabrał oszczepy.

- A ja nie mogę porzucić ojca na pewną śmierć - powiedział. - Muszę się do niego dostać i przekonać go, żeby popłynął z nami. Jestem pewien, że Artabazos zaoferuje mu azyl. Razem...

Patron złapał go za ramię.

- Posłuchaj tego, co mówisz, Memnonie! Jesteś głupcem, jeśli myślisz, że zdołasz wyrwać Timokratesa z Rodos w chwili, w której miasto najbardziej go potrzebuje! Nic nie zmieni zdania tego człowieka! Bogowie, erynie, czy nawet złoto! Do tego właśnie się szykowałeś! To jego największa bitwa i Timokrates się nie zatrzyma, dopóki ona się nie skończy!

Memnon wyrwał się z uścisku Patrona.

- Nie zostawię go na śmierć! Jak mógłbym spojrzeć w twarz Mentorowi, gdybym chociaż nie spróbował! Co by mi powiedział, gdyby zapytał o ojca, a ja na to: „Nie wiem, bracie, bo zostawiłem go na pastwę tłuszczu”? Muszę spróbować, Patronie!

Żeglarz westchnął, widząc, że nic nie wskóra.

- Każdy z nas ma swoje przeznaczenie, Memnonie. Może takie jest twoje, może przeznaczeniem twojego ojca jest umrzeć tutaj. Ale obiecuję ci jedno: będę trzymał tu *Kirke* tak długo, jak potrafię. Jeśli ci się uda, ściągnij Timokratesa na statek.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Patron wyszedł, zostawiając Memnona samego z Talią.

Siedziała bez słowa, otulona pościelą, mocno zacisnąwszy palce. Policzki miała mokre od łez. Kiedy w końcu się odezwała, głos jej drżał.

- Wcześniej mówiłeś o logice. Czy twoja logika każe ci narażać własne życie, żeby ratować jego?

- Nie, to nakazuje mi moja krew - odparł Memnon. - To mój ojciec, Talio. Cięży na mnie odpowiedzialność. Nie spodziewam się, żebyś mnie zrozumiała, bo...

- Bo jestem kobietą? - przerwała mu gniewnie.

Memnon się nie odezwał, na próżno szukając słów, które wytłumaczyłyby Talii obowiązek syna względem ojca. Święta więź nakazywała jednemu i drugiemu, żeby bez względu na to, jak zaciekły spór toczyli między sobą, stanęli ramię w ramię przeciwko każdemu wrogowi, przeciwko każdemu zagrożeniu i w razie konieczności - oddali życie. Memnon westchnął, pochylił się i pocałował ją w czubek głowy. Delikatnym głosem rzekł:

- Wspominaj mnie jeśli nie z miłością, to chociaż z czułością - szepnął.

Odgłos łkania towarzyszył mu jeszcze na ulicy.



Okolona murem willa Timokratesa leżała na północnym stoku akropolu, od strony najmniejszego z czterech portów Rodos. Wybrana przez Memnona droga poprowadziła przez okolice, przez które przewaliła się przemoc. Wypatroszone przez dziki tłum sklepy i domy były grabione kolejny raz, gdy najróżniejszej mas'ci drapieżnicy rozgrzebywali dymiące ruiny, nie przejmując się ofiarami, które wypelzły z kryjówek, aby ocenić zniszczenia. Słupy dymu unosiły się z pożogi, całun niewidoczny, jedynie wyczuwalny w ciemnościach; płomienie brudnopomarańczowym blaskiem potęgowały duszącą atmosferę.

Memnon biegł przed siebie. Z każdym krokiem utwierdzał się w przekonaniu, że działania tłuszczy były zorganizowane - a raczej nakierowane. Zniszczenia nie obejmowały całego obszaru, jak należałoby się spodziewać w wypadku szalejącej hordy; nie rozeszły się koncentrycznymi falami z jednego zapalnego punktu, podsycane zachciankami bezmyślnych grabieżców. Nie, czyjeś rozkazy i plany trzymały w karchach bandy, tak jak koryto rynsztoka trzyma w karchach uliczne ścieki. W miejscu, w którym szeroka promenada napotykała naturalne zwężenie, demokraci zbudowali barykadę z wozów i wózków, usiłując powstrzymać ten ściek ludzkiej furii. Przeszkoda okazała się zbyt wątła.

Memnon zwolnił. Pośród resztek rozwalonej barykady liczne ciała zaścielały ziemię, jedne pocięte ostrzami i zdeptane, inne przesyte strzałami i włóczniami. Mężczyzna o ciemnej jak stara miedź skórze żeglarza siedział oparty o ścianę domu, trzymając w rękach lśniące wę-zowisko jelit. Spojrzał na Memnona szklanym, pozbawionym zrozumienia wzrokiem i otworzył usta, próbując przemówić. Krew popłynęła mu na podbródek. Memnon odwrócił wzrok, kula chłodu urosła mu w brzuchu, kiedy zdał sobie sprawę, jakie dźwięki docierają doń ze wszystkich stron. Jęki płaczu i bólu mieszały się z zawodzeniami; urywane modlitwy gubiły się pośród błagań o ratunek. Smród krwi i wnętrzości zabarwiał gęste powietrze.

„To nie dla mięczaków”, usłyszał w głowie głos brata. Lata temu spytał Mentora, jaka była jego pierwsza bitwa, czym się różniła od wizji Homera. Starszy syn Timokratesa odparł z niezwykłą u niego powagą: „Zapomnij wymyślne sposoby walki i peany na cześć bogów. Żeby zabić człowieka, musisz stanąć z nim oko w oko i wbić mu włócznię w bebechy, zanim on zrobi to samo tobie. Kiedy ostrze wchodzi w ciało, widzisz w jego oczach zmianę - gniew, strach, ból, żal - całą gamę emocji, która natchnęłaby Eurypidesa. Słyszysz wrzask, zwierzęcy dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałeś, i czujesz gorącą krew tryskającą ci na ręce. A kiedy uderza cię smród, zdajesz sobie sprawę z najgorszego”. „Co może być gorsze od tego?”, szepnął spopielały na twarzy Memnon. Mentor objął ramieniem młodszego brata i szorstko potarł włosy. „Gorsza jest świadomość, że to mogłeś być ty”.

- Co byś zrobił tej nocy, bracie? - spytał na głos Memnon. Przedostał się przesmykiem w barykadzie. Po drugiej stronie leżały następne ciała, ofiary lawiny kamieni i strzał. Jeden z zabitych przyciągnął jego uwagę. Zatrzymał się. Siwowłosy starzec leżał na wznak osłonięty przewróconym wózkiem do transportu owoców. Zamiast twarzy miał krwawą maskę. Ołowiany pocisk z procy rozorał mu czoło. Lodowate szpony Dajmosa wbiły się w płuca Memnona, zamrażając na krótko oddech. Czy to ty, ojcze? - spytał w myślach. Drżący opadł na kolana. Kawalkiem oderwanego z szaty starca płótna przetarł mu oblicze. Przyjrzał się dokładniej i gwałtowny oddech ulgi uleciał mu z ust. Patrząc na niego twarz starego żołnierza, wielokrotnie złamany nos i pusty oczodół - trofea dawnych kampanii. Memnon zamknął mu zdrową powiekę. Zgarbił się, a ulga przeszła w smutek, potem poczucie winy.

- Wybacz, stary - szepnął. - Spoczywaj w spokoju.

Hałas i ruch zwróciły uwagę Memnona. Podniósł wzrok. Kilku mężczyzn przedarło się przez beużyteczną barykadę. Dwóch niosło pochodnie, reszta zrobioną domowym sposobem broń - trzony wiosel nabijane szpikulcami, groty z zadziarami, sierpy z kutego brązu. Widząc kucającego nad trupem Memnona wzięli go za jednego ze swoich. Ostatni z tej bandy, bezzębny, cuchnący moczem i zgniłymi cebulami szakał, przystanął.

- Szybko! - powiedział. - Szybko, zanim będzie za późno!

- Na co za późno? - Memnon się podniósł.

- Nie słyszałeś? Jest nagroda, dziesięć drachm za prawą rękę zwykłego demokraty, sto za głowę przywódcy! Szybko! Zaraz przełamiam obronę!

Memnon zazgrzytał w furii zębami, ale udał się za bandą. Inni przyłączyli się do tego pochodu, tak że rósł z każdą chwilą. Podnieceni ściskali młoty, tasaki i mówili przyciszonymi głosami. Kiedy pokonali ostatnie wzniesienie, Memnon zobaczył punkt docelowy marszu. Zwolnił, pozwalając wyprzedzić się innym. Zeusie Zbawco! Ojciec!

Z tej odległości dom Timokratesa raczej przypominał oblężoną fortecę niż willę. Armia łupieżców i włóczędzów zatkała ulicę, przygnana nadzieją zdobycia nagrody, którą oligarchowie wyznaczyli za Timokratesa. Płonące łuczywa rzucały dziwaczne cienie na sformowane byle jak linie oblegających. Garstka lojalnych demokratów broniła murów, posyłając strzałę za strzałą w napierającą na bramę zbitą masę ciał. W odpowiedzi wśród tłumu uniosły się proce, w stronę obrońców poleciały ołowiane kule.

Memnon patrzył na to wszystko i czuł kompletną bezradność. Żaden Homer, Herodot czy Tukidydes nie opisał czegoś podobnego i nie mógł mu pomóc. Patron miał rację. Podjął się beznadziejnego przedsięwzięcia. Chociaż... chociaż...

Schowal się w portyku nimfajonu i obserwował wirujący wokół domu ojca chaos. Tłuszcza sformowała się i zaatakowała bramę, po czym cofnęła i przegrupowała w kolejne oddziały łachmaniarzy, których zapał podsycala obietnica złota. Memnon wiedział, że jeśli jego teoria ma być prawdziwa, to w działaniach tych ludzi musi być rytm, jakiś dowód na istnienie

jednego mózgu, który kieruje stugłową hydrą. Gdyby go zidentyfikował, wiedziałby, w kogo uderzyć. Rozwał mózg, a może głowy hydry zwróca się jedna przeciwko drugiej, dając na tyle wytchnienia obrońcom, by zdołał wyprowadzić ojca z oblężenia.

Czyjś głos wyryczał rozkazy; kolejny atak runął na bramę. Tym razem w pierwszej fali szli ludzie w improwizowanych pancerzach. Memnon poszukał wzrokiem osobnika, do którego należał rozkazujący głos, i dostrzegł barczystą postać przed domem sąsiadującym z domem ojca. Otaczała go grupka jemu podobnych. Przeważnie byli to oligarchowie, ale kilku poruszało się z pewnością siebie wyszkolonych żołnierzy. Najemnicy, prawdopodobnie Karyjczycy, sprowadzeni przez Filolaosa jako silne ramię nowego reżimu. Syn Timokratesa uśmiechnął się nieznacznie, ponuro. Miał swój cel.

Będzie musiał przedostać się bliżej.

Opuścił osłonę nimfajonu i nie zwracając niczyjej uwagi w ogólnym chaosie, płataniną ulic okrążył dom ojca. Zaszedł za plecy ludzi kierujących tą dziecinnie łatwą ofensywą. Sąsiednia willa należała do Brygosa, politycznego dyletanta i najmłodszego syna sławnego szkutnika, Charemona. Brygos, miły człek, wołał towarzystwo róż od ludzkiego. Jego pnące rośliny w satynowych sukniach barwy purpury i żółci wyrastały wysoko ponad róże sąsiadów. Niczym się niewyróżniający człeczyna nieustannie pysznił się z tego powodu. Memnon przeskoczył niski mur obiegający posiadłość i skulony pobiegł labiryntem ogrodu, obok ustrojonych girlandami posągów Demeter i Persefony. W powietrzu unosił się przesycony słodką wonią róż dym. Sprężyste podłoże tłumiło odgłos kroków.

Zatrzymał się przy rogu domu. Usłyszał przed sobą głos, chrapliwe narzekanie zagłuszane uderzeniami toporów o pnie.

- Aż mnie w dołku ściska, że nie możemy się tam pierwsi dostać i zgarnąć nagrody. Pewien jesteś, że nie ma innej bramy?

- Co ty na to, Brygosie? - spytał inny głos.

Memnon wyjrzał za róg. Oświetleni blaskiem dalekich pożarów dwaj mężczyźni na zmianę rąbali pień wiekowej oliwki. Przerwali swoje zajęcie i odwrócili się ku postaci, która klęczała przed nimi na trawie. Brygos, niewielkiego wzrostu brodaty człowiek, o pokrwawionej twarzy i odziany w porwany brudny chiton, patrzył zapuchniętymi oczami na niszczenie swojej własności.

- Lata byłeś jego sąsiadem. Więc jest inne wejście czy nie?

Brygos potrzęsnał głową.

- Tylko fro-frontowa brama.

Jeden z rabusiów splunął.

- No, to trzeba nam do tego taranu. Wiesz co, Brygos, z ciebie nieużyteczny kawał gówna. Utniemy ci łapę i będzie na bukłak wina. Co ty na to, Sakadas? Trzymaj go, ja mu odetnę rękę.

Sakadas podrapał się w rozwichrzoną brodę, która nie mogła ukryć blizn po ospie dziecięcej.

- Rób, co chcesz, Dyskolos, ale pierw go zabij. Nie chcę słuchać przez całą noc, jak ten kawałek gówna się wydziera.

Brygos odsunął się od nich.

- Nie-nie zrobicie mi tego!

Dyskolos uniósł topór, zbliżając się do kulającej się ofiary.

- Kto wie? Należało wcześniej o tym pomyśleć, Sakadas. Zaoszczędzilibyśmy sobie...

Dyskolos już nie skończył zdania. Na ułamek chwili przed tym, zanim oszczep Memnona przeszył mu szyję, mało nie strącając głowy z karku, dostrzegł błysk, ruch. Brygos wrzasnął.

Trup padł na murawę. Memnon wszedł w krąg światła. Wziął zamach do drugiego rzutu, ale Sakadas okazał się szybszy.

Czas zwolnił bieg. Adrenalina i strach wyostrzyły zmysły Memnona, gdy patrzył, jak przeciwnik wyrzuca ramię, a jego topór koziołkuje w powietrzu. Ciężka broń minęła go o włos, tak blisko, że Memnon zrobił unik i odruchowo cisnął oszczepem. Przedwcześnie! Już w chwili, w której wypuścił pocisk, wiedział, że chybi celu. Poszedł za nim wzrokiem, kiedy zniknął w mroku. Kiedy wrócił spojrzeniem do Saka-dasa, roślejszy od swego kompana bandyta już wyrwał oszczep z ciała trupa i runął przed siebie.

Memnon na oślep sięgnął po miecz. Dobył go do połowy, gdy Sakadas zadał mu potężny cios tępym końcem oszczepu, trafiając w brzuch. Całe powietrze uleciało z płuc młodego Rodyjczyka; frunął w górę jak wyrzucony z katapulty. W oczach mu się mieniło, kiedy upadł na trawę, rozpaczliwie usiłując zaczerpnąć tchu. Sakadas dopadł go okrakiem. Memnon złapał oszczep jedną ręką, gdy najemnik przycisnął mu drzewce do gardła i zaczął dusić.

Sakadas walczył w milczeniu. Nie szydził, nie przeklinał, twarz zastygła mu w wilczym grymasie zawodowego zabójcy. Memnon wolną ręką na oślep szukał jakiejś broni - kamienia, gałęzi, czegokolwiek. Miecz przygniótł własnym ciałem i teraz czuł, jak jelec boleśnie wbija mu się w plecy. Poczul pod palcami rękojeść noża. Jednym ruchem wyrwał z pochwy ostrze i wbił je w bok Sakadasa. Nic z tego. Najemnik z jeszcze większą siłą napał na drzewce oszczepu, wbijając Memnonowi jego własne kłykcie w grdykę i odcinając dopływ powietrza. Chłopak zacharczał, oczy wylazły mu z orbit. Raz za razem dźgał napastnika. Krew zalała mu dłoń.

Głos Mentora zahuczał mu w głowie. „Żeby zabić człowieka, musisz stanąć z nim oko w oko i wbić mu włócznię w bebechy, zanim on zrobi to samo tobie. Kiedy ostrze wchodzi w ciało, widzisz w jego oczach zmianę - gniew, strach, ból, żal...”

Wpatrzony w niego oczy były zimne i martwe jak ślepie rekina. Nacisk na gardło ustąpił; Memnon poczuł rozlewającą się na brzuchu wilgoć; Sakadas wypróżnił się w chwili zgonu. Memnon poderwał się całym ciałem i przetoczył w bok; zrzucił z siebie trupa i zwymiotował, czując w nozdrzach smród, a w duszy przemożne poczucie śmiertelności. To mogłem być ja, pomyślał. Leżał jakiś czas, wstrząsany dreszczami, i przyciskał twarz do podłoża, wchłaniając czyste wonie ziemi i trawy.

Usłyszał jakiś ruch i głos Brygosa:

- N-nie żyjesz?

Memnon zapomniał o nim.

- Witaj, Brygosie - wycharczał. Uklęknął, odnalazł oszczep i wspierając się na nim, dźwignął na nogi. - Widziałeś mojego ojca?

Brygos zmrużył oczy.

- Mem-memnon? Czy to ty?

- Tak. Widziałeś go, Brygosie? Nie wiesz, czy nadal żyje?

Postąpił ku niewysokiemu człowieczkowi. Ale Brygos cofnął się, jakby zmierzał do bramy. Obejrzał się przez ramię, obliznął wargi.

- Brygosie...?

Wydając pisk paniki, Brygos odwrócił się i jak szalony rzucił przez otwartą bramę, wrzeszcząc:

- Tu jest!

- Bądź przeklęty, Brygosie! Co ty wyczyniasz?

Memnon pobiegł za nim tylko kilka kroków, zanim ślizgając się, zatrzymał w miejscu. Za bramą stał tłum. Słyszcząc krzyki, odwrócił się ku posiadłości Brygosa. Ten wskazał za siebie, wrzeszcząc jak baba:

- Tutaj! To syn Timokratesa!

Kilkanaście par oczu skierowało się na Memnona, oczu przepelnionych nienawiścią i żądzą nagrody. Patron nazywał ich piekielnymi bestiami; teraz Memnon wiedział dlaczego. Ruszyli ku niemu. Pośpiesznie wystrzelona strzała przecięła powietrze i z głośnym trzaskiem wbiła się w słup bramy. Zaraz potem rozległ się wrzask wściekłości. Triumfujący Brygos podrygiwał, krzycząc:

- Ile za syna tego drania? Ile...?

Z gniewnym rykiem Memnon cisnął oszczepem. Ostrze przeszło ciało zdrajcy. Młodzieniec nie patrzył na jego śmiertelne konwulsje. Wykręcił się na pięcie i ile sił w nogach pobiegł z powrotem przez bramę.

Wyjął jak brytany Atalanty, tłum rzucił się w pościg.



Memnon dysząc, zatrzymał się, próbując ustalić swoje położenie. Czuł pulsowanie krwi w szyi. Nogi miał jak z waty po wyczerpującym biegu zaczernionymi nocą ulicami Rodos. Tłum gonił go uparcie przez uliczkę i ogród przekonany, że syn Timokratesa jest nagrodą, za którą warto oddać ostatnie tchnienie. Dwa razy niemal go osaczył, dwa razy Memnon w ostatniej chwili się uratował. Miecz przeważył szalę na jego korzyść. Ale szczęście wkrótce musi go opuścić.

Obejrzał się na drogę, którą przebył. Światła pożarów buchających naokoło domu ojca pokryły niebiosa gniewnymi czerwieniami i oranżami. Słyszał poszum i westchnienia oceanu, co znaczyło, że nieopodal jest mała przystań. W odróżnieniu od głównego portu ledwo wyrastała poza piaszczysty pas, ale dzięki temu była idealnym miejscem cumowania mniejszych łodzi. Memnon znał tę okolicę; jako chłopiec bawił się między zbudowanymi wzdłuż wybrzeża szopami żeglarzy i rybaków. Znów spojrzął na dom ojca i lodowa włócznia przeszła mu serce. To, co się zaczęło jako chlubne przedsięwzięcie, utraciło wszelki walor, stając się walką z czasem. Nie...

- Tam!

Czyjś głos rozdarł noc. Najbardziej uparci z prześladowców wylali się na ulice. Wysoko płynęły łuczywa. Rzemienny pas ze świstem przeciął powietrze i wyrzucony pocisk roztrzaskał się o kamień za plecami Memnona, obsypując mu ramiona odłamkami ołowiu. W dół uliczką, skręt za róg, skok przez niski mur oporowy, przypadnięcie plecami do muru i czekanie. Zaraz potem ktoś, ciężko rżąc, przeskoczył nad jego głową. W rękę ścisnął hartowaną w ogniu drewnianą pałkę.

Nawet się nie dowiedział, co go zabiło.

Memnon odrąbał mu głowę, odwrócił się i nadział na miecz kolejnego ścigającego, gdy ten przeskakiwał mur. Wyrwał z trupa ostrze i pochylony popędził długimi susami, trzymając się zakręcającego muru. Za plecami słyszał, jak inni potykają się o zwłoki kompanów. Gdyby nie zdołał ich zgubić, może potrafiłby zniechęcić prześladowców, ostudzić ich zacierzwienie, zabijając pojedynczo. Zatrzymał się. Zbyt późno usłyszał chrzęst piasku pod sandałem, świst tnącego powietrze drewna. Odwrócił się...

...i zatoczył, gdy grom i błyskawica wybuchły mu pod czaszką. Jęknął, gdy atakujący uniósł pałkę i znów zdzielił go w głowę. Memnon opadł na kolana. Tamten stanął nad nim.

- Ha! Mam cię, synu kur... - Mężczyzna przerwał i spojrzął w dół, wybałuszając oczy.

Memnon poszedł za jego wzrokiem. Ostrze włóczni wyskoczyło z piersi mężczyzny jak obrzydliwa winorośl. Upadł obok Memnona. Rozległy się brzęki metalu i urwane krzyki. Syn Timokratesa podniósł wzrok. Świat skurczył się do główki od szpilki. Z mroku wyłoniły się znajome twarze, jedna szczególnie wyraźna, bliska, chociaż ocieniona po brzegach. Ulga napłynęła w znużone kończyny.

- Pa-patron?

- Po prostu nie mogłem cię zostawić...

To ostatnie, co usłyszał, zanim osunął się w usługne ramiona nicości.

Rozdział trzeci

Nie mógł złapać tchu. Palce na gardle odcięły mu dostęp powietrza i miażdżyły tchawicę, kręgi szyjne. Nie poddawał się. Złapał nóż i z triumfalnym warknięciem wbił go w ciało dręczyciela. Bluznęła gorąca krew. Kłuł raz za razem, aż nacisk na szyi zelżał i tamten osunął się na bok. Odzyskał siły. Złapał go za włosy i odgiął głowę, odsłaniając szyję do ostatniego ciosu. Patrzyły na niego zmętniałe bliskością śmierci oczy. Timokrates splunął krwią i wystękał: „Dla-dlaczego?”

Memnon ocknął się gwałtownie, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Czuł pulsowanie w czaszce. Ostre światło słońca wycisnęło mu łzy z oczu, a skrzyp liny o drewno i pomruk morza pogłębiły jego dezorientację. Gdzie jestem? - zapytywał się w myślach. Zniszczone słońcem i wodą sosnowe deski, które czuł pod nagim ciałem, wydały mu się znajome, podobnie jak woń potu, soli i rozgrzanej słońcem smoły. Nad sobą miał wymyślny element dekoracyjny: posążek kobiety strzegącej go jak opiekuńczy duch.

- I przeszedłem przez ciemność do nieskazitelnego łóża Kirke...

Kirke.

Memnon jęknął, gdy przeczesał palcami włosy i poczuł twardy strup, zawężenie za uchem. Ostrza bólu przebiły rozmyte pole widzenia. Z trudem wsparł się na łokciu i zobaczył siedzącego kilka stóp dalej, szczerzącego zęby Patrona. Inni członkowie załogi - Zaleukas, argijscy bracia Lykos i Skiron, złotowłosi synowie Attalosa - podnieśli wzrok znad kości do gry i krzemiennych oselek.

- Zeusie Wszechmogący, chłopcze! Tak zaliczyłeś w czaszkę, że myślałem, że już koniec z tobą - powiedział Patron, rzucając Memnonowi bukłak z wodą.

Memnon z trudem usiadł, sięgnął po bukłak i odkorkował go drżącymi palcami.

Pociągnął kilka łyków, po czym wylał resztę na głowę. Zimna woda otrzeźwiła go. Otarł oczy.

- Nie miałbym nic przeciwko niemu.

- Przyniesz mi czysty chiton - polecił Zaleukasowi Patron, po czym zwrócił się do Memnona: - Wtedy miałbym o jednego załoganta mniej, zgadza się? Poza tym wolę mieć u ciebie dług. Będzie mi łatwiej gadać z Mentorem, kiedy już dopłyniemy do Troady.

Jeśli Memnon go usłyszał, nie dał tego po sobie poznać. Patrzył na swoje brudne ręce i krew za paznokciami.

- Zawiodłem go, Patronie. Nie ma mowy, żeby ojciec czy jego ludzie przeżyli tę noc, żeby przetrzymali napór takiej masy, jaką oligarchowie mieli na usługi. Miałem jedną szansę i zawiodłem. - Podniósł wzrok i uniósł brwi. - Dlaczego byliście na plaży, myślałem...

- Wyrzuty sumienia. - Patron pozwolił sobie na nikły uśmiech. - Żenująca sprawa u najemnika, no nie? Ale co było robić? Złapałem się na tym, że nie dają mi spokoju. Nie mnie jednemu. - Wskazał kciukiem załogę. - Ci malkontenci też chcieli cię ratować.

Młodzieniec opuścił głowę.

- Dziękuję wam, ale powinniście zostawić mnie swojemu losowi i ratować Timokratesa. Bardziej by się przydał.

Patron wstał i wziął od Zaleukasa kłęb materiału.

- Przeszłaś się dręczyć. Próbowaleś, Memnonie, i zdobyłeś się na więcej niż większość mężczyzn w tej sytuacji. Jeśli Timokrates faktycznie zginął tej nocy, takie było jego przeznaczenie, taka była nić jego żywota. Mojry tkwały mu ją od narodzin. Nic nie mogliśmy na to poradzić.

- Powiedz to jego cieniowi, Patronie. - Memnon wstał chwiejnie. Nadal niezbyt pewnie

czuł się na nogach. Przy każdym ruchu nowy atak bólu rozłupywał mu czaszkę. - Gdzie jesteśmy? Ile czasu minie, zanim dotrzemy do lądu?

- Do lądu? - Kapitan wręczył mu chiton. - Jeszcze dobrze nie wypłynęliśmy. Stoimy na kotwicy.

Memnon zmarszczył brwi i wyjrzał za reling. *Kirke* stała rufą do wiatru, tuż przed wejściem do najmniejszego portu, przy obmywanym falami kamienistym przylądku. Pocętkowana białą pianą woda koloru lapis-lazuli blakła przy brzegu do barwy turkus. Za przylądkiem nad czerwonymi dachówkami unosiły się cienkie kolumny czarnego dymu; górujące nad miastem lśniące dachy wydawały się tak odległe i wyniosłe jak sami bogowie olimpijscy. Memnon zadrżał, uświadomiwszy sobie, że najgęstszy dym bił w niebo w okolicy domu ojca.

Patron podszedł do niego.

- Dla niektórych sumienie to balsam - rzekł współczująco. - Dla innych Furia o skrzydłach z mosiądzu. Dlatego zostałem.

- Nie widziałeś czegoś, jakiegoś śladu życia? - spytał Memnon.

Patron potrząsnął głową.

- Niczego. Przed południem miasto było jak grobowiec, prawie jakby... - Kapitan *Kirke* urwał, marszcząc brwi. - Prawie jakby się wstydziło swych czynów.

Memnon odwrócił się do żeglarza. Oczy lśniły mu jak krzemień, głos miał chrapliwy od desperacji.

- Muszę wrócić. Muszę na własne oczy zobaczyć, co się z nim stało. Udam się sam, jeśli...

- Zawiodłem cię raz, przyjacielu - wszedł mu w słowo Patron, klepiąc po ramieniu młodszego mężczyznę. - Drugi raz się to nie powtórzy. - Odwrócił się i huknął: - Ocknijcie się, sukinkoty! Przywdziać zbroje i do wiosła! Tym razem Memnon będzie miał kompanię!



Piasek zaskrzypiał pod kilem *Kirke*. Pojedynczo i parami dwudziestu pięciu mężczyzn przeskoczyło burty i rozbryzgując falę jak Homerowi Achaje, szparko pokonało płyciznę. Słońce odbijało się od ciemnego brązu tarcz, migotało srebrem i szarością na żelaznych grotach włóczni. Czterech niosło ciężkie perskie łuki. Zatrzymali się na chwilę, podczas gdy pozostali na pokładzie towarzysze przyłożyli się do wiosła. Pentekonter odpłynął na głęboką wodę. Patron zadowolony, że *Kirke* będzie bezpieczna nawet z połową załogi, bez słowa wskazał kierunek marszu.

Zaciekawione twarze obserwowały ich z przybrzeżnych szop i szałasów, gdy Memnon objął przewodnictwo, prowadząc podwójną kolumnę wojowników w górę plaży, przez mur oporowy. Długie liście palm szeleściły za ich plecami. W małym porcie ci, którzy odważyli się wyjść na opustoszałe ulice, zarówno rabusie, jak i uczciwi ludzie uciekali, gdy zbrojny oddziałek wspinał się tarasowym stokiem. Okiennice zatrząskiwały się na dzwonienie pasów mieczy. Dłoń przerażonej matki zdusiła dziecięcy krzyk. Memnon czuł na sobie wzrok obserwujących ich z ukrycia ludzi, spojrzenia płonące wściekłością, pełne obawy, że wystarczy byle ruch, a przemoc wybuchnie na nowo. Na dnie wściekłości wyczuwał też coś innego - strach. Rozpacz. Ci, którzy z pierwszej ręki zaznali zwierzęcego okrucieństwa, zdawali sobie sprawę, iż byli świadkami czegoś wyjątkowego: pięćdziesiąt jeden lat wolności zostało zniszczone w ciągu kilku godzin. To było omal nie do zniesienia.

Przed sobą dostrzegł znajomy widok: kolumnowy portyk nimfajonu, pod którym ostatniej nocy znalazł chwilę wytchnienia. Przyspieszył kroku. Ulica schodziła w płytką kotlinę, pełną cyprysowych i oliwnych gajów, nawadnianych gulgoczącym strumykiem poświęconym Artemidzie. Syn Timokratesa runął przed siebie jak olimpijski sprinter. Dotarł do wzniesienia. Twarz mu spopieliała i zatrzymał się jak wryty.

- Zeusie Zbawco! Nie!

Brama prowadząca do rodzinnego domu stała rozwarta, wysadzona z zawiasów sporządzonymi naprędce taranami. Gruz i śmieci zalegały ziemię - kawałki ścian, połamane dachówki, potrzaskane drewno, strzępy nadpalonego płótna. Gęste warkocze czarnego dymu wzbijały się z dogasającego pogorzeliśka; niesione ożywczą bryzą rozpląwały się w sine, przezrocyste welony. Ostra woń zmiażdżonych cedrów mieszała się ze smrodem płonącej smoły, przypalonego oleju i usmażonego ludzkiego mięsa. Nogi Memnonowi dygotały; upadłby na kolana, gdyby nie pokrzepiający uścisk na ramieniu, który dodał mu sił. Patron stał u jego boku.

- Nie mógł tego przeżyć. Nie mógł.

- Spokojnie, chłopcze - powiedział Patron. Pozostali ustawili się obok nich, klnąc pod nosem i wygrażając bogom. - Może służba wyprowadziła go poza zagrożony teren. Ten, kto budował ten dom, musiał brać pod uwagę możliwość oblężenia, skoro wznosił wokół mur.

Mury willi były stare - starsze niż samo miasto - i grube. Miały zniechęcić przybyłych z głębi lądu bądź z morza napastników. Winorośl złagodziła kanciaste brzegi kamieni, dodając kolorów niegdysiejszej fortecy.

- Dziad mojego dziadka - wyjaśnił Memnon - wyrwał z ziemi każdy kamień, ociosał go, ukształtował i własnymi rękami połączył zaprawą. Cały ten teren - wskazał za siebie - od wybrzeża do szczytu akropolu był nasz.

- Jak Dorieus go przejął?

- Nie przejął. Prapradziad dał mu go w darze, żeby stworzył miasto, pod warunkiem że ten dom i jego otoczenie pozostaną własnością synów i wnuków pierwszego właściciela. Schronieniem...

Pod warstwą sadzy i spalenizny w kamiennym nadprożu bramy nadal widniał wizerunek Heliosa. Memnon wyobraził sobie stojącego pod nim ojca, jego siwe włosy, twarz pomarszczoną i znużoną, ale uśmiechniętą, gdy jego dwaj synowie biegli na wyścigi pod górę, starszy zwalnając, by młodszy mógł się z nim zrównać. Wyścig kończył się remisem i Timokrates porywał w górę obu, sadzał sobie na ramionach i triumfalnie wnosił przez bramę jak olimpijskich zwycięzców.

- Popatrz - rzekł Zaleukas, wskazując palcem.

Po prawej stronie bramy stała ośmioosobowa grupka mężczyzn. Byli przeważnie młodzi, w wieku Memnona, uzbrojeni we włócznie, noże i harpuny. Bicepsy przewiązali kawałkami niebieskiego materiału. Zesztywnieli, nerwowo popatrując na zbrojny oddział z *Kirke*.

Patron odwrócił się do swoich.

- Panujcie nad sobą. Gdyby doszło do bójki, wolałbym nie musieć zabić ich wszystkich.

Kapitan nie przejmował się, że mówi głośno i że jego słowa wywarły piorunujące wrażenie na młodzieńcach przy bramie. Pobledli, ich broń zagrzecotała, gdy starali się opanować strach, macając drewno i stal.

Jeden wystąpił przed resztę.

- Memnonie? - rzekł pytająco. Pot zrosił wysokie czoło, przyklejając do czaszki brudne włosy. Błada blizna podnosiła kącik oka. - Może nie pamiętasz, kim jestem. Otóż...

- Pamiętam cię, Eumajosie - odparł Memnon. - Ojciec często płacił ci za podcinanie

oliwek. Jeśli ta niebieska szmata na ramieniu oznacza, że stałeś się jednym z popleczników Filolaosa, to nie mamy o czym rozmawiać. Wracaj do nowego pana i powiedz mu, że niebawem po niego przyjdę!

Eumajos przestępował z nogi na nogę, wystraszony wzburzeniem w głosie rozmówcy.

- On wiedział, że przyjdiesz. Filolaos. To dlatego nas wysłał, żebyśmy przekazali ci wiadomość.

- Jaką wiadomość?

- Filolaos chce się układać - wyjaśnił, kiwając głową Eumajos.

Patron mruknął coś pod nosem i splunął na ziemię.

- Ten sukinsyn ma jaja jak dynie, jeśli mu się roi, że mu zaufamy. To pewnie pułapka, Memnonie. Wybieg, żeby dorwać cię samego i poderżnąć gardło.

- Pewnie tak. Jakie są jego warunki?

- Ty i on, sami, w sali zgromadzeń, o zmierzchu. Możesz przyjść z eskortą. Do dziesięciu osób. On uczyni podobnie. W geście dobrej woli rozkazał nam odpędzać wszystkich grabieżców, dopóki nie przyjdiesz.

- W geście dobrej woli? - warknął Memnon. - Tak sobie wyobraża dobrą wolę? Jego psy oblaży dom mojego ojca, ale on będzie strzegł ruin, dopóki ja ich nie obejrzę! Na Zeusa Zbawcę i Heliosa! To ma być dobra wola! Niech ktoś zastrzeli tego durnia! To będzie odpowiedź, którą nawet Filolaos zrozumie!

Skiron z Argos płynnym ruchem wyciągnął z sajdaka strzałę, osadził ją na cięciwie i napiął łuk. Trzej inni poszli w jego ślady. Odwaga Eumajosa uciekła jak woda sitem. Upuścił włócznię na ziemię. Błagalnym gestem wyciągnął ramiona i cofając się, wyjąkał:

- Czekajcie! Czekajcie! Nie przyłożyłem ręki do śmierci twojego ojca! W ogóle!

Memnon gestem zatrzymał łuczników.

- Więc nie żyje?

- N-nie wiem - odparł Eumajos. - Przynajmniej nic na pewno. Ale mamy nie przekraczać bramy. Rozkaz Filolaosa.

Przez chwilę Memnon nie odpowiadał, po czym ostrym ruchem głowy odpędził strażników.

- Jazda stąd.

Odeszli z ulgą i pośpiechem. Eumajos jednak pozostał.

- Co mam powiedzieć Filolaosowi?

Memnon i Patron wymienili spojrzenia.

- Za nic mu nie ufaj, chłopcze - mruknął kapitan.

- Wiem. - Memnon ruszył szybkim krokiem ku domowi ojca. Mijając Eumajosa, rzekł: - Powiedz mu, że przyjmuję jego warunki, ale jeśli poczuję choć najlżejszy swąd zdrady, nie dożyje chwili, w której będzie mógł się nią rozkoszować.

Eumajos skinął głową i wycofał się, gdy Memnon minął bramę. Patron i pozostali szli za nim.

Gruzy zalegały dziedziniec przed willą - popękane kamienie i cegły, w miejscu, w którym tarany rozbiły wrota; zwęglone drewno, porozbijane płyty podłogi i dachówki, poprzewracane posągi. Wszystko okryte warstwą popiołu i wapna. Wśród ruin leżały trupy w najdziwniejszych pozach; powlekała je zaschnięta krew, prawe ręce kończyły się poszarpanymi kikutami. Twarze ludzi, których Memnon znał od dzieciństwa, teraz wydawały mu się obce; woskowe jak śmiertelne maski. Szedł ostrożnie i zaklął, gdy nieostrożnie potrącił nogą trupa i rój much poderwał się z wielkiej rany brzucha.

- Miłościwy Zeusie! - Poczul skurcz żołądka. - On tu jest. Wiem. Ale gdzie zacząć?

Najpierw otoczenie, potem dom? A może powinniśmy się rozdzielić?

- Czekaj - powstrzymał go Patron, wskazując bramę.

W cieniu muru stała kobieta w poplamionym sadzą i kurzem pe-plos. Spod opaski z frędzlami wymykały się luźne kosmyki posiwiałych włosów. W dłoniach ścisnęła terakotowy posążek wotywny. Gładziła go, jakby ten gest mógł przydać rzeczywistości jej pragnieniem.

- Znam ją - powiedział Memnon, po czym zwrócił się do staruszki: - Klea?

Na dźwięk swojego imienia drgnęła. Zamrugnęła i rozejrzała się wkoło, jak niewinna dusza obudzona przed tronem Hadesa, lękająca się tego, co może ujrzeć, ale niezdolna odwrócić wzroku. Memnon powtórzył jej imię, tym razem łagodniej, i Klea spojrzała na niego. Łzy wezbrały jej w oczach.

- Och, Memnon! Widziałeś mojego męża? Nie pozwolili nam wejść i się rozejrzeć.

Widziałeś go? Błagałam go, żeby nie szedł, ale nie posłuchał. Twój ojciec był mu bliski.

Widziałeś go, Memnonie? Widziałeś mojego Biona?

- Nie, Kleo, ale pomogę ci go odszukać - odparł, podając jej ramię, by mogła się wesprzeć.

Również inne kobiety przedreptały przez bramę. Patron wyznaczył im do pomocy żołnierzy, gdy szukały wśród zmarłych znajomych twarzy: synów, małżonków i ojców. Zawodzenia towarzyszyły każdej udanej próbie. Najstarsze, dobrze obznajmione z śmiercią matrony, uciszyły ich krzyki. Ze spokojem i godnością zajęły się zabitymi.

Memnon znalazł ciało męża Klei kilkanaście stóp od bramy. Chociaż Bion liczył sobie trzy razy więcej lat niż młody Rodyjczyk, walczył ze spartańską zaciętością, dopóki jego tarcza nie pękła pod ciosami. Pchnięcie włócznią zakończyło jego żywot. Klea osunęła się na ziemię obok męża.

- Och, Bion.

Memnon szukał słów, które mogłyby złagodzić jej smutek, ale też przynieść pocieszenie i nadzieję. Mógł jednak myśleć tylko o ojcu. Ciało Timokratesa spoczywało pośród zniszczeń i ruin, z nieskończoną cierpliwością zmarłych oczekując, aż je ktoś odnajdzie. Memnon czuł to. Był...

- Znalazłem jednego żywego! - krzyknął spod muru Patron.

Memnon porzucił wszelkie rozważania. Zostawił Kleę i pobiegł do kapitana.

- Kto to? Ojciec?

- Nie - odrzekł Patron.

Przyklękli i podnieśli zwęgloną belkę. Pod nią Memnon dojrzał znajomą płachtę niebieskiego materiału, kawałek himationu. Młodzieniec zakrzuszył się, gdy z nagiego ciała uniósł się smród spalonego ciała, krwi i wnętrzości.

- Glaukos - szepnął.

Deszcz płonących odłamków, kawałków bramy, trafił w Glaukosa, rozkładając się w poprzek przygwożdżonego ciała, ale zamiast pożreć je natychmiast, smażył je stopniowo, po kawałku. Jedna gałka oczna pękła, ugotowana jak jajko. Śluz ściekał po policzku. Welon nocy ukrył nieszczęśnika przed oczami poszukiwaczy trofeów, ponieważ zachował obie ręce - chociaż żar zwęglił je i szcernił.

- Wciąż żyje?

W odpowiedzi Glaukos próbował się poruszyć. Krew i stopiony tłuszcz wyciekały ranami skóry, gdy usiłował przemówić.

- Wody...

Memnon ukląkł i wsunął ręce pod głowę Glaukosa, uważając, aby nie dotknąć spalonej skóry.

- Zaraz podamy ci wody, Glaukosie. Ale się nie ruszaj.

Sekretarz zacisnął rękę na ramieniu Memnona i wyrzeźbił:

- Szu-szukaliśmy cię... mieliśmy nadzieję, że przyjdiesz i nas poprowadzisz.

Ti-Timokrates wciąż pytał o cie-ciebie... Mieliśmy nadzieję...

Memnon spuścił głowę.

- Wybacz, Glaukosie. Próbowałem się przebić. Próbowałem.

- Wi-wi działaś Timo-Timokratesa...?

- Nie mogę go znaleźć, Glaukosie. Gdzie jest?

Glaukos zakaszłał, krwista piana wyszła mu na wargi. Jego uścisk osłabł. Szeptał coś i z ostatnim rwanym tchnieniem dusza Glaukosa wyruszyła w długą drogę do Tartaru. Memnon westchnął i powstał.

- Dokąd? - spytał Patron.

Memnon go nie słyszał. Odwróciwszy się, syn Timokratesa ruszył w stronę przysadzistej bryły domu.



Po tym, jak tarany tłuszczy pokonały zewnętrzną bramę, obrońcy z pewnością wycofali się do willi. Łagodny, wysadzany drzewami stok, na którym Memnon bawił się jako dziecko, był spalony i przesiąknięty krwią, zasłany trupami przyjaciół ojca. Przeszł się nad ciałami mężów, którzy niegdyś huścili go na kolanie, mężów, z których synami tarzał się w piasku, i nie czuł nic. Nie widział nic poza żelazną bramą z delikatnymi złotymi ozdobami, która powinna bronić wstępu do willi. Od dawna nikt nie próbował jej zamknąć; wątpliwe, aby dało się to zrobić - zawiasy nie działały, nienaprawiane od pokoleń i zniszczone w słonym powietrzu. Kiedy ją mijał, musnął dłonią szorstkie żelazo.

Za wejściem krótki ciemny tunel otwierał się na wewnętrzny dziedziniec, okolony szerniałym drewnianym portykiem, którego pomalowane na czerwono kolumny podtrzymywały dach z wypalanych glinianych dachówek. Po strzegących wejścia młodych topolach pozostały tylko bryły wilgotnej ziemi i kawałki terakoty. Niewątpliwie drzewa wyrwano z donic, żeby nakarmić nimi pożar. W środku stał domowy ołtarz Heliosa, patrona wszystkich Rodyjczyków, woźnicy niebiańskiego rydwanu kierującego rumakami, które wiozły słońce ku Wyspom Błogosławionym. Tu Timokrates prosił boga o błogosławieństwo dla rodziny, w zamian wylewając libację z byczej krwi i wina.

Tu wszystko przypominało Memnonowi o ojcu: wysoki stół uginający się pod doniczkami i narzędziami ogrodniczymi, przewrócona, wyblakła od słońca ławka z nogami na kształt końskich kopyt, nisze wypełnione popiersiami sławnych mężów, herosów i bogów. Po lewej stronie, między wiodącą do prywatnych pokoi ojca i apartamentu Glaukosa parą drzwi, na ścianie koloru rdzy wisiała kopia *Demosu ateńskiego* Parrazjosa, przedstawiająca Atenę uczącą Tezeusza zasad demokracji. Widok tego malowidła przywrócił falę wspomnień: łagodny zmierzch, ciepłe powietrze przesycone woniami hiacyntów i mokrej cegły, ojciec siedzący na ławce, zmęczony nieznanymi walkami, trzyma w dłoni puchar rozcieńczonego wodą wina. Był gotów wpatrywać się w ten obraz, dopóki stało światła, jakby wśród drobin pigmentu szukał odpowiedzi na swoje pytania. „Zawsze otaczaj się wielką sztuką, Memnonie, gdyż ona jest jak zwierciadło, które jedyne ukazuje nam to, co w nas najlepsze”, mawiał.

- Ojczy!

Memnon przeszedł obok prywatnych pokojów ojca i rozejrzał się. Pusto. Odwrócił się i... poczuł, jak krew zastyga mu w łód. Za ołtarzem spoczywało rozjaśnione słońcem ciało, jakby suplikant korzył się przed bogiem. Memnon zbliżył się powoli. Fałdy zakrwawionej, ubrudzonej sadzą szaty, barwionej na brzegach tyryjską purpurą przyłgnęły do rozrzuconych kończyn trupa.

- Ojczy?

Oligarchowie dotrzykali słowa. Zdjęli mu głowę. Memnon wpatrywał się w bielejące kręgi, wystające ze strzępków ciała, w kałużę szerniałej krwi i poczuł mdłości. Odwrócił się, wstrząsany spazmami.

Zatoczył się i dotarł do ławki. Postawił ją, ciężko usiadł i schował głowę w dłoniach. Czas stracił znaczenie. Nie wiedział, jak długo siedział, gdy słońce paliło mu ramiona. Przez głowę przetaczały mu się kłótnie z ostatnich miesięcy. Każde spojrzenie pełne zawodu, każda kosztowna uwaga wbijała w serce ostry szpikulec winy.

Poczuł cień na ramionach, dłoń na włosach.

- Nie pogrążaj się zbyt długo w żałobie, chłopcze - powiedziała głosem łagodnym jak daleki poszum wielu fal Klea. - Teraz jest z twoją matką na drugim brzegu Styksu, z dala od ponurych pieczar Tartaru, na wiecznie zielonych Elizejskich Polach. Jakiejże radości doznał, widząc znowu żonę.

Memnon długo nic nie mówił.

Zaciskał i rozluźniał szczęki, kłykcie zbiełaty mu na rękojeści miecza. Dwa razy chciał coś powiedzieć, ale tylko głęboko odetchnął, rozdymając nozdrza. W końcu przemówił łamiącym się szeptem:

- Nie... nie rozstaliśmy się w najlepszych stosunkach. Boję się, że umarł, czując, że się na mnie zawiódł.

- Wszyscy ojcowie chcą najlepszego dla swych synów, ale niewielu przychodzi do głowy zapytać ich samych, czego chcą, bo ich również nikt nie zapytał - rzekła Klea. - Myślę, że Timokrates tylko chciał zaoszczędzić ci trudów i wyrzeczeń, które sam wycierpiał w młodości. W głębi duszy pewnie wiedział, że prędzej sam zacznie fruwać, niż ty pójdziesz w jego ślady.

Memnon wstał.

- Nigdy się nie dowiemy, co naprawdę myślał.

- Co zrobisz z ciałem?

Spojrzał na nieskazitelny lazur niebios.

- Przygotuję stos. Ojciec zawsze powtarzał, że chciałby, aby jego ciało spłonęło na stosie, tak żeby po śmierci mógł na skrzydłach dymu wędrować po ziemi. I pošlę z nim zawsze wiernego Glaukosa.

- I Biona?

- Takie byłoby jego pragnienie?

Klea westchnęła.

- Nasi synowie nie żyją, córka też. Kiedy ja odejdę, nie stanie nikogo, kto mógłby opiekować się jego grobem. Myślę, że Bion byłby zaszczycony, gdyby jego prochy zmieszały się z prochami twojego ojca.

Memnon odwrócił wzrok. Łzy zakręciły mu się w oczach.

- Darzysz go wielkim uznaniem.

Ujęła go za rękę.

- Chodź. Przygotujmy ich do ostatniej podróży.



Późnym popołudniem światło słońca rozpromieniło złotem każde pęknięcie i nierówność pokrytych gipsem ścian dziedzińca. Ciało Timokratesa spoczywało na ławce, nogami ku drzwiom, przykryte białym całunem. Klea poszła zająć się innymi zmarłymi, zostawiając Memnona samego w cieniu perystylu. Siedział ponury, wsparłszy podbródek na głowicy osadzonego w pochwie miecza, i rozmyślał wpatrzony w zwłoki ojca. Timokrates był jednym z podstawowych żywiołów w życiu młodego człowieka - bogiem, którego należało sobie zjednywać; burzą, która w walce ujawniała pełnię sił; tyranem, który wymagał od synów doskonałości. Memnon żarliwie pragnął się wyzwolić spod jego wpływu, ale odejście Timokratesa pozostawiło pustkę. Napawała go oszołomieniem, niosąc jednak przy tym posmak wolności.

Powinienem z nim zostać, zamiast uciekać do Talii, pomyślał. Po awanturze na zgromadzeniu jego naturalnym odruchem było poszukać bezpiecznego miejsca, w którym mógłby przegrupować myśli i znaleźć kierunek działania. To prawda, szybkość reakcji oligarchów go zaskoczyła, ale nie była tak bardzo niespodziewana. Powinien być przygotowany; ale nie, liczył na chwilę ciszy przed burzą. Przeliczył się i zapłacił za to życiem ojca. Czy tak będę się zachowywał w Troadzie? - zadał sobie w duchu pytanie. Kiedy dojdzie do bitwy, ucieknę i schowam się za spódnicą kochanki?

Rozmyślania przerwały hałasy zza prowadzącej do willi ojca bramy - prostackie dowcipy, przytłumiony śmiech, brzęk metalu. Przybywali zbrojni. Usłyszał kroki na płytach posadzki.

- Memnon?! - zawołał Patron. Głos poniósł się w korytarzu echemi.

- Tutaj.

Kapitan *Kirke* pewnym krokiem wszedł na wewnętrzny dziedziniec, spojrzął na tymczasowe mury i zbliżył się do Memnona.

- Chodź, robi się późno. Wybrałem dziesięciu chłopów, żeby poszli z tobą na te cholerne rokowania. Zeusie! Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Spojrzenie Memnona stwardniało.

- Filolaos jest mi winien jego życie. Idę odebrać dług.

- Mądry mąż - stwierdził Patron, kręcąc głową - tak zdzieliłby cię w łeb, że straciłbyś świadomość, i zawlókł twoje nieczujące nic ciało na okręt. To ja powinienem iść, nie ty.

- Nie, Patronie. Sam muszę się tym zająć.

Zbroja Memnona zaskrzypiała, gdy powstał i przerzucił przez ramię pas miecza. Oręż spoczął na lewym biodrze młodzieńca. Poluzował miecz w pochwie.

- Jak mówiłeś, możliwe, że idę w pułapkę. Jeśli to okaże się prawdą i nie wrócę, dopilnujesz pogrzebu ojca?

- Jeśliby do tego doszło, dopilnuję pogrzebu was obu - obiecał Patron. - Ale cokolwiek się wydarzy, chłopcze, nie ufaj niczemu, co padnie z ust Filolaosa. Nie gódź się na żadne obietnice i sam niczego nie obiecuj. Układanie się z tobą w niczym nie pomoże jego sprawie. - Znów zerknął na mury, na okryte całunem ciało, i ciężko westchnął. - Mój ojciec zmarł kilka lat temu. Nie było mnie wtedy przy nim.

- Mam nadzieję, że był dumniejszy ze swojego syna niż mój ojciec ze mnie.

- Nie postawiłbym na to obola. Kiedy byłem w twoim wieku, ojciec wystarał mi się o stanowisko pomocnika kupieckiego w kantorze w Fokai. Myślał, że moim przeznaczeniem jest sprzedawanie wina z Chios kupcom z Naukratis.

Memnon wyraźnie się zdziwił.

- Ty pomocnikiem kupieckim?

Patron się uśmiechnął.

- Wiem, co myślisz, ale staruszek miał swoje marzenia. A ja miałem swoje. Więc pewnej nocy wstałem z łóżka, zebrałem moje rzeczy i uciekłem do portu. O wschodzie słońca zginałem się nad wiosłem na galerze płynącej do Tajnaronu na Peloponezie. Nigdy mi nie wybaczył i zmarł, zanim mógł mnie zobaczyć za sterem własnego statku. Nie wątpię, że jego cień błąka się w ponurym królestwie Hadesa, niezdolny zapomnieć gorzkiego rozczarowania, które mu sprawiłem.

Memnon wyciągnął dłoń.

- Przysięgam ci na mój honor, Patronie, że gdy spotkam twojego ojca po drugiej stronie Styksu, postaram się zmienić jego zapatrywania w tej sprawie.

Patron ujął podaną dłoń i porwał go w objęcia.

- Nie zrób żadnej głupoty, cholerny szczeniaku - powiedział - albo na mój honor przysięgam ci, że sam cię pošlę na tamtą stronę rzeki podziemi.

Rozdział czwarty

W gasnącym świetle zmierzchu Memnon opuścił willę zamordowanego ojca i zszedł w dół wzgórza. Za nim w ciszy podążali Lykos i Skiron, a także ósemka innych żołnierzy z *Kirke*. Droga zbliżała się do akropolu od północy, łagodniejszym zboczem niż ostry klif, wyrastający nad głównym portem. Gaje cyprysów, oliwek, dębów i topoli rzucały cień na pola pachnących fiołków i narcyzów, hiacyntów i dzikiego tymianku. W tym rajskim krajobrazie, na opadających schodkowo tarasach, których mury oporowe zbudowano z ciosanego kamienia i obrobionego drewna, wyrastały świątynie i publiczne budynki Rodos.

Architektura nosiła znamię doryckiej prostoty; pozbawione bazy kolumny z płytkimi żłobieniami, gładkimi kapitelami i fryzami ze zwykłego marmuru wchłaniały różowy poblask zmierzchu. Memnon poprowadził swój oddziałek obok odeonu, auli muzycznej, w której zamożni *choregoi* przygotowywali swoich śpiewaków na wielkie uroczystości. Minęli prytanejon, symboliczny dom rodzinny Rodos, w którym przy ołtarzu Hestii kapłani podtrzymywali święty płomień, i weszli w gęstniejący mrok kolumnowej stoi. Dalej, nad ciemnymi konarami świętego oliwkowego gaju Ateny, czerwony dach sali zgromadzeń lśnił jak zlany krwią.

Skiron chwycił Memnona za ramię.

- Czekaj. Wpierw niech zwiadowcy sprawdzą teren.

Skinął na brata i dwaj Argiowowie pobiegli szybko jak duchy, znikając pod drzewami.

Niebawem wrócili. Nawet nie byli zdyszani.

- Ilu ich? - spytał Memnon.

- Tylko dziesięciu - potwierdził ustalenia Skiron. - Z kontynentu, najpewniej Karyjczycy.

Nie mogliśmy się aż tak zbliżyć, żeby ocenić, czy ktoś się nie chowa w środku. Wygląda na to, że drań dotrzymuje słowa.

- Wkrótce się przekonamy.

Całą grupą opuścili bezpieczną stoę i zanurzyli się w gaju Ateny. Palce rdzawego światła przenikały liściasty baldachim. Chłodne powietrze pod drzewami mieszało się z ciepłym, bijącym od ziemi, nasycającym zapach świeżo poruszanej ziemi i miazdżonych łusek oliwek. Memnon wybrał główną ścieżkę, mijając ławkę, na której dzień wcześniej rozmawiał z ojcem, i wynurzył się przy wejściu do sali zgromadzeń.

Skiron pokazał palcem w kierunku światła wypływającego spomiędzy kolumn i okalającego cienie bladozłotymi pasami. Przy głównym wejściu wylegiwało się w trawie siedmiu mężów w pokrytych łuskami z brązu napierśnikach, zatknąwszy w ziemi włócznie. Trzech innych stało razem, obserwując gaj. Jeden z nich dostrzegł załogę *Kirke*, reszta powstała. Poruszali się z celową powolnością, jakby chcieli dać do zrozumienia, że mają pokojowe zamiary. Najczujniejszy obserwator przywitał Memnona gestem, po czym nakazał kompanom przejść na drugą stronę budynku.

Syn Timokratesa odpowiedział podobnym, powitalnym ruchem ręki.

- Zaczekajcie tu, w gaju - polecił. - Gdyby rozstawili łuczniczków, drzewa zapewnią wam osłonę. Jeśli coś mi się przydarzy... cokolwiek, rozumiecie...? wracacie do Patrona. Jasne?

Kolejno spojrzał każdemu w twarz. Chociaż był najmłodszy w załodze *Kirke*, ostatnie kilka godzin przydało mu powagi, wykraczającej poza jego wiek. Skinąwszy głową, Memnon odwrócił się i szybkim krokiem podążył do wejścia.

Pod drogą nie napotkał żadnych oznak niedawnej przemocy, nie licząc kawałków zmierzwionej ziemi i kępek zgniecionej trawy. Gdzie darń splamiona krwią? Gdzie wzgórki

odrabanych rąk lub naprędce wzniesione stoły, przy których płatnicy Filolaosa wydawali zapłatę? Spodziewał się jakichś widocznych oznak zmiany władzy, ale nic się tu nie zmieniło.

Zbliżył się do schodów i zajął do wewnątrz. Pośrodku, na najniższym poziomie, samotnie siedział Filolaos. Miał na głowie opatrunek. Tłuste nogi zwiesił poza krawędź podium. Obok niego stała drewniana taca z jedzeniem, glinianym dzbanem wina i parą kubków. Oligarcha sięgnął po kawałek drobiu, kłapięciem szczęk odgryzł mięso i cisnął w kąt kość. Z takim samym ukontentowaniem podniósł kubek z winem i opróżnił go. Dojrzał Memnona. Uśmiechnął się szeroko, otarł w płócienną serwetę twarz i ręce i zeskoczył z podium.

- Błogosławiony Zeusie! Przyszedłeś! Eumajos przekazał mi, że pewnie chętniej widziałbyś mnie wpierw przykutego do koła w Tarta-rze. Cieszę się, że przystałeś na rozmowę. Czy mogę ci zaproponować kubek... - Przerwał, gdy dostrzegł zaciśnięte usta Memnona, nieskrywaną furię w jego oczach.

Przybyły opuścił rękę i oplótł nią rękojeść miecza. Metal zadzwonił o metal, gdy Memnon dobył oręża i runął w dół schodów, przecinając wapienne płyty posadzki.

- Nie bądź głupi, Memnonie - ostrzegł go Filolaos, marszcząc brwi. - To rokowania, nie pojedynek.

- Tak? To ani to, ani to. Muszę zamknąć pewne sprawy, zanim wypłynę z Rodos. Wczoraj uratowałem ci życie, bo się pomyliłem, myśląc, że będziesz walczył uczciwie. Przyszedłem wyrównać rachunki.

Światło lampy zabłysło na ostrzu miecza.

Filolaos cofał się. Rozłożył ręce, odsunął je od pasa, za który miał zatknięty nóż.

- Jeśli chcesz mnie zabić, niewiele mogę uczynić, żeby cię powstrzymać, ale przynajmniej wysłuchaj mnie, zanim użyjesz miecza. Poprosiłem o to spotkanie, żeby zaoferować pokutę za twoją stratę. Doprowadziłem ci mordercę ojca.

Ponury uśmiech wykrzywił wargi Memnona.

- Co ty powiesz.

- Źle to sobie wyobraziłeś. Nie zabiłem Timokratesa. Mimo wszystkich dzielących nas różnic uważałem go za cennego przeciwnika i szlachetnego człowieka. Nie życzyłem mu źle.

- Kłamca! Widziałem, co z nim zrobili twoi siepacze!

Filolaos nastroszył się. Jego gniew dorównał oburzeniu.

- Czy uważasz mnie za barbarzyńcę, który rozkazałby kaleczyć własnych ziomków? No, nie! Wszystko, czego tłum dopuścił się ostatniej nocy, robił z własnej woli, nie dlatego, że cokolwiek mu oferowałem! Rozkazując moim dowódcom prowadzić ścisły rachunek zabitych, nie zdawałem sobie sprawy, że dla Karyjczyków oznacza to odcinanie dłoni. Pod tym względem zawiniłem, ale w głowie mi nie powstało płacić za morderstwa! To kłamstwo zrodzone z chciwości. Sam pragnąłem tylko pokojowej zmiany władzy, wyobrażałem sobie, że najwyżej dojdzie do paru bijatyk, ten czy tamten zarobi guza, a ci, którzy nie podzielają mojej wizji nowego Rodos, w tym twój ojciec, pójdą na wygnanie. Teraz mój płaszcz przywódcy splamiła rzeź.

Memnon błyskawicznie wyciągnął dłoń i złapał Filolaosa za fałdę tuniki. Uniósł miecz, mierząc w nasadę szyi oligarchy.

- Powiedz to piekielnemu przewoźnikowi, łajdaku!

Oczy Filolaosa załśniły. Nie zważając na nic, chwycił nagie ostrze Memnonowego miecza i przyciągnął je do piersi.

- W takim razie usiecz mnie! Usiecz i pomścij ojca! Ale gdy mnie zabijesz, Karyjczycy porąbią cię na kawałki, zanim dotrzesz do portu! Ci twoi przyjaciele, którzy nie zginą na miejscu, umrą powoli, a ich tortury będą zapowiedzią dla tych, którzy się sprzeciwią woli Mau-zolosa! -

W głosie oligarchy była zimna pewność siebie. Memnon się zawahał. - Śmiało! Dokonaj zemsty bez oglądania się na konsekwencje!

Ostrze Memnona opadło. Spalany pochopnym pragnieniem wymierzenia sprawiedliwości nie pomyślał, jak jego czyny wpłyną na los najbliższych mu ludzi. Filolaos nie blefował. Jeśli wybierze zemstę, Patron i inni umrą; jeśli wybierze łaskę, cień Timokratesa będzie się błakał w królestwie Tartaru niepomszczony. Trafiwszy między młot a kowadło, Memnon zacisnął zęby w desperacji.

- Nie różnimy się tak bardzo, ty i ja - mówił dalej Filolaos, złagodniejszy ton wobec niezdecydowania młodzieńca. - Żaden z nas nie wierzy w wyższość demokracji, obaj jesteśmy lojalni wobec przyjaciół i bezlitośni wobec wrogów. Ale ja mam przewagę przeżytych lat i skromnej wiedzy, która przychodzi z ich bagażem. Przystępuj tylko do tych bitew, które możesz wygrać, Memnonie, a jeśli będziesz musiał przegrać, uczyn to z wdziękiem i godnością. Rozumiem żądzę, która cię spala. Chcesz pomścić Timokratesa. Był twoim ojcem i krew domaga się krwi. Błagam cię, pozwól, żebym ci ulżył! Sprowadziłem człowieka, który zamordował twojego ojca. Przekażę ci go wraz z jego trofeum. Częstką ciała Timokratesa. Potem możemy się rozejść w różne strony... ty, służąc Artabazosowi, ja Mauzolosowi. Co powiesz?

Słowa Filolaosa roznieciły wojnę między logiką a emocjami Memnona. Była widoczna jak na dłoni. Mięśnie ramion i szyi wystąpiły mu i spurpurowiały, kłykcie zbielewały i zatrzęszczały. Oczy jednak już zdradziły wynik starcia; lśniły łzami rezygnacji. Memnon powoli, bezwolnie opuścił do boku miecz. Z wielkim wysiłkiem skinął głową na znak zgody.

Filolaos prawie niezauważalnie odetchnął.

- Mądry chłopak. Teraz muszę dać znak moim ludziom. Jeśli ci życie miłe, nie rób żadnych gwałtownych ruchów.

Oligarcha uniósł do ust palce i gwizdnął. Niebawem w bocznych drzwiach pokazało się dwóch Karyjczyków. Jeden niósł wiklinowy kosz, drugi włókł za kark więźnia. Miał skrępowane ręce i nogi, porwane odzienie posmarowane sadzą i krwią. Karyjczyk cisnął go do stóp Filolaosa, podczas gdy jego towarzysz położył na podium mównicy kosz. Nie ruszali się z miejsca, z gniewem patrząc na miecz w ręce Memnona, dopóki Filolaos ich nie odesłał.

- To łotr, który zamordował Timokratesa, który odrąbał mu głowę.

Memnon z furią spozierał na wijącą się u stóp Filolaosa postać.

- Czy to prawda? Zabiłeś mego ojca?

Mężczyzna pełzał, przewracając zażawionymi oczami, łypiąc nimi ku niebu, oligarsze, Memnonowi. Zaszła krew i plwociny pokrywały postrzępioną brodę. Nieogłędne ręce wzięły go w obroty, łamiąc zęby i rozrywając policzek. Strach sparaliżował mu język.

- Odpowiadaj! - warknął Filolaos.

Bez rezultatu.

Ogarnięty obrzydzeniem Memnon potrząsnął głową.

- Nie mogę zabić tego człowieka. Mam tylko twoje słowo, że to on mnie zranił.

Filolaos wzruszył ramionami.

- Byłem wobec ciebie uczciwy. Wierz czy nie, ale to naprawdę ten, który zabił ci ojca. Jeśli uznasz, że dotrzymałem słowa, nasza umowa stoi.

Memnon z powrotem wbił miecz do pochwy.

- Zaniose twoje słowa bratu. Dołączę do nich szczegóły naszej umowy. Jeśli Mentor ją odrzuci, pewnie on i Artabazos poproszą Mau-zolosa o twoją głowę albo sami po nią przybędą. Czy to w dalszym ciągu ci się podoba?

- Jestem gotów podjąć takie ryzyko - odparł Filolaos. - Co z tym łajdakiem?

- Rób z nim, co chcesz.

- Jak sobie życzysz. - Filolaos odwrócił się, sięgnął po kosz i wręczył go Memnonowi. - Masz tyle czasu, ile tylko będzie ci potrzeba, żeby uporządkować sprawy twojego ojca. Żaden z moich ludzi nie będzie ci uprzykrzał życia, byleś tylko nie sprawiał nam kłopotów. Żegnaj, Memnonie. Mam nadzieję, że znajdziesz wszystko, na co zasługujesz, na odległych wybrzeżach.

Syn Timokratesa uklonił się nieznacznie. Morderczy płomień w jego oczach nie stracił żaru.

- A ja mam nadzieję, że tak pożądanym przez ciebie płaszcz przywódcy stanie się twoim całunem.

Z tymi słowami cofnął się i opuścił salę zgromadzeń. Po raz drugi w ciągu paru dni nie mógł się pozbyć wrażenia, że zdradził Rodos.



Załoga *Kirke* zeszła z akropolu przy blasku wschodzącego księżyca. Kiedy zbliżali się do willi Timokratesa, zauważyła ich warta i krzyknęła ostrzegawczo. Skiron odpowiedział i rozległy się nieskładne wiwaty. Patron wyszedł na przywitanie Memnona i jego eskorty.

- A więc? - spytał.

Memnon minął go bez słowa, przyciskając do piersi kosz, jakby był wykuty ze złota. Patron spojrział na Skirona. Ten tylko wzruszył ramionami. Kapitan *Kirke* odwrócił się i poszedł do środka za Memnonem. Kilkanaście stóp od bramy, na równym gruncie, już stał stos pogrzebowy.

- Załatwione - rzekł Memnon. Czuł ulgę, że słabe światło pochodni nie pokazuje jego zaczerwienionych oczu.

- Co się wydarzyło?

W kilku słowach Memnon opisał spotkanie z Filolaosem.

Patron z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Zeusie! Dałeś mu żyć?

Memnon spojrział na kapitana.

- Zrobiłem, co należało, żeby nas nie zabito. Ostateczną decyzję co do losu Filolaosa zostawiam Mentorowi. To jego prawo jako starszego syna.

Położył kosz na stosie, przy ciele ojca. Bion i Glaukos spoczywali po jego bokach. Ciała umyto i owinięto nasączonymi oliwą płótnami. To miała być krótka ceremonia, bez składania ofiar. Memnon żywił nadzieję, że bogowie okażą wyrozumiałość.

- Kiedy odchodziłeś, z całą mocą chciałeś dla niego kary. Jakich środków użył, żeś zmienił zdanie? Co... - Patron przeniósł wzrok na załogę *Kirke* i znalazł odpowiedź na swoje pytanie. - Wykorzystał nas przeciwko tobie.

Memnon gestem kazał Zaleukasowi podać sobie pochodnię.

- Czy nie radziłeś mi, żebym zachował się mądrze, nie robił żadnych głupstw? Powiedziałem, że sprawa załatwiona. I na tym poprzestańmy, Patronie.

Wziął pochodnię i bez żadnych wstępów cisnął ją na stos. Stare, nasmolowane drewno zapaliło się; rozproszona łagodną morską bryzą płomień objęły trzeszczący stos, podążając za strumykami kapiącej ze śmiertelnych zawojów oliwy. Kłęby czarnego dymu znikły w ciemnym niebie. Klea przytuliła się do ramienia sąsiadki. Kobiety załkały, gdy płomień zahuczały pełną mocą. Na obrzeżu ogniska zgromadzili się mężowie, którzy całe życie znali ojca Memnona, i przyszli złożyć wyrazy szacunku po jego śmierci. Załoga *Kirke* stała osobno.

Memnon odwrócił się. Ruchliwa aureola obramowała jego postać.

- Mój ojciec często wygłaszał hymny pochwalne na cześć tego miasta - powiedział donośnym głosem - ale to odwaga i szlachetność takich mężów jak Glaukos, jak Bion, i innych, którzy oddali życie wraz z nimi, nadała mu splendor. Nie ma słów, które oddałyby sprawiedliwość ich czynom. Bez wątpienia każdy z nich miał swoje wady... któż ich nie ma... ale bez względu na to, jakie popełnili zło w prywatnym życiu, zrównoważyła je ich odwaga. Idą do bogów odziani w biel, zwieńczeni jak zwycięzcy igrzysk olimpijskich.

Przerwał i odwrócił wzrok ku płomieniom. Odziany w zbroję, z mieczem na biodrze syn Timokratesa mógłby wyłonić się z wersów Poety, żywy Achilles - zawzięty ulubieniec bogów, może nawet na wpół szalony. Wzrok słuchaczy nie opuszczał go na moment. Z zapartym tchem czekali na dalsze słowa.

- Nie zamierzam wygłaszać długiej mowy, nie mam do tego serca. Ci mężowie, którzy padli, broniąc mojego ojca, broniąc swojej wiary w demokrację, byli najlepszymi z najlepszych. Rodos przez pokolenia nie ujrzy im równych. Czy ci, którzy przeżyli, są mniejszej wartości? Myślę, że na wiele sposobów tak. Ale jako żywi możemy się uczyć i mamy wyjątkową możliwość. Możemy się zmienić i stać lepszymi ludźmi. Zachęcam was wszystkich, żebyście otworzyli się na prawdy, które głosił ojciec. Timokrates był szorstki w słowach, ale sprawiedliwy w sądach. Jak Ateńczycy, których podziwiał, nie pozwalał, żeby uwielbienie piękna przywiodło go do ekstrawagancji, ani żeby uwielbienie umysłu przywiodło go do słabości. Uważał, że bogactwo należy właściwie spożytkować, nie chwalić się nim, i przyjaźnił się ze wszystkimi: bogatymi, biednymi, zdrowymi, chorymi, pobożnymi, bluźniercami, oceniając ich nie wedle kiesy, ale charakteru. Kiedy nadchodzące dni postawią was przed próbą, nie dopuście do tego, aby zawładnął wami smutek czy lęk, wspomnijcie na przykład, który dali ci mężowie, wspomnijcie ich odwagę, poświęcenie i niech te przymioty wskrzeszą w was to, co najlepsze.

Serce stosu zapadło się, za to wzniosła się żywa piramida iskier. Memnon obserwował je, patrząc, jak każda rozbłyskuje niczym mała gwiazda. Niektóre zniknęły zaraz po narodzinach, podczas gdy inne przetrwały, wznosząc się ponad ogniem, który je zrodził. Jak ludzie, pomyślał. Z uśmiechem znużenia wrócił spojrzeniem do otaczających go mężów i niewiast.

- Dość słów. Skoro świt opuszczę Rodos i zabiorę kości mojego ojca. Ta wyspa już nie będzie naszym domem. Ale tej nocy przyjmijcie nas jak ziomków. Porozmawiajmy serdecznie o zmarłych i nie wstydzmy się dać upustu żalom. Przyłączcie się do mnie, bracia i siostry, wnieście swe głosy z moim tak, by pan Hadesu wiedział, iż ci mężowie przybędą do niego tej nocy, i aby uczcił ich tak, jak uczyniliśmy to my.

Interludium I

Ariston siedział w milczeniu, gdy kobiecy głos ucichł, a oddech złagodniał. Zaskoczony nadejściem nocy wyjrzał przez okno. Deszcz zapewne przestał padać przed zmierzchem; teraz chłodna wilgoć przenikała pokój. Młody Rodyjczyk powstał i dorzucił kilka polan do gorejącego paleniska, poprawiając głównie szerniałym pogrzebaczem. Suche drewno zaraz się zajęło. Iskry frunęły w górę komina. Płoną jasno jak ludzkie dusze, pomyślał.

W jaśniejszym świetle przyjrzał się śpiącej Melpomenie. Opowiadanie wyczerpało ją, policzki miała bardziej zapadnięte niż wcześniej, rysy twarzy wyostrzone. Mimo że Ariston urodził się około trzydziestu lat po relacjonowanych wydarzeniach, większość z nich była mu znana. Jego dziadek i imiennik, szkutnik z Lindos, przeżył wojnę Aten z sojusznikami (Ateńczycy nazywali ją wojną sprzymierzonych) i okupację Karyjczyków, lecz nie cierpiał mówić o tamtych wydarzeniach. Dopiero u schyłku życia, gdy umysł zaczął go zawodzić, wracał do przeszłości i mówił o dawno zmarłych przyjaciółach, dawno zapomnianych czynach; budził się z drzemki drżący ze strachu i chomikował chleb z kolacji, spodziewając się jakiejś na wpół zapomnianej klęski głodu. W rzadkich przebłyskach umysłu opowiadał wnukowi o Atenach, Demostenesie i walce Greków z przerażającym tyranem, Filipem Macedońskim.

Melpomena jęknęła przez sen, przyciskając do boku srebrną skrzyneczkę. Mamrotała coś po persku. W ciągu dnia Harmutes dwa razy przyniósł grzane wino słodzone miodem i zaprawione korzeniami. Do jej pucharka niewątpliwie dodał ziół, które miały zwalczyć chorobę. Kim ona jest? - zastanawiał się Ariston. Przeszukiwał pamięć w poszukiwaniu fragmentów informacji, drobiazgów, które usłyszał i zarejestrował. Niestety, wiedział bardzo mało o Memnonie z Rodos, jedynie to, że stawiał opór Aleksandrowi w Azji. To, że Melpomena go znała, było oczywiste, ale skąd? Była Persyjką, on Grekiem, co wykluczało jakiekolwiek pokrewieństwo. Może w takim razie była jego żoną?

Skończył doglądać ognia i wyprostował się. Kiedy się odwrócił i sięgnął po swoje rzeczy, zauważył, że Melpomena otworzyła oczy. Napęłniły się łzami i lśniły w blasku ognia.

- Przepraszam - rzekł. - Nie chciałem...
- Przypominasz mi mojego syna. - Jej głos był ledwo silniejszy od szeptu.
- Powinien być u twego boku, pani, i opiekować się tobą. Czy wie o twojej chorobie?

Jeśli sobie tego życzysz, mogę mu przekazać wiadomość.

- Gdyby to tylko było możliwe.

Z wysiłkiem przewróciła się na bok, odwracając tyłem do Aristona, i ukryła twarz w pościeli. Nie wiedząc, co powiedzieć, ani tego, jak odebrała jego słowa, sięgnął po worek i na palcach wyszedł z pokoju. W korytarzu natknął się na Harmutesa.

- Śpi? - spytał stary Egipcjanin.

Ariston skinął głową.

- Dobrze. Chodź. Pozwoliłem sobie przygotować ci lekką kolację. Oczywiście, zostaniesz na noc?

- Tak - rzekł Ariston. - Zostanę.

Po prawdzie, dokąd miałby się udać?

Harmutes się uśmiechnął.

- Jej opowieść wciąga, prawda?
- Bardziej, niż mogłem to sobie wyobrazić.

Ariston poszedł za starym Egipcjaninem do kuchni. Mieściła się obok perystylu i podobnie jak komnata pani domu przeszła remont. Na ścianach był świeży gips, na piecu -

świeża zaprawa. W kątach zalegały takie ilości zapasów, że wystarczyłyby znacznej liczbie domowników: worki zboża, cebula, suszone daktyle, warkocze czosnku, gliniane dzbanki miodu i kilkanaście wielkich amfor. Zapewne wypełnionych winem, a także oliwą z oliwek; trafiły tam prosto z ładowni, statków. Nęcąca woń gotowanych warzyw, przypraw i wieprzowiny biła z żelaznego garnka na ogniu. Ten zapach przypominał Aristonowi, że nie jadł od dobrych kilku godzin, a skurcze żołądka uświadomiły mu, że do syta od dobrych kilku dni. Harmutes zaprosił go do starego dębowego stołu.

Egipcjanin kręcił się po kuchni, przygotowując wielką deskę serów, daktyli i chleba, do czego dodał miskę z oliwą, w której gość mógł maczać chleb. Zaczerpnął z amfory miarkę wina wystarczającą dla nich obu, a w końcu sięgnął po chochlę i napełnił potrawką dużą miskę Aristona. Młody Rodyjczyk podziękował mu z uśmiechem i ze smakiem zaatakował jedzenie. Harmutes usiadł na ławie naprzeciwko, rozlał wino do pucharków i sięgnął po daktyla.

- Kim ona jest? - spytał z ustami pełnymi chleba Ariston. - Mam na myśli twoją panią. Harmutes wzruszył ramionami.

- Znała szlachetnego Memnona i uważa, że Macedończycy obeszlą się bardzo niesprawiedliwie z pamięcią o nim.

- To zrozumiałem. Zna jego życie od podszewki. Czy była jego żoną?

- Damą dworu - powiedział, odwracając wzrok Harmutes. - Nikim więcej.

Ariston przez chwilę tylko rozkoszował się smakiem wina.

- Może jestem młody, Harmutesie - rzekł, ocierając usta ręką - ale nie głupi. Jeśli Melpomena jest damą dworu, po co ta cała tajemniczość?

- Traktuj to jako produkt uboczny naszych czasów. Obecność Macedończyków nie sprzyja otwartości. Jeśli moja pani na razie nie życzy sobie wyjawiać swojej tożsamości, powinieneś uszanować jej wolę. Doprawdy, jej celem nie jest cię zwieść, lecz jedynie ochronić.

- Przed kim?

Harmutes uśmiechnął się słabo.

- Jesteś uparty. Muszę ci to przyznać. Czuję znużenie, a przed pójściem spać jeszcze muszę doglądać mojej pani. Wybacz, że nie mogę ci zaoferować wygodniejszego miejsca odpoczynku, ale okolice tego pieca muszą ci wystarczyć. Częstuj się wszystkim, co tu masz... winem, chlebem, potrawką. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Odpowiedzi, ale widzę, że nie mogę się ich spodziewać od ciebie.

- Być może jutro więcej ci się wyjaśni - rzekł Harmutes, powstając. - Śpij dobrze, Aristonie z Lindos.

Młody Rodyjczyk opróżnił miskę i nabrał dokładki. Jedząc, obracał w głowie opowieść o Memnonie. „Żadne słowa nie oddadzą sprawiedliwości jego czynom”. Ariston bez trudu potrafił wskazać autorów wielu podobnych stwierdzeń - należały do Tukidydesa lub Ksenofon-ta - a emocje, jakie wzbudzały, odwoływały się jeszcze do Sofoklesa. Jednakże w tej opowieści było coś, co nie dawało mu spokoju. Ariston odsunął na bok miskę, przesiadł się bliżej ognia, wyjął z torby kałamarnię i trzcinowe piórko, kilka ostatnich kart papirusu i pergaminu. Szybko zamacał piórko w atramencie i napisał na papirusie:

W schyłkowych latach ateńskiej demokracji Timokratesowi z Rodos urodzili się dwaj synowie, Mentor i Memnon...

Muzy, chociaż wyczerpane, śpiewały Aristonowi głosem mocnym i pełnym. Nie mógł go zignorować.



Podniósł się z twardej ławki, która posłużyła mu za łóżko. Czuł mrowienie w długo podkurczonych kończynach. Blade zimowe słońce wypełniało kuchnię, przeciskając się wąskimi strugami przez nagie konary dębu za domem. Dochodziło południe. Ariston przetarł kułakami zaspane oczy. Dygocąc, wstał i przeciągnął się; poczuł znajomy ból w barkach, ramieniu i dłoni - skutki nocy spędzonej w objęciach Muz.

Lekkie śniadanie z chleba i miodu, daktyli i wina czekało na drugim końcu stołu, a obok stos świeżych kart - z najświetniejszego pergaminu - oraz nowe piórka trzciniowe. Nie było śladu kartek zapisanych ostatniej nocy. Młody Rodyjczyk zmarszczył brwi. Oczywiście, Harmutes musiał je zabrać. Kto inny? Niewątpliwie Egipcjanin nie rozumiał, że to co najmniej niegrzeczność, jeśli nie złamanie niepisanej zasady, która nakazuje szanować prywatność nieukończonych dzieł. Ariston nieraz był świadkiem, jak tego rodzaju bezceremonialność kończyła się bijatyką. Pisarze to popędliwy ludek, tak zazdrośnie strzegący swoich dzieł jak rzeźbiarze czy malarze.

- Powinien podziękować egipskim bogom, że nie jestem człowiekiem temperamentnym - mruknął pod nosem Ariston, nalewając sobie miarkę wina. Zabrał pucharek do perystylu, by ocenić dzień. Chłodny powiew szeleścił w gałązkach oliwki; niebo było koloru spranego błękitu, pocięte wąskimi srebrnymi chmurkami. Łagodna muzyka fletu dolatywała z prowadzącego do pokoju Melpomeny korytarza, od czasu do czasu przerywana kaszlem pani domu. Ariston udał się w kierunku tych dźwięków. Przystanął przed drzwiami i lekko zapukał, nim wszedł.

Harmutes przycupnął na taborecie przy oknie, pochłonięty skomplikowaną melodią z rodzinnego kraju. Melpomena siedziała w łóżku, wsparta o stos poduszek, czytając zaczernione uprzedniej nocy kartki.

- Masz niezwykłą pamięć - rzekła po chwili. - Chyba nie żywisz urazy, że pozwoliłam sobie przejrzeć owoce twojej pracy. Kiedy Harmutes doniósł mi, że pisałeś przez większą część nocy, nie potrafiłam opanować ciekawości.

Zakaszła i spazm wstrząsnęła jej barkami. Oddech odzyskała dopiero po chwili. Zatroškany stary Egipcjanin spojrział znad fletu. Ariston rozumiał jego uczucia; nawet on widział, że pani domu jest bledsza niż wczoraj i mizerniejsza. Jej dłonie drżały, gdy układała kartki w równy stosik i wręczała mu go z powrotem.

- Nie, pani, nie żywię urazy - powiedział Ariston. - Jeśli czujesz się dość dobrze, możemy kontynuować?

- Obawiam się, że już nigdy nie będę się czuła dość dobrze - odparła. - Ale też będę się czuła gorzej, jeśli nie skończę mojej opowieści.

Czy znasz wewnętrzne reguły, jakimi rządzi się perska monarchia?

Ariston przysunął krzesło bliżej łóża.

- Tak, do pewnego stopnia.

- Niewątpliwie przez Herodota lub Ksenofonta. Może Ktezjasza. To wszystko dziurawe źródła. Pośród mojego ludu jest w zwyczaju, że nowy monarcha zabezpiecza swoje panowanie, kiedy wstępuje na tron. Widzisz, wojny domowe są równie wstrętne Medom jak Hellenom. Stryjowie, kuzyni, nawet bracia i synowie władcy są trzymani pod strażą lub wysyłani na

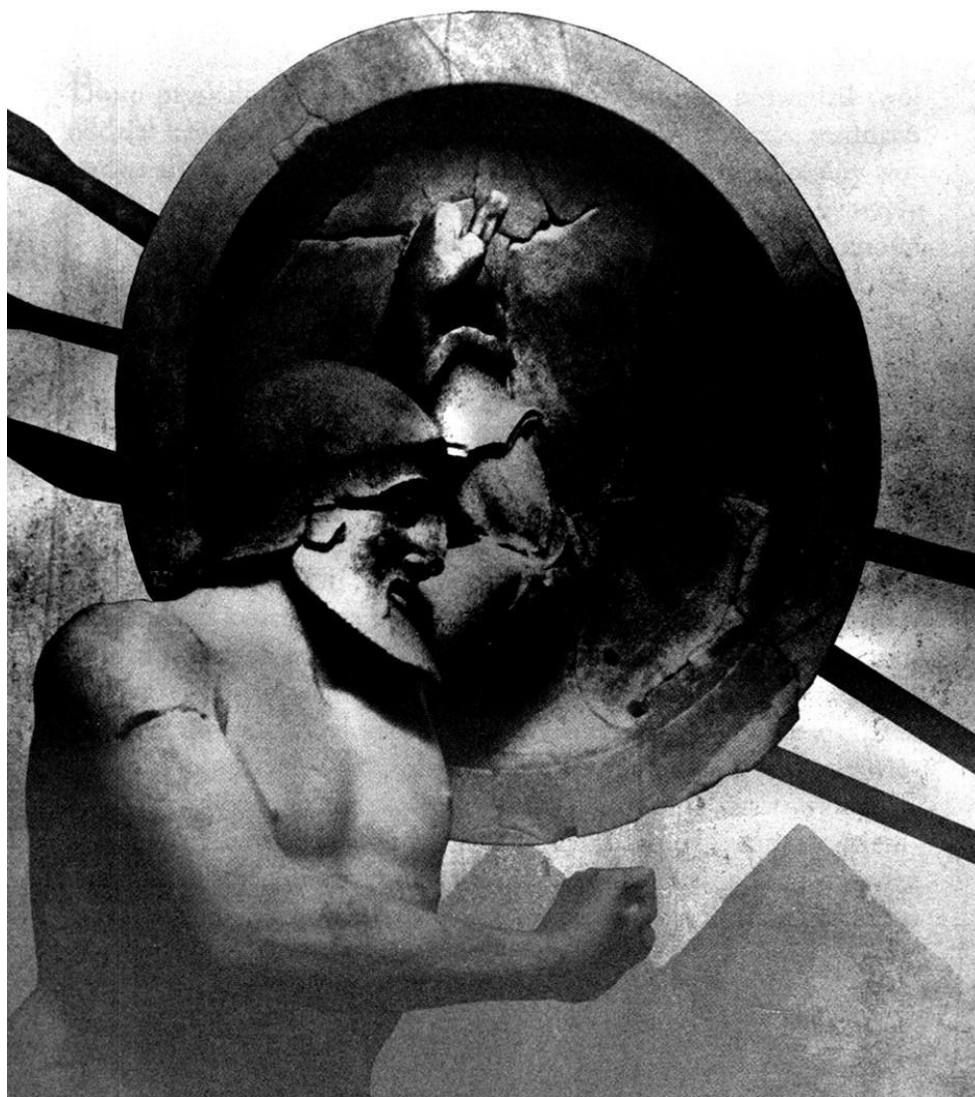
placówki graniczne, byle z dala od dworu. To zapobiega intrygom. W wyjątkowych okolicznościach zapewnia sobie osobiste bezpieczeństwo, dokonując egzekucji i mordując. Taka była sytuacja w Persji rok przed tym, zanim Memnon opuścił Rodos. - Melpomena zakaszłała, odzyskała oddech i opadła na poduszki.

Król królów, Artakserkses Drugi, zwany Arsakesem, zmarł w czterdziestym szóstym roku panowania. Miał trzech synów. Najstarszy, Dariusz, spiskował przeciwko niemu i został stracony; drugi, Ariaspes, był półgłównikiem. Pozostał tylko jeden, Ochós - najbardziej okrutny i krwiożerczy człek, jakiego stworzyli bogowie. Przywdziawszy królewski płaszcz i spiczastą tiarę, Ochós widział zagrożenie w każdym zakątku królestwa, czasem prawdziwe, czasem wymyślone. Przyjął zasadę, że należy uderzać pierwszemu, i to bezlitośnie. Jego sługusi zdziesiątkowali całe rodziny. Mordowali zdolnych nosić miecz dorosłych, ale i siwowłosych dziadków oraz jeszcze skąpane w wodach płodowych niemowlęta. Nawet ci, którzy trzymali się z dala od niego, byli zagrożeni.

Jednym z nich był Artabazos, szwagier Memnona i satrapa hellespontyjskiej Frygii. Ponieważ miał w żyłach krew królewską - jego matka była córką Artakserksesa - Ochós rozkazał mu zdać urząd i stawić się w towarzystwie synów w Suzie. Świadom, że jest to wyrok śmierci, Artabazos odmówił...

DASKYLEJON

2. rok 106. olimpiady faraona Chnemibre Ahmose
(355 r. p.n.e.)



Rozdział piąty

Błoto pryskało spod końskich kopyt, gdy Memnon prowadził swój oddział kawalerii przez obozowisko buntowników. Płaszcze jezdnych wzdymały się i unosiły. Ulewny wiosenny deszcz zamienił tereny wokół Zelei w grzęzawisko, na którym równe rzędy namiotów tworzyły wzgórki z grubego płótna. Mimo niekończących się dni beczynności żołnierze - Persowie i Grecy - nie pozwolili sobie na rozluźnienie dyscypliny. Każdego dnia jak na sygnał odkładali kubki z kośćmi i przeglądali swoje oporządzenie, sprawdzając, czy brąz nie uległ korozji, a żelazo-rdzy. Ćwiczyli w błocie po łydki i trzymali warty bez względu na pogodę. Teraz podnieśli wzrok znad popołudniowego posiłku, gdy jazda przetoczyła się obok nich jak burza.

Kwaterna główna Artabazosa znajdowała się na małym wzniesieniu, wspólnym też dla świątyń Mitry i Ateny Promachos, „Prowadzącej do walki”. Greccy kapłani i perscy magowie stali ramię w ramię. Pierwsi z girlandami kwiatów na szyi, w całym przepychu uroczystych strojów, drudzy w białych szatach, spiczastych czapach i z trefionymi brodami. Przypatrywali się zachmurzonemu niebu. Świeccy czekali przed pawilonem dowódcy. Delegacja z miasta Lampsakos pogodnie gwarzyła z grupką młodszych dowódców i pachołkami; obok stali ponurzy wieśniacy, przynosząc skargi, które tylko Artabazos mógł rozstrzygnąć.

Z przybyciem oddziału rozpierzchli się jak stado przepiórek. Memnon osadził spienionego rumaka i zeskoczył na ziemię, ciskając wodze zaskoczonemu pachołkowi. Straż, noszący włócznie i tarcze greckiego wzoru Persowie w kolczugach, przywitała go, prężąc się na baczność, gdy minął ją błyskawicznie, pozostawiając za sobą woń przemoczonej skóry napierśnika i potu. W środku odpędził eunucha, który chciał odebrać mu płaszcz i kazać czekać na zaanonsowanie. Wszedł śmiało do sanktuarium, w którym dowódcy zbuntowanej armii - Artabazos, Mentor, Ateńczyk Chares i Tebańczyk Pammenes unieśli wzrok znad stołu z mapami.

- Połknął przynętę - obwieścił zdyszany. - Mitrydates wymaszerował z Daskylejon!

Te wieści ożywiły dowódców. Zaczęli mówić jeden przez drugiego, chaotyczne pytania runęły jak nawała strzał. Artabazos uciszył ich ledwie dostrzegalnym gestem. Zanim podniósł bunt, służył swojemu dziadowi, królowi Artakserksesowi, jako namiestnik Frygii. Tak oficjalnie zwano zbiór greckich i perskich państw zajmujący zachodni brzeg Azji, którego granicą na południu było Morze Egejskie, na zachodzie Hellespont i Europa, a na północy Propontyda. Liczący sobie dobrze ponad pięćdziesiąt lat Artabazos powinien cieszyć się wygodami nadmorskiego pałacu w Assos, zbierając owoce długiej i lojalnej służby królowi. I zbierałby, gdyby na tronie nie zasiadł jego krewny, Ochos. Nowy król pragnął śmierci Artabazosa w równej mierze z powodu wpływów, jakie ten miał wśród podbitych Greków na azjatyckim wybrzeżu, jak i jego królewskiej krwi w żyłach. Kiedy z Suzy przyszedł rozkaz, że ma się poddać Mitrydatesowi z Daskylejon, Artabazos nie miał wyboru - musiał się sprzeciwić.

Satrapa uśmiechnął się na widok młodego Rodyjczyka. Kurze łapki w kącikach jego oczu zmarszczyły się jeszcze bardziej.

- Więc nasza sztuczka się udała. Mitrydates uwierzył, że jestem powalony słabością, zbyt chory na to, aby się ruszyć, a moja armia jest w rozsypce. Bardzo dobrze.

Pełen wigoru, o błyszczących oczach Artabazos nosił pod zwykłą medyjską szatą chiton barwy szafranu, połączenie ubioru symbolizujące jego umiejętność godzenia odmiennych kultur Europy i Azji. Mówił płynną greką; jego akcent i maniery przypominały Memnonowi ojca, chociaż potrafił emanować takim ciepłem, że w porównaniu z nim Timokrates wydałby się istnym spartiatą. Najemnicy nazywali go *Megapater* - Wielkim Ojcem. Szanowali go, a on zdawał sobie z tego sprawę i zadawał sobie wiele trudu, aby pokazać, że odwzajemnia to uczucie.

- Ile dni maszerował?
- Cztery - odparł Memnon. - Jechaliśmy najszybciej, jak się dało.
- Dobra robota, Memnonie - pochwalił go Artabazos.
- Które dy maszeruje? - spytał Mentor.

O głowę niższy od brata miał bary olimpijskiego zapaśnika. Fryzy starych blizn pokrywały mu zwały mięśni. Zmierzwiiona czarna czupryna rzedła na ciemieniu. Jego twarz może kiedyś była przystojna, ale noszony latami koryncki hełm zmienił ją, spłaszczył nos i zostawił odciski na policzkach i czole. Mentor podrapał gęstą brodę.

- Wzdłuż wybrzeża - wyjaśnił Memnon. - Szliśmy za nim cały dzień. Chcieliśmy się upewnić, czy nas nie zwodzi. Ale nie. Spodziewa się twardego oporu. Wcielił do wojska wszystkich wieśniaków zebranych w promieniu stu stadiów. Uzbroił ich we włócznie, dał im tarcze i ustawił w pierwszych szeregach.

- Akt desperacji - skwitował Pammenes. Nie licząc Memnona, był najmłodszy z obecnych; wygnany z Teb twierdził, że należy do domu Epaminondasa, i wykorzystywał to pokrewieństwo na całego. Ale trudno było go nie lubić, chociaż okrągła twarz i skłonność do śmiechu skrywały ambicje, które zawstydziłyby najbardziej zahartowanego dworaka. - Liczy na to, że pokona nas liczebną przewagą.

- Równie dobrze mógłby liczyć na to, że mu wyrosną skrzydła - stwierdził Chares.

Ze wszystkich dowódców tylko Ateńczyk wyglądał jak stworzony do wojaczki. Ten mąż o zbrązowiałych kończynach i okryty posrebrzaną zbroją mógłby się wyłonić z wyobraźni rzeźbiarza, ożywiona *andrea*, obleczone w ciało cnota męstwa. Ale Memnon znał Charesa od podszewki - wiedział, że to niebieski ptak udający czystej krwi Ateń-czyka z dziada pradziada, dowódca floty wybrany przez aklamację, lecz raczej z racji urody niż żeglarskich umiejętności.

- Wyruszając na nas, zrezygnował z jedyne go realnego atutu, murów Daskylejon. Ten dworski błazen i jego chłopskie wojsko zatrzymałyby nas do połowy lata - oznajmił Ateńczyk.

- Brak szacunku wobec przeciwnika to najkrótsza droga do klęski - oświadczył Artabazos, spoglądając długo w oczy Charesowi. Okrążył stół. Kulał od rany oszczepem starszej niż Ateńczyk. - Zakładasz, że jest desperatem lub głupcem, ponieważ myśli inaczej niż ty. Zapewniam cię, mylisz się całkowicie. Jest za to Achemenidą do szpiku kości. Nie wyobraża sobie, że może ulec bandzie Jauna prowadzonej przez trzęsącego się starca. Co ci to mówi?

Memnon zmarszczył brwi. Artabazos uczył zasad sztuki wojennej metodą pytań i odpowiedzi jak sofista.

- Że jest arogancki?

- Właśnie. A arogancja to oręż, który może być wykorzystany przeciwko jego właścicielowi, jak porzucona strzała lub zaniedbany miecz. - Artabazos poklepał Memnona po ramieniu.

- Jeśli Mitrydates ma za sobą cztery dni marszu - powiedział Mentor - powinien być... tu. - Wskazał na mapie punkt na półwyspie Arktonezos i zmarszczył brwi.

Artabazos zauważył ten grymas.

- Co cię niepokoi, mój przyjacielu?

Starszy Rodyjczyk stuknął brudnym palcem w mapę. Zmrużył oczy.

- Kyzikos. To bogaty port. Wedle mojego doświadczenia takie enklawy bogactwa są zarodnikami oporu. Z łatwością mogą pozyskać znaczący oddział najemników. Ale nie sposób ocenić, ile jest warta lojalność tego miasta. Czy Mitrydates mógł zawrzeć z nim układ?

- Co o tym sądzisz, Memnonie? - spytał Artabazos. - Byłeś nieopodal. Czy mieszkańcy Kyzikos byłiby skłonni nam pomóc, czy raczej zaszkodzić?

Memnon pokręcił głową.

- Na razie nie staną po żadnej stronie. Rozmawiałem z Demonstratosem. Przewodzi ich zgromadzeniu i zapewnił mnie, że lud Kyzikos zbyt wysoko ceni swoją niezależność, aby wziąć udział w sporze, czy to jako sojusznik czy nieprzyjaciel. Zajmą stanowisko dopiero wtedy, kiedy wyłoni się wyraźny zwycięzca.

- A jeśli cię oszukali? - spytał Chares. - Co wtedy? Bez obrazy, Memnonie, ale jaką miarą mierzysz tego Demonstratosa? W Atenach mamy polityków każdej maści i wysłuchując ich, nawet ja miałem trudności z odróżnieniem prawdy od kłamstwa. Czy bogowie przyznali ci jakąś wyjątkową mądrość, tak że umiesz przejrzeć polityczne motywacje i zajrzeć w głąb ludzkiego serca?

Memnon się uśmiechnął, ale jego wzrok pozostał zimny i twardy.

- Nie, bogowie dali mi znacznie większy dar, przezorność. Jeśli ktoś bierze mnie za głupca, ta cnota każe mi trzymać język za zębami, żeby nie wyszło na jego. Ufam temu, co widzę, Charesie. Ufam temu, co słyszę i co czuję w głębi duszy. Ale przede wszystkim ufam temu, co wiem o demokracji. W teorii to szlachetny ustrój. W praktyce jest bezużyteczny. Kiedy masz wziąć udział w gonitwie, nie dosiadasz spętanego ogiera. Gdyby Demonstratos chciał przyłączyć się do Mitrydatesa, wpiery musiałby przedstawić swój wniosek radzie, przekonać do niej zgromadzenie, zabezpieczyć potrzebne głosy, wytargować pieniądze na najemników, mimo że mógłby zebrać pospolite ruszenie... Zeusie Zbawco! Do tej pory Mitrydates byłby martwy, a Artabazos rządziłby całym Hellespontem.

Twarz Ateńczyka pociemniała, ale spojrzenie Artabazosa powstrzymało gniewną odpowiedź, którą już miał na ustach.

- Jestem skłonny zaufać ocenie Memnona - przyznał Artabazos. - Co ty powiesz, Mentorze?

Ten pochylony nad stołem przeniósł wzrok na mapę. Gryzł wargę i twardo stukał placami o brzeg stołu, wybijając rytm wojny. Jego splaszczone, znamionujące brutalność rysy kryły żywą inteligencję i Memnon wiedział, że brat oblicza teraz siły, którymi dysponowali. Siedem tysięcy ateńskich hoplitów pod wodzą Charesa tworzyło jądro armii Artabazosa, wspierane przez pięć tysięcy Beotów Pammenesa. Satrapa miał własny kontyngent ziomków, kardaków, liczący dwa i pół tysiąca żołnierzy, oraz niewielki oddział konnicy. W sumie piętnaście tysięcy przeciwko temu, co mógł zgromadzić Mitrydates: dziesięć tysięcy perskich włóczników, zaciąg aż z Babilonu, dostarczony przez króla pragnącego, aby stało się zadość jego woli; kolejne dziesięć tysięcy lokalnego pospolitego ruszenia, włócznicy i łucznicy, a do tego z górą dwa tysiące konnych z Paflagonii. Dwadzieścia dwa tysiące przeciwko piętnastu tysiącom. Pospolite ruszenie przeciwko zawodowym żołnierzom. W tej sytuacji mimo mniejszych sił większe szanse miał Artabazos.

- Memnon ma rację - w końcu przemówił Mentor. - W najbliższej przyszłości Kyzikos nie przedstawia prawdziwego zagrożenia. Należy o brzasku zwinąć obóz i pomaszerować na zachód, w kierunku Gra-nika. Przejdziemy łukiem, po połowie koła. Wyślemy dość zwiadowców, żeby ostrzegli nas przed Mitrydatesem, zanim on nas dostrzeże. - Wskazał punkt na mapie między Zeleją a Arktonezos, gdzie droga biegła wybrzeżem jeziora Manyas. - I dopadniemy ich tutaj.

Pozostali dowódcy skinęli głowami.

- Do tej pory - przypomniał im Artabazos - waszym jedynym przestępstwem była znajomość ze mną. Ja sam nie miałem innego wyjścia, musiałem podnieść bunt. Ale wy, moi przyjaciele, nadal możecie odejść i nikt o nic was nie oskarży. Sądzę, że Ochos nawet was za to nagrodi. W końcu nadszedł czas ostatecznej decyzji. Co powiecie?

Mentor się wyprostował.

- Mówię za siebie, brata i moich żołnierzy. W razie potrzeby będziemy stać przy tobie do śmierci!

Memnon mruknięciem poparł brata. Pierś wezbrała mu dumą.

Pammenes podszedł do Artabazosa i stanął z nim twarzą w twarz.

- Dales mi dom, kiedy moje rodzinne miasto wołało, żebym zginął. Przysięgam na Heraklesa, że moi żołnierze i ja nie zawiedziemy cię! - Z tymi słowami uściskał dłoń Artabazosa i ucałował jego sygnet.

W końcu zabrał głos Chares. Mówił z nietypową dla siebie pokorą.

- Jesienią, po naszej klęsce pod Embatą, moi żołnierze i ja utraciliśmy wolę życia. Zawiedliśmy nasze miasto w obliczu buntowników z Kos i Chios i uciekliśmy jak zbite psy, utraciwszy honor. Kiedy znalazłeś nas na Imbros, głodowaliśmy, niezdolni naprawić okręty i gotowi rzucić się na swoje miecze. Potrzebowaliśmy pomocy i celu, a ty dałeś nam jedno i drugie. Co mogłoby bardziej rozgrzać krew Ateńczyka niż upuszczenie krwi perskiemu królowi? Jeśli faktycznie przyszła godzina próby, mężowie z Aten staną przy tobie!

Artabazos głośno odetchnął. Kolejno podchodził do każdego, zgodnie z perskim zwyczajem ścisnął go i całował w policzek. Kiedy zbliżył się do Memnona, Rodyjczyk zobaczył w oczach starego satrapy łzy.

- Bogowie pobłogosławili mnie synami, stanowiskiem i długim życiem. Teraz kolejny raz pobłogosławili mnie towarzyszami broni najwyższej próby. Jeśli nasze przedsięwzięcie się powiedzie, nie zapomnę lojalności, którą mi okazaliście. Jeśli się nam nie uda - Artabazos wzruszył ramionami - no cóż, jeśli się nam nie uda, nic, co tutaj powiedzieliśmy lub uczyniliśmy, nie będzie miało znaczenia. W nadchodzących dniach mamy wiele do zrobienia i śmiem sądzić, że będzie doprawdy niewiele czasu na jedzenie czy spoczynek. Zajmijcie się swoimi ludźmi. Potem zapraszam na kolację.

Artabazos odprawił dowódców. Z uśmiechem wziął pod ramię Memnona i podszedł z nim do wyjścia z namiotu.

- Z wyjątkiem ciebie. Wyczerpany na nic mi się nie przydasz. Idź odpocząć, Memnonie. Zasłużyłeś na to.

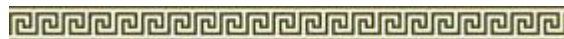
- Pójdę - rzekł Memnon, marszcząc brwi - ale wpierrw muszę zajrzeć do swoich ludzi.

- Twój entuzjazm przynosi ci wielką chwałę. W takim razie świetnie. Zajmij się żołnierzami i przekaz im moje wyrazy wdzięczności.

Odwrócił się i kulejąc, wrócił na środek pawilonu.

Memnon przez chwilę zatrzymał się u wejścia, słuchając lekkiego pomruku, który dolatywał z obozu, skrzypnięcia zbroi, gdy jeden ze strażników przestąpił z nogi na nogę, ćwierkotu szambelana, który przedstawiał swojemu panu plan kolacji. Memnon czuł zmianę ciśnienia powietrza, napięcie, które zapowiada wzmożoną dynamikę działań. W oddali zahuczał grom.

- Uda się nam - nagle powiedział głosem cichym i pełnym młodzieńczej żarliwości. - Nie może się nam nie udać!



Zelega leżała w gęsto zalesionej dolinie rzeki Ajzopos, której ciemne, wezbrane deszczem wody były lodowate od tających śniegów góry Ida. Ta ziemia poznała wielu panów - od Trojan, wielbicieli polowań, którzy prowadzili w lasach hodowlę dzikich zwierząt, po królów Lidii

preferujących pachnące ogrody i egzotyczne ptaki. Powstanie Persji niewiele tu zmieniło. Teraz to wielki król z dalekiej Suzy przyznawał włości swoim ulubieńcom, śmietance perskiej arystokracji, która wiosną przybywała tu w otoczeniu orszaków, a jesienią polowała na wyżynach i spacerowała w wiekowych parkach.

Memnonowi miasteczko wydało się małe i zaniedbane, całkowicie niewarte szlachetnych przodków. Domy z nieociosanego kamienia i drewna, pokryte dachówkami z czerwonej gliny z Sardes, stały wzdłuż drogi prowadzącej do pałacu miejscowego wielmoży, Greka z Miletu, który zawdzięczał swoją pozycję patronatowi Artabazosa. Wedle prawa satrapa mógł zarekwirować pałac do własnego użytku, ale skromne rozmiary budowli zmusiły Persa do rozlokowania armii gdzie indziej, gdyż Artabazos wolał dotrzymać towarzystwa swoim żołnierzom.

Błyskawica przecięła niebo, huknął piorun. Grube krople spadły na płaszcz Memnona, gdy jadąc niespiesznie, minął ostatnie domy na drodze do pałacu. Uważał na kosz, który wiózł. Wiatr przybrał na sile, gwiżdżąc między drzewami na stokach powyżej Zelei. Kolejna noc deszczu oznaczała, że jutrzejszy wymarsz potrwa długo, utrudniony przez błoto. Przez chwilę Memnon pożałował, że musiał opuścić kwatery i wyruszyć do pałacu, ale tego obowiązku nie dało się uniknąć. Wyszedłby na prostaka, gdyby nie złożył wyrazów szacunku damom w haremie Artabazosa.

Pochylił głowę, przejeżdżając przez bramę akurat w momencie, gdy niebiosy otwały wodne podwoje. Tuż przy bramie stał na warcie jeden z kardaków, otulony grubym płaszczem Pers. Chociaż tradycyjnie określano tak młodych Persów, wyćwiczonych żołnierzy, ojciec Artabazosa, satrapa Farnabazos, określał nim ziomków, którzy byli wyszkoleni i uzbrojeni na modłę grecką. Kardakowie używali cięższych, ośmiostopowych włóczni, zakończonych okuciem w kształcie jabłka, i okrągłych, niewielkich tarcz z brązu. Nosili typowe medyjskie spodnie i wysokie buty, żelazne kolczugi i hełmy w kształcie turbanów. To wszystko, czego używali do osłony.

Memnon dostrzegł ośli upór Persów. Bitwa po bitwie na własnej skórze przekonywali się, że lepiej zrobiliby, wkładając pełne zbroje, jakich używali Grecy, ale za nic nie chcieli zmienić ekwipunku. Może Artabazos pozwoliłby mu na odpowiednie eksperymenty.

- Pokój z tobą, Memnonie - przywitał go wartownik, opierając się na włóczni. - Z radością usłyszałem o twoim powrocie. Idziesz odwiedzić dziewczynki?

- Pozdrowienia, Ariosie. - Memnon uśmiechnął się szeroko, otrząsając się z deszczu. - W tę pogodę na pewno zrobiły się płochliwe. Pomyślałem, że trochę towarzystwa dobrze im zrobi.

- Pewnie, pewnie - zachichotał Arios. - Czy plotki są prawdziwe? Wyruszamy o świcie?
- Prawdziwe.
- Chwała Mitrze. Marzę o opuszczeniu tej dziury. I mam dość tej pogody.
- Trudno się z tobą nie zgodzić - przyznał Memnon. - Jeśli nie wyjdę do zmiany warty, powiedz koledze, że tu jestem.

Młody Rodyjczyk pędem przebiegł od bramy, ostrożnie trzymając kosz. Odbił od prowadzącej do wrót ścieżki i skierował się ku stajniom. Przeskoczył otaczający je płot i wbiegł do środka. Fundamenty budowli niewątpliwie pamiętały czasy Pandara, który podczas wielkiej wojny trojańskiej poprowadził mężów Zelei przeciwko Achajom. Kamiennie pilastry podtrzymywały dach z ciężkich belek i glazurowanych szkarłatnych płytek. Płaskie rzeczne kamienie, którymi wyłożono posadzki, wydzielały wilgotną ziemistą woń.

- *Chairete*, moje damy - wydyszał Memnon.

Z przestronnych boksów zarżały cztery niseańskie klacze. Każda miała blisko piętnaście dłoni wysokości i maść czarną jak fałdy szat Hadesa. Drobiły na przywitanie, poznając głos

Memnona. Były to trzy Charyty: Talia, Aglaja, Eufrozyne i harpia Kelajno. Memnon postawił na podłodze kosz i podszedł do każdego stanowiska, gładząc potężne łby i pozwalając się popieścić aksamitnym chrapom.

- Wybaczcie, że nie odwiedziłem was wcześniej - powiedział. - Ale wypełniłem rozkaz waszego pana.

Stajenni wykonali swoją robotę. Stanowiska były wysprzątane i dobrze zaopatrzone w wodę i paszę. Sierść klaczy lśniła, w grzywach i ogonach nie było żadnych kudłów, kopyta dźwięczały na kamiennej podłodze jak dzwonki. Kelajno trąciła pyskiem Memnona, który parsknął śmiechem, wiedząc, o co chodzi.

- Tak, tak - rzekł. - Mam dość oleju w głowie, żeby nie przychodzić do was z pustymi rękami.

Ukląkł i wyjął z koszyka ostatnie skarby z jesiennych zapasów: cztery pomarszczone i słodkie jabłka. Klacze rżały i parsknęły, gdy je karmił.

Konie były rzadkością na Rodos; ubogie łąki i skalista ziemia bardziej odpowiadały osłom i wołom. Memnon dopiero na kontynencie, w Assos, miał okazję jeździć konno. Było to dwa lata temu. Od tej pory niezwykle polubił te zwierzęta, a ich uroda i szlachetność budziły jego podziw. Prawie rok ćwiczył pod okiem tesalskiego mistrza jeździectwa Artabazosa, aż nabrał pewności siebie.

- A teraz, moje damy - powiedział - jeśli pozwolicie, chciałbym usiąść i też coś przekąsić.

W odpowiedzi Kelajno rzuciła łbem. Memnon się uśmiechnął i zaniósł koszyk na stóg siana. Dla siebie miał płaski chlebek, garnek potrawy z soczewicą i gomólkę sera. Zjadł powoli i przepłukał gardło butelką syryjskiego wina z prywatnych zapasów Artabazosa. Wiedział, że powinien wrócić do obozu i spotkać się z Mentorem, ale deszcz i znużenie rozleniwiły go. Położył się wygodnie. Ogarnęło go ciepło. Odgłos bębniącego o dach deszczu cichł mu w uszach, gdy rozluźniał się coraz bardziej. Zamrugnął i zamknął powieki.

Zamruczał grom...

Memnon błyskawicznie się wyprostował. Wytrzeszczył gorączkowo oczy. Przepadły konie, stajnie, deszcz i chłodne powietrze Zelei. Siedział na środku piaszczystej, nagiej, przecinającej drogę równiny. Nad sobą miał szarobiałe niebo i wiecznie nieruchome słońce, wiszące w najwyższym punkcie wędrówki. Żar i blade światło padały ze szerniałego dysku. Wysokie trawy, wydawałoby się, uformowany w łodygi popiół, kołysały się jak pod wpływem chłodnego powiewu, chociaż Memnon nie czuł najlżejszego ruchu pozbawionego kropli wilgotności powietrza. Za plecami usłyszał chrzęst piasku pod nagimi stopami, któremu towarzyszyły łkanie i słabe zawodzenia do Hadesa i Persefony. Wstał i się odwrócił. Drogą zbliżał się uroczysty kondukt żałobny. Kiedy się z nim zrównał, Memnon ustąpił mu z drogi.

Prowadziły niewiasty w czarnych, zbielejących od kurzu strojach. Ich twarze pokrywał popiół, włosy wiły się jak węzowe sploty Gorgon, gdy biły się w piersi i raniły kamiennymi nożami. Za nimi dziesięciu przygarbionych mężów, o ciałach pokrytych kurzem i niezliczonymi bitewnymi bliznami, dźwigało mary. Na nich spoczywały gigantyczne, osłonięte purpurowym i złotym całunem zwłoki. Za konduktem kroczyła samotna, czarno odziana postać.

- Kto zmarł? - spytał drewnianym głosem. Nikt mu nie odpowiedział. - Kto to? - Ogarnęła go rozpacz. - Błagam! Powiedzcie mi, kto zmarł!

Ostatnia postać w kondukcie się zatrzymała i spojrzała na Memnona. Zdjęła kaptur i ukazała się ściągnięta twarz Timokratesa.

- Ojczy! - Łzy spłynęły po twarzy Memnona i sycząc jak kwas parowały mu na piersi. - Próbowałem cię uratować! Przysięgam! Kogo niesiecie do Tartaru? Kogo...?

Timokrates otworzył usta i przemówił, ale Memnon nie usłyszał żadnego dźwięku.

Kondukt przystanął i złożył mary na ziemi. Timokrates gestem przyzwał syna. Osłabły, owładnięty wzruszeniem, na miękkich kolanach podszedł do boku ojca. Poczuł, jak lodowata dłoń prowadzi go za łokieć. Razem stanęli przy marach.

Timokrates opuścił dłoń i jednym ruchem zerwał całun...

- Nie!

Memnon wyprostował się gwałtownie. Wymachując dłonią, trącił pustą flaszkę po winie. Naczynie przeleciało po podłodze stajni. Przyćmione szare światło wpadało drzwiami i oknami, chłodne powietrze było ciężkie od woni tysięcy ognisk i żołnierskiej strawy. Cień padł na głowę i tors Memnona. Podniósł oszalałe spojrzenie.

Uśmiechał się do niego Mentor.

- Wyglądasz, jakbyś wrócił z piekieł - rzekł.

Memnon przetarł oczy. Kończyny miał obolałe.

- Jaką mamy porę?

- Przedświt.

- Przedświt? Zeusie Zbawco! Nic dziwnego, że czuję się, jakby przejechał po mnie oddział konnicy.

Chwiejnie dźwignął się na nogi i zataczając, podszedł do beczki z deszczówką. Zanurzył głowę w chłodnej wodzie i wyciągnął ją, prychając i parszcząc. Obrazy ze snu przelatywały mu przed oczami. Obejrzał się na brata.

- Jak mnie znalazłeś?

- Arios znalazł cię śpiącego i przesłał mi wiadomość na wypadek, gdybym cię potrzebował.

Zbroja Mentora zaskrzypiała, gdy przemawiając pieszczotliwie, zbliżył się do Kelajno. Klacz zmierzyła go ostrożnym spojrzeniem, ale dała się pogłaskać.

- Masz słabość do tych stworzeń.

Memnon przeciągnął się, pozbywając skurczu w barkach i plecach.

- To najszlachetniejsze ze zwierząt. Posejdon uczynił ludzkości wielką łaskę, stwarzając konia. Dał nam przykład.

- Przykład? - Mentor spojrzał na niego pytająco. - Nie zapominaj, braciszku, że mimo całej szlachetności konie są niewolnikami ludzi.

- Doprawdy? Czy to nie człowiek podaje im karmę, sprzęta stanowiska i zajmuje się nimi, kiedy są ranne albo chore? Zastanawiam się, kto komu służy.

Mentor zachichotał. Odsunął się od klaczy i podszedł do drzwi.

- Wieczorem chciałem z tobą pogadać, ale dobrze zgadłem, że musisz się przespać.

Braciszku, wiesz, że doceniam twoje talenty, wczoraj jednak trochę przesadziłeś, obrażając Charesa.

- Obraziłem go? - zachnął się Mentor. - Ten ateński drań nadyma się jak purchawa. Nigdy nie pojmę, dlaczego okazujesz mu taki szacunek. Jest...

- Dlaczego? - Mentor natarł na brata głosem ostrym jak besztający podwładnego wódz. - Bo ma żołnierzy, których potrzebujemy, oto dlaczego! Do cholery, Memnonie! To całe przedsięwzięcie wisi na włosku! Nie potrzebuję cię, żebyś się tu plątał i pokazywał, jaki masz ostry język! Jeśli będziesz musiał przełknąć dumę, żeby tylko się dogadać z Charesem, to ją przełkniesz, i jeszcze się uśmiechniesz! A jak nie, to pošlę cię z powrotem do Patrona i możesz jeszcze kilka miesięcy pozgi-nać grzbiet przy wiosłach. Rozumiesz?

- Doskonale - powiedział Memnon. Nozdrza mu latały od ledwo powstrzymanego gniewu.

- Dobrze. - Mentor skinął głową. - Artabazos docenił twoje umiejętności. Uważa, że

jesteś gotów do poważniejszych czynów, więc rozkazał mi oddelegować cię do sztabu.

Memnon osłupiał ze zdziwienia.

- Co...?

Jego brat uśmiechnął się szeroko.

- Awansowałeś na pomocnika naczelnego wodza. Między innymi będziesz odpowiadał za mapy i wywiad. To twoja szansa, braciszku. Postaraj się, żeby Artabazos nie pożałował swojej decyzji. Przestań wytrzeszczać gały i chodź. Ciężki dzień przed nami.

Memnon w milczeniu ruszył u boku brata.

Bładopomarańczowe światło rozjaśniło horyzont na wschodzie, tnąc swoimi włóczniami opary dymu i mgły zalegające dolinę. Jak rozciągnięty na ziemi tytan armia Artabazosa przebudziła się i szykowała do wymarszu.

Rozdział szósty

Buntownicy wijącym się szlakiem z wolna pokonywali wzgórza wyrastające na północ i zachód od Zelei. Kawaleria rozwinęła swój ochronny wachlarz daleko przed głównymi siłami. Maszerujące nogi mierzwiły błoto przez kilka pierwszych dni, po czym kurz, chmury i deszcz uległy rozżarzonemu wiosennemu niebu. Piątego dnia wielobarwna rzeka przypalonego brązu i żelaza pomaszerowała prosto ku wschodzącemu słońcu. Po kolejnych dwóch dniach szpiedzy przynieśli radosne wieści; krwawe biegunki pozbawiły kawalerię lojalistów większości koni. Tej nocy Grecy złożyli w ofierze Zeusowi byka. W końcu, w południe dziesiątego dnia od opuszczenia Zelei, zaledwie trzy mile od jeziora Manyas, Artabazos zarządził postój. Zwiadowcy dostrzegli nieprzyjaciela.

Był tam właśnie, gdzie przewidział Mentor.



Lekki powiew poruszył włosy Memnona. Stał na skalnej ostrodze, której kobierzec kwitnącego mchu skrzył się rosą, i patrzył ku wschodowi. Rydwan Heliosa rozpalił lazurowe niebo oranżem i złotem. Za plecami Rodyjczyka ciągnący z taborami kapłani przygotowywali poranną ofiarę. Koza becząła, gdy pomocnik kapłański golił jej gardło, podczas gdy drugi wiązał nogi zwierzęcia przed położeniem go na płaskiej skale, która miała posłużyć za ołtarz.

Z tego miejsca, wybranego ze względu na jego wysokość i czystość, rozciągał się widok na soczystą zieloną równinę. Schodziła do zarosłego trzciną brzegu jeziora. Po lewej ręce Memnona niewyraźnie rysowały się namioty armii lojalistów, zasnuwane oparem obozowych ognisk. Po jego prawej ręce i za plecami był obóz Artabazosa, zabezpieczony przed resztkami kawalerii Mitrydatesa rzeźbą terenu. Mijały cztery dni, od kiedy wojska stanęły naprzeciwko siebie, wyczekując, aż druga strona wykona ruch. Dwa razy dziennie heroldowie Mitrydatesa zbliżali się i przy wtórze fanfar żądali od Artabazosa złożenia broni; dwa razy dziennie Artabazos udzielał jadownej odpowiedzi podającej w wątpliwość męskość Mitrydatesa. Każda godzina bezczynności zacieśniała stryczek lęku na szyjach żołnierzy; niebawem mieli przystąpić do boju, choćby tylko po to, aby uwolnić się od tego dławiącego uścisku.

Memnon się odwrócił i przyglądał ofierze. Prowadzeni przez arcykapłana Gaumatę magowie wykonywali poranne rytuały; Grekom ten zaszczyt przypadła o zmierzchu. Wysoki i chudy Gaumata nosił najbardziej widowiskową brodę. Czarne, posiwiałe kędziory, naoliwione i ułożone na babilońską modłę opadały mu nisko za mostek, tworząc naturalny pektorał.

Gaumata wyciągnął rękę. Kapłan niższej rangi wręczył mu cienki i ostry nóż ofiarny. Śpiewając w syczącym języku Persów, mag ofiarował ostrze wschodzącemu słońcu, podczas gdy jego pomocnicy złożyli kozę na ołtarzu. Wraz z końcem inwokacji Gaumata poderzwał zwierzęciu gardło. Krew chlusnęła na kamień. W chwilę potem otworzył brzuch kozy. Marszcząc twarz w wyrazie najwyższego skupienia, wsunął ręce do środka, wyjął wnętrzności i oglądał je w porannym słońcu. W końcu z powagą skinął głową.

- Powiedz szlachetnemu Artabazosowi, że wróżby są korzystne - oświadczył, wręczając zakrwawiony nóż pomocnikowi.

- Ucieszy się.

Młody Rodyjczyk ostatni raz obejrzał się na obóz nieprzyjaciela, zanim udał się w dół

pochyłości. Słyszał jeszcze, jak magowie szepczą między sobą.

Przeciął linię posterunków i minął ogrodzony linami wybieg dla koni. Kawalerzyści wcześniej wstali. Czesali i ćwiczyli rumaki. Usytuowany w szerokim obniżeniu terenu obóz rebeliantów ciągnął się wzdłuż wąskiego strumienia, ocieniony kępami dębów i topoli. Zgodnie z rozkazem Mentora rozmieszczenie żołnierzy odpowiadało szykowi, który miał ich obowiązywać w bitwie; u ujścia kotliny stały namioty Pammenesa i jego Beotów, wyznaczonych na prawą flankę. Była najbliższa jeziora. Następne miejsca zajęły namioty kardaków, Persów Artabazosa. Wyćwiczeni przez Mentora do walki w greckiej falandze mieli objąć pozycję w centrum. Ostatni, w głębi kotliny, stali Ateńczy-cy Charesa. Memnon zdawał sobie sprawę, że gdy tylko rozlegnie się wezwanie „Szykować broń!”, sojusznicy zaoszczędzą cenny czas, gdyż każdy żołnierz będzie znał swoje miejsce w szyku.

Młody Rodyjczyk szybko kroczył przez las namiotów, między równymi jak od linijki rzędami, gdy salpinksy, proste fanfarowe trąby greckie, obudziły żołnierzy. Zapłonęły ogniska i w powietrzu rozeszła się woń pieczonego chleba. W środku obozu zastał Artabazosa. Wódz siedział przed pawilonem, prostując prawą poblżnioną nogę. Okrywały ją opatrunki moczone w ziołowych wywarach. Skrybowie i adiutanci otaczali satrapę, gdy przeglądał stos rozkazów.

- Kolejny piękny poranek - rzekł Artabazos. Podniósł wzrok, gdy Memnon się zbliżył. - Bogowie muszą nas lubić.

- Zaiste. Według Gaumaty wróżby są zachęcające.

Artabazos zachichotał.

- Oczywiście. Są zachęcające przez ostatnie trzy dni. Coś mi się zdaje, że flaki naszych kóz nam sprzyjają.

- Jak noga?

Poprzedniego dnia Artabazos obszedł cały obóz. Zwracał się po imieniu do żołnierzy, często się zatrzymywał, dowcipkował i opowiadał historyjki. W południe mięśnie rannej nogi spęczniały; z zapadnięciem nocy ledwo się włókł. Jednakże nie poddał się ani na chwilę. Kuśtykał i się uśmiechał, dopóki nie zamienił słowa z każdym żołnierzem. Dopiero po powrocie do pawilonu pozwolił Memnonowi wezwać lekarza.

- Jakby płonęła żywym ogniem, ale jeśli będzie trzeba, utrzyma mnie - zapowiedział Artabazos, patrząc na niebo. Zwrócił się do szambelana: - Datis! Moja zbroja. Zaraz przybędzie herold.

- Uważasz, że Mitrydates się domyśla, dlaczego jeszcze nie zaatakowaliśmy?

Artabazos potrząsnął głową.

- Sądzi, że się ociągamy, ponieważ ma liczniejszą armię. Jednak jeśli do zmierzchu nie otrzymamy żadnych wieści od floty, to trudno, będziemy musieli zacząć. Wolałbym, żeby ateńskie okręty wcześniej zajęły pozycje pod Daskylejon.

Memnon rozumiał wodza. Gdyby rebelianci zwyciężyli nad jeziorem, niedobitki perskiej armii uciekłyby właśnie tam. Dysponując okrętami blokującymi port i żołnierzami ustawionymi na brzegu, Artabazos mógłby zmusić Mitrydatesa do kapitulacji, nie będąc skazany na kosztowne obleganie miasta.

Datis przybiegł z pawilonu, prowadząc niewolnika, który ugiął się pod ciężarem zbroi pana. Artabazos już miał na sobie *spolas*, skórzaną kurtkę. Powstał, gdy Datis podał mu spodnie. Memnon zaoferował wodzowi ramię, by mógł się wesprzeć.

Artabazos uniósł brew, spoglądając na młodego Rodyjczyka.

- Chyba nie zamierzasz iść do bitwy w tym żeglarskim półpance-rzyku?

Memnon spojrział na swoją zbroję.

- To wszystko, co mam. Dlaczego nie?

- To nie wystarczy. Znajdź coś grubszego, może w zbrojowni Mentora albo u któregoś z kardaków. I dołóż do tego tarczę i hełm.

Memnon skinął głową.

- Dzisiaj się za tym rozejrzę.

Artabazos włożył spodnie, krzywiąc się, gdy Datis naciągał purpurowy materiał na poblżnione udo i zapinał go na biodrach. Szambelan przyzwał niewolnika. Ze stosu rzeczy wybrał pas z egipskiej skóry utrzymujący zdobiony kością słoniową i srebrem sztylet i zapiął go na swoim panu. Kolejno szedł pancerz z żelaznych, pokrytych złotem łusek. Wedle greckich pojęć zbroja satrapy cuchnęła *hybris*, pychą. Takie ekstrawagancje najczęściej ściągały gniew bogów, nęciły nieprzyjaciół do ataku. Z kolei w mniemaniu Artabazosa tego rodzaju demonstracja przypominała wrogom, że stoi przed nimi mąż królewskiego rodu; mąż, którego krew dawała mu prawo do tronu króla królów, jednakże ambicje nie sięgały poza granice ziem przodków. Ta zbroja miała nieść niezwykle wymowne przesłanie żołnierzom Mitrydatesa.

- Co to za człowiek? - spytał Memnon, marszcząc brwi.

- Kto?

- Mitrydates. Czy jest tak miałki, jak twierdzi Chares, czy też jest wart coś więcej?

Artabazos zacisnął usta.

- Jako dowódca połowy nie wyróżnia się niczym nadzwyczajnym - powiedział w końcu.

- Ale jest kompetentny w granicach przyzwoitości i umie należycie ocenić podkomendnych. Tu leży prawdziwe niebezpieczeństwo. Ci, którzy mu służą, będą równie przebiegli jak Chares czy Pammenes, chociaż zdolnościami nie dorównują Mentorowi. Siła Mitrydatesa leży w jego politycznych ambicjach. Był twoich lat, kiedy wstąpił na służbę królowi, ale prawdziwą dojrzałość osiągnął jakiś rok później, gdy wydał swojego ojca, zdrajcę Ariobarzanesa.

- A był zdrajcą?

- Ariobarzanes? Oczywiście. Widzisz, gdy król wezwał mojego ojca, Farnabazosa, do Suzy, żeby poślubił moją matkę, Ariobarzanes został regentem Daskylejon. Kiedy osiągnąłem wiek męski, król rozkazał mi przejąć satrapię ojca. Ariobarzanes odmówił złożenia władzy. Nie dość tego, wraz z poplecznikami wzniecił otwarty bunt. Pozbyłem się tych chwastów jednego po drugim, walcząc o każdą piędź ojcowskiej ziemi, aż pozostało mi tylko zdobyć Daskylejon. Ale zanim zdołałem wyruszyć przeciwko Ariobarzanesowi, jego syn wydał ojca królowi. W zamian ten oddał mu Daskylejon. - Oczy wodza pociemniały. - Oddał mu je! Ziemie, które były w mojej rodzinie od czasu wielkiego Dariusza. Oddanie ich takiemu człowiekowi jak Mitrydates było najcięższą obelgą. Pod pewnym względem jestem wdzięczny Ochowski, że rozkazał mnie ściąć. Dzięki temu mam pretekst, aby odzyskać, co moje.

- To znaczy, że czekałeś... ile...? prawie czterdzieści lat? - zapytał Memnon. - Zeusie Zbawco, Artabazosie! Myślałem, że tylko Grecy potrafią tak długo chować w sercu urazę.

Artabazos uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby.

- Dokładnie trzydzieści osiem. Co wy, Grecy, wiecie o rodowej zemście. To nasz pomysł, perski.

Artabazos przejął od Datisa złocony hełm. Szambelan do ostatniej chwili doprowadzał do nieskazitelnego wyglądu szkarłatny pióropusz.

Z granicy obozu doleciał gorączkowy dźwięk rogu, gasnąc echami wśród wzgórz. Uśmiech Memnona zgasł.

- To nie przypomina fanfary herolda.

Satrapa zmarszczył brwi.

- Na pewno nie.

Rozległa się kolejna surma, tym razem bliżej. Ruch u ujścia kotliny zwrócił uwagę

Memnona. W górę strumienia pędził jeździec. Spod kopyt rumaka wlatywały wodne pióropusze. Krople iskrzyły się w słońcu. Jeździec ściągnął wodze, wytrzeszczając oszalałe oczy. Dotarł przed pawilon wodza, zeskoczył z siodła i popędził w górę, przewracając się po drodze. Memnon złapał go za ramię.

- Co się dzieje? - spytał Rodyjczyk.
- Żołnierze króla! - wydyszał jeździec. - Wychodzą w pole!

Memnon odwrócił się do Artabazosa.

- Do broni! Każ trąbić „Szykować broń”! - krzyknął satrapa, uderzając w okrytą skórą pierś Memnona. - Włóż prawdziwy pancerz i dołącz do mnie w szyku!



Sygnaly rogów bojowych „szykować broń” i „do szeregu” nie wstrząsnęły oddziałami rebeliantów. Żołnierze poczuli raczej ulgę, gdy gasili niewielkie ogniska i przywdziewali zbroje. Wartownicy, którzy wcześniej wylosowali nocną zmianę i mieli za sobą tylko krótki sen, stękali, wydostając się z zawojów płaszczy, i chwiejnym krokiem szli na miejsce zbiórki. Dołączali do nich uzbrojeni giermkowie, heroldowie, trębacze i gońcy. Przekleństwa weteranów, poganiających młodszych towarzyszy do szeregów, zagłuszały chrzęst zbroi.

Memnon przedzierał się przez tłum wojaków, zmierzając do namiotu brata. Stał on między Persami i Ateńczykami, na trawiastym wzgórku, pod konarami wiekowego dębu. Bawełniane ściany namiotu przypominały wszystkim przeszłość dowódcy. Pozszywano je z kawałków wyblakłego szkarłatnego brezentu zabranego z wraku rodyjskiej triery. Chociaż dawno temu wypruto z nich złotą nić, Memnon nadal rozróżniał zarys otoczonego płomieniami wielkiego słonecznego dysku, znak Heliosa. Perscy oficerowie stali wyprężeni na baczność, słuchając ostatnich rozkazów. Kiedy Memnon był już blisko, Mentor kazał im odmaszerować.

- Co jest? - spytał. Nosił wyłożony srebrem i lapis-lazuli kirys z polerowanego brązu, skórzaną spódniczkę i nagolenice z wygrawerowanymi wizerunkami Dioskurów, Kastora na lewej nodze i Polideukesa na prawej.

- Potrzebuję grubszego napierśnika - poprosił Memnon.

Mentor ocenił wzrokiem skórzany kirys brata. Odwrócił się do swojego giermka, Dioklesa.

- Przynieś moją starą zbroję.

Giermek dostarczył żłobiony pancerz atletry ze zwykłego brązu, funkcjonalny i wypolerowany do lekkiego blasku, nagolenniki i gładki hełm koryncki.

- Wygląda znajomo. Czy to...? - spytał Memnon.

Mentor się uśmiechnął.

- To zbroja, którą ojciec dał mi, gdy wypływałem z Rodos. Masz dobrą pamięć. - Postukał w kirys, słuchając mocnego dzwonienia. - Ale nadal jest użyteczny i na razie powinien na ciebie pasować. Wtedy byłem drobniejszy.

Memnon zdjął skórę i z pomocą giermka wbił się w cięższy brązowy pancerz. Mentor pomógł mu zawiązać rzemyki, a Diokles przyklęknął i zapiął nagolenniki.

- Nie trać głowy - upomniął brata Mentor. - Tarczę trzymaj przed sobą, równo wyważoną. Pilnuj się, żeby nie wyleźć poza szyk.

- Byłem już w bitwie, bracie.

Mentor złapał za kołnierz starego kirysu i przyciągnął brata do siebie.

- W takiej bitwie nigdy nie byłeś, więc stul pysk i słuchaj! Kiedy nałożysz hełm, zawęzi ci się pole widzenia, i to bardzo. Jasne? Nie będziesz widział nic z boku, więc trzymaj się towarzyszy w szeregu! Mało tego, prawie w ogóle nie będziesz nic słyszał. Ale się skup... Kiedy rykną salpinksy, poczujesz wibrację od czubka głowy do kręgosłupa. Perskie trąby nie dają tego efektu.

Memnon przełknął ślinę i skinął głową. Przerzucił przez ramię pas miecza, poprawił oręż na biodrze, sięgnął po hełm i parę oszczepów. Memnon się skrzywił.

- Zostaw. To dobre dla świniopasa. Weź włócznię jak się patrzy. Przynieś mu moją tarczę - rozkazał Dioklesowi.

Mającą kształt misy *aspis*, z dębowym wnętrzem i okuciem z brązu, dodała jeszcze dwadzieścia min do całej wagi ekwipunku Memnona. Młody Rodyjczyk przesunął lewe ramię pod umieszczoną centralnie opaską i zacisnął dłoń na uchwycie ze splecionego sznura. Wewnątrz wytwórca umieścił rzeźbienie, hymn do Ateny:

Śpiewaj, muzo, o Atenie Promachos, Nosicielce tarczy, obrończyni mężów. Bogini, dodaj mi odwagi, bym umknął Natarciu wroga i gwałtownej śmierci.

Memnon odczytał napis po raz wtóry. Czuł, jak z każdą sylabą lodowate szpony strachu zaciskają mu się na gardle. Czy to ma być jego ostatni dzień na ziemi? Ostatnia godzina? Wzrok młodego Rodyjczyka bezwiednie przesunął się ku bramie kotliny, za którą widniał łagodnie opadający stok. Nim zapadnie noc, ta ziemia zostanie zniszczona, zmierzwiona, poryta tysiącami stóp i wzbogacona krwią zabitych. Czy on też...

Mentor klepnął go w ramię, przerywając te rozmyślenia.

- Daj z siebie wszystko, walcz sercem i z honorem, a resztę pozostaw losowi. - Przyzwał gestem Dioklesa, który podał mu skórzaną manierkę. Mentor odkorkował ją, uronił kilka kropel wina na ofiarę bogom, pociągnął łyk i podał manierkę bratu. - Za Zeusa i zwycięstwo.

Memnon odetchnął głęboko i poszedł w ślady Mentora, zaskoczony pewnym brzmieniem własnego głosu.

- Za Zeusa i zwycięstwo.

Wyjście na równinę zajęło rebeliantom niecałą godzinę. Całe zgrupowania spokojnie i sprawnie zajmowały swoje pozycje, jakby żołnierze Artabazosa urodzili się do wojaczki. Kiedy Memnon przyglądał się, jak kolejne oddziały stają w bitewnym szyku, docenił strategiczny geniusz wodza. Satrapa pragnął powtórzyć triumf Ateńczyków pod Maratonem. Na prawym skrzydle Pammenes i jego Beoci ustawili się na długość pięciuset tarczy i głębokość dziesięciu; naprzeciwko nich pozycje mieli zająć włócznicy z pospolitego ruszenia i oszczepnicy, jeśli Mitrydates postanowiłby się trzymać perskiej sztuki walki. Kardakowie okupowali centrum pierwszej linii Artabazosa. Tam szeregi były tak gęste i zbite jak grecka falanga. Mimo ich mniejszej liczebności Mentor rozstawił ich na taką samą długość jak Beotów, mogli więc stanąć tylko na pięć tarczy w głąb. Musieli wykrzesać z siebie wiele sił, jeśli chcieli powstrzymać najlepsze oddziały Mitrydatesa: tubylców i babilońskich włóczników. Chares i jego Ateńczycy ustawili się na lewym skrzydle, tworząc szereg równie długi jak inni, ale znacznie głębszy. Każdy rząd liczył aż czterestu ludzi. Stojące naprzeciwko nich lekkie oddziały i spieszona jazda miały niewielkie szanse przeciwko takiej masie mięśni, brązu i żelaza. Plan Artabazosa zakładał, że Persowie powinni skupić natarcie na centrum rebeliantów. W tym czasie Ateńczycy i Beoci mieli zdziesiątkować skrzydła wroga i wziąć w kleszcze Mitrydatesa.

Maszerujące miarowo stopy wzbijały w powietrze chmury kurzu i Memnon z każdym oddechem czuł w ustach drobiny żwiru. Otarł spocone czoło. Stał w pierwszej linii, *promachos*, sto trzydzieści stadiów od miejsca, w którym kardakowie łączyli się z Ateńczykami. Mentor

zajmował lustrzaną pozycję po stronie Beotów; Artabazos wraz z osobistą gwardią, chorążymi, trębaczami i flecistami prowadził środek - mimo protestów Mentora. Mila dzieliła rebeliantów od lojalistów, mila falującej łąki, rozdzielona rdzawą blizną drogi do Zelei, niskimi drzewami i kamienistymi potoczkami. Po dwustu krokach mieli się stać celem perskich łuczników, po pięćdziesięciu salpinksy dadzą rozkaz do biegu.

„Twoja noga nie utrzyma cię podczas tego piekła” - powiedział wcześniej Mentor. Memnon miał jedyną okazję oglądać, jak emocje satrapy kierują się przeciwko sprzymierzeńcowi. Oczy zabłysły mu gniewem. „Nie mów z góry, co potrafię, a czego nie! Zaszedłem tak daleko nie po to, żeby się kryć na tyłach, i kazać innym walczyć za mnie!”

Napięcie skreśliło w supeł wnętrza Memnona. Wiedział, że powinien coś powiedzieć najbliższym żołnierzom - kilka słów zachęty, może odpowiedni cytat - ale zapomniał języka w gębie. Strach zaliczył pierwszą ofiarę. Zamiast przemówić, zadowolił się rozglądaniem na boki. Każdy żołnierz wykonywał własny rytuał przed bitwą, drobne czynności, które zaprzatają uwagę i nie pozwalają wziąć góry emocjom. W wypadku weteranów były to działania praktyczne - zaciśnięcie sprzączki, poluzowanie miecza w pochwie, przejechanie drzewca włóczni garścią piasku, żeby mieć lepszy chwyt. Mniej doświadczeni uciekali się do działań magicznych - całowali i chowali talizmany, nucili pod nosem zaklęcia, rozmawiali z bogami, którzy opiekowali się duszami na poboju. Jak zawsze jeden czy dwaj tryskali humorem, którego nic nie mogło zepsuć; ich żarty i wybuchy śmiechu w odpowiedzi uspokajały nawet najbardziej przerażonych.

Po prawej stronie, w drugim szeregu, Memnon dostrzegł znajomą twarz - Ariosa, strażnika z Zelei. Trzymał włócznię w zgięciu łokcia i z przejęciem klepał się po kirysie, szukając czegoś.

- Co zgubiłeś, Ariosie? - spytał Memnon.

- Głowę - mruknął ktoś z trzeciego szeregu. - Uwaga pod nogi!

Persowie zaśmieli się półgłosem. Arios potrząsnął głową i też się uśmiechnął.

- E, gdzie tam, moja głowa jest mniej cenna. O, jest!

Wyciągnął zza kołnierza talizman na zerwanym rzemyku. Zaciekawiony Memnon pochylił się. Arios podał mu przedmiot.

- Była w mojej rodzinie przez pokolenia, przechodziła z ojca na syna, od kiedy mój przodek otrzymał ją, walcząc dla Cyrusa Wielkiego. To z Lidii, ze skarbu króla Krezusa.

Moneta, płaski nieregularny dysk z porysowanego srebra, miała po jednej stronie niewyraźny rysunek lwa, po drugiej - znak puncy. Memnon oddał ją Ariosowi, który schował talizman pod zbroję.

- Oby przyniosła nam równe powodzenie, jakim się cieszył Cy-rus - rzekł młody Rodyjczyk.

Arios pokiwał głową.

- Wszystkim - dodał.

Memnon odwrócił się ku nieprzyjacielowi. Wiatr szeptał w trawie, szeleszcząc porożkami i chłodząc spocone czoło żołnierza. Artabazos wystąpił przed zgrupowanie. Jego zbroja lśniła mocniej niż sfalowane lustro jeziora. Memnon stężał. Starzejący się satrapa uniósł włócznię, zrobił dla większego efektu pauzę i zahuczał:

- Naprzód po zwycięstwo!

Trąby jednym długim głosem rozkazały „naprzód!” Memnon drżącą ręką rozłożył policzek hełmu. Dzwon przytłumił zawodzenie rogów, silniejsze od wrzawy salpinkarów. Falanga ruszyła z miejsca jak jeden mąż, tarcze spojone niczym łuski, włócznie pionowo. Nie widząc nic po bokach, Memnon skupił się na tym, co miał przed sobą, na nieprzyjacielu. Kolumny kurzu

zakrywały wszelkie szczegóły.

Memnon odwrócił głowę w lewo, w prawo, sprawdził, czy się nie wysforował przed szereg. Pot ściekał mu pod policzkami hełmu. Równa linia rebeliantów szła wysoką do kolan trawą. Zewsząd zrywało się ukryte w krzakach ptaństwo, zaskoczone trzaskiem i łomotem, jaki towarzyszył natarciu do ostrej muzyki fletów. Rytmiczne piski prowadziły żołnierzy szybciej, niż Memnon wcześniej sobie wyobrażał. Minęli połowę dystansu. Z każdym krokiem rosły szczegóły linii nieprzyjaciela: tarcze z łożyny i oszczepy, kaftany obszyte łuską z brązu i hełmy z kutego żelaza, purpurowe i złote proporczyki. W tupocie trzydziestu tysięcy stóp, dzwonienu własnej zbroi i zgrzycie tarczy o brzeg tarczy towarzysza Memnon usłyszał kakofonię obciążniętych osłą skórą bębnów i mosiężnych rogów, gdy lojaliści zagrzewali się do boju, osiągając stan walecznej zaciekłości.

Mając ćwierć mili do przebycia, młody Rodyjczyk doznał nagłego ataku paniki. Jako jeden z *promachoi*, żołnierzy walczących w pierwszej linii, nie miał możliwości ucieczki. Nie mógł zawrócić ani zrobić uniku. Wobec naporu falangi mógł tylko posuwać się przed siebie, na oszczepy przeciwnika, gdzie za błędny ruch, krok, miał zapłacić, „trzymając w rękach własne zakrwawione flaki”, jak to ujął poeta Tyrtajos.

Rytm fletów przyspieszył, falanga przeszła w trucht. Następnym kilkanaście kroków i mgławica pocisków uniosła się, wyskakując zza pierwszej linii wroga. Strzały i oszczepy piękne i zarazem przerażające osiągnęły najwyższy punkt i opadały ku ziemi - zabójczy deszcz ostrego jak brzytwa żelastwa. Memnonowi żołądek skoczył do gardła.

Szybko poderwał tarczę, ustawiając ją ukośnie, tak że zakrywała mu głowę i prawy bark żołnierza obok. Strzały wbiły się w ziemię; uderzały o tarczę z trzaskiem rozłupywanego młotkiem drewna. Cięższe oszczepy odbijały się od wklęsłej *aspis* i klekotały o las uniesionych za jego plecami włóczni. Memnon słyszał krzyki najbliższych towarzyszy, szaleńcze wycia i modlitwy, wyrzaskiwane raz za razem na całe gardło jak zaklęcia imiona - ojców, matek, żon, dzieci, przodków, bohaterów. Dodał swój głos do ogólnego harmideru, gdy kolejna nawała pocisków wstrząsnęła liniami rebeliantów, a potem trzecia. Mimo to falanga posuwała się biegiem, nie łamiąc szyku. Zanim Persowie wypuścili czwartą falę, salpinksy wydały rozkaz do ataku.

Z gardeł rebeliantów wyrwał się chrapliwy ryk. Kiedy rzucili się przed siebie, pokonując ostatnie pięćdziesiąt kroków, Memnon i inni żołnierze pierwszego szeregu opuścili włócznie równoległe do podłoża. Dwa kolejne szeregi powtórzyły ten manewr, wystawiając oręż nad ramionami *promachoi* i tworząc morderczy żywopłot jesionu i żelaza.

Jeszcze czterdzieści kroków. Trzydzieści. Adrenalina wyostrzyła zmysły Memnona. Wybrał żołnierza dokładnie naprzeciwko, Babilończyka w pokrytej łuską z brązu tunice i obszytych złotem pantalonach. Jasne słońce odbijało się od ostrego żeleźca jego włóczni. Nie okazywał lęku, był ponury i zdecydowany. Dwadzieścia kroków. Memnon cały zeszywniał; wygiął w łuk tors, kryjąc się jeszcze szczelniej za tarczą. Palce jak z żelaza zacisnęły się na drzewcu włóczni; zatrzeszczały kłykie. Ryk żołnierzy wzrósł jeszcze bardziej, stając się basowym ujadaniem zapędzonego w kąt zwierzęcia. Wszelki strach zniknął, gdy katartyczna fala hałasu scaliła się w jedno słowo:

- Zwycięstwo!

Dwie armie zderzyły się nie z hukiem gromu, ale z nie mniej dramatycznym trzaskiem i chlupotem pękających kości, powtórzonym tysiącrotnie zgrzytem i wizgiem żelaza. Włócznie pękały jak podpalka; wiklinowe tarcze rozlatywały się pod naciskiem okrytych brązem *aspides*, popychanych ciężarem całej falangi. Memnon czuł parcie za plecami, gdy przetoczył się przez wybrany cel i wpadł na drugi szereg Persów. Jego włócznie dźgała dalej i dalej. Krew tryskała z

rozrywanych torsów i gardeł, krople wisały w powietrzu jak jarzące się rubiny ciśnięte dłonią dobrotliwego tyrana. Żołnierze padali, wijąc się w brei zrytej ziemi, krwi i wnętrzości.

Uwikłany w wojenny zamęt Memnon całkowicie pozbył się lęku o siebie. Jednostka przestała się liczyć; stał się częścią powszechnego zagrożony przez powszechnego wroga i popędzany powszechnym pragnieniem. Jego tarcza poruszała się z własnej woli, chroniąc żołnierza po prawej, tak jak inny chronił jego. Memnon raz za razem uderzał znad głowy włócznią, przebijając ciało i kości nieprzyjaciół.

Dwie pierwsze linie miażdżyły się nawzajem jak kamienie młyńskie. Perskie centrum samą masą zahamowało postęp kardaków. Stopy wbiły się w ziemię; palce nóg szukały zaczepienia wśród leżących trupów; ziemia stała się śliska od krwi i moczu. Płuca Memnona pracowały jak miechy kowalskie. Pot i krew szczypały w oczy, oślepiały. Perskie ostrza szukały szczelin w jego osłonie; ślizgały się po hełmie, drapały napierśnik, rozbiły o tarczę. Krwawa furia oładnęła młodym Ro-dyjczykiem, wściekle rozdrażnienie lwa napastowanego przez ujadające hieny. Chciał wyciągnąć rękę i odrzucić na bok przeciwników, jakby byli tylko bierkami na szachownicy.

- Zatrzymać ich! - ryknął Memnon, napierając na mur ciał. - Trzymać szyk!

Parcie z tyłu zdwoiło się, wypychając mu powietrze z płuc. Włócznie przestały pracować, gdy żołnierzy po obu stronach przelali wszystkie siły w przepychankę. Rebelianci zakołysali się, zatrzęśli pod przemożnym naporem, orając bruzdy w zmoczonej krwią ziemi.

Memnon ledwo zapał.

- Trzymać!

Przyszło nieuniknione. Jego linia się ugięła.

Opierająca się ruchliwej wiosennej powodzi niewymyślna zaporza wieśniaka, zbudowana z gałęzi, kamieni i ziemi, uratuje poletko, jeśli zachowa spoistość, całość. Ale gdy tylko jeden element - byle gałązka czy kamyk - ulegnie naporowi, woda wedrze się w wyłom i tama nieubłagane osłabnie i runie, zmywając zasiew pod jesienne zbiory.

W zaporze walczących rebeliantów pierwszy wyłom otworzył się po lewej ręce Memnona. Usłyszał przeraźliwy wrzask żołnierza, który się poślizgnął i upadł, stwarzając Persom szansę utworzenia przyczółka. Włócznie wdarły się w linię rebeliantów. Memnon instynktownie przesunął się w lewo, ochraniając odsłonięty bok tarczy. Wyłom się poszerzył, gdy babilońscy włócznicy, wyjąc z furii, wkłuli się w serce rebelianckiej formacji.

Czyjś bark z siłą tarana uderzył Memnona w brzuch. Rodyjczyk zatoczył się w tył i odpowiedział uderzeniem włóczni. Zeleźce roztrzaskało się o hełm z brązu. Z kurzu wyłoniła się postać atakującego, potężnego Persa w zakrwawionej zbroi i porwanej, zbryzganej krwią tunice. Krzywa szabla waliła w tarczę Memnona, obalając go na kolana. Kolejne ciosy pogięły i nadwerżyły brąz, ale nie zdołały go przebić. Memnon rozpaczliwie pracował złamaną włócznią. Zmienił chwyt i wbił ułamane drzewce w krocze atakującego, wierząc nim w ranie, aż zazgrzytało o kość. Pers złożył się w pół, wrzeszcząc i zasłaniając rękami. Memnon zerwał się na nogi. Warcząc, uniósł tarczę i z taką mocą uderzył brzegiem w kark nieprzyjaciela, że roztrzaskała kręgosłup, jakby był z gliny.

Memnon odskoczył, wrywając z pochwy miecz. Dotychczas zwarte formacje, własne i wraże, załamały się i rozgorzała walka wręcz. Persowie zalali szeregi ustępujących kardaków, atakując ułomkami włóczni, mieczami i nożami. Nawet ranni walczyli zębami i pazurami. Ręce łapały za nogi Memnona; ciął je jak wieśniak tnie osty, nie zważając na kolce. Pożyczony kirys raz za razem ratował mu życie. Szeroka tarcza przyjmowała celujące w serce, w głowę pchnięcia włóczni.

- Prze-for-mować się! - krzyczał. - Prze-for-mować się!

Chmury żółtawego pyłu toczyły się przez pole, tworząc pejzaż z koszmarnego snu, w którym groteskowe sylwetki na wpół widocznych menad wojny podrygiwały w dionizyjskim szale. Pojedyncze postaci w wirach krwi i żelaza rozrywały welon kurzu, po czym na powrót znikwały w pandemonium. Wynurzył się Arios. Cały umazany krwią, utracił w zawierusze tarczę i hełm i wyciągał dłonie w geście poddania. Młody Rodyjczyk wykrzyknął imię towarzysza, gdy z oparów wyłonił się brodaty Chalcedończyk i włócznią przebił na wylot Ariosa, przygważdżając go do ziemi. Z rykiem morderczej furii Memnon skoczył w to miejsce, tnąc ostrzem twarz Chalcedończyka. Wróg zawył ze zgrozy i zatoczył się w tył. Memnon runął za nim, chciwy świeżej perskiej krwi. Ale to, co zobaczył w zmętniałym powietrzu, kazało mu się zatrzymać.

Persowie zaprzestali natarcia. Ogłupiali kręcili się w miejscu. Coś niewidzialnego wzbudziło alarm w szeregach. Memnon gestem i głosem wezwał kardaków:

- Formować szyk! Szybko, bracia!

Po dwóch, po trzech rebelianci przegrupowali się, łącząc tarcze i tworząc wąły mur.

Memnon z lewej strony usłyszał piskliwy śpiew fletów. Przygłuchymi uszami słyszał, jak perskie okrzyki triumfu przemieniają się we wrzaski grozy. Zahartowani w bojach żołnierze zadrżeli, ich odwaga opadła, gdy ponad bitewną wrzawą rozległo się wyraźne zawołanie:

- *Athena Promachos kai Nike!*

Ateńczycy.

Memnon obnażył zęby w wilczym grymasie, wskazując mieczem żołnierską masę po drugiej stronie zmoczonej krwią wolnej przestrzeni.

- Za Artabazosa i zwycięstwo!

Memnon jak szaleniec, na łeb, na szyję powiódł kardaków przez okryte trupami pole, za cofającymi się szeregami wroga. Panika udzieliła się babilońskim włócznikom, niewątpliwie podsycana wspomnieniami katastrofy pod Maratonem, rzezią pod Termopilami, spustoszeniami pod Kunaksą. Lojalni królowi Persowie setkami rzucali broń i odwracali się do ucieczki, powstrzymywani przez stojące w głębi zbite szeregi. Żołnierze jeszcze chwilę wcześniej głodni krwi rebeliantów teraz z wyciem oszalałej ze strachu trzody tratowali towarzyszy broni, gorączkowo uciekając przed bladą dłonią śmierci. Kardakowie i ich greccy sprzymierzeńcy jak jeden człowiek uderzyli na Persów niczym wcinający się w spróchniały pień topór.

Rozpoczęła się prawdziwa rzeź.

Przedpołudnie ustąpiło południu, zanim trębacze wezwali do zejścia z pola walki.

Splamiony krwią od stóp po głowę Memnon usłyszał przeraźliwy dźwięk i nie myśląc, usłuchał rozkazu. Był oszołomiony zmęczeniem i pragnieniem. Miecz wysunął się z porażonych skurczem palców; ręce drżały, nogi odmawiały posłuszeństwa, mięśnie i ścięgna płonęły bólem. Z trudem zerwał z głowy hełm, odsłaniając zlepione włosy. Splunął krwią. W boju tak kurczowo zaciskał szczęki, że połamał sobie zęby. Oddech wiatru pieścił mu twarz.

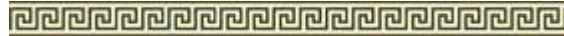
Na wschodzie wiszące w zenicie słońce rozgorzało na powierzchni jeziora złotym ogniem; kołysały się wysokie trawy, szeleściły w idyllicznym powiewie wąskie korony drzew barwy przezroczystej zieleni. Chłonąc chciwie powietrze, Memnon z trudem się odwrócił i spojrzał na równinę.

Tępyim wzrokiem ogarnął przedsiónek piekła.

Posiew zniszczenia rozciągał się szeroko na milę i siedł na głębokość dwóch, pole Aresa. Bóg wojny pogardzał wołami, wołał wprzác w swoje jarzmo ścierające się armie, by orały jego posiadłości. W oskórowaną ziemię wsączały się ciecze wojny: pot i krew, żółć i treść jelitowa, szczyiny tchórzów i łyzy umierających; wszystko łączyło się w śluz, lepjący się do kostek tych, którzy jeszcze potrafili ustać. Ziemia dygotała i drżała wraz z konwulsjami rannych. Pocięte torsy i odrąbane kończyny spoczywały na dywanie wydartych trzewi; z mieszaniny sterczały

poczernione krwią ręce; nieruchome zaciśnięte palce nadal dzierżyły połamane ostrza. Drzewca włócznie sterczały pod dziwnymi kątami, niekiedy prosto w niebo, niczym oczekujące na przesadzoną winorośl podpórki. Miejscami ostry błysk złotej koronki, lśnienie bogatego materiału wydawały się nierealne na tle zniszczenia jak zrodzony z odwodnienia miraż.

Nogi Memnona poddały się; opadł na mary śliskich od krwi członków. Trupy swoich i wrogów jak kołyska utuliły roztrzęsione ciało. W końcu pokonany Rodyjczyk zamknął oczy...



Zastępy przeczesujące pole bitwy pracowały do późnej nocy, szukając rannych sojuszników, wysyłając do bogów tych, którzy nie mieli nadziei na przeżycie, i zbierając trupy. Wybranych perskim jeńcom, którzy nie uciekli z Mitrydatesem, pozwolono na podobne posługi wobec swoich. Innych zagoniono do kopania masowych grobów.

Memnon siedział na skalnej ostrodze, na której magowie składali poranną ofiarę, i patrzył na falujące w dole światła pochodni. Nadal miał na sobie pożyczony kirys. Był podrapany i powyginany, okryty zaschniętą krwią. Brudne opatrunki zakrywały prawe ramię i nogę. Siedział przygarbiony, wspierając łokcie na kolanach i podbródek na pięściach. Pograżony w myślach poruszał bezdźwięcznie ustami. Przechodząc jeszcze raz bitwę, analizował każdą krótszą i dłuższą chwilę, badając jej zawartość, tło i wynik. Napotykał dziury w pamięci, długie, zamglone obrazy wyzbyte szczegółów poza błyskiem metalu, krzykiem, bryzgiem krwi. Końcowy wynik okazał się tak frustrujący jak próba odbudowy z części płytek roztrzaskanej mozaiki.

Zaskrzypiał miażdżony podeszwą sandała kamyk. Memnon odwrócił się i zobaczył potężną sylwetkę brata, obramowaną światłem dalekich ognisk. Mentor wyszedł z rzezi jedynie z drobnymi ranami. Mocno zaróżowiony po odniesionym triumfie i już wypitym winie, wykąpany i przebrany w rdzawej barwy chiton niósł starodawną czarkę z dwoma uchami, skyfos. I ona, i jej zawartość były łupami z namiotu Mitrydatesa. Rozlewając wino, chwiejnym krokiem podszedł do brzegu skały, spojrział w dół, po czym wrócił do brata i ciężko usiadł obok.

- Jesteś pijany - rzekł Memnon.

Mentor czknął i powiedział:

- A pewnie, że jestem pijany, i ty byś też był, jakbyś miał trochę rozumu. Zeusie!

Odnieśliśmy zwycięstwo, a ty siedzisz tutaj, trapiąc się zabitymi jak sam Hades. Co ci doskwiera, bracie? Wojna już nie wydaje ci się takim wspaniałym przedsięwzięciem, jak sobie wcześniej wyobrażałeś?

Pociągnął tęgi łyk i trącił w bok Mentora, podsuwając mu puchar.

Mentor opędził się od brata i zmarszczył czoło.

- Nie wiem, czy bitwa była wspaniała czy nie. Nie potrafię sobie przypomnieć. Ostatnie, co trzeźwo pamiętam, to rozkaz do ataku, a potem wszystko się wymieszało... tu jakiś kształt, tam jakaś scena...

niczym fragment lektury lub widowiska. Jakby ktoś przejął kontrolę nad moim ciałem i przeprowadził mnie przez bitwę.

- Twój dajmonion - rzekł Mentor.

Memnon spojrział na niego nieufnie.

- Duch opiekuńczy, który rodzi się z każdym z nas - wyjaśnił starszy brat. - Kieruje naszymi czynami na dobre lub złe. Kiedy zamęt osiągnął kulminację, twój dajmonion przejął nad tobą władzę, ochronił cię, byś nie oszalał pod naporem potworności.

- Nigdy mi nie przyszło do głowy, że taki z ciebie zwolennik sokratejskiej myśli.
- A czemu ci nie przyszło, braciszku? Nie jestem prostym rębajłą. - Mentor skwitował swoje wywody kolejnym czknięciem.

- W samej rzeczy. Jak Artabazos?

- Jak na razie unieruchomiony. Noga mu wysiadła. Zaliczył też kilka nie najpiękniejszych ran, ale jest w dobrym humorze. Wciąż o ciebie pyta. Obawia się, że pierwsza bitwa tak tobą wstrząsnęła, że nie możesz się pozbierać. - Starszy Rodyjczyk wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

- Stawię się przed nim, zanim pójdę spać. - Memnon wsłuchał się w dobiegające z obozu odgłosy zabawy, ostre śmiechy i muzykę, zagłuszające wrzaski z namiotów medyków. - Ilu zabitych?

- Dane są z grubsza - powiedział Mentor, rozluźniając mięśnie ręki i barku, którymi operował włócznią. - Wygląda na to, że straciliśmy jakichś dwustu Greków i ponad tysiąc kardaków. Mitrydates ustawił mniej żołnierzy na skrzydłach, żeby zwiększyć siłę centrum. Chares twierdzi, że prawie miał drania na końcu włóczni...

- Dokąd uciekł Mitrydates?

Mentor wzruszył ramionami.

- Najpewniej do Sardes. Stracił dziesięć razy tylu żołnierzy co my, więc jeśli przeżyje gniew Ochosa, to wątpię, żeby nadal nas niepokoił. Daskylejon jest nasze. Wykorzystamy je z głową i przygotujemy się do kontrataku. Artabazos posyła mnie z powrotem do Assos. Będę eskortował jego rodzinę do Daskylejon i przeprowadzę nowy zaciąg najemników, zakładając, że uda mi się na tak długo oderwać starego Eubulo-sa od jego chłopaczków, żeby chciało mu się rozesłać wici wzdłuż Morza Egejskiego. Chares wybiera się w górę wybrzeża, do Lampsakos. Ma zapędzić do roboty swoich cieśli okrętowych. Pammenes ruszy do doliny rzeki Makestos, żeby pilnować Drogi Królewskiej.

- A co ze mną?

- Zostaniesz przy Artabazosie. Chroń go, Memnonie. To nasza największa nadzieja na przyszłość. - Mentor objął brata i przyciągnął go do siebie. - Słuchaj, mały. Dzisiaj dobrze się spisałeś. Może tego nie pamiętasz, ale... na bogów...! stawileś czoło wrogom i zrobiłeś to, czego od ciebie żądano. Od nikogo nie można więcej wymagać. Jesteśmy w świetnej sytuacji. Artabazos będzie potrzebował godnych zaufania mężów, którzy zajmą się jego posiadłościami w Troadzie, Eolii, Myzji, może nawet Jonii.

- A kto jest bardziej godny zaufania niż rodzina?

- Otóż to.

Memnon skinął głową. Przez chwilę nic nie mówił, zamyślił się głęboko.

- Dlaczego...? - Urwał i tylko przelotnie zerknął na brata.

- Co dlaczego? - Mentor pociągnął wina.

- Nic - odparł z westchnieniem Memnon. - Przypomniało mi się Rodos.

- Rodos, co? Chciałeś mnie zapytać, dlaczego nie pomściliśmy ojca, skoro rodzina jest tak ważna. - Mentor mruknął coś do siebie i zakołysał czarką, zanim ją opróżnił. - Zeusie! Ty to umiesz otrzeźwić człowieka.

- Tak łatwo przejrzeć mnie na wskroś?

- Jak sprane płótno, bracie. Może masz rację. Może powinniśmy zebrać własne wojsko i przywrócić na Rodos demokrację, może też na Kos i Chios. Ale czy spisałibyśmy się lepiej niż Ateny? Może powinniśmy wrócić do ojczyzny, zebrać i poprowadzić demokratów przeciwko oligarchom i wypędzić Filolaosa do człowieka, który go przekupił, Mauzolos z Karii. Ale czy spisałibyśmy się lepiej niż Timokrates? Może właśnie powinienem popłynąć na Rodos, dopaść

Filolaosa i zamordować go. Najzwyczajniej. Najprościej. Śmierć za śmierć. Ale czy spisałbym się lepiej niż ty?

- Teraz ze mnie szydzisz! - warknął Memnon.

- Nie - rzekł Mentor. - Pytam absolutnie szczerze, co według ciebie mam uczynić?

Ojciec padł na wojnie, na wojnie z własnego wyboru. Filolaos może był jego nieprzyjacielem, ale nie mogę go potępiać za coś, co też bym zrobił, gdybym był na jego miejscu. Spójrz na to z innej perspektywy, Memnonie: Arios padł na wojnie, na wojnie z własnego wyboru, chociaż nie we własnej sprawie. Czy teraz ojciec i bracia Ariosa powinni potępić Mitrydatesa za to, że poprowadził jego zabójcę do bitwy? Czy też powinni oplakiwać zabitego ziomka i pozostawić los jego zabójcy w rękach bogów?

Memnon się zgarbił; spojrział na Mentora udręczonym, utrudzonym spojrzeniem.

- Chyba zaczynam rozumieć, o co ci chodzi.

- To dobrze - rzekł Mentor. - Chodź, doprowadź się do porządku. Jutro będzie wiele do zrobienia.

Wstał i dźwignął na nogi brata. Ten ledwo potrafił na nich ustać, wycieńczony całodziennym trudem. Skrzywił się.

- Zawsze potem tak jest?

Mentor roześmiał się pod nosem.

- To jak z dziewicą, drugi raz jest już łatwiej.

Ramię w ramię synowie Timokratesa udali się do obozu rebeliantów.

Rozdział siódmy

Kelajno, kara niseańska klacz Artabazosa, pędziła prostą hipodromu Daskylejon; kopyta wznosiły obłoczki kurzu w nieruchomym powietrzu popołudnia. Nagi do pasa Memnon garbił się nad szerokim karkiem zwierzęcia, lewą ręką trzymał luźne wodze, prawą - oszczep. Dalej, w pobliżu wyznaczającej zakręt rzeźbionej kolumny, stała nie-foremna słomiana kukła, na której węglem drzewnym zaznaczono ludzką sylwetkę i czerwony krąg pośrodku korpusu. Koń i jeździec poruszali się w jednym rytmie. Kiedy byli blisko kolumny, Memnon się uniósł i cisnął oszczepem. Cel mignął obok lewego boku klaczy. Memnon obejrzał się - oszczep daleko minął cel, zagłębiwszy się w słomie z boku. Siła uderzenia przekrzywiła kukłę.

- Sukinsyn!

Za zakrętem Memnon zwolnił bieg konia do krótkiego galopu. Pot zlewał umięśniony tors młodego Rodyjczyka, przemoczył krótką lnianą spódniczkę i zdobiony frędzlami czaprak. To była czwarta próba i Memnonowi ani razu nie udało się trafić w centralny krąg. Poklepał mokry kark Kelajno.

- Stać cię na piąty raz, dziewczynko?

Klacz rzuciła łbem i zarżała. Memnon zatoczył koło i wrócił na start.

Niewielka grupka obserwowała ćwiczenia: Farnabazos, najstarszy, dwunastoletni syn satrapy, jego pedagog, ponury Grek z Jonii, nieco dalej trzej tesalscy hodowcy koni i czterech chłopców stajennych Arta-bazosa. Z boku stał Patron. Głowę ocieniał mu szerokoskrzydły kapelusz, na ramieniu przewiesił żeglarski wór. Kapitan *Kirke* uśmiechnął się, pokazując zęby. Memnon uniósł dłoń na przywitanie. Spojrzał na siostrzeńca.

- Farnabazos! Nowy oszczep!

- Tak, wujku.

Pedagog z niezadowoleniem patrzył, jak jego podopieczny ile sił w nogach biegnie do stanowiska z bronią, bierze wystrugany z derenia oszczep i wraca tam, gdzie Kelajno niecierpliwie drobiła w miejscu. Dwaj niewolnicy podbiegli i wyprostowali kukłę.

- Dlaczego chybiam? - spytał, odbierając oszczep, Memnon. Skrócił wodze. - Jak myślisz?

Farnabazos zacisnął wargi. Miał delikatnie rzeźbione kości policzkowe matki - perskiej damy, która zmarła podczas wydawania na świat jego młodszej siostry, Barsine - i przesywające spojrzenie ojca. Niesforna kasztanowa czupryna nie słuchała grzebienia. Jak wszyscy w rodzinie satrapy mówił nieskazitelną greką.

- Chyba za późno rzucasz.

Memnon się uśmiechnął.

- Też tak myślę. Więc, jak uważasz, kiedy? Cztery długości od celu?

- Cztery, może pięć. - Farnabazos skinął głową.

- Ufam twojej ocenie. Nie wprowadziłbyś mnie w błąd, prawda?

- Nigdy, wujku.

Memnon puścił do niego oko i trącił piętami boki Kelajno. Klacz runęła przed siebie, napięła mięśnie pod lśniąca sierścią, gdy błyskawicznie doszła do pełnego galopu. Memnon siedział swobodnie, utrzymując się udami. Od pasa w górę był całkowicie rozluźniony. Koń i jeździec na złamanie karku zbliżali się do celu. W odległości dwukrotnie większej niż poprzednio Memnon uniósł się na udach i cisnął oszczepem. Błysnęło żelazo; tym razem pocisk uderzył w sam środek bezwładności. Człowiek zgiąłby w jednej chwili, z rozpołowionym sercem. Wybuchły wiwaty.

Memnon zatoczył koło i wrócił do Farnabazosa.

- Na bogów, miałeś rację!

Chłopiec się rozpromienił.

Memnon przerzucił prawą nogę nad szyją Kelajno i zeskoczył na ziemię. Klacz rżała i rzucała łbem, dzwoniły srebrne płaskie kółka zdobiące wodze i resztę ogłowia. Młody Rodyjczyk gestem rozkazał stajennym zabrać wodze, po czym objął ramieniem Farnabazosa i podszedł z nim do pedagoga, który czekał niecierpliwie, marszcząc czoło.

- Znowu coś na ciebie czeka?

- Retoryka - odparł Farnabazos, krzywiąc się z obrzydzeniem. - Ta stara pomarszczona torba Nikeratos nie cierpi mnie jak wszystkich *barbaroi*. Ojciec zaraz powinien go odesłać do Paros. Mógłbym jutro trochę poćwiczyć rzucanie, wujku?

Memnon spojrzał z ukosa na chłopca.

- Myślisz, że utrzymałbyś Kelajno?

Farnabazos skinął głową.

- Wydaje mi się, że jestem gotowy.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale tylko jeśli twój ojciec się zgodzi. Poprosimy go dziś wieczór, po kolacji. - Uścisnął ramię chłopca. - A teraz idź i ucz się od Nikeratosa, choćby tylko tego, na czym polega cierpliwość.

Farnabazos uśmiechnął się i pomachał wujowi ręką, gdy pedagog popychał go w kierunku pałacu na wzgórzu.

- Ojciec kropka w kropkę - zauważył Patron, przyłączając się do Memnona.

- Któregoś dnia będzie z niego znakomity satrapa. - Młody Rodyjczyk odwrócił się do żeglarza. - Wybacz, że Artabazos kazał ci przy płynąć o tak późnej porze roku, ale nie chciał czekać całą zimę. Ma zamiar wysłać posłańca do Macedonii i zawrzeć przymierze z królem.

- Nie musisz przeproszać, Memnonie. Artabazos miał rację. Ten Filip uwziął się wskoczyć w szaty Agamemnona. Cztery lata na tronie i już zmiażdżył Ilirów, przydusił Amfipolis, oszukał Ateńczyków, zdobył Potidaję i Pydnę, a jego koń zwyciężył w wyścigu w Olimpii. Co kolejno sobie upatrzył? Azję?

- Tym bardziej należy mieć go za przyjaciela, nie za wroga - stwierdził Memnon. - Kiedy zamierzasz wyruszyć?

- Kiedy tylko dotrę na statek. Jeśli tej nocy wyruszymy przy pełnym księżycu, *Kirke* wpłynie do Kyzikos przed świtem. Chcę do końca tygodnia wypłynąć poza Hellespont. Chodź, odprowadzisz mnie do portu.

Memnon wydał polecenia stajennym, powierzając Kelajno ich opiece. Wyszedł z Patronem z hipodromu. Piaszczysta droga, miejscami ocieniona kępami sykomor, biegła wysokimi brzegami Małego Makestosu, chlupocąc w kamienistym korycie i wijąc się do jeziora Daskylitis i portu. Im dalej od wody, tym słabsza była muzyka cykad. Między drzewami, po prawej ręce Memnona, widniały kamienne tarasy i strzegące murów fortecznego pałacu Farnakidów, rodzinnego gniazda Artabazosa, ziemne wały. Wapienie migotały w słońcu, błyszcząły złote ozdoby na pancerzach wartowników.

Patron poszedł za jego wzrokiem.

- Ta cała rebelia na nic by się nie zdała, gdyby Mityrydates po prostu siedział na tyłku.

- W takim razie mieliśmy szczęście, że go poniosło.

- Ale gdy dojdzie co do czego, czy Artabazos będzie pamiętał tę lekcję?

- Co masz na myśli?

- Ochos nie zapomniał - rzekł Patron. - Przybędzie kolejna armia, większa, dowodzona przez kogoś bardziej doświadczonego niż Mityrydates. Co zrobi Artabazos? Czy zostanie i będzie

broniał Daskylion, czy wyjdzie poza mury i będzie walczył w polu?

Memnon rozważył odpowiedź. Podczas pięciu miesięcy od bitwy nad jeziorem Manyas jedyną troską Artabazosa była odbudowa wyniszczonych latami bezrządu satrapii. Podczas gdy zajmował się sprawami państwowymi - od przyjmowania obcych poselstw, szukających względów u perskich arystokratów i pragnących zawrzeć pokój z królem królów, po wieśniaków, żywiących wzajemnie, sięgające czasów jego ojca urazy - zostawił wojenne sprawy Mentorowi i dowódcom najemników.

- Walki zupełnie ustały - rzekł w końcu. - Próbné wypady do doliny Makestosu wstrzymano. Pammenes zawiadomił nas, że Droga Królewska jest wolna od nieprzyjaciela, poza normalną służbą kurierską. Okręty patrolowe Charesa nie napotkały niczego w okolicach Propon-tydy ani Pontos Euksejnos. Nie wątpię w to, co mówisz, że przybędzie kolejna armia, ale niepodobna, aby to nastąpiło o tej porze roku. Artabazos ma przynajmniej do końca wiosny czas na podjęcie decyzji co do dalszych posunięć. - Po chwili dodał: - Chciałbym się z tobą wybrać. Na morzu mężczyzna zna swoje miejsce. Wie, kto jest jego wrogiem, kto przyjacielem. Politycy nie siadają do wiosła.

- Zabrałbym cię - powiedział Patron - gdybym uważał, że to sprawi ci przyjemność. Musisz spojrzeć w twarz rzeczywistości, chłopcze. Musisz znaleźć swoje powołanie. Jesteś żołnierzem, dowódcą jazdy, przywódcą. Już się nie ukryjesz na ławce wiosłarzy.

Ich szlak się poszerzył i łączył z główną drogą. Biegła od fortecy na wzgórzu do portu. Daskylejon leżało na południowym brzegu jeziora, w wąwozie stanowiącym idealną osłonę statków. Chroniły się przed gwałtownymi sztormami, które przychodziły wiosną i zimą. Po drugiej stronie głęboka, powolna rzeka Makestos kończyła dwudziestomilową podróż do Propontydy.

Droga przebiegała przez serce Daskylejon, obok kamiennie-drewnianych domów, których fundamenty położono za czasów Dariusza Wielkiego. Nowsze nosiły ślad greckich wpływów. Memnon i Patron omijali wozy ciągnięte przez woły. Obładowane zbożem i oliwą kierowały się do fortecznych składów. Wieśniacy z okolicznych wiosek prowadzili sznury koni na targ po zachodniej stronie miasta.

- Nie najlepszej krwi - zauważył Memnon, widząc, jak są szczupłe w kłębie, i słysząc tępy odgłos ich kopyt - ale użyteczne. Będą z nich dobre konie pocztowe.

- A co z kurierami, którzy by ich dosiedli?

- Rekruci zgłaszają się zewsząd. Artabazos ma dobre imię wśród skorych do boju mężów, zarówno Persów, jak i Greków. O wiele lepsze niż Ochós. Jesteś najemnikiem, więc z kimś byś trzymał, z kapryśnym despotą czy starym dobrodusznym dziadkiem, chętnym do rozdawania monety?

Patron się uśmiechnął.

- Dlatego jestem w Daskylejon, nie w Suzie.

Droga wychodziła na otwartą przestrzeń przy porcie, gdzie wyłożona kamieniami keja biegła wzdłuż wody; równoległe do niej, nieco w głębi, kolumnadowe składy handlowe służyły miejscowym kupcom, którzy prowadzili w nich interesy. Jaskrawe markizy nad wejściami zapewniały mile witany cień, w którym targowano się o oszałamiający wybór towarów: oliwę z oliwek i wino znad Morza Egejskiego, garum, sos z zepsutych ryb dostarczany z Kyzikos, kosze frygijskich fig, plastry miodu z doliny rzeki Sangarios, wełnę ze stoków góry Ida. Mimo że na targu było rojno, brak takich luksusowych dóbr, jak cenne metale i biżuteria, wykwiłne materiały czy meble ponuro przypominał o toczącej się wojnie.

- Imponujący widok - rzekł Patron, skinieniem głowy wskazując port.

Triera ze zrefowanym żaglem niespiesznie przybijała do kei. Polerowany taran z brązu

tak ostro odbijał światło słońca, że Memnon z ledwością rozróżniał wyrzeźbiony na tylnej stewie wizerunek Ateny. Kapitan zajmował wysokie stanowisko na dziobie, wskazując dłonią na rufę, gdy okręt zbliżał się do cumowania. Żeglarze stali przy burtach z postawionymi na sztorc wiosłami. Obsługa cum stała na kotbelce, wystającej poza burtę; wzdłuż kei ich odpowiednicy czekali przy pachołkach.

- Czy to jeden z okrętów Charesa? - spytał Memnon.

- To ateńska jednostka, ale... - Patron przyjrzał się uważniej i mruknął zaskoczony, po czym dodał: - To *Salamina*, jedna z trier państwowych. Widziałem ją wcześniej raz, okrążała przylądek Sunion, wracając do Aten. Zeus tylko wie, co ją tu sprowadza, ale to nie może być nic dobrego. Nie służy jako posłaniec radosnych wieści.

- Lepiej sam się przekonam. Jeśli to złe wieści, Artabazos będzie chciał się z nimi zapoznać. Żegnaj, przyjacielu - powiedział Memnon, ściskając Patrona. - Złóżę ofiarę Posejdonowi w intencji twojego bezpiecznego powrotu.

Patron się uśmiechnął i klepnął po plecach młodego mężczyznę.

- A ja Aresowi, żeby zapewnił ci zwycięstwo.

Mężczyźni się rozstali. Memnon odprowadzał wzrokiem Patrona, gdy ten udał się na brzeg, niewątpliwie już skupiony na prądach i wiatrach. Mimo że jego misja do Macedonii była nie w porę, wybór posłańca świadczył, iż Artabazos darzy go względami. W przeciwnym razie wyznaczylby kogoś innego. Memnon cenił śmiałość Patrona, z pewnością mieli ją również docenić Macedończycy, którzy nade wszystko przedkładali uczciwość i męstwo. Młody Rodyjczyk nie wyobrażał sobie lepszego emisariusza.

Znów skupił uwagę na ateńskiej trierze. Ciągniona cumami i popychana wiosłami jednostka wślizgnęła się na wolne miejsce. Wiązki trzciny zabezpieczały kadłub przed uderzeniami o kamienne nabrzeże. Marynarze wyroili się na brzeg. Sprawdzali węzły cumownicze, ignorując kąśliwe uwagi portowych robotników, którzy je założyli. Kapitan rzucał krótkie rozkazy attycką greką, językiem mówców rzadko słyszonym w tej części Azji.

Z rufy wysunięto pomost. Oddział hoplitów, których hełmy, napierśniki, tarcze i ostrza włóczni lśniły oślepiająco, zszedł na brzeg i ustawił się w dwóch zwróconych do siebie szeregach. Po nich pojawił się mąż, którego wykończona brązem laska zastukała o drewno i kamień. Widniał na niej symbol ateńskiego wysłannika - dzierzżąca wieniec oliwnej złota sowa. Nosił prosty biały chiton i tego samego koloru himation, spięty na lewym ramieniu broszą z emaliowanego złota, wyobrażającą głowę Meduzy. Przybysz przystanął i zlustrował falujący tłum. Jego włosy i broda - już raczej srebrne niż czarne - były krótko przycięte, a zdradzająca podeszły wiek twarz nie mówiła niczego o celu misji.

- Szukam dowódcy! - obwieścił głosem uprzejmym i zarazem władczym. - Dowódcy straży? Czy jest tu taki?

Memnon przedarł się przez tłum robotników portowych.

- Bądź pozdrowiony. Jestem Memnon, syn Timokratesa z Rodos, przyboczny i krewny wielmożnego Artabazosa. Jakie sprawy przywodzą tak zacny okręt do Daskylejon?

Ateńczyk odwrócił się ku niemu. Memnon zadrżał pod jego spojrzeniem, tak przypominał mu wzrok ojca. Oto mężczyzna przywykły do rozmawiania z każdym, od polityków i mówców, po złodziei i żebraków; ocenił Memnona tą samą miarą, nie zwracając uwagi na rozwiane wiatrem włosy ani przepoconą spódniczkę. W końcu prawie niedostrzegalnie skłonił głowę.

- Witaj, Memnonie. Jestem Arystofon z Aten i szukam dowódcy Charesa. Jego przyboczny w Lampsakos powiedział, że tu będzie.

- Jest. Chares ma audiencję u wielmożnego Artabazosa.

- Muszę z nim mówić, jak również z twoim satrapą. To sprawa najwyższej wagi.

- Spodziewam się. Chodź, zaprowadzę cię do niego. - Memnon odczekał, gdy Arystofon nakazywał swojej straży zachować czujność, po czym dodał: - Do fortecy satrapy długa droga. Może wezwę dla ciebie lektykę?

- Nie jest moim zwyczajem dać się nosić na ramionach innych - rzekł poseł, szyderczo wydymając wargi.

- Jak sobie życzysz.

Memnon wskazał kierunek i dwaj mężczyźni ramię w ramię wyruszyli do fortecy Artabazosa. Poza portem powietrze było nieruchome i nabrało temperatury, przeniknięte woniami podgrzanej oliwy, smażonego mięsa i zepsutych warzyw. Pieszycy ubyło, ludzie chowali się przed nieustępliwym żarem. Niewidoczny pies warknął i zaskowytał - niewątpliwie przepędzony ze swojego splecheta cienia nieżyczliwą nogą. Marsz do podnóża wzgórza zajął blisko godzinę; obaj mężczyźni byli zlni potem i mieli sucho w ustach.

Memnon podprowadził ateńskiego wysłannika do małej fontanny w cieniu sykomorowego gaju, gdzie tryskająca woda wpadała do kamiennej cysterny. Usiedli na krawędzi fontanny i napili się. Arystofon zamoczył brzeg himationu i przetarł nim kark.

- Czy Chares dobrze się wam przysłużył?

- Tak - odparł Memnon, niezwłocznie dodając: - a zarazem, oczywiście, przysporzył smutku wrogom Aten.

- Oczywiście. - Arystofon skinął głową. - Nie mnie go oceniać. W liście do ludu Aten przekazał chwalebny opis wojny twojego satrapy z Persją. Czy Chares naprawdę sprawił Medom drugi Maraton?

Memnon pociągnął wody, której nabrał na dłoń.

- Na pergaminie jezioro Manyas może da się porównać do Maratonu, ale w rzeczywistości każda bitwa jest inna. To, że wy, politycy, musicie przekuwać każde starcie na podobieństwo dawnych wyczynów, krzywdzi tych dzielnych mężów, którzy zginęli. Jezioro Manyas było osobną bitwą i ten sukces należy do Artabazosa, nie do Charesa. Uczynił to, co mu kazano, nic więcej.

- Nie lubisz go, prawda? - spytał po chwili Arystofon.

- Nie lubię arogancji.

Mężczyźni zamilkli. Wzgórze wyrastało nad nimi, zwieńczone wapiennymi murami fortecy satrapy. Droga rozszerzała się i dzieliła na trzy odnogi; dwie, biegnące bokami, prowadziły do składów i wojskowego obozu; środkowa szła seriami schodów. Wycięto je w murach oporowych tarasów, zbudowanych z ciosanego kamienia. Rosły tam drzewa, a podesty oferowały miejsca odpoczynku. Świergotały jaskółki, zataczając koła na niebie barwy spłowiałego błękitu.

- Nadal mogę wezwać lektykę, jeśli się zdecydujesz - zaproponował Memnon, przyglądając się niemłodemu Ateńczykowi.

Arystofon parsknął z pogardą, wstał i ruszył ku schodom. Młody Rodyjczyk się uśmiechnął i poszedł w jego ślady.

Trzy odcinki pokonali szybko; na podeście czwartego przystanęli, by Ateńczyk mógł złapać oddech.

- Ciesz się młodością, Memnonie - rzekł. - To największy dar bogów.

- Mój ojciec mówił bardzo podobnie.

Arystofon przysiadł na ocienionej konarami platanu ławce.

- Znałem twojego ojca. Trudny człowiek, ale dobry. Wszyscy Ateń-czycy pograżyli się w smutku, gdy Androtion doniósł nam o jego odejściu.

- Mój ojciec był aż tak znany w Atenach?

- Czy cię to zaskakuje? - zdziwił się Arystofon. - Timokrates był dobrze znany w wielu zakątkach świata. Lata temu... nie mógł być wiele starszy niż ty teraz... przysporzył wiele zmartwień królowi Sparty, Agesilaosowi, gdy za pieniądze starego Farnabazosa uzbroił rozwścieczonych helotów. Spartiaci nie mieli wyboru. Musieli wezwać Agesilaosa do ojczyzny, w innym wypadku państwo by upadło. - Niepokój uzewnętrznił się na twarzy posła. Wstał. - Chodźmy, dość zwłóczyli-śmy. Zaprowadź mnie do Charesa.

Weszli na ostatni bieg schodów.

- Jak się powodzi Androtionowi? - spytał mimochodem Memnon. - Mam nadzieję, że wszystko układa się dobrze?

Arystofon nachmurzył się.

- Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten karierowicz Demostenes.

Zanim wypłynąłem, mówiło się o wytoczeniu oskarżenia Androtionowi za przekroczenie uprawnień. Jakaś bzdura dotycząca nielegalnie zatrzymanego egipskiego statku.

- Więc walki między partiami trwają nadal?

- A jakże. Skrzydło wojenne kosztowało Ateny utratę jej posiadłości. Obawiam się, że za fakcję pokoju przyjdzie zapłacić jeszcze więcej - powiedział Arystofon.

Dotarli na szczyt wzgórza. Po bokach wrót do fortecy ustawiono parę siedzących posągów. Wyrzeźbione w hieratycznym egipskim stylu miały potrójną wysokość rosłego mężczyzny.

- Oto wizerunki egipskich królów, Proteusza i Rampsynitosa - rzekł Memnon, zaspokajając ciekawość wysłannika. - Podarowane Farnabazosowi przez wdzięcznych mieszkańców Naukratis. Mnie wydają się zbyt sztywne, chociaż mój brat, Mentor, jest nimi zafascynowany. Zamierza któregoś dnia na własne oczy obejrzyć cuda Egiptu.

- Wiele ich widziałem - rzekł Arystofon. - Trzeba by trzech żywotów, aby poznać wszystkie.

Same wrota - ze starych, pociemniałych cedrowych desek z okuciami z brązu - stały otwarte, pilnowane przez straż domową, która służbiście pozdrowiła przechodzącego Memnona. Wewnętrzny dziedziniec, wyłożony różowym kamieniem i obrzeżony kolumnowymi portykami, łączył wpływy greckie i perskie. Jońskie kolumny miały kapitele z ciemnego wapienia w kształcie końskich łbów. Drzewa i krzewy w donicach, wybrane przez wzgląd na swą bujność i wonność, rozkwiatały pod opieką doświadczonego ogrodnika Artabazosa, Gryllosa. W niszach stał zbiór cudzoziemskich dzieł sztuki - greckie rzeźby w cętkowanym kamieniu, egipskie maski ze złota i lapis-lazuli, perskie rzeźby w kości słoniowej. Memnon przeprowadził Arystofona przez dziedziniec i portyk w głąbi.

Mały chłopiec wybiegł z cieni i wpadł na kolana Rodyjczyka. Ten udał, że się zatacza w tył. Uśmiechnął się, gdy malec chciał się na niego wspiąć, i porwał go w górę.

- Pokój, Kofenie! Pokój! Poddaję się!

Za Kofenem wyrosła dziewięcioletnia dziewczynka, okazująca już powagę dorosłej osoby.

- Twój podopieczny znów ci się wywinął, Barsine - zauważył Memnon.

- Spryciarz z niego, wujku - przyznała Barsine, odbierając Kofena, zanim chłopczyk zdołał się ucześcić laski Arystofona. - Przepowiadam, że w przyszłości dokona wielkich czynów, chyba że... wpiers sam skręci kark.

- Zabierz do nianki tego małego Heraklesa i powiedz Dejdammii, że wróciłem.

Barsine skinęła głową i odeszła. Kofen wiercił się na jej biodrze.

- Dejdammia to twoja żona?

- Siostra, żona Artabazosa. To jego dzieci. Chodź, Artabazos i Cha-res będą tutaj, w

wielkiej sali.

Memnon wprowadził posłannika przez łukowe wejście.

Sala była głęboka, z dwoma rzędami kolumn takich samych jak te na dziedzińcu. Podtrzymywały wysoki sufit. Światło wpadało przez przezrocza. W głębi, na podium, stał pusty tron Artabazosa - tron satrapy, z którego rządził podległymi ziemiami jak król. Artabazos, Mentor i Chares siedzieli z boku przy małym stole, zwykle służącym skrybom do zapisywania rozkazów pana. Artabazos i Mentor zajmowali proste krzesła, Chares przysiadł na blacie. Kroili soczystego melona i jedli. Mentor gestykulował nożem.

- No i jestem w sypialni Eubulosa, wbity po jaja w żonę gospodarza. Ona wrzeszczy: „Bierz mnie, o, Zeusie! Bierz! Jestem twoją Io, twoją Europą”. No, więc co robię? - Mentor odpowiedział sam sobie na to pytanie, wykonując sprośny gest pięścią. - Młotkuję ją, jakby świat miał się jutro skończyć. Jestem dwa ruchy od szczęścia, kiedy słyszę za sobą jęki. Zgadnijcie, kto stoi w drzwiach?

- Kto? - spytał Chares, ocierając brodę o chiton.

- Eubulos. W rozchylonej szacie trzyma się za pałkę i wlepia uśmiechnięte ślepia w mój nagi tyłek, jak człowiek na pustyni w studnię oazy.

Artabazos się zaśmiał i pokręcił głową.

- A próbowałem cię nauczyć, że każda rozkosz ma swoją cenę.

- Cenę? Cenę można targować, zbić - zaprotestował Mentor. - Nie z Eubulosem. Mimo swej miękkości ten człowiek ma wyłącznie jeden cel na oku...

- Artabazosie! - zawołał Memnon, przerywając anegdotkę brata.

Trzej mężowie podnieśli wzrok znad melona.

- Prowadzę gościa. Emisariusza z Aten - wyjaśnił Rodyjczyk.

Chares zerwał się na równe nogi.

- Na wszystkich bogów! Arystofon! Co ty tu robisz? - Podeszedł do Ateńczyka i uściskał go. Memnon minął Ateńczyków i zajął miejsce u boku satrapy. Chares wskazał przybysza. -

Artabazosie, oto mój drogi przyjaciel, Arystofon, mówca i polityk, który nie ma sobie równych.

- Pochlebiasz mi, Charesie. - Arystofon skłonił głowę przed satrapą. - Wielmożny Artabazosie. Twoja sława cię poprzedza.

- Jak i twoja, szlachetny Arystofonie. Chodź, przyłącz się do nas. Mamy tu przekąskę. Często słyszałem, jak Chares wypowiadał się o tobie w superlatywach. Wyobrażam sobie, że jesteś dla niego jak ojciec.

- A on dla mnie jak syn. Chociaż ostatnio nieco swawolny syn, przynoszący jedynie smutek miastu, które dało mu życie. Gdzie byłeś tak daleko i tak długo, Charesie? Ateny tęsknią za tobą jak Hero za Leandrem. Każdej nocy rozpalaliśmy ogniska na górze Hymettos i modliliśmy się, żeby ich światło przywiodło cię do domu, a każdego ranka rozpaczaliśmy, że znajdziemy twoje martwe ciało na brzegu. Czy zgubiłeś drogę w przepastnym mroku Azji?

Chares się roześmiał i kolejny raz uściskał starca.

- Jak na polityka zbyt wiele w tobie poety, Arystofonie. Mój list dotarł do ciebie, prawda?

- Tak, ale kawałek pergaminu błędnie przy samym człowieku, który go zapisał. Wracaj ze mną do Aten, Charesie. Twój lud tego pragnie.

Memnon zeszywniał. Coś w głosie Arystofona kazało mu się zastanowić. Słyszac tę ukrytą pod żartobliwością powagę, również Mentor podniósł wzrok; oczy Artabazosa przebiegły od jednego brata do drugiego. Ale nieświadomy niczego Chares paplał dalej.

- Brakowało mi cię, Arystofonie. Proszę, siadaj i powiedz mi, co się dzieje w Atenach. Wina!

Starszy Ateńczyk pozostał bez ruchu. Chłodny uśmiech zastygł mu na twarzy.

- Ty idioto - rzekł do Charesa łamiącym się głosem Memnon. - Arystofonie, ty nie żartujesz, prawda?

Posłaniec skłonił głowę.

- Nie, to prawda, synu Timokratesa. Nie rzucałem słów na wiatr ani żartem.

Zgromadzenie zagłosowało, Charesie. Jestem tu, aby zabrać cię do ojczyzny. Ciebie i twoją flotę.

- Co?

Memnon spojrzął na Artabazosa; satrapa osunął się na krzesło, zmarszczył brwi. Mentor uderzył pięścią w stół, przewracając puchar z winem. Zerwał się na równe nogi.

- Bądź przeklęty! Staniemy się bezbronni!

- Wasza obrona przestała być przedmiotem naszej troski - oznajmił Arystofon. Odwrócił się i bez drgnienia powieką wytrzymał spojrzenie Artabazosa. - Twój król, Ochos, dał ostrzeżenie ludowi Aten. Jeśli Chares nadal będzie udzielał pomocy twojej rebelii, królowi królów nie pozostanie inne wyjście, jak w zamian udzielić pomocy wrogom Aten. Wspomoże ich okrętami, żołnierzami, złotem. Nie mamy wyboru, Artabazosie. Chares musi się ze mną udać. Już wydałem rozkazy jego zastępcy w Lampsakos. Ma się szykować do wypłynięcia.

Chares opadł ciężko na stół. Wzrok miał błędny. Zamrugał, patrząc na Mentora i Artabazosa.

- Powiedz... powiedz zgromadzeniu, że nie mogę spełnić jego życzenia. To sprawa honoru. Dałem... dałem słowo.

- Wpierw dałeś słowo Atenom, nieprawda?

- Tak - potwierdził Artabazos. - Charesie, twój udział w moich przedsięwzięciach się zakończył. Jesteś przypisany wyższemu celowi, wiedziony mądrością Ateny i zobowiązany prawami twojej ojczyzny. Nie mam nad tobą władzy, żadna przysięga nie wiąże twojego losu z moim. Idź ze szlachetnym Arystofonem i zanieś Atenom moje słowa podziękowań za udzielenie tak wielu znakomitych mężów i żalu po stracie tych, którzy padli, służąc mi.

- Artabazosie... - Chares wyciągnął rękę nad stołem i uściskał dłoń starego satrapy. - Wybacz.

Arystofon skinął głową.

- Wszyscy prosimy o wybaczenie, wielmożny Artabazosie. Ateny nie życzą ci źle.

- Ani ja Atenom - rzekł. - Jednak proszę, usiądź, musisz być zmęczony. Nalegam, abyś tego dnia wczepiał przy moim stole. Będiesz mógł wyruszyć ze świtem.

- Możesz zająć moje miejsce - powiedział Mentor, wbijając tak mocno nóż w miąższ wielkiego różowego owocu, że zagłębił się w blat stołu. - Straciłem apetyt.

Starszy Rodyjczyk odwrócił się i wypadł z sali.

- Niestety, musimy wracać do Lampsakos - oznajmił Arystofon.

- Oczywiście. Każę przygotować kolację i posłać ją na twój okręt. Memnonie, dopilnujesz tego?

Chociaż w głosie satrapy nie było gniewu, jego zaciśnięte na poręczach krzesła kłykiec zbieleły.

- To niezwykle uprzejme z twojej strony.

Posłaniec skłonił się, wziął pod ramię Charesa i wyszedł z pałacu, dosłownie wlokąc osłupiałego wodza.

- Memnonie - syknął Artabazos.

Młody Rodyjczyk podszedł do satrapy.

- Wyślij kuriera do Pammenesa. Niech najszybciej, jak może, wraca do Daskylejon. Powiedz, że Ochos uderzył z niespodziewanego kierunku.

- Ja pojadę. Będę...
 - Nie. Potrzebuję cię na miejscu.
 - To zbyt ważna wiadomość, żeby zaufać byle kurierowi, Artabazosie. Poślij mnie i Pammenes zrozumie, że to sprawa pierwszorzędnej wagi.
- Stary satrapa zacisnął wargi. Logika Memnona była bezbłędna. Skinął głową.
- Świetnie. Weź jednego z moich koni i pędź, jakby bicz bogów chłostał cię po grzbiecie!



Memnon wyruszył przed zmierzchem. Podróżował bez juków. W torbie z kozłej skóry miał tylko glinianą manierkę z wodą i suchary.

Na jednym ramieniu kiesa, na drugim pas miecza. Co do prowiantu, to mógł liczyć tylko na to, co znajdzie we wsiach. Hełm i ciężki brązowy kirys pozostawił w Daskylejon. Podczas tej wyprawy miał mu wystarczyć stary napierśnik z wytłaczanej skóry.

Młody Rodyjczyk jechał nocą; czarna rzeka po prawej ręce lśniła srebrem w blasku pełni księżyca. Wracały echem słowa Patrona. „Co zrobi? Kiedy przyjdzie kolejna armia, co zrobi Artabazos?” Memnon powątpiewał, aby bez pomocy Ateńczyków rebelianci mogli utrzymać Daskylejon. Jeszcze bardziej nierealna wydawała się możliwość powołania pod broń takiej liczby piechoty, aby Artabazos mógł wydać bitwę wojskom króla. Odwołanie Charesa zniweczyło cały wojenny wysiłek rebelii. Teraz pozostanie jeden cel: przetrwanie. „Co zrobi Artabazos?”

Kelajno długim krokiem pochłaniała drogę. Pierwsza wioska na szlaku pokazała się o świcie. Nieobciążony jeździec wyruszający z Daskylejon do Sardes miał przed sobą tydzień podróży. Trakt - często niewiele szerszy niż górską perć - wiódł w górę rzeki Makestos, na wyżynę, po czym opadał w żyzną równinę lidyjską nawadnianą rzekami Hermos, Paktolos i Hyllos. Wzdłuż niej było siedem wiosek, rozłożonych mniej więcej co dwadzieścia mil. Od panowania pierwszego Dariusza, który wyznaczył tę drogę jako odgałęzienie Drogi Królewskiej, szlaku z Sardes do Suzy, wioski musiały utrzymywać stacje pocztowe, nazywane żłobami, *stathmi*, w których podróżujący mogli dostać pożywienie, wodę, furaz, świeże konie i miejsce do spania. Służba królewska miała to wszystko za darmo, inni za rozsądną cenę. Na mocy rozkazu Artabazosa Beoci zajęli tereny wokół piątego *stathmos*, w pobliżu źródeł Makestos i w cieniu frygijskiej wyżyny.

Pierwsza wioska leżała na skarpie, z której rozciągał się widok na burzliwe nurty rzeki. Gospoda stała z boku drewnianych krytych strzechą chat. Zbudowano ją w stylu perskim: kamienny fundament, ściany z obrzuconych wapnem glinianych cegieł, płaski dach z drewna i słomy wychodzący nad otwartą werandę. Do domu przylegała stajnia z ciemnobrązowych cegieł. Drzwi otworzyły się z niechętnym skrzypieniem i w rozmytym świetle poranka ukazał się mężczyzna, nadal przecierający ze snu oczy.

- Witaj - rzeki greką z obcym akcentem.
- Zajmij się moim koniem - rozkazał Memnon. - Obudź mnie za dwie godziny.

Młody Rodyjczyk ukradł tyle odpoczynku, ile się dało, i o trzeciej godzinie po świcie był w drodze. Trzymał się tego samego rozkładu dnia i nocy w drugim, trzecim i czwartym *stathmos*. W ostatnim, cztery dni po odwołaniu do domu Ateńczyka, naczelnik wioski wziął Memnona na bok.

- Wielka droga nie jest pusta - ostrzegł go.

- Słyszeliśmy. Kurierzy jeżdżą w obu kierunkach, pewnie wioząc rozkazy króla.

Naczelnik dziwnie spozjrzał na Memnona. Jego łysina błyszczała w porannym słońcu, a sztywna kasztanowa broda otarła się o tkany domowym sposobem kaftan, gdy mężczyzna pokręcił głową.

- Mój szwagier i jego synowie często prowadzą stada na płaskowyż, gdzie trawa jest wciąż zielona. Barany pasą się bez końca i chłopcy mają niewiele do roboty poza włóceniem się po okolicy. Jedna ścieżka zaprowadziła ich do miejsca, z którego jest widok na wielką drogę. Posłali po ojca, a on po mnie. Widziałem oddział maszerujący przez Frygię do Sardes. Wiele tysięcy żołnierza.

Memnon zmrużył oczy.

- Czy Grecy przy piątej gospodzie wiedzą o nich?

Naczelnik nie miał pojęcia. Memnon wręczył mu garść srebrnych drachm.

- Masz konia? Dobrze. Jedź do Daskylejon i powiedz dowódcy Mentorowi, co powiedziałeś mnie. Gdyby cię ktoś pytał, mów, że je-dziesz w sprawach satrapy.

Naczelnik pozuł wargę, patrząc na monety w dłoni, po czym kiwnął głową na znak zgody i oddalił się powiadomić żonę. Młody Rodyjczyk skokiem dosiadł Kelajno i trącił piętami boki klaczy. Musiał ostrzec Pammenesa. Od obozu Beotów dzielił go dzień jazdy przez dziki górzysty kraj, porośnięty gęstym lasem, gdzie upał późnego lata zalegał ciężko na ziemi.

Memnon był bezlitosny dla siebie i Kelajno. Droga biegła wzdłuż rzeki, czasem tak blisko, że bryzgi piany moczyły końską grzywę. Pokonywali rozpadliny pod skalnymi urwiskami, omijali głazy większe niż głowy cyklopów i wspinali się po skalnych półkach, miejscami poślubionych płytkami, choć szybkimi nurtami, które przystawały w spienionych rozlewiskach, by znów runąć w dół wodospadami. W takim właśnie miejscu Memnon zatrzymał się na odpoczynek. Od południa minęła godzina.

Nie drgnął nawet liść; poza wonią mokrych skał Memnon wyczuwał smród zgnilizny, zbyt długo pozostawionego na słońcu mięsa. Prawdopodobnie ofiara porzucona przez nocnego drapieżcę. Bzyczały muchy. Upał obezwładniał nawet ptaki, które odzywały się niemrawo. Memnon przysiadł na skraju zarośniętego mchem rozlewiska, podczas gdy Kelajno podeszła do kępki rosnącej pod skalnym nawisem trawy. Młody Rodyjczyk odpluł kurz, który zgromadził mu się w ustach, i chłodną, nabraną z rozlewiska wodą popił okrągły chlebek.

- Może jakieś dziewięć mil - powiedział klaczy, profanując popołudniową ciszę. -

Podwież mnie jeszcze ten kawałek, a obiecuję ci długi odpoczynek. Co ty na to, dziewczynko?

Kelajno położyła uszy. Parsknęła i rzuciła łbem. Memnon się zaniepokoił.

- Co się dzieje, dziewczynko?

Klacz nagle rzuciła się w bok, gdy zakrwawiona ręka wynurzyła się z trawiastej półki nad nimi.

- Na wszystkich bogów...!

Memnon zerwał się na równe nogi; zadzwonił wyrwany z pochwy miecz Rodyjczyka. Mężczyzna w zakrwawionych i przepoconych szmatach podciągnął się na krawędź skalnego występu i poleciał w dół, lądując z cichym jękiem u stóp Memnona. Rodyjczyk stał nieruchomo, czujny, patrząc, czy na drodze nie pokażą się napastnicy. Nikogo. Dopiero po chwili pozwolił sobie spojrzeć na dół.

Skulony u jego stóp ranny wyglądał na wieśniaka. Miał na sobie resztki odzienia z niebielonej wełny, jak ta, którą Memnon widział, zatrzymując się na stacjach pocztowych. Krew skleiła włosy, pokryła skorupą twarz i kończyny, maskując rysy, a nawet kolor skóry. Jego obrażenia wyglądały na powierzchowne - przeważnie klute i cięte - poza jedną straszliwą raną u podstawy kręgosłupa. Memnon już widział podobne. Powstała po pchnięciu, obróceniu i

wyciągnięciu włóczni. Spękane wargi zadrgały, gdy mężczyzna usiłował przemówić - do siebie lub do bogów.

- *Yauna...*

- Nic nie mów. Masz.

Memnon sięgnął po manierkę, nalał sobie na dłoń i podsunął ją do ust mężczyzny. Ten wychleptał ją chciwie, nadal spragniony. Memnon spełnił jego życzenie. Skąd ten człowiek się pojawił? Jak zdołał tak daleko dotrzeć? Ale, co najważniejsze, kto mu to zrobił i dlaczego?

- *Y...yauna* - przemawiał po persku z akcentem znad lidyjskiej granicy. - *Wa-wahauka... hazarapatisz! Wahauka hazarapatisz! Huzara...* - Spazmy wykręciły mu ciało. Zadygotał, wydał ostatnie tchnienie i zastygł.

- Zeusie Zbawco!

Memnon przysiadł na piętach. Ostatnie słowa zmarłego przeszły go jak ostrza. *Wa-wahauka... hazarapatisz* znaczyły „chiliarcha Ochosa”, dowódca królewskich wojsk. Memnon wiedział, że ten tytuł należy do człowieka o sercu szakala, Titraustesa, i poczuł pęczniący w brzuchu zimny węzeł strachu.

- Chiliarcha Ochosa - powtórzył na głos. Te słowa miały ostateczny wydźwięk wyroku śmierci.

Czy król, straciwszy cierpliwość, rzucił całą perską armię przeciwko Artabazosowi?

Wstał, zabrał miecz, manierkę. Zmarły człowiek u jego stóp, pewnie jeden z agentów Artabazosa, zasługiwał na bogaty pogrzeb, wieczną zapłatę za poświęcenie. Na razie jego cień będzie musiał się błąkać. Memnon wyjął z kieszy obola, ukląkł i wsunął go pod język trupowi. Następnie zabrał z półki garść ziemi i posypał nią ciało.

- O potężna Ziemi, matko wszystkiego - powiedział - ty jesteś źródłem zdrowej dziatwy i pożywnego owocu i to ty decydujesz, czy dasz życie śmiertelnym, czy je zabierzesz. Błogosławiony człek, którego ulubiłaś, bo będzie miał wszystkiego w bród.

Skłoniwszy się, Rodyjczyk się odwrócił i podbiegł do Kelajno.

Musiał jak najszybciej dotrzeć do Pammenesa.

Popołudnie przeszło w wieczór, a Memnon nadal jechał. Niebo stało się kadzią ognia, oranże i czerwienie ochłodziły i przeszły w purpurę, a potem w obrzucony brylantami lapis-lazuli nocy. Pod drzewami królowała nieprzenikniona czerń. Memnon jechał zgarbiony w siodle, ukołysany piosnką cykad. Przeszedł go dreszcz i wyprostował się gwałtownie. W poszyciu migotały świetliki. Przyjrzał się im, przetaił oczy i zamrugał. Owady nie przestawały świecić, a im bliżej jasnych rojów niosła go Kelajno, tym większej mocy nabierał ich blask. Memnon znów przetaił oczy.

Zeusie! To nie owady, pomyślał. To ogniska. Setki ognisk rozmytym pomarańczowym blaskiem wypełniały dolinę, którą miał przed sobą. Zszedł z konia i poprowadził Kelajno. Widział wyraźne oznaki zamieszkania: pniaki wykarczowanych drzew, przyzmy nawozu i równych kształtów poletka, na których niegdyś rosły warzywa. Macki dymu wiły się nad ogniskami wart i szykujących strawę żołnierzy, wisiały nad obozowiskiem niczym bladeżółta płachta.

Z boku rozległ się ostry śmiech, a potem grzechot kości w kubku.

- Oszukujesz, draniu - burknął ktoś po grecku.

Zadźwięczały przekazywane z ręki do ręki monety.

Memnon zahaczył wodze o gałąź i ostrożnie ruszył dalej. Zatrzymał się tuż przed kręgiem światła. Dwóch hoplitów, o czym świadczyły napierśniki i hełmy z grzebieniami włosów, siedziało na zwalonym pniu, oświetlonych stojącą między nimi świecą. Grali w kości w jej migotliwym blasku.

- Beoci? - zawołał Memnon.

Zduszona dłońią świeczka zgasła; zadzwoniła broń. Na moment zapanowała nieprzenikniona ciemność. Jednak zaraz rozlało się przenikające konary srebrno-szare światło księżyca.

- Kto tam? Pokaż się!

Memnon zrobił krok. Rozłożył ręce i pokazał puste dłonie, bez broni.

- Pokój, bracia. Jestem z Daskylejon. Mam wiadomość dla Pammenesa.

- Skąd? Z Daskylejon?

- Jestem zmęczony, bracia. Zaprowadźcie mnie do Pammenesa i wszystko się wyjaśni - powiedział Memnon.

Nie widział dokładnie ich twarzy, ale wydało mu się, że hoplici kiwnęli głowami jeden drugiemu. Ten po lewej zaczął się obracać.

Drugi bez ostrzeżenia uniósł włócznię i zadał cios.

- Zeusie!

Memnon wykręcił się w miejscu. Żelazne ostrze musnęło mu biceps. Złapał drzewce i pchnął je. Źle ustawiony hoplita przewrócił się na ziemię.

- Niech was piekło pochłonie! Nie słyszeliście? Jestem z Daskylejon! Zaprowadźcie mnie...

Włócznia drugiego hoplity przebiła kirys, ciało i kość prawego ramienia Memnona. Rodyjczyk zarzęził. Upadł na wznak. Włócznik przygwoździł go do ziemi. Fale gorejącego bólu trysnęły z rany; czuł, jak krew rozlewa się po skórze, przemacza chiton i ścieka na ziemię. Wiszące nad jego głową gwiazdy rozjarzyły się i pulsowały w rytm jego serca.

- Dobij go, Kseno! - syknął pierwszy hoplita, wstając. - Może nie być sam.

- Czekaj. Daj światła, Tauros. Sprawdźmy, co to za dureń.

Memnon wił się. Nie mógł się podnieść, napór włócznika na drzewce był silniejszy. Żółć nabiegła rannemu do gardła.

- Co... co wy robicie?

Świeczka rozbłysła. Hoplita Tauros przysunął ją do twarzy rannego.

- Wielki Heraklesie! Wielki pierdolony Heraklesie! Pomóż mi, Tauros!

Noga przybiła do ziemi Memnona. Opłynęła go nowa fala bólu, gdy Kseno ostrożnie wyciągnął z rany włócznię. Zimne, dalekie gwiazdy gasły.

- Co to za jeden?

- Nie znasz drania? To ten Rodyjczyk!

- Na cyce Hery! Jesteś pewien?

Memnon usiłował skupić wzrok na mówiącym, na Taurosie. Świeczka, którą tamten trzymał, płonęła cudownym, ogrzewającym drżące ciało ciepłem. Ziemia tuliła go jak wyłożone wełną mary. Mógł spać... pragnął spać...

- Do cholery, ty! - powiedział Kseno, wymierzając Memnonowi policzek. - Trzymaj się, Rodyjczyk! Daj mi płaszcz, Tauros! Szybko! Wracaj do obozu i powiadom dowódcę, tylko szybko! Szepnij mu tak, żeby Persowie nie słyszeli! Będzie chciał wiedzieć...

Memnon zamknął oczy.

Przybywam, ojcze, rzekł w myślach.

Rozdział ósmy

Ciemność stygijska, absolutna. Memnon unosił się w niej jak rozbitek na morzu, zbyt wyczerpany, by walczyć, ale zbyt uparty, by się poddać. Cisza. Znieruchomienie. Ile czasu minęło, od kiedy włócznia przeszła mu ciało? Częstka godziny? Godzina? Dni? Czas nie miał tu znaczenia, na progu między życiem a śmiercią. Śmiercią? Czy zmarli czują ból? Czy czują ból rozłąki, który tak dręczy osieroconych? Czy zmarli oplakują żywych?

Chociaż miotany płuwami, nurtami pustki, Memnon czuł, że nie może odpłynąć w serce zatracenia. Coś go trzymało. Pojedyncze włókno, mroczna, wywiedziona z krwi nić wiązała go ze światem żywych. Memnon dotknął jej i poczuł w sercu pragnienie, jakiego nigdy do tej pory nie doświadczył. Chcę żyć! - zakrzyknął głosem, którego nie słyszał.

Światło, blade i drżące, przebiło welon ciemności. Nad głową - kierunki były absurdem w takiej nicości - ożyło nieruchome słońce, szerniało na zawsze w najwyższym punkcie drogi. Memnon płynął ku niemu, walcząc z podskórnym prądem, który ściągał go ku zatraceniu. Każdy ruch oznaczał ból. Nie był ostry, ale rósł, ukłucia przywróconego krążenia krwi. Wił się w męce, gdy przebił szarobiałą aureolę światła.

Wróciła świadomość. Otoczyły go drobne dźwięki: dzwonienie garnków, trzask i syk płonącego drewna, zgrzyt metalu o metal. W pustkę wsączyły się też szepty.

„Trzymaj go! Mocno!”

„Ciszej! Persowie...”

„Wykrwawi się, jak tego nie skauteryzuje! A teraz trzymaj go, mówię ci!

Kiedy Ejletyja, boska opiekunka połogów, wyjmuje dziecko z łona matki, ono pierwszym odruchem łapie powietrze, wrzaskiem protestując przeciwko pierwszej niesprawiedliwości na drodze od kołyski do grobu. Ten sam odruch o władnął Memnonem...

Wył i ciskał się, nie mogąc się poruszyć, gdy rozżarzony do czerwoności czubek żelaza wnikał w zmiażdżoną tkankę ramienia. Pammenes leżał na nim w poprzek, a obaj spoczywali na nieheblowanych deskach stołu na kozłach, śliskiego od krwi i moczu. Zasyczało mięso. Memnon przewrócił oczami. Beota w średnim wieku, osłonięty fartuchem chirurga, o łysej spoconej głowie, stał przy jego ramieniu, trzymając żelazo w ranie, aż przestało świecić. Woń spalonego mięsa wypełniła namiot, tłumiąc zapach płonącej w kilkunastu lampkach oliwy.

Memnon zamrugał. Chirurg skinął głową Pammenesowi, który się podniósł i położył rękę na czole Rodyjczyka.

- Będzie żył, Heraklidesie? - spytał, oglądając się przez ramię.

Heraklides uchylił zasłonę przy wejściu do namiotu. Powiew chłodnego powietrza popieścił rozgorzałe ciało Rodyjczyka. Chirurg westchnął i przeciągnął dłonią po czole.

- Jest młody, ale stracił wiele krwi. Zbyt wiele. Doprawdy, nie wiem. Boję się, że teraz jest w rękach bogów.

- Muszę się przebrać i udać do Bardii. Daj mi znać, gdyby jego stan się pogorszył. -

Pammenes spojrział na Memnona, marszcząc z niepokojem brwi.

Chirurg skinął głową.

- Każę Chafrowi przygotować świeży kompres i bandaże. Co z Ksenonem i Taurosem? To dobrzy żołnierze, wodzu.

Pammenes zniknął Memnonowi z oczu.

- To głupcy - odezwał się Tebańczyk - ale tylko trzymali się rozkazów. Nigdy bym nie przypuszczał, że Artabazos wyśle do nas akurat jego. Lecz go, czym tylko możesz, Heraklidesie, i doprowadź do porządku.

Po tych słowach zostawili Rodyjczyka samego. Przymykał drżące powieki. Mimo lamp czuł nacierającą ciemność, pchającą go z powrotem w łono zatury. Łomocące jeszcze przed chwilą serce zwolniło. Płótno namiotu uniosło się i westchnęło.

Chcę żyć! - znów bezdźwięcznie krzyknął.

- Będziesz żył - zamruczał mu do ucha głos.

Otworzył oczy i rozejrzał się na boki, szukając mówiącego. Nie wiedząc skąd z boku stołu wyrósł mąż w krótkim doryckim chitonie i srebrno-szarej przerzuconej przez lewe ramię chlamidzie. Sięgające ramion złote i poznaczone srebrem włosy obramowały twarz, na której w równej mierze uwidaczniały się uroda, mądrość i idące dopiero z wiekiem doświadczenie.

Memnon z trudem wytrzymał jego spojrzenie.

- Jeszcze nie jesteś gotów do tej podróży, dziecię Rodos. Twój czas nie nastąpił.

- Skąd... skąd wiesz?

Długie palce przecesały srebrnozłotą brodę.

- To boginie losu, Mojry, jak je nazywają, decydują o człowieczej egzystencji. Kloto, najmłodsza córka Temidy, przedzie nić ludzkiego życia z najprzeróżniejszych wątków. Przekazuje go Lachezis, która snuje go dalej. Na końcu trzecia siostra, Atropos, przecina nić, używając swych nożyc równie sprawnie w wypadku niewolnika, jak i króla. Jej ostrza są zawsze naszykowane, Memnonie, czekają, aby skończyć życie każdego, ale twoje jeszcze nie ma być ucięte.

- Kim jesteś? - wycharczał Memnon.

- Czy to ważne? - Nieznajomy wzruszył ramionami. Oczy barwy nieba wesoło zamigotały. - Niektórzy mówią na mnie posłaniec. Podróżny. Czasem wróż, chociaż nie tak sprawny w sztuce przepowiadania jak inni. Bywałem muzykiem i wojownikiem. Łotrem, gdybyś spytał mego ojca, i uzdrowicielem. Nosiłem wiele szat, Memnonie, i najpewniej ponoszę wiele innych, nim ten świat się skończy.

Memnon mrugał i łapał otwartymi ustami powietrze. Lęk obrabował go z odwagi.

Nieznajomy położył dłoń na ranie. Dotyk parzył. Ulga roztopiła ból. Dotyk rodzica, kochanka, mordercy i uzdrowiciela, wszystko w jednym. Memnon wciągnął powietrze zdławionym gardłem.

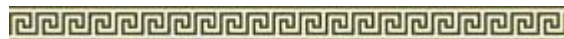
- Posłuchaj mnie, dziecko. Posłuchaj i nie bój się. Mojry wyznaczają długość twojego życia, ale to bogowie decydują, co będzie zawierać... i bogowie patrzą krzywo na tych, którzy ignorują ich pracę. Czas, byś porzucił swoją melancholię, umiłowanie poczucia winy, i odcisnął własne piętno na tym świecie. Rozumiesz?

- Ro-rozumiem - wymruczał Memnon.

Nieznajomy spojrzał mu w oczy i długo patrzył. W końcu skinął głową.

- Świetnie. Teraz śpij i nie zapomnij tego, co rzekłem.

Obraz, który Memnon miał przed oczami, zaczął się zacierać, niknąć, gdy młody Rodyjczyk opuścił głowę na stół. Ostatnie, co zarejestrował jego wzrok, to niewątpliwie miraż spowodowany wstrząsem, sylwetka dziwnego męża. Odwracała się i rozplywała w złotej mgle.



Kiedy Memnon znów się ocknął, cicho i spokojnie opuścił głęboki sen bez marzeń. Leżał na pryczy w otwartym namiocie chirurga. Dalej stał stół z ciemnego polerowanego dębu, a na nim leżały narzędzia medyka, noże i piły do cięcia kości, a także zwoje papirusowe i terakotowe

garnki. Nieopodal beczka z wodą, kosz z węglami i żelazami do kauteryzacji, podstawka i na niej amfora w kształcie klina. Na środkowym maszcie namiotu wisiały wiązki suszonych ziół. Ich woń konkurowała z zapachami kadzideł, zaschniętej krwi i potu. Przez otwartą boczną zasłonę wpadał z szelestem lekki wiatr; Memnon słyszał trzaski żołnierskiego oporządzenia, pomruki i plusk wody na skale, niewątpliwie jednego ze źródeł karmiących górny bieg rzeki Makestos.

Rodyjczyk pomacał gruby lniany opatrunek, unieruchamiający ranne ramię. Kilka razy złożył dłoń w pięść i rozprostował ją; poruszył przedramieniem i syknął. Ból jak nóż przeszył mięśnie. Zagryzłszy zęby, opuścił nogi na ziemię. Usiadł, a potem wstał. Pole widzenia zmętniało; fale mdłości przyprawiły go o słabość, spocił się. Na drżących nogach doczłapał do masztu i oparł się o niego.

- Zeusie Zbawco - wymamrotał. Zamrugnął i potrząsnął głową, by spędzić zasłaniającą oczy mgłę.

Język miał wyschnięty i szorstki jak kawałek piaskowanej skóry, a ramię pulsowało mu w jednym rytmie z sercem. Widział teraz przestrzeń obozowiska za zasłoną. Sam namiot stał w kępie cienistych dębów, na lekkim wzniesieniu, gdzie był silniejszy przewiew. Nieopodal beoccy żołnierze ćwiczyli w pełnej zbroi, maszerując i robiąc zwroty w szyku falangi. Z boku szła stępa kawaleria. Zwróciła uwagę Memnona, nie tylko dlatego że jeźdźcy nosili medyjskie spodnie i łuskowe pancerze, ale również z tego powodu, że, jak pamiętał, Pammenes w ogóle nie miał kawalerii. Rozpoznał Hyrkanów, potomków żołnierskich osadników sprowadzonych do doliny rzeki Kaikos dwieście lat wcześniej przez Cyrusa I.

- Pammenes - warknął - ty zdradziecki draniu!

Za jego plecami uniosła się płachta namiotu. Tyłem wszedł Hera-klides, niosąc tacę z chlebem, serem, oliwkami i połówką pieczonej kury. Jego wzrok padł na pustą pryczę.

- Co, na Hadesa...?

Odstawił tacę na stół i odwrócił się w kierunku dygocącego Memnona.

- Na piekielnego psa, chłopcze! Nie powinienes stać! Pozrywasz szwy!

- Nie powinienem żyć, medyku, a jednak żyję. Masz wino?

Heraklides wskazał pryczę.

- Siadaj. Przyniosę ci dzban. Potrafisz znieść ból? Mogę ci przyrządzić remedium, które wypijesz z winem.

- Czyste wino - rzekł Memnon.

Odkleił się od masztu i powłókłszy z powrotem do pryczy, padł w jej nogach. Heraklides przeszukał stół i znalazł pusty gliniany kubek. Nalał do niego miarkę wina.

- Z wodą?

- Nie dzisiaj.

Heraklides podał mu kubek. Dłonie drżały Memnonowi, gdy pił.

- Jeszcze.

Heraklides zmarszczył brwi, ale napełnił po brzegi kolejny kubek. Ten Memnon wypił wolniej.

- Gdzie Pammenes? Muszę z nim porozmawiać.

- Dowódca poświęci ci czas, kiedy będzie mógł - odparł Heraklides.

- A kiedy to nastąpi?

- Kiedy będzie mógł! Na bogów, Rodyjczyku, aleś ty niecierpliwy!

- Sprowadź go! - powiedział przez zaciśnięte zęby Memnon. - Już! Powiedz mu, że wiem, co zrobił!

Heraklides przejechał ręką po podbródku. Powoli skinął głową.

- Powiem, byłeś się położył i leżał spokojnie.

Memnon usłuchał i chirurg wyszedł szukać Pammenesa.

Nie zabrało mu to dużo czasu. Minęła czwarta część godziny i Heraklides wprowadził do namiotu tebańskiego dowódcę. Chociaż starszy od Memnona o pięć lat, zdawał się mieć dwa razy tyle. Jego kędzierzawa czarna czupryna nosiła ślady siwizny, podobnie jak przystrzyżona broda; kurze łapki towarzyszyły niebieskim oczom, zmarszczki pobruździły czoło na przemian z bliznami, dorobkiem całego życia spędzonego na służbie Aresowi. Miał na sobie czarny chiton obramowany złotą nicią i sandały z wytłaczanej skóry.

Uśmiechnął się i cicho gwizdnął.

- Na wszystkich bogów, Heraklidesie. Miałeś rację. Wygląda na to, że jest w takiej formie, że mógłby się siłować z niedźwiedziem. Jak się czujesz, Memnonie? Dzięki tobie mój chirurg stał się nieznośny. Myśli, że jest drugim wcieleniem Asklepiosa. Co...

- Wiem, co zrobiłeś, skurwysynu! - zahuczał Memnon.

Pammenes skinął na chirurga i rzekł:

- Zostaw nas na chwilę.

Heraklides zabrał tacę i wyszedł. Uśmiech Tebańczyka zniknął.

- A co, według ciebie, zrobiłem, Memnonie?

- Zdradziłeś. Twoi wartownicy dostali rozkaz zabicia każdego posłańca od Artabazosa.

Byli niespokojni, że muszą cię wezwać z narady z Persami. Kiedy wychodziłeś, powiedziałeś, że musisz się przebrać na spotkanie z jakimś Bardiją. Sądząc po imieniu, to pewnie Pers. Nie jestem głupcem, a z ciebie marny kłamca, więc nie próbuj niczego przede mną ukrywać. Wiem, coś uczynił. Ile ci zaproponowali za zdradzenie Artabazosa?

Pammenes westchnął.

- Jestem głupcem, Memnonie. Zapomniałem, jaki potrafisz być sprytny. Tak, moi Beoci i ja oddaliśmy się pod rozkazy Ochosa, ale nie za złoto.

- Za co w takim razie? Ziemię? Stanowisko?

- Za życie. Artabazos okazał mi serdeczność, przyjął mnie, kiedy potrzebowałem pomocy, ale sytuacja uległa zmianie. Bez Ateńczyków nie jest równym przeciwnikiem Ochosa. Tak, wiem, że zostali wezwani. Jednym listem wielki król zniszczył armię Artabazosa. Jednym listem, Memnonie! Teraz wypuścił na zachodnie satrapie swoje psy. Chce odzyskać, co utracił.

Memnon wydał z obrzydzeniem wargi.

- Nie masz honoru, Pammenesie.

- Honor to piękna rzecz, Rodyjczyku, ale kiedy masz miecz na gardle, honor cię nie osłoni. Ci żołnierze to moja rodzina, moi bracia, dzieci. Jestem zobowiązany czynić to, co dla nich najlepsze. Dalej walczyć przeciwko Ochosowi to byłoby szaleństwo z naszej strony. Chyba to rozumiesz?

Logika argumentów Pammenesa podziałała na Memnona jak płachta na byka.

- Rozumiem twoje motywy, ale czyny, których się dopuściłeś pod ich wpływem, napawają mnie wstrętem. Powinieneś przemyśleć konsekwencje swojego postępowania na długo przed tym, zanim dałeś Artabazosowi słowo. Mężem jest ten, który trzyma się swoich przekonań wbrew ciosom losu. Psem ten, który zmienia zdanie, stosownie do kaprysów stada - powiedział, przechylając się na prawo, aby nie nadwerężyć rannego barku. - Co teraz zrobisz? Przekażesz mnie Persom? Sprzedasz w niewolę jako łup wojenny? Zabijesz na miejscu?

- Oszczędź sobie szyderstw. - Pammenes oparł się o stół, krzyżując na piersiach ramiona. - Gdybym naprawdę chciał twojej śmierci, już byś się obudził w Tartarze. Nie, odsyłam cię z powrotem do Daskylejon. Titraustes zażądałby twojej głowy, gdyby się dowiedział, że tu jesteś, i mojej, gdyby się dowiedział, co zaplanowałem. Tak więc widzisz, oddaję w twoje ręce również moje życie. Wracaj do Artabazosa i przekonaj go do ucieczki. Jeśli ceni swoje życie i

życie swoich dzieci, opuści Azję i nie obejrzy się za siebie.

Rodyjczyk roześmiał się krótko i chrapliwie.

- Nie liczyłbym na to! Azja to jego dom rodzinny. Nie opuści go. Ukryje się w jakimś bezpiecznym miejscu, na przykład w Assos, i zgromadzi więcej najemników, żeby kontynuować walkę. Tak, uda się do Assos. Jego mury zatrzymały dzielniejszych wojowników niż Titraustes.

- Assos zawrze przed nim bramy - odparł na to Pammenes. - Jego człowiek, Eubulos, nie żyje, zamordowany przez własnego ulubieńca, filozofa eunucha, tę kreaturę Hermiasza. Ten... ta gnida już posłała dowody wierności Titraustesowi, wdzięczna za mianowanie zarządcą.

- Kłamiesz!

- Tak? - Pammenes wzruszył ramionami. - Sam powiedziałeś, że marny ze mnie kłamca. Nie, Memnonie, teraz Assos znów należy do króla. Musisz przekonać Artabazosa, żeby opuścił Azję, zanim będzie zbyt późno. Titraustes to nie Mitrydates. Nie zatrzyma się, dopóki nie zakuje Artabazosa w kajdany... albo nie zatkie jego głowy na pice... i ma błogosławieństwo króla, gdy zechce użyć wszelkich koniecznych środków. Błagam cię, Memnonie, namów Artabazosa, żeby popłynął do Grecji, Egiptu, na Sycylię... gdziekolwiek, ale nie pozwól mu zostać tu, w Azji! Nie życzę źle jemu ani tobie, ale jeśli dostanę rozkaz wyruszyć przeciwko któremuś z was, nie będę miał wyboru. Wolałbym, żebyś miał czas odzyskać siły, zanim cię wypuszczę, ale czas jest naszym wrogiem. Każę przygotować wóz ze służbą, która będzie ci towarzyszyć. Musisz niebawem wyjechać.

- Z radością - powiedział Memnon - ale zatrzymaj swój wóz i sługi. Potrzebuję tylko mojego konia.

Pammenes się skrzywił.

- Ty nie jesteś łupem wojennym, ale nie mogę powiedzieć tego samego o twojej klaczy. Umieściłem ją na ogrodzonym pastwisku, żeby nikt jej nie ukradł. Niestety, wpadła w oko Bardii. Zażądał, żebym dał ją w darze królowi. Powiedział, że to niesłychane, aby zwykły żołnierz miał na własność tak wspaniałą okaz rasy niseańskiej. Nie miałem wyboru...

Memnon zmrużył oczy i rzucił z pogardą pod adresem tebańskiego dowódcy:

- To twoja wieczna żalosna wymówka, no nie, Pammenesie? Chyba niewolnicy mają więcej wolności niż ty. Miej baczenie, niewolniku! Kiedy twój nowy pan się tobą znuży, nie pozostanie ci nic innego, jak rzucić się na własny miecz!

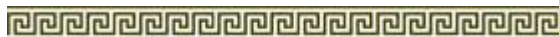
- Uważaj, co mówisz, Rodyjczyku! - Z tymi słowami Pammenes się odwrócił i podszedł do wyjścia z namiotu.

- Bo co? Nie pozostanie ci nic innego, jak mnie zabić? Idź, przyszykuj mój wóz. Im szybciej znikniesz mi z oczu, tym lepiej. Tu brzydzi mnie samo powietrze.

- Co ty powiesz. A więc dobrze. Powtórz Artabazosowi moje słowa. Jeśli pozostanie w Azji, czeka go śmierć. Ciebie też.

Pammenes odgarnął zasłonę namiotu i wyszedł na światło słońca. Memnon odprowadził go wzrokiem. Jego usta powoli ułożyły się w uśmiech - pozbawiony rozbawienia i zimny.

- Nie wiedziałeś o tym, Pammenesie? - rzekł cicho. - Ona czeka każdego.



Następnego ranka wóz opuścił obozowisko Beotów, niczym się nie-wyróżniająca furmanka ciągnioną przez parę wołów. Przeciął wzburzony Makestos i zjechał na szeroki, łagodnie opadający prawy brzeg rzeki. Na koźle siedział jeden człowiek, niski osobnik o gęstej

czarnej brodzie. Potrząsał lejcami i cmokał na zaprzęg. Inny człek - młodszy i chudy jak szczapa - szedł obok, popędzając zwierzęta tępym końcem krótkiej włóczni. Obaj mieli na sobie wysokie buty, wełniane chitony i szerokoskrzydłe, opadające kapelusze frygijskich górali.

Rozpięta buda chroniła przed słońcem rozciągniętego na wozie Memnona. Spoczywał na sienniku i całej masie poduszek, co miało go chronić przed niewygodami podróży. Mimo tego zabezpieczenia czuł każdy kamień i każde wgłębienie koleiny; niedoskonałości drogi przekładały się na ból, od lekkich ukłuc po oślepiającą mękę. Chwilami Memnon był bliski utraty przytomności.

Trzeci mężczyzna towarzyszył mu na wozie. Jego krótko przystrzyżone kasztanowe włosy były poznaczone siwizną, a wychudła twarz zdradzała trudy żywota. Początkowo, widząc gładką twarz, Memnon założył, że towarzyszy mu eunuch. Jednak gdy tamten przemówił, Rodyjczyk zorientował się, że się pomylił.

Greka mężczyzny miała egipski akcent.

- Mogę ci coś dać na złagodzenie bólu - zaproponował.
- Może później.

Memnon skrzywił się, dźwigając się do pozycji siedzącej. Przy tym pochylił się w bok, odciążając ranny bark. Krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło.

- Heraklides zapowiedział, że będziesz uparty i głuchy na sensowne rady - powiedział Egipcjanin.

- Takie, żebym leżał jak kłoda? Co jeszcze powiedział?
- Żebym trzymał za zębami mój nieostrożny język i robił, co mi się każe.
- Niegłupi człowiek ten Heraklides - powiedział Memnon. - Nazywasz się jakoś?
- Mówią na mnie Chafr.

Egipcjanin wyciągnął ze swojego bagażu bukłak i miedziany garnuszek. Mimo że wóz trząsał się i kiwał na boki, Chafr nalał Memnonowi miarkę, nie rozlewając kropli.

- Dziękuję. - Rodyjczyk duszkiem opróżnił kubek. - Jesteś jednym ze sług Heraklidesa czy kolegą po fachu?

- Ani tym, ani tym. - Chafr zakorkował bukłak i odstawił go. - Jestem niewolnikiem. Obecnie twoim. Ten tebański nędznik powiedział, że gdybyś pytał, mam powiedzieć, że jestem wynagrodzeniem za konia. Dodał też, że zrozumiesz, o co chodzi.

Memnon spochmurniał i zaklął:

- Sukinsyn.
- Podzielam twoje uczucia - parsknął Chafr. - Jestem wart więcej niż koń.
- Nie ten koń - poprawił go Memnon. Ostrożnie się położył. Język urósł mu w ustach, w głowie szumiało. Chafr odebrał od niego kubek. - Co... czy w winie coś było?
- Tak. Coś, co złagodzi twój ból - przyznał Egipcjanin.
- Mówiłem ci...
- Tak, tak, tak. Wy, Grecy, wolicie cierpieć w milczeniu i bez narzekań. Jednak, żeby wyzdrowieć, powinieneś leżeć spokojnie i brać leki. Ciało leczy się szybciej podczas snu. Nie wiedziałeś o tym?

Memnon przymknął oczy.

- Teraz rozumiem, dlaczego Pammenes się ciebie pozbył - mruknął.

Chafr okazał się nie tylko usługowym niewolnikiem. Był rozmownym towarzyszem podróży, co wyraźnie kontrastowało z zachowaniem Frygów, którzy jeśli w ogóle się odzywali, to jeden do drugiego. Mijały dni i Memnon spędzał czas, słuchając historii życia Egipcjanina - od urodzenia w Bubastis, mieście kotów, przez morskie wyprawy, sztorm, który wyrzucił jego statek na wybrzeże Lidii, do wpadnięcia w łapy piratów z Chios, którzy uczynili go niewolnikiem.

- Podobnie jak ty uznali, że z racji egipskiej krwi jestem wtajemniczony w odwieczną mądrość kapłanów lekarzy i kazali zajmować swoimi rannymi. Nie wyprowadziłem ich z błędu, gdyż dzięki temu unikałem ciężkiego losu robotnika w kopalniach Laurionu czy Pangajonu.

- Jak w końcu znalazłeś się u Pammenesa?

- Taka była wola Siedmiu Hathor - powiedział Chafr. Widząc bezradne spojrzenie Memnona, mówił dalej: - To siostry waszych Mojr. Kiedy dziecko przychodzi na świat, Siedem Hathor decyduje, jak i kiedy umrze, a także, co je spotka w życiu. A więc to za sprawą Hathor znalazłem się w Efezie wraz z tymi chciwcami z Chios, a równocześnie trafił tam szukający nowego niewolnika Heraklides.

- Mojrzy czynią nas takimi, jacy jesteśmy - mruknął Memnon, bardziej do siebie niż do Chafra.

Zamilkł. Jego czoło pobruździły zmarszczki skupienia, gdy głęboko rozważał słowa nieznajomego w namiocie Heraklidesa. Czy była to zjawy spowodowana raną, czy też naprawdę odwiedził go sługa bogów? Dotknął zabandażowanego barku. Zjawy czy nie, coś wyciągnęło go z przepaści, coś tajemniczego i świętego, coś godnego pióra Homera, podobnego wizjom i wyobrażeniom, o jakich mówił Poeta.

Tej nocy, po wieczerzy składającej się z fasoli i sucharów, Frygowie owinęli się w płaszcze i zasnęli, chrapiąc głośniejsz niż spętane woły, tak że to Chafr musiał posprzątać po posiłku. Memnon siedział wsparty o zwalony pień o kilkanaście kroków od ogniska, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo. Orion wznosił się nad wschodnim horyzontem i maszerował po sklepieniu niebios w niekończącej się pogoni za pięknymi córami Atlasa, Plejadami.

Nadejście Chafra ściągnęło wzrok Memnona ku ziemi. Egipcjanin niósł kubek grzanego wina.

- Dobrze się czujesz? - spytał, kucając i wręczając kubek Rodyjczykowi. - Przez większość dnia milczałeś jak nie-Grek. Doskwiera ci ból?

Zapytany potrząsnął głową i spojrzał nieufnie na naczynie.

- Co tam masz? - rzekł, wężąc. Ciepło wydobyło zapachy trunku, ostre i pikantne.

- Po prostu wino.

- Na pewno?

Chafr pociągnął łyk, zanim po raz drugi zaproponował napój Memnonowi.

- Uspokojony?

Rodyjczyk przyjął kubek, jakby brał do ręki żmiję.

- Nie do końca. Sam byś się uspił, żeby dopiąć swego.

Chafr położył rękę na piersi.

- Przysięgam na odciętego fallusa Ozyrysa, że nie dosypałem niczego.

Memnon uważnie mu się przyjrzał, zanim podniósł kubek do ust. Wypił zawartość i znów podniósł głowę do rozgwieżdżonego nieba. Chafr usiadł na pniu i poszedł za wzrokiem Rodyjczyka.

- Sopdet wzeszedł - powiedział, wskazując jasną gwiazdę na horyzoncie, ledwo widoczną zza drzew. - Twój lud zwie ją Syriusz, Psia Gwiazda. W Egipcie wyznacza początek achet, pory wylewów Nilu.

Memnon jakby nie słyszał Chafra; długo siedział w milczeniu, przyglądając się gwiazdom, niczym szukający w nich znaku wróż. W końcu rzekł:

- Czy w twoim kraju, Chafrze, bogowie zstępują między śmiertelników?

Egipcjanin zgarbił się, opierając łokcie na udach.

- To zależy od tego, co masz na myśli, mówiąc „zstępują”. Czy to nie Amon-Ra każdego poranka sprowadza z wodnej przepaści słońce, czy nie Hapi rządzi wylewami Nilu? Czy

nie Anubis prowadzi zmarłych przez rozległe królestwo Ozyrysa, czy nie Maat pilnuje wagi sprawiedliwości dla wszystkich?

- Ale czy chodzą po ziemi jak ludzie, rozmawiają z wiernym, jak ja rozmawiam z tobą?
- Kiedyś może, ale to było dawno temu, nawet wedle naszej miary czasu. Obecnie

kontaktują się z nami za pomocą wiedzy, marzeń i wróżb.

- Skąd wiesz, że nie ma ich wśród was?

Chafr spojrział na młodego Rodyjczyka i zmarszczył brwi.

- Tak mówią nasi kapłani. Mają nieomyłne zapiski sięgające trzysta czterdzieści trzy pokolenia wstecz. Wedle ich rozeznania żaden bóg nie przybrał ludzkiej postaci, od kiedy Horus, syn Ozyrysa, przekazał tron faraonowi i połączył się ze swym ojcem na zachodzie.

Memnon skończył wino, czując, jak ciepło przenika każdy zakątek jego ciała.

- Ciekaw jestem, skąd oni to wiedzą. Mam na myśli kapłanów. Powiedzmy, że wasz Horus przybrałby postać rybaka. Czy widząc taką postać, kapłan rozpoznałby Horusa, gdyby ten sobie tego nie życzył? Bogowie Olimpu często wkraczą pomiędzy mój lud niezauważeni.

- Tak - mruknął Chafr - i to twoi Olimpijczycy zaśmiecili całą Helladę półboskimi bastardami. Czytałem wiele tego, co napisali twoi ziomkowie... Hekatajos, Herodot, Anaksagoras... i muszę powiedzieć, że nadawanie imion i atrybutów greckich bogów bóstwom Czarnej Ziemi jest mylące. Horu-Sema-Tawy nie jest bardziej Apollem niż Asar-Wen-Nefer Dionizosem; różni się fizycznie, moralnie, nawet duchowo. To, czego wy, Grecy, oczekujecie od waszych bogów, byłoby profanacją dla Egipcjanina. Nasi bogowie nie cudzołożą, po prostu nie poniżają się, łącząc się ze śmiertelnymi.

- Interesujące - powiedział Memnon. - Ciekaw jestem...

Chafr ześlizgnął się z kłody i rozłożył na trawie.

- Matko Ozyrysa! Oszczędź mi ciekawości Hellena!

Rodyjczyk wybuchnął śmiechem.

- Dotarło. Robi się późno. Możemy to przedyskutować jutro.

Chafr powstał i pomógł dźwignąć się na nogi Memnonowi. Razem wrócili do gasnącego ogniska. Frygowie chrapali na wyścigi.

- Ile jeszcze do Daskylejon? - westchnął Chafr.

- Konno bylibyśmy jutro. Tym przeklętym wozem co najmniej jeszcze dwa dni.

Moglibyśmy przebyć w bród rzekę, ty i ja, i rozejrzeć się za końmi. Chciałbym ostrzec Artabazosa i Mentora przed zdradą Pammenesa, zanim Persowie zaatakują. Poza tym niepokoją mnie ci Hyrkanie. Powinienem był się im przyrzec, poznać ich stan liczebny i uzbrojenie.

- Jest ich dwa tysiące - wyjaśnił Chafr. - Przeważnie włócznicy i pięciuset łuczników... nie tak wytrawnych jak Scytowie czy Kreteń-czycy, ale niezłych. Bardija, ich dowódca, to kuzyn Titraustesa. Obaj są Medami z regionu Ektabany. Titraustes uważa się za nie byle kogo, ale to nudziarz i cymbał.

Memnon przystanął i wytrzeszczył oczy.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

Egipcjanin się uśmiechnął.

- Nie da się ukryć, jestem niewolnikiem, ale mam oczy i uszy. Jak się używa jednych i drugich, ale trzyma gębę na kłódkę, można się dowiedzieć prawdziwych niezwykłości.

- Istotnie. Może jesteś więcej wart niż koń.



Dwa dni potem w mrocznych godzinach po północy Memnon wyciągnął spod derek Frygów i Chafra.

- Wstawać - burknął. - Jak wyruszymy teraz, do południa będziemy u bram Daskylejon. Wstawać, obiboki!

Nadciągała kłębiasta mgła, wypełniając zagłębienia terenu kleistymi oparami, które cuchnęły mułem rzeczonym i wilgotnym kamieniem. Chafr zmienił Memnonowi opatrunek. W tym czasie Frygowie zaprzęgli do wozu woły. Przed wyruszeniem czterej mężczyźni zjedli w milczeniu śniadanie. Składało się z chleba, suszonych owoców i zimnej wody.

Mijały godziny. Wstające słońce wypaliło mgłę. Dzień był jasny i niemile gorący. Na szerokiej, niebieskiej misie nieba próżno by szukać jednej chmurki. Memnon był niespokojny; na przemian maszerował i jechał; od czasu do czasu odchodził od wozu, kroczył brzegiem rzeki lub wspinał się na wzgórze. Nie spuszczał z oczu rozrastającego się koryta Makestosu.

- Już blisko - powiedział Chafrowi, który towarzyszył mu podczas jednego z tych wypadów.

Egipcjanin szedł wzdłuż rzeki, odgarniając nisko wiszące gałęzie wierzby.

- Jest cicho - zauważył - jakby sama ziemia wstrzymała oddech.

Memnon też to wyczuł. Nawet gdy przebyli bród i szlak zamienił się w prawdziwą drogę, porytą koleinami i pobrużdżoną w trakcie dziesiątków lat, nie napotkali żadnego ruchu. Gdzie byli wieśniacy wracający z wyżyn do domu, wędrowni kupcy i podróżnicy? Czy wiadomość dotarła wcześniej do Daskylejon?

- Memnonie - powiedział Chafr, ruchem głowy wskazując przed siebie.

Tam, gdzie było Daskylejon, w niebo były warkocze szarego dymu.

Rozdział dziewiąty

Hyrkanie, pomyślał Memnon.

Przekleństwo uwięzło mu w gardle, gdy przesłonił oczy przed płachtami jeszcze ciepłych popiołów. Wyprzedzili go na drodze do Da-skylejon, dokładniej biorąc na drodze do obrzeża miasta. Płomienie szerzyły się w obozie najemników, na południe i wschód od fortecy Artabazosa, pożerały koszary, zbrojownie i stajnie, pochłaniały wyschnięte na słońcu drewno i rozłupywały glazurowane płytki. Fale czarnego dymu przewalały się przez plac ćwiczebny, zasłaniając naszpikowane strzałami trupy. Smród zwęglonego ciała płaął w nozdrzach Memnona, smród, który dobrze pamiętał z willi ojca - niczym wieprzowiny zbyt długo pozostawionej na rożnie.

- Jak - dyszał Chafr, nie mogąc złapać tchu, gdy usiłował dotrzymać kroku Memnonowi, który zeskoczył z wozu i przebiegł ostatnią milę - jak Hyrkanie pokonali obronę?

Obóz był chroniony rowem i palisadą. U końca kamiennego mostku, który łączył brzegi płytkiego potoku, nazywanego Małym Make-stosem, i drogę biegnącą do fortecy satrapy stała brama.

- Te sukinsyny musiały uderzyć przed świtem - wyjaśnił Memnon. - Kiedy żołnierze spali! Wymordowali tych kilku strażników, którzy sprawowali warty, i otworzyli bramę! Te dranie podpaliły koszary i wybiły wszystkich próbujących uciec!

- Gdzie są teraz? - Chafr rozejrzał się. Zdał sobie sprawę, że nie mają żadnej osłony, i strach go obleciał.

- Przepadli.

Chociaż dwieście lat i niezmierna liczba mil dzieliły konnicę Bardii od ziemi przodków w Azji, Hyrkanie z Troady nie zapomnieli żadnej ze sztuczek wojny błyskawicznej mieszkańców stepów. Uderz i uciekaj, taki mieli sposób na zwycięstwo; okrąż wroga, zasyp strzałami o żelaznych grotach i wycofaj się, zanim zorganizuje skuteczną obronę.

Memnon i Chafr weszli na ściernisko zniszczenia przed bramą. Ich oczom ukazało się istne pandemonium. Ziemię pokrywały ciała. Żołnierze błakali się w dymie, szukając świeżego powietrza. Wrzaski przestachu i bólu mieszały się z modlitwami i przekleństwami. Nieliczni, którzy nie ponieśli większego uszczerbku, rozglądali się wśród rannych i zabitych, szukając przyjaciół, towarzyszy broni. Kilku dowódców próbowało zorganizować łańcuch ludzi do podawania wody, by ugasić największe skupiska pożarów. Nachmurzony Memnon już miał wydać rozkazy, kiedy usłyszał zza pleców stęknienie Chafra. Obejrzał się. Egipcjanin klęczał nad leżącym żołnierzem, okrytym tylko zwęglonym strzępem nocnego chitonu, i oglądał sterczące z jego ramienia i boku strzały.

- Ten wciąż żyje, ale niewiele mu brakuje do śmierci - powiedział.

- Możesz mu pomóc?

Chafr nie odpowiedział, tylko uniósł powiekę wojaka i przyłożył ucho do jego piersi. Wyprostował się i dobył noża.

- Ta w boku przeszła na wylot - rzekł. - Myślę, że ominęła organy wewnętrzne.

Przytrzymaj go.

Memnon wypełnił polecenie, patrząc, jak Chafr odcina grot z brązu i płynnym ruchem wyciąga drzewce. Żołnierz drgnął, głowa mu podskoczyła. Chafr chwilę oglądał drugi pocisk. Sterczał w prawym ramieniu, dwa palce nad obojczykiem; grot ukrył się w ciele. Memnon spojrział na swój zabandażowany bark. Czy unosisz się w próżni, przyjacielu? Czy słyszysz głosy bogów? - zastanawiał się.

- Z tą będzie trudniej - ocenił Chafr. Odciął lotki i wbił drzewce jeszcze głębiej, tak że wystawało z rany tylko na długość dłoni. - Grot pewnie złamał łopatkę. Teraz muszę ją całkiem wypchnąć. Kiedy to zrobię, bądź gotów zatkać ranę... Masz tu. - Egipcjanin przyciągnął swoją torbę, pogrzebał w niej i podał Memnonowi starą lnianą koszulę. - Przyciśnij mocno tym. Gotów?

Memnon skinął głową.

Egipcjanin bez wahania z całej mocy nacisnął skrócone drzewce. Ranny rzucił się w męce, tłukąc głową o ubitą ziemię. Rozległ się charakterystyczny zgrzyt metalu o kość, obrzydliwy chrzęst i chlupot rozdzieranego ciała, gdy grot wyskoczył przez skórę. Chafr szybko przesunął zakrwawioną strzałę i odrzucił ją, gdy Memnon przytknął z obu stron prowizoryczny opatrunek.

- Ciśnij - rozkazał Chafr, ocierając rękawem koszuli twarz.

Memnon zgiął się nad rannym, osłaniając go własnym ciałem przed węgielkami i popiołem. Równocześnie grzmącym głosem rozkazywał żołnierzom za obwarowaniem.

- Wynieść ludzi z rowu! Ruszajcie się, do cholery! Ty, ty i ty! Zbierzcie włócznie i płaszcze! Zróbcie z nich nosze! Słyszysz mnie? Powiedziałem, ruszajcie się! Nie bójcie się ognia, tylko myślcie o waszych rannych braciach! Zeusie Zbawco i Heliosie! Czy muszę wam pokazywać, jak się robi nosze!

Wśród niedobitków z wolna zapanował jaki taki porządek. Memnon zwrócił się do Chafra:

- Chodź, zanieśmy go pod drzewa.

Wskazał drugą stronę pola, rząd sykomor nad brzegami potoku. Za nimi migotały w słońcu fundamenty hipodromu. Chafr skinął głową.

Unoszony żołnierz jęczał. Kiwał spazmatycznie głową, mamrocząc modlitwę. Memnon szybko pokonał pole. Po drodze przyzywał zdrowych żołnierzy, każąc im znosić rannych w cień sykomor. Ułożono ich przy drzewach.

- Czego potrzebujesz, Chafrze? Czego potrzebujesz, żeby im pomóc?

Egipcjanin zagryzł wargi.

- Wody, octu do przemywania ran, płótna na bandażę, może trochę wina, żeby mniej cierpieć. I środków lokomocji do przetransportowania najcięższych rannych do fortecy.

- Dostaniesz to wszystko i więcej - obiecał Memnon.

Odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy. Wysyłał zdrowych żołnierzy i ludzi z miasta, jednych do portu po płótno, innych do fortecy po ocet i wino. Najręczniejszych skierował nad zdradziecki brzeg Małego Makestosu, by nabrali wody - do starych dzbanów, hełmów, wszystkiego, co wpadło im w ręce - i zanieśli ją towarzyszom broni. Załatwiwszy tę sprawę, Rodyczyk zajął się rannymi. Oceniał ich stan i najcięższych poszkodowanych przekazywał w ręce Chafra. Wokół Memnona utworzył się ośrodek aktywności, gdy żołnierze zasypywali go pytaniami, wątpliwościami i obawami. Okazywał im cierpliwość, o jaką siebie nie podejrzewał. Pytał przy tym każdego:

- Widziałeś Artabazosa? Co z Mentorem?

Odpowiedział mu jeden z dowódców, Omares.

- Odjechali z konnicą - rzekł, przyciskając do rany na czole kawałek brudnej szmaty. Średniego wzrostu, miał bary i muskuły zabijaki. - Kazali nam ratować kogo i co się da i uciekać do fortecy.

- Obaj odjechali? - Memnon zmarszczył brwi.

To, że jeden i drugi udali się w pościg za Hyrkanami, przyprawiło go o niepokój. Tego rodzaju nieostrożność graniczyła z głupotą. Nie wiedzieli, co ich czeka, a poza tym nie byli

świadomi zdrady Pammenesa. Co zrobią, gdy trafią na Beotów? Potraktują ich jak przyjaciół? Wątpił, aby Artabazos mógł liczyć na taki sam akt łaski ze strony Pammenesa, jaki spotkał jego.

- Artabazos powinien zostać - rzekł.

Omares skinął głową i skrzywił się, gdy zapłacił bólem za ten gest. Strzała tylko o włos minęła mu skroń, tnąc skórę na czole. Memnon ostrożnie odsunął opatrunek i obejrzał ranę. Sięgała do kości. Chafr zerknął przez ramię Rodyjczyka.

- To będzie trzeba zszyć - rzekł, ocierając o chiton ubrudzone krwią dłonie.

- Ten atak spadł na nas jak grom z jasnego nieba - wyznał Omares.

Memnon poklepał żołnierza po ramieniu.

- Nie przejmuj się, Omaresie. Mamy w zapasie własne gromy.

Mężczyzna się uśmiechnął, ale Memnon nie potrafił osądzić, czy mu wierzył. Prawdę mówiąc, czemu miałby to zrobić? Ich wojsko było w rozsypce, rebelia - zduszona wypiełgnowaną dłonią despoty przebywającego tysiąc sześćset mil dalej. Mogli tylko czekać na ostateczny cios.

Memnon sam zaszył Omaresowi ranę, używając do tego celu zakrzywionej złotej igły i nici z baranich jelit. Weteran Omares nie pierwszy raz trafił w ręce osoby obznajmionej ze sztuką łatania ran. Jeden z młodszych żołnierzy trzymał nieruchomo na podolku głowę oficera.

- Dostałem siedem razy - pochwalił się Memnonowi, gdy ten przemywał octem winnym rozharataną skórę. - Każda z nich to pamiątka. Zwycięstw i porażek. To będzie ósma.

- A o czym będzie ci przypominała? - Memnon ścisnął razem brzegi rany i przeciągnął przez nie igłę. Poczuł, jak Omares cały tężeje.

- Żeby nosić hełm na łbie - wystękał żołnierz.

Obok przeszedł Chafr, zerkając na wynik pracy nowego pomocnika.

- Tak, tak... świetnie ci idzie, Memnonie. Jak umiesz żagiel naprawić, to i skórę zszyjesz.

Memnon się nie odzywał, skupiony na zajęciu. W końcu zawiązał nić i odciął nożem końcówki. Trzymający głowę Omaresa żołnierz starł mokrą szmatą krew. Ranny otworzył oczy; był blady i miał dreszcze.

Memnon wstał z kucek i skinął na roznosiela wody.

- Odpocznij trochę - rozkazał Omaresowi - a potem do fortecy.

Rodyjczyk się odwrócił. W tym momencie na skraju prowizorycznego szpitala polowego rozległ się ostrzegawczy okrzyk. Żołnierze wskazywali na wschód. Rosła tam wieża kurzu. Ci, którzy jeszcze mogli się ruszać, porwali broń. Nawet Omares dzwignął się na nogi.

- Co się tam dzieje? - spytał Chafr.

Memnon sięgnął po wspartą o sykomorę włócznię, której właściciel był nieprzytomny lub już kroczył podziemiami Tartaru.

- Jezdni - rzekł.

- Nasi?

- Nie widzę. Bądź w pogotowiu, Chafrze.

Memnon chciał ochronić rannych. Uformował niedobitków w wygiętą linię najeżonych włóczni i oszczepów. Obszedł ją, przedstawiając żołnierzy w puste miejsca i napełniając ich serca otuchą.

- To pewnie nasi - rzekł grzmiącym głosem. - Ale jak Hyrkanie, to zaskoczyli nas raz... znowu im się nie uda!

Chmura pyłu - owoc suchego lata, jakiego nie pamiętano od lat - rozstępowała się przed galopującą linią jeźdźców, na których czele widniała znajoma sylwetka Artabazosa. Powłoka kurzu pokryła świetlisty pancerz; brud zlepił nawet pióropusz hełmu. Jednak na widok wodza

żołnierze wydali nieskładny okrzyk powitalny. Artabazos odpowiedział uniesieniem ręki.

- Memnonie!

Rodyczyk wyszedł przed linię i przytrzymał konia, gdy Artabazos zeskakiwał na ziemię.

- Chciałem wrócić jak najwcześniej, żeby was ostrzec - powiedział. - Wybacz.

- Dzięki Mitrze! Żyjesz! Bałem się, że te dzikusy cię napadły!

Artabazos prawie zgruchotał w objęciach młodszego mężczyznę.

Memnon syknął z bólu.

- Co ci się stało?

Trzymając dłoń na obandażowanym ramieniu, Memnon dał się odprowadzić na bok Artabazosowi, z dala od ciekawych uszu, w kierunku płonącego obozu.

- Włócznia jednego z Beotów Pammenesa.

- Przypadek?

Memnon potrząsnął głową.

- Tebańczycy zdradzili. Ten atak to dzieło jego nowych sojuszników, Hyrkanów króla.

Ale to jeszcze nie najgorsze. Artabazosie...

- Wiem. - Stary satrapa uniósł dłoń, zmuszając Memnona do zamilknięcia. - Kilka mil stąd zrównaliśmy się z ich tylną strażą. Podczas potyczki Mentor wziął w niewolę jednego z jeźdźców. Zanim umarł, powiedział nam o Titraustesie. Nie wiedziałem o Pammenesie, chociaż tego rodzaju perfidia z jego strony to nic nieoczekiwanego.

- Gdzie jest teraz Mentor? - spytał przejęty losem brata Memnon.

- Prowadzi zwiad z tą resztą konnych, która nam została. Jak nie wydarzy się jakieś nieszczęście, powinni wrócić przed nocą.

Artabazos zakaszał. Płomienie dotarły do samej palisady. Zapłonęły sosnowe pnie i całe fragmenty obwarowania runęły do rowu, grzebiąc leżących tam zabitych. Nie dany był im tradycyjny perski pochówek. Artabazos skłonił głowę.

- Jestem skończony, Memnonie - wyznał. - Jeśli Ochos chce Da-skylejon, niech je sobie bierze. Wycofam się do Troady, do Assos, i będę czekał na nieuniknione.

- Artabazosie - powiedział łagodnie Memnon. - Straciłeś również Assos. Eubulos nie żyje. Rządzi jego eunuch, Hermiasz. Postawił na Titraustesie.

Gdyby nie pomocna dłoń Memnona, Artabazos pewnie runąłby na ziemię. Satrapa pobladł jak śmierć. Sytuacja była katastrofalna. Wracając do Daskylejon, Memnon myślał tylko o tym, by zdążyć na czas, nie zastanawiał się nad losem swoim i wodza. Teraz musiał rozważyć konsekwencje ostatnich wydarzeń. Miłosierny Zeusie! - westchnął w myślach. Pozbawieni przystani w Assos nie mieli bezpiecznego skrawka ziemi pod stopą w całej Azji. Nie mieli gdzie uciekać. Gniew króla doścignąłby ich i w Lampsakos, i w Sigejonie, i w po trzykroć świętej Troi. Może do Hellady? Ale nie. Ochos udowodnił, najpierw na przykładzie pobitych Ateńczyków, a potem ostrożnych Beotów, że jego bogactwa i wpływy sięgają nawet za morze barwy ciemnego wina. Jeśli nie do Hellady, to gdzie? - rozważał gorączkowo Memnon.

Należało jednak przyznać, że Artabazos zebrał się w sobie, zanim żołnierze zdolali cokolwiek dostrzec. Wyprostował się, dłonie założył za plecami, żeby nie było widać, jak drżą, i odwrócił się od zniszczonego obozu.

- To poważne wieści. W samej rzeczy poważne. Już wcześniej znosiliśmy razy losu.

Przepowiadam, że z pomocą Mitry zniesiemy również i te.

- Jakie są twoje rozkazy?

- Czekamy na Mentora - oznajmił Artabazos. - Tak, czekamy na Mentora. Kiedy wróci... zdecyduję, co dalej. Teraz zajmijmy się naszymi żołnierzami. Spotkał ich straszny cios, straszny.

Kręcąc głową, Artabazos podszedł do konia. Pilnowali go dwaj ka-walerzyści. Na gest satrapy jeden z nich ukląkł, podstawiając grzbiet pod nogę starca; drugi trzymał wodze, dopóki nie odebrał ich Artabazos.

Kasztanka zarżała i rzuciła łbem. Nieprzyjacielska strzała wyryła ślad na jej muskularnej szyi. Ruch klaczy obudził rój much. Memnon podszedł i poklepał ją po łbie.

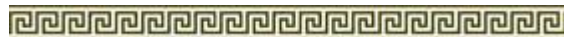
- Ten łajdak Pammenes zatrzymał Kelajno - wyznał. - Wybacz mi, że do tego doszło, i wybacz, Artabazosie, że nie zdążyłem na czas.

- Ach, drogi chłopcze. - Artabazos spojrzał na młodego Rodyjczy-ka. - Nie musisz prosić o wybaczenie, nie zrobiłeś niczego złego. Kelajno z własnej woli udała się za tobą i nie obwiniam cię o jej stratę. Wiem, że będzie otoczona opieką nawet wśród Beotów. Ale że cię zapytam: czy nie zgadzasz się ze słowami Poety, wedle którego bogowie wyznaczają właściwy czas wszystkiemu pod niebem? Jeśli tak jest, to wróciłeś dokładnie w wyznaczonym przez nich momencie. Jeśli nie wierzysz w takie rzeczy, to przynajmniej uświadom sobie, że pojawiłeś się akurat wtedy, gdy byłeś najbardziej potrzebny. - Uśmiechnął się i rozejrzał. - Tak jest, poznaję tu twoje dzieło. Mimo dymu, ognia i zniszczenia dostrzegam rękę inteligentnego organizatora, urodzonego przywódcy. Wystarczy mi zapytać byle żołnierza, a potwierdzi prawdę, którą znam: chociaż przysięgli wspierać moją sprawę, to od dzisiejszego dnia ich serca będą przy tobie. Do końca swych dni będą pamiętały twoje czyny, będą pamiętały, że to ty pomogłeś im w czasie potrzeby, a ich wdzięczność nigdy cię nie zawiedzie. Ani moja.

Z tymi słowami kopnął piętami konia i odjechał krótkim galopem, osłaniany przez parę jeźdźców. Reszta pozostała, utkwivszy oczy w Ro-dyjczyku, jakby oczekiwała jego rozkazów.

Oszołomiony Memnon pozbierał myśli. Skinął głową, przyjmując nową rolę i bezgraniczne zaufanie, jakim obdarzyli go żołnierze. Wielu z nich liczyło sobie dwa razy tyle lat co on.

- Wozy... - zaczął załamującym się z emocji głosem. - Będziemy potrzebowali więcej wozów.



Południe stopniowo przeszło w popołudnie, a następnie w wieczór, gdy Memnon doglądał wyprawianych transportów rannych i zabitych.

Szły z obozu do fortecy. Rozkazał rozstawić namioty u stóp schodów prowadzących do pałacu. W ziemię powbijano trójnogi z żelaznymi misami napełnionymi olejem, dzięki czemu światło było również po zachodzie słońca. Nie trudził się jednak samotnie. Chafr pomógł tym żołnierzom, którym mógł pomóc, i zatroszczył się o tych, wobec których jego sztuka była bezradna. Nikt nie pytał, skąd się wziął. Po prostu przyjmowano jego pomoc, błogosławiąc go. Również Artabazos chodził między rannymi, sławiąc ich, opatrując rany i wysłuchując opowieści. Przy tych, którzy tylko oczekiwali śmierci, po prostu siadał, brał ich za rękę i mówił do nich szeptem.

- Ja nigdy nie wiem, co im powiedzieć - westchnął Memnon, przynosząc Artabazosowi manierkę wina. W pobliżu kręcił się szambelan z przyszykowanym kompresem na wypadek, gdyby noga satrapy odmówiła posłuszeństwa. - Doprawdy, jak wesprzeć umierającego żołnierza?

- Postaw się na ich miejscu - powiedział Artabazos. - Jakie słowa podniosłyby cię na duchu?

Memnon zastanowił się chwilę, marszcząc głęboko czoło. W końcu rzekł:

- Chciałbym zapewnienia, że nie jestem sam, że nie zostanę zapomniany. Ale przede wszystkim chciałbym wiedzieć, że moje poświęcenie nie poszło na marne.

- W ich wypadku wcale nie jest inaczej.

Satrapa poklepał Memnona po ramieniu i wrócił do swoich zajęć.

Przez chwilę samotny Rodyjczyk obserwował wir aktywności. Dzieciarnia biegła między namiotami, chociaż nie zajmowała się zabawą. Farnabazos z pomocą Barsine zorganizował dziecięce brygady gońców, nosicieli rannych, wody i wytwórców bandaży; dostarczały koce i pożywienie, zajmowały się spętanymi końmi i przez całe popołudnie załatwiały sprawunki. Zaprzęgnięto do pracy nawet kobiety. Nieuniknionym obowiązkiem Dejdami, żony wodza, było pocieszać ofiary wojny, wdowy i matki, siostry i córki zabitych. Porzuciła dworską etykietę. Traktowała kobiety lamentujące w zakurzonych namiotach i pod płachtami jak równe sobie. Niewolnice donosiły wodę i oliwę do obmywania i namaszczenia ciała. Pieszczota, uścisk dłoni, delikatne słowo i Dejdamia była przy następnej kobiecie, krążąc z bezbłędną gracją.

Kiedy wyszła z najbliższego namiotu, jej widok przypomniał Memnonowi słowa Glaukosa - oby jego cień spoczywał w pokoju - „Żywe wcielenie waszej matki”. I była nim. Te same kruczoczarne włosy, te same ostre rysy, te same wielkie oczy. Różniły się tylko wzrostem i postawą; tu była nieodrodnym dziecięciem Timokratesa. Odziedziczyła pewność siebie ojca i demonstrowała ją z taką swobodą, z jaką nosiła czarny chiton.

Minęła Memnona i zatrzymała się. Nawet go nie pozdrowiła, jedynie zmarszczyła delikatnie zarysowane brwi.

- Krwawisz - rzekła, wskazując ramię brata. - Usiądź. Daj, zmienię ci opatrunek.

- To nic. Każę Chafrowi...

- Usiądź.

Jej ton nie dopuszczał sprzeciwu. Memnon oparł się plecami o wóz.

Dejdamia odebrała od przechodzącego dziecka bandaże i kazała niewolnicom zdjąć okryty skorupą sadzy i krwi opatrunek. Wyjrzała blada skóra i zaczerwieniona, spuchnięta rana.

- Mentor wrócił? - spytała, bez ceregieli naciskając obrzeże rany. Upewniwszy się, że nie ma ropnego wysięku, kazała kobietom owinąć czystymi paskami płótna ranę.

- Jeszcze nie. - Memnon skrzywił się, unosząc ramię i rozluźniając bark. - To zaczyna mnie niepokoić.

- Dlaczego? Mentor jest z natury samodzielny. Bardziej niż ty czy ja. Chociaż - zawiesiła głos, zastanawiając się nad dalszymi słowami - nie jesteś tym samym mężczyzną, co przed wyjazdem. Dzisiaj miałam cię na oku. Otacza cię inna aura, jakbyś poznał jakiś boski sekret, niedostępny dla reszty śmiertelników. Żołnierze to wyczuwają i dlatego traktują cię z estymą niczym kapłana lub wróżbitę. Artabazos też to wyczuwa. Czy nawiedził cię jakiś bóg, Memnonie?

Spojrzał na nią chmurnie. Chociaż mówiła na poły żartem, widział po jej oczach, że tak naprawdę jest śmiertelnie poważna. Nawet podniecona. Zawsze fascynowały ją opowieści o bogach przyjmujących ludzką postać. Tego rodzaju tajemnice rozpały ją do tego stopnia, co polityka - jej ojca. Memnon nigdy nie pojmował źródeł tej manii, lecz był zbyt mądry, aby ją podsycać. Jak Timokrates w sprawach demokracji, tak Dejdamia była nieposkromiona w sprawach religii. Jednakże wydarzenie w namiocie Heraklitesa - bez względu na to, czy było objawieniem czy omamem - dotyczyło tylko i wyłącznie jego.

- Nawiedzenie? Bądź rozsądna. Wojna to bezlitosny nauczyciel, Dejdamio, i żeby przetrwać jego lekcję, żołnierz musi stać się równie bezlitosny. Trzeba było włóczyć, żeby wbić mi do głowy tę maksymę. Co do tej aury, którą widzisz, to nie mogę niczego powiedzieć.

Wstrząs często powoduje zmianę. Być może to właśnie wyczuwają ci żołnierze. - Spojrzał na bark, podczas gdy niewolnice kończyły zakładać bandaż. Poruszył ramieniem i uśmiechnął się w podzięcie. - Doskonała robota.

Dejdamia odprawiła młodsze kobiety. Zniżyła głos do szeptu.

- Czy Artabazos powiedział ci o swoich planach względem ciebie? Jeśli lojaliści wypędzą nas z Daskylejon, dokąd się udamy? Wrócimy do Assos? - Gdy się nie odezwał, Dejdamia przyjęła za odpowiedź jego ponure spojrzenie. - W takim razie dokąd?

Memnon głośno odetchnął i wyprostował się.

- Nie wiem. Zbyt wcześnie o tym mówić. Zaczekajmy na Mentora. Gdy wróci, Artabazosowi łatwiej będzie podjąć decyzję. Ale powinnaś przygotować się na najgorsze. Możemy być zmuszeni szukać schronienia poza granicami Azji.

- Poza...? Zeusie Zbawco! - Złapała się za gardło, łzy napłynęły jej do oczu. - Co z nami będzie?

Memnon wziął ją w objęcia i pocałował w czoło.

- Nieważne, co z nami będzie. Ty i twoje dzieci zawsze będziecie mieli opiekę. Daję ci na to moje słowo. No, już, już. Dość tego mazania się. Wszyscy cię widzą. Nie myśl o jutrze, Dejdamio. Mamy dość spraw, którymi musimy się zająć dzisiaj.

Przełknęła z trudem ślinę i wyprostowała się. Byli równego wzrostu; pogładziła Memnona po policzku gestem, który boleśnie przypominał mu ich matkę.

- Nie powiesz mi, jaką tajemnicę odsłonił ci bogowie?

- Moją - rzekł, uśmiechając się.

Od dalszych pytań siostry uwolniły go stukot końskich kopyt i brzęk żołnierskiego oporządzenia.

Mentor powrócił.

Rozdział dziesiąty

Niech to Hades pochłonie! Roją się wszędzie jak robactwo! - Mentor chodził tam i z powrotem po obrzeżu otwartego na wszystkie strony namiotu. Nadal miał na sobie pancerz. Zakurzony himation fruwał w górę, gdy Rodyjczyk się odwrócił. - A ten kozojebca Pammenes trzyma się ich tak mocno, jak wesz jaj Traka!

Zapadła noc i miedziana lampa zwiślała z poprzeczki namiotu. Cedrowa żerdź lśniła od starości. Pod nią stał zamyślony Artabazos; ręce splótł za plecami, pochylił głowę. Wyłożony dywanikami namiot otaczali pierścieniem żołnierze, słuchając tyrady dowódcy i czekając na słowa satrapy. Wśród nich był również Memnon. Stojący obok niego kawalerzysta dygotał z wściekłości.

- Daj nam szansę! - krztusił się. - Prosimy tylko o szansę walki!

Na dźwięk tych słów Artabazos podniósł głowę.

- Walczylibyście? - spytał. - Nawet nie mając żadnej nadziei na zwycięstwo?

Ryk żołnierzy i ogłuszający stukot włóczni, bijących o brzeg tarcz, był jednoznaczną odpowiedzią. Artabazos uniósł rękę, prosząc o ciszę.

- Moi towarzysze broni! Moi dzielni towarzysze broni! Służyliście mi dobrze, całym sercem i duszą, ale teraz nastał czas troski o własne bezpieczeństwo i bezpieczeństwo waszych rodzin! Nasza rebelia dobiegła kresu!

Okrzyki „Nie!” i „Prowadź nas, *Megapater!*” pochłonęły głos satrapy.

- Poprowadzić was? Dokąd? Nie, moi szlachetni wojownicy! Już po mnie! Dokąd mógłbym was poprowadzić? Cała Persja stoi przeciwko wam! Nasi sojusznicy przepadli, wystraszeni mocą wielkiego króla! Pytam, was, towarzysze broni, jaki mamy wybór?

Nawet Mentor uległ furii, która rządziła tą chwilą. Błysnął wyrwany z pochwy miecz.

- Mówię, stawmy im czoło! Wszyscy umierają! Jakie to ma znaczenie, czy śmierć przyjdzie dziś, jutro czy za rok?

Odpowiedział mu gromki aplauz. Ale dalej, w cieniach, kuliły się kobiety i przerażone dzieci.

Memnon jednym spojrzeniem ogarnął całą scenę. Mentor nadał się, upojony postawą swoich żołnierzy, twarz mu płonęła, jak mężowi oszołomionemu winem bitwy. Stojący obok niego Artabazos wydawał się drobny i skurczony. Nie miał serca do walki i Memnon to wyczuwał. Trzeba było coś powiedzieć... Coś...

Gdy żołnierze nabierali oddechu i zmieszane głosy przycichły, Memnon wystąpił z tłumu. Obszedł Artabazosa, klepieniem dłoni dodając otuchy satrapie, i podszedł bliżej Mentora. Gestem poprosił brata o miecz. Mentor podał mu rękojeść, marszcząc brwi. Memnon przyglądał się swojemu odbiciu w ostrzu, czekając, aż gwar zupełnie opadnie. Miał wrażenie, że czuje na sobie wzrok Timokratesa. „Otacza cię inna aura”.

- Wasza lojalność wystawia wam doskonale świadectwo, przyjaciele! - rzekł mocnym głosem. - Siła waszej odwagi, przekonani jest tak wielka, że nawet Leonidas, dowódca sławnych trzystu Spartan, byłby dumny, mogąc was nazwać swoimi żołnierzami! Ale nie jesteśmy w Termopilach i nie czas na ślepe bohaterstwo - wbił miecz w ziemię u swoich stóp - bez względu na to, jak podobałoby się bogom! Odłóżcie na chwilę waszą gotowość odejścia do Tartaru i zadajcie sobie pytanie, co bardziej podrażniłoby wielkiego króla: zmiażdżenie wrogów w masakrze, podczas której nie mieliby żadnych szans, czy świadomość, że nieprzyjaciele uniknęli jego gniewu i włos im z głowy nie spadł? - Na to rozległy się pomruki, niektórzy żołnierze pokiwali głowami. - Pozbawiony naszych ciał, które mógłby ukrzyżować, pozbawiony naszych

głów, które mógłby zatknąć na pikach, czym tym razem wielki król będzie się mógł pochwalić? Niech odpowiem za was! Niczym, moi przyjaciele, jeno kwaśnym smakiem próżnego zwycięstwa!

- Próżne zwycięstwo to nadal zwycięstwo - warknął Mentor. - A ja nie lubię przegrywać!

- Ani ja, bracie. Ani żaden żołnierz. Ale czy to nie Artabazos nauczył nas świętować zwycięstwo z pokorą, aby nasze porażki nie cuchnęły upokorzoną dumą? - Memnon się odwrócił i skłonił przed Artabazosem jak uczeń przed mistrzem. - Bogowie postanowili, że musimy przegrać tę wojnę, przyjaciele! Nie ma ucieczki przed ich decyzją! Ale czy do tego musimy stać się męczennikami? Czy nasze żony muszą cierpieć hańbę z rąk ludzi Titraustesa? Czy nasze dzieci muszą posmakować gorzkiego smaku niewolnictwa? Każdy z obecnych tu wie, jakie konsekwencje czekają jego bliskich po jego śmierci! Czy jesteśmy gotowi zgotować im taki los, jaki szykujemy sobie?

Żołnierze oglądali się przez ramię na swoje rodziny, nagle zawstydzeni poprzednim wybuchem. Jak mogli być tak bezmyślni? Również Mentor sięgnął po miecz i schował go do pochwy, skarcony słowami brata. Przez długą chwilę nikt się nie odezwał, nikt się nie poruszył. W końcu Artabazos przerwał milczenie.

- Niełatwo postawić potrzeby rodziny przed własną chwałą, ale Memnon ma rację. Na swoich barkach nosimy ciężar innych. Najpierw powinniśmy myśleć o nich. Tak jak zwolniłem ze służby Charesa i jego Ateńczyków, nie obarczając ich winą, nie czyniąc wyrzutów, tak teraz zwalniam i was. Błagam, zadbajcie o bezpieczeństwo wasze i waszych rodzin!

Żołnierze jednak nadal nie chcieli się ruszyć z miejsca. Patrzyli po sobie, przestępowali z nogi na nogę, każdy oczekując, by przemówił drugi. W końcu pierwsze szeregi rozstały się, przepuszczając do namiotu Omaresa. Poblížnione, okryte siwą szczecinią policzki weterana były mokre od łez, gdy ukląkł przed Artabazosem.

- *Megapater*, przemawiam w imieniu każdego żołnierza, kiedy mówię, że bez względu na to, jak dobrze my ci służyliśmy, ty i twoi bliscy służyliście nam tak, że żaden język tego nie opisze. Dzisiaj straciłem kuzyna i dwóch bratanków, a mój brat już stoi wśród cieni od czasów jeziora Manyas. Chociaż zwalniasz nas ze służby, zmarli tego nie czynią. Kiedy przyjdzie mój czas, kiedy połączę się z przodkami, jak stanę przed nimi jako człowiek honoru, jeśli dzisiaj cię porzucę? Nie mogę odejść ze służby, dopóki nie będę wiedział, że ty i twoi bliscy jesteście poza zasięgiem mściwej ręki wielkiego króla! - Wielkie „hurra!” podkreśliło słowa Omaresa. Chwycił dłoń satrapy. - W porcie stoją okręty, Artabazosie! Pozwól, że umieścimy cię na jednym z nich i wyślemy w bezpieczne miejsce! Dopiero wtedy będzie nam wolno zatroszczyć się o siebie!

Artabazos ujął w obie dłonie rękę Omaresa i zmusił go do powstania.

- Wstań, mój lojalny Omariesie - rzekł. - To ja powinienem klęczeć przed tobą. W podzięce za mądrą radę i szczerą ofertę. Lecz chociaż jest szczerą, nie mogę jej przyjąć. Doprawdy, jaki byłby za mnie wódz, gdybym uciekł i wystawił was samotnych na gniew króla?

- Ostrożny - odparł Omares. - Martwy na nic się nam nie przydasz, panie.

- Bądźcie błogosławieni, przyjaciele, ale wygląda na to, że mamy tu dylemat! Ani ja nie mogę zostawić was swojemu losowi, ani wy mnie. Ale może udałoby się nam zawrzeć kompromis. Co powiecie na to, byśmy przygotowali się razem? Wyruszyli razem? Tak ja będę miał gwarancję waszego bezpieczeństwa, a wy mojego. Co wy na to?

Omaries obejrzał się na kolegów. Wszyscy żołnierze, wszystkie kobiety i dzieci wydali jeden wielki okrzyk. Artabazos uściskał Omaresa, ucałował go i wszedł razem z nim między żołnierzy. Memnon był gotów iść w ich ślady, ale zatrzymał go Mentor, kładąc rękę na ramieniu brata. Stańli naprzeciwko siebie.

- Na Zeusa, chłopcze! - powiedział Mentor, marszcząc czoło. - Dobrześ powiedział. Patron upierał się, że masz talent mówcy, ale mu nie wierzyłem.
- Mówiłem tylko to, co było w moim sercu, żeby im przypomnieć, co sami mają w sercach.
- Wiesz, nie żeby miało to znaczenie, ale... na bogów...! ojciec byłby z ciebie dumny! Mentor skinął głową i ruszył zająć się podkomendnymi. Memnon odprowadził go wzrokiem. Młody Rodyjczyk poczuł w gardle rosnącą grudę.
- To ma znaczenie - szepnął. - Ma.



Trzy jednostki pozostały w daskylejońskim porcie, ogołocone przed zimowym remontem. Dwa statki kupieckie, *ploia strongyla*, pływające balie o wysokich dziobach i masztach z sezonowanego cedru, i wiekowa triera, łąta na łacie, niewątpliwie zbudowana w czasach, gdy Ateny walczyły ze Spartą. Wszystkie miały się przydać Artabazosowi.

Dowodząc niewielkim oddziałem ochotników, zebranych pośród mających żeglarskie doświadczenie żołnierzy, i wsparty garstką dostawców sprzętu okrętowego i szkutników, dla których portowe składy były domem, Memnon pracował całą noc. Przygotowywał statki do wypłynięcia. Załogi szykowały reje z nowymi żaglami i wciągały fały na maszty, okrywały brzuchy statków warstwami świeżej smoły. Rodyjczyk świadom, że będą płynąć po niebezpiecznych wodach, osobiście sprawdzał każdy kąt i każdą dziurę, każdy ściągacz linowy i fragment pokładu, czerpiąc z wiedzy siwobrodych kapitanów, gdy nie wystarczało mu własnej. O brzasku zawiadomił fortecę. Załadunek mógł się zacząć, kiedy satrapa uzna za stosowne.

- Niefortunna flotylla - powiedział Chafr, podając Memnonowi okrytą płótnem misę. Jej zawartość parowała w chłodnym powietrzu poranka.

- Dla naszych potrzeb wystarczająca.

Memnon usiał pod markizą jednego ze składów i powąchał owsiankę, zagęszczoną krojonymi daktylami i miodem. Chafr zanurzył kubek w amforze stojącej na tyłach niskiego wozu i wręczył go Rodyjczykowi. Pozostali służący z fortecy podawali podobny posiłek ludziom Memnona.

- A dokąd ma popłynąć? - spytał Egipcjanin.

Memnon wzruszył ramionami.

- Może do Tracji albo do jednego z miast-państw Półwyspu Chalcydyckiego. Artabazos nie powiedział. Jak nasi ranni?

- Tej nocy siedmiu kolejnych dołączyło do Ozyrysa. Inni opierają się wezwaniu boga, chociaż wydaje mi się, że walczą nie ze względu na siebie. Troska twojego satrapy dodaje siły ich pragnieniu utrzymania się przy życiu. Ten Artabazos to niezwykajny człowiek. Nie spotkałem nikogo, kto byłby mu podobny.

- Tak, masz rację.

- Zastanawiam się jednak, czy jest równie łaskawy, jak się wydaje?

Memnon skinął głową.

- Czemu pytasz?

Egipcjanin zrazu nie odpowiedział, zwróciwszy uwagę na scenkę po drugiej stronie ulicy. Memnon poszedł za jego wzrokiem. Żołnierz, jego kobieta i ich dziecko siedzieli w słońcu, plecami do ściany szałas, spożywając skromny posiłek. Kobieta zaśmiewała się do rozpuku, gdy

dziecko usiłowało dźwignąć drewniany młotek ojca, by wbić w ziemię patyk. Gruchnęło na plecy, na podolek ojca, równie rozweselone jak rodzice.

Memnon usłyszał pełne udręki westchnienie Chafra.

- Mam w ojczyźnie, w Bubastis, żonę i synka i nie widziałem ich już ponad dziesięć lat - powiedział. - Pragnę do nich powrócić jak wasz Odyseusz, chociaż do tej pory nie miałem pojęcia, jak tego dokonać. - Spojrzał błagalnym wzrokiem na Rodyjczyka. W oczach zakreśliły mu się łzy. - Nie jestem pozbawiony środków. Gdybym zaproponował Artabazosowi wykup, rozważyłby go, zamiast dalszej służby?

Memnon chwilę pomyślał. Odłożył pustą miskę, otarł dłoń w płótno, dokończył wino. Już zastanawiał się nad losem Chafra, już podjął w tej sprawie decyzję. Jak powinien mu ją przedstawić?

- Nie wydaje mi się, aby przyjął od ciebie pieniądze - zaczął powoli, skupiony. - Znam Artabazosa wiele lat, więc wiem, co mówię.

Załamany Egipcjanin zgarbił się przy ścianie i przyciągnął do piersi kolana.

- Ach, tak. - Głos mu się łamał. - No, cóż, milczeniem nic się nie osiągnie i trzeba przyznać, że Artabazos jest wymowniejszym panem niż He-raklites. Bądź tak dobry i zapewnij go, że nie będę szukał ucieczki. Jeśli...

- Źle mnie zrozumiałeś, Chafrze - powiedział, uśmiechając się, Memnon. - Nie weźmie pieniędzy za coś, co może dać w darze.

- Co? - Egipcjanin był oszołomiony.

- Oddałeś nam przysługę, której nie sposób przecenić, mój przyjacielu. Bez twoich umiejętności większość naszych towarzyszy broni odeszłaby do bogów. Wystarczy mi tylko zapytać, a jestem pewien, że obdarzy cię wolnością, chociaż to pewnie skromna rekompensata za twoją pomoc.

Egipcjanin chwilę się jąkał, zanim odzyskał głos.

- To nie okrutny żart, prawda?

- Nie, Chafrze - upewnił go łagodnie Memnon. - Ani pusta obietnica. Więcej, jestem tak pewien odpowiedzi Artabazosa, że mogę ci dać słowo: tak jak tu siedzimy, przyjacielu, jesteś wolnym człowiekiem.

- Wolnym człowiekiem... - szepnął Egipcjanin i ukrył twarz w dłoniach.

Wstrząsany szlochom wyciągnął rękę na oślep i złapał się Memnona, jak tonący łapie się kępy trzciny. Rodyjczyk siedział spokojnie, tylko poklepując po ramieniu Egipcjanina i nasłuchując turkotu wozów, które toczyły się do portu.

- Prze-przepraszam - rzekł w końcu Chafr. Kiedy uniósł głowę, oczy miał czerwone i spuchnięte, łzy lśniły mu na policzkach. - Wydawało mi się, że jestem przygotowany na... na wielkość tej chwili.

- Czy jako człowiek wolny nadal będziesz się opiekował rannymi, aż przyjdzie czas, kiedy będziemy mogli cię wysłać, dokąd zechcesz? - spytał Memnon, wstając i przerzucając przez ramię pas miecza.

Chafr również powstał.

- Nie musisz nawet pytać. Oczywiście, że będę.

- Dobrze.

Memnon skinął głową, dodając otuchy Egipcjaninowi. Wyszli na słońce. Sznur wozów mijał skład, eskortowany przez oddział kawalerii. Prowadzący go Mentor wyglądał tak, jakby nie czuł się pewnie na koniu. Gestem wezwał Memnona. Młody Rodyjczyk pochylił się do Chafra i rzekł:

- Jeszcze porozmawiamy. Potem.

- Memnonie, nie mam słów...

Memnon uśmiechnął się.

- Słowa nie są potrzebne. Wiem, że gdyby nasza sytuacja była odwrotna, zrobiłbyś to samo dla mnie.

Machnąwszy ręką Egipcjaninowi, Memnon podszedł do brata. Mijał wozy, wypakowane wysoko belami i jukami, amforami o wąskich szyjach i brzuchatymi glinianymi słojami. Tragarze przypisani do każdego ze statków opadli te dobra jak roje much, przepychając się i krzyżąc jeden na drugiego, żeby jak najszybciej rozładować każdy wóz. Ta wrzawa spłoszyła konia Mentora.

- Uspokój się! - warknął starszy Rodyjczyk, ostro ściągając wodze.

- Przestań, przestań! Wyłamiesz mi szczękę. Musisz być cierpliwy - skarcił brata Memnon. Nieco poluzował nagłówek i pogładził stworzenie po chrapach. Parsknęło i zarżało. - To z magazynów?

- Tak - potwierdził Mentor. - Bagaże osobiste przyjadą potem. Artabazos polecił Dejdammii pakować się z głową, zostawić wszystko, co się nie zmieści w dużych skrzyniach. Myślę, że resztę powinniśmy spalić, ale Artabazos krzywi się na to.

Memnon pozwolił koniowi przytulić się do jego szyi.

- A czegoś się spodziewał? Większość z tego, co zostawia, była w jego rodzinie od pokoleń; nie zniszczy tego, ale zostawi pod opieką nowym panom Daskylejon.

- Sentymentalna głupota. Powinien zrównać z ziemią pałac. Niech Titraustes się nie cieszy, że będzie miał mury Daskylejon. - Zszedł z konia, rzucając wodze adiutantowi. - Przejdź się ze mną, bracie.

Poklepawszy na pożegnanie konia, Memnon ruszył obok Mentora. Starszy Rodyjczyk podszedł do nabrzeża, z dala od cumujących okrętów. Woda chlupotała o kamienny brzeg.

- Zostaję razem z młodszymi żołnierzami, którzy nie mają rodzin. Będziemy osłaniać odwrót.

- Ja też zostaję.

- Nie. Artabazos potrzebuje u swego boku jednego z nas, a skoro jesteś ranny...

- Na Hadesa! - rzucił się Memnon. - Przystaniesz mnie niańczyć?

Mentor nagle się zatrzymał, złapał brata za ramię i odwrócił go do siebie.

- Głupcze! Myślisz, że tu chodzi o osłanianie? Nie wysyłam cię za Artabazosem, żeby ratować twoją skórę! Jeśli Hyrkanie zmiażdżą moją tylną straż i dotrą do ujścia Makestosu, okręty Artabazosa zostaną pokonane, zanim dotrą do Propontydy! Dlatego będziesz na pokładzie!

Memnon skłonił głowę na ramię. Miał pytający wyraz twarzy.

W odpowiedzi Mentor dobył nóż i wcisnął jego kościaną rękojeść w rękę brata.

- Jeśli ja zawiodę - rzekł - nie możesz dopuścić do tego, żeby dostali Artabazosa żywego!

Memnon patrzył na nóż, jakby brat dał mu jadowitego węża i kazał go przycisnąć do piersi. Poczul w dole brzucha rosnący zimny twardy supeł.

- Zeusie! Nie jestem mordercą!

- Pomyśl, co zrobi z nim król, jeśli zostanie pojmany. Trafi do Suzy w łańcuchach, na tortury, i straci życie dopiero wtedy, gdy Ochos nacieszy się jego mękami. Obiecuj mi, że oszczędzisz mu tego losu!

Na to Memnon nie miał argumentów.

- Ale czy w takim razie mamy rzucić na pastwę Ochosa ciebie?

- O mnie się nie martw, bracie. Potrafiłem zadbać o siebie już wtedy, kiedy ty

przyszedłeś na świat. Jeśli taka będzie wola Zeusa, spotkamy się na przylądku Sigejon, skąd widać Hellespont. Pamiętasz to miejsce? Świątynię Posejdona na nadbrzeżnych skałach, które noszą nazwę Portu Priama?

Memnon skinął głową. Zeszłej jesieni bracia udali się tam z Assos, aby przebłagać mściwego Pana Morskiej Toni.

- Jesteś pewien, że uda ci się tam dotrzeć za dwa tygodnie?

- Wcześniej - zapewnił go Mentor. - Ale na razie mamy mało czasu. Rozstawiłem ludzi, żeby strzegli mostu na Małym Makestosie. To jedyne miejsce przeprawy kawalerii. Następne jest pół dnia jazdy na wschód. Hyrkanie się na to nie zdecydują. Zostawiam ci doglądnięcie załadunku.

- Skończy się przed nocą.

Mentor już ruszał do konia, ale jeszcze przystanął. Spochmurniał; Memnon nigdy nie widział go tak bliskiego łez.

- Co się stało, braciszku? Pięć miesięcy temu byliśmy panami naszego świata. Byliśmy zwycięzcami z wieńcami na czole, w girlandach kwiatów. Teraz popatrz na nas... staliśmy się cieniami dawnych siebie, zmuszeni uciekać z podkulonym ogonem, aby ratować życie. Czym obraziliśmy bogów?

- Chyba tylko tym, co wszyscy ludzie - odparł Memnon. - Życie to wielkie koło, Mentorze. Wznieśliśmy się w równej mierze dzięki własnej sile, ile dzięki słabościom Mitrydatesa. Teraz, chociaż sami nie popełniliśmy żadnego błędu, jesteśmy w dole. Bez względu na to, jak źle się ułoży, musimy tylko zachować cierpliwość, a szczęście znów się do nas uśmiechnie.

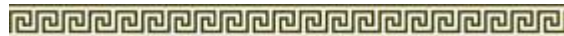
- Trudno przełknąć filozofię, wedle której wszystko zależy od kaprysu bogów - kręcąc głową, orzekł starszy Rodyjczyk. - Chodź, jest jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Memnon jednak stał jeszcze chwilę, wyteżając wzrok między drzewa. Niecałe sto kroków dalej Mały Makestos pokonywał skalne katarakty i wpływał do jeziora Daskylitis, tworząc błotnistą część wodnego zbiornika. Dalej otwarte pola rozciągały się wzdłuż wybrzeża, sięgając aż do delty właściwego Makestosu, gdzieśgdzie zarośnięte kępami dębów, sykomor i karłowatych sosen. Błysnął tam metal. Podniósł się kurz.

- Mentorze! - Brat odwrócił się zaniepokojony. Memnon wskazał nożem pola. - Hyrkanie nadjeżdżają!

Niepokój Mentora przeszedł niemal w strach.

- Zabierz ich z pałacu! Natychmiast!



Bliźniacze moce, Chaos i Przerazenie, jak mściwe erynie opanowały Daskylejon. Uporządkowana ewakuacja przeszła w zamieszanie podsycane głosami trąb, brzękiem żelaza i wołaniami umierających. Hałasy dobiegały z okolic mostu. Memnon brodził w nurcie ludzi dźwigających dobytek całego życia w naprędce związanych tobołach i wiklinowych koszach. Przodem dzieci pędziły stada gęsi i kóz. Mijał grupki ludzi z miasta - cieśli i kowali, garncarzy i malarzy - którzy najlepiej jak mogli, starali się zabezpieczyć domy i kramy przed falą uchodźców. Zostali, gdyż tworzyli *emporoi*, trzon rodów kupieckich, których pochodzenie nieraz sięgało czasów wielkiego Cyrusa albo jeszcze głębiej, epoki, w której król Troi, Priam, zgłosił swoje pretensje do tych ziem. Niewątpliwie zamierzali ogłosić żołnierzy króla królów zbawcami

i rzucać im kwiaty pod nogi, tak jak witali Artabazosa.

Nawet szybko biegnąc, Memnon potrzebował niemal całej godziny na dotarcie do fortecy. Ale tam, inaczej niż w pozostałych częściach Daskylejon, panował porządek. Pałac oparł się uściskowi Fobosa, herolda Aresa, chociaż jego mury stały najbliżej domeny boga wojny. U stóp schodów czekały trzy zaprzężone w konie wozy. Załadowane na nie skrzynie i kufry kryły cały skarbiec Artabazosa, osobiste rzeczy Dejdami i dzieci. Czwarty wóz stał pusty.

Pojazdy otaczali strażnicy. Trzymali broń w pogotowiu, chodząc jak lwy w klatce, gotowi do walki lub konwojowania. Między nimi Memnon dostrzegł Omaresa.

- Gdzie oni? - spytał bez tchu.

- Wychodzą, tak mi przynajmniej powiedziano - zameldował Omares. Opatrunek na głowie miał przesączony krwią. - Jak nasi chłopcy?

- Nie wiem.

Memnon skrzywił się, spoglądając w kierunku mostu spinającego brzegi Małego Makestosu. Zalesiony fragment wzgórza, na którym wzniesiono fortecę, zasłaniał to miejsce, ale odgłosy, które stamtąd dolatywały, były zatrważające.

- Jak musisz, wyślij zwiadowcę, ale bądź w pogotowiu. Nie mamy czasu.

Omares wysłał żołnierza, podczas gdy Memnon ruszył schodami do wrót pałacu.

Kiedy był już blisko szczytu, prawie zderzył się z żałobną procesją kobiet i dzieci - pokojówkami z gynajkejonu siostry i piastunkami, które dźwigały przy piersiach bliźnięta, Artakamę i Ariobarzanesa; za nimi szła Barsine z Kofenem. Dejdamia w czarnym jak całun płaszczu sprawowała opiekę nad całością. Za kobietami podążał Datis, a pochód zamykał Farnabazos. Miał na sobie skórzany kirys i dźwigał parę oszczepów. Artabazos był niewidoczny.

- Gdzie twój ojciec? - spytał Memnon.

Farnabazos wskazał głową pałac.

- Ostatnio widziałem go w wielkiej sali. Gdzie mam się stawić, wujku?

Chłopiec nadrabiał miną, ale wyraźnie był w strachu. Usta mu drżały i podskakiwał przy każdym odgłosie bitwy.

- Zgłoś się do Omaresa - powiedział Memnon. - Poproś, żeby skierował cię tam, gdzie będziesz najbardziej przydatny. - Położył mu dłoń na ramieniu i spojrzał w oczy. - Nie bój się. Strach ma wielkie oczy, a odwaga, synu Artabazosa, to nie brak strachu, ale działanie mimo niego.

- T-tak, wujku.

Memnon zmierzwił mu włosy. Zanim odszedł, Dejdamia złapała go za ramię.

- Gdzie Mentor? - spytała szeptem.

Wskazał głową most.

- Zgłosił się na dowódcę tylnej straży.

Dejdamia pobjadła. Memnon ujął ją za rękę i łagodnie uściśnął.

- Wspomnij własne słowa, siostrze. Mentor jest samodzielniejszy niż ktorekolwiek z nas. Znów się z nim spotkamy. Obiecuję. A teraz szybko do wozów.

Nie czekając na efekt tych słów, odwrócił się i przebiegł przez bramę pałacu. Echo jego kroków rozległo się na opuszczonym dziedzińcu, odbiło od murów i ogołoconych z rzeźb nisz, oczekujących nowych panów. Zniknęły nawet donice z drzewami i krzewami, przeniesione przez ogrodników w bezpieczne miejsce. Wyzbyty życia pałac przypominał kryptę. Memnon minął kolumnadę i wszedł do wielkiej sali.

W głębi, na okolonym światłem tronie, siedział Artabazos.

- Czas wyruszyć - oznajmił Memnon. - Artabazosie?

Satrapa miał na sobie podszyte skórą spodnie kawalerzysty, szafranowy chiton i długi

szmaragdowy kaftan wyszywany złotą nicią. Broń, zakrzywioną szablę w zdobionej srebrem pochwie, trzymał na udach. Na dźwięk swojego imienia drgnął.

- Czy pamiętasz mojego ojca, Memnonie?

- Nie. Zmarł, zanim nauczyłem się chodzić. Ale Timokrates zawsze mówił o nim z szacunkiem, nawet lata później. Chodź, Artabazosie. Nie mamy wiele czasu. Statki...

- To była para, twój ojciec i mój. Jak dwaj tak różni mężowie zdołali się tak szybko zaprzyjaźnić, to tajemnica godna bogów. Byłem młodszy niż ty teraz, gdy Timokrates wstąpił na służbę mojego ojca. - Zachichotał. - Po raz pierwszy wybrałem się do Hellady, stojąc u boku twojego ojca. Mieliśmy przekazać perskie złoto wrogom tego spartańskiego szakala, Agesilaosa, który pustoszył wybrzeże Azji. To poskutkowało. Nasze złoto zachęciło Korynt i jego sojuszników do wojny. To, czego roje wojowników króla nie potrafiły osiągnąć w ciągu lat, Timokrates osiągnął w kilka miesięcy. Zmusił Agesilaosa do opuszczenia naszych ziem i obrony swoich. Och, wściekłość Spartanina była niebywała, zupełnie jak ze strof Poety. - Uśmiech satrapy przygasł. - Potem mój ojciec nie lubił pozostawać zbyt długo w jednym miejscu... Age-silaos zaszczerpił w nim straszliwy lęk przed znalezieniem się w oblężeniu... tak więc nieustannie podróżował, nomada we własnym kraju. „Człowiek w forticy jest łatwym celem - powtarzał - ale człowiek na końskim grzbiecie jest zagrożeniem”. Lecz miał jedną słabość.

Uniósł głowę i rozejrzał się po wielkiej sali. Patrzył w dal, jakby na coś, czego Memnon nie mógł dostrzec.

- Artabazosie, błagam... musimy iść.

- Twierdził, że ten pałac jest mieszkaniem jego duszy, i nalegał, bym nigdy nie oddał go w ręce nieprzyjaciela. W tym względzie zawiodłem go nie raz, ale dwa razy.

- Pragnienia twojego ojca nie mogą złamać woli bogów, Artabazosie. Prowadziłeś honorową wojnę i dzięki tobie Daskylejon stało się miejscem chwały. Lud będzie wspominał twoje dziedzictwo, korząc się pod batogiem Ochosa.

- Będą wspominali starego durnia, który uważał się za kogoś lepszego niż prawowity król. Memnon nastroszył się.

- Będą pamiętali cię jako człowieka, który stawiał czoło despotcie!

Artabazos westchnął.

- Może tak. Może nie. Ale masz rację co do jednego. Rządzi wola bogów i pragnienie, aby ją zmienić, jest tyle warte co pragnienie, aby zmienić bieg słońca na niebie. - Powstał i kulejąc, zszedł z tronowego podium.

- Żałuję, że nie może być inaczej - powiedział Memnon.

Artabazos się uśmiechnął.

- Nawet przeciwności losu dadzą się odmienić. Wszystko jest jednością, Memnonie.

Wszystko jest jednością.

- Panie! - krzyknął z dziedzica znajomy głos.

- Tu, Omaresie!

Zdyszany dowódca wyrósł przy drzwiach.

- Wódz Mentor przysyła mnie z wiadomością, panie! Prosi, żebyśmy się pośpieszyli i odpłynęli! Hyrkanie są za silni! Wysłałem wozy do portu, z eskortą! Konie czekają! Chodź, panie! Pośpiesz się!

- Tak - powiedział Artabazos, marszcząc brwi. - Zbyt długo zwlekałem.

Nie obejrzawszy się, opuścił wielką salę, przeciął dziedziniec i minął gigantyczne pomniki przy bramie.

- Mentor uważa, że należy spalić pałac, ale to byłaby obelga wobec moich przodków. Co doradzasz w tej mierze, Memnonie?

Ale Rodyjczyk nie słuchał. Coś innego zwróciło jego uwagę. Zrobił krok, osłaniając dłońią oczy.

- O co chodzi? - spytał Artabazos, powtarzając ten gest.

Z miejsca obserwacyjnego na szczycie schodów wszyscy trzej mężczyźni widzieli zmierzające do portu wozy. Słońce płonęło na hełmach i napierśnikach straży. Ale to jaskrawe słońce zdradziło coś jeszcze: pieszy oddział Hyrkanów przekraczał koryto Małego Makestosu i wdrapywał się na drugi brzeg. Liczyli na to, że niespodziewanie zaatakują wozy.

- Eskorta ich nie widzi! - krzyknął Omares.

- Sukinsyny! - ryknął Memnon, zbiegając do koni. Pilnowali ich stajenni. Porwał jednemu z kardaków włócznię i posługując się drzewcem jak tyczką, wskoczył na koński grzbiet. Zwierzę zatańczyło, rozdy-mając nozdrza, gdy Memnon wyrwał z rąk zaskoczonego sługi wodze. Smagnął konia po karku. Zwierzę runęło galopem.

Świat Memnona się skurczył; wszystko, co kiedyś było ważne, wszystko, co przysparzało mu trosk, zniknęło. Widział tylko drogę, wozy i czający się w cieniach oddział Hyrkanów. Jego ukochana rodzina była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Odruchowo przygotował się do rzutu włócznią.

Czas zwolnił bieg. Kopyta dudniły na stwardniałej ziemi. Strażnik zamykający konwój zatrzymał się, obejrzał i dostrzegł Memnona. Zaniepokoił się. Oszczepem wskazał go pozostałym żołnierzom. Odwróciły się kolejne twarze.

Memnon uniósł się i cisnął włócznią. Błysnęła obok strażników. Poszli za nią wzrokiem. Z głuchym łomotem osiadła w piersi pierwszego Hyrkana, który wyskoczył z zarośli, czarnobrodego osiłka w obszytym żelaznymi łuskami medyjskim kaftanie. Zawirował wokół własnej osi i padł.

- Chronście wozy! - ryknął Memnon, dobywając z pochwy miecz.

W tym samym momencie kilkunastu Hyrkanów wyskoczyło zza drzew. Mimo że urodzeni na końskim grzbiecie, szybko przebierali krzywymi nogami. Byli uzbrojeni we włócznie, topory i długie, zakrzywione noże. Chroniły ich tarcze w kształcie półksiężyca, wykonane z łożyny i wzmocnione skórą.

Eskorta starła się z nimi kilkanaście kroków od wozów. Metal uderzył o metal, miażdżąc tarcze Hyrkanów i dzwoniąc o brązowe krawędzie *aspid.es* eskorty. Pękały włócznie; wrzeszczeli żołnierze, sieczeni ostrzami i padający na ziemię. Koń Memnona tańczył na obrzeżu potyczki, podrażniony wonią świeżej krwi. Memnon ściągnął wodze, próbując go okiełznać, ale sprawił tylko, że koń stanął dęba i przebierał w powietrzu kopytami. Wykorzystał to jeden z Hyrkanów. Skoczył przed siebie i wbił w brzuch zwierzęcia włócznię. Koń stał, rżąc i rzucając na boki łbem. Memnon ześlizgnął się po zadzie i zatoczył koło; Hyrkan dostrzegł go zbyt późno. Rodyjczyk zaatakował. Zawiniętą wokół rękojeści miecza pięścią zmiażdżył szczękę napastnika, a potem wbił mu w tors miecz, docierając do kręgosłupa. Stęknął i wyrwał z trupa ostrze.

Nagły ostry krzyk przyprawił go o dreszcz. Odwrócił się akurat w chwili, w której jeden z Hyrkanów cisnął toporem. Broń błysnęła, zawirowała w powietrzu i wbiła się w pierś szambelana. Eunuch prowadził wóz z kobietami i dziećmi. Odruchowo ściągnął wodze i wóz zwolnił. Wykorzystał to jeden z napastników. Przyskoczył do boku wozu. Obnażył zęby w wilczym, triumfalnym grymasie, w dłoni trzymał ostrze. Dejdamia osłoniła dzieci własnym ciałem, szukając na osłep broni. Siedząca najbliższej krawędzi wozu Barsine kopała napastnika, krzycząc w panice. Kiedy Hyrkan złapał ją za nogę, Farnabazos niezdarnie poderwał się z rozkołysanego wozu. Memnon patrzył, jak chłopiec ile sił w ramieniu wbija oszczep w twarz Hyrkana. Czubek ostrza ugodził go w policzek, odgiął w tył głowę, przebił ciało, kości i mózg. Trysnęła krew, zlewając Farnabazosa i Barsine. Chłopiec wypuścił oszczep i wytrzeszczając

oczy, patrzył, jak Hyrkan pada na ziemię. Drzewce sterczało mu z twarzy jak pień koszmarnego drzewka.

Memnon dotarł do wozu równocześnie z Artabazosem i Omaresem. Farnabazos siedział porażony szokiem. Barsine wczółgała się na podolek brata, kurczowo ściskając go w pasie. Odruchowo, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, gładził ją po włosach. Kofen i para niemowląt darli się wniebogłosy, cali i zdrowi, ale przerażeni. Dejdamia i piastunki starały się je uspokoić. Memnon wdrapał się na ławkę woźnicy, na której siedział Datis, kurczowo łapiący się resztek życia, i przejął lejce. Dołączył do niego Artabazos i objął Datisa. Szambelan usiłował coś powiedzieć. Krew popłynęła mu po podbródku. Żałośnie przewracał oczyma.

- Wybacz mi, drogi Datisie - powiedział Artabazos. Jego dłoń omijała rękojeść sterczącego z piersi szambelana topora. - Należało odesłać cię do ojczyzny.

- N-nie po-pojechałbym... - wyjąkał umierający.

- Trzymaj go, Artabazosie! Trzymajcie się wszyscy!

Z tymi słowami Memnon strzepnął lejce, uderzając konie po bokach. Wóz podskoczył i zakółsał się, nabierając prędkości, następne ruszyły za nim. Memnon nie zwolnił, dopóki nie dotarli do portu.

Konwój zatrzymał się koło składów.

- Chafr! - krzyknął Memnon, pomagając Artabazosowi złożyć na ziemi Datisa.

Egipcjanin przybiegł do nich.

- Ratuj go, jak możesz!

Rodyjczyk zdejmował z wozu dzieci, gdy Chafr uściśnął mu ramię.

- Już poszedł do Ozyrysa - rzekł Egipcjanin.

Memnon spojrział w dół. Datis miał nieruchome, szkliste źrenice. Artabazos położył na ziemi głowę szambelana i wyprostował się. Przez chwilę wszyscy milczeli. W końcu Artabazos się poruszył.

- Niech jego śmierć nie pójdzie na marne. Memnonie, dostarcz na pokład rodzinę.

Ranni?

- Na pokładzie większego statku - rzekł Chafr.

Artabazos skinął głową.

- Musimy dać znać Mentorowi, że zaraz odbijamy.

Na to wystąpił Omares. Artabazos odwrócił się do niego.

- Zgłaszasz się do tego zadania, przyjacielu?

- Kiedy już jesteś bezpieczny, panie, mogę poderżnąć gardło paru Hyrkanom.

Artabazos uściśkał posiwiałego weterana i ucałował go w policzek.

- Niech bogowie obdarzą cię długim życiem i powodzeniem, Omariesie.

- I ciebie, panie.

- Chodź, Dejdamio - rzekł Artabazos, kiwając ręką na żonę - weź dzieci. Farnabazosie?

- Uniósł chłopca i uściśkał go mocno. - Teraz w oczach bogów jesteś mężczyzną i niech nikt tego nie kwestionuje. Chodź, synu. Pomóż siostrze.

Ramię przy ramieniu ojciec i syn pomogli kobietom, podczas gdy Memnon i Chafr zaprowadzili je na pokład triery. Zwolennicy Artaba-zosa, którzy wybrali ucieczkę morzem, jeden po drugim weszli na statki; żeglarze zajęli stanowiska. Mężczyźni wszystkich profesji zasiedli do wiosel na trierze satrapy. Artabazos podziękował im, przechodząc między ławkami wiosłarzy.

Ostatni na pokładzie Memnon zatrzymał się u wejścia na pomost. Przebiegł wzrokiem opustoszałe składy i dostrzegł Omaresa, zbierającego żołnierzy. Zawołał do niego:

- Przekaż wiadomość mojemu bratu! Powiedz mu „dwa tygodnie”! Zrozumie!

Omares gestem potwierdził, że usłyszał słowa Memnona, i zajął się szykowaniem do wymarszu. Walka przybliżyła się do wybrzeża. Żołnierze Mentora byli spychani w kierunku portu.

Memnon z ciężkim sercem wszedł na pokład.

Artabazos z rufy wydał rozkazy do odpłynięcia; wybrano cumy i ludzie z bosakami zaczęli odpychać okręt od nabrzeża. Powoli, z godnością, pływające balie skierowały się ku środkowi jeziora Daskylitis. Tam prąd Makestosu miał je zabrać kanałem do Propontydy. Trierą odpłynęła ostatnia. Nie mając bębna ani fletu, żeglarze podali początkującym wioślarzom rytm, bijąc jednym kawałkiem złamanej włóczni o drugi. Trzask! Trzask! Trzask!

Memnon wspiął się na nadburcie od strony portu i obserwował, jak walki przenoszą się z ulicy na ulicę. Podpalane przez Hyrkanów domy płonęły. Dym zapewniał znakomitą osłonę ostatnim żołnierzom Arta-bazosa. Memnon przez krótką chwilę dojrzał brata, gdy ten odwrócił konia w kierunku portu.

- Mentor! - zawołał, wyciągając w górę obie ręce.

Starszy Rodyjczyk dostrzegł go i gestem pożegnania uniósł miecz, zanim bitewne zamieszanie znów go wchłonęło. Memnon powoli opuścił ramiona.

- Miłosierny Zeusie - szepnął - zachowaj go od szkody.



Deszcz chłostał przyładek Sigejon, stwarzając zdradliwą pułapkę tym, którzy wspinali się wykutymi w skale, krętymi schodami, prowadzącymi z dzikiej plaży, nazywanej Portem Priama, do najwyższego punktu wybrzeża. Stała tam świątynia Posejdona, górując nad burzliwymi wodami Hellespontu. Zbudowana w jońskim stylu miała kunsztowny fryz przedstawiający wodne stworzenia - igrające z nereidami delfiny - oddany w marmurze z Naksos, zniszczony przez zmienną pogodę i drażącą go przez stulecia słońcą wodę. Frontowe cztery kolumny w pewnym stopniu chroniły budowlę przed żywiołami. Drzwi z sosnowego drewna okutego brązem były uchylone.

W środku ciemnego prostokątnego pomieszczenia, na postumencie z rzeźbionego kamienia, królował Posejdon. Oddany w marmurze i złocie, w koronie z pereł Pan Głębi w jednej dłoni ścisnął trójząb, w drugiej dzierżył wieniec świętej sosny. Szczodroblivy i okrutny był Pan Mórz i Sztormów, rządzący trzęsieniami ziemi brat Zeusa i Hade-sa. W jego obecności Memnon czuł się bezradny, pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia i nie było mu z tym dobrze.

Niespokojny Rodyjczyk przechadzał się u stóp boga, otuliwszy się szczelnie płaszczem przed hulającym wiatrem. Obok stał równie opatulony Artabazos, ogrzewając dłonie nad małym koszem z płonącymi polanami.

- Przybędzie - rzekł satrapa.

- Minęło ponad dwa tygodnie, od kiedy opuściliśmy Daskylejon!

- Mentor dał słowo. Przybędzie.

- Ale czy nas stać na dalsze czekanie, Artabazosie? Nereus zapewnia mnie, że kiedy tylko deszcz ustanie, powieje korzystny wiatr. Ale nawet wtedy wystawimy na próbę cierpliwość Króla Mórz. To niebezpieczne wody. Pozwól mi odszukać Mentora! Kiedy go znajdę, dołączymy do ciebie w Tracji albo na Półwyspie Chalkidyckim!

- Już pytałeś, czy się zgadzam! - osadził go Artabazos. - Moja odpowiedź nadal brzmi „nie”! Czekamy na niego tu!

- Czekamy! - warknął Memnon. - Czekanie jest dla starych bab! Należało... - Ucichł, słysząc odgłosy z zewnątrz. Podeszedł do drzwi i uchylił je szerzej, ruchem głowy przywołując Artabazosa. - Może to koniec naszego wyczekiwania.

Jakaś postać wspinała się w kierunku świątyni, zmierzając od Sige-jonu.

- To nie Mentor - powiedział zawiedziony Memnon.

- Może posłaniec.

- Albo uciekinier niewolnik, szukający ochrony u stóp Posejdona.

Świątynie boga mórz tradycyjnie były azylem uciekinierów. Memnon odsunął się od drzwi, wpuszczając przybysza.

Kiedy ten minął próg, padł na kolana, ale raczej z wyczerpania niż z pobożności.

- Szukam Rodyjczyka imieniem Memnon! - wydyszał. - Powiedziano mi, że jest tutaj. Memnon i Artabazos wymienili spojrzenia.

- To ja. Czy przynosisz nam wieści od Mentora? To mój brat!

Posłaniec odgarnął z czoła ociekające wodą włosy. Był kilka lat młodszy od Memnona. Miał na sobie wełnianą chlamidę i sandały.

- Macie może wino? - spytał.

Memnon skinął głową i podał mu kubek napoju z ich skromnych zapasów. Posłaniec przyjął go i łapczywie osuszył.

- Co z nim, człowieku? Czy mój brat jeszcze żyje? - zapytał Memnon.

- Żyje. Mój ojciec przysłał wiadomość do Assos, każąc przekazać ją Memnonowi przebywającemu na przylądku Sigejon. Mam powiedzieć, że Mentor nie mógł się przedrzeć przez Hellespont i że Memnon wraz ze swoim panem powinien szukać schronienia w dalekich krajach. Ojciec powiedział, że Mentor odszuka cię, kiedy będzie mógł.

- Kto jest twoim ojcem? - spytał zaciekawiony Artabazos.

- Omares, panie. Dowódca kardaków.

- Co jeszcze powiedział? - Memnon złapał chłopca za ramiona, mocno nim potrząsając.

Wściekłość wykrzywiła mu rysy, jakby przesłuchiwał królewskiego szpiega. - Do cholery! Co jeszcze powiedział?

- Nic więcej, panie! Nic więcej! Przysięgam!

Artabazos ścisnął ramię Memnona.

- Chodź. Zostaw go, Memnonie. To syn Omaresa i powiedział nam wszystko, co wie.

Musimy się przygotować, żeby wyruszyć, gdy tylko deszcz ustanie.

Memnon skinął głową.

Syn Omaresa jeszcze spytał niepewnym głosem:

- Gdyby po mnie posłano, pytając, dokąd się udaliście, co mam powiedzieć?

- Powiedz Mentorowi... - Artabazos przerwał i westchnął głęboko. - Powiedz, żeby nas szukał w Macedonii. - Położył dłoń na ramieniu Memnona. - Sprawdźmy, ile jest warta przyjaźń króla Filipa, he?

Interludium II

Macedonia... - powiedziała rwącym się głosem Melpomena. - Czy widziałeś ją kiedy, Aristonie? Wiosną nadmorskie równiny rozkwitają bujnie irysami, ślazem i zielonymi kielkami jęczmienia, nawadniane niezliczonymi strumieniami. Ta falująca kraina pełna jest jezior błękitnych jak niebo i zarosła kępami wierzb, topoli i białokwiatnej akacji. Wspina się przez sosnowe lasy i dociera do pokrytych śniegiem gór Bermios. Doprawdy to ogród króla Midasa.

- Nie dotarłem tak daleko na północ, pani, chociaż sądząc po twoim opisie, to wielka strata.

Melpomena uniosła brew.

- Dziwne. Myślałam, że tak gorący wielbiciel boskiego Aleksandra odbył pielgrzymkę do Ematii, do świętej Pełli, żeby obejrzeć miejsce jego narodzin.

Ariston wzruszył ramionami.

- Aleksander mógł się urodzić w Macedonii, ale jego ciało spoczywa w Egipcie i tam udam się na pielgrzymkę, gdy przyjdzie właściwy czas. W Macedonii nie ma niczego, co by mnie interesowało.

- A powinno - rzekła - gdyż bez Macedonii nigdy nie byłoby Aleksandra. Ta ziemia to forma, w której ukształtował się jego charakter. Jego mięśnie i ścięgna, jego ciało i krew to surowce, a namiętność Filipa i Olimpias dostarczyła ognia. Kiedy forma pękła, kiedy jej zawartość ujawniła się światu i mieczem wywalczyła należną sobie nagrodę, duma żadnego człowieka nie mogła dorównać dumie samej krainy, gdyż to Macedonia dała światu półboga.

- I pozostaje dumna po dziś dzień - zauważył Ariston.

- Mylisz dumę z arogancją. Wodzowie Aleksandra tak długo byli skąpani w blasku pana imperium, że z czasem uwierzyli, iż są mu równi. Nie łudźmy się, on ich stworzył i umierając, spuścił na świat zarazę... zarazę wojennych podżegaczy, wyzbytą szlachetności ich pana. Kserkses powinien być wybić do nogi Macedończyków, kiedy wmaszerował do Grecji, chociaż oznaczałoby to pozbawienie świata Aleksandra. Teraz musimy znosić tych, których po sobie zostawił.

Zakaszła, kropelki krwi splamiły jej wargi. Harmutes bez słowa wręczył jej świeży ręcznik. Coś mu szepnęła; Egipcjanin skinął głową i wyszedł. Ariston wstał i przeciągnął się.

Za oknem chłodny poranek ustąpił łagodnemu południu, ostre słońce ociepliło lekki wietrzyk. Na prośbę Melpomeny Ariston otworzył okiennice, wpuszczając do pokoju świeże powietrze. Wiedział, że taki dzień ściągnie na agorę tłumy Efezjan. Przekupnie będą mogli uzupełnić swoje marne zimowe zarobki, oferując skromne produkty zmęczonym deszczem i zimnem arystokratom, żołnierzom i prostakom. Jednak - co dziwne - Ariston pozostał nieczuły na pokusę festynowej atmosfery. Wolał pozostać Pod Dębami.

Tak więc teraz odwrócił się od okna i spytał z ciekawością:

- Dlaczego uciekli do Macedonii? Czy Filip nie miał planów względem Persji?

Melpomena potrząsnęła głową.

- To było na wiele lat przed tym, zanim Izokrates skreślił swoje listy do Filipa, zachęcając go do zjednoczenia Hellady w obliczu barbarzyńskiego zagrożenia. Wygnańcy... tak nazywano ich na macedońskim dworze... dotarli do Pellii tuż po klęsce, którą z rąk Fokej-czyka Onomarchosa poniósł w Tesalii Filip. Persja to było jego najmniejsze zmartwienie. Dlaczego? - Wzruszyła ramionami. - A dlatego, że Ateny i Sparta były tylko cieniem dawnych wielkości, natomiast Teby straciły przeważającą pozycję dziesięć lat wcześniej, kiedy zginął Epaminondas, pograżając Spartan pod Mantinę. Tylko w Macedonii mógł Artabazos znaleźć władcę, który

ambicjami równał się z królem, a to gwarantowało, że Filip i Ochos nigdy się nie zjednoczą.

- I że żaden nie będzie hegemonem drugiego - dodał, kiwając głową Ariston. - Spryciarz z tego Artabazosa.

Wrócił Harmutes, niosąc tacę z chlebem i serem, oliwą z oliwek i czosnkiem, dwa gliniane pucharki i dzban do nalewania wina. Melpomenie przyniósł garnek grzanego wina z korzeniami. Ariston zauważył, że pod tacą Egipcjanin przydźwigał płaskie drewniane pudełko. Jego ścianki ozdobiono wizerunkami ludzi kuczającymi u stóp postaci z głową ibisa - niewątpliwie jednego z miriadów bogów jego ojczystej ziemi.

Ariston pomógł postawić tacę. Pudełko Harmutes wręczył swojej pani. Przyjęła je ostrożnie, jak rzecz wykonaną z delikatnego alabastru. Pogładziła pieśczośliwie powierzchnię, muskając każdy odprysk, każde zagłębienie drewna.

Ariston przyjrzał mu się bliżej. Na płaskim wieku był wizerunek podobny do tych, które umieszczono na bokach - poddany siedzi u podstawy tronu, na podołku trzyma zwój papirusowy, na którym zapisuje słowa władcy. Całość otaczał krąg hieroglifów.

- Co to jest?

- *Meszta* - wyjaśnił Harmutes. - Skrzyneczka, w której skrybowie trzymają narzędzia pracy.

Na jednym końcu wyryto gładką od niezliczonych dotknięć podobiznę skarabeusza. Melpomena przycisnęła wydrążone ciało owada i odsunęła pokrywkę. Z pudełka uniósł się zapach starego atramentu, papirusu i drewna palmowego. Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze.

- Listy Memnona - powiedziała głosem niewiele silniejszym od szeptu. - Do mojego ojca, do Mentora...

Ariston zachował obojętny wyraz twarzy, chociaż bezwiedna otwartość Melpomeny nie uszła jego uwagi. „Do mojego ojca”. To znaczy, że jest córką... Artabazosa? A jeśli tak, to którą? Którą...

Ariston z wysiłkiem skupił się na pudełku, gdy Melpomena ostrożnie wyjęła stos listów. Większość sporządzono zdecydowanym, pajęczym pismem na papirusach i pergaminach.

- Memnon często pisywał do Mentora, chociaż jego brat był marnym korespondentem - powiedziała. Wręczyła Aristonowi próbki:

Memnon śle pozdrowienia Mentorowi. Znow nadszedł sezon wojenny, mój bracie – drugi od czasu naszej ucieczki z Azji – a jeszcze nie otrzymałem od ciebie wezwania. Czyżbyś zamierzał zagarnąć całą chwałę dla siebie? Jeśli tak, powiedz mi to, a znajdę nowe cele, a jeśli nie, to posyłam po mnie! Z radością będę służył pod twoją komendą w wyprawie przeciwko wielkiemu królowi!

Inny, datowany następnego roku:

Czy warto to uznać za rzecz godną zgłoszenia? Demostenes, mówca, agituje Ateńczyków przeciwko Filipowi. To ten sam Demostenes, który dwa lata temu argumentował za uwolnieniem Rodos po śmierci Mauzolososa i tyleż mu się udało, co teraz przeciwko Filipowi. Co do tego ostatniego, to niczym się nie przejmuję. Znowu jest w polu, tym razem przeciwko Ilirom i Epirotom. Doprawdy, teraz uwierzyłem ocenie Patrona. Filip stroi się w szaty Agamemmona i myślę, że nie ustanie, dopóki cała Grecja nie ugnie się pod jego butem.

Ariston dłużej zatrzymał się przy trzecim:

Niedawno przedstawiono nas następcy tronu, młodemu Aleksandrowi. Było to pomysłnie wróżące spotkanie. Zjawiliśmy się w pałacu wcześniej, jako że Artabazos chciał porozmawiać z Filipem w cztery oczy, zanim król usunie się do prywatnych pokoi w towarzystwie swego regenta, Antypatra, i głównego wodza, Parmeniona. Król jeszcze nie wrócił z placu ćwiczeń, skierowano więc nas do jednej z sal bocznych, gdzie mieliśmy czekać na jego przybycie. Chwilę potem pokazał się młody Aleksander, samozwańczy przedstawiciel ojca. Przepraszył za spóźnienie swojego pana, po czym zasiadł z nami, wypytując Artabazosa o wewnętrzną organizację dworu króla królów. Wcale nie były to dziecięce ani błahe pytania! Chciał znać drogi i odległości, prawdziwą wartość opowieści Herodota; a przede wszystkim interesował go charakter króla królów, jego siła militarna, jego dzielność. Artabazos był nim wprost oczarowany. Ja mniej. Ten chłopiec ma dopiero sześć lat, ale jego ambicje już budzą moje obawy. Jeśli spełni pokładane w nim nadzieje, nawet osławiona pomysłowość Filipa i jego czyny zbledną przy nim...

- Geniusz Aleksandra był widoczny w tak młodym wieku? - spytał Ariston.

Oddał listy Melpomenie i wrócił na swoje krzesło. Spojrzała na ostatni list, marszcząc brwi.

- W samej rzeczy, jednak Memnon przemilczał wiele rzeczy dotyczących dworu Filipa. Zachował ostrożność, na wypadek gdyby kurier wpadł w ręce nieprzyjaciół. Po tym, jak przysiągł wierność Artaba-zosowi, wielu nazywało go zdrajcą, chociaż przecież stali się rodziną. Głównym źródłem obawy Memnona były pretensje Olimpias do ojca jej dziecka. Twierdziła, że wcale nie był nim Filip, lecz Zeus. Gorzej, sam Aleksander w to wierzył.

- Bzdura! - zaperzył się Ariston. - Wymysły Ateńczyków! Aleksander nigdy nie twierdził, że jest bogiem!

Melpomena i Harmutes wymienili kwaśne uśmieški.

- Uwierzyłeś w zasłonę dymną rozpuszczaną przez pochlebców - powiedziała. - Jego skromność to wierutna bujda, rozgłaszana na cały świat przez Kallistenesa z Olintu, krewniaka Arystotelesa, namaszczonego przez Aleksandra na urząd oficjalnego historyka, ale nie daj się zwieść, Aristonie. Aleksander wspierał pogłoski o swojej boskości. Och, był w tym względnie ostrożny, tak ostrożny, że poza kołem przyjaciół sam nigdy nie wypowiedział czegoś podobnego, ale wierzył w swoją boskość i to mocno. I dlaczego nie? Olimpias natchnęła go tym przekonaniem, gdy był dzieckiem, a mógłby powiedzieć, że jego matka wiedziała, czy dopuściła boga do swojej łóżnicy.

Przez chwilę Ariston się nie odzywał, jedynie mrużył oczy.

- Mówisz o Aleksandrze ze zdumiewającą swadą, prawie jakbyś go znała.

Harmutes, który nalewał wino do pucharków, ostro spojrzał na swoją panią, a następnie na Aristona. Głina zadzwoniła, kiedy odstawił na bok dzban. Egipcjanin się wyprostował, gotów coś powiedzieć, ale uciszyła go niemal niedostrzegalnym potrząśnięciem głowy.

Ariston uznał ten gest, podobnie jak jej milczenie, za potwierdzenie.

- Na Heliosa! Poznałaś go! - Młodzieniec nie potrafił ukryć zabobonnego przestachu połączonego z podziwem. Pochylił się, zaciskając wyczekująco dłoń. - Gdzie? Jak?

Melpomena westchnęła i zebrawszy listy, odłożyła je do pudełka. Zostawiła postrzępiony papirus.

- W następstwie tragedii pod Issos pojmano mnie w Damaszku, wraz z królową Statejrą i królową matką Syzygambis. Byłyśmy dobrze traktowane, nie zhańbiono naszej czci i Aleksander odwiedzał nas, kiedy mógł, przy czym nigdy tak, jak odwiedza się harem. Polubił matkę Dariusza, a ona jego. Jako że mówię płynnie greką, często mnie przypadał obowiązek tłumaczenia ich rozmów.

Ariston opadł z powrotem na oparcie krzesła, bezwiednie gładząc się po wygolonym podbródku. Córczka Artabazosa - kalkulował w myślach - znająca dobrze zarówno Memnona, jak i Aleksandra, pojmana z rodziną Dariusza w Damaszku i przez jakiś czas mieszkająca w Pergamonie... winienem znać twoje imię, pani. Postanowił wyslizgnąć się wieczorem lub jutro i odpytać Nikanora. Stary Macedończyk na pewno wiedziałby, o kogo może chodzić.

- Powinnaś spisać również swoje wspomnienia o Aleksandrze.

- Bez mojego udziału dzieci naszych dzieci będą go pamiętać wystarczająco dobrze - rzekła, kładąc rękę na skrzyneczce z listami. - Jednak dziedzictwo Memnona... Jego dziedzictwo to inna sprawa. Obawiam się, że bez mojego wstawiennictwa jego czyny zaginą w cieniu Aleksandra basileusa.

Ariston uznał, że trudno się z tym nie zgodzić. Przyjmując pucharek wina od Harmutesa, spytał:

- Jak długo Memnon przebywał w Macedonii?

- Niedługo - odparła Melpomena, przekazując mu kawałek papirusu.

Jego poprzedni właściciel uratował go z rąk egipskich, gdyż na odwrocie nadal były ślady czerwonych i czarnych znaków pisarskich mieszkańców tej krainy. Na pierwszej stronie widniały pozbawione indywidualnego charakteru litery greckiego alfabetu. Układały się raczej w wojskowy rozkaz niż list od jednego brata do drugiego:

Mentor śle Memnonowi pozdrowienia. Egipt to gniazdo skorpionów. Jak najszybciej wsiadaj na pokład. Potrzebuję kogoś zaufanego.

- Memnon wyjechał pod koniec czwartego roku wygnania - powiedziała, układając się na łóżku. - Stanął u boku Mentora, który służył faraonowi Nektanebowi Drugiemu. W Egipcie już od sześćdziesięciu lat trwało otwarte powstanie przeciwko królowi królów. Jednak bracia uważali cały ten epizod jedynie za kolejną sytuację bez perspektyw, kolejny raz przyszło im skosztować gorzkich popłuczyn klęski. Po czterech latach walki, w Egipcie i na wybrzeżu Fenicji, Mentor odesłał Memnona do Macedonii. Młodszy brat wiózł zarysy niezwykłego planu...

MACEDONIA

4. rok 108. olimpiady
(345 r. p.n.e.)



Rozdział jedenasty

Pella - rzekł Memnon, gładząc krótką brodę. Stał na dziobie *Bryzeidy*, kupieckiego statku z Miletu, i przyglądał się odległemu brzegowi, gdy statek pokonywał muliste wody jeziora Ludias. - Myślałeś, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczysz, Chafrze?

Stojący obok Egipcjanin wykrzywił z obrzydzeniem wyrazistą twarz, jakby skosztował zgniłego granatu.

- Nie myślałem i wcale mi na tym nie zależało. To paskudne miejsce, Memnonie, pełne nieczystych ludzi, którzy z własnej woli... z ochotą... żrą mięso świni, a potem mają czelność nazywać moich pobratymców barbarzyńcami. Oplakuję lata, które szlachetny Artabazos musiał spędzić w takiej zapadłej dziurze.

- No, ale popatrz. Minęły cztery lata i z trudnością rozpoznaję te okolice. Jeśli nie chcesz, wcale nie musisz lubić tutejszych, ale przyznaj Filipowi zasługę i nie wyzywaj jego najpiękniejszego miasta od zapadłych dziur.

Memnon mówił z pełnym przekonaniem. Ze swojego miejsca obserwacyjnego wysoko nad lustrem wody widzieli praktycznie całą Pellę. Wskazywał charakterystyczne obiekty, stare i nowe, które nie raziłyby nawet w Atenach.

Pilnując wejścia do portu, wyspa Fakos przykucnęła jak obszarpany tytan, otoczona trzcinnami, przyodziana po bokach popielato-zielonymi jodłami i kasztanowcami. Górowała nad wyspą mała, brzydka cytadela z ciemnego kamienia, królewski skarbiec i więzienie. Brąz zalśnił na murach. Memnon uznał, że są obserwowani. Było tylko kwestią czasu, kiedy ruszą rekiny króla.

Ułożone szachownicowo, równej szerokości ulice biegingy od portu, stopniowo wznosząc się ku północy, aż docierały do skalistego wzgórza, miejskiego akropolu. Tu za panowania starego króla Archelaosa gromadzili się rzemieślnicy z południa - malarze, rzeźbiarze, architekci i budowniczowie. Ich wpływy odcisnęły się na publicznych budynkach z iskrzącego się marmuru, stoach i kolumnadach, teatrach i gimnazjonach, rozległych sklepach i rezydencjach z wapienia, drewna i glazurowanych glinianych płyt. Do Pelli przybywali też uczeni mężowie, filozofowie i poeci, tacy jak Agaton i Timoteos, Chojrilos z Samos i nawet sławny Eurypides, przyciągnięty obietnicą królewskich łask i bogactwa, które się z nimi wiązało. Pięćdziesiąt lat później Filip zbierał owoce patronatu przodka.

- Jak ją nazywano? - spytał Memnon. - Klejnotem Ematii?

- Klejnot? - Chafr skrzywił się z obrzydzeniem. - To chlew w porównaniu z Memfis.

Memnon się uśmiechnął. Chociaż nigdy nie powiedziałaby tego swojemu dumnemu egipskiemu towarzyszowi, dolina Nilu wydała mu się zakurzonym i monotonnym siedliskiem much, brudu i duszącego żaru. Opuścił ją z ulgą, chociaż okoliczności wyjazdu sprawiły, że czuł gorzki smak w ustach. Mina mu zrzedła. Mentor i jego przekłety plan! Jak...

- Spójrz - rzekł Chafr, kładąc głowę na ramię i wskazując nią.

Memnon się otrząsnął i poszedł za spojrzeniem Egipcjanina. Z Fa-

kos odbiła para długich łodzi wiosłowych, *pristeoi*. Ruszyły w kierunku *Bryzeidy*. Na pierwszej płynął urzędnik skarbcza Filipa, mający oclić wycenione wcześniej towary: eolskie dywany, bele wełny, a także wina z Naksos. Na drugiej znajdował się pracownik kapitanatu portu, kasując z góry opłaty za korzystanie z miejsca przy nabrzeżu, składów portowych i niewolników. Mężczyzna na dziobie pierwszej łodzi donośnym głosem rozkazał *Bryzeidzie* stanąć w dryfie. W odpowiedzi kapitan z Miletu rozkazał zrefować jedyny żagiel. Statek kołysał

się na wodzie, utrzymywany na kursie parą wiosł sterowych na rufie.

- Czas, żeby rekiny Filipa uszczknęły swoje - powiedział Memnon, gdy łodzie przybiły do burty statku.

Opuszczono liny. Urzędnicy nie dali się wciągnąć na pokład jak bagaż. Wspięli się niczym doświadczeni górale. Memnon uświadomił sobie, że zresztą prawdopodobnie są dziećmi gór.

Kiedy dwaj czerstwi, poblížnieni i posiwiali Macedończycy znaleźli się na pokładzie, rozejrzeli się wkoło. Byli w swoim żywiole. Nosili krótkie chitony z barwionego na niebiesko lnu, gęsto wyszywane i ściśnięte w talii pasami z tłoczonej skóry. Byli uzbrojeni w długie noże. Na palcach błyszcząły im złote pierścienie - niewątpliwie łupy wojenne - a podwładny skarbnika pysznił się grubym medalionem z symbolem królewskiego domu, szesnastoramienną gwiazdą.

Kapitan się roześmiał i uściskał obu mężczyzn jak dawno niewidzianych krewniaków.

- Witaj, Machatasie! Witaj, Amyntorze! Na psa Hadesa! Dobrze was widzieć!

- Pozdrowienia, Eumelosie! - odparł Machatas. - Jakie cuda Jonii przywozisz na tej krypie, he? - Mówił jak Grek z południa, ostro akcentując wyrazy.

- Sami sobie sprawdźcie - rzekł, uśmiechając się szeroko kapitan.

Macedończycy zeszli za nim do ładowni.

Filip mianował urzędników, sięgając do każdego zakątka Macedonii, Pelagonii i Linkestis, Orestis i Tymfei. Z Elimei i Eordei przybywali członkowie klanów, które zaledwie pokolenie temu rzucały się sobie do gardeł, ale teraz miały wspólny cel - służbę szanowanemu królowi. Filip obudził w nich wspólną dumę, która przekraczała wiekowe podziały na klany i rodziny. „Dzięki Filipowi będą bardziej Grekami niż Ateńczycy - przewidywał Mentor, usłyszawszy o triumfie Filipa na Półwyspie Chalkidyjskim - i będą go za to uwielbiać”. Przyglądając się urzędnikom, gdy wykonywali swoje obowiązki, Memnon widział, że jego brat się nie pomylił.

Procedury portowe nie były mu nieznane i teraz patrzył z uznaniem, gdy przebiegały bez teatralnych wybuchów. Trzej mężczyźni targowali się dobrodusznie, nie wzywając bogów na świadków, nie skarżąc się na rabunek w biały dzień, nie grożąc sobie nawzajem. Ustalono uczciwe cło i uczciwe opłaty składowe. Eumelos zapłacił, co trzeba, nawet nie podnosząc głosu. W ćwiartkę godziny potem *Bryzeida* popłynęła dalej, mijając górującą nad nią Fajos i kierując się do nabrzeży.

- Ateńczycy powinni wysłać do Pelli swoich ludzi z kapitanatu portu. Nauczyliby się zarządzania - burknął Chafr, gdy pakowali się przed zejściem na ląd.

Memnon przekonał się, że w Pireusie, porcie ateńskim, te same czynności zajmowały trzy razy więcej czasu.

- Mówiłem ci. To miasto się zmieniło.

Chafr nie mógł się powstrzymać od krytyki.

- No, ale do klejnotu wciąż mu daleko.

Memnon się uśmiechnął i nic nie mówiąc, pokręcił głową.

Bryzeida przybiła do brzegu bez fanfar; tylko zatrzeszczały wiązki trzciny, łagodząc uderzenie kadłuba o keję. Żeglarze zeskoczyli z dziobu i rufy, knagując cumy na drewnianych pachółkach, podczas gdy reszta załogi przerzuciła trap. Niewolnicy portowi pod czujnym okiem nadzorców zgromadzili się w pobliżu statku. Większość z nich byli to grubokościści Trakowie, noszący na twarzach i ciałach niebieskie plemienne tatuaże. Towarzyszyła im garstka ponurych Ilirów z bliźniami po biczowaniu.

Memnon zarzucił na ramię swoje rzeczy i podniesieniem ręki pozdrowił kapitana, który odpowiedział mu tym samym gestem. Chafr zszedł na ląd; Memnon zatrzymał się u szczytu

pomostu.

- Kiedy spodziewasz się wyruszyć z powrotem do Miletu?

Eumelos przygryzł wargę. Chociaż sezon żeglugowy miał się ku końcowi, nie brakowało kupców, którym bardzo zależało na przerzuceniu towarów na południe. Mógł liczyć na napełnienie ładowni nie tylko balastem Posejdona - żywicą sosnową i drewnem, podstawowymi produktami macedońskiego handlu - ale i trackimi futrami, workami jarej pszenicy i antałkami mocnego piwa. Potrzebował tylko czasu na przyjęcie zamówień.

- Za dziesięć dni - rzekł po chwili. - Jeśli pogoda i bogowie pozwolą.
- Dobrze. - Memnon skinął głową. - Zatrzymaj koję dla mojego egipskiego towarzysza.

Popłynie z tobą.

- Jak sobie życzysz. Przyjaznych wiatrów, Rodyjczyku.
- I tobie, Eumelosie.

Z tymi słowami Memnon zszedł z *Bryzeidy* i dołączył do Chafra, który czekał u stóp pomostu. Rude dzieciaki w ubraniach z szorstkiej wełny biegały wokół, goniąc za skórzaną piłką, zabłąkaną w lesie nóg wielkich Traków. Nadzorca przegonił ich, strzelając z bata.

- Załatwiłem twój powrót do Miletu - rzekł Memnon, przekrzykując hałas. -

Wytrzymasz w Pełli dziesięć dni?

- Wygląda na to, że mam niewielki wybór - odparł Chafr, wydymając wargi.

Memnon się roześmiał i klepnął go po ramieniu.

- Chodź. Zobaczmy, czy pamiętam jeszcze drogę do willi Artabazosa.



Po wschodniej stronie akropolu Pellas, w cieniu pałacu Filipa, znajdowała się rozległa posiadłość, którą król podarował Artabazosowi i jego bliskim. Niski mur ograniczał teren; w cieniach brzozowych i wierzbowych gajów doświadczeni ogrodnicy stworzyli bujne podobieństwo perskiego raju. Chłodny ruczaj szemrał na okrytych mchem kamieniach, wpadając do osłoniętej koronami drzew fontanny, a także okolonych hiacyntami i lawendą stawów. Driady w wymyślnych pozach ozdobiły ścieżki. Lśniące marmury współgrały ze zdobięcymi trawniki rozjarzonymi azaliami, rododendronami i białymi jak śnieg liliami. Z ażurowych wiklinowych klatek w rękach drzewnych nimf dobiegała bogata ptasia muzyka. Towarzyszyły jej dzwoneczki śmiechu z głębi posiadłości.

Memnon usłyszał westchnienie idącego obok Egipcjanina. Też miał to jedyne w świecie wrażenie, że dotarł do domu. Kiedy minął bramę, znużenie i zmęczenie opadły zeń, chociaż powaga misji, którą go obciążono, nie pozwalała zapomnieć o obowiązkach.

Sam dom stał w środku posiadłości. Wedle norm macedońskich była to rezydencja, ale w oczach człowieka przywykłego zamieszkiwać w pałacach rodzin królewskich Azji dorównywała wygodami dobrze urządzonej domkom myśliwskim na wyżynach Lidii. Ale miała też ciepło i elegancję Wschodu; ozdobione geometrycznymi wzorami parawany, delikatne płócienne zasłony i dzwoneczki, które kołysały się w powiewie, tworząc najprostsza i zarazem najbardziej wyszukaną muzykę.

Memnon i Chafr nie spotkali nikogo po drodze. Dopiero przed głównym budynkiem ujrzeni starego ogrodnika, który uniósł głowę znad rabatki złocieni. Zmrużył oczy i krzyknął z radości, gdy rozpoznał Rodyjczyka.

- Memnon!

- Pokój tobie, Gryllosie - pozdrowił go przybysz, machając ręką.
Starzec powstał i przybiegł. Śmiał się, ściskając obu mężczyzn.
- Dobrze wyglądasz - rzekł Memnon. - A jak twoja żona?
- Ajanta? Och, gruba jak maciora i trzy razy bardziej uparta - odparł Gryllos. Poklepał po ramieniu Chafra. - Ucieszy się na twój widok, Egipcjaninie. Wróciły jej kobiece kłopoty i przysięga, że tylko ty masz na nie remedium.
- Słodka Hathor! Zabierz mnie do niej, dobry Gryllosie - powiedział Chafra. - Nie będę cię skazywał na jeszcze jeden dzień jej zmiennych humorów, kiedy ratunek jest pod ręką.
Memnonie?

Rodyjczyk skinął głowę w kierunku willi.
- Idźcie przede mną. Ja wpierw odwiedzę stajnie.
- Powiem pani, że wróciłeś - obiecał ogrodnik, mając na myśli Dejdamię.
Gryllos zarzucił na ramię rzeczy Memnona i poczłapał ścieżką, ramię w ramię z Chafrem.
Rodyjczyk okrążył dom.

Chociaż przez cztery lata jego nieobecności wiele się zmieniło w Pelli, stajnie Artabazosa pozostały w dawnym stanie. Było w nich wszystko, czego można by się spodziewać po Achemenidzie, członku stepowego klanu, ceniącego nade wszystko konie i otaczającego je najtroskliwszą opieką. Przestronne i zadbane stajnie były rezydencjami na swoją modłę. Kamienne posadzki stanowisk opadały pod lekkim kątem, co ułatwiało sprzątanie; dwa wybiegi okolonno płotami z drewna i żelaza - jeden miał podłozę z twardo ubitych kamieni, drugi miękkie, ziemne i wysypane piaskiem. Ten sam strumień, który dostarczał wody ogrodom, napełniał trzy kamienne poidła. Marmurowym dyszom nadano kształt wspaniałych mitycznych koni trackiego króla Rezosa.

Równiej wspaniałości były trzy konie brykające na piaszczystym wybiegu - dobrane niseańskie klacze, wysokie na piętnaście dłoni w kłębie, o lśniącej sierści, czarniejszej niż bezksiężycowa noc. Memnon natychmiast je rozpoznał: Talia, Aglaja i Eufrozyne.

- *Chairete*, moje damy - przywitał się, stając przy ogrodzeniu. Na dźwięk jego głosu postawiły uszy, rozdęły ciekawie chrapy, chociaż wzbraniały się podejść bliżej. - Tak szybko mnie zapomnieliście? - Wyciągnął dłoń. Talia śmiało ją trąciła, spodziewając się smakołyka. - Dzisiaj żadnego jabłuszka. - Talia parsknęła i rzuciła łbem, poddając się natychmiast jego pieszczocie. Niebawem wokół Rodyj-czyka tłoczyły się wszystkie trzy, cicho rżąc i parskając, niecierpliwie oczekując, że podrapie je po czole lub za uchem. - Nie, nie zapomnieliście, prawda? Nie... - mówił uśmiechnięty Memnon.

- Mają lepszą pamięć niż większość ludzi - odezwał się ktoś za jego plecami.
Obejrzał się - to nadchodził uśmiechnięty Farnabazos, objuczony siodłami i ogłowiami. Zniknął gładkolicy nastolatek, którego zapamiętał Memnon; teraz był to muskularny dwudziestoletni mężczyzna, którego zbrązowiła od słońca skóra właśnie zaczynała gromadzić bielejące żołnierskie blizny. W zgodzie z otoczeniem Farnabazos od dawna przyjął grecki strój składający się z sandałów i krótkiego, zabarwionego szafranowo chitonu, który spinał na lewym ramieniu prostą broszą. Włosy miał długie, na perską modłę, a bródkę starannie zadbaną. Co do reszty to bogowie zapatrzyli się na Artabazosa, rzeźbiąc jego ostroryse oblicze i dokładając ciemne oczy.

- Lepszą pamięć i są bardziej godne zaufania - dodał Memnon, odwracając się ku młodemu Persowi i wspierając ręce na biodrach. - Zeusie Zbawco! Jeszcze nie przestałeś rosnąć...!

Farnabazos gruchnął śmiechem i odłożył swoje ciężary. Uściskał Memnona tak, że temu mało żebra nie trzasnęły.

- Dobrze cię znów widzieć, wuju!
- I ciebie też, chłopcze, i ciebie! Co to ma być? - Pociągnął za krótką bródkę. - Teraz robisz się na dworaka?
- Człowiekowi trzeba troszeczkę próżności, żeby nie rozgniewał bogów doskonałością - stwierdził, demonstracyjnie muskając brodę czubkami palców.

Memnon się roześmiał.

- Pokora pewniej uspokoiłaby ich gniew. - Wskazał na tor jeździecki. - Którą chciałeś zabrać?

- Wszystkie, wybieramy się z ojcem i Kofenem. Chodź, są w stajni. Ojciec się ucieszy, znów cię widząc. - Zmierzył Rodyjczyka krytycznym spojrzeniem. - Uzbierałeś kilka nowych szram, od kiedy byłeś ostatni raz w domu. Jak wojna w Egipcie?

Razem udali się w chłodny cień stajni.

- Marnie - przyznał Memnon, krzywiąc się. - Przez ostatnie dwa lata Mentor dowodził garnizonem w Sydonie, na wybrzeżu fenickim. Współpracował z tamtejszym królem. Częścią planu faraona było stworzyć strefę buforową między Egiptem a Persją. Większość Fenicji przyłączyła się do rebelii faraona, ale wojska wielkiego króla wielokrotnie przerastały nas liczebnie. Na dodatek Ochos za nic w świecie nie chciał zrezygnować z portów w tym regionie.

- Tego się spodziewałem - rzekł Farnabazos, kiwając głową. - Z południa docierało do nas niewiele wieści, a nawet one były filtrowane przez oczy i uszy Filipa. Prawda będzie odświeżającą zmianą.

Uśmiechnął się i wskazał drugi koniec stajni, gdzie stali Artabazos i Kofen. Ojciec pouczał syna, jak najlepiej naprawić zerwany łańcuszek naczółka. Satrapa wyglądał na wątlejszego niż wtedy, gdy Memnon widział go ostatnio. Włosy się mu przeredziły i posiwiały.

- Ojczy! - zawołał Farnabazos. - Spójrz, kogo bogowie podrzucili na nasz próg!

Artabazos podniósł wzrok. Spojrzenie nadal miał przenikliwie, oczy - czyste. Szeroki uśmiech zmarszczył mu oblicze. Odłożył uzdę i wstał z pomocą Kofena.

- Wydało się mi, że poznaję twój głos, Memnonie. Chwała Mitrze! - Powłócząc nogami, ruszył ku gościowi. Kulał bardziej niż dawniej. Uściskał ramiona Rodyjczyka. - Na mą duszę, z każdym rokiem coraz bardziej przypominasz ojca. Moje serce cieszy się, znów cię widząc, drogi chłopcze.

- Dobrze wyglądasz - rzekł Memnon. - Jak twoja noga?

- Służę mi, żebym mógł stać prosto. Poza tym...

Artabazos machnął dłonią. Jak synowie, też nosił sandały i chiton w greckim stylu, jasnokremowy i gęsto wyszywany, rozcięty tak, by mógł dosiadać konia. Był tak krótki, że odsłaniał zgłębienia i opuchlizny starych ran - oznaki honorowe w oczach wojowniczych Macedończyków.

Memnon miał się odezwać, gdy Kofen wystąpił przed ojca. Zadarł głowę i patrzył na Rodyjczyka z nieukrywaną dociekliwością dwunastolatka.

- Witaj, wuju. Pamiętasz mnie?

- Ależ naturalnie, szlachetny Kofenie. Trudno cię zapomnieć. - Memnon się uśmiechnął i zmierzwiłby włosy chłopca, gdyby ten się nie odchylił.

- Masz dla mnie prezent z Egiptu?

Szybka jak żmija ręka Farnabazosa wystrzeliła do przodu, złapała chłopca za kark i pociągnęła w tył.

- Zachowuj się, Kofenie. Wystarczy, że Memnon powrócił do domu. Wybacz mu, wuju. Nauczył się zuchwałości od samego syna Filipa.

- Aleksander jest moim przyjacielem! - krzyknął Kofen, wrywając się z uścisku brata.

Zanim Artabazos zdążył interweniować, Memnon ukląkł i spojrzał prosto w oczy Kofenowi. Chłopiec przestał się szamotać; Farnabazos rozluźnił dłoń.

- Dobrze jest mieć syna króla za przyjaciela, a jeśli jest on prawdziwym przyjacielem, bogowie pobłogosławili was obu. Ale w odpowiedzi na twoje pytanie: nie można odwiedzić Egiptu, nie wywożąc stamtąd kosza świecidełek. Poszukaj Chafra. Wie, co dla ciebie przewidziałem.

- Chafr wrócił z tobą? - Kofen wytrzeszczył oczy i odtrącił rękę brata. - Dalej opowiada różne najdziwniejsze historie?

Memnon wstał i się uśmiechnął.

- Dalej. Poszukaj go, ale w pierw spytaj ojca, czy możesz odejść.

- Ojciec? - Kofen się odwrócił, prostując się jak struna, niczym żołnierz przed dowódcą.

- Czy mogę prosić o zwolnienie dzisiaj z jazdy?

Artabazos skinął głową.

- Masz moje pozwolenie.

Ledwo te słowa opuściły usta ojca, chłopiec wykręcił się na pięcie i pomknął przez stajnie, wznosząc chmurę kurzu i sieczki.

- Ten to wdał się kropka w kropkę w matkę - orzekł, kręcąc głową, Artabazos.

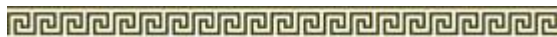
- Jest głupi - osądził brata Farnabazos.

- Nie, jest młody - poprawił go Artabazos. - Jak kiedyś ty. Idź, przygotuj konie, synu.

Memnon zajmie miejsce Kofena, czy też po miesiącach na morzu twoje jeździeckie umiejętności zardzewiały?

Rodyczyk wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Przekonajmy się.



Wzdłuż bagnistych brzegów jeziora Ludias, kilka mil od obrzeża Pełli, trzy niseańskie klacze wyciągnęły nogi w pełnym galopie, ledwo tolerując kaprysy jeźdźców. Kopyta były z łomotem w spaloną ziemię, tumany kurzu i zmiażdżone trzciny unosiły się w powietrze, oblepiając spienione końskie boki. Klacze przebiegły pół mili, nie zwalniając. Bażanty wyskoczyły z kęp turzycy, skrzydła uderzyły o płycizny, gdy wystraszone tętentem i łopotem krzyżówki uniosły się w zasłane chmurami niebo. Po półtorej mili dosiadający Eufrozyne Memnon zapanował nad zwierzęciem, zwalniając je do kłusa, a potem stępa, by złapało oddech. Artabazos i Farnabazos poszli za jego przykładem.

Wszyscy trzej mężczyźni poczerwienieli i zadyszeli się, okryci kurzem. Farnabazos krzyknął na całe gardło; jego ojciec zachichotał pod nosem, niewątpliwie wspominając odległą Azję i kawaleryjskie szarże podczas jednej z miriadów wojen.

- Zeusie Zbawco i Heliosie! - wykrzyknął Memnon. - Nic na morzu nie zdoła się z tym porównać! To jakbyś fruwał na skrzydłach boga!

Pogładził spoconą szyję klaczy. Przed nimi wpadał do jeziora strumień. Wierzby zarastały jego kamieniste brzegi. Memnon poprowadził całą trójkę w górę strugi. Tam zsiadli z koni i przeszli się z nimi. Kiedy zwierzęta ochłoneły, wszyscy napili się do woli. Podczas gdy klacze szczypały miękką trawę, mężczyźni zasiedli w cieniu wierzby. Było późne popołudnie. Bzyczały muchy; wyżej fruwały siewki, polując na owady.

Farnabazos drzemał na posłaniu z trawy i wierzbowych liści; naprzeciwko przysiadł

Memnon. Wyprostował nogi i oparł się o pień wierzby. Podłożył rękę pod głowę. Artabazos odpoczywał na wrosłym w ziemię głazie, masując pobliznione udo. Zerknął z ukosa na Memnona. Rodyjczyk wydawał się ciężko przygnębiony, dwa razy już otwierał usta, ale tylko zapadł się w siebie.

- Są chwile - rzekł Artabazos - podczas których cisza przemawia wyraziściej niż najdoskonalszy mówca. Twoje pełne udręki milczenie zdradza mi, że nie przybyłeś ze zwykłymi odwiedzinami. Spoczął na tobie obowiązek, który zadaje gwałt twojemu sumieniu. To Mentor cię nim obarczył, czyż nie tak? W takim razie odetchnij, Memnonie. Odłóż obawy i otwórz serce, abys mógł w pełni rozkoszować się powrotem do domu.

Memnon się rozjaśnił.

- Zawsze czytałeś we mnie, jakbym był rozwiniętym zwojem. - Lecz jego uśmiech zgasł równie szybko, jak się pojawił. Rodyjczyk zgarbił się, wsparł łokcie na kolanach i rzekł konspiracyjnym tonem: - Przypuśćmy, że ktoś mógłby doprowadzić do zgody między tobą a królem królów, że otrzymałbyś pełne przebaczenie za domniemane zbrodnie i szansę na powrót na dwór i przywitanie z otwartym sercem... Ile by to było dla ciebie warte?

- Byłoby warte tyle co pałac z dymu, Memnonie. W przeszłości wielu z moich braci satrapów usiłowało wypracować taki kompromis. Mój królewski kuzyn jest nieprzejednany. Odpowiada mu tylko jedno rozwiązanie... moja głowa dostarczona na srebrnej tacy do Suzy.

- Powiedzmy, że mógłby się ugiąć...

- Memnonie...

- Po prostu rozważ to, Artabazosie! Podaj cenę.

Satrapa westchnął. Farnabazos ocknął się całkowicie i słuchał. Z wielkim zaciekawieniem przyglądał się ojcu, marszcząc głęboko brwi nad lśniącoymi oczami. W końcu Artabazos przemówił:

- Gdyby naprawdę dało się to zrobić, byłoby wiele warte. Chociaż niezwykle podziwiam Greków, to nie mój lud. Jestem dla nich dzi-wowiskiem, sprzymierzonym cudzoziemcem, ale jednak cudzoziemcem. Zgadza się, nie ma takiej ceny, której nie zapłaciłbym za podobną zgodę... w równej mierze przez wzgląd na siebie, jak i na moje dzieci, które powinny poznać swoje perskie dziedzictwo, tak jak znają greckie.

Memnon skinął głową.

- Czy byłoby to warte ręki Barsine?

Stary Pers zmrużył oczy. Farnabazos usiadł. Jego twarz była dokładnym odbiciem ojcowej.

- Nie powiem nic więcej - zapowiedział Artabazos - dopóki nie dowiem się wszystkiego. Czemu Mentor chce wiedzieć, jaką cenę byłbym gotów zapłacić? Czy ma jakiś plan?

Memnon oparł się z powrotem o pień wierzby.

- Mentor się zmienił, Artabazosie. Nie poznałbyś go już, gdybyście się minęli na agorze. Schudł i posiwił jak mąż dwa razy starszy. Wracając z morza, widziałem, że starzeje się coraz bardziej. Ostatnim razem... byłem w zatoce Issos, śledziłem ruchy Persów... zmiana była jeszcze wyraźniejsza niż do tej pory...



- Jakie wieści?

Uwadze Memnona nie umknęła wychudła twarz brata, wpadnięte oczy.

- Wyglądasz, jakbyś już wiedział - rzekł.

- Może. W takim razie potwierdź to, co wiem, bracie. - Mentor pod ręką miał dzban wina; poplamiona koszula i broda świadczyły, że pił całą noc.

Memnon wyjrzał przez okno. Ciepły powiew zmierzwił spocone włosy. Forteca Sydonu wyglądała na chroniony pałami Port Północny. Chociaż wojna już była na horyzoncie, fenicyjczy kupcy handlowali jakby nigdy nic. Wąskie statki o pomalowanych na czerwono kadłubach kołysały się przy kejach, wyladowując złoty piasek i kość słoniową z Afryki, cynę i bursztyn z krain Hyperborei, wyroby żelazne z Synopy nad Morzem Czarnym, wino z wybrzeży Morza Egejskiego. W zamian ładownie zapełniały się barwionymi materiałami, cedrem z Gór Libańskich, dzbanami suszonych owoców - rodzynkami z Berytusu, śliwkami z Damaszku i daktylami z Jerycha. Memnon słyszał gwar głosów zmieszany z krzykami mew i śmiechem dzieci i niewiast.

- Do cholery, jakie wieści?

Memnon spochmurniał, odwracając się z powrotem do brata.

- Ochos gromadzi ogromną armię pod Sardes. Wezwał satrapów - Belezysa z Syrii, Mazajosa z Cylicji, Spitrydatesa z Lidii. Ma zapewnione wojska z Teb, Argos i Jonii. Myślę, że planuje zmiążdżenie Fenicji, a potem marsz pod same wrota Memfis. Powinniśmy ostrzec faraona.

Mentor prychnął pogardliwym śmiechem.

- Ostrzec go? Nie posłucha! Ten pretensjonalny osioł ma się za syna boga, więc jest nieomylny. - Uniósł dzban wina i opróżnił go.

Memnon zmarszczył się, widząc niebezpieczny błysk w oczach brata.

- Co więc czynimy?

- Kolejna tymczasowa sytuacja - mruknął Mentor. - Kolejna beznadziejna sprawa.

- Może jesteśmy skazani na wieczne odgrywanie roli przegranych. Może...

Dzban roztrzaskał się o ścianę w głębi, obryzgując Memnona resztkami wina i okruchami gliny, gdy starszy Rodyjczyk warknął:

- Mam tego dość! Ten sydoński sukinsyn myśli, że może mnie zdradzić? Na Hadesa i przeklęty Styks! Pokażę mu, co to znaczy zdrada!



- ...Chociaż zajęło to nieco czasu, w końcu wydobyłem z niego wszystko. Mentor przyłapał agenta króla Sydonu, Tennesa. Zmierzał do Sardes, oferując zdradę za łaskę - opowiadał pełnym pogardy głosem Memnon. - Lecz zamiast aresztować obu i wysłać do faraona, żeby skrócił ich nędzne życie, Mentor przedstawił Ochosowi kontrofertę: nie tylko odda jego majestatowi Sydon i wybrzeże Fenicji, ale też wręczy mu klucze do Egiptu. Odpowiedź wielkiego króla była krótka. „Uczyn to, a życzenie twojego serca będzie moją nagrodą”. Taki jest jego plan, Artabazosie, i dlatego wysłał mnie, zamiast trzymać przy swoim boku! Próbowałem go

odwieść od zdrady... niech Sydon zgnije za perfidię swojego króla, lecz nie Egipt...! Ale w ogóle nie chciał mnie słuchać. - Memnon wbił wzrok w ziemię i potrzęsął głową. - Zawstydz mnie, że mój własny brat nie dotrzymuje słowa danego sojusznikowi.

- Ach, mój drogi chłopcze - powiedział Artabazos - życie nie jest takie proste, jak byś tego pragnął. Trudne, nawet haniebne decyzje są nieodłączną częścią naszej egzystencji. I dla dobra naszych rodzin musimy je podejmować, bynajmniej nie zważając na honor. Nie jest zamiarem Mentora ściągnąć hańbę na kogokolwiek, lecz przywrócić nas do dawnej chwały.

- Jaka w tym wszystkim ma być rola Barsine? - spytał Farnabazos.

Jego ojciec ześlizgnął się z głazu i wygładził chiton.

- Czy to nie oczywiste? Jeśli Mentorowi się powiedzie, król królów nie tylko spełni jego życzenia. Ochoś da mu krainę do władania, Jonię lub Troadę. W obu tych regionach krew Farnakidów znaczy wiele. Związek z córą Farnakidy przysporzy wiele splendoru jej małżonkowi. - Skinął na syna. - Idź po konie, robi się późno.

Memnon powstał, podczas gdy Farnabazos wykonywał polecenie ojca. Rodyjczyk gwałtownie otrząsał z kurzu chiton.

- A jeśli mu się nie powiedzie? - warknął. - A jeśli ten jego wariacki plan doprowadzi do oskórowania go żywcem i ugotowania w kotle z wrzącym olejem? Co wtedy?

Artabazos wzruszył ramionami.

- Nie ma zysków bez ryzyka. Mentor to rozumie, tak jak ja rozumiem, że robi, co chce. Z moim błogosławieństwem czy bez niego.

Czy pragnę, by rozważył swoje działania? Oczywiście. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że kiedy Mentor raz się przy czymś uprze, łatwiej ruszyć górę granitu niż zmienić jego zdanie. Mogę zrobić tylko jedno... wzmocnić jego morale, stając przy nim duszą i ciałem. Jeśli mu się powiedzie, dostanie Barsine za żonę i z radością mu pobłogosławię, jeśli nie, będę go oplakiwał, jakby był jednym z moich synów. Jego upór pozostawia mi w tej mierze niewielki wybór.

Memnon nabrał powietrza w płuca i odetchnął głęboko, wyrażając tym całą swoją frustrację, bezradność i gniew.

- Cieszę się, że to brzemię nie jest już moje. Bez żalu przekazuję je tobie, Artabazosie - przyznał, poklepując starca po ramieniu. - Za dziesięć dni Chafr wsiądzie na statek do Miletu, a stamtąd uda się do Sydonu. Mentor oczekuje twojej odpowiedzi. Ja poprę każdą twoją decyzję. - Rodyjczyk już miał się odwrócić, ale się zatrzymał. - Przez cztery lata nie zakosztowałem pokoju. Kiedy myślę o zimie, nic bardziej by mnie nie ucieszyło niż dni spędzone na polowaniach i wieczory przy ogniu.

Artabazos się uśmiechnął.

- Jedno i drugie da się załatwić. Chodź, pomknijmy jak wiatr. Jeśli przyjedziemy po zmroku, twoja siostra poszczuje nas psami.

Memnon wybuchnął śmiechem, gdy Farnabazos przyprowadził konie.

- Moja droga siostra - powiedział, pomagając satrapie usiąść w siodle. - Rozumiem, że macedońskie zimy nie ochłodziły jej temperamentu?

Artabazos zadrżał się z udawaną grozą.

- Rozwścieczona Dejdamia rozpuściłaby śniegi Hyperborei.

Memnon wskoczył na Eufrozyne, zebrał wodze i trącił boki klaczy.

- Zeusie Zbawco! Lepiej się pospieszmy!



Gniew Dejdammii, jeśli w ogóle dał o sobie znać, wnet rozplynął się w wirze czynności. Wykorzystała ich przejażdżkę na przygotowanie do uczyty. Chciała uczcić powrót Memnona. Pod czujnym wzrokiem pani domu służba zmieniła dziedziniec na salę bankietową na wolnym powietrzu, pełną kolumn z girlandami kwieciami i dymiących delikatnymi drzewnymi aromatami i kadzidłami koszy. Płonący w misach olej rzucał migotliwy blask na sześć biesiadnych sof, ustawionych w półkole wokół skrzęcej się fontanny. Trzy niskie, rzeźbione w drewnie gruszy i wyłożone kością słoniową stoliki oferowały tace z jedzeniem: bochny chleba, miski oliwy, koła serów, kopce jaj na twardo, garnki doprawionej cebulą i czosnkiem zupy soczewicowej oraz kawałki tuńczyka w ziołowym sosie.

Świeżo wykąpany i odziany w szkarłatny chiton Memnon siedział po prawicy Artabazosa i Dejdammii; Farnabazos usiadł po lewej. Obok Memnona spoczywali Chafr i Kofen. Oczarowany chłopiec chłonał każde słowo Egipcjanina. Gryllos i Ajanta zajmowali ostatnią sofę po prawej, zaszczyt przyznany im przez Artabazosa w nagrodę za długą służbę. Z nimi siedziały najmłodsze dzieci satrapy: siedmioletni Hy-dranes i mały, zaledwie pięcioletni Arsames, którego anielska twarzyczka wyrażała całkowite skupienie, gdy starał się rozwiązać węzeł wręczony przez Gryllosa.

Na łożu obok Farnabazosa siedziała Barsine z parą bliźniaków, Artakamą i Ariobarzanesem. Memnon przez całą ucztę raz za razem uświadamiał sobie, że bezwiednie zerka na dziewiętnastoletnią córkę Artabazosa, prawdopodobnie przyszłą bratową, która wyrosła na ciemnowłosą piękność o oczach barwy nocnego nieba. Pod skorym do śmiechu i żartu zachowaniem wyczuwał tę samą powagę, którą okazywała w dzieciństwie, teraz wspartą słowami poetów i filozofów, którymi zachwycała się podczas lat nauki. Artabazos lubił powtarzać: „Ignorancja nie zagrzeje miejsca pod moim dachem” i wszystkie jego dzieci otrzymały edukację bez względu na płeć. Memnon się zastanawiał, kogo Mentor bardziej doceni: wyedukowaną kobietę czy przedstawicielkę dynastii?

W końcu przewrócił się na drugi bok i niemal się krzywiąc, sięgnął po puchar. Chociaż było to drogie wino z okolic Tazos, pachnące jabłkami i wyszukane, pochłonał je jak niewiele wart cienkusz.

- Znów zasępiony? - spytała Dejdammia.

Artabazos leżał na brzuchu, drzemiąc i nie zwracając uwagi na śmiechy dzieci, podczas gdy żona masowała mu ramiona, usuwając zmęczenie. Dzieciaki klaskały i piszczały, gdy Chafr zabawiał je kolejnymi opowieściami z rodzinnego Egiptu. Czerpał z zapisków Herodota lub też z własnej pamięci. Niegdyś był pisarzem świątynnym. Nawet Farnabazos i Barsine przyłączyli się do jego audytorium.

- Osiągnąłem mistrzostwo w zasępianiu się - powiedział Memnon. Kolejny raz napelnił puchar. - Były jakieś wiadomości od Patrona? Spotkałbym się znów z tym starym łobuzem.

- W środku lata pojawił się w Pełli - rzekła Dejdammia. - Płynął na Sycylię, żeby wziąć udział w wojnie Timoleona przeciwko Kartaginie.

- Na Sycylię? Zeusie! Jeśli tak bardzo pożądał złota i sławy, powinien popłynąć z nami do Egiptu. Znalazłby w nadmiarze jednego i drugiego. - Pociągnął wina. - Co z Filipem? Gdzie walczy o tak późnej porze roku?

- W Ilirii - mruknął Artabazos, nie otwierając oczu.

Dejdammia się uśmiechnęła.

- Kolejna wyprawa w środku lata, tym razem, by zdusić powstanie przy iliryskiej granicy z Epirosem. Początkowo król miał udać się do Trajana, wspomóc swojego dowódcę Parmeniona. Słyszałam, jak wyklócaliście się na temat zalet Filipa, aż twarze wam poczerwieniały jak Sokratesowi na agorze, ale żaden nie wspomniał, jaki król potrafi być giętki.

- To dlatego że poeci wychwalają mężów za męstwo lub honor, nigdy za zdolności logistyczne - zauważył Memnon. Wpatrywał się w głąb pucharu, licząc, że w winie dojrzy jakieś proroctwo lub znak, zapowiedź przyszłości; poczuł zawód, widząc jedynie swoje odbicie. Westchnął i przetarł oczy. - Jestem zmęczony. Chyba powiem dobranoc, zanim Dionizos złowi mnie w tę sieć z Tazos.

- Kazałam przygotować dla ciebie i Chafra dom gościnny. Jest tam ciszej niż w głównym domu i będziecie mieć więcej prywatności, gdyby spodobała się wam jakaś ponętna Macedonka - powiedziała Dejdamia. W oczach miała iskierki.

Memnon powstał.

- Potrafisz wszystko przewidzieć i przygotować - rzekł, całując ją w czubek głowy.

Klepnął Artabazosa po ramieniu; starzec zamruczał coś w odpowiedzi. Memnon pożegnał się krótko, powiedział Chafrowi, aby pozostał i zabawiał dzieci, dopóki matka im pozwoli, poddał się również niepewnemu uściskowi Ajanty. Ona i jej mąż byli dobrze wstawieni, mieli zaczerwienione, lśniące oblicza i zmętniałe od nadmiaru wina oczy.

- Gryllosie - rzekła do ogrodnika Dejdamia. - Wskażesz Memnonowi drogę do domu gościnnego?

Lecz zanim Gryllos zdążył się wyprostować, powstała Barsine i gestem przekazała starcowi, by się nie ruszał.

- Pozwól - rzekła do matki. - Ja też niebawem udam się spać, więc zaczerpnę powietrza przed snem.

Dejdamia się zgodziła i Barsine poprowadziła Memnona do ogrodu. Skrawek księżyca wisiał nisko na niebie; nietoperze wirowały nad głowami idących, świerszcze i żaby podnosiły zgiełk. Niewiele większy od komórki domek dla gości był sto kroków od willi, w trawiastym zagłębieniu otoczonym brzozaami i sykomorami. Nocna lampa wisiała nad drzwiami, przyciągając owady.

Memnon zerknął na Barsine, gdy szli. Niemal dorównująca mu wzrostem i szerokością ramion nosiła chiton z rękawami barwionymi na egipski błękit, ściśnięty w talii naszywaną złotem szarfą i chwycony czterema broszami ze złoczonej kości słoniowej. Jej długie, czarne włosy spadały luźno na ramiona; bawiła się kosmykiem, ściągając w zamyśleniu delikatne brwi.

- Wygląda na to, że mam być żoną Mentora - powiedziała bez wstępu.

Memnon westchnął. To, że była tego świadoma, znaczyło, iż Artabazos podjął decyzję.

- Tak. Na to wygląda.

Powoli skinęła głową.

- Zawsze wiedziałam, że moje małżeństwo zostanie zawarte ze względów politycznych, nie z miłości, ale nigdy sobie nie wyobrażałam, że będzie chodziło o mojego wuja.

- To nic wrytego w kamieniu - powiedział Memnon. W jego głosie przebijała gorzka nuta. - Mój brat... ten cholerny dureń...! jeszcze musi rzucić swój honor psom na pożarcie i nie dać się przy tym zabić.

Barsine skłoniła głowę.

- Nie pamiętam dobrze Mentora, ale sprawiał na mnie wrażenie człowieka nieskomplikowanego. Pewnie wierzy w to, co robi, równie mocno, jak ty go potępiasz.

- Nie dbam o to, w co wierzy! Złożył przysięgę, a raz dana przysięga nie może być złamana tylko dlatego, że człowiek znajdzie się po przegranej stronie. Gdyby to wiarołomstwo

dotyczyło wyłącznie króla Sydonu, poparłbym go całym sercem, ale zwrócił się przeciwko faraonowi, a ten nie uczynił niczego, co zasługiwałoby na naszą zdradę! To zaprzecza wszystkiemu, czego Artabazos nas uczył! Pamiętasz Pammenesa? Tego Tebańczyka, którego ojciec najął na żołnierską służbę? Przez wzgląd na własną skórę podeptał przysięgę wierności Artabazosowi i przeklęliśmy go za to. Czy teraz mam wynosić pod niebiosa mojego brata za to, że idzie w ślady Pammenesa?

Z kolei Barsine westchnęła.

- Czy ojciec nie dlatego najął Pammenesa, że właśnie złamał on przysięgę daną wielkiemu królowi? Usuń Tebańczyka ze swych rozmyślań i powiedz mi, czym działania Mentora różnią się od czynów mojego ojca, człowieka, którego darzysz taką admiracją? Kocham go całym sercem, ale nie jestem ślepa na to, że zongluje swoją lojalnością zależnie od potrzeb. Mężowie dysponujący władzą nie mają tego luksusu, by kierować się honorem. Myślę, że Mentor bardzo dobrze przyswoił sobie tę lekcję.

Memnonowi odebrało mowę ze zdumienia; powoli odwrócił się i patrzył na nią, mrużąc oczy. Barsine splonęła rumieńcem; zamrugła i odwróciła wzrok. Nagle znów wyglądała na dziewiętnaście lat.

- Przepraszam, wuju - wyjąkała. - Ojciec zachęca nas, abyśmy uczyli się, prowadząc dyskusje i posługując się argumentami. Lękam się, że przekroczyłam wyznaczone granice i wdarłam się na zakazany mi teren. Ja...

- Zeusie Zbawco! Znam mężów, którym nie dostaje takiej elokwencji! Jednak wyczuwam, że nauczyłaś się sztuki sokratejskiej u stóp dwojga ludzi, Artabazosa i mojej siostry, gdyż słyszę ich oboje w twojej mowie i argumentacji. Nie przepraszaj, Barsine. W tym, co mówisz, jest prawda, i gdybym nie był tak znużony i nie miał tak ciężkiej głowy od wypitego wina, odparłbym każde twoje twierdzenie.

Rodyjczyk się uśmiechnął. Stali w kręgu światła nocnej lampy, przed domkiem dla gości.

Barsine odetchnęła z ulgą i rzekła z udawaną powagą:

- W takim razie może powinniśmy kontynuować rozmowę za dnia, kiedy będziesz wypoczęty i wolny od ciężaru winnego grona?

- W samej rzeczy będziemy kontynuować, a kiedy przyjdzie ten dzień, oblecz się w swój najlepszy płaszcz filozofa, gdyż ja zamierzam włożyć swój.

Barsine wybuchnęła śmiechem i klasnęła w dłonie jak dziecko oczekujące zabawy.

- Dobranoc, wujku - powiedziała, szykując się do drogi do głównego domu. - Śpij dobrze.

- Ty też.

Memnon zatrzymał się na progu i patrzył, jak znika w mroku nocy. Tylko migotanie złotej nici zdradzało jej obecność. Nie była już cichą, milczącą dziewczyną z Daskylejon i Memnon zastanawiał się, jak Artabazos chronił spokój swojej posiadłości przed macedońskimi zalotnikami. Ale w tej samej chwili, gdy zadał sobie to pytanie, uświadomił sobie odpowiedź: „Jest Persjanka”. Zapewne synowie macedońskich gospodarzy uważali cudzoziemki za kogoś gorszego. Przez chwilę stanęła w otwartych drzwiach. Jej szczupłą postać i wdzięczny profil otoczyła korona światła. Zniknęła. Memnon się uśmiechnął.

- Co za durnie z tych Macedończyków - mruknął pod nosem, odwrócił się i wszedł do domu.

Rozdział dwunasty

Letni upał zelżał, a wierzby otaczające posiadłość zapłonęły jesiennym blaskiem, baldachimami rozpalonej czerwieni, oranżu i złota, urodą równie piękną, jak ulotną. Koniec żniw przyniósł pierwsze przymrozki; nie wiedzieć kiedy z gór spadła zima, zimny północny wiatr zatrzęsł brązowymi trzciniami okalającymi jezioro Ludias i sprowadził śnieg oraz lód na równinę Ematii.

Memnon dotrzymał słowa i tylko rzadko robił wypadki do podnóża gór, polując na niedźwiedzia i jelenia. Przy ogniu w wielkiej sali on i Artabazos prowadzili ciągnące się godzinami dysputy, analizując słowa i czyny polityków - od Izokratesa i jego wezwania pod adresem Filipa, aby zapoczątkował helleńską wojnę wyzwolenczą przeciwko Persom, po złożeńcu ateńskiego demagoga, Demostenesa, pod adresem Macedonii. Pod okapem gościnnego domu Memnon kolejny raz w bladym zimowym słońcu czytał Herodota, Homera - przy blasku paleniska.

- Kim chciałbyś być? - spytała podczas jednej z częstych wizyt Barsine, zauważając w jego ręku zwój. Zapowiedź wiosennej odwilży dała im doskonałą wymówkę do rozruszania nieco koni. - Menelaosem czy Parysem?

Memnon naciągnął wysokie jeździeckie buty, wstał i narzucił na ramiona gruby wełniany płaszcz.

- Żadnym z nich. Menelaos okazał się mężem, który nie potrafił utrzymać swego, Parys sięgnął po nieswoje.

- W takim razie kim?

Memnon chwilę się zastanowił, bębniąc palcami o koszyk na zwój.

- Odyseuszem - powiedział. - Oto mąż, który udaje się na wojnę, radzi sobie z gniewem Posejdona i przebywa poza domem szmat czasu. Co znajduje po powrocie do Itaki? Bandę wrednych zalotników, trzymany na wodzy przez jego sprytną żonę, która nie chciała uwierzyć, że zginął. Jeśli miałbym być stworzony na podobieństwo homerowego bohatera, to najbardziej odpowiadałaby mi forma, z której został odlany Odyseusz.

- Nie Achilles?

Memnon się uśmiechnął i otworzył przed nią drzwi. Powiew chłodnego powietrza potargał zwoje.

- Sekretarz ojca, Glaukos, oskarżał mnie, że chcę naśladować potężnego Achilla, pożądam sławy dla niej samej. Ale tak naprawdę nigdy mnie nie rozumiał.

- Nie?

Barsine naciągnęła kaptur na splecione w warkocze włosy. Ona również miała na sobie wełniany płaszcz, farbowany na czarno i podszyty baranicą. Na dworze cienka warstwa zmrożonego śniegu przylegała do zatoczek cieni, do których nie docierało słońce, brzegów strumienia i postumentów posągów. Kiedy szli do stajni, tający grunt chlupotał im pod butami.

- Achilles może i był niezrównanym wojownikiem, ale zawsze pozostawał na łasce inteligencji Odysa - powiedział Memnon. Oddech uciekał mu z ust obłoczkami pary. - Nie dorównał też królowi Itaki na arenie chwały. Byli sobie równi, ale Odyseusz nie musiał poświęcić życia, aby osiągnąć wieczną sławę. Nie, niech inni wielbią Achillea i ćwiczą dłonie, aby były równie sprawne jak jego. Ja będę się wzorował na Odyseuszu i powiodę ich dłonie ku zwycięstwu.

- I wrócisz do domu, do wiernej Penelopy oczekującej z małym Telemachem na

biodrze?

- Jeśli spotka mnie to błogosławieństwo, to tak.

Barsine uniosła brwi.

- Co? - spytał Memnon. - Myślisz, że sam się oszukuję? Czy że nie zasługuję na coś takiego?

- Nie, zasługujesz... bardziej niż inni... ja tylko... ja... - Przerwała. Memnon nie potrafił zgadnąć, czy to zimno, czy zakłopotanie zaróżowiło jej policzki, lecz gdy znów się odezwała, przemówiła głosem niewiele silniejszym od szeptu. - W mojej pamięci żyjesz nie jako stęskniony za domem Odyseusz, ale jako oszałamiającej urody Hektor, na wielkim karym wierzchowcu, w lśniącej w słońcu zbroi, gdy srogi i niewyciężony odpierałeś hordę podłych Hyrkanów. Słyszeć teraz, że twoim najwyższym celem jest ognisko domowe, jest... jest zaskakujące.

- W każdym mężu wojny jest mąż pokoju, który musi wiedzieć, że będzie miał się dokąd udać, gdy wojna się skończy. Uprawne pola i stada była to coś prozaicznego dla młodych ludzi, ale to myśli o nich pozwalają weteranom przetrwać najgorsze chwile wojennych kampanii, klęski i niewygody. Mąż stojący twarzą w twarz ze śmiercią musi wiedzieć, że w jego domu jest ktoś, kto na niego czeka. Potrzebuje innego powodu poza chwałą, by walczyć.

- Jak Odyseusz - rzekła Barsine, jakby przejrzała welon tajemnicy.

Tego dnia Memnon często łapał ją na tym, że mu się przygląda; szybko odwracała wzrok, ale za każdym razem miał wrażenie, że ujrzała go w innym świetle.

Zima trwała nadal, ale wkrótce Persefona opuściła zimne zakątki królestwa Hadesa i wróciła do świata żywych. Świętując jej przybycie, natura przywdziała girlandy różowego i białego kwiecica, fiolety i żółcie, przeplecione zawiązkami liści barwy najbledszej zieleni. Śnieg tajał na zboczach gór, zasilając każdy strumień i strugę, tak że występowały z brzegów; nawet ciemne wody jeziora wystąpiły ponad kamienne nabrzeża, poruszane wiatrami południa.

Poranny reżim Memnona obejmował wyprawę do gimnazjonu i odwiedzin na agorze, słuchanie kupców, którzy przybywali z południa, spragnieni wieści. Niebawem drogi morskie miały się otworzyć, a statki znów przybyć z wizytą do Pelli. Zdawał sobie sprawę, że dopiero wtedy echa wydarzeń z Azji dotrą na północ. Kontentował się zwykłymi, przeważnie lokalnymi plotkami - sznurem sporów i ślubów, małżeńskich zdrad i zemst, które odzwierciedlały prowadzenie się królewskiego domu.

- To nie jest spokojny związek - rzekł pewien kupiec, skinieniem głowy wskazując pałac na akropolu.

Oczywiście, Dejdamia na bieżąco relacjonowała Memnonowi, co dzieje się między królem i królową, ale nawet ona nie słyszała wszystkiego. Obecnie nawet słyszała jeszcze mniej, kolejny raz brzemienista i przykuta do łoża.

- Daleko mu do spokojności. Ten biedny Aleksander tkwi między nimi, a teraz jeszcze ta cała afery z Pauzaniaszem. - Kupiec zachichotał.

Memnon kupował od niego garść suszonych fig.

- Z kim?

- Z Pauzaniaszem. - Kupiec zniżył głos, jakby zdradzał tajemnicę państwową, nie ostatni dworski skandal. - Dawnym kochankiem króla... Od czasu uwięzienia w Tebach nasz władca lubi zarówno niewiasty, jak i młodych chłopców. W każdym razie ten Pauzaniasz poszedł w odstawkę i inny, przystojniejszy chłopaczek zajął jego miejsce w łożu króla. Jak każdy z Orestis Pauzaniasz jest w gorącej wodzie kąpany i podczas uczty obraził młodszego chłopca, rozprowadzając na prawo i lewo, że tamten za obola zgodziłby się spółkować nawet z trupem.

- Odważny, tak obrażać króla - stwierdził Memnon, żując figę.

Kupiec, rdzenny Macedończyk, zbył tę uwagę machnięciem ręki i kontynuował:

- Filip przełknął obelgę, uznając, że to kipią resztki wzgardzonej miłości. Ale chłopak... wziął ją sobie do serca, uznał za ujmę na honorze. Dusił ją w sobie. W końcu ostatniej jesieni na wybrzeżu Epiru chciał odzyskać dobre imię. Zasłonił własnym ciałem króla i zginął przeбитy włócznią Ilira.

- Tylko dlatego, że rywal go obraził? - mruknął Memnon, kręcąc głową. - Co Filip zrobił Pauzaniaszowi?

Kupiec wzruszył ramionami.

- To zależy od tego, kogo zapytasz. Jak mówiłem, Pauzaniasz jest z Orestis, a to najbardziej kłótniwa kraina, jaką ziemia widziała. Oficjalnie król mógł niewiele. Ale słyszałem, że prywatnie napuścił na Pauzaniusza przyjaciół zabitego. Zwabili go do domu Attalosa, upili i oddali w ręce niewolników i stajennych. Powiedzieli, że wygnie się dla każdego i to za darmo.

Memnon gwizdnął cicho.

- Nie wykazali się też łagodnością - ciągnął kupiec. - Na miejscu Pauzaniusza wołałbym już, żeby mnie zabili i skończyli z tym.

Zanim Memnon zdążył się dowiedzieć czegoś więcej, kolejny klient zagadnął kupca; Rodyjczyk podziękował machnięciem dłoni i poszedł dalej.

W drodze powrotnej do posiadłości spostrzegł, że przygotowania do wiosennego końskiego targu są już bardzo zaawansowane. Miał się rozpocząć za kilka dni. Jak Dionizje Wielkie ściągały poetów, tak targ ściągał sprzedawców i kupców z każdego zakątka Macedonii i dalszych krain: Tesalii, Epiru, Tracji, Jonii, nawet Scytii. Kramy i namioty wyrastały w całej Pełli, by przyjąć napływającą falę gości. Niektóre miały posłużyć za dormitoria świty takiego czy innego dostojnika, inne jako tymczasowe winiarnie czy burdele, a reszta miała być przedłużeniem agory, oferującym na sprzedaż wszystko, od jabłek po biżuterię najdoskonalszych złotników. Młoty dudniły, gdy robotnicy wznosili na łące poza miastem królewski pawilon; inni budowali z drewna i lin zagrody, aby żaden pospolity ogier nie mógł się wyswobodzić i pokryć cennej wyścigowej klaczy, co z pewnością doprowadziłoby do rozlewu krwi wśród ludzi, których dochody zależały od czystości zwierzęcego drzewa genealogicznego.

Przy bramie do posiadłości Artabazosa Memnon napotkał wychodzącego posłańca, młodzieńca noszącego królewskie barwy. Satrapa stał nieopodal, trzymając w ręku zwój delikatnego pergaminu. Nadał widniała na nim woskowa pieczęć pałacu.

Memnon się zaniepokoił.

- O co chodzi?

- Filip domaga się naszego towarzystwa, twojego i mojego, podczas targu - wyjaśnił Artabazos, wskazując posłańca. Uniósł zwój. - A to do Dejdarii, od królowej.

- Domaga się naszego towarzystwa, tak? Uprzejma forma przywołania do swego boku. Czego może chcieć?

- Ach, mój chłopcze. Kiedy stałeś się tak podejrzliwy? - rzekł Artabazos. - Może Filip pragnie jedynie nacieszyć się naszą kompanią?

Memnon się uśmiechnął i ruszył obok Artabazosa, łagodnym gestem obejmując go za ramię.

- A od kiedy ty stałeś się taki ufny? Filip nigdy nie czyni niczego dla samej przyjemności, swojej czy czyjejś. Każdy jego czyn, każde słowo w taki czy inny sposób służy jego interesom. Jego wezwaniu przyświeca jakiś cel, Artabazosie.

- W to nie wątpię, lecz niekoniecznie musi być to cel złowieszczy. Są czasy, mój chłopcze, kiedy niewinne zaproszenie jest właśnie tym, niewinnym zaproszeniem. Doprowadzisz się do szaleństwa, jeśli będziesz szukał motywu za każdym wypowiedzianym słowem. Jeśli Filip ma jakiś dodatkowy cel, proszę bardzo. Ale zaczekaj, aż go odśloni, zanim oskarżysz króla o

najgorsze.

- Tam, gdzie w grę wchodzi Filip - powiedział Memnon, wspominając opowieść o Pauzaniu - choćbym nie chciał, podejrzewam tylko najgorsze.



Targowy dzień wstał słoneczny i przejrzysty. Bezczmurne niebo tworzyło lazuruowy baldachim nad zieloną łąką, na której miano sprzedawać i kupować. Memnon i Artabazos obudzili się wcześniej i dołączyli do tłumów uczestniczących w powszechnych zajęciach - żołnierzy szukających wierzchowców lub wyszkolonych jucznych koni, sportowców podziwiających konie wyścigowe, wodzów górskich klanów wypatrujących zdrowych kuców. Kupcy wynosili pod niebiosa zalety każdej rasy, od wysokich, sławnych z ducha iberów, przez szczupłe konie scytyjskie o niezrównanej prędkości, po drobne, twarde konie kreteńskie noszące na bokach znak Feraju - topór. Memnon uznał, że żaden z nich nie może się równać z końmi Artabazosa, których rodowód sięgał głębokiej starożytności, potomkami rumaków ciągnących rydwany wielkiego Nabuchodonozora. Satrapa również zdawał sobie z ich doskonałości sprawę, chociaż skromność kazała mu zatrzymać to dla siebie. Gdy kolejny kupiec prezentował swoje okazy, Artabazos wyrozumiałe się uśmiechał, chwalił i szedł dalej.

Przybycie Filipa wczesnym popołudniem położyło kres zwykłym targom. Niesprzedane okazy odprowadzono, a kupcy rozkazali stajennym przeprowadzić na front najwspanialsze sztuki, czystej krwi ści-ganty, doskonale ujeżdżone i pełne wigoru. Król Macedonii nie zważał na etykietę; poprzedzony osobistą strażą przechadzał się swobodnie, nadal kulejąc od źle zaleczonej rany, której się nabawił podczas zeszłorocznej kampanii w Ilirii.

- Bogowie - półgłosem rzekł po persku Artabazos - używają jego ciała jak skrybowie woskowanej tabliczki, żelaznym rylcem zapisując hymn ku czci Aresa.

Memnon bez słowa skinął głową. Na tle chitonu barwy błękitno--popielatej wyróżniała się budząca uznanie chmara blizn na ramionach i nogach, szyi i twarzy - niektóre czerwone i podrażnione, inne z wiekiem pobielale. Każda przypominała o krwawej ofierze na ołtarzu boga wojny. Również oko zniknęło, aby udobruchać bogów Olimpu i zapewnić błogosławieństwo jego ukochanej, panującej całej Helladzie Macedonii.

Okryta czarną brodą twarz zwracała się na prawo i lewo, gdy skinieniem głowy witała towarzyszy broni i dworzan, wodzów podległych plemion, żołnierzy i kupców. Jednak gdy zdrowe oko dostrzegło Arta-bazosa, na królewskiej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

- Mój perski przyjacielu! - rzekł Filip. - Ciesz mnie, że do nas dołączyłeś! Kto jest z tobą? Memnon? Na wielkiego Heraklesa, witaj, Rodyjczyku! Cieszę się, że umknąłeś uściskowi południa. Zapraszam do mojego namiotu. Słońce jest zbyt mocne, aby pod nim stać i strzępić język jak sąsiedzi przy studni.

Purpurowe płótno namiotu ocieniało królewski tron, stolec z twardego drewna, którego poręcze wyrzeźbiono na kształt lwów, intarsjowany srebrem i pokryty płatami kutego złota. Filip siadł, stękając, i skinieniem ręki kazał jednemu z paziów przysunąć dwa taborety.

- Rozumiem, że wypada gratulować - powiedział Artabazos, sadowiąc się na niskim siedzisku.

Filip odparł mruknięciem i rzekł:

- Wybicia Ilirów? Te dranie z olimpijską regularnością próbują się wywinąć spod mojego obcasa. Klejotos - przyzwał jednego z gwardzistów, mocno zbudowanego

Macedończyka, szczyłającego się smolistą brodą - dopadnij tego sługę przygłupa i każ mu przynieść wina. - Odwrócił się do Memnona. - Co tam słysząc u twojego brata? Wciąż dźwiga tarczę ku chwale Egiptu?

- Latem zostawiłem go w Sydonie - odparł Memnon. - Dowodził garnizonem, który opierał się Ochowski.

- A więc to prawda, hę? Ochowski znów wyłazi ze skóry, żeby odzyskać Egipt?

- Tym razem wygląda na to, że skutecznie. Teby i Argos dały mu wojowników, Jonia też. Ci hoplici stworzą szkielet jego armii, kościec zaciśniętej pięści, którą oblecze perskim ciałem.

- A Mentor co? Stanie na drodze tej pięści?

Memnon rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- To zależy od jego nastroju. Jak się zmęczy prowadzeniem przegranej wojny, to pewnie zrezygnuje ze służby faraonowi i zaoferuje swoje usługi wielkiemu królowi.

- Chcesz powiedzieć, że już zdecydował. - Filip wyszczerzył w uśmiechu zęby. Sługa ze zdrowo wytarganym, zaczerwienionym uchem przybiegł z trzema pucharami i dzbanem wina z Chios. Zgodnie z macedońskim zwyczajem było nierozcieńczone. Król sięgnął po puchar i gestem zachęcił gości, aby poszli za jego przykładem. - Nie ma potrzeby tego ukrywać. Mentor nie staje przeciwko mojej sprawie. Jeśli już, to ją wspomaga.

Memnon pozwolił Artabazosowi pierwszemu sięgnąć po puchar i wziął ostatni.

- Jakim sposobem? - zapytał.

- Zawsze przydadzą mi się przyjaciele po tamtej stronie Hellespon-tu. Mężowie, którym mogę zaufać, że postąpią właściwie, i którzy będą mogli mi zaufać, że uczynię to samo.

- Czyżbyś dał się nabrać na lep słodkich słówek Izokratesa? - rzekł zdziwiony Artabazos. - Poszerzysz swoje granice poza wybrzeża Azji?

Wino chlusnęło z pucharu, gdy Filip grzmotnął się w kolano. Śmiech króla zahuczał w całym namiocie.

- Na Heraklesa, nie! Mogę poszerzyć swoje granicę do Hellespontu, ale nie dalej. Wciąż mam na głowie Ateńczyków i ich niekończące się machinacje. Nie potrzebuję nowych zmartwień. - Spowaźniał i pochylił się. - Ale mając przyjaciół w Azji Mniejszej, nie potrzebowałbym się obawiać ataku z tamtych krain. Przyjaciół, którzy otworzyliby drzwi handlowi i wymianie informacji... i którzy mogliby ostrzec mnie, tak jak ja ich, przed wspólnymi zagrożeniami.

Artabazos opuścił wzrok i zatopił go we wnętrzu pucharu.

- Cenię twoją przyjaźń, królu Filipie, więc z całą szczerością powiem ci, że żywię nadzieję, iż po sukcesie Mentora... jeśli go odniesie... zostaniemy wezwani do ojczyzny, aby uczestniczyć w jego chwale. Całym sercem pragnę zawrzeć pokój z moim kuzynem, królem królów, aby moi synowie odzyskali prawa rodu Farnakidów. Czy to oznacza, że gdy się udam na królewski dwór, zerwę przyjaźń z tobą, panie? Oczywiście, nie. Ty i twoja rodzina będziecie zawsze mile witani w moich progach.

Filip wychylił wino i wyciągnął puchar po następną porcję.

- Ale co, jeśli za kilka lat, w taki dzień jak ten, przybędzie do ciebie Ochowski i rozkaże tobie lub twoim synom rozpocząć ze mną wojnę? Co wtedy się stanie z naszą przyjaźnią?

- To samo pytanie można postawić tobie, panie - wtrącił Memnon. - Twój syn nie jest pozbawiony ambicji. Czy uszanuje naszą przyjaźń?

- Ambicje Aleksandra? - Filip roześmiał się krótko i chrapliwie. - Mój syn już lekceważy wszelkie moje sukcesy, rozpowiadając przyjaciołom, że zaćmi mnie wielkimi, olśniewającymi czynami. Tak, ten chłopiec ma ambicje, ale rozumie, co to honor. Te przyjaźnie,

które ja zawrę...

Dyskretne kasznięcie przerwało królowi. Do tronu zbliżył się mężczyzna, nie czekając na pozwolenie. Antypater, bo on to był, nie miał potrzeby się o nic pytać. Zaufany króla od najwcześniejszych lat służył mu jako pierwszy mąż stanu. Prostackie rysy, rzednące włosy i rudo-siwa broda ukrywały przenikliwy intelekt urodzonego dyplomaty.

- Proszę o wybaczenie - zamruczał basem. Jego lodowato błękitne oczy prześlizgnęły się od Artabazosa do Memnona. Pochylił się do ucha władcy i zerknął za siebie.

Filip i Memnon poszli za jego wzrokiem. Ujrzeni mężczyznę we wspaniałym jońskim chitonie. Stał u wejścia do namiotu. Włosy miał ujęte złotą opaską, a gładka, pozbawiona zmarszczek twarz zdradzała eunucha. Wyglądał znajomo, chociaż Memnon nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej widział.

Filip skinął głową eunuchowi i ściskając ramię Antypatra, rzekł:

- Powiedz mu, że później porozmawiamy.
- Jak sobie życzysz, panie - odparł cicho Antypater.

Wyprostował się i odprowadził eunucha w inne miejsce targu.

Memnon przyglądał im się chwilę. Kiedy się odwrócił, napotkał nieprzeniknione spojrzenie ciemnego oka króla.

- Sprawy państwowe - oznajmił Filip, wstając. - Nigdy nie ma od nich spokoju, nawet w dni świąt. Chodźcie, przyjaciele, lepiej zainteresujmy się końmi jak prawdziwi mężczyźni, zanim uznają nas za zniewieściałych nudziarzy.

Gestem oddalił straż. Wraz z Artabazosem i Memnonem ruszył między koniarzy. Tesalia była godnie reprezentowana przez kilkanaście ras, od ferajów o krótkim łbie, przez nieokrzesane niczym centaury konie z Larissy, po potężne wologłowe rumaki z Farsalos, *boukephaloi*. Te ostatnie zwróciły uwagę króla. Gładził ich chrapy, sprawdzał zęby i unosił nogi, oglądając kopyta.

- Czy pokrywałeś te niseańskie klacze, Artabazosie?
- Żeby zepsuć rodowód? - spytał dawny satrapa. - Prędeż bym sobie oczy wykłuł.
- Czyżby miało to być aż tak straszne? Pomyśl o koniach rasy niseańsko-farsalskiej, silnych, szybkich i nieporównywalnej urody. Nie wyobrażam sobie, ile takie wierzchowce byłyby warte dla kupującego, który zna się na rzeczy. - Następnego kupca król przywitał ciepło, ściskając jak bliskiego przyjaciela. - Ach, Filonikosie! Ufam, że sprowadziłeś najznakomitsze zwierzęta, jakie kiedykolwiek przemierzały swoimi kopytami świętą ziemię Tesalii!

Filonikos, krępy, niedźwiedziowaty człek, pewny siebie, wręcz buńczuczny jak każdy urodzony koniarz, rozłożył szeroko ręce.

- Mój królu! Przyprawiam ci konie, które przyprawiłyby o zazdrość samego Posejdona!

- Nie zamierzam rywalizować z bogami, Filonikosie, jedynie zastąpić te konie, które straciłem za sprawą Ilirów. - Filip nieco odwrócił się do Artabazosa. - Ten tu Filonikos hoduje najdoskonalsze *boukephaloi*. Gdybyś kiedy miał udostępnić swoje klacze innym, to jest człowiek, z którym winieneś pogadać.

- Wasza królewska mość mi schlebia. - Filonikos się uklonił.

Filip zachęcił go gestem i słowami:

- Pokaż nam, co masz.

Memnon musiał przyznać w duchu, że konie, które Filonikos kazał przyprowadzić stajennym przed oblicze króla, były świetnymi zwierzętami, ale Filip szukał najznamienitszych rumaków; żaden z ogierów tesalskiej krwi nie zadowolili jego wymagań. Wokół króla urósł krąg widzów, przyglądających się z ciekawością, jak jego doświadczone oko potrafi wytropić

najdrobniejsze wady. Części z nich Memnon nawet nie potrafiłby zauważyć. Widzowie zabawiali się, obstawiając pozostałe konie. Ale dla Filonikosa to nie była zabawa, tylko śmiertelnie poważna sprawa. Każdy wytyk ranił dumę Tesalczyka. Rozdrażniony wydał polecenie biegającym bez tchu stajennym:

- Przyprowadzić Ksantosa!
- Obiecujące miano - zauważył Memnon.

Filonikos nie odpowiedział na tę uwagę, tylko zagryzł z uporem zęby. Niewykluczone, że przyprowadzony przez jego ludzi ogier mógł pochodzić od legendarnego imiennika, nieśmiertelnego Ksantosa, który kiedyś nosił Achillesa. Ten nowy Ksantos był ogromny, nawet wśród rasy wyróżniającej się rozmiarami, i czarny jak smoła. Na czole miał białą gwiazdkę. Zwierzę tańczyło i stawiało opór, usiłując stanąć dęba. Trzeba było dwóch stajennych i kielzna z przemyślnymi wąsami, by je kontrolować, ale nawet w najlepszym razie była to niepewna kontrola.

Wśród zebranych mężczyzn rozległ się szmer niedowierzania. Filip spojrzął na Filonikosa i rzekł:

- Nie kupuję koni, które dopiero trzeba ujeździć, więc nie marnuj mojego czasu.
- Ksantos jest ujeżdżony, panie królu - zaperzył się Filonikos. - Reaguje tylko na siłę.

Pod odpowiednim mężem ten koń dojedzie do bram Tartaru i z powrotem. Nie boi się niczego.

- Muszę przyznać, że na to wygląda. - Król podszedł bliżej, uważając na tańczące kopyta. - Ksantos - powiedział. Na dźwięk swojego imienia koń zadygotał i rozdał chrapy. - Spokojnie, maleńki, spokojnie. - Jednak gdy król wyciągnął rękę, jego cień padł przed konia.

Ksantos wpadł w szal. Stał dęba i przebierał kopytami w powietrzu. Nie było na niego człowieka ani sposobu. Jedno z kopyt niemal musnęło czaszkę króla, tak że poczuł pęd powietrza. Odskoczył w tył. Krew uderzyła mu do twarzy.

- Zeusie! Tego drania nie da się okiełznać. Wiesz o tym, do cholery! Bierzesz mnie za głupca, Filonikosie? - zaryczał. - Wielcy bogowie! Może mam jedno oko, ale nie jestem ślepy! To zwierzę to morderca! Zabieraj go ode mnie, ty tesalski łajdaku, i dziękuj bogom, że nie każę cię obdrzeć ze skóry za to, że chciałeś oszukać uczciwego człowieka!

Filonikos pobladał, usiłując chwycić brzeg królewskiego chitonu, gdy Filip szybko go minął, zmierzając do jego rywala.

Memnonowi zrobiło się żal handlarza. Jednak zanim Filip zdążył się oddalić, młodzieńczy głos pokonał wrzawę, która wybuchła, gdy zgromadzeni rozsądiali poczynione zakłady.

- Jakiegoż to wspaniałego konia chcesz się pozbyć, ojcze, tylko dlatego że ani ty, ani żaden z tych ludzi nie wie, jak się z nim obchodzić. Nawet brak wam odwagi, aby spróbować go okiełznać!

Na polu zapadła cisza jak makiem zasiał. Filip okręcił się na pięcie. Zmarszczył groźnie brwi. Memnon i Artabazos obejrżeli się w kierunku królewskiego namiotu. Tłum się rozstał i książę Aleksander wystąpił przed towarzyszącą mu gromadę chłopców i młodych mężczyzn. Twarz pałała mu krwią pod gęstą, lśniącą jak stare złoto czupryną.

Filip oparł ręce na biodrach i warknął:

- Coś powiedział?
- Co za koń! - Aleksander z oddaniem wpatrywał się w ogiera, szeroko otwierając niebieskoszare lśniące oczy. - Nigdy więcej takiego nie spotkasz, a pozbywasz się go bez namysłu!

- Pozbywam się go, bo mam wyraźny powód! Mąż, który go dosiadzie, i pojedzie na nim w bój, zginie przez niego! Nikt nad nim nie zapanuje!

- Ja! - powiedział Aleksander.

Pewność w jego głosie wydawała się nieusprawiedliwiona u trzynastolatka. Memnon uznał ją za część tajemnicy otaczającej Aleksandra - tajemnicy, której istoty Rodyjczyk nie pojmował. Księżę już przyciągnął krąg wielbicieli, młodzieńców w jego wieku lub nieco starszych, którzy przysięgli dozgonną wierność macedońskiemu następcy tronu. Ich ojcowie, mężowie w wieku Filipa, podsycali ich zapatrzenie, uznając, że to tylko dziecięca zabawa w bohaterów Homera. Jednak Memnon przeczuwał, że chodzi o coś więcej. Młode oblicza, które otaczały księcia, płonęły autentycznym uwielbieniem i oddaniem.

Filip zmrużył zdrowe oko.

- Ile za niego, Filonikosie?

- Za... - Jak jego koń, Tesalczyk drgnął na dźwięk swojego imienia. - Trzyście talentów, panie.

Król ostro skinął głową.

- Niech będzie. Jeśli będziesz umiał się z nim obejść, Aleksandrze, jest twój. Ale jeśli nie, jaką karę zapłacisz za tę zuchwałość?

- Trzyście talentów, ojczy - rzekł bez wahania Aleksander.

Filip wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Niech i tak będzie! Wszyscy jesteście świadkami!

Tłum zawrzał kakofonią oklasków i okrzyków, zakładów i wołaniami o wino. Filip odsunął się na bok i gestem wskazał Aleksandrowi, by czynił, jak uważa za słuszne. Zaciśnął wargi, gdy wpił wzrok w chłopca.

Księżę spochmurniał. Błysnął okiem, ostro rozkazując Filonikoso-wi i jego sługom odejść na bok. Koń grzebał kopytami w ziemi, ale nie odskoczył; pozwolił Aleksandrowi podejść, być może zwiedziony drobną postacią księcia. Chłopiec czule do niego przemawiał, ale nie posługiwał się nadanym mu imieniem, lecz nazwą rasy, powstałą z racji wolej głowy:

- *Boukephalos, Boukephalos...*

- Czy oni obaj poszaleli - rzekł pod nosem Rodyjczyk. - Ktoś powinien się wtrącić i zakończyć to, zanim chłopak straci życie.

Artabazos wrzucił ramionami.

- Teraz już się nic nie robi. Można tylko się modlić, żeby bogowie nad nim czuwali.

Aleksander pogładził konia po szyi. Powoli rozluźnił nieco wędzidło. Zwierzę prychnęło i rzuciło łbem. Chłopiec uspokajał je, biorąc za rzemyk ogłowia i odwracając łbem ku słońcu.

- Ach, popatrz tylko - szepnął Artabazos, łapiąc za ramię Memnona. - Ten chłopak zna się na koniach. Płoszył się z powodu cienia...

Księżę dobrą chwilę uspokajał zwierzę, przemawiając do niego cicho. Poprowadził je ku jezioru, po czym, unikając wszelkich gwałtownych ruchów, powiodł je z powrotem tą samą drogą. Prawą rękę wplótł w grzywę, w lewej trzymał wodze.

Tłum jak jeden człowiek wstrzymał oddech. Palce Artabazosa zaciśnęły się na ramieniu Memnona. Nawet Filip się pochylił, płonął oczekiwaniem.

Aleksander lekko wskoczył na grzbiet konia. Memnon spodziewał się, że zwierzę stanie dęba i rzuci chłopca. Ku jego zdziwieniu przyjęło niewielki ciężar podrzuceniem łba i głośnym rzeniem. Wśród widzów rozległy się pomruki; monety zadźwięczały jak cymbały. Księżę ostrożnie zebrał wodze, by nie szarpnąć wędzidłem, i z triumfalnym okrzykiem spiął konia. Chłopiec i ogier runęli przez pole, podczas gdy tłum wydał okrzyk jak huk gromu. Gwardziści tłukli włóczniami o tarcze. Towarzysze księcia wrzasnęli radośnie i popędzili za swoim idolem.

Król Filip rozłożył ramiona i zgarnawszy Filonikosa w miążdzący uścisk, uradowany kazał jednemu z dworzan przynieść trzyście talentów i wypłacić spoconemu do ostatniej nitki

Tesalczykowi.

- Moja krew! - krzyczał szeroko uśmiechnięty król. - Synu, szukaj równego ci królestwa, bo Macedonia dla ciebie za mała!

Spojrzał na Artabazosa. Memnon nie miał wątpliwości, że w królewskim oku zajarzyła się groźba.



Artabazos i Memnon wymówili się od uczty, która zawsze towarzyszyła targom, doskonale wiedząc, że przerodzi się w pijatykę, z której Macedończycy byli sławni - całonocne wybryki, przy których nawet osławione ateńskie *symposia* wydawały się skromne. Kiedy żegnali się z królem, zapewnili go, że poważnie rozważą jego propozycję sojuszu.

- Chyba nie obchodziła go nasza odpowiedź - zauważył Memnon.

Jak weszło to w zwyczaj, siedział z Barsine na drewnianej ławie, jednej z wielu na terenie posiadłości, przyglądając się świetlikom i omawiając wydarzenia całego dnia. Wcześniej pewnie pracował tam Gryllos; w powietrzu unosiły się wonie świeżo koszonej trawy i poruszonej gleby wzmocnionej miazdżoną korą.

- Król to dziwny człowiek - powiedziała Barsine. Jej ciemne włosy lśniły w gasnącym świetle. Nosila szafranowy chiton bez rękawów, z suto haftowanym brzegiem. Szal z podobnego materiału podkreślał oliwkową skórę, otulając ramiona i szyję.

Memnon często musiał odwracać od niej wzrok.

Głupcze! Jest przyrzeczona innemu... tłućło mu się w głowie.

Rodyjczyk odchrząknął.

- Och, nie, wcale nie dziwny. Jest jak Scylla i Charybda w jednym wiecznie głodnym ciele, wieloramienny cyklop o nienasyconym apetycie. A jednak mimo wszystko bardziej obawiałbym się Aleksandra. Jego ojciec pożąda tylko władzy, syn zaś władzy i sławy. To niebezpieczna mieszanka jak na jednego mężczyznę.

Barsine zmarszczyła czoło.

- Ale on nie jest dorosły... przynajmniej jeszcze nie. Niech dojrzałość utemperuje jego charakter i głód sławy, zanim zaczniesz go osądzać.

- Dojrzałość może utemperuje jego ciało, ale jego charakter jest już w pełni ukształtowany - stwierdził Memnon, kręcąc głową. - Nie widziałas go dzisiaj. Spojrzenie w jego oczach było spojrzeniem mężczyzny, w dodatku zdolnego mężczyzny. Trawi go coś więcej niż pragnienie chwały. To płomień podsycany nadzieją wielkich czynów i jeszcze większego uwielbienia. Gwarantuję ci, że nie zadowolony się dotarciem do Hellespontu, i każdy, kto stanie na jego drodze... - Rodyjczyk otrzepał dłonie gestem oznaczającym rozbicie w proch i pył.

Barsine zadygotała.

- Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, prawda, Memnonie?

- Oczywiście, że nie. Więzy między gospodarzami a gośćmi są święte, u Greków tak jak i u Persów. Kiedy jesteśmy pod ochroną Filipa, możemy być pewni swojego bezpieczeństwa jakbyśmy byli jego krewnymi.

- A kiedy już nie będziemy pod jego ochroną? - Bezwiednie przysunęła się do niego, aż ich ramiona się zetknęły. - Co wtedy?

Różany zapach jej włosów dotarł do jego nozdrzy. Memnon oparł się pragnieniu, aby objąć ją ramieniem.

- Jesteśmy - powiedział słabym głosem - i będziemy bezpieczni, dopóki między Macedonią i Persją panuje pokój.

Mrok był coraz głębszy, lecz Memnon widział z bliska rysy twarzy Barsine, gdy się weń wpatrywała. Rozchyliła usta. Jak łatwo byłoby - pomyślał - po prostu się pochylić...

Ona też toczyła wewnętrzną walkę; to, co stosowne, ścierało się z tym, co dyktowały zmysły. Zdradzały to ruchliwe rysy, oczy zapamiętujące każdy szczegół jego oblicza. Poruszyła się. Memnon poczuł, że unosi dłoń, i delikatne palce musnęły jego policzek.

- Chciałabym... - zaczęła, ale zamilkła.

- Nie.

Ujął jej dłoń i łagodnie przytrzymał. Barsine zamknęła oczy. Opuściła głowę i odetchnęła głęboko.

- Chciałabym - powtórzyła, tym razem z większą mocą - żebyś nie malował biednego Aleksandra tak surowym pędzlem. Przecież to dopiero młodzietki chłopiec. - Wyprostowała się.

Teraz dzieliła ich przestrzeń. Memnon westchnął. Dłoń Barsine pozostała, w jego uścisku.

- Achilles też kiedyś był młodzietki.

- Inaczej niż Odys? - spytała, unosząc brwi. Uśmiech wygiął jej usta. Wstali razem. -

Lepiej sprawdzę, co u Dejdami. Dobranoc, Memnonie.

- Dobranoc.

Ścisnął jej dłoń i wypuścił. Nie pozwolił sobie odprowadzić jej wzrokiem, lecz przeciwnie, odwrócił się i odszedłszy w innym kierunku, okrężną drogą dotarł do domku gościnnego.

Jego gniew na siebie samego ustąpił czarnej melancholii. Otworzył drzwi i rozejrzał się po cichej, pustej izbie. Na stole paliła się lampka oliwna. Świeży zapas paliwa posypano solą, aby mniej dymił. Obok stała nieotwarta flaszka wina. Ten sam sługa, który zapalił lampę i przyniósł napitek, przygotował łożo do snu.

Memnon jednak nawet sobie nie wyobrażał, by mógł zasnąć.

Siadł przy stole. Za oknem, za welonem liści mirtu, widniał główny budynek. Za przymkniętymi okiennicami płonęło kilka lamp. Wyobraził sobie czekającą na niego na progu Barsine, jej rozwiązane włosy, lnianą koszulę nocną osuwającą się z ramion... Nie! Siłą woli odsunął od siebie ten obraz i sięgnął po wino.

Wschód słońca zastał go przy stole. Oliwa się wypaliła, a gliniana butelka leżała przy łokciu, opróżniona i zapomniana. Wsparł podbródek na pięści; od czasu do czasu wiercił się na krześle i gładził brodę.

Jest przyrzeczona Mentorowi... powtarzał w myślach.

Przez całą noc te same słowa krążyły mu w głowie, jaskrawym blaskiem oświetlając jeden wniosek: dłuższe pozostawanie w tym domu byłoby kuszeniem pożądania. Ostatni wieczór już nadkruszył bariery, jakie potrafił wznieść. Lepiej się wycofać z sytuacji, zanim straci nad nią kontrolę i zrobi coś, czego później będzie żałował. Czego ona będzie żałować. Wyjedzie, ale dokąd? Drogi morskie na wschód stały otworem. Może Mentor potrzebuje kogoś, komu będzie mógł powierzyć swoje życie? Ale czy może mi zaufać? - zapytał sam siebie w myślach. Czy już go nie zdradziłem, pożądając jego narzeczonej? W takim razie na zachód, do Sycylii. Z pewnością Patronowi przyda się jeszcze jeden wytrawny wojownik...

Te rozmyślenia przerwał jakiś dźwięk. Memnon uniósł głowę i rozpoznał go. Ktoś lekko stukał do drzwi.

- Memnonie? - To był Farnabazos.

Podniósł się zza stołu.

- Tak?

- Masz gościa.
- Czy to nie może zaczekać, siostrzeńcze? - warknął Memnon. Był w tak podłym nastroju, że nawet nie chciało mu się formułować grzecznej odmowy.

Zza drzwi dobiegły niewyraźne głosy.

- Nie, wujku. Możemy wejść?

Rodyjczyk westchnął. Wyglądało na to, że nie wywinie się od niechcianej wizyty.

- Tak. Wejdz.

Powstał. Farnabazos otworzył drzwi. Spojrzał z niepokojem na wuja.

- Spałeś w ogóle?

Memnon machnięciem ręki zbył troskliwe pytanie. Farnabazos odstąpił na bok, wpuszczając towarzysza. Memnon nie wątpił, że jest to Macedończyk - potężnie zbudowany mężczyzna w prostym czerwonym chitonie, pleczysty i o nogach jak słupy.

- Memnonie, to Parmenion, wódz wojsk Filipa - przedstawił go Farnabazos.

- Twoja sława cię wyprzedza, Rodyjczyku - rzekł Parmenion.

Mówił południową greką z chrapliwym akcentem. Jego spaloną skórę pokrywały roje blizn, niemal niewidocznych spod gęstego owłosienia na ramionach, nogach i torsie. Siwizna poznażyła brodę i gęste sterczące brwi. Musiał mieć około pięćdziesięciu pięciu lat.

- Jak twoja siebie, wodzu - powiedział Memnon.

Nie były to czcze komplementy. Pośród wzgórz Macedonii Parmenion byłby samodzielnym panem, strategiem rządzącym żelazem i postrachem; jako podkomendny Filipa sprawował władzę w daleko subtelniejszy sposób.

- Czym mogę ci służyć?

- Na agorze wpadłem na tego perskiego szczeniaka - złapał za kark Farnabazosa i przyjaźnie potrząsnął młodzieńcem. - Rzekł mi, że przybyłeś z Egiptu i przebywasz tu już jakiś czas. Pomyślałem sobie, że może się znudziłeś tutejszymi wygodami i chętnie wróciłbyś na pole bitwy.

Memnon uśmiechnął się mimo woli.

- Czemu tak jest, że żołnierz na polu bitwy nie marzy o niczym, tylko o rodzinnym domu, a kiedy jest w domu, roi mu się walka?

- Bo pole bitwy to jego dom, miejsce, w którym jest w swoim żywiole. Potrzebuję kogoś godnego zaufania, kto dowodziłby lekką kawalerią, gdy za kilka dni wrócę do Tracji - powiedział Parmenion. - To nagła propozycja, wiem, ale ten dureń, który w zeszłym roku służył przede mną, wczoraj dał sobie rozwalić łeb podczas rodowej kłótni. Mam dość tych górali. Nie można im ufać. Potrzebuję Greka, a słyszałem, że Artabazos wysoko cię ceni.

Memnon zamrugnął. W duchu podziękował bogom za opiekę. Odwrócił się do stołu. Za oknem dostrzegł Barsine. Oświetlona porannym słońcem szła z głównego domu. Za nią biegły dzieci. Zabierała je do stajni, by nakarmiły resztkami śniadania konie. Wydawało mu się, że na chwilę spotkali się wzrokiem.

Narzeczona Mentora... pomyślał.

- To robota najemnika, ale dobrze opłacana - dodał Parmenion, uznawszy, że się waha. Memnon nagle skinął głową i odwrócił się do Macedończyka.

- Farnabazos jedzie ze mną jako adiutant.

Parmenion przystał na to, wyciągając rękę do Rodyjczyka.

- Rozglądałem się za wojną, którą mógłbym wygrać - rzekł Memnon, ściskając rękę dowódcy. - Wygląda na to, że w Tracji znajduję ją równie dobrze jak w każdym innym kraju.

Rozdział trzynasty

Cisza! - syknął Memnon.

Otoczony kilkudziesięcioma żołnierzami Rodyjczyk przykucnął w wysokiej letniej trawie z oszczepem w ręku, nasłuchując dźwięków dobiegających zza palisady nieprzyjaciela. Stała pięćdziesiąt kroków dalej. Ostrożnie się uniósł i zaryzykował spojrzenie na cel ataku. Jego ludzie - mieszanina sprzymierzonych Traków i Greków z wybrzeża - przypadli nisko do ziemi. Niektórzy piorunowali wzrokiem młodego żołnierza, który krzyknął, gdy przypadkiem położył rękę na nieszkodliwym zaskrońcu. Twarz młodzieńca płonęła wstydem.

Memnon jeszcze moment unosił się na naprężonych udach, po czym znów przykucnął. Świt był niedaleko; niebo na wschodzie już płonęło, welon wysokich chmur przesiewał złoty blask rydwanu boskiego słońca. Przed palisadą nie było wart, a z wioski dobiegały tylko zwykłe odgłosy gromady budzącej się ze snu do kolejnego upalnego dnia. Memnon szerokim gestem dał znać, że oddział nie został wykryty. Żołnierze odetchnęli z ulgą. Rodyjczyk otarł pot z czoła. Nieprzyjaciel podczas tego wypadu, trackie plemię Odrysów, był równie sławny z czujności, co z bitności.

- Zmiażdż ich - poradził tydzień temu Parmenionowi Memnon, zanim wyjechał z doliny Doriskos, kierując się do doliny rzeki Heb-ros - i pozbawisz trackiego króla wartościowego sprzymierzeńca.

Teraz, kiedy mieli cel przed oczami, Memnon modlił się, by Odry-sowie połknęli haczyk, by Farnabazos i jego grecka kawaleria wywabili chytrych Traków poza palisadę. Wszystko zależy od ciebie, siostrzeńcze, pomyślał.

Memnon ogarnął wzrokiem widocznych w świetle poranka żołnierzy. Jak oni miał na sobie *linothorax*, warstwowy lniany kirys, wzmocniony klejem i szarymi płytkami żelaza na piersiach i plecach. Po godzinach czołgania się przez pole byli pokryci warstwą kurzu, która usztywniała włosy i brody, zamieniając się w popękany muł na oczach, nosie i wargach. Większość była uzbrojona w trzy oszczepy - dwa do ciskania, a ostatni do walki wręcz. Kilku Greków miało proce, z których wyrzucali zabójcze, opiłowane na kształt śliwki ołowiane pociski. W locie wirowały wokół osi i drążyły ciała niczym świdry szkutników.

Memnon i jego żołnierze mieli przed sobą jedyne wrota palisady. Rodyjczyk gestem nakazał rozproszyć się na boki. Młody żołnierz, którego odruchowy krzyk zatrzymał podejście, ruszył na lewą flankę, wysuwając się na czoło. Na twarzy zastygł mu wyraz determinacji. Memnon znał ten grymas bezmyślnej samobójczej brawury. Trącił młodzieńca oszczepem i potrząsnął głową.

- Nie, Kallinosie - powiedział bezdźwięcznie. - Idziesz ze mną.

Mieli walczyć jak *dyas*, jak para bliźniaków Kastor i Polideukes. Tym sposobem młodzik mógł dożyć końca tego dnia.

Memnon położył się na brzuchu i czołgał przed siebie, Kallinos za nim. Wszędzie wokół były ślady suszy; gleba głęboko spękała i pożółkłe kępki wyschniętej trawy słaniały się pod nieustępliwym słońcem. W nieruchomym powietrzu unosił się odór ludzkiego skupiska - gęsty smród gnijących szczątków zwierząt, zacieru jęczmiennego, rybich wnętrzności i łupin oliwek. Tego lata - już drugiego, które przeżywał w Tracji - Memnon widział ogniska zarazy, posuwającej się od wybrzeża do górskich wiosek, zrodzonej mieczem i oszczepem, syconej wyziewami wojny. Z czasem niszczące strzały Apolla mogły osiągnąć to, czemu do tej pory nie potrafiły podołać oddziały Filipa - pobić Odrysów i ich króla Kersobleptesa.

Jednak czas to luksus, na który nie było ich stać.

W oddali rozległ się głos rogu. Memnon zeszywniał; wiedział, skąd dolatuje. Miłościwy Zeusie, strzeż go! - pomodlił się w myślach. Zza palisady dobiegły krzyki i wołania na alarm; tę kakofonię wzmogły szczekania psów i wrzaski kobiet i dzieci.

Okiem wyobraźni Rodyjczyk ujrzał dalsze fazy ataku. Jego konni pod dowództwem Farnabazosa zaatakują drugą stronę palisady, wypuszczając z bezpiecznej osłony drzew chmary płonących strzał; zręczniejsi i śmielsi jeźdźcy podjadą bliżej i będą ciskać butelki z oliwą, którymi podpalą wysuszone drewno. W dymie i zamieszaniu Odrysowie bez straty czasu otworzą wrota i wyślą kawalerię - falę dzikich rudowłosych Traków pokrytych misternymi niebieskimi tatuażami. Okrąży wioskę i spadnie na zuchwałych Greków jak myśliwskie psy na rannego jelenia.

Na to przynajmniej liczył Memnon.

Rodyjczyk przykucnął i zacisnął dłoń na oszczepie. Zerknął na Kallinosa. Młodzik mrugał raz za razem. Pot skapywał mu z czubka nosa. Otarł go drżącą ręką. Memnon chciał szepnąć mu kilka słów, dodać odwagi, ale nie zdążył. Rozległ się przeraźliwy trzask rozchylanych wrót i skrzyp zawiasów.

Brama stanęła otworem.

Chrapliwe słowa w trackim języku rozległy się jak strzał z bicia i Memnon usłyszał zgrzytanie pancerzy i dzwonienie upręży, gdy jeźdźcy przegalopowali poza palisadę. Czekał, słuchał, oddychając powoli i głęboko przez rozdęte nozdrza. Zgranie w czasie było najważniejsze...

Płynnym ruchem uniósł się z trawy, odrzucając oszczep i szukając wzrokiem celu. Pięćdziesiąt kroków dalej kilkunastu Odrysów pędziło w luźnym szyku. Nie widzieli czających się w trawie żołnierzy. Teraz!

- Zeus Zbawca i Nike! - ryknął Memnon, wyrzucając oszczep.

Jego żołnierze nagle się wyprostowali i wyrzucili swoje pociski.

Brąz i żelazo zabłyśły w mglistym powietrzu poranka; zasyczały kule proc, rozrywając ciała z odgłosem pękających rybich pęcherzy. Bryznęła krew, gdy żołnierze wili się, łapiąc za jesionowe drzewca strzał, jakby czarodziejskim sposobem wyrastających z ich ciał. Konie stawały dęba i upadały. Szykując się do drugiego rzutu, Memnon dostrzegł, jak pocisk z procy rozwała głowę nieprzyjaciela. Na twarzy trafionego jeszcze pokazał się wyraz zaskoczenia, zanim rozmyła się w masie krwi i mózgowia. Trzasnęły pękające kości, gdy przerażony koń zdruzgotał kopytami tors powalonego jeźdźcy.

Ci, którzy przeżyli pierwszy atak, kręcili się w kółko, nagle pozbawienie dowódcy. Niektórzy sięgnęli po łuki, inni usiłowali opanować wierzchowce. Drogo zapłacili za ten moment bezradności. Druga fala oszczepów wbiła się w przerzedzone szeregi.

Garstce Odrysów na tyłach udało się zawrócić konie i popędzić do bramy, w bezpieczne miejsce. Wrzaskiem przyzywali swoich, aby osłonili ich odwrót. Seria strzał uniosła się nad palisadą, spadając na chybił trafił między żołnierzy Memnona.

Rodyjczyk stęknął, wyrzucając ostatni oszczep. Zakończony żelazem pocisk nie trafił dowodzącego odwrotem, ale wbił się w grzbiet jego konia. Zwierzę zwinęło się jak szmaciana lalka, padając pod nogi następnego. Nagły gejzer kurzu zasłonił rojowisko połamanych ludzkich i zwierzęcych szczątków. Memnon się wyprostował i wyrwał miecz z pochwy.

- Do bramy!

Dowodzeni przez Rodyjczyka Trakowie zawyli jak wilki i rzucili się w powstały korytarz. Kierował nimi tylko jeden cel. Dyszeli zemstą. Ludzie z tej wioski - Memnon nawet nie pamiętał jej nazwy - od lat polowali na nich jak na zwierzęta, mordowali ich bliskich i hańbili ich kobiety.

Brama była niewymyślną konstrukcją, podwójne wrota z twardego drewna wzmocnione pasami klepanego brązu. Skrzydła opadały na zniszczonych zawiasach, ryjąc ziemię, gdy obrona wioski usiłowała je zawrzeć przed atakiem Memnona. Atakujący i broniący przepychali się nawzajem, jedni i drudzy licząc na to, że samą siłą mięśni osiągną zwycięstwo. Jeden z Traków Memnona za bardzo się zbliżył do szpary we wrotach. Został przebity włócznią, która utkwiała mu w gardle. Jego towarzysz pociągnął za złane krwią drzewce. Wywłókł na zewnątrz obrońcę, który natychmiast padł trafiony trzema pociskami z procy. Kawałeczek po kawałeczku, życie po życiu sojusznicy zyskiwali teren. Wreszcie przepchnęli obronę. Brama otworzyła się na oścież. Runęli na garstkę obrońców, kobiety i starsze dzieci, którzy stawili opór z zaciekleścią zdziczałych zwierząt.

Słup czarnego dymu wzniósł się z drugiej strony wioski, przesuając na wschód, ku rzece Hebros, i zasłaniając dysk słońca. Memnon z garstką Greków trzymał się z tyłu, dając Trakom wolną rękę względem Odrysów. Nie brano jeńców.

Memnon przekonał się, że Kallinos wyszedł z potyczki bez szwanku. Stał nad trupem, jednym z pierwszych Odrysów zabitych podczas krótkiej walki. Jak wszyscy żołnierze Rodyjczyka młodzik zaznaczył swoje oszczepy - najczęściej były to litery lub obrazki symbolizujące osobowość wojownika - na styku drzewca z żelźcem lub na tyłcu. Na włóczniach Memnona był egipski sokół. Młodzik rozpoznał własną broń sterzącą z tułowia trupa.

- Twój pierwszy zabity? - spytał cicho Memnon.

Kallinos przełknął z trudem ślinę i kiwnął głową.

- N-na pewno, ale nie pamiętam, kiedy rzuciłem oszczepem. - Owinął palce wokół drzewca. Żelazo zgrzytnęło o kość, gdy wyrwał broń z ciała. Spojrzał na zakrwawione żelźce. - Pamiętam twój krzyk. Pamiętam, jak stałem i czułem, że ziemia kołysze mi się pod nogami. Potem...

Memnon położył mu dłoń na ramieniu.

- Ważne, że się wykazałeś. Słuchałeś rozkazów, nie okazałeś nierozwagi ani bezmyślnej brawury. Wyszedłeś cało z opresji. Powinieneś zapamiętać ten moment, Kallinosie. Bądź dumny, ale oddaj bogom, co należy.

Młody Grek po raz wtóry kiwnął głową. Memnon klepnął go w ramię i kazał się zająć rannymi. Tymczasem z głębi wioski przybył oddziałek jazdy. Prowadził Farnabazos. Kurz okrył konia i jeźdźca. Chłopak stracił hełm. Krew spływała mu z ciętej rany na czole, rozlewając się z boku twarzy.

- Co ci się stało?

Farnabazos dotknął brwi i się skrzywił.

- Jeden z ich gnojzków chciał mi kamieniem rozwalić głowę. Na wielkiego boga, wuju! Twój plan się powiódł!

- Straty? - spytał Memnon.

- Głównie szramy i siniaki. Ten dureń Penteos podjechał za blisko palisady i ubili pod nim konia. Wygrzmocił się na ziemię. Noga trzasnęła mu jak gałązka. Powinien przeżyć, jeśli się nie wda zakażenie. A co u ciebie?

Memnon obejrzał się przez ramię. Najcięższym fragmentem potyczki była walka o bramę.

- Jak do tej pory dwunastu zabitych. Kilkunastu rannych. Plan miał jedną wadę. - Gniew ukazał się na jego obliczu jak latem piorun na niebie. - Powinienem zabrać tarcze i taran. Na Hadesa! Mając liny i konie, mogliśmy wyrwać z zawiasów wrota! - Odwrócił się i splunął na ziemię.

Farnabazos zeskoczył z konia.

- Jest po wszystkim, wuju, i dzięki tobie skończyło się dobrze. Przewidywanie to

mądrość, oglądanie się za siebie to tylko bezowocne sny na jawie. Pamiętasz, czyje to słowa?

- Tak, tak! Moje i gdybym wiedział, że będę musiał się nimi karmić na każdym kroku, może osłodziłbym je miodem. - Głośno odetchnął. Z niezadowolaniem ocenił ranę siostrzeńca. - Każ to oczyścić i zabandażować, potem zajmij się końmi, niech odpoczną i dostaną wody. Ja poszukam wozu dla rannych, zanim Berisades i jego trackie sukinsyny wszystko spalą. Nie możemy zwlekać. Dym ściągnie wszystkich drapieżników z doliny Hebrosu.

- Wracamy do Doriskos?

Memnon potrząsnął głową.

- Do tej pory Parmenion powinien się znaleźć w Aj nos, na wschodnim brzegu rzeki. Dołączymy do niego. Podczas następnej ofensywy Macedończycy odrzucą ostrożność i uderzą w serce królestwa Kerso-bleptesa, zanim Ateny uznają, że obecność Filipa nad Hellespontem nie leży w ich interesie.

Farnabazos zachichotał.

- Czy Ateńczycy uważają, że wprawdzie muszą przedyskutować tę sprawę? Doprawdy, nie pojmuję, jak te wiecznie biadolące gaduły pobili pod Maratonem wielkiego Dariusza.

- To były inne, czasy, chłopcze - rzekł Memnon. - Ruszaj. Powiedz żołnierzom, że mają godzinę.

Twarz Rodyjczyka zastygła w pełną zdecydowania maskę, gdy się odwrócił i ruszył do bramy. Za palisadą rozlegały się i cichły wrzaski, przerywane rubasznym rechotem.

- Gdzie będziesz? - zawołał za nim Farnabazos.

- Przywołam brytany do nogi.



Szeroka, wolno tocząca swe wody rzeka Hebros wiała się u stóp Rodopów jak wielki brązowy wąż. Kępy dębów, jesionów i wiązów ocieniały brzegi przed nieustępliwym słońcem, podczas gdy rzadkie cyprysy usiłowały dosięgnąć korzeniami spustoszonego suszą Hebrosu - miejscami tak płytkiego, że odsłaniającego kamienne koryto. Przy brzegach tworzyły się, zarastały i wysychały w przytłaczającym upale zatoczki. Unosił się smród mułu i gnijących ryb. Powiew z północy poruszył liśćmi, ale przyniósł niewielką ulgę jadącej wzdłuż nurtu kolumnie kawalerii.

Przez kilka następnych dni Memnon bezlitośnie poganiał żołnierzy, zatrzymując się tylko na popas, suchara i kilka godzin snu. Zwiadowcy poprzedzali oddział, czujni na wszelki sygnał zasadzki, podczas gdy Farnabazos wiódł ariergardę, w której jechał wóz z rannymi Grekami i Trakami. Wśród nich siedział Penteos, przy każdym podskoku wozu posyłając woźnicy litanię barwnych przekleństw.

Piątego dnia, gdy słońce było już nad horyzontem, Memnon znalazł bród powyżej rozległej bagnistej delty i przeprowadził żołnierzy na drugi brzeg. Miał rozkazać rozłożyć obóz, gdy jeden z konnych zwiadowców przyniósł wyczekiwane wieści: straż przednia macedońskiej armii jest zaledwie dwie godziny jazdy na południe od ich pozycji. Mimo że niebo przybierało już barwę rozgwieżdżonego indyga, Memnon zdecydował, że pomaszerują dalej.

- Przynajmniej mają lepszy prowiant - rzekł. Wysłał gońca z rozkazem nawiązania kontaktu i ostrzeżenia Macedończyków o ich przybyciu.

- Jak daleko jesteśmy od Ajnos? - spytał Farnabazos, opędzając się od komara, który brzęczał mu przed nosem. Było tak ciemno, że ledwo widziało się drogę.

- Dzień jazdy - powiedział Memnon. - Może mniej.
- Czy planowałeś spotkanie z Parmenionem na takiej wąskiej drodze?

Memnon nie odpowiedział. W duchu po części spodziewał się, że pod Ajnos znajdzie tylko niewielką część armii, od której się dowie, dlaczego Parmenion zwleka w dolinie Doriskos. Król wychwalał pod niebiosa swojego wodza, mówiąc wszystkim, którzy go słuchali, że „Ateńczycy każdego roku wybierają dziesięciu strategów, ale ja jak do tej pory znalazłem tylko jednego”. Memnon jednak przekonał się, że Parmenion jest ociężały i przesadnie ostrożny, chociaż kiedy już postawił na działanie, okazywał się zażartym przeciwnikiem. Co tym razem popchnęło go do czynu? Obracał w głowie tę kwestię, nieświadom mijającego czasu. Kiedy znów spojrzał przed siebie, ze zdziwieniem ujrzał płonące w oddali pochodnie.

- Pikieta - stwierdził Farnabazos i rzucił przez ramię swoim: - Z życiem, skurczybyki!
- Kto idzie? - zahuczał w ciemności głos.
- Oddział Memnona! - odparł Farnabazos, spoglądając na wuja.

Obaj mieli nadzieję, że warta nie zażąda hasła, które niewątpliwie już się zmieniło.

- Zbliżyć się i pokazać!

Memnon wyjechał przed oddział i znalazł się w kręgu światła pochodni. Uniesieniem dłoni pozdrowił oddziałek piechoty. Był uzbrojony w sarisy, włócznie dwa razy dłuższe niż ośmiostopowa broń hoplitów.

- Na zęby Hadesa! - ryknął dowódca warty, jednooki Macedończyk w poobijanym kirysie z brązu. Przechylając głowę na ramię, zmierzył wzrokiem Memnona, który osadził konia obok niego. - Kiedy Parmenion się dowie, że wróciłeś, będzie tańczył z radości!

Memnon poznał żołnierza.

- Co się dzieje, Antygonosie? Nie spodziewałem się spotkać was tak daleko od Ajnos.

Antygonos był jednym z najzaufanych dowódców Parmeniona, przeznaczonym do objęcia wysokiego stanowiska w stale rosnącej armii Filipa. Przypadkowe pchnięcie miecza podczas kampanii w Ilirii zyskało mu przezwisko *Monophthalmos*, Jednooki. Jak w wypadku króla, to kalectwo w żaden sposób nie poskromiło ambicji żołnierza.

- Wódz niech ci wytłumaczy. Chodźmy. Mam rozkaz odprowadzić cię do kwatery głównej. - Antygonos wskazał jednego ze swoich ludzi, szczupłego żołnierza o gęstych rudych włosach związanych w kitę na czubku głowy. - To Krobylos. Poślij z nim swoich chłopaków. Znajdzie im prowiant i miejsce do spania.

- Jedź za nim, Farnabazosie - rozkazał Memnon. - Ale niech żołnierze wpierv zatroszczą się o brzuchy koni, potem o swoje.

Młody Pers skinął głową i dał znak oddziałowi. Krobylos wskoczył na grzbiet konia Farnabazosa i złapał się siodła. Wolnym galopem udali się w mrok. Koń Antygonosa stał nieopodal. Żołnierz wskoczył na niego i zebrał wodze. Cmoknął i popędził klacz do galopu. Memnon za nim.

Macedoński obóz rozciągał się na niskim nadrzecznym wzgórzu - tymczasowe *polis* z marnie barwionych skór i byle jak ociosanych bali. Cywilom poszczególne kwatery mogły się wydawać identyczne, różniły je tylko barwne sztandary oddziałów, ledwo unieszone słabym powiewem. Podczas gdy zwykle miasto dzieli się zależnie od bogactwa i fachu mieszkańców, miasto-obóz wyznaczało wewnętrzne granice wedle rodzajów uzbrojenia żołnierzy; kawalerzyści stronili od piechurów, podczas gdy oszczepnicy, procarze i najemnicy przemykali po obrzeżu. Wszędzie trzeszczały ogniska, żołnierze śpiewali sprośne piosenki do wtóru fletów i dźwięczących na oselkach ostrzy. Wonie chleba, pieczonego mięsiwa, wina zaatakowały nozdrza Memnona, przypominając o rosnącym głodzie.

Pawilon wodza stał otwarty na ruchomym akropolu obozu - szczycie niskiego, zarosłego

karłowatymi dębami wzgórza, że środka rozlewało się światło lamp, odbijając od zbroi straży i kładąc na pniach drzew ruchliwymi pasami oranżu i czerni. Memnon i Antygonos osadzili konie, zeskoczyli na ziemię i zostawili zwierzęta pod opieką służby Parmeniona.

Kiedy się zbliżali, usłyszeli głos wodza. Parmenion beształ jednego z dowódców niskiej rangi za złamanie któregoś ze ścisłych rozkazów Filipa; mimo że król przebywał wieleset mil dalej, jego wola rządziła niepodzielnie.

- Niech się to powtórzy - grzmiał Parmenion - a oskóruję cię do żywego mięsa i odeślę do ojca! Zrozumiano? - Młody żołnierz wyprężył się służbiście i pośpiesznie zrejterował, gdy wódz odesłał go ruchem głowy.

Antygonos wszedł pierwszy, pozdrowił wodza i wskazał Memnona.

- Rodyjczyk, wodzu.

Parmenion oddalił go ruchem ręki, z powrotem skupiając uwagę na ogólnej mapie Tracji zajmującej cały składany stół. Przytrzymały ją płaskie kamienie, popiersie Heraklesa i nóż w pochwie. Pozycje wojsk zaznaczono kamieniami - srebrne statery wyznaczały posuwanie się Macedończyków, miedziane *chalkoi* - Traków.

- To brama Azji - rzekł Parmenion, tłukąc pięścią w mapę i rozrzucając monety - a broni jej banda dzdiziałych psów!

Memnon przez chwilę nic nie mówił. Podeszedł do bocznego stolika, na którym stały resztki kolacji Parmeniona. Nalał sobie wina, wypił i nalał po raz drugi.

- Zdobyliśmy tu małe przyczółki - powiedział, stając obok wodza. Sięgnął po jeden z odrzuconych staterów i położył go w miejscu, w którym zrównał z ziemią wieś Odrysów.

- Jakies przyczółki nie dadzą Filipowi Tracji!

- Ale złoto da - zauważył Memnon z miną człowieka, który powtarzał się wiele razy i nadaremnie. - Jeśli chcesz otworzyć tę bramę, będzie cię to kosztowało, Parmenionie. I króla.

Wódz mruknął coś i splunął.

- Wy, Grecy, wszyscy jesteście tacy sami! Wierzycie, że złoto załatwi za was wszystko tam, gdzie trzeba żelaza! Żelazo to mięsień wojny!

- A złoto jej ścięgną! Co więcej, skąpstwo rodzi klęskę. Już wałkowaliśmy ten problem pod Maroneją i Abderą! Powiedziałem ci to samo w Doriskos. Nie minęły dwa tygodnie, a ty wciąż się krzywisz! Albo przekonaj Filipa, żeby skierował całą siłę Macedonii przeciwko Tracji, albo dajcie mi fundusze, żebym zrobił to za was! Nie ma innego sposobu!

Parmenion zacisnął zęby.

- Może masz rację - powiedział cichym, pełnym frustracji głosem.

Memnon zerknął z ukosa na Macedończyka.

- Wcześniej nigdy się ze mną w tej mierze nie zgadzałeś. Co zmieniło twoje zapatrywania?

- Czy człowiek nie może ustąpić wobec rozsądku i dobrej rady?

- Każdy inny pewnie tak - rzekł Memnon. - Co się dzieje? Czy chodzi o Ateńczyków?

Parmenion się skrzywił i skinął głową.

- Diopejtes, ich pacholek nad Hellespontem, żąda jeszcze większych funduszy i więcej wojska. Król chce wziąć Traków pod obcas, zanim Ateńczycy uchwalą, że należy wysłać jednego z ich wodzów na pomoc Diopejtesowi.

- To dlatego ruszyłeś się z Ajnos. - Memnon potarł podbródek, wskazując mapę. - Popatrz tu. Dolina Hebrosu prowadzi do samego serca ziem Kersobleptesa. Oczyszciliśmy drogę dotąd. - Dotknął monety wskazującej wioskę. - Jeśli się pośpieszymy, pokonamy rzekę, kiedy stan wody jest nadal niski z powodu suszy, zatoczmy szeroki łuk przez wzgórza i maszerując od północy, wrócimy na terytoria Od-rysów. Przy odrobinie szczęścia kompletnie zaskoczemy

drania w jego fortecy w Kypseli.

Parmenion szarpał brodę i kręcił głową.

- Nigdy nie uda nam się go zaskoczyć. Mamy zbyt wielu żołnierzy, zbyt wiele koni, żebym poszedł na taką lekkomyślną zagrywkę. Stawiam mego kła, że Trakowie już zostali ostrzeżeni o naszym nadejściu.

- W takim razie ruszmy się szybciej...

Parmenion parsknął szyderczo.

- Nie zamierzam się ociągać, ale nie będę pędził na złamanie karku jak jakiś dureń!

Pośpiech równie pewnie sprowadza klęskę jak skąpstwo. Podążymy w górę doliny w naszym zwykłym tempie. To wystarczająco szybko, żeby zagrozić Kersobleptesowi. Już miałem z nim do czynienia. Będzie próbował zasadzek i ataków z flanki, żeby rozerwać szyk falangi. Kiedy mu się będzie wydawało, że wystarczająco nas osłabił, uderzy kawalerią. Na pewno nie będzie czekał za murami Kypseli, nie zdecyduje się na to. Ten cwany drań już dobrze wie, że umiemy prowadzić oblężenia.

Memnon zgarbił się znużony, pilnie wpatrując się w mapę.

- Daj mojemu oddziałowi kilka dni odpoczynku, a poprowadzę go przed głównymi siłami, wschodnim brzegiem rzeki. Falanga podaży szybciej, gdy Kersobleptes będzie miał na głowie nasz oddział.

Parmenion znów potrząsnął głową.

- Nie. Macie pilnować prawej flanki głównej kolumny. Tesalczyki pod Attalosem obejmą straż lewej flanki, a Polemokrates i jego żołnierze z Pajonii zajmą się zwiadem.

- Zeusie Zbawco! - warknął Memnon. - Lepiej, żeby ślepiec nas prowadził niż Polemokrates! Pozwól przynajmniej, żeby moi ludzie objęli straż przednią. My...

- Dość! Taki jest mój plan! Ty i twoi ludzie na prawe skrzydło.

- Mam być skrzydłowym? - Nozdrza Memnona się rozdziły. - Zaciągnąłem się, żeby wygrać wojnę, Parmenionie! Nie eskortować bandę matkojebców piechurów! Skreśl te ślamazary i pozwól, żebym wygrał dla ciebie tę wojnę!

- Pozwolił ci ją wygrać?! - Purpura zalała twarz Parmeniona, gdy odwrócił się do Rodyjczyka. - Posłuchaj mnie, ty arogancki szczeniaku! Zaciągnąłeś się walczyć... i na wszystkich bogów...! Będziesz walczył, kiedy zachcę i gdzie zachcę! Jeśli mówię, że masz być na moim prawym skrzydle i strzec moich rodaków, to lepiej wyjmij sobie z gęby ten perski cycek i podziękuj siwym bogom Hellady, że dość ci ufam, żeby obdarzyć cię tym zaszczytem! - Macedoński wódz ruchem głowy wskazał wyjście z namiotu. - Dość tego! Odmaszerować!

Memnon powstrzymał potok zgryźliwych słów, ale ogień w jego oczach nie zmalął, gdy się żegnał.

- Będzie, jak zechcesz, panie - rzekł, odwracając się i wypadając z namiotu.

Czekał na niego pacholek z koniem. Memnon wyrwał mu z dłoni wodze i wskoczył na grzbiet zwierzęcia.

- Gdzie najemnicy?! - warknął. - W jakim zapchlonym kącie obozu ich ulokowaliście? - Koń spłoszył się na furię w jego głosie.

- W północno... północno-wschodnim - odparł niepewnie chłopak.

Rodyjczyk już miał spać konia, gdy przybiegł jeden ze skrybów Parmeniona, obudzony odgłosami klótni.

- Dowódco! Zaczekaj! - Podniósł rękę, drugą walcząc z zapięciem chitonu.

- Co jest?

- Kiedy byłeś w polu, przybył kolejny posłaniec z Pelli. Czy...

- Zajmę się nim jutro - uciał Memnon.

Skryba ledwo zdążył uciec spod kopyt konia, gdy jeździec ruszył galopem do miejsca, w którym najemnicy rozbili swoje namioty. Tej rozjarzonej ogniskami nocy pędzącego Memnona przenikała tylko jedna myśl: Lepiej, żeby te dranie nie wypity całego wina! Bo pożałują!



Budził się powoli. Dudnienie w głowie z każdą chwilą wydawało się coraz straszliwsze. Czaszka pulsowała mu tak, jakby jakiś kowal używał jej zamiast kowadła. Chociaż w dalszym ciągu miał zamknięte oczy, światło dnia niczym noże przesywało mu powieki i płonęło w zaćmionym winem mózgu. Zmieszane odgłosy macedońskiego obozu z hukami gromu bogów zaatakowały mu uszy. Jęknął, odwracając się na plecy, i przycisnął do skroni dłoń; daremny gest człowieka uciekającego przed kakofonią i powstrzymującego czaszkę przed rozsypaniem się na kawałki.

- Miłosierny Zeusie - wychrypiał.
- I tak niewinna jagoda winorośli bierze swą pomstę - powiedział męski głos.
- Zostaw mnie, Farnabazosie - jęknął Memnon. - Daj mi umrzeć w spokoju.

Mężczyzna zachichotał.

- Nie jestem Farnabazosem, chociaż bądź błogosławiony, skoro nadal uważasz mnie za młodego i przystojnego. I nie umrzesz. Ozyrys ma miękkie serca dla takich głupców jak ty.

Memnon z trudem rozkleił powieki jednego oka i się skrzywił.

- Chafr?

Egipcjanin stał nad nim jak zjawa. Głowę miał świeżo ogoloną i naoliwioną. Wąskie wargi wydał w grymasie dezaprobaty. Memnon zamrugał i przyjrzał mu się dokładniej. Przybysz miał na sobie sandały z wytłaczanej skóry i cienką wielokolorową szatę, rozpiętą na spódniczce z krochmalnego białego lnu. Jego złoty pectorał miał postać dwóch siedzących naprzeciw siebie kotów, między którymi był skarabeusz z lapis-lazuli. Chafr w jednej ręce trzymał gliniany kubek, w drugiej - wilgotny ręcznik.

- Skąd...?

- Nie jestem tworem twojej zmaconej wyobraźni, opoju, więc możesz sobie darować to przypuszczenie. Wypij to.

Ukląkł i podsunął kubek do ust Memnona. Kiedy Rodyjczyk poczuł zapach ziołowego wywaru i soku granatu, żołądek podszedł mu do gardła. Chciał zaprotestować, ale Chafr nie dał mu wyboru. Wlał napar prosto do gardła. Memnon zachłystywał się i pluł, przełykając całość, po czym wreszcie złapał oddech.

- Co to? Bądź przeklęty! Znowu sięgasz do swoich starych sztuczek?

- Nie. Tym razem to coś, co cię otrzeźwi. Mamy ważne sprawy do omówienia. Sprawy, które wymagają jasności umysłu - powiedział Chafr. Zmarszczył nos. - Obozujesz nad rzeką i nie możesz znaleźć czasu na kąpiel? Masz. - Podał Memnonowi ręcznik i wstał. - Przynajmniej otrzyj twarz.

Memnon spełnił polecenie. Ból głowy zelżał, Rodyjczyk czuł jedynie tępy ucisk na czole.

- Co tu robisz, Chafr?

- Jestem posłańcem z Pelli, którym miałeś się dzisiaj zająć - wyjaśnił Egipcjanin. Lekki uśmiech uniósł mu kąciki ust.

Rozejrzał się po namiocie, szukając czystego chitonu. Znalazł tylko cuchnące resztki jedzenia i dalsze rozliczne dowody nocnej pijatyki, porozbijane dzbany po winie.

- Biedny skryba, którego wczoraj w nocy mało nie stratowałeś, nie śmiał dalej zawracać ci głowy po tym, jak wrzeszczeliście na siebie z Parmenionem. Niewątpliwie omawialiście jakieś subtelne szczegóły strategii.

- Coś w tym rodzaju. - Memnon skrzywił się, doprowadzając górną połowę ciała do pionu. - Czemu byłeś w Pelli i jakie wieści mi przynosisz? Chodzi o Mentora, co? - Zszedł do trwożnego szeptu, jakby się bał, że mówiąc głośno, sprowokuje jakąś straszną odpowiedź. - Mów, Chafrze.

Egipcjanin zakończył poszukiwania i wrócił do wejścia do namiotu, gdzie mógł zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Tak, przybyłem na polecenie Mentora, ale nie martw się, nie przynoszę złych wieści. Brat przesyła ci pozdrowienia, Memnonie, i najgorętsze pragnienie, aby jego rodzina przyłączyła się do niego w Sardes najszybciej, jak bogowie i ludzie pozwolą. Chociaż gdyby zobaczył cię w takim żalonym stanie, mógłby zmienić zdanie.

- W Sardes? - Memnon się zastanowił. - To by znaczyło...

Chafr skinął głową.

- Że Egipt znów przynależy do króla królów i że Jego Królewska Mość w swojej bezmiernej mądrości nagroził twórcę swego zwycięstwa, ziszczające pragnienie jego serca i nie tylko. Dom Farnakidów zostaje przywrócony do dawnej świetności, a z nim szlachetny Arta-bazos, uwolniony od winy za wszystkie wykroczenia. Król żywi nadzieję, że spędzi z nim wiele dni na długiej drodze do Suzy, zabawiając go opowieściami o greckiej odwadze i bohaterstwie. Jego Królewska Mość szuka również rad Artabazosa względem... - Chafr urwał w pół zdania i ruchem podbródka ogarnął macedoński obóz. Ochos chciał się dowiedzieć o Filipie, jego intencjach i ambicjach.

Płomień ciekawości osuszył pijacką mgłę w głowie Memnona. Pochylił się. Jego oczy - teraz czyste i rozjarzone - wpiły się w twarz Chafra.

- Jak się to stało i kiedy? Mów wszystko!

Chafr opowiedział, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu - od usiłowań perfidnego Tennesa po karzące Sydończyków za udział w buncie intrygi Mentora.

- Dorosłych i starców płci męskiej wycięto, kobiety i dzieci poszły w niewolę. Mentor prosił o wyrozumiałość, ale gniew króla był nieubłagany. Ochos kazał zniszczyć miasto. To przykład dla innych miast Fenicji... poprzecie Egipt i czeka was los Sydonu. Strach jest skutecznym narzędziem.

Memnon siedział bez słowa; tylko kiwał głową, wspominając jasne dziedzińce pełne palm daktylowych i aromatu róż, wdzięczny śmiech skośnookich niewiast. Otrząsnął się. Chafr, nie przejmując się niczym, przeszedł do wyliczania wojsk zebranych przeciwko faraonowi. Malując słowami jak egipski Herodot, z namaszczeniem opisał zaciągi satrapów wielkiego króla - od tańczącej konnicy z Lidii i Jonii przez odzianych w białe szaty łuczników z Syrii i bezlitosnych włóczników z Cylicji do dziesięciu tysięcy greckich hoplitów ściągniętych z Teb, Argos i wybrzeży Azji.

- Król podzielił armię na trzy części - rzekł - każdej przydając perskiego komendanta i greckiego dowódcę. Lakrates i jego Tebańczycy służą obok Spitrydatesa, satrapy Jonii i Lidii. Nikostratos z Argos rozkazuje wraz ze szlachetnym Arystazanesem, który stoi po prawicy króla. Mentor i jego perski odpowiednik, Bagoas, eunuch i szelma, który dochrapał się wysokiego urzędu, otrzymali hoplitów z greckiej Jonii i wybrzeży Morza Egejskiego. Ochos osobiście dowodził z tyłu.

Sam opis kampanii zajął Chafrowi niewiele czasu. Memnon kolejny raz uświadomił sobie, że Mentor mimo szorstkiego zachowania i prostackiego wyglądu jest geniuszem. Nie tylko

zdołał doprowadzić do bezkrwawego poddania się rodzinnego miasta Chafra, Bubastis, ale także kilkunastu innych. Szybko dokończył oblężenie Peluzjum i zdobył część rzecznej floty faraona. Jednocześnie sprzymierzył się z Bagoasem, z którym przeprowadził kampanię intryg przeciwko innym komendantom, zarówno Grekom, jak i Persom. Ten duet z bezlitosnym sprytem obnażył błędy rywali, przy okazji podnosząc własne triumfy, wszystko, aby wzmocnić swoją pozycję w oczach króla.

- Zeusie Zbawco - powiedział Memnon, potrząsając wbrew woli z uznaniem głową. - Mój brat staje się drapieżnikiem, jakiego świat nie widział, greckim dowódcą o umyśle perskiego arystokraty.

- Ta dychotomia dobrze mu się przysłużyła. Wybaczenie, które objęło ciebie i Artabazosa, to tylko najmniejsza część nagrody Mentora.

Memnon wstał, zataczając się nieco, i wbił się w najlepszy chiton, jaki zdołał znaleźć.

- A więc otrzymał ziemię?

- Można by tak rzec. - Egipcjanin przerwał i chwilę się zastanawiał.

- To trudna rzecz do opisanego, ale spróbuję. Jego Królewska Mość podzielił królestwo na dwoje. Jako że Ochos jest czczony jako król królów, każdy z jego wyniesionych na urząd zastępców będzie posiadał tytuł satrapy satrapów. Ci, co już dysponują władzą, będą im podlegali, tak jak oni są podporządkowani królowi. Przeznaczeniem Bagoasa będzie administrowanie wschodu, podczas gdy Mentor rządzi na zachodzie, z Sardes. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, to twój brat piastuje teraz urząd, którego nie objął żaden obcokrajowiec w długiej historii Persji.

Memnon zachował nieprzenikniony wyraz twarzy. W końcu spytał:

- A gdy przekazałeś te wieści Artabazosowi, jak zareagował?

- W zrozumiałym sposób - powiedział Chafr - płakał. Filip już dał mu swoje błogosławieństwo i życzył powodzenia w nowym życiu. Pozostało tylko sprowadzić do ojczyzny ciebie i Farnabazosa.

Rodyjczyk powoli pokręcił głową.

- I tak koło znów się obróciło - mruknął. Jednak mimo iż jego brat stał się jednym z najpotężniejszych ludzi zachodu, nie zawróciło mu to w głowie, wiedział, że musi się skupić na najbliższych problemach: znalezieniu Farnabazosa i zabezpieczeniu powrotu do Pelli. Dopiero wtedy będzie mógł...

- Mam jeszcze jedną wiadomość - rzekł Chafr, wytrącając go z zamyślenia. Z szerokiego pasa spódniczki wyjął portfel z miękkiej skóry. Wręczył go Memnonowi. - Od wielmożnej Barsine.

Maska opanowania i pewności siebie Memnona pękła. Rysy twarzy się wygładziły, przebiegłe rachuby przysły. Spojrzał na portfel z dziwną mieszanką ciekawości i strachu.

- Czy ma się dobrze?

- Tak, chociaż i ona, kiedy przekazałem jej wieści, się rozplakała. Później przyszła do mnie i prosiła, abym ci to dostarczył. Nie weźmiesz?

Memnon odebrał przedmiot; długo się weń wpatrywał. W końcu drżącymi palcami rozwiązał rzemyk i rozłożył portfel. Ujrzał złożony list.

- Czy to ma jakiś związek z jej bliskim ślubem? - spytał Chafr.

Rodyjczyk zamrugał i podniósł wzrok.

- Mogę cię o coś prosić, Chafrze? - rzekł. - Nie poszukałbyś Farnabazosa? Najpierw zajrzyj na wybieg z końmi. Popytaj się na zewnątrz, a jeśli trafisz na młodego Greka, Kallinosa, on zaprowadzi cię, gdzie trzeba.

Chafr zacisnął wargi i skinął głową.

- Jak sobie życzysz - powiedział i bez słowa wyszedł z namiotu, pochylając głowę.
Memnon odetchnął głęboko. Podeszedł do światła, wyjął z portfela list i rozłożył go z przesadną ostrożnością. Litery na delikatną skórę niewątpliwie naniósł Barsine, jej pismo było równie wdzięczne jak trzymająca trzcinę dłoń.

Minęły dwa lata, od kiedy moje oczy po raz ostatni widziały Ciebie, odkąd moje uszy rozkoszowały się kojącym brzmieniem Twojego głosu, i nie było dnia, abym nie myślała o Tobie i nie tęskniła za Tobą. Wieści o Twoich czynach dotarły tu do nas, do Pelli, i radowaliśmy się Twoim powodzeniem. Z każdym raportem do ojca wzbierała we mnie nadzieja, że może dostanę od Ciebie list, kilka słów – jakiś dowód przebaczenia za udział w czynie, który cię odpedził. Czy przepaść między nami jest zbyt głęboka na wybaczenie? Z całej siły modłę się, aby tak nie było. Gdybym wtedy wiedziała, że za jeden gest przyjdzie mi zapłacić Twoją przyjaźnią i rozkoszą Twojego towarzystwa, powstrzymałabym dłoń i uciekła w noc.

Niebarwem przyjdzie mi udać się do małżeńskiego łoża. Podejmę obowiązki każdej postusznej córki, zamieniając wolność młodości na kajdany haremu. Godzę się z tym, taki mój los, chociaż nie przyjmuję go chętnie. Serce nie służy, Memmonie! Kocham Twojego brata jako mojego wuja, nie jak kobieta kocha mężczyznę, nie jak Penelopa kochała Odyseusza. Nie wiem, czym obraziłam bogów, ale jakiegokolwiek by to były zbrodnie, przeklęty mnie po dwakroć, gdyż nie mogę kochać mężczyzny, którego mam poślubić, ani nie mogę poślubić mężczyzny, którego kocham.

Czas ucieka. Wracaj do nas szybko, drogi Memmonie. Wróc do mnie, abyśmy mogli po raz ostatni przejść się pod wierzbami i postuchać śpiewu cykad lub pogrążyć się w rozważaniach na temat zalet Homerowych dzieci. Pamięć choćby godziny spędzonej tym sposobem w Twoim towarzystwie będzie mi balsamem duszy na przyszłe lata.

Uważaj na siebie i niech bogowie Cię błogostawią i strzegą.

- Wini siebie - szepnął Memnon - kiedy wina leży po mojej stronie. Ale ze mnie po trzykroć przeklęty dureń!

Schował list do portfela i już trzeźwym wzrokiem rozejrzał się po zabałaganionym namiocie. Tracja, armia, kampania - wszystko przestało go obchodzić. Im szybciej miał się znaleźć na drodze do Pelli, tym lepiej. Będziemy musieli podróżować bez bagaży, uznał, przebiegając w myślach rozwiązania i przeszkody, które się z nimi wiązały. Szybkie działanie narzucało szybkie przygotowania...

Godzinę później, gdy Chafr wrócił z Farnabazosem, od razu zauważył zmianę. Wykąpany, świeżo uczesany Memnon miał na sobie chiton barwy wyblakłego błękitu i lniany kirys, na nogach nagolenniki z brązu wykończone podobiznami straszliwego oblicza Medei. Siedział na skrzyni z cyprysowego drewna, trzymając woskową tabliczkę; przerwał pisanie i spojrzał na siostrzeńca.

- Dobrze, że jesteś.

- Co się dzieje, wuju? - spytał nachmurzony Farnabazos. Strumyczki potu na jego twarzy pobruździły kurz, który przyniósł z placu ćwiczeń. - Chafr mówi, że masz bardzo ważne wieści.

- Myślałem, że najlepiej będzie, jak usłyszysz je od ciebie - oznajmił Egipcjanin.

Memnon skinął głową.

- Jedziemy do domu, Farnabazosie. Weź tylko te osobiste drobiazgi, bez których nie możesz się obejść. Kiedy będziesz gotów, zabierz Chafra i znajdź parę koni. Za godzinę macie być na drodze do Ajnos.

- Memnonie, to wariactwo! Jechać do domu? Nie możemy! Ta kampania dopiero się rozwija! Jeśli to z powodu twojej kłótni z Parmenionem, to przełknij dumę, wuju, i zrób, jak ci mówię!

- Jedziemy do domu - powiedział Memnon - bo Mentor nas wzywa. Jego plan się powiódł. Twój ojciec nie jest już wygnańcem.

Farnabazos osłupiał. Spojrzał na Chafra i Egipcjanin się uśmiechnął, klepiąc go uspokajająco po ramieniu.

- Wuju...

Memnon uniósł dłoń, przerywając siostrzeńcowi.

- Nie powiedziałaś niczego, za co należałoby przeproszać, Farnabazosie, ale twój pośpiech i współpraca to inna sprawa. Pakuj się szybko, weź dwójkę koni i tyle prowiantu, żeby wystarczyło na kilka dni. Kiedy dotrzecie do Ajnos, znajdź statek i zapewnij nam bezpieczną podróż do Pelli. Zrozumiano?

Młody Pers uderzył pięścią w napierśnik.

- Wszystko, czego potrzebuję, mam tu, ale co z tobą, wuju? Nie wybierasz się z nami?

- Będę następował wam na pięty - powiedział Memnon. Z trzaskiem zamknął tabliczkę i wstał. - Ale wprawdzie muszę załatwić sprawę z Parmenionem.



W macedońskim obozie wrzało jak w ulu, gdy następnego poranka żołnierze szykowali się do marszu. Ostatnie wozy z prowiantem przybyły z Ajnos i kwatermistrzowie organizowali brygady rozdzielające ostatnie racje - jęczmień i oliwę, wędzone mięso i sery, suszone figi, cebulę i czosnek. Armii nie towarzyszyły ciury obozowe ani niewolnicy, każdy żołnierz był

odpowiedzialny za transport swojego oporządzenia i część własności oddziału. Poza bronią, pancerzem i rzeczami osobistymi żołnierz dźwigał dodatkowe sarisy, namiot, sprzęt kuchenny i wszystkie rzeczy niezbędne dziesięcioosobowej drużynie. Te kilka wozów, na które Filip zezwolił wojsku, służyło kwatermistrzom, skrybom, chirurgom i kowalom.

Stworzona przez Filipa i wyszkolona przez Parmeniona macedońska armia pędziła przed siebie z wyjątkową, zabójczą skutecznością, jakiej do tej pory świat nie widział. Błyskawicznie pokonywała dalekie dystanse, a poszczególne oddziały były wyćwiczone do wspólnej walki w każdych warunkach i o każdej porze roku. Kiedy Memnon jechał przez środek tego obozu drapieżców, szukając Parmeniona, zapisywał w pamięci każdy szczegół.

Chociaż wódz nie przebywał w namiocie, Rodyjczyk znalazł go bez kłopotu. Wystarczyło tylko podążyć za strumieniem adiutantów i gońców. Parmenion stał na brzegu rzeki, otoczony ciasnym kręgiem dowódców. Obserwował ćwiczenia kawalerii z Pajonii, odbywające się po przeciwnej stronie nurtu. Jeźdźcy wzniesli pióropusze kurzu, markując odwrót tylko po to, aby nagle zawrócić i przyjąwszy szyk klinowy, przeprowadzić błyskawiczną szarżę.

- Wciąż nierówno, Polemokratesie - usłyszał słowa Parmeniona Memnon, gdy zsiadał z konia. - Daj znak, niech powtórzą. - Kiedy Polemokrates się oddalił, wódz dostrzegł Memnona. - Na Gromowładnego! Oto twarz, której dzisiaj się nie spodziewałem! Rodyjczyk! Czy to prawda, że przez noc mocowałeś się z Dionizosem?

Dowódcy zarechotali.

Memnon się uśmiechnął.

- Czy się mocowałem? Nie. To był raczej boks, ale przegrałem i pamiętam tylko niektóre ciosy boga wina. - Parmenion uśmiechnął się szeroko. Memnon jednak zaraz spoważniał. - Chciałbym z tobą porozmawiać, wodzu. W cztery oczy.

Parmenion wskazał, żeby odeszli kilka kroków. Kiedy tylko opuścili krąg dowódców, porzucił żartobliwy ton. Przemówił pierwszy, basowym warkotem:

- Memnonie, nie zmieniłem zdania. Darzę cię wyrozumiałością, bo jesteś dobrym dowódcą, ale nie będę tolerował dalszych impertynencji.

- Ostatnia noc idzie w niepamięć - odparł Memnon. - Pamiętasz posłańca, który przybył z Pelli, Egipcjanina? Przyniósł wieści od mojego brata Artabazosowi, a ten przekazał je mnie. Koniec naszego wygnania. Znów jesteśmy wolni. Farnabazos i ja z błogosławieństwem Filipa zostaliśmy wezwani do ojczyzny. Mamy podjąć nasze rodzinne obowiązki.

- Wezwanie? - Parmenion się nachmurzył. - Wojsko rusza o świcie.

- Wyruszy pomniejszone o dwóch żołnierzy, gdyż mój siostrzeniec i ja będziemy na drodze do Ajnos, a stamtąd do Pelli, zanim ten dzień się skończy. Przekaż dowodzenie moim oddziałem Berisadesowi. To dobry żołnierz, nawet jak na Traka, i żołnierze go szanują. - Spojrzał na Parmeniona, wyczekując reakcji.

Krew nabiegła do twarzy wodza i nadała jej barwę dojrzałego granatu. Zacisnął dłonie w pięści; kłykcie mu zbieleły i zatrzęszczały. Minęła chwila, zanim odzyskał głos.

- Berisades, co? Wcześniej wyrwę sobie serce, zanim mianuję Traka dowódcą jednego z moich oddziałów! Nie, twoi żołnierze dostaną tego, kogo powinni mieć od początku, zacnego macedońskiego dowódcę... i niech szlag trafi ich szacunek! - Mówił tak głośno, że inni dowódcy się odwrócili i patrzyli.

Memnon się zjeżył.

- Rozumiem twój gniew wobec mnie. Czuję to samo, gdyby nasze role były zamienione, ale nie kieruj go przeciwko moim żołnierzom!

- Nie masz żadnych żołnierzy - rzekł Parmenion. Wezwał adiutanta pilnującego Memnonowego konia. - I to nie gniew mnie trawi, lecz gorzki zawód. Uważałem cię za

człowieka honoru, Memnonie, człowieka, który rzecz raz rozpoczętą doprowadza do końca. Teraz widzę swój błąd. Masz moje pozwolenie na odejście! Jedź! Wracaj co koń wyskoczy do swoich perskich panów!

Memnon potrząsnął głową, gdy odebrał wodze. Płynnym skokiem dosiadł konia i uspokoił rżące i tańczące zwierzę.

- Twoje pozwolenie? Dajesz mi coś, o co ani nie prosiłem, ani czego nie potrzebowalem, chyba że w swoim mniemaniu przewyższasz mojego gospodarza, twojego króla!

Parmenion przeszył go jadowym spojrzeniem.

- Wynoś się z mojego obozu, Rodyjczyku, zanim stracę cierpliwość!

- Wspomnij moją radę, wodzu - powiedział Memnon. - Pospiesz się! Znasz zwyczaję Kersobleptesa? Powiedziałbym, że również on zna twoje. Działaj przeciwnie do tego, czego się spodziewa...

- Jedź! - ryknął Parmenion, bryzgając śliną. Gdy ruszył przed siebie, ręka opadła mu do miecza. - Wynoś się z mojego obozu, sukinsynu albo... Zeus mi świadkiem...! wytnę ci jaja i rzucę psom!

Memnon zacisnął usta.

- Niech ci będzie, stary głupcze, ale to nie musiało się tak skończyć! Zapamiętaj to!

Rodyjczyk pogardliwie parsknął, spiął konia i popędził go do galopu, roztrącając dowódców, którzy patrzyli za nim zdziwieni.

Rozdział czternasty

Statek, który wiozł ich z Ajnos do Pelli, nazywał się *Eurydike*. Jego dowódca, z Keos, był surowym, ponurym i chyba najlepszym żeglarzem, jakiego Memnon kiedykolwiek napotkał. Prowadzenia statków po głębokich toniach nauczył się od fenickiego kapitana. Dzięki temu mogli ominąć od północy Samotrakę i popłynęli prosto na Morze Egejskie, ku przylądkom Półwyspu Chalcydyckiego. Szerokim łukiem ominęli wybrzeże góry Atos i tydzień po wyruszeniu z Ajnos okrążyli Pallene. W końcu *Eurydike* wpłynęła na Zatokę Macedońską, rozcinając spienione fale, wprawnie prowadzona przez kapitana Laertes do jeziora Loudias.

- Niecałe dwa tygodnie - powiedział Memnon, widząc stojącą w oddali na szczycie wyspy Fakos fortecę. - Zasłużyłeś z naddatkiem na swoją zapłatę, kapitanie.

Laertes wzruszył ramionami.

- Taka była wola Posejdona.

- Dokąd wybierasz się z Pelli?

Kapitan znów wzruszył ramionami. To był jego najbardziej dramatyczny gest. Ożywał tylko, stojąc u steru, gdy wiatr rozwiewał mu siwe włosy i ciskał słony pył w niebieskie oczy. Wtedy przypominał kapitana legendarnego *Argos*, gdy ten podążał ku Kolchidzie po złote runo i nieśmiertelność.

- Może do Aten - odparł. - A potem na Keos, do domu.

- Potroję zapłatę - zaproponował Memnon - jeśli zaczekasz na mnie w Pelli, dopóki moja rodzina nie przygotowuje się do wyjazdu. Potem zawieziesz nas bezpiecznie do Efezu.

Efez był portem najbliższym Sardes, chociaż od stolicy Lidii dzieliły go jeszcze trzy dni podróży lądem. Laertes pogładził brodę, mrużąc z zastanowieniem oczy.

- Nie przepadam za czekaniem...

- Poczwórna zapłata.

Na to twarz syna Keos się rozjaśniła. Pokazał w uśmiechu drobne białe zęby i wyciągnął do Memnona poblížnioną prawicę.

- Załatwione!

- Załatwione! - powtórzył Rodyjczyk, ściskając wysuniętą dłoń.

Kapitan ledwo skinął głową i wrócił na swoje miejsce przy sterze, podczas gdy Memnon przeszedł na dziób, dołączając do Farnabazosa i Chafra.

- Nająłem go na dalszą część przeprawy.

- Ojciec z pewnością będzie ci wdzięczny - powiedział młody Pers. - Zastanawiam się, czy teraz, kiedy wszystko zostało nam przebaczone, Daskylejon wróci do naszej rodziny?

Memnon nie odpowiedział. Chafra odetchnął głęboko, marszcząc brwi.

- Wątpię - rzekł. - Dawna satrapia twojego ojca należy teraz do jednego z dworzaków króla królów, niejakiego Arystesa. Nie wyobrażam sobie, by Ochros pozbawił go urzędu na rzecz Artabazosa.

- Daskylejon bez satrapy Farnakidy. - Farnabazos pokręcił głową. - To nieomalże nie do zniesienia. Może Mentor mógłby...

- Cierpliwości, siostrzeńcze - osadził go Memnon. - Pozwól Mentorowi okrzepnąć na nowym stanowisku, zanim zaczniesz mu sprawiać kłopoty.

Farnabazos spojrzął na Memnona, w oczach zapłonął mu żar. Otworzył usta i szykował się odpowiedzieć podobnym tonem, ale powstrzymała go lekka dłoń, która spoczęła na jego ramieniu. Odwrócił się do Chafra; Egipcjanin prawie niedostrzegalnie potrząsnął głową, gestem

mówiącym: „daj spokój”. Farnabazos rozdał nozdrza, ale usłuchał rady. Podczas ostatnich mil żeglugi wszyscy trzej zachowali milczenie.

Zanim *Eurydike* dobiła do brzegu, słońce sięgnęło zenitu. Było późne popołudnie, gdy trójka podróżnych minęła bramę posiadłości Artabazosa. Na pierwszy rzut oka nie było widać, aby mieszkańcy szykowali się do opuszczenia domu. Wszystko wydawało się na swoim miejscu. Wietrzyk szeptał w gałęziach brzoź, a powietrze było ciężkie od woni świeżo skoszonej trawy i muzyki oswojonych ptaków.

Memnon wydłużył krok. Gdy zbliżył się do domu, dostrzegł, że główne drzwi są uchylone. Za nimi był krótki korytarz i dziedziniec. Z niego dobiegał delikatny kobiecy głos. Towarzyszyło mu łkanie.

- Co się dzieje? - mruknął Farnabazos.

- Dejdamio...? - zawołał Memnon, otwierając drzwi na oścież. - Barsine...?

Wszedł na osłoneczniony dziedziniec. Skrzynie i toboły, rzeczy zgromadzone w ciągu dziesięciu lat wygnania stały przy kolumnach perystylu, czekając na tragarzy, którzy niebawem mieli je zanieść do portu. W głębi, na kamiennej ławce, siedziały Dejdamia i Barsine. Splotły razem dłonie. W pierwszym odruchu Memnon sądził, że siostra uspokaja młodszą kobietę, przerażoną wizją małżeństwa, ale to Dejdamia siedziała z głową pochyloną jak do modlitwy, podczas gdy Barsine starała się ją pocieszyć, gładząc po włosach. Uniosła spojrzenie. Dojrzała Memnona i zdziwienie rozszerzyło jej powieki; pochyliła się ku Dejdamii i szepnęła jej coś do ucha.

Siostra Memnona się wyprostowała. Z trudem rozpoznał znajomą twarz. Czerwone, spuchnięte powieki mrugały; usta drżały, gdy połą szaty ocierała z łez policzki. Nigdy nie widział jej tak załamanej. Czy coś się wydarzyło Artabazosowi? Z bijącym sercem podszedł do niej i ukląkł.

- Co się stało? - spytał.

Ale nawet wysiłek, jakiego potrzebowała, aby unieść głowę, wyczerpał ją całkowicie.

Wstrząsana łkaniem padła bratu w ramiona.

- O co chodzi? Dejdamio?

Odpowiedziała Barsine.

- O Kofena. Uciekł.

- Zeusie Zbawco. - Memnon odetchnął z ulgą i objął siostrę. - I to wszystko? Powiedz mi, gdzie lubi się włóczyć, i sam go przyprowadzę.

- Najpewniej pojechał do Miedzy - powiedziała Barsine.

Farnabazos położył jej dłoń na ramieniu. Uśmiechnęła się i uściśnęła mu rękę.

- Do Miedzy? - Memnon znał to miasto, sanktuarium nimf na pogórzcu, na zachód od Pełli. - Dlaczego tam?

- Żeby się pożegnać z Aleksandrem. Król sprowadził filozofa, dawnego ucznia Platona. Ma nauczać księcia i jego orszak. Filip umieścił ich w Miedzy. Przed natrętami chroni ich miejscowy garnizon. Bez pozwolenia króla lub królowej...

- Zabiją go - powiedziała Dejdamia, odzyskując głos. Zacisnęła ramiona na szyi Memnona i syknęła mu do ucha: - Proszę, bracie! Znajdź go! Nie dopuść, żeby ci Macedończycy zamordowali mojego pierworodnego!

Memnon spojrzał na Barsine i spytał:

- Gdzie Artabazos?

- Poszedł do pałacu, po przepustkę od Antypatra. Gryllos jest w stajniach, siodła mu konia, a Ajanta na piętrze w domu, z dziećmi.

Memnon wstał, łagodnie unosząc Dejdamię. Skinął na Chafra.

- Możesz ją zaprowadzić do łóżka? Znajdź jej coś na sen - rozkazał. Egipcjanin skinął głową. Memnon uwolnił się z uścisku siostry. - Już dobrze. Idź z Chafrem.

- Pójdź, droga pani. Przenieśmy się z tego skwaru.

Chafr wziął ją za rękę i powoli udali się w chłodne zacisze willi. Mentor odprowadził zatroskanym wzrokiem siostrę.

- Za bardzo się tym przejmuję - rzekł.

Farnabazos myślał podobnie.

- Patrząc na nią, pomyślałbyś, że Kofen już nie żyje. Po prostu chciał zakosztować przygody, wolności, jak każdy chłopak w jego wieku. Ale kiedy wróci, pożałuje, że macedońskie straże go nie zatrzymały.

- Te ostatnie dwa lata były dla niej ciężkie - zauważyła Barsine. - Gorączka połogowa zabrała jej dwoje noworodków, chłopca i dziewczynkę. Dmucha i chucha na resztę, codziennie składa ofiary Apollovi Uzdrowicielowi i matce Herze, żeby otaczali je opieką. Czuje się opuszczona przez bogów.

- W takim razie udowodnijmy jej, że jest inaczej - rzekł Memnon. - Farnabazosie, jesteś mi potrzebny do nadzoru załadunku, gdy mnie nie będzie. Zbierz ludzi z portu, marynarzy Laertesa, kogo tylko znajdziesz.

- Dopilnuję tego, wuju.

Memnon z powrotem skupił uwagę na Barsine. Nosila dopasowany chiton z jasnoblękitnego lnu. Długie włosy zaczesala w tył i chwycila srebrnymi spinkami; kilka niesfornych loków opadało na chmurne oczy.

- To byłoby szczęście w nieszczęściu, gdyby Kofen uciekł pieszo.

Potrząsnęła głową.

- Brakuje konia. Ale nie chce mi się wierzyć, żeby planował długi wypad. Z kuchni zniknęło tylko kilka jabłek i kawałek chleba. Myślisz, że znajdziesz go przed zapadnięciem nocy?

- Nie sędzę, ma zbyt wielką przewagę. Ale podejrzewam, że zatrzyma się na noc. Wtedy wyrównam stracony czas. Powinienem go dopaść przed świtem i doprowadzić do domu przed południem.

Barsine obejrzała się przez ramię. Farnabazos oddalił się już na tyle, że nie mógł słyszeć ich rozmowy. Sprawdzał stan pakunków. Luźny sznur, nieszczelna pokrywa mogły zachęcić do kradzieży. Barsine zniżyła głos.

- Czy mogę cię prosić o przysługę?

- Oczywiście - rzekł Memnon.

- Czy mógłbyś go zabrać do Miedzy? Strasznie chciałby się pożegnać z Aleksandrem. Wprost go uwielbia. Jako... jako gość i przyjaciel Aleksandra czuje się zobowiązany postępować równie honorowo jak ojciec względem Filipa. To pożegnanie ma dla niego ogromne znaczenie, Memnonie.

Rodyczyk podrapał się po zarośniętym podbródku.

- Do Miedzy? To znacznie opóźni nasz odjazd... - Urwał. Lekko się uśmiechnął. - Zabiorę go, ale tylko dlatego że ty mnie o to prosisz.

- Dziękuję - powiedziała Barsine, również się uśmiechając.

Rodyczyk już miał się odwrócić, ale jeszcze przystanął.

- Mam nadzieję - zaczął cichym, spokojnym głosem - że któregoś dnia mi przebaczysz.

- Co?

Memnon zmarszczył czoło, opuszczając oczy na kamyczkową mozaikę.

- To, że wyjechałem. Dopóki Chafr nie dostarczył mi twego listu, nie zdawałem sobie

sprawy, jak bardzo zranił cię mój wyjazd. Należało do ciebie napisać, wytłumaczyć moją decyzję, powiadomić, że nie powinnaś czuć się winna... tyle razy przychodziło mi to do głowy, ale nie mogłem znaleźć odwagi.

Łzy wezbrały w kącikach oczu Barsine. Ujęła jego dłoń.

- Nie zrobiłaś niczego, co wymagałoby mojego przebaczenia, Memnonie. Każdego z nas wiąże inny los. A przekonałam się, że bez względu na to, ile bym wygrażała niebiosom, ile bym je przeklinała, losu nic nie zmieni. Muszę się pogodzić z koniecznością. Ale obiecaj mi jedno... obiecaj, że będziesz mnie odwiedzał, żebyśmy mogli usiąść i porozmawiać albo razem poczytać o czynach Odyseusza i jego uroczej Penelopy.

Memnon poczuł ucisk w gardle. Skinął głową.

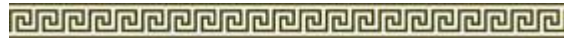
- Obiecuję.

Barsine uśmiechnęła się przez łzy, uśmiechem tak jasnym jak przebijający chmury promień światła.

- Dobrze. Chodź, będziesz musiał coś zjeść podczas wyprawy do Miedzy, mój niesforny brat też.

Odwróciła się i przeprowadziła go przez pokoje do kuchni.

Zapomniany na dziedzińcu Farnabazos uśmiechnął się do siebie i otarł kroplę potu, która pewnie spłynęła mu do oczu.



Droga do Miedzy wyglądała jak świeża rana na zakurzonych zielonych polach równiny Ematia. Dosiadający Eufrozyne Memnon kierował się prosto na zachód, tam, gdzie zachodzące słońce rozpałało ogniska na szczytach góry Bermios. Zanurzył się między gaje dębowe i sosnowe, rozbryzgiwał wody strumieni i omijał splecione krzewy dzikich róż.

Jadąc krótkim galopem, dzielił uwagę między drogę przed sobą i szlak w dole, niewiele lepszy niż poryty koleinami trakt dla wolicz zaprzęgów. Wyteżał oczy w zapadającym zmierzchu, szukając najmniejszych śladów przejazdu Kofena. Jakiś koń rasy niseańskiej pokonał tę drogę tego samego dnia. W wilgotnym piasku na brzegu strumienia, niecałą milę wcześniej, Memnon dostrzegł odcisk kopyta niespotykanego wśród koni północy. Zakładał, że chłopiec zatrzyma się na noc, ale jeśli tego nie zrobi, co wtedy? Jadąc nieprzerwanie, dotarłby do Miedzy na długo przed świtaniem. Czy uprosiłby warty, żeby go przepuścili? Przecież żołnierze musieli widzieć go wiele razy w towarzystwie Aleksandra, na tyle często, by wiedzieć, że nie przedstawia zagrożenia...

Nie, tego rodzaju założenie było zbyt ryzykowne.

Przyłożył dłoń do piersi, upewniając się, że nie zgubił grubego skórzanego portfela, który schował pod lnianym kirysem. Miał w nim przepustkę zapewniającą bezpieczny wjazd do Miedzy i wyjazd z miasta - potrójnie złożoną kartę ciężkiego pergaminu, zapisaną przez regenta Filipa, Antypatra, i noszącą woskowy odcisk królewskiej pieczęci Macedonii. Artabazos wręczył mu ją z oporami.

- Chłopiec to moje zmartwienie, Memnonie - rzekł satrapa. Niepokój pofałdował mu czoło. - Powinieneś zostać i zaopiekować się siostrą.

- Chafr się nią opiekuj. Tylko bym przeszkadzał. Poza tym, Artabazosie, przez ostatnie dwa tygodnie spędzone na statku czułem się jak więzień. Muszę się wyrwać z miasta, rozruszać.

Nie musiał dodawać, bo obaj wiedzieli to bez słów, że gdyby doszło do bitki, Kofen mógł bardziej liczyć na wuja niż na ojca, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat posługiwał się tylko myśliwską włócznią. W końcu Artabazos ustąpił; lzy zalśniły mu w oczach, gdy uściskał Rodyjczyka.

- Przyrowadź go całego, Memnonie. Przez wzgląd na Dejdamię.

Eufrozyne zarżała, gdy Memnon ściągnął wodze. Pochylił się i wlepił wzrok w drogę. Mimo mroku dostrzegł ślad większej grupy jezdnych, zmiażdżoną trawę, poruszoną ziemię. Biegł z północy. Te nowe ślady zatarły wątlejsze znaki pozostawione przez Kofenowego konia. Memnon nie potrafił dokładnie ocenić liczebności grupy, nie wiedział, jaki może być jej cel, ale uznał, że liczyła nie więcej niż sześć koni. Mogli to być myśliwi lub żołnierski patrol, ślady kopyt nie zdradzały niczego konkretnego. Wiadomy był jedynie kierunek jazdy. I oni kierowali się do Miedzy. Nie oszczędzali koni.

- Zeusie Zbawco - powiedział półgłosem. - Spraw, żeby to byli myśliwi.

Jechał dalej. Księżyc w trzeciej kwarcie dźwignął się ponad drzewa, zabarwiając srebrnym blaskiem nocny świat. Lekka sperlona mgła uniosła się znad pól i napłynęła nad drogę. Świerszcze śpiewały w trawie.

Blisko północy Memnon zatrzymał się na szczycie wzniesienia, zaskoczony pomarańczowym blaskiem ogniska. Padało z kępy wierzb w zagłębieniu poniżej, ledwo widoczne z drogi. Ale czy był to Ko-fen, czy też inny podróżny? Ostrożnie zjechał na dół, zataczając koło. Doprowadził Eufrozyne tak blisko, że usłyszał brzęk broni i odgłosy rozmowy. Żołnierze, pomyślał. Policzył sylwetki i głosy i wyszło mu, że jest pięciu kawalerzystów. Konie przywiązano do rozciągniętej między dwoma drzewami liny. Jednak zwierząt było sześć. Dopiero gdy wyteżył wzrok, rozpoznał jeszcze jednego wierzchowca. Był wyższy od pozostałych i czarny jak otaczająca go noc.

Memnon zeszywniał. To był niseańczyk!

- Mówię ci - rozległ się głos jednego z jezdnych. Mężczyzna wskazał na wierzchowce. - Poznają tego konia. W tych stronach są tylko trzy i wszystkie należą do tego Persa.

- Co ty na to, chłopcze? - Przysadzisty Macedończyk z ogniście rudą brodą trącił nogą postać na ziemi.

Memnon odetchnął z ulgą. Kofen, patykowaty piętnastolatek w podartym chitonie i z rękami związanymi za plecami, leżał na boku. Od-szczeknął coś kawalerzyście. Jego oczy wyrażały więcej złości niż lęku. Rodyjczyk poczuł przyływ dumy.

- Ten Pers to mój ojciec! Koń jest jego!

- Ojciec? Ty kłamliwy szczeniaku! Raczej ukradłeś go Persowi! No nie? Ha! A wściekaj się, ile chcesz! Za kradzież koni i przejazd bez królewskiego pozwolenia ta sama kara! Sznur!

- Wcześniej trochę zabawy, co, Kojnos? - spytał jeden z pozostałych, łapiąc się za krocze i krztusząc ze śmiechu. - Ładniejszy niż nowy królewski chłoptaş ten mały.

Memnon już dość się napatrzył.

- Chwała Zeusowi! - krzyknął mocnym głosem, kierując Eufrozyne między drzewami. Wpadł na polanę - Znaleźliście go!

Kawalerzyści zerwali się na nogi; żelazo zabłyśło i zazgrzytało, gdy dobyli mieczy i chwycili oszczepy.

- Wujek! - krzyknął Kofen, rzucając się przed siebie. Powstałby, gdyby nie przytknięty do brzucha sztych miecza. Znieruchomiał.

- Jeszcze go nie zabijajcie, chłopcy - polecił rudobrody Kojnos. Zmrużył oczy, wpatrując się w słabym świetle w Memnona. - Wpierw trzeba się wywieźć, czemu się tu kręci. O co chodzi, przyjacielu?

- Przybywam w pokoju - rzekł Memnon.

Zeskoczył na ziemię, trzymając ręce jak najdalej od rękojeści miecza, i zarzucił na gałąź wierzby wodze Eufrozyne. Z tą samą przesadną ostrożnością wyjął portfel, otworzył go i podał Kojnosowi tak, żeby ten ujrzał pieczęć.

- Jestem gościem króla Filipa. Nazywam się Memnon. Ten to mój siostrzeniec, syn Persa Artabazosa. Jedziemy do Miedzy, złożyć wyrazy szacunku księciu Aleksandrowi.

- Służysz pod Parmenionem. Słyszałem o tobie - potwierdził Kojnos. Rozluźnił się. Kiwnął głową i schował miecz do pochwy. Inni poszli za jego przykładem. - No, to chłopak nie zalewał. Rozciąć mu więzy.

Ale zanim żołnierz zdążył go uwolnić, Kofen się wyślizgnął i podbiegł do Memnona.

- Dzięki bogom! - wykrzyknął piskliwszym niż poprzednio głosem. - Jak dobrze, że jesteś, wuju! Widziałeś? Widziałeś? Te ścierwa ośmieliły się podnieść na mnie rękę! Na mnie! Dowiedz się ich imion, wuju! Chcę, żeby zawiśli!

Memnon się skrzywił. Położył ciężką dłoń na ramieniu siostrzeńca.

- Wykonują obowiązki, które im zlecił Filip. Jak mi się zdaje, zraniona została tylko twoja duma, poza tym nie poniosłeś żadnej krzywdy, więc niech całe to zdarzenie będzie ci nauką. Oto, co się dzieje, gdy ktoś bez pozwolenia wymyka się z domu.

Ale Kofen odtrącił rękę i radę wuja.

- Czy nie jestem potomkiem królów Azji, nie jestem sojusznikiem ich następcy tronu? Zeusie Zbawco i Herkulesie! Wszyscy za to zapłacicie i to słono! Aleksander się o to postara! Uwolnij mnie, wuju! Uwolnij...

Skurcz przebiegł przez twarz Memnona. Chłopiec się darł, żądając sprawiedliwości od bogów i ludzi. Duma, którą starszy mężczyzna poczuł wcześniej na widok godnego oporu, zniknęła, a z nią cierpliwość. Odwrócił Kofena twarzą do Macedończyków i kopnięciem podciął mu nogi. Chłopiec rozłożyłby się na ziemi, gdyby wuj go nie podtrzymał, chwytając za ciemną czuprynę. Zgrzytnął metal. Memnon dobył miecza.

Macedończycy zaczęli kląć. Kojnos bez słowa kazał im się nie ruszać i nie wtrącać.

Kłęczący Kofen pisnął niczym szczenię, gdy Memnon odchylił mu w tył głowę; w oczach pojawiły się łzy paniki i pomieszania, gdy wuj przyłożył mu do gardła miecz.

- Wujku...?

Memnon patrzył na niego bezlitosnym, twardym wzrokiem.

- Skąd to puszenie się, ta haniebna arogancja? Co takiego uczyniłeś, co dawałoby ci prawo rugać starszych, jakby byli twoimi niewolnikami? Czy przewodziłeś żołnierzom w boju? Służyłeś z honorem rodzinie i królowi, przysparzając sobie chwały? Czy też po prostu uważasz, że wszystko ci wolno, bo miałeś szczęście urodzić się Farnakidą, podczas gdy ci dzielni żołnierze nie? Ty jesteś... Kojnos, zgadza się? - Memnon odczekał, aż rudobrody Macedończyk skinie głową. - Powiedz mi, zacny Kojnosie, jaką karę wyznaczył Filip obcokrajowcom, którzy zostali przyłapani na szwendaniu się bez pozwolenie w pobliżu Miedzy?

- Śmierć - rzekł ze spokojem Kojnos.

- Z pewnością król poczynił ustępstwa wobec nadętych młodych durniów, którym domniemane cnoty przodków przesłaniają obraz rzeczywistości i każą pleść, co ślina na język przyniesie?

- Nic mi nie wiadomo o żadnych ustępstwach, panie - odparł Kojnos, zachowując całkowitą powagę. - Wieszamy wszystkich równo.

- Podaj linę.

Kofenowi oczy wylazły z orbit. Chciał coś powiedzieć, ale słowa zamarały mu na ustach, gdy Memnon wzmocnił ucisk ostrza na jego gardle. Kojnos przeniósł spojrzenie z Rodyjczyka na

chłopca i strzelił z palców. Jeden z kawalerzystów pogrzebał w jukach i wyjął długi pleciony rzemień. Rzucił go rudobrodemu Macedończykowi. Ten ostentacyjnie sprawdził wytrzymałość rzemienia.

Kofen wiał się, dosłownie czując miecz na gardle.

- Wuju, błagam!

- Czy mamy okazać ci litość, he? Zdecyduj, chłopcze! Albo jesteś dość męski, aby żądać zemsty na poddanych króla, a przez to dość męski, aby pogodzić się z karą, gdy łamiesz królewskie prawo, albo jesteś tylko nieopierzonym młodzikiem, bardzo potrzebującym połajanki! Więc? Decyduj, Kofenie!

- Błagam, nie rób tego, wujku! Błagam! Ja... ja nie jestem...! - Chłopiec zacisnął powieki; łzy zostawiały wilgotne ścieżki w okrywającym twarz kurzu.

- Kojnosie - powiedział Memnon, odejmując miecz od szyi chłopca - myślę, że jednak ten rzemień nie będzie nam potrzebny.

Macedończyk skinął głową. Sam będąc ojcem, znał przydatność dobrej połajanki.

- A wy na co się gapicie? - rzucił, odwróciwszy się do swoich ludzi. - Wasi wujowie spuszczali wam lepsze manto, zgadza się?! Zbieramy się stąd!

Memnon rozciął więzy Kofena. Wbił nóż w ziemię, ukląkł obok chłopca i objął go ramieniem. Młodzik otworzył oczy i wpatrywał się w nocne niebo. Nie potrafił spojrzeć w dół, ogarnięty strachem, że jeszcze nadzieje się na ostrze. Oddychał urywanie, dusząc się i łkając. Twarz płonęła mu wstydem.

- My-myślałem, że chcesz mnie zabić - powiedział ochryplym głosem.

- Skup się teraz - rozkazał mu Memnon. - Posłuchaj, Kofenie. Twoja krew jest bez zarzutu, zaiste pochodzisz od królów Azji, ale krew to nie jedyna miara męczyzny. Nie świadczą też o nas nasze przyjaźnie, czy to z żebrakami, książętami czy królami. To nasze czyny i słowa czynią nas tym, kim jesteśmy. Nikt nie będzie podważał twojej odwagi i śmiałości. Gdyby ci ich brakło, jak potrafiłbyś ukraść ojcu konia i dotrzeć tak daleko? Ale brak ci pokory. Kiedy twoja próba się nie powiodła, nie potrafiłeś godnie pogodzić się z porażką, za to dołożyłeś do niej próżne groźby pod adresem ludzi niewinnych jakiegokolwiek przewinienia. To, że inni, możni i władczy, zachowują się tak podle, nie oznacza, że masz ich naśladować. Rozumiesz?

Kofen skinął głową.

- Rozumiem... przynajmniej tak mi się wydaje.

- Dobrze - powiedział Memnon. Wstał i pomógł dźwignąć się młodzikowi. - Chodź. Zjedzmy trochę zupy i odpocznijmy. Chcę jutro wcześniej wyruszyć.

- Z powrotem do Pelli? - spytał Kofen.

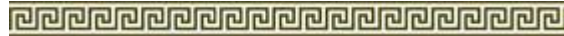
Rezygnacja w jego głosie powiedziała Memnonowi, że oczekuje dalszych kar - z ręki ojca, matki, lecz szczególnie Farnabazosa. Jednak Memnon potrząsnął głową.

- Do Miedzy. Czy nie masz zobowiązań wobec Aleksandra, nie jest twoim przyjacielem?

Chłopiec się rozjaśnił.

- Ale... ale myślałem, że przyjechałeś ściągnąć mnie do domu?

- Aby ci towarzyszyć i zapewnić bezpieczeństwo. Czyny i słowa, Kofenie - powtórzył Memnon. - Jeśli złożyłeś obietnicę przyjaźni, w takim razie odszukanie następcy tronu i pożegnanie go będzie ci zaliczone na plus. - Ruszyli do ogniska. Memnon się uśmiechnął i zmierzwił włosy siostrzeńca. - Ale ta ucieczka dowodzi, że musisz się jeszcze wiele nauczyć. Nie przejmuj się. Kiedy tylko skończysz sprawę z Aleksandrem, twarda dłoń brata będzie na ciebie czekać.



Miedza tuliła się do stóp góry Bermion jak błagający chmurnego dziedzica suplikant. U podnóża góry, nad senną wioską, rozciągała się posiadłość legendarnego króla Midasa, którego dumą były wspaniałe ogrody. Król Filip odnowił ją w darze bogom nauczania. Bielone mury i glazurowane czerwone płytki lśniły między klonami i brzoźami. Rzędy jabłonek, równe jak żołnierze w falandze, ocieniały drogę do głównego budynku. Słudzy i niewolnicy wykonywali poranne zadania. Niektórzy nieśli wodę lub zbierali potrzebne kucharzom jabłka, inni szli na pola doglądać oliwek lub przyciąć pędy winnej latorośli. Młodzi pasterze prowadzili na hale beczące stada.

Uzbrojeni we włócznie strażnicy dwukrotnie zatrzymali Memnona i Kofena - raz w wiosce, raz w pobliżu domu - i żądali przepustki.

- Czy Filip się boi, że ktoś może porwać Aleksandra? - spytał Ko-fen.

Memnon wzruszył ramionami.

- Często ten, który chce ugodzić dorosłego męża, mierzy w jego syna. Myślę, że raczej chodzi o zapewnienie spokoju księciu. Król pragnie, by Aleksander nauczył się wszystkiego, co ten uczeń Platona ma do przekazania, i aby nikt mu w tym nie przeszkadzał. Dlatego też... - Memnon urwał i unosząc brwi, spojrzał na siostrzeńca.

- Dlatego też pożegnaj się krótko i uprzejmie i podziękuj za propozycję pozostania dłużej niż konieczne - wyrecytował Kofen, znudzony powtarzaniem tego samego.

- Dobrze.

Kiedy byli blisko głównego domu, przywitał ich odziany w szafranowy chiton nadzorca. Towarzyszyło mu dwóch trackich stajennych. Memnon i Kofen zsiadli z koni. Sługa, osłaniając oczy, patrzył to na jednego przybysza, to na drugiego.

- Nie jesteście królewskimi kurierami - stwierdził podejrzliwie.

- W samej rzeczy - odparł Memnon. Po raz trzeci przedstawił dokumenty. -

Przybywamy z błogosławieństwem regenta, który przemawia w imieniu króla podczas jego nieobecności. Jestem Memnon, a to mój siostrzeniec, Kofen, syn Artabazosa. Jest gościem i przyjacielem księcia Aleksandra. Przyjechał złożyć wyrazy szacunku. Czy byłbyś tak uprzejmy i wskazał nam drogę do księcia?

Sługa zrobił poważną minę i skinął głową. Dał znak stajennym, że mają się zająć końmi.

- Chodźcie. Aleksander pobiera nauki u mojego pana, Arystotelesa, ale wskażę wam miejsce, w którym możecie na niego poczekać.

Zaprowadził ich na tyły domu. Kolumnowy, wyłożony nieobrobionymi kamieniami portyk zapewniał doskonały widok na zalesiony wschodni stok góry Bermion. Pluskała pokonująca płytki wodospad woda. Ścieżki znikwały pod konarami dębów i jarzębin. Sługa wskazał ławkę i odszedł, zostawiając przybyszów.

- Miły gość - mruknął Memnon.

Kofen usiadł, podczas gdy Rodyjczyk oparł się o kolumnę.

- Ciekaw jestem, czego uczy ten Arystoteles - rzekł młodzik.

- Z pewnością retoryki. Matematyki, literatury, a także filozofii. Pamiętaj, by zapytać o to Aleksandra, kiedy się z nim spotkasz. Niewątpliwie z ochotą oprowadzi cię po posiadłości.

Memnon zauważył jakiś ruch. Z domu naprzeciwko wyszedł mężczyzna i spacerowym krokiem okrążył kwietnik. Ręce założył za plecami i od czasu do czasu zatrzymywał się, przyglądając pąkom. Złote włosy swobodnie opadały mu na ramiona. Nosił długi joński chiton,

zabarwiony na kolor głębokiej czerwieni, gęsto wyszywany na brzegach. Kiedy mężczyzna zawrócił, Memnon odniósł dziwne wrażenie, że go zna, że go wcześniej spotkał. Jego gładka i nie zdradzająca oznak starzenia twarz wydawała się typowa dla eunucha. Rodyjczyk poznał ich wielu, gdy jeszcze służyli Artabazosowi.

Nagle skojarzył. Eunuch z końskiego targu!

- Kto to jest, wuju? - spytał Kofen, idąc za wzrokiem Memnona.
- Nie wiem, chociaż jestem pewien, że już go widziałem.

Było to jeszcze przed wygnaniem do Macedonii, ale nie dopowiedział tego, a Kofen się nie dopytywał. Powstał, gdy z leśnej ścieżki rozległ się gwar wielu głosów. Wyloniła się grupka młodzieńców, prowadzona przez drobnego, nieskazitelnie odzianego mężczyznę w jońskim, jasnopopielatym chitonie. Siwawą brodę miał znakomicie utrefioną. Słońce mrugało na pierścieniach, gdy gestykulował z ożywieniem, rozmawiając z dwoma młodzieńcami, którzy szli przy jego boku. Wyższego, przystojnego bruneta o marzycielskim spojrzeniu Memnon nie znał. Drugim był Aleksander.

- Tak odmienny od ojca - powiedział Memnon, bardziej do siebie niż do siostrzeńca.

Doprawdy, Aleksander był tak bardzo niepodobny do Filipa, że przeciwnicy króla kwestionowali jego ojcostwo. Młodzieniec miał ciemne, iskrzące się oczy matki i gęste jasne włosy, które nosił długie i swobodnie rozpuszczone, by przypominały wszystkim, że ma w żyłach krew Heraklesa.

Było w nim coś niepokojącego. Memnon miał wrażenie, że widzi młodego lwa - wychudłego i głodnego - otoczonego owcami i szykującego się do rzezi.

Z towarzyszy Aleksandra Memnon znał z widzenia tylko trójkę najstarszych młodzieńców, którym ojcowie przyznali już pełną samodzielność. Najstarszy syn Parmeniona, Filotas, szedł obok Ptolemeusza, syna Lagosa (plotka głosiła, że był nieślubnym dzieckiem Filipa). Za nimi podążało pięciu młodzików w wieku Kofena, popychając w żartach szóstego, chłopca ze zdeformowaną stopą, który uśmiechał się i przeklinał równie sprawnie jak stary wiarus. Na końcu tego orszaku kroczył samotnie najstarszy syn Antypatra, Kasander, rudowłosy siedemnastolatek, którego bystre niebieskie oczy biegały między Aleksandrem a jego wysokim towarzyszem, jakby nie mógł się zdecydować, którego bardziej nienawidzi.

Kaleka dostrzegł ich pierwszy.

- Kofen! - zawołał, wyrывая się z orszaku. Powłócząc nogą, pobiegł do portyku.
- Kofen wyszedł mu naprzeciwko i spotkali się w połowie drogi.
- Witaj, Harpalosie!

Pozostali otoczyli Kofena ciasnym kołem. Memnon usłyszał litanię imion: Leonnatos, Erygios, Laomedot, Marsjasz, Nearchos. Ptolemeusz i Filotas trzymali się z boku; Kasander minął ich i usiadł pod portykiem.

- Aleksandrze! Hefajstionie! - zawołał Harpalos. - Patrzcie, kto zdecydował się złożyć nam wizytę!

Książę opuścił swojego wychowawcę i wraz z Hefajstionem przybiegł powitać Kofena. Memnon stał z boku, gdy książę i jego gość wymieniali uprzejmości. Obserwował wychowawcę, Arystotelesa, który z kolei oceniał Kofena, mierząc go wzrokiem od stóp do głów jak niewolnika na targu. Niewątpliwie sofista łatwo rozpoznał perską krew, rysy Kofena wyraźnie zdradzały jego pochodzenie. Grymas obrzydzenia przebiegł po twarzy filozofa; odwrócił się, rzucając krótkie spojrzenie na Memnona. Rodyjczyk wyczuł, że został skatalogowany i zaszufladkowany jako sympatyk Medów, osobnik godzien najgłębszej pogardy. Memnon z równą swobodą zignorował Arystotelesa.

Filozof w końcu zauważył wystającego nad krzakiem róz eunucha. Uśmiechnął się i zarazem kordialnym gestem uniósł ciężką od pierścieni rękę. Kim jest ten eunuch? - zastanawiał

się Memnon. Może dyplomatą albo pośrednikiem między filozofem a Filipem?

Głos Aleksandra przerwał te rozważania.

- Musisz pozostać z nami na parę dni, Kofenie!

- Niestety! - odparł Kofen. - Nie możemy. Statek czeka, żeby zawieźć nas z powrotem do Pełli. Ojciec został wezwany do Persji. Przywrócono go do łask i odzyskał wszystkie godności. Przybyliśmy z wujem złożyć ci wyrazy szacunku, podziękować za gościnę i się pożegnać. - Kofen wyciągnął dłoń.

Memnon widział wyraźnie, że ta przemowa wzruszyła Aleksandra. Ujął rękę młodego Persa i chwycił go w objęcia.

- Cieszę się, że los uśmiechnął się do twojego ojca - powiedział z powagą dojrzałego mężczyzny. - Drzwi Macedonii zawsze będą przed wami otwarte, jeśli kiedykolwiek znajdziecie się w potrzebie.

- Jak i drzwi mojej ojczyzny przed tobą - odparł Kofen.

Aleksander, uśmiechając się, wypuścił go z objęć i odwrócił się do Memnona. Rodyjczyk skłonił głowę przed księciem.

- Parmenion traci najlepszego dowódcę - rzekł Aleksander. - Na pewno nie dasz się przekonać, Memnonie, aby pozostać chociaż z nami?

- Pochlebiasz mi, Aleksandrze. Chociaż wielce pragnąłbym zostać, potrzeby mojej rodziny mają pierwszeństwo. Poza tym jak Artabazos poradziłby sobie bez mnie, jeśli pragnie wychować syna na mężczyznę?

- Czy przynajmniej masz czas na zwiedzenie sanktuarium nimf? - spytał Aleksander, nagle odwracając się do Kofena. - To niezwykle tajemnicze miejsce i niedaleko stąd.

- Wujku?

Memnon skinął głową. Młodszy chłopcy natychmiast się rozgadali i zagarnęli Kofena do lasu, podążając za Aleksandrem. Starsza trójka pozostała na miejscu.

- Chodź, Filotasie - powiedział Ptolemeusz. - Jedźmy do wioski.

- Za chwilę. - Filotas podszedł do Memnona. - Jak idzie mojemu ojcu?

- Kiedy zostawiłem Parmeniona, był o krok od wielkiego zwycięstwa w Tracji - odparł Memnon. - Boli mnie, że nie będzie mnie, żeby w nim uczestniczyć.

Filotas się rozpromienił. Synowska duma była wyraźna jak słońce na śniegu.

- Wiedziałem, że podbije tych pomalowanych na niebiesko *barbaroi!*

- Jesteś pewien jego triumfu, Memnonie? Miałem nadzieję, że Kersobleptes odprawi Parmeniona z kwitkiem - powiedział Ptolemeusz, uśmiechając się. - Choćby tylko po to, żeby nauczyć jego syna pokory.

Filotas się roześmiał.

Siedzący za nim Kasander zaklął i splunął na ziemię.

- To zdrada.

Ptolemeusz potrząsnął głową. Nie odwracając się nawet, przemówił w powietrze, jakby się zwracał do bezcielesnej istoty.

- Nie, baranie, to żart. Ale nie spodziewałem się, żebyś się połapał, skoro masz poczucie humoru spartiaty.

- Chodź - powiedział Filotas, kierując się ku miejscu, w którym rozmawiali Arystoteles i jego gość. - Z drugiej strony domu jest czystsze powietrze.

Memnon udał się za nim do końca portyku.

- Powiedzcie mi, jeśli wiecie, kim jest ten człowiek, który rozmawia z waszym filozofem? Jeśli nie jest eunuchem, to ja jestem Nubijczykiem. Przysięgłbym, że go znam, ale nie mogę sobie przypomnieć jego imienia.

- Och, jak najbardziej, to eunuch - rzekł z uśmiechem Filotas. - Demokedes z Assos, takie, jak myślę, jest jego imię, przyjaciel Arystotelesa i jego dawnego patrona Hermiasza.

- Hermiasza? - Memnon zastanowił się głęboko. - Hermiasz był jego dawnym patronem? Ale wydawało mi się, że Arystoteles przybył tu z Aten.

Filotas i Ptolemeusz wymienili spojrzenia. Syn Parmeniona obniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Po śmierci Platona wyjechał z Aten i osiedlił się w Assos, nawet ożenił z adoptowaną córką Hermiasza, Pytiadą, chociaż Aleksander mówi, że spędzał sporo czasu nieopodal Mityleny, na Lesbos. Z tego, co słyszałem, filozof rozżościł się po tym, jak nie został głową Akademii.

- Przysiągł, że zakończy to, co Platon rozpoczął w Syrakuzach - dodał Ptolemeusz.

Memnon skinął głową.

- No cóż, wygląda na to, że co Ateny straciły, zyskała Macedonia. Demokedes z Assos... muszę zapamiętać to imię.

I jego związki z Hermiaszem, pomyślał Memnon. Niewątpliwie Mentor bardzo zainteresuje się Assos, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że tyran miasta stał się nowym azjatyckim sojusznikiem Filipa. Jeszcze chwilę przyglądał się Arystotelesowi i eunuchowi, po czym odwrócił się do młodych towarzyszy Aleksandra.

- Czy sanktuarium, o którym napomykał książe, naprawdę jest tak blisko?



Minęła większa część przedpołudnia, zanim Memnonowi udało się wsadzić na konia swojego siostrzeńca, jednak słońce nie było jeszcze w zenicie, gdy ruszyli w drogę. Konie były wypoczęte i w dobrych humorach, a gdy jeźdźcy znaleźli się na równinie Ematia, popuścili wodzy. Wierzchowce dały z siebie wszystko. Z szybkością wiatru muskały kopytami ziemię. Mijała godzina za godziną i w końcu pokazały się roгатki Pelli. Było już po zachodzie słońca.

Światło biło z drzwi i okien willi. Memnon zeskoczył z konia i przytrzymał wodze, podczas gdy Kofen ześlizgnął się na ziemię. Był wyczerpany, warstwa kurzu i brudu pokrywała mu twarz. Zerkał na dom, spodziewając się najgorszego.

- Ruszaj - rzekł Memnon. - Ja zajmę się końmi.

Kofen skinął głową, z trudem przełknął ślinę i powłókł się na dziedziniec. Memnon się uśmiechnął, słysząc, jak jedna z młodszych sióstr chłopca wydaje pisk radości.

W stajni Rodyjczyk zapalił lampy i zajął się końmi. Nawet niebywała wytrzymałość niseańskich klaczy została wystawiona na ciężką próbę. Eufrozyne zwiesiła łeb, gdy Memnon zdejmował przemoczony potnik, uzdę i ogłowie. Kolejna była Aglaja. Talia - ciekawa lub przejęta - przyglądała się, jak myje i wyciera wiechciem słomy jej siostry; grzebała kopytem i parskala, niewątpliwie oczekując podobnych zabiegów.

Słyszając za plecami kroki, Memnon odwrócił się nieco.

- Mamy do tego stajennych - powiedział Artabazos. Stał uśmiechnięty w drzwiach stajni. Towarzyszył mu Ariobarzanes, trzymając w rękach tacę z jedzeniem, dzbanem wina, dwoma pucharami i kamienną misą z mokrymi ręcznikami. - Nie uroniłeś kropli. Dobry chłopak. Teraz postaw to i biegaj. - Artabazos odprowadził wzrokiem chłopca, zanim usiadł na ławie przy drzwiach. - Chodź, siadaj. Napij się ze mną.

Memnon przerwał pracę przy koniach i opadł na ławę obok satrapy. Był obolały, przepoczoney chiton Ignął mu do ciała, cuchnął potem - własnym i końskim. Sięgnął po ręcznik i

otarł twarz, zanim zaatakował z apetytem jadło - rybę opiekana w czosnku i tymianku, chleb i oliwę, a także kapiące od miodu ciastka.

- Mam nadzieję - powiedział z pełnymi ustami - że Kofen nie będzie zbyt srogo ukarany. Po drodze dostał tak do wiwatu, że długo tego nie zapomni.

- Wiem coś na ten temat - rzekł Artabazos, gładząc białą brodę.

Memnon spojrział na niego z ukosa.

- Ale wiesz, że nigdy bym go nie skrzywdził?

- Oczywiście. Nie, po tej całej eskapadzie tylko zadaję sobie pytanie, czy nie jestem zbyt łagodny wobec synów. Farnabazosa trzymałem na krótkiej smyczy, pilnowałem jego edukacji, ćwiczeń z bronią. Ale Kofen, Ariobarzanes i nawet Hydranes... może jestem za stary, aby wychowywać ich jak należy.

- Za stary? - powtórzył Memnon. - Nigdy. Może po prostu grecka krew burzy się im w żyłach, dlatego są tacy uparci i swarliwi. Doprawdy, czy Mentor i ja tak bardzo się od nich różniliśmy?

Artabazos zaśmiał się pod nosem.

- Nie, żeby nie skłamać, nie.

Memnon w milczeniu sprzątnął tacę do czysta, po czym siadł wygodniej, wyprostował nogi i sięgnął po wino. Powąchał je, czując znajomy bukiet.

- Z Tasos - rzekł.

- Żadne mu nie dorówna.

- A więc wszystko gotowe? Jutro wypływamy?

- Twój Laertes zapewnił mnie, że pogoda będzie korzystna - powiedział Artabazos. - Farnabazos dopilnował całego załadunku. Pozostało tylko tyle rzeczy, że zmieszczą się na mały wóz. Zamówił też wolniejszą galerę. W następnym tygodniu albo kolejnym przewiezie konie. Pożegnaliśmy się, złożyliśmy ofiary bogom i poczyniliśmy wróżby. Kiedy wstanie świt, znów staniemy się Persami.

Memnon sączył wino. Spytał:

- Będiesz tęsknił za tym, co tu zostawiasz?

Artabazos westchnął.

- Zadawałem sobie to samo pytanie. Mieszkałem tu z górą dziesięć lat, ale to miejsce nigdy nie stało się moim domem, jak Daskylejon. Z błogosławieństwem Filipa udało się nam wygodnie urządzić, nawet miło dla oka, ale te namiastki Lidii i Frygii to kpiny z urody naszej ojczyzny. Przekonałem się, że ziemia Macedonii jest zbyt płytka, aby korzenie rodzinnego drzewa Farnakidów mogły w nią wrosnąć. Może moje dzieci zadowolilyby się zamieszkaniem w tym kraju, ale ja chcę dla nich czegoś więcej. Świat to coś więcej niż Macedonia, więcej niż Grecja i powinny go zakosztować w pełnej chwale. Podobnie jak ty, Memnonie. - Artabazos objął ramieniem Rodyjczyka i przyciągnął do siebie, jakby chciał się podzielić jakąś sekretną wiedzą. - Służyłeś naszym sprawom, mojej i Mentora, przez większość dorosłego życia i nigdy nie usłyszałem od ciebie złego słowa.

- Nie słuchałeś - odparł z szelmowskim błyskiem w oku Memnon.

Artabazos się uśmiechnął.

- Z pewnością to nie szczyt twoich ambicji?

Memnon się zasępił, gdy skierował wzrok ku drzwiom stajni, wpatrując się w świetliki i próbując odczytać ich ruch, jak wróż czyta gwiazdy.

- Kiedy byłem młody, chciałem sławy, niczego więcej. Chciałem, aby poeci przez tysiąc lat śpiewali moje imię. Ale dorosłem i jak to bywa, moje pragnienia uległy zmianie. Najwyższą wartością stał się dla mnie honor zdobywany czynami i słowami i szacunek, który mu

towarzyszy. Przyznaję, że i jedno, i drugie nadal ma swój powab w moich oczach i nigdy nie przestanie mieć, ale teraz pochłania mnie inne pragnienie. - Przerwał i wsparł łokcie na kolanach. - Teraz marzy mi się miejsce takie jak to, w kraju, który sam wybiorę, a także żona i rodzina, bez których go sobie nie wyobrażam. Kamienny dom z ozdobnymi okiennicami, zbudowany na nadmorskiej równinie, gdzie mógłbym hodować konie, ale i odpowiadać na wezwanie Posejdona. Może w Troadzie, w cieniu góry Ida. A żona niech łączy w sobie zalety Afrodyty i Ateny i da mi dzieci tak śmiałe i bystre jak mały Hermes. - Memnon westchnął, rozlał ostatnie krople wina na trociny i wstał. - Taki jest szczyt moich ambicji.

- Namalowałeś godny podziwu obraz - przyznał Artabazos, powstając. Złapał Memnona za ramię. - Wiesz, gdyby Barsine miała dorosłą siostrę...

- Wiem. - Memnon odetchnął głęboko i rozejrzał się po stajni. - Niech stajenni dokończą, co zacząłem. Chodź, stary przyjacielu, ani się obejrzymy, a słońce wstanie.

- Masz rację - mruknął Artabazos. Pełen zadowolenia uśmiech powoli wykwitł mu na twarzy. - A kiedy się to stanie, znów będziemy Persami.



W istocie słońce wstało wcześniej, niż Memnon by sobie tego życzył, jednak mimo wszystko zerwał się z łóżka i zebrawszy resztę swoich rzeczy, wrzucił je do zniszczonej torby, którą Chafr cisnął na wóz.

- Żegnaj, Pello - mruknął z niemalym zadowoleniem Egipcjanin, gdy wdrapał się na kozioł i ujął lejce.

Farnabazos wyprowadził z willi członków rodziny; nie pozwolił nikomu na opieszałość - każde dziecko przyniosło swoje rzeczy i stanęło jak żołnierz oczekujący inspekcji dowódcy. I rzeczywiście pojawił się w postaci... ich matki. Dejdamia, już nie załamana istota, jaką Memnon oglądał jeszcze niedawno, wypadła z domu jak wir haftowanych szat i z jej ust popłynął potok rozkazów wydawanych nie po grecku, lecz właśnie po persku; dzieci odpowiadały jej w tym samym języku. Kofen towarzyszył Barsine do wozu; Farnabazos podawał drobniejsze rzeczy bratu. Niebawem wszyscy byli na wozie.

Artabazos wsparty na wysadzanej srebrem lasce ostatni wyszedł z willi. Demonstracyjnie zamknął za sobą drzwi. Miał na sobie medyjską szatę z zielonego brokatu, spodnie i wysokie buty z jeleniej skóry. Srebrne były też elementy zdobiące szablę w pochwie u jego boku.

Towarzyszący mu w zwykłym niebieskim chitonie Memnon czuł się jak żebrak.

- Nadal czas zmienić zdanie - rzekł.

Oczy satrapy błyszcząły.

- Ojczyzna czeka - odparł.

Zanim dotarli do portu i załadowali resztę bagażu na pokład *Eurydike*, słońce zawisło wysoko po wschodniej stronie nieba. Na ruch głowy Artabazosa Leander rozkazał marynarzom odbijać. Wioślarze zgięli się nad wiosłami, podczas gdy reszta załogi bosakami odpychała statek od nabrzeża. Woda z chlupotem biła o kadłub; statek zadygotał, gdy bryza szarpnęła zrefowane żagle. Na śródkręciu fleciści podawali rytm wioślarzom.

Rodzina zebrała się na dziobie, młodsze dzieci popiskiwały z uciechy, kiedy stado siewek zatoczyło łuk i przeleciało nad powierzchnią jeziora Loudias. Artabazos obejmował Dejdamię wpół. Chociaż Memnon nie był tego do końca pewien, przysięgłby, że siostrę otacza świetlista aura zwiastująca nowe życie. Znowu jest w ciąży? - zastanawiał się. Z pewnością Barsine

wiedziałyby o tym...

Jednak Barsine stała samotnie na rufie, patrząc na oddalającą się Pellę. Memnon z wolna przysunął się do niej. Czuł jej smutek tak wyraźnie jak tchnienie wiatru na twarzy.

- Stąd wydaje się taka mała i nic nie znacząca - powiedziała dziewczyna, otulając się szalem. - Jak to możliwe, że zawiera tyle wspomnień?

- Wiem, co cię martwi - rzekł Memnon. - Mentor to dobry człowiek, Barsine, i o wiele inteligentniejszy, niż jest skłonny ujawnić. On też będzie się cieszył twoim towarzystwem, podobnie jak ja. Wyobrażam sobie nas troje siedzących w głębokim cieniu ogrodów Sardes, roztrząsających zasługi Herodota. Wyobrażam sobie dzieci, które będziesz miała. Obiecuję ci, nie czeka cię tam wyrok śmierci!

Barsine westchnęła.

- Zeszłej nocy miałam sen. Stałam na przylądku, w porcie, wody morza były gładkie i martwe. Na piasku w dole leżał wyciągnięty okręt. Na jego dziobie stał Mentor, podczas gdy żołnierze przeszukiwali plażę. Słyszałam ich głosy, gdy wzywali mnie po imieniu, niewyraźne, jakby dzieliła nas wielka odległość, ale nie miałam siły im odpowiedzieć, nie potrafiłam też wypatrzeć drogi na dół. Odchodziłam od zmysłów, gdy wzruszyli ramionami i zabrali się do spuszczenia statku na wodę. Z rozpaczy chciałam się rzucić w dół, ale nawet to mi się nie udało... przy każdej próbie tytaniczny podmuch wiatru unosił moje spadające ciało i odrzucał lekką jak piórko na to samo miejsce. Patrzyłam, jak odpływają. Z każdym pociągnięciem wiosel twarz Mentora stawała się coraz bardziej wychudła i wycieńczona. W końcu, gdy okręt przesunął się poza krawędź świata, wpatrzona we mnie oblicze zatraciło rysy żywego człowieka, stało się zbielałą czaszką. - Łzy wypełniły jej oczy. Drżąca odwróciła się do Memnona, splatając swoją rękę z jego. - Jeśli to, co powiedziałeś, jest prawdą, i nie czeka mnie tam wyrok śmierci - szepnęła - czemu się czuję, jakby właśnie tak było?

Memnon jednak nie miał na to odpowiedzi. Stali ramię w ramię, dłoń w dłoni, patrząc na malejącą Pellę, gdy każdy ruch wiosel przybliżał ich do Sardes...

Interludium III

Pięści Melpomeny zacisnęły się na wełnianej kołdrze; wstrząsnął nią głęboki szloch, wyciskając całe powietrze z wychudłego ciała. Łzy spływały po policzkach, gdy walczyła o każdy oddech, przyciskając do piersi srebrną, przyniesioną przez Harmutesa skrzyneczkę. Kolejny raz Ariston był świadkiem jej cudownych leczniczych mocy. Melpomena zaczęła się uspokajać. Zamknęła oczy i każdy kolejny oddech przychodził jej nieco łatwiej.

- Dość na dzisiaj - wyszeptała urywanym głosem. - Dość.
- Jak sobie życzysz, pani - odparł Ariston, wstając. - Czy mam przysłać służbę?

Potrząsnęła głową, przewracając się na bok i kuląc wokół skrzyneczki. Ariston podszedł do paleniska i rozrzucił węgle, dokładając kilka polan, żeby przegnać rosnący chłód. Pewien, że pani domu nie zmarznie, młody Rodyjczyk wyszedł.

Na dworze krótki zimowy zmierzch otulił świat cieniami. Ariston zatrzymał się w kolumnowym perystylu i wpatrywał w usiane gwiazdami niebo, szukając odpowiedzi na pytanie, które chodziło mu po głowie: kim ona jest? Jak sama wyznała, jest córką Artabazosa, wzięta do niewoli z rodziną Dariusza po zwycięstwie Macedończyka pod Issos... - rozważał. Czy Nikanor wiedziałby, jak się nazywa? Ta odrobina wiedzy, jaką miał o jednonogim weteranie, nie budziła zaufania. Był szeregowym żołnierzem falangi, jednym z *pezhetairoi*, pieszych towarzyszy. Nie była to pozycja ułatwiająca dostęp do kręgów dowódczych.

Jednak rozmowa z Nikanorem dawała mu największą - a prawdą mówiąc jedyną - szansę identyfikacji tajemniczej patronki. Ariston nie zamierzał tej rozmowy odkładać. Postanowił jeszcze tego wieczoru odszukać starego Macedończyka.

Po drugiej stronie perystylu, spod kuchennych drzwi, sączyło się światło i niosły dźwięki fletu Harmutesa, powolne, żałobne i tak ciche, że młody Rodyjczyk ledwo je słyszał. Zaciekawiony uchylił drzwi. Światło z paleniska obramowywało sylwetkę Egipcjanina. Siedział, schyliwszy głowę, w medyjskich spodniach i grubej niebieskiej szacie z rękawami, utkanej z doskonałej wełny. Jednak wstrząsały nim dreszcze, gdy nie śpiesząc się, doprowadzał melancholijną melodię do smutnego finału. Powoli opuścił flet.

- Piękny utwór - rzekł po chwili Ariston. - Jak się nazywa?

Początkowo starzec nie dawał znaku, że usłyszał pytanie, jakby nie był świadom obecności Aristona. Kiedy w końcu uniósł głowę, oczy miał wilgotne od łez.

- *Lament Izidy*.

- Nigdy nie słyszałem niczego podobnego.

- Jest bardzo stary. - Odłożył flet i wyprostował się, usiłując się otrząsnąć z melancholii.

- Usiądź, zrobię ci jakąś namiastkę kolacji.

- Nie, to niekonieczne - odparł Ariston. - Mam sprawę do załatwienia. Wrócę, zanim pani się obudzi.

- Sprawa - powtórzył Egipcjanin. - Oczywiście.

Wyjął zza pazuchy skórzaną kiesę, która delikatnie zadzwoniła, gdy wręczył ją młodemu Rodyjczykowi. Ariston, marszcząc brwi, rozwiązał rzemyk i wysypał na dłoń zawartość woreczka. Srebro. Kilkanaście monet, efeskich tetradrachm - każda wartości czterech drachm, oznaczona świętymi symbolami Bogini Matki Efezu, pszczołą i jeleniem - świeżo wybitych i błyszczących. Ariston spojrzął z ukosa na Harmutesa.

- Uczciwa zapłata za pracę, którą wykonałeś do tej pory - wyjaśnił Egipcjanin. - Na wypadek, gdyby się okazało, że nie możesz wrócić.

Ariston jednak zatrzymał tylko dwie *tetras*, resztę zwrócił Harmutesowi.

- Traktuj to jak pożyczkę - powiedział młody Rodyjczyk, unosząc zatrzymane monety. - I, jak powiedziałem, wrócę, zanim pani się obudzi. Potrzebujesz czegoś z miasta?

Harmutes się uśmiechnął.

- Może świeżego powiewu dobrych manier? - Potrząsnął głową, chowając kieskę. - Nie, młody panie. Nie mam żadnych potrzeb, ale dziękuję, że zapytałeś.

Ariston klepnął Egipcjanina w ramię, gdy przechodził obok niego, i sięgnął po swój chiton. Leżał równo złożony na zapieczętowanej amforze. Harmutes usiadł na ławie i znów sięgnął po flet.

Lament Izidy popłynął w noc, za Aristonem.



Kilka godzin później dygocąc z zimna, Ariston szedł ledwo oświetloną ulicą, wyznaczającą granicę portu. Wonie nawilgłego drewna i słonej wody mieszały się z zapachami smoły, dymu kuchennych palenisk i ludzkiego cierpienia. Była to okolica oddana weteranom, zgorzkniałym niedobitkom zażartych wojen między diadochami, jak również dumnym, srebrnowłosym reliktem niespożytych ambicji Aleksandra. Z uliczek i drzwi dobiegały śmiechy i pieśni, wrzaski i łkania, a także muzyka szlachtuzów - żelaza i rozkrawanego mięsa. Ariston nie był pewien, czy o tej porze zdoła znaleźć Nikanora, pokonał jednak zbyt wielki szmat drogi, aby się teraz poddać.

Jednonogi Macedończyk mieszkał w ciasnych pokojach, trzy ulice od swego kramu, w kwartale pełnym bek z moczem garbarzy. Ariston podziękował bogom za małą przysługę. Drzwi Nikanora były na poziomie ulicy i w kierunku morza, a nie między zaułkami, które były sercem tego kwartału. Młody Rodyjczyk znalazł to, czego szukał. Zastukał do krzywo wiszących odrzwi. Zatrzeszczały deski. Ktoś się poruszył. Zniecierpliwiony Ariston znów zastukał.

- Niech cię Hades porwie! - odpowiedział mu zachrypnięty głos.

- Nikanor? Proszę cię, otwórz! Tu Ariston! - Przywitały go kolejne przekleństwa, ale również stłumiony odgłos kuli Nikanora.

- Czego chcesz, chłopcze? - spytał Macedończyk, otwierając na oścież drzwi.

Przebudzony ze snu żołnierz miał na sobie niedopasowany szlafrok, połatany i wytarty, dawno pozbawiony bogatych haftów. Starzec wsparł się na kuli i przetarł oczy.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Ariston - i obiecuję, że szczerze ci wynagrodzę twój czas. - Wyjął spod płaszcza zapieczętowaną flaszkę wina. - To z Chios.

Nikanor porwał flaszkę i ruchem głowy zaprosił Aristona do środka.

- Zeusie! I tak mężczyzna w moim wieku bardziej potrzebuje wina niż snu.

Powietrze w domu starego Macedończyka było duszne, śmierdzące potem i kwaśnym winem. Prowizoryczne palenisko z płaskich kamieni podtrzymywało płonący kosz; nieopodal stał zastawiony brudnymi naczyniami stół i para krzeseł, jedno ze zwykłej sosny, inne z ciemnego, egzotycznego drewna. Nikanor przywłókł się do tego drugiego i ciężko na nie opadł. Zębami otworzył flaszkę i wyszukał dwa kubki. Nalał Aristonowi na dwa palce i podsunął mu naczynie. Sobie nalał po brzeg.

Ariston siedział, podczas gdy jego łzawiące od dymu oczy przyzwyczajały się do mroku i zaczęły rozróżniać zalegające pokój szczątki po zapomnianych triumfach. W kącie spoczywała zbroja Nikanora, poharatany w bitwach kirys, nagolenniki i tracki hełm z ozdobnymi policzkami,

gromadząc kurz, pajęczyny i rdzę. Krzesło, które zatrzeszczało pod Macedończykiem, było z egipskiego cyprysu, odarte z ozdób i świetności. Na górnej krawędzi dymiącego kosza z brązu widniał pokryty sadzą napis:

DLA NIKANORA, SYNA AMYNTASA, ZA DZIELNOŚĆ

Stary żołnierz dostrzegł zainteresowanie Aristona.

- Aleksander mi dał ten kosz - powiedział - pełen złota, po tym, jak straciłem nogę nad Hydaspesem. Niestety król umarł, a ja roztrwonilem złoto, ale kosz w zimowe noce nadal ogrzewa mi kikut. Czego chcesz, chłopcze? Wiem, że nie przyszedłeś tu tylko po to, żeby oglądać moje trofea.

- Tak prawdę mówiąc, po części przyszedłem właśnie z ich powodu - rzekł Ariston. - Nie znam żadnego macedońskiego weterana poza tobą. Mam prośbę. Poszperaj w otchłaniach pamięci i wyszukaj tam jedno imię, Nikanorze. Czy pamiętasz perskiego satrapę, niejakiego Artabazosa?

- Pewnie. Oddał się na służbę Aleksandrowi w Hyrkanii, po śmierci Dariusza. Przyproceedził ze sobą ostatnich greckich najemników. Pewnie, pamiętam Artabazosa.

- Świetnie. - Rodyjczyk dostrzegł przebłysk nadziei. - Miał córkę...

Nikanor prychnął śmiechem.

- Chutliwy stary cap miał dziesięć córek.

- Czy jedną z nich pojmano wraz z całym taborem pod Damaszkiem, po zwycięstwie Aleksandra pod Issos?

Nikanor podrapał się po karku, ściągając krzaczaste brwi.

- Cały przekłety perski dwór pojmano pod Issos, nie tylko tabory. Ten kozojebca Dariusz nie potrafił się wysrać bez wróżów, pokojow-ców, masażystów, perfumiarzy i tuzina tłustych eunuchów, którzy wycierali monarszy tyłek.

- Ale z haremem? - spytał Ariston.

- No tak, żony i córki Dariusza też tam były... Na miłość Zeusa! Ten człowiek przez całą kampanię włókł za sobą siwowłosą matkę!

I oczekiwał, że możni też będą robić to samo. Jak dostali w polu baty, ulotnili się i zostawili damy na naszą łaskę. Na zęby Hadesa! Ci tak zwani panowie Azji powinni podziękować swoim barbarzyńskim bogom, że prowadził nas Aleksander, nie Filip. Stary król wziąłby, co najlepsze, a resztę zostawił nam. Ale Aleksander nie. On je oszczędził i postarał się, żeby nie wpadły w nasze chamskie łapy. - Wypił wino i nalał sobie jeszcze raz. - Ale była tam jedna taka. Podobno wpadła w oko Aleksandrowi lata temu, kiedy jej rodzina przybyła do Filipa, szukając azylu.

- Czy mogła być córką Artabazosa?

Nikanor skłonił głowę na ramię, usiłując sobie przypomnieć zamglone z upływem lat szczegóły.

- Wiesz, faktycznie była jedną z jego córek. Zapomniałem o tym. Ale nie była pół-Greczynką jak inne. Nie. Była czystej krwi Persjan-ką o włosach jak czarny jedwab i ciele, które zawstydziłoby Afrodytę z Melos. I nie szwargotała po barbarzyńsku. Jej greka była bez zarzutu, nawet lepsza niż Aleksandra. Na pałę Zeusa...! - Nikanor walnął się pięścią w głowę. - Jak ona się nazywała?

Ariston odchylił się wraz z krzesłem. Czy odpowiedź mogła być prostsza, oczywistsza? Córka Artabazosa, kochanka Memnona i Aleksandra!

- To ona - powiedział pełnym niedowierzania szeptem. - Barsine.

- Zgadza się, tak się nazywała. - Nikanor westchnął, zionąc oparami wina. - Wiesz,

może była tylko jego konkubina, ale byłaby lepszą królową niż tamta Sogdianka, z którą się ożenił, to pewne. Miałem kumpla pryczę obok, który zabujał się w jednym z królewskich paziów. Miły gość z Ematii, ale kiedy trochę wypił, łatwiej było poskromić sukę w rui niż jego... Nieważne. Powiedział nam, że nawet Hefajstion czuł miętę do wielmożnej Barsine, a tamten drań nigdy nie miał chrapki na to samo co Aleksander. - Stary Macedończyk opróżnił kubek.

- Co się z nią stało?

Nikanor czknął i nalał sobie kolejny raz.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, Aleksander odesłał ją do domu, po tym jak przekroczył Kaukaz Hinduski. Ostatnie wieści mówiły, że osiadła w Pergamonie, i miała syna, który niby miał być prawym dziedzicem Aleksandra. Wierzył jej tylko admirał Nearchos, ale był większym pijanicą ode mnie. - Znów czknął. - Dlaczego cię to tak ciekawi, chłopcze?

Ariston wzruszył ramionami i krzywo się uśmiechnął.

- Tam, dokąd Muzy prowadzą, tylko artysta podąży.

Nikanor zachichotał i uniósł kubek.

- Za Muzy.

- Za Melpomenę.



Ariston wrócił do posiadłości Pod Dębami w szarej poświacie poranka, z chudsza kieszą i włosami mokrymi po tym, jak w ostatniej chwili skręcił do łaźni. W terakotowej wannie pełnej ciepłej wody młody Rodyjczyk zmył z ciała smród portowej dzielnicy, podczas gdy jeden z łaźniowych oczyścił mu sandały. Kiedy się moczył, zbeształ się w myśli za to, że nie przyjął od Harmutesa więcej srebra. Gdyby postąpił inaczej, może zdołałby się pozbyć poszarpanego himationu i wyblakłego chitonu. „Nie wypada stawać przed obliczem praprawnuczki perskich królów ubrany jak włóczęga”. Jednak jak na razie musiało wystarczyć to, co miał.

Opuściwszy łaźnię, wrócił do posiadłości, cicho minął próg i wszedł do perystylu. Słyszał krzątanie Harmutesa w kuchni. Udał się do komnat pani, zapukał i wszedł do środka.

Siedziała na krześle przy palenisku. Na kolanach miała zwiniętą jakąś część ubioru. Na dworze przybywało światła, chociaż słońce pozostawało w koronie chmur. Na dźwięk zamykanych drzwi przestawała się wpatrywać w płomień i obdarzyła Aristona słabym uśmiechem.

- Jesteś wcześniej - rzekła. - Czy to znaczy, że udało ci się pomyślnie załatwić sprawę w Efezie?

- Tak. - Podeszedł do niej. - Dobrze spałaś, pani?

Uciekła wzrokiem do ubrania na podółku. Ariston dostrzegł, że to szata z najdelikatniejszego lnu, obrębiona jedwabiem i naszywana perłami.

- Już nie sypiam dobrze - odrzekła. - Ale spałam, tak.

- Pani - powiedział głosem drżącym od ledwo powstrzymanego podniecenia. - Czas, abyśmy przedstawili się sobie jak należy. Jestem Ariston z Lindos i czuję się zaszczycony, mogąc cię poznać, szlachetna Barsine. - Nisko się skłonił.

Uśmiechnęła się powoli. Skłoniła głowę, przyjmując do wiadomości, że rozpoznał jej tożsamość.

- Memnon zawsze powtarzał, że mężowie z Rodos są najsprytniejsi z Hellenów. Może miał rację. - Jej uśmiech znikł. - Niestety, to tylko częściowo prawda. Tak, byłam Barsine, ale już

nie jestem. Barsine umarła w Pergamonie, otruta po Heraklesie - na moment słowa uwięzły jej w gardle - po tym, jak syn jej i Aleksandra został zamordowany na rozkaz Kasandra. Barsine to niespokojny duch w nieoznaczonym grobie. Jestem Melpomeną.

Ariston skinął głową.

- Muzą tragedii.

- Cieszę się, że się rozumiemy. A więc, kiedy teraz znasz mój sekret, co z nim zrobisz?

- Co z nim zrobię...? - Młody Rodyjczyk nie zrozumiał.

- Śmiem twierdzić, że Kasander dobrze zapłaci, aby się dowiedzieć, jakim sposobem jego siepacze mogli go okłamać co do mojej śmierci - powiedziała. Rozkaszała się i straciła na chwilę oddech.

- Nie jestem człowiekiem Kasandra - sprostował Ariston, siadając naprzeciwko Barsine.

- Jednakże jeśli obawiasz się dalszych prześladowań z jego strony, dlaczego nie szukasz azylu w głębi łądu, u Antygo-nosa, lub w Aleksandrii u Ptolemeusza?

- W jakim celu? - spytała ochryple. - Nie przedstawiam żadnej wartości w oczach diadochów, nie mają wobec mnie żadnych długów wdzięczności. Czemu mieliby się przejmować moją sytuacją?

- Jeśli nie z innego powodu, to chociażby ze względu na cześć wobec Aleksandra, który wielce cię szanował.

Barsine prychnęła lekceważąco.

- Żaden z nich nie pospieszył na pomoc Olimpias, a była jego matką. Nie, mój młody przyjacielu, taka szlachetność słusznie należy do sfery wyobraźni... lub do przeszłości. Nie obawiam się ani Kasandra, ani jego zwolenników. Tak więc pozostanę w Efezie, chociaż serce mi mówi, że niewiele dłużej.

Ariston ujął jej dłoń. Wydawała się niezwykle blada, krucha i trzymał ją delikatnie, jakby należała do alabastrowej statuetki.

- W takim razie będę zaszczycony, mogąc z tobą pozostać tak długo, jak będziesz potrzebowała moich usług.

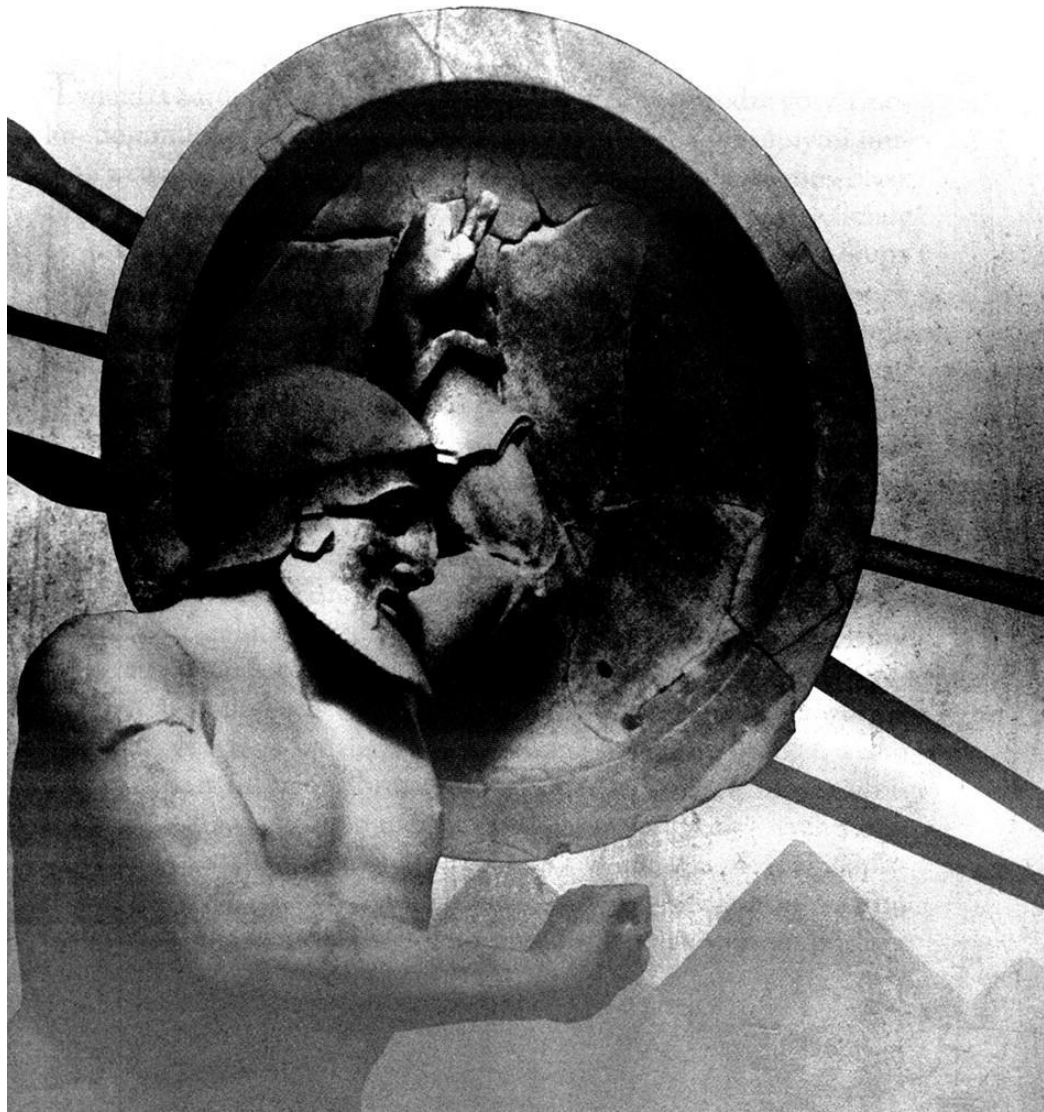
- Zaszczyt jest po mojej stronie - odparła, ściskając jego dłoń. Wróciła wzrokiem do szarfy na podolku.

- Jest piękna - rzekł Ariston. - To szal?

- Welon. Miałam go na sobie w dniu ślubu z Mentorem...

TROADA

3. rok 109. olimpiady
(342 r. p.n.e.)



Rozdział piętnasty

Twierdza Sardes stała na szczycie urwiska, skalnej ostrodze góry Tmolos, dominującej nad żyzną doliną rzeki Hermos. Za potrójnymi murami z ciemnego kamienia i rdzawych cegieł z niewypalanej gliny blask złotych i srebrnych lamp opływał pałacowe ogrody. Niegdyś należały do ostatniego rodzimego króla Lidii, nieszczęsnego Krezusa. Słupy z rzeźbionego cedru podtrzymywały dachy pawilonów z purpurowego lnu, a obsypane bursztynem frędzle skrzyły się tysiącnymi iskierkami. Wonie kadzideł i perfum żeglowały w chłodnym powietrzu wieczoru.

W ogrodach, otoczony panami Azji i ich orszakami, pod baldachimem z jedwabiu i złota brylował wielki król Persji i Medii, król królów Artakserkses III, zwany Ochosem. Memnon z oddali przyglądał się z wielką ciekawością temu nieznanemu, który do niedawna był jego zaprzysięgłym wrogiem, półbogiem wedle jego wyobrażeń. Oglądany w rzeczywistości robił o wiele mniejsze wrażenie. Liczący sobie sześćdziesiąt lat lub więcej Ochos, jeśli Memnon mógł zaufać swojemu słudze eunuchowi, był średniego wzrostu brzuchatym mężczyzną o zapadniętych policzkach i ledwo zarysowanym podbródku, czego nie mogła ukryć nawet kędzierzawa, farbowana na czarno bródka. Tylko oczy zdradzały osławioną brutalność - blade, wiecznie ruchliwe, odbijające światła świętych płomieni magów jak wyostrzone sztych noża.

Władca siedział sztywno wyprostowany, w koronie ze złota i lapis-lazuli, okryty bogato wyszywaną szatą barwy tyryjskiej purpury. Tron i podnózek ustawiono na wysokim podium z polerowanego porfiru.

Cztery mniejsze siedziska ustawiono na najniższym poziomie podium; trzy były zajęte. Po lewicy króla królów siedziała para wielmożów, jeden przyodziany w szkarłat, drugi w akwamarynę. Memnon wiedział, że mąż w szkarłatnej szacie to ich gospodarz, satrapa Lidii, Spitrydates, posepny Pers o dziobatej twarzy i wiecznie skrzywionych ustach. Spozierał na najbliższego towarzysza z ledwo ukrywaną pogardą i nie bez powodu. Mężczyzna w akwamarynowej szacie nie był wcale mężczyzną, ale gładkolicym, miękkobrzuchym eunuchem.

- To Bagoas - rzekł jeden z gości, odpowiadając na pytanie Memnona o tożsamość czarnowłosego eunucha.

Bagoas ignorował Spitrydatesa. Śmiał się pogodnie, szepcząc coś do ucha króla królów, co wzbudzało rozbawienie monarchy. Ochos się odwrócił i słuchał, gdyż to, co powiedział Bagoas, zostało natychmiast odrzucone przez mężczyznę siedzącego samotnie po prawicy króla - Memnon z trudem rozpoznawał w nim brata.

Egipt może i był krajem jego sławnych triumfów, ale poza tym nie okazał się łaskawy dla Mentora. Twarz mu wyszczuplała, rzeźbiona przez pustynne wiatry, zbrązowiona przez nieustępliwe słońce i poznaczona bliznami. Pozostała mu tylko resztkę włosów; podobnie jak w kunsztownie ufryzowanej brodzie na głowie miał więcej siwych niż ciemnych włosów. Mimo że nosił stosowne jego pozycji obszerne szaty w perskim stylu, z białego i złotego brokatu, Memnon bez trudu dostrzegł, że wychudł ponad miarę. Zwycięski - pomyślał Rodyjczyk - ale za jaką cenę?

Ostatnie krzesło, obok Mentora, było puste. Miała ja zająć panna młoda. To, że wielki król zdecydował się pozostać w Sardes i uświetnić wesele Mentora, było oznaką wielkiej łaski. Lwia część gości, których liczba sięgała blisko tysiąca, nie widziała niczego niestosownego w tym, że księżniczka królewskiego domu została oddana za żonę Hellenowi (babka Barsine była starszą siostrą Ochosa). Przyjęła to jako rzecz normalną i świętowała z nieudawaną radością.

Jednak garstka - wśród nich Spitrydates i jego brat Rojsakes, satrapa Jonii - uważali ten związek za kolejną z ciężkich obelg, które musieli ostatnio wycierpieć, a z których największą było nadanie eunuchowi i obcokrajowcowi większej władzy niż sprawowana przez nich. Memnon zadał sobie pytanie, jak długo wytrzymają tę sytuację i kogo wciągną w swoje szeregi? Może Arystesa z Frygii nad Hellespontem? Zastanawiał się też, czy Mentor zdaje sobie sprawę z ich wrogości...

Szarpięcie za rękaw przerwało te rozmyślania. Odwrócił się. Obok pojawił się Chafr. Nosił tradycyjny strój swojej ojczyzny, wirujące zwoje lnu i klejnoty z grubego złota, oczy pomalował grubymi kreskami.

- Pani chce z tobą porozmawiać, zanim rozpocznie się ceremonia - rzekł.

- W takim razie musimy szybko się z tym uporać - stwierdził Memnon. - Kapłani niebawem będą gotowi do złożenia ofiar.

Wskazał na ołtarz, na którym trio magów doglądało świętego płomienia Ahuramazdy.

Chafr skinął głową i przeszli przez ogród. W przeciwieństwie do brata Rodyjczyk nie włożył perskiego stroju - nosił krótki biały chiton wykończony błękitem, brązowy kirys zdobiony srebrem, a na tym ko-baltowoniebieski płaszcz, chlamidę wyszywaną srebrną nicią.

Chafr prowadził go tak szybko, jak na to pozwalały tłumy gości, po wąskich schodach i przez boczne wejście do pałacu. Przecięli wielokolumnową salę zwaną Apadana, gdzie satrapowie za dnia odbierali audiencje, a wieczorem urządzali uczyty, i wkroczyli do pełnego ruchu i gwaru bocznego pokoju, w którym rodzina panny młodej przyjmowała gratulacje. Dalej ciągnęła się amfilada pokoi, zwykle służąca oficjalnym gościom na dworze satrapy.

Memnon zauważył Artabazosa. Siwą brodę i włosy ułożył wedle obecnej mody. Był zarumieniony i dumny. Niebawem wraz z synami po bokach miał zaprowadzić Barsine przed oblicze króla i przedstawić ją panu młodemu. Rodyjczyk się uśmiechnął i skłonił powitalnie głowę, gdy wraz z Chafrem bez słowa przeszli do dalszych pokoi.

Odziana od stóp do głów w czerń Dejdamia, na modłę Demeter, która musiała oddać córkę Hadesowi, przywitała ich przy drzwiach niemal oszalała z wściekłości. Nozdrza jej drżały, gdy wznosząc rękę do nieba, wykrzyknęła:

- Co za krnąbrność! Nie wyjdź, dopóki z tobą nie porozmawia! Z tobą! Błogosławiona Hero! Czy ona nie ma poczucia przyzwoitości? Ani ty?

Memnon złapał ją za uniesione rękę.

- Mów ciszej - rozkazał siostrze, świadom obecności wielmożów w pokoju obok. - Barsine i ja jesteśmy przyjaciółmi, Dejdamio, i pozostaniemy przyjaciółmi, a przyzwoitość nie ma tu nic do rzeczy. Co więcej, jestem jej wujem, a niebawem zostanę szwagrem. Czemu nie mielibyśmy zamienić ze sobą paru słów?

- Bo to nieprzyzwoitość! - wysyczała.

- Może kiedyś tak było, ale zwyczaje nie są wieczne. Idź - rozkazał nie znoszącym sprzeciwu tonem - odpocznij i opanuj się. Nakłonię ją do wyjścia.

Przeszedł przez mały przedpokój, pełen pokrywających posadzkę i ściany eleganckich kobierców. Nie zwracając uwagi na perfumiarzy, fryzjerów i drużny, zastukał do drzwi, po czym je otworzył, nie czekając na pozwolenie.

Pokój Barsine miał szeroki, wychodzący na zachód balkon. Szarfa rdzawego światła otulała wierzchołki gór Tmolos, gorejąc ogniem na kręconych marmurowych kolumnach. W białej sukni, o włosach kunsztownie splecionych i upiętych srebrnymi, emaliowanymi grzebieniami córka Artabazosa wydawała się istotą z boskiego ognia, w wieńcu promieni zachodzącego słońca. Stała plecami do drzwi i odwróciła się na wejście Rodyjczyka.

Memnonowi oddech uwiązał w gardle.

- Na boginię! - powiedział. - Byłem zbyt surowy, oceniając syna Priama. Gdybyś była obiecana komukolwiek innemu, a nie mojemu bratu, podeptałbym więzy gościnności i porwał cię jak Parys Helenę.

Barsine splonęła rumieńcem.

- A ja poszłabym za tobą chętnie, gdybym była obiecana komukolwiek innemu, a nie twojemu bratu. Cieszę się, że Chafr cię znalazł.

- Czy coś się stało?

Ściągnęła brwi.

- Nerwy, ale to nic. - Spojrzała poza balustradę, oceniając głęboką przepaść. Dno doliny ginęło w cieniach. Dopiero co przybyła noc okryła rzekę, której bieg wśród skał był słyszalny nawet na tej wysokości. Niewątpliwie był to dopływ szerokiego Hermosu.

- Czy ten strumień ma imię? - spytała.

Memnon stanął obok niej i pochylił się za balustradę.

- To Paktolos.

- Rzeka złota Midasa?

- Ta sama - powiedział, prostując się. - I źródło bogactwa Krezusa. Mówi się, że za tamtych czasów biedak, który pokonał wpływ Paktolos, na drugi brzeg wychodził bogaty, tyle złotego piasku utkwilo mu między palcami nóg.

- A teraz?

- Kiedy teraz dręczony złym losem biedak pokona tę rzekę, nie tylko pozostanie biedny, ale jeszcze się zmoczy do nitki.

Cień uśmiechu rozjaśnił oblicze Barsine.

- Ty wymyśliłeś tę historię czy Herodot?

Memnon wzruszył ramionami.

- Nie skreślaj jej od razu. Krezus naprawdę był bajecznie bogaty.

- I nieszczęśliwy - dodała. Jej uśmiech zniknął. - Tragicznie nieszczęśliwy. -

Westchnęła. Jej wzrok przesunął się z ciemnej doliny na szkarłatne niebo. - Chciałabym wrócić do Pełli, Memnonie. Samo to, żeby usiąść w ogrodzie, posłuchać koników polnych i cykad, obejrzeć tańczące nad konarami wierzb świetliki byłoby warte tysięcy fortun Krezusa. - Skłoniła głowę, zniżyła głos do szeptu. - Czy już czas?

Memnonowi zrobiło się jej żal.

- Kiedy Chafr mnie znalazł, magowie szykowali się do ofiary - powiedział. Przysunął się bliżej i objął ją ramieniem. Chętnie przyjęła ciepło jego uścisku. - Nie potrafię sobie wyobrazić, jak musisz się czuć. Kobięcy obowiązek poświęcenia wolności dla dobra rodziny wymaga tak ogromnej odwagi, że większość mężczyzn nawet nie potrafi tego pojąć. Nie będziesz niewolnicą haremu Mentora, podobnie jak nie była nią Dejdamia w domu Artabazosa. Mój brat jest na to za mądry.

- Nawet mądrzy mężowie żyją w okowach tradycji - powiedziała Barsine. Łzy zabłysły jej na rzęsach. Osuszyła je dłonią. - Spójrz na mnie. Znow płaczę. Musisz być znużony tym wiecznym pocieszaniem mnie.

Memnon się uśmiechnął. Łagodnie otarł resztki jej łez.

- Tak, jesteś strasznym brzemieniem - powiedział, puszczając do niej oko.

- Barbarzyńca. - Uderzyła pięścią w jego brązowy kirys.

- Byłbym marnym przyjacielem i paskudnym krewnym, gdybym nie potrafił cię pocieszyć - rzekł, marszcząc czoło. - Ale uciesz się, kiedy to widowisko będzie się miało ku końcowi. Wtedy, gdy przyjdzie kres zamieszania, sama się przekonasz, że żyjąc w Sardes jako żona Mentora, nie będziesz skazana na taki koszmar, jaki sobie teraz wyobrażasz.

Z oddali dobiegły dźwięki srebrnych trąb. Był to sygnał, że pochód panny młodej zaczyna się formować. Barsine westchnęła i skinęła głową.

- Powinieneś iść. Mentor znacznie się zastanawiać, gdzie się podzie-wasz. - Uściskała go ostatni raz. - Dziękuję ci, Memnonie, za wszystko - szepnęła, po czym wypuściła go i popchnęła do drzwi.

Przystąpiła do ostatnich przygotowań.

Memnon przystanął w progu, obejrzał się. Znów opanowana i pełna wdzięku Barsine uniosła z kobierca naszywany perłami welon i nałożyła go na głowę. Smutny uśmiech przemknął przez twarz Rodyj-czyka.

- Barsine. - Uniosła wzrok na dźwięk swojego imienia. - Mentor jest szczęśliwszy, niż jakkolwiek mężczyzna ma prawo być. Jesteś córką królów i niech Zeus ma go swojej opiece, jeśli nie będzie cię traktował jak należy.

Skinął głową, odwrócił się i zniknął za drzwiami.



Ceremonia była orgią przepychu i splendoru. Trębacze dęli w instrumenty, napelniając powietrze srebrnymi kaskadami dźwięków, gdy panna młoda przybyła w eskorcie rodziny. Zeszła do ogrodu monumentalnymi schodami, zdobionymi rzeźbami opowiadającymi o długiej i ciekawej historii Lidii. Dziewczynki rozrzucające kwiaty wyścielały jej drogę płatkami róż, podczas gdy woń kadzideł barwiła powietrze, unosząc się z kadzielnic. Pochód wił się przez ogród; mijani mężczyźni szepotali między sobą, podziwiając urodę córki Artabazosa.

Memnon jako najbliższy krewny pana młodego odgrywał rolę głowy rodziny. Nie był jednak sam. Mentor wezwał krewnych z drugiej strony Morza Egejskiego. Otaczało go kilkunastu kuzynów, których ledwo znał. Byli tam władca lesbijskiej Metymni, Arystonimos, krewny ich matki, Simmias z Efezu i rodyjski dowódca najemników, który jak Memnon podejrzewał, pewnie był bękartem Mentora, patrzący ponuro Tymondas.

Sam pan młody stał u podstawy podium, oniemiały na widok okrytej białym welonem Barsine, sunącej przez tłum. Memnon kątem oka dostrzegł, jak król pochyla się na tronie i z obleśnym błyskiem w oczach oblizuje wargi. Rodyjczyk wbił paznokcie w dłonie, hamując pragnienie, aby wskoczyć na podium i udusić tę rozwiązłą ropuchę.

Pochód zatrzymał się w przepisowej odległości i złożył pokłon królowi, zanim dwaj magowie podprowadzili go przed oblicze Mentora. Barsine zrobiła krok dalej. Tylko Memnon widział, jak bardzo jest zdenerwowana, w oczach reszty promieniowała nadludzkim spokojem, gdy magowie, którym towarzyszyli słudzy z lśniącymi wazami, oczyścili młodych gałązkami mirtu i śpiewnymi modlitwami.

Kapłani zakończyli rytuał i wycofali się. Szurając nogami, wsparty na lasce podszedł trzeci mag, wiekowy i zgięty. Gestem błogosławieństwa uniósł pomarszczoną dłoń. Jednak głos, który się dobył z zapadłej piersi, był pełen mocy:

- Kto przemawia w imieniu tego pana młodego, Mentora, syna Timokratesa?

Wystąpił Memnon. Kiedy odpowiadał, czuł przepelniające pierś przejęcie.

- Ja. Jestem Memnon, syn Timokratesa, jego brat.

Stary mag mówił dalej.

- Kto przemawia w imieniu tej panny młodej, Barsine, córki Ar-tabazosa?

- Ja - odrzekł Artabazos. - Jestem Artabazos, syn Farnabazosa, jej ojciec.

- W obecności tego zgromadzenia - rzekł stary kapłan, odwracając oblicze o sokolich rysach i patrząc na Memnona - które zebrało się w Sardes, dwudziestego dnia Tiszritu, w siedemnaście lat po wyniesieniu na tron Jego Królewskiej Mości, powiedzcie, czy zgadzacie się na oddanie tej panny, Barsine, córki Artabazosa, za żonę temu panu młodemu, w zgodzie z wolą błogosławionego Ahuramazdy i prawami naszego czcigodnego króla królów.

Ona jest jego nagrodą, jego łupem wojennym, pulsowało w głowie Memnonowi.

- Zgadzam się - powiedział Memnon, zaciskając mocno szczęki.

Mag zmierzył Artabazosa spojrzeniem załzawionych oczu.

- Czy ty i twoja rodzina prawego umysłu i nieskazitelni w myślach, słowach i uczynkach zgadzacie się oddać na zawsze tę pannę młodą Mentorowi, synowi Timokratesa?

Artabazos skinął głową. Miał łzy w oczach, gdy rzekł:

- Zgadzamy się.

Stary mag podszedł do Barsine, ujął jej rękę i wcisnął ją w szorstką pięść Mentora.

- W takim razie mówię wam te słowa, oblubienico i oblubieńcze! Zachowajcie je w pamięci: cieszcie się dobrym życiem, postępując wedle woli błogosławionego Ahuramazdy i praw naszego czcigodnego króla królów. Niech każde oblecze drugie w szatę prawości. To zapewni wam szczęście w życiu.

Uklonił się przed królem.

Ochos wstał i zszedł z podwyższenia. Położył ręce na ramionach młodej pary.

- Niech Bóg miłosierny błogosławi wasz związek i zapewni wam długie szczęśliwe, długie zdrowe i długie płodne życie. Radujcie się!

Tłum gości zahuczał. Trąby zagrzmiały triumfalną fanfarą, konkurując z aplauzem i głośnymi życzeniami zdrowia, płodności i długiego życia. Członkowie obu rodzin zbliżyli się; Persowie wymieszali z Grekami; Artabazos ścisnął córkę i zięcia, dziękował królowi za błogosławieństwo.

- Gdybym wiedział, że twój ogród kryje taką niezwykłą urodę, mój stary przyjacielu - rzekł Ochos, klepiąc Artabazosa po ramieniu - dawno bym ci wybaczył! - Królewskie oko długo kleiło się do Barsine, podczas gdy dworzanie odprowadzali władcę.

Memnon z niewymuszonym wdziękiem rozmawiał z falującym tłumem gratulujących, ulegając jego przypiływom i odpływom, tak że coraz bardziej się oddalał od młodej pary. Dostrzegł nad głowami gości, że Barsine szuka go wzrokiem; podobnie Mentor - niewątpliwie przed udaniem się do małżeńskiej sypialni chciał zamienić słowo z bratem. Jednak Memnon pozwolił tłumowi wypchnąć się na obrzeża uroczystości.

Gdy stał pod rozległymi konarami ogromnego platana i patrzył, jak Mentor prowadzi oblubienicę po schodach, podszedł doń Chafr.

- To nie mogło być łatwe - zauważył.

- Co masz na myśli?

Egipcjanin przysunął się bliżej.

- Znam niewielu mężczyzn, którzy potrafili oddać przedmiot pożądania swojego serca komuś innemu i zachować opanowanie. Nie wyobrażam sobie, ile kosztuje ten wysiłek.

- Nie gadaj bzdur - powiedział Memnon. Kopnął korzeń drzewa. - Jest żoną mojego brata.

- I co z tego? - Chafr się uśmiechnął i pokręcił głową. - Zapomniałeś lekcji sprzed lat. Chociaż nie jestem już niewolnikiem, mam jeszcze oczy i uszy. Jeśli się umie trzymać je otwarte, a usta zamknięte...

- Można się dowiedzieć niebywałych rzeczy - skończył za niego Memnon, zamykając oczy. - Zaraza na wszystkowidzących Egipcjan, najsprytniejszych pośród ludzi. Co jeszcze

wiesz? Czy moja perfidia stała się pożywką dla plotkarzy i głupców?

- Może i jestem wszystkowiedzący - przyznał Egipcjanin, jeżąc się - ale nie plotkarzem.

Wiedza o twojej zgryzocie nie wydostanie się poza krąg, który obejmuje tylko ciebie i mnie.

Memnon westchnął.

- Wybacz mi, Chafrze. Nie zamierzałem podawać w wątpliwość twojej dyskrecji. Jak odkryłeś...

- Znam moich przyjaciół i wiem, kiedy przeżywają mękę. Co mogę zrobić?

- W tym wypadku nic - odparł Memnon, wzruszając ramionami. - Ale możesz się ze mną napić. I pić, dopóki nie wysuszymy całego wina w Sardes. - Rodyjczyk wezwał przechodzącego sługę i kazał podać dzban. - Chcę, żeby ta noc zatarła się w mojej pamięci.

Nie poranne słońce, przebijające przez liście platana obudziło Memnona, ani chrapanie towarzyszy, z którymi przebalował noc. Dokonało tego niezbyt łagodne kopnięcie w żebra. Z trudem rozwarł powieki i przetoczył się z brzucha na plecy. Kończyny miał zeszywniałe i niechętnie do współpracy.

Stał nad nim Mentor.

- Podnieś się, bracie - rozkazał. Pod rozpiętą czarną szatą miał tylko zwykłą żołnierską spódniczkę. Okryta siwizną pierś była naga.

- Co się dzieje? - wychrypiał Memnon. Odchrząknął i splunął, oczyszczając gardło.

- Rusz się, wstawaj. Musimy pogadać.

Memnon z trudem usiadł. Jego kirys przepadł, a chiton kleił się do ciała, nadal mokry po durnej eskapadzie, w której miały udział niewolnice i ogrodowa fontanna. Memnon nie pamiętał niczego wyraźnie. Niektórzy z leżących opodal biesiadników wracali do przytomności. Znał twarze garstki, ale większości nie kojarzył. Chafr pośród korzeni platana przeklinał w rodzimym języku promienie słońca; rozciągnięty na jednym z kilku kobierców, które udało im się sprokurować, Arystonimos czknął i odganiał się od muchy, która brzęczała mu przy uchu. Farnabazos leżał w objęciach dwóch kobiet, podczas gdy Tymondas z głową na piersiach siedział pod ogrodowym murem. Przez sen wydawał rozkazy musztry.

- Wczoraj udało ci się zorganizować nielichą zabawę - ocenił Mentor, rozglądając się po rozciągniętych ciałach. - Chociaż nie wydaje mi się, żeby Spitrydates pochwalał to, że deprawowałeś jego dziewczki służebne i obeszczaleś kwietnik z azaliami. Szkoda, że nie mogłem zaszaleć z wami.

Memnona dźgnął nagły niepokój.

- Gdzie Barsine?

- Już wstała i się krząta - powiedział Mentor. - Zaczny kuzyn Simmias zaoferował się towarzyszyć na targ jej, Dejdamii i dzieciom, żeby z pierwszej ręki mogli poznać cuda Sardes. Na wszelki wypadek wysłałem z nimi gwardzistów. - Na twarzy Mentora pokazał się dziwny wyraz. - Jest... niepodobna do żadnej z niewiast, które znałem.

- Chcesz powiedzieć, że jest wykształcona?

Mentor wyszczerzył zęby w uśmiechu i poderwał brata na nogi.

- Widzę, że wygnanie nie wyleczyło twojego ostrego języka. Może zadanie, które mam dla ciebie, okaże się skuteczniejsze.

Memnon wsparł się na ramieniu brata, po czym chwiejnym krokiem podszedł do fontanny, ukląkł przy niej i spryskał twarz wodą.

- Jakie zadanie?

Mentor potrząsnął głową, wskazując mężczyzn leżących po całym ogrodzie.

- Przejdź się ze mną, bracie.

Memnon udał się za nim do ogrodowego muru. Schodki prowadziły na jego szczyt. Jasne

poranne słońce oświetlało dolinę Hermosu. Winnice i sady zajmowały górne tarasy góry Tmolos, w dole wiły się uliczki, przy których stały domy z niewypalanych cegieł. Paktolos dzielił Sardes na połowy, przepływając przez agorę i dzielnicę kupiecką. Tam robotnicy robili z czerwonego rzeczno-mułowego terakotowe płytki, z których miasto słyęło. Kupcy organizowali ich wysyłkę łądem czy też morzem na wybrzeże Jonii i Morza Egejskiego. Jak na ironię, większość domów robotników pokryta była glinianymi ceglami, związanymi słomą.

Memnon wciągnął w płuca miły powiew północnego wiatru.

- Obawiasz się szpiegujących uszu? - spytał.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi - rzekł Mentor. - Król wyjechał polować do Zelei i zabrał ze sobą większość wielmożów. Artabazosa też. Dzisiaj muszę cię opuścić, jeśli nie chcesz, żeby te pasożyty, które on nazywa satrapami, zniweczyły moje wysiłki. Większość z nich gotowa się kłócić, jak najlepiej wylać z buta szczyny, a żaden nie wpadłby na pomysł, żeby odwrócić go podeszwą do góry.

- Dziwię się, że król o reputacji Ochosa toleruje takie zakulisowe rozgrywki.

- Toleruje? Ten odziany w złoto szakał jeszcze do nich zagrzewa! Jest przekonany, że jeśli dworzanie będą się zajmować spiskowaniem przeciwko sobie, nie wystarczy im czasu, żeby spiskować przeciwko niemu. Powiedziano mi, że za czasów ojca Artabazosa było tak samo.

- Ksenofont zapisał wiele zwojów o starym Farnabazosie i jego rywalach, innych satrapach, ale nie potrafię ocenić, na ile można mu zaufać. O jakim zadaniu wspomniałeś?

Mentor oparł się o blanki i spojrział w dal.

- Wygląda na to, że mamy przeciwko sobie własnego Agesilaosa. Filip jest bliski zwycięstwa w Tracji. Gdy je osiągnie, ruszy na Cherso-nez. Ciekaw jestem, czy zadowolony się wybrzeżem europejskim?

Memnon potrząsnął głową.

- Czemu miałby się zadowolić, skoro może mieć też greckie kolonie w Azji? Przekroczy Hellespont, bracie. Nie lędz się. I to nie Agesilaos. Nie będzie nacierał to tu, to tam, aż się zmęczy albo aż zapłacimy jego wrogom, żeby go przymusili do powrotu do ojczyzny. Filip przybywa po ziemię, złoto i krew.

- W takim razie musimy być gotowi - rzekł Mentor. - Kuzyn Arystonimos zaprzysiął swoje miasto naszej sprawie. Jego obowiązkiem będzie podporządkować resztę Lesbos. Tymondasa wysyłam na przylądek Tajnaron, na Peloponezie. Dostanie tyle złota, żeby nająć każdego niezadowolonego Greka między Sardes a Termopilami.

Chociaż Tymondas zapewne był jego bratankiem z nieprawego łoża, Memnon nie poznał go na tyle, aby móc osądzić jego charakter. Nieuczciwy człowiek z taką kiesą mógł zniweczyć plany Mentora.

- Ufasz mu?

Mentor skinął głową.

- Poleciałem mu również, aby w Syrakuzach porozumiał się z Patronem. Ten fenicki łobuz zmitrężył dość czasu w objęciach kartagińskich dziwek. Pora wrócić i zrobić coś pożytecznego.

Memnon pogładził brodę; patrzył poza najdalszy horyzont, rozważając problemy logistyki i aprowizacji.

- Sami najemnicy nie wystarczą, jeśli chcesz powstrzymać Filipa - orzekł.

- Staralem się przekonać króla, by sprowadził flotę z Cypru na Morze Egejskie. Jak do tej pory Spitrydatesowi i Rojsakesowi udawało się blokować moje usiłowania... upierdliwe sukinsyny! - Mentor splunął, wykrzywiając twarz w grymasie obrzydzenia. - Zeusie, uchron mnie przed ich niekompetencją! Dlatego jesteś mi potrzebny. Musisz udać się na północ, do Troady.

Musisz powstrzymać państewka, którym moi koledzy satrapowie tak szlachetnie pozwolili się rozwinąć. Chodzi o te, które są gotowe przejść na stronę Filipa. Tak Macedończyk nie przywłaszczy sobie kolejno tego, na co nigdy nie miałby szans w całości. Trzeba przypomnieć Troadzie, kto jest jej prawdziwym panem!

Memnon spojrział ku północy, mrużąc oczy, gdy plan działania wykuwał się w jego umyśle.

- Wiem, od czego zacząć - rzekł.

Rozdział szesnasty

Galera zataczała się jak pijana, pokonując wzburzone fale tłukące o północny skrawek wyspy Lesbos. Metymna leżała za rufą; po drugiej stronie cieśniny, siedem mil dalej, szary welon deszczu zasłaniał Assos i azjatyckie wybrzeże. W poświstach lodowatego, ostrego wiatru flecista zrezygnował ze swego instrumentu i podawał wioślarzom rytm, bijąc w skórzany bęben. Memnon przyglądał się ich wysiłkom, ukryty jako tako w pokładówce.

Chociaż przybycie zimy, częstych sztormów i przeciwnych wiatrów zagoniło część statków do portów, żeglarze z Metymny rutynowo robili krótkie kursy do Assos i z powrotem. Przy dobrej pogodzie wyprawa trwała niecałą godzinę - teraz dłużyła się z winy pędzących z północy złośliwych szkwałów.

- Tetys nas zaprowadzi - powiedział wcześniej kapitan, posyłając pocałunek umieszczonej na rufie rzeźbie bogini.

Memnon modlił się, żeby żeglarz miał rację. Wypadek na morzu pogrzebałby jego misterne plany.



- Udało ci się - rzekł Arystonimos, gładząc list dostarczony do Metymny szybką łodzią kurierską.

Memnon przerwał rozmyślenia nad mapą Troady i podniósł wzrok.

- Wzbudziłeś zaciekawienie eunucha - wyjaśnił Arystonimos. - Posyła ci wyrazy uznania i zaprasza za miesiąc do siebie, do Assos, na świętowanie Lenajów.

Memnon pogładził zarośnięty podbródek.

- Połknął przynętę, to pewne, ale zastanawiam się, co go zainteresowało? To, że jestem zaprzysięgłym wielbicielem filozofii, czy to, że byłem buntownikiem i żołnierzem?

- Jakie to ma znaczenie? - spytał Arystonimos, krzywiąc się. - Gmatwasz sprawę swoimi spiskami i tajemnicami. Podczas Lenajów rządzi Dionizos. Eunuch będzie kierował ceremonią w teatrze, pozbawiony straży, rozluźniony i pijany. Wystarczy ci jeden odważny dureń uzbrojony w nóż...

- Gdybym był zainteresowany tylko opanowaniem Assos, kuzynie, wtedy być może miałbyś rację. Ale zasztyletowanie eunucha podczas partii chóru w *Lizystracie* nie pozyska nam Sigejon, Troi, Abydos czy kilkunastu innych miast, które trzyma pod butem. Zamordowanie Hermiasza nie dałoby nam nic poza zamieszkami i natychmiastowym wybuchem wojny. A Mentor właśnie temu usiłuje zapobiec.

- To byłoby prostsze - burknął Arystonimos.

- Prosta droga - zauważył Memnon - nie zawsze jest najbezpieczniejsza.



Rodyczyk oparł się o drzwiczki pokładówki, gdy galera runęła dziobem w przepaść

między falami. Przelewały się przez burty, opływając wioślarzy. Podwoili wysiłki; wyglądało na to, że wiara kapitana w boginię jest usprawiedliwiona, gdyż kiedy statek wspiał się na grzbiet kolejnego morskiego bałwana, Memnon dostrzegł w mgłę zarysy Assos.

Homer nazywał go „stromym Pedasos”, chociaż nawet za czasów Poety nie wiadomo, jaki człowiek, tytan lub bóg wyrzeźbił to miasto w skalistych zboczach górujących nad zatoką Adramyttion. Otoczone murem z trzech stron, z czwartej chronione morzem, Assos było miastem skalnych półek i tarasów, wąskich uliczek połączonych niezliczonymi schodami i publicznymi budynkami z lśniącego marmuru. Na szczycie ufortyfikowanego akropolu, około tysiąca stóp nad portem, Atena Polias trzymała niekończącą się straż w swojej świątyni.

W ciągu godziny galera Memnona wpłynęła na spokojniejsze wody chronionego falochronem portu. Triery wciągnięto na brzeg i zabezpieczono przed zimą drewnianymi zadaszeniami; mniejsze jednostki cumowały przy kamiennych pachółkach falochronu.

Kiedy galera przybiła do nabrzeża, Rodyjczyk wyszedł na pokład. Pod płaszczem z czarnej wełny, gęsto przeszywanej złotą nicią, nosił chiton z podobnego materiału, ściśnięty pasem z grubej skóry. Z lewej strony u pasa zwisała pochwa, chroniąca długi nóż ze srebrną głowicą. Memnon czekał, podczas gdy dwaj żeglarze ustawiali drewniany pomost. Trzeci zabrał kufer podróżny i postawił go na nabrzeżu.

- Wielkie dzięki, kapitanie - pożegnał się Memnon.

Kapitan uśmiechnął się szeroko.

- Powiedziałem ci, że bogini będzie nas strzec. - Odwrócił się i uniósł ręce ku wyrzeźbionej na rufie postaci. - Po trzykroć błogosławiona matko Achillesa, obleczona w złoto pani Nereid...

Memnon zszedł na ląd, podczas gdy załoga dołączyła do peanu kapitana na cześć Tetydy.

Nie zważając na pogodę, grupa mężczyzn szła nabrzeżem do galery Memnona. Niektórzy pewnie mieli interes do pobożnego kapitana, chcieli odebrać niewielkie ładunki z Lesbos lub nadać listy w odwrotnym kierunku, ale Memnon zgadywał, że prowadzący tę grupkę mężczyzna, któremu krok w krok towarzyszył sługa, zmierza prosto do niego. Płaszcz odsłaniał kirys z polerowanego brązu i skórzaną spódniczkę żołnierza. Zatrzymał się w wyrażającej szacunek odległości i uniósł powitalnym gestem rękę.

- Ty jesteś Rodyjczyk imieniem Memnon?

- Ja.

- Świetnie. Jestem Kritias, kapitan straży basileusa. Mój pan polecił mi zaprowadzić cię do pałacu. - Gestem polecił słudze zabrać kufer Memnona. - Proszę za mną, panie.

Odwrócił się i ruszył z powrotem. Jego towarzysze rozstępowali się przed nim.

Z uprzejmością, a nawet autentyczną sympatią Kritias przeprowadził Memnona przez port i dolny stok Assos. Rodyjczyk odwiedził miasto lata temu, zatrzymując się krótko podczas podróży z Fenicji do Macedonii. Teraz nie zauważył wielu zmian. Nawet w samym środku zimy Assos wrzało życiem, jak przewrócony przez nieostrożnego ogrodnika ul. Mieszkańcy i metojkowie biegali w swoich sprawach, przystając u szczytu schodów i na rogach ulic, dzieląc się ostatnimi wieściami - od zwycięstwa Filipa w Tracji po decyzję Aten, które wysłały swojego najpopularniejszego wodza, Charesa, na pomoc Diopej-tesowi na Chersonesie. Memnon pokręcił głową. Chares, pomyślał. Wraz z pojawieniem się tego durnia piractwo znów rozkwitnie na Morzu Egejskim, ale pewnie nie da się temu zaradzić.

Szedł za Kritiasem przez agorę - obszary Assos przeznaczone na cele publiczne zabudowano raczej w stylu doryckim niż jońskim - i kolejnymi schodami. Znalazłszy się na szczycie następnego tarasu, przystanął i spojrzał ku zachodowi. Wiatr od morza zmierzwił mu włosy i płaszcz. Z miejsca w połowie drogi między portem a świątynią Ateny miał widok na

bliźniacze wieżyczki bramy Lekton, a jeszcze dalej na nekropolię i monumentalny park, gęsty od rzeźb i stel. Wśród nich była stela upamiętniająca Timokratesa.

Czy jesteś z nas dumny, ojcze? Czy jesteś dumny ze swoich synów? - zapytał w myślach. Kritias zatrzymał się i odwrócił.

- Panie? Na co patrzysz?

Memnon drgnął.

- Na przeszłość, na nic więcej - odparł, wskazując żołnierzowi, aby prowadził go dalej, do pałacu.

Prawdę mówiąc, w Assos nie było gmachu zasługującego na nazwę „pałac”. Większość domów była niska i pozbawiona wdzięku, zbudowana z niewypalanej gliny i pokryta grubym wapiennym tynkiem. Niektóre wyróżniały się kolorem - zasługa żółto-czerwonych pasiastych markiz nad drzwiami lub skrzynek z ziołami w oknach - ale reszta tworzyła jednolite mrowisko, podzielone załamaniami terenu.

Siedzibę Hermiasza nazywano pałacem tylko dlatego, że jego mieszkaniec tytułował się królem. Była jednak daleka od ekstrawagancji, gdyż Hermiasz równocześnie mienił się filozofem, a do tego zapatrzył się w Platona. Pałac stał pośrodku tarasu. Otaczały go zabudowania dworskich urzędników, którzy rządili miastem podczas królewskiej nieobecności. Gdyby nie portyk strzeżony przez odzianych w półpancerze z brązu włóczników, wyglądałby jak każdy kwartał miejskich zabudowań.

- Muszę cię prosić o oddanie noża, panie - powiedział Kritias, gdy zbliżyli się do portyku. Memnon bez oporu posłuchał wezwania. - Zostanie ci zwrócony, kiedy wyjdiesz. Mam również obowiązek przeszukać cię na wypadek, gdybyś miał przy sobie ukrytą broń. Proszę, nie bierz tego do siebie. Pozwolisz?

Memnon i tym razem zastosował się do życzenia gospodarzy. Pretendujący do tytułu filozofa Hermiasz na drodze do władzy zamordował swojego poprzednika, Eubulosa. Było to bardzo nieplatońskie rozwiązanie - nawet jak na tyrana o perskich sympatiach. Memnon podniósł ręce, podczas gdy Kritias wprawnie obmacał go po bokach, szukając ukrytej broni.

- Czy Hermiasz obawia się o swoje życie?

- Nasz basileus jest ostrożny - odparł Kritias - a bez względu na to, jak dobrotliwy jest władca, zawsze znajdują się tacy, którzy będą mu zazdrościć jego pozycji, desperaci gotowi posunąć się do morderstwa, byle tylko osiągnąć swoje cele. Ja z kolei nie chciałbym, aby ateński zwyczaj mordowania tyranów powtórzył się w Assos.

Chciałeś powiedzieć: „Aby powtórzył się po raz drugi”, pomyślał Memnon.

Uspokojony gwardzista skinął głową i nakazał strażnikom wpuścić Rodyjczyka. Wprowadzono go do kamiennego przedsionka, gdzie sługa odebrał od niego płaszcz, po czym skierowano do długiego wąskiego pomieszczenia pełnego naturalnego i sztucznego światła. Nisze dzieliły ściany zastawione półkami, na których spoczywały niezliczone zwoje. Krążyli przy nich słudzy, odczytując tytuły zapisków. Niektóre zwoje zabierano do stołu, przy którym trzech skrybów sporządzało kopie.

W głębi, przy stole z polerowanego drewna, siedział ciemnowłosy mężczyzna. Za nim trzaskał w koszu ogień. Mężczyzna uniósł do światła pergamin i przeczytał dobitnym głosem:

- Weźcie dalej pod rozwagę, jaką hańbą byłoby pozwolić Azji na większe powodzenie niż Europie, nie-Grekom odnieść większy sukces niż Grekom, pozwolić dynastii znajdy Cyrusa zdobyć tytuł króla królów, podczas gdy Herakles, syn Zeusa, zadowala się skromniejszym stylem. Nie można pozwolić na żadną z tych rzeczy. Należy doprowadzić do czegoś całkowicie przeciwnego.

- Obym dziecienniąty był równie elokwentny, jak Izokrates w tej mowie - powiedział w

charakterze przywitania Memnon, układając rysy twarzy w uśmiechniętą maskę uprzejmości.

Hermiasz, król Troady, z błyskiem rozbawienia w oczach spojrzął znad pergaminu.

- Poznajesz dzieło po drobnym wyimku?

- Izokratesa *Mowa do Filipa* oczywiście - rzekł Memnon. - Wezwanie starego sofisty do zjednoczenia Hellady i zniszczenia Persji. Czytałem to lata temu. Niezwykła proza.

- W samej rzeczy. - Hermiasz odłożył pergamin. Wstał i wyszedł zza stołu. - Ach, Memnonie! Ileż to lat! - Objął Rodyjczyka, jakby całe życie byli przyjaciółmi.

Wykastrowany w młodości Hermiasz najwyraźniej we wczesnym wieku powściągnął apetyt, unikając zwyczajów innych eunuchów, którym upodobanie do jedzenia zastąpiło cielesne przyjemności. Pozostał szczupły, dzięki czemu postarzał się wdzięczniej niż inni, nawet ci, którzy dzielili jego stan. Siwizna pozoczyła krótko przycięte czarne włosy i stara blizna biegła ukośnie przez twarz, zaczynając się nad lewym okiem, przecinając garbek nosa i opadając przez prawy policzek - cięcie mieczem zarobione w bitwie z Karyjczykami, obalające mit, że trzebieńcom brak ognia bojowego.

Również styl ubierania się Hermiasza nie miał wiele wspólnego z ekstrawagancjami, jakich można by oczekiwać u eunucha. Nosił prosty chiton w stylu jońskim, barwy kremowej, przeszywany zwykłą czarną nicią. Sygnet na prawy kciuku był jedyną złotą ozdobą, na jaką sobie pozwolił. Pieczęć z sardonyksu nosiła wizerunek Ateny, przedstawionej jako bogini mądrości, która na uniesionej dłoni trzymała sowę.

- Jestem zdumiony, że w ogóle mnie pamiętasz - powiedział Memnon.

- Któż mógłby zapomnieć najmłodszego... i śmiem rzec, najbłyskotliwszego... syna Timokratesa?

- Jesteś zbyt uprzejmy - odparł Memnon, nie przyjmując do wiadomości zbędnego pochlebstwa przybranego w kłamstwo.

Dawniej Hermiasz nie poznałby Memnona, gdyby Rodyjczyk minął go na ulicy. Tylko Mentor i Artabazos mieli do czynienia z dawnym panem eunucha, Ebulosem, efeskim bankierem, który został tyranem - i przez to z samym eunuchem, jego ulubionym sofistą i kochankiem.

- Chodź - zaprosił go Hermiasz. - Usiądź ze mną i napijmy się. Niewątpliwie pokonywanie cieśniny w środku zimy musiało rozstroić ci nerwy. Kazałem przynieść grzane wino z korzeniami. - Odwrócił się do skrybów i odesłał ich. - Dość na dzisiaj. Niech Stenelos przyniesie nam dobrego wina z Chios, czy może bardziej lubisz wino z Tasos, Memnonie? Nie, niech będzie z Chios.

- Jesteś takim samym znawcą wina jak twój dawny pan - stwierdził Memnon.

Na okamgnienie maska uprzejmości Hermiasza pękła, ukazując kłębiące się pod nią ambicje i wściekłość. Eunuch opanował te emocje równie szybko, jak się pojawiły.

- To jedyna słabość, na jaką sobie pozwalam - rzekł. Uśmiech powrócił mu na usta.

Gość i gospodarz usiedli na sofach i gwarzyli o błahostkach, aż pojawił się sługa z dymiącymi kubkami wina. Po jego wyjściu wrócili do zasadniczej rozmowy.

- Twoje zaproszenie na Lenaje całkowicie mnie zaskoczyło - wyznał Memnon. - Nie spodziewałem się, że taki niezależny i przedsiębiorczy władca jak ty będzie chciał się spotkać z bratem perskiego dowódcy. Teoretycznie jesteśmy skazani na konflikt już z racji pozycji, które zajmujemy.

Hermiasz skłonił na ramię głowę.

- Może i byłaby to prawda, gdybyśmy spojrzeli na naszą sytuację z wąskiej perspektywy ewentualnego współzawodnictwa. Lecz mimo wszelkich różnic ty, twój brat i ja mamy jedną wspólną cechę: jesteśmy Grekami. To by dopiero był smutny świat, gdyby mężowie greckiej

krwi nie potrafili pokonać dzielących ich różnic i uczestniczyć w świętach, które łączą ludzi.

- Dobrze powiedziane - przyznał Memnon, unosząc kubek. - Kierujemy się tym samym przekonaniem, gdy walczące strony składają broń na czas świętych igrzysk w Olimpii.

- Otóż to! - Hermiasz pochylił się ku gościowi, przybierając ton i postawę konspiratora.
- Będę z tobą szczery, Memnonie. Chciałem z tobą rozmawiać również dlatego, że wyjątkowa pozycja, jaką twój brat cieszy się na dworze króla królów, intryguje mnie, a temat perskiej polityki nieskończenie fascynuje! Może podczas święta podzieliłbyś się ze mną jakimiś anegdotami?

Memnon wyczuwał coś w wystudiowanym entuzjazmie eunucha, bezsłowne założenie, że wspólne helleńskie pochodzenie przebija jakikolwiek sojusz z barbarzyńskim królem. Hermiasz bezwiednie się odstąpił. Memnon uśmiechnął się szerzej i skłonił głowę, jak wypadało wdzięcznemu gościowi przed gospodarzem.

- Z największą przyjemnością.

- Znakomicie! - Eunuch klasnął w dłonie i wszedł sługa. - Musisz być wyczerpany.

Pozwoliłem sobie przygotować ci pokoje tu, w pałacu. Stenelos cię zaprowadzi. Dziś wieczór muszę się zająć sprawami państwowymi, tak że niestety będziesz skazany na wieczerzę w samotności. Czy nadal utrzymujesz jakieś przyjaźnie z ludźmi w Assos?

Memnon wypił wino.

- Nie przypominam sobie, ale nie przejmuj się tym, zacny Hermiaszu. Miałbym jednak do ciebie prośbę. Mam do załatwienia sprawę, której kazałem zbyt długo czekać, i potrzebuję latarni, aby oświetlić sobie drogę.

Obaj mężczyźni powstali.

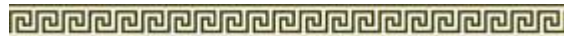
- To dziwna prośba - rzekł Hermiasz. - Jaka to sprawa zmusza cię do wyjścia tak szybko po przyjeździe?

- Rodzinna - odparł Memnon. - Muszę odwiedzić grób ojca.

Eunuch cmoknął i skinął głową.

- Oczywiście. Assos zawsze pamięta o wszystkich jego wzniosłych czynach i oddaje im cześć, ale szacunek społeczności nie może zastąpić czci synowskiej. Stenelosie, zadbaj o to, żeby nasz gość dostał wszystko, czego zapagnie. Osobiście wydam polecenie Kritiasowi, aby cię oczekiwał, kiedy wrócisz po zmroku. A teraz sprawy bieżące. - Hermiasz uśmiechnął się, skłonił głowę i wyszedł z pokoju.

Memnon spoważniał. Czujnym wzrokiem odprowadził eunucha. Nasze sprawy dopiero się zaczynają... pomyślał.



Za bramą Lekton czekali w gęstniejących cieniach zmarli. Posągi ozdabiały groby wielkich i potężnych - nadzy atleci w zwycięskich pozach, opancerzeni żołnierze żegnający żony i matki, żeglarze obserwujący horyzont z dziobów statków dawno temu zagarniętych przez Posejdona. Mniejsze posągi oznaczały groby mężów i niewiast posledniejszego formatu, ozdobione żałobnymi wieńcami lub kwiatami przewiązаныmi lokami żałobników. Ofiarne misy były puste i poprzewracane. Malowane stele zdradzały osobowość zmarłych. Na jednej mężczyzna z synami, na drugim czesząca włosy kobieta przy toaletce. Dziecko na wieczność bawiło się piłką, a para staruszków cieszyła kamiennym ogródkiem. Zmarli czekali, lecz nie narzekali na swój los.

W żółto-dymnym świetle latarni Memnon podszedł do grobu ojca. Stela Timokratesa idealnie oddawała życiową ścieżkę zmarłego. Stał na podium, przemawiając do morza uniesionych głów. Choć nie był to najbardziej kunsztowny pomnik nekropolii, odznaczał się wyjątkową jakością. Ateński mistrz Praksyteles sporządził go ze sprowadzonego z wyspy Paros marmuru.

Śledzony czujnym wzrokiem straży na bramie Memnon ukląkł i postawił na ziemi latarnię. Miał przy sobie koszyk wypełniony na tę okazję przez Stenelosa. Było w nim wszystko, co potrzebne do złożenia hołdu cieniowi ojca - płaska butelka oliwy i druga wina, miodowe ciastko, nowa misa ofiarna i świeży wieniec. Zdjął z grobu stary wieniec i odłożył na go bok, umieścił nowy, po czym zrobił to samo z poszczerbioną misą ofiarną. Zimny wiatr zafalował płomieniem latarni.

- Wybacz mi, ojcze, nieobecność - rzekł syn. - Długo byłem poza krajem, trudząc się na nie mojej ziemi w imię spraw niewartych mych wysiłków. Wkrótce może będę mógł powrócić na twoje ukochane Rodos, gdzie niewątpliwie usłyszę głosy podziwiające twoje dokonania. - Memnon położył ciastko w misie. Odkorkował oliwę i namaścił stelę. - Bądź błogosławiony w królestwie Hadesa i jeśli tam, w dole, potrafią oceniać jak należy, może zostaniesz wyniesiony obok straszliwej i pięknej królowej podziemi. - W końcu sięgnął po wino. - Nie myśl o mnie źle, ojcze, że tak daleko odbiegłem od ścieżki, którą sobie wyobraziłeś. Choć nigdy nie zostanę Alcybiadesem ani Peryklosem, jestem kimś, kim tamci mężowie nigdy być nie mogli... synem Timokratesa. Ten zaszczyt mi wystarczy. Niech Zeus Zbawca i Helios cię strzegą. - Wylał libację na martwą trawę u podstawy steli.

Westchnąwszy, zabrał starą misę i stary wieniec i włożył je do koszyka. Lecz gdy wstawał, dostrzegł ruch poza kręgiem światła, jakby widok siwozłotych włosów. Oddech zastygł mu w gardle. Czy Hermiasz wysłał szpiega? - zapytał się w duchu. Uniósł latarnię.

Światło zamigotało na wysokiej steli z poślizgniętego marmuru.

- Zeusie! - odetchnął Rodyjczyk i roześmiał się pod nosem. - Boję się cieni.

Zabrał koszyk, pomachał strażnikom na bramie i udał się do miasta. Niewątpliwie relacja z każdego jego kroku już doszła do uszu Hermiasza.

Dotarł do pałacu pod koniec pierwszej straży, trzy godziny po zapadnięciu zmierzchu, i jeden z domowych sług eunucha zaprowadził go do jego pokoi. Sprzątnięte i zadbane pomieszczenia świadczyły o niechęci eunucha do zbytku - pokój dzienny z kobierzcami i stołem, sypialnia z materacami na podłodze, wałkami pod głowę i grubymi futrami. Podróżny kufer stał nietknięty w kącie.

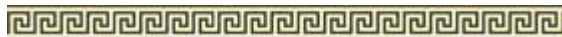
W pokoju dziennym ogień huczał w palenisku. Tace z jedzeniem na masywnym dębowym stole czekały na degustację. W pobliżu stał dzban z grzany winem z korzeniami. Memnon jednak nie skusił się na nic. Podsunął kobierzec bliżej paleniska, usiadł i wyjął z koszyka stary wieniec.

Mrużąc oczy, obejrzał go w świetle płomieni. Wyschnięte liście szeleściły, związane delikatną szarą przędzą. Odwrócił w dłoniach wiązankę, dobrze wiedząc, co znajdzie. Pod spodem przszyto do starej wełny świeżą kieszonkę. Zrobiono to niedawno i z pośpiechem. Memnon wyciągnął nici. Spomiędzy płatków wełny wypadł kawałek pergaminu i spoczął na podłodze. Rodyjczyk cisnął wieniec do ognia i pochylił się po pergamin. Były na nim dwa słowa, naniesione męskim, zdecydowanym charakterem pisma:

Wszystko gotowe.

Memnon odetchnął.

- Chwała ci, Omaresie - szepnął. Rodyjczyk podsunął pergamin do ognia i przyglądał się, jak płonie. Spopielony kawałek roztań między palcami.



- Na psa Hadesa, Memnonie! - Zniecierpliwiony Arystonimos wyrzucił w górę ręce. - Jak usuniesz eunucha, jeśli nie za pomocą skrytobójstwa? To prawda, zapłaci się za to nerwami i ludzkim życiem, ale jak inaczej chcesz osiągnąć zjednoczenie Troady?

Memnon stuknął palcem w mapę regionu.

- Nie. Odrzucam takie podejście. Wierzę, że bez rozlewu krwi zdołam przywrócić Persji Troadę. To będzie wymagało nieco bardziej skomplikowanego planu, odrobiny twórczego myślenia... i zdobycia zaufania eunucha.

Arystonimos roześmiał się.

- Posłuchaj samego siebie! Mówisz jak szaleniec! Jeśli ci się wydaje, że zdobycie zaufania Hermiasza jest takie proste, to niewątpliwie postradałeś zdrowy rozsądek i powinieneś niezwłocznie wrócić do Sardes, do brata!

- Jestem całkowicie zdrow na umyśle, kuzynie - odparł Memnon, uśmiechając się. - Całkowicie zdrowy na umyśle i całkowicie pewny, że nie tylko zdołam zdobyć zaufanie Hermiasza, ale nie zajmie mi to więcej niż godzinę.

Śmiech Arystonimosa zgasł. Gospodarz z powagą wpatrywał się w uśmiechniętą twarz Rodyjczyka, marszcząc brwi. Był zaskoczony pewnością siebie krewnego. Czyżby miał dostęp do jakiejś tajemnicy ukrytej przed innymi?

- Godzinę mówisz? Jak?

Memnon powrócił wzrokiem do mapy.

- W Assos mieszka człowiek, którego znam od czasu rebelii Artaba-zosa. To jeden z dowódców Mentora. Powiem krótko, nie spotkałem równie godnego zaufania człowieka. On z kolei zna w tym mieście kilkunastu innych, którzy są w rozpaczliwej sytuacji. Ludzi poprzedniego reżimu, prześladowanych i do cna zubożałych pod rządami eunucha. Jestem pewien, że znajdę idealnego pionka do naszej rozgrywki.

- Kto jest tym idealnym pionkiem?

- Człowiek, którego odwaga dorównuje głupocie - odparł Memnon.



Następny dzień, dzień Lenajów, wstał pochmurny i zimny. Memnon obudził się wcześniej i w gabinecie eunucha zjadł z gospodarzem śniadanie. Ich rozmowę nieustannie przerywali

urzędnicy, domagający się uwagi władcy. Memnonowi wydało się dziwne, że król o zacięciu filozoficznym nie roztrząsa głębiej codziennych spraw państwa. Wyglądało to tak, jakby ich słowa wpadały mu do głowy jednym uchem, aby natychmiast wylecieć drugim. Jeśli któryś z podwładnych potrzebował talent srebra na jakiś idiotyczny cel, eunuch wierzył mu na słowo - wystarczyło, że urzędnik był zwolennikiem nauk Sokratesa i Platona. Wyznawców teorii rywalizujących myślicieli traktowano jak wrogów państwowych.

- Mimo całego mojego podziwu wobec Izokratesa - rzekł Hermiasz, gdy wyszli z pałacu, kierując się do teatru - nigdy nie pozwoliłbym mu zarządzać krajami pod moją kontrolą. Czy wyobrażasz sobie, do jakiego zamieszania by doszło, gdyby zdecydował się wykorzystać swój literacki arsenał przeciwko autokratom i tyranom?

- Mądra decyzja - mruknął Memnon.

Szli ramię w ramię, za nimi dworacy i pochlebcy Po bokach kroczyła dowodzona przez Kritiasa gwardia basileusa. Nawet poranna ulewa nie mogła przygasić entuzjazmu tłumu wlewającego się do teatru. Mimo zachmurzonego nieba panowała świąteczna atmosfera, kakofonia głosów ludzi zadowolonych, że mogą oddać cześć Dionizosowi. Tego roku sporą cześć obchodów przeznaczono na konkurs komedii - pięć sztuk na attycką modłę, odegranych przez najlepszych aktorów całej Hellady, w tym Tettalosa z Aten i Nikosa z Olintu. Muzycy stroili przed proscenium instrumenty. Tłum rozkładał poduszki, zasłony przed deszczem i torby z jedzeniem, rozsiadając się na widowni.

Pięć tysięcy widzów zajęło wznoszące się rzędami ławy, przeważnie obywatele i zagraniczni goście, wymieszani z garstką heter, które wbrew nakazom moralności pokazały się publicznie ze swymi faworytami. Huczna, powszechna owacja powitała przybycie Hermiasza. Odpowiedział na nią uniesieniem dłoni i usiadł. Straż dyskretnie usunęła się na bok. Następnie odbyła się parada bogów, prowadzona przez Dionizosa; kapłani złożyli ofiary i odczytali wróżby, ogłaszając, że ten dzień jest błogosławiony.

W tym czasie Memnon przypatrywał się widowni. Raz czy dwa chyba dostrzegł Omaresa i jego synów, ale nie był pewien czy to oni; jednakże nie uczynił niczego, co zwróciłoby ich uwagę. Podczas pierwszej sztuki, *Lesbii*, sprośnego dziełka Eupolisa, widzowie byli weseli i rozbawieni. Który jest moim pionkiem? - zastanawiał się Memnon, popatrując na bliższych sąsiadów.

- Nikos z Olintu to doskonały Faon, nie sądzisz? - spytał Hermiasz, ledwo poruszając ustami. Wydawał się pochłonięty sztuką. - Prawdziwy skarb, chociaż Eupolis nudzi mnie do łez.

- W samej rzeczy - odparł Memnon. - W teatrze wołę od komedii tragedię.

- Podobnie jak ja. Ponieważ obaj się nudzimy, może podzieliłbyś się ze mną jakąś opowieścią - zaproponował eunuch. - Opowiedz mi, jak twój brat zyskał wdzięczność króla królów.

I tak głosem niewiele silniejszym od szeptu Memnon opowiedział Hermiaszowi, jak Mentor podbił Egipt. Nie musiał wiele ozdabiać relacji, chociaż dodał szczegóły o intrygach i mordach, które być może Chafr pominął w swoim raporcie. W sumie zajęło to tyle czasu, że gdy dobrnął do finału, Eupolis już dawno się skończył, a akcja Arystofanowych *Żab* dobrze się rozwinęła.

- Niezwykłe - powiedział Hermiasz, wysłuchawszy Memnona. - Chcesz powiedzieć, że rządzi prawie całą zachodnią Azją?

- Nie „prawie”. Jest dowódcą zachodnich armii króla królów i satrapą satrapów. My... Artabazos i ja... zostaliśmy ułaskawieni tylko dlatego, że takie było pragnienie Mentora. Brat chce ułaskawienia innych Greków, którzy niegdyś byli w opozycji wobec Persów, i po cichu nadaje im znaczące stanowiska.

- W jakim celu?

Memnon przez chwilę przyglądał się aktorom. Po dialogach przyszła kolej na finalną pieśń chóru.

- Ochos to starzec. Mentor się obawia, że gdy umrze, następcy nie będą patrzeć życzliwym okiem na jego ulubieńców. Chce sobie zagwarantować silną pozycję w przyszłej konstelacji władzy, czy to za pomocą łapówek, czy poprzez małżeństwo, czy użycie siły.

Hermiasz wydawał się zamyślony. Jego pobliżniona twarz była pełna powagi. Jednak Memnon wiedział, że tymi ostatnimi wymysłami złapał go na wędkę. Sojusznik Filipa nie mógł prosić o dar większy niż wieści - na dodatek godne zaufania - o dającym się wykorzystać rozłamie w najwyższym dowództwie perskiej armii. Nęciły go jak złodzieja otwarte drzwi.

- Śmiały ten twój brat - rzekł. - Śmiały i dalekowzroczny. Niewątpliwie wielu mężów na azjatyckim brzegu jest gotowych nawiązać z nim kontakt, a znam przynajmniej jednego w Europie, który z ochotą przywita silnego greckiego sojusznika po tej stronie Hellespontu.

Memnon spojrział z ukosa na eunucha, marszcząc brwi, jakby ta myśl nigdy nie powstała mu w głowie.

- Chodzi ci o Filipa?

Milczenie Hermiasza mówiło więcej niż wszelkie wyjaśnienia.

Sztuka zmierzała ku końcowi i aktor grający Ajschylosa, teraz uwolnionego z Hadesu, po całej serii komicznych przygód Dionizosa i jego sługi, wygłaszał ostatnią kwestię.

- I pamiętajcie - mówił, nadymając się - nie pozwólcie temu nikczemnikowi... temu kłamcy, błaznowi... usiąść na mym tronie ani...

Pionek Memnona wybrał ten moment, aby uderzyć.

Rodyjczyk kątem oka dojrzał nad lewym ramieniem eunucha nadchodzącego człowieka. Pozornie nie różnił się od innych widzów; był otulony w płaszcz, zarumieniony od chłodnego powietrza i wypitego wina. Może przyciśnięty przez naturę szukał ustronnego miejsca. Czapkę z psiej skóry naciągnął na łysiejącą głowę. Jednak gdy mijał Hermiasza, Memnon dostrzegł wykrzywający mu twarz spazm nienawiści. Błysnęło żelazo.

- Śmierć tyranowi! - wrzasnął skrytobójca.

Memnon rzucił się do działania, ledwo wybrzmiały te słowa. Odciągnął zaskoczzonego Hermiasza poza zasięg broni atakującego. Eunuch padł jak kłoda na kamienną podłogę.

- Straże! Chronić króla!

Aktorzy i widzowie cofnęli się, kobiety wrzasnęły.

Skrytobójca zadał cios, raniąc Rodyjczyka w lewy biceps; zanim zdołał wyciągnąć ostrze i znów uderzyć, Memnon chwycił go za uzbrojoną rękę i wykręcił ją. Poczł pod palcami, jak kość tamtego pęka. Broń upadła z brzękiem u stóp walczących. Mężczyzna zawył z bólu i usiłował wydrapać Memnonowi oczy, ale Rodyjczyk odchylił głowę i odepchnął go tak, że runął pod nogi nadbiegającej straży.

Poderwał się do ucieczki, ale w tej samej chwili dosięgła go włócznia Kritiasa. Przebiła klatkę piersiową i wyszła plecami. Mężczyzna padł na ziemię, wijąc się, plując krwią tętniczą i przeklinając przed oczami bogów.

Kolejni gwardziści wpadali do teatru, blokując wyjścia i odpychając falujący tłum, podczas gdy organizatorzy i aktorzy usiłowali zaprowadzić spokój. Memnon pomógł wstać eunuchowi.

- Jesteś ranny?

- N-nie... cały. - Hermiasz uniósł wysoko ręce, tak aby tłum go zobaczył. - Jestem cały!

- Jednak pobliżniona twarz spopielała, gdy się pochylił nad trupem i przyglądał jego twarzy. - Kto to?

- Pewnie jakiś stary zwolennik Eubulosa, chociaż wydawało mi się, że pozbyłem się resztek tego ścierva. - Tyran obejrzał się na Mem-nona, który ścierał krew z rozciętego ramienia; niepokój sprawił, że Hermiasz odzyskał kolory. - Chodź, drogi przyjacielu. Trzeba zaszyć tę ranę. Kritias! Przejdźcie!

Memnon przystanął nad trupem, zastanawiając się, jak jego pionek się nazywał i czy jego krewni byli w teatrze. Czy był prawdziwym męczennikiem, czy tylko zdesperowanym rzeźmieszkiem chciwym złota i sławy? Motywy były nieważne, pionek wykonał swój obowiązek.

Teraz mam zaufanie Hermiasza, pomyślał.



Wiosna wcześniej przybyła do Troady. Dwa miesiące po Lenajach statki wyruszyły z portu w Assos, pękate jednostki kupieckie, a po nich smukłe triery udające się do Aten, Pełli, Syrakuz. Niektóre odważyły się nawet zapuszczać na pilnowane przez Persów wody Cypru, licząc na wymianę greckiej wełny i brązu na egipski len i złoto. Lecz dla Memnona początek wiosny oznaczał koniec pobytu u Hermiasza.

- Załatwione - oznajmił Rodyjczyk, nie czekając na anonsowanie. Pewnym krokiem wszedł do rozświetlonego gabinetu eunucha. - Mentor zgodził się na spotkanie.

Hermiasz wyprostował się na krześle, gładząc podbródek poplamionymi atramentem palcami.

- Kiedy?

- W połowie miesiąca, w mojej posiadłości koło Adramyttion. Niepokoją go wieści o otwartej wojnie między Atenami i Filipem i chętnie zawarłby sojusze, których mógłby być pewien.

- Czemu tu się nie pojawi?

- Z tego samego powodu, z którego ty się nie pojawisz w Sardes - odparł z lekkim uśmiechem Memnon. - Każdy z was lęka się zdrady. Adramyttion jest neutralne. Moja posiadłość jest na uboczu, z dala od innych, tak że możecie spokojnie, po ludzku porozmawiać. Mentor proponuje warunki jak podczas pertraktacji pokojowych. Każda strona zjawia się z dziesięcioma żołnierzami... chociaż on będzie miał tylko dziewięciu, gdyż ja będę dziesiąty. Spotkanie będzie zorganizowane jak każde przyzwoite attyckie sympozjon, jak wypada szlachetnym mężom waszej rangi. Wyślę wcześniej zawiadomienie i każę wszystko przygotować.

Hermiasz spojrział nieufnie na Rodyjczyka.

- Nie miałem pojęcia, że dysponujesz majątkiem w pobliżu Adra-myttion.

- To dar Artabazosa. Przyda mi się, kiedy będę zbyt stary i siwy, aby podążać tam, dokąd prowadzi żądza chwały - odrzekł Memnon, nie zamierzając wyjaśniać, że widział posiadłość tylko raz i to z daleka. - Czyżbyś się wahał?

- Nie - odparł Hermiasz. Zmarszczka niepokoju przecięła mu czoło. - Oczywiście że nie. Od czasu... od czasu tamtego incydentu w teatrze nieśpieszno mi odwiedzać miejsca, które nie są pod moją całkowitą kontrolą. Ale jestem pewien, że wszystko wygląda tak, jak mówisz.

- Ręczę za bezpieczeństwo - powiedział Memnon. Usiadł na kobiercu blisko stołu eunucha, starannie ukrywając zdenerwowanie. - Na dodatek będziesz miał dziesięciu wybranych przez siebie strażników plus mnie jako zakładnika. Gdyby nawet Mentor zamierzał cię pojmać, nie ruszyłby palcem, póki ja jestem pod twoją władzą. - Rodyjczyk szeroko się uśmiechnął. -

Może nie na wiele się nadaję, ale na pewno będę doskonałym zabezpieczeniem.

Hermiasz wstał i zaczął chodzić po gabinecie.

- Nie jesteś zakładnikiem, przyjacielu, i jesteś czymś więcej niż tylko zabezpieczeniem. Ufam twojemu sądowi w tych sprawach. - Nagle się uśmiechnął. - Sympozjon, co? A może powinienem okroić liczbę strażników do siedmiu i zaprosić trzech uczonych przyjaciół? Oczywiście, godnych zaufania.

- Doskonała myśl - powiedział z ulgą Memnon.

Decyzja zapadła. Drugiego tygodnia kwietnia król Troady wsiadł na pokład i opuścił Assos w towarzystwie Memnona, gwardii przybocznej i trzech sofistów ze starej szkoły Arystotelesa w Mitylenie. Statek skierował się na wschód i podążył wzdłuż zatoki Adramyttion. Przedpołudniem drugiego dnia żegluga dopłynął do miasta noszącego tę samą nazwę.

Było niewielką osadą w porównaniu z Assos. Na plażach i redach stały łodzie rybackie. Domy ze starego drewna i burych cegieł, które obsiadły niskie wzgórza, a także ruiny murów świadczyły o lepszych czasach. Mewy unosiły się nad szopami rybaków, siadały na kozłach do suszenia sieci lub belkach okapów, wiecznie wypatrując żeru. Nagie dzieci zabawiały się, odstraszać ptaki.

Galera przybiła do brzegu i podróżni wysiedli. Memnon kilka tygodni wcześniej zorganizował transport - powóz dla Hermiasza i jego sofistów, wóz na bagaż i wierzchowce dla reszty. Kritias i pozostała czwórka nie przywykła do jazdy wierzchem, przez cały ranek więc Memnon usadzał ich na grzbietach marnych koników, tłumacząc, gdzie jest głowa, a gdzie zad. Dochodziło południe, gdy karawana wyruszyła w kierunku posiadłości. Niebo było bez jednej chmurki.

Hermiasz wiercił się niespokojnie.

- Jak jeszcze daleko?

- Niecałą godzinę. To na południe od miasta - odparł Memnon. Jechał obok powozu, bez broni i pancerza, niczym wielmoża na przejażdżce. Jego swobodne zachowanie tak ukoilo napięte nerwy eunucha, że nie minęła mila, a pasażerowie powozu wdali się w pasjonujący spór.

Do posiadłości przybyli bez fanfar. Kopyta koni zadudniły na drewnianym mostku, kiedy mijali parę kamiennych słupów. Kępa dębów oceniała dom. Kiedy się zbliżyli, Memnon nie mógł powstrzymać uśmiechu. Podczas jego pobytu w Assos robotnicy Artabazosa nie zasypiali gruszek w popiele. Stare domostwo z łuszczącą się farbą przemieniło się w krytą czerwoną dachówką willę z okiennicami. Srebrne dzwonki grały w ciepłym powiewie.

Powóz podjechał pod drzwi i strażnicy zsiadli z koni. Kritias, trzymając dłoń na rękojeści miecza, przyjrzał się portykowi, pomalowanemu na czerwono kolumnom i nabijanym brązowymi ółwiami drzwom. Po bokach wejścia stały donice z topolami. Memnon zdawał sobie sprawę, że dowódca gwardii czuje to samo co on - niemal namacalne spojrzenia niewidzialnych obserwatorów. Tylko Rodyjczyk jednak wiedział, że to nie złudzenie.

- Rozluźnij się - powiedział, klepnąwszy w ramię Kritiasa, i żwawym krokiem wszedł do portyku.

Hermiasz niezdarnie zszedł z powozu.

- Czyżbyśmy przybyli pierwsi? - rzekł. - Chociaż miałem nadzieję, że twój brat nas przywita, to jednak z drugiej strony mamy doskonałą sposobność zwiedzenia tej posiadłości. Ciekaw jestem...

- Mentora tu nie ma - rzekł Memnon. Nagle porzucił luźny ton. Kiedy odwrócił się ku eunuchowi, postawę, którą okazywał od przybycia do Assos, zastąpiła zimna furia. - I nie zamierza tu przybywać. Chce, żebym cię zawiózł do Sardes. W kajdanach, jeśli będzie trzeba.

Hermiasz cofnął się wstrząśnięty.

- Co? Co ty mówisz?
- Żołnierze! - zawołał Memnon do kręcących się gwardzistów. - Jeśli życie wam miłe, nie ruszajcie się! Byłeś łatwym celem, Hermiaszu.

O wiele łatwiejszym, niż się spodziewałem po człowieku o twojej reputacji. Powinno ci pochlebiać, że twoi nieprzyjaciele tak cię cenią.

- Czarnobrody łotrze! - warknął Kritias. Dobył miecza i ruszył na Memnona. - Chronić...

Wypuszczona z wysokiego dębu strzała uderzyła Kritiasa w kark, miażdżąc kręgosłup. Padł na twarz martwy, zanim dotknął ziemi. Jego miecz przeleciał po posadzce portyku. Memnon się schylił i podniósł go. Ostrzegł resztę straży, która już gotowała się wkroczyć do akcji:

- Ruszcie się i zginiecie! Zrozumiano?

Drzwi willi otworzyły się z hukiem i wypadło kilkunastu żołnierzy, uzbrojonych we włócznie kardaków w łuskowych medyjskich kaftanach i spiczastych hełmach. Dowodził nimi Omares, stary bojownik Artabazosa. Włosy i brodę miał długie jak Spartanin i przetkane siwizną. Na jego rozkaz kardakowie rozbroili strażników eunucha i stłoczyli ich razem. Grupa łuczników w brązowo-zielonych strojach zeskoczyła z dębów; zza węgła wyszli kolejni żołnierze i odprowadzili konie. Przez cały ten czas Hermiasz zaplawał się i przeklinał.

- Ty przeklęty zdrajco! - wrzeszczał. Rzuciłby się na Memnona, gdyby nie powstrzymali go koledzy sofisci. - Ufałem ci! Ufałem ci i tak odpłacasz za gościnność?

W uśmiechu Memnona nie było nawet śladu rozbawienia.

- Ufałem mi, bo spodobała ci się moja oferta, nie dlatego że nagle zapalałeś do mnie przyjaźnią. Chciałeś nawiązać kontakt z moim bra-tern. Zgrywasz się na filozofa, że aż brzuch boli, ale zwykły z ciebie tyran. Eubulos przynajmniej niczego nie udawał.

- No, więc mnie zabij! - Eunuch odtrącił towarzyszy i podszedł do Memnona. - Zabij, jeśli się przymierzasz do roli zabójcy tyranów i mściciela swojego ukochanego Eubulosa! Umrę za moją filozofię, psie!

- Twojemu życzeniu pewnie stanie się zadość, ale jeszcze nie dzisiaj.

I nie ludź się, że to, co nastąpiło, ma jakikolwiek związek z twoim byłym panem, chociaż można by wykazać, że mordując go, sam utkałeś swój przeklęty los. Gdyby Eubulos żył, Artabazos wróciłby do Assos, a nie szukał azylu na dworze Filipa. - Memnon wyszedł spod portyku. Wyrósłszy nad eunuchem, złapał go za rękę i zerwał z niej sygnet. - Zwiąż ich - rozkazał Omaresowi.

Poszły w ruch rzemienie i szybko spętano na plecach ręce Hermiaszowi i jego sofistom. Nieszczęsnych filozofów oddzielono od patrona i połączono z gwardzistami, po czym całą grupę zaprowadzono na tyły willi. Dwaj kardakowie zajęli się trupem Kritiasa.

- Zróbcie mu pogrzeb jak należy - rozkazał Memnon. - Służył nie temu panu, co powinien, ale był zacnym żołnierzem.

Po chwili Memnon i Omares zostali sami z Hermiaszem.

Rodyjczyk usiadł na stopniach portyku i popatrzył na sardonykso-wy sygnet.

- Ciekawe miejsce ten dwór Filipa - rzekł. - To tam przypadkiem trafiłem na twojego starego kumpla, Demokedesa. Doprawdy, uznałem to jedynie za niewinny zbieg okoliczności. Ale potem Filip uczynił twojego zięcia wychowawcą młodego Aleksandra. Wtedy uznałem cię za zbytnią zawadę i postanowiłem usunąć. Ale jak... jak cię porwać z tego wygodnego zacisza, które sobie stworzyłeś, nie doprowadzając do powstania wszystkich podległych ci miast?

Hermiasz wydał triumfalny okrzyk:

- Jeszcze popamiętasz żądło ich powstania! Moi poddani nigdy nie poprą perskiej autokracji! Kiedy usłyszą o twojej podłości, powstaną! Moi poddani mnie pomszczą!

- Oszczędź mi tego jarmarcznego teatrzyku, eunuchu. Zaczekaj na widownię, która mogłaby go docenić - powiedział Memnon. Sygnet zalśnił w jego dłoni. - Ci poddani, w których tak święcie wierzysz... są twoimi wiernymi zwolennikami? Szanują królewskie prawa?

- Do śmierci!

Memnon się roześmiał. Podrzucił wysoko sygnet i złapał go.

- Omaresie, przybory do pisania i pergamin! Król Troady zaraz sporządzi list do swych lojalnych, szanujących prawo poddanych!

Rozdział siedemnasty

Edykty krążyły po agorach i buleuterionach Troady, w stromym Assos, w Atarneos o niepokonanych murach, w Antandros na stokach góry Ida; w świętej Troi i miastach doliny Skamandra, w Sigejon, na smaganym wiatrami przylądku, i w Abydos, przy cieśninie. Z wyjątkową powagą heroldowie odczytywali wszem i wobec życzenia króla:

Hermiasz do rad i ludów Troady śle pozdrowienia. Dostarczycielowi tego listu dajemy władzę rządzenia w naszym imieniu. Będzie miał takie samo prawo do egzekwowania postuszeństwa w sprawach religijnych i wojskowych, jakie zostało nam nadane. Będzie miał prawo uczestniczenia w posiedzeniach rad i zgromadzeń ludowych, prawo dostępu do wykazów podatkowych i opłat skarbowych. W razie potrzeby wszyscy sprawujący władzę urzędnicy powinni udzielić mu wszelkiej pomocy. Bądźcie mu tak postuszni, jak jesteście postuszni mnie. Żegnajcie.

Tym, którzy wątpili w prawdziwość tych edyktów, wystarczyło tylko spojrzeć na woskowy odcisk pieczęci, by się przekonać, że są autentyczne. Wyraźnie widzieli wizerunek bogini mądrości, Ateny. Na rękę trzymała sowę.

Pieczęć Hermiasza...

Memnon powrócił do Sardes w dzień przesilenia letniego. Jechał na czele kolumny konnych kardaków, mających na długich włóczniach złote i purpurowe proporczyki. Za nimi turkotały wozy, a dalej wlokła się zakurzona, skuta razem kolumna więźniów. Wieść o przybyciu Rodyjczyka wzbudziła w mieście ciekawość; gawiedź ustawiła się wzdłuż drogi do fortecy, walcząc o miejsca, z których mogła dokładnie oglądać kolumnę. Dworzanie i urzędnicy spoglądali z blanków, gdy oddział Memnona mijał bramę fortecy, a bicze trzaskały nad zgiętymi plecami więźniów.

Mentor w towarzystwie Spitrydatesa i Rojsakesa oczekiwał brata u szczytu monumentalnych schodów, wiodących do portyku pałacu. Tysiąc oczu patrzyło, gdy Memnon zsiadał z konia i niebieski płaszcz ułożył się na okrytych zbroją ramionach. Tysiąc uszu słyszało stąpanie kawalerzysty, gdy szedł po schodach, a za nim dwóch żołnierzy niosących okutą brązem skrzynię. Rodyjczyk zatrzymał się w stosownej odległości i skłonił satrapom. Wyprostował się i wyraźnym, władcym głosem oświadczył:

- Bracie, przywożę ci podarki od ludu Troady! - Na jego gest żołnierze przynieśli skrzynię przed oblicze Mentora, postawili ją i wycofali się. Memnon ukląkł; rozpiął pasy i odrzucił pokrywę, odsłaniając dwa terakotowe dzbany. - Ziemia i woda, dowód poddaństwa!

To oświadczenie wzbudziło poruszenie wśród dworzana, szmer niedowierzania.

- Całej Troady? - spytał Rojsakes, dając wyraz sceptycyzmowi tłumu, który nie mógł uwierzyć, że ktoś w tak krótkim czasie potrafił podporządkować sobie cały region. Młodszy od

Spitrydatesa satrapa miał szczupłą twarz, na której wyróżniały się haczykowany nos i najeżona czarna broda.

- Całej! - Nozdrza Memnona zadrgały. - A ponieważ wiedziałem, że między wami znajdują się tacy, którzy będą wątpić w moje osiągnięcia, przyprowadziłem świadka!

Kolejny gest. Rozległ się grzechot łańcuchów. Omares wprowadził po schodach jednego z więźniów i przewrócił go na brzuch przed oblicza satrapów. Brudny, rozchełstany, odziany w resztki królewskiej szaty więzień ciskał się, usiłując wyrwać spod nogi Omaresa, która przygniatała go do posadzki.

- Kim jest ten nędznik? - zapytał Spitrydates, marszcząc nos.

- Z pewnos'cią go poznajesz. To człowiek, który dał ci w darze trzy talenty surowego złotego kruszcu z góry Ida za wolny dostęp do portów twojego brata.

Tej plotki dowiedział się od kuzyna, Arystonimosa. Kiedy bracia wymienili zaniepokojone spojrzenia, potwierdziły się Memnonowe podejrzania, że nie można ufać satrapom. Szerokim gestem wskazał Hermiasza i rzekł:

- Oto eunuch Hermiasz, który niegdyś rządził Troadą, pozbawiony urzędu i majestatu! Pokazuję ci go, bracie, w dowód mojego sukcesu!

- Parszywy zdrajca! - Eunuch splunął na sandał Memnona. - Obyś utonął w przeklętym Styksie!

Uśmiech powoli wypełził na twarz Mentora.

- Oto faktycznie dowód. Dobrze się spisałeś, Memnonie. Przyjmuję podporządkowanie się Troady! Zabierzcie to ścierwo. Niebawem znów porozmawiamy, Hermiaszu... długo i boleśnie.

Omares zabrał nogę z pleców eunucha i poderwał go w górę. Zadzwończyły łańcuchy, gdy dwaj żołnierze Mentora ujęli więźnia. Hermiasz jednak wyrwał się z ich uścisku i wyprostował.

- Sam pójdę ku mojemu przeznaczeniu! - rzekł.

Wreszcie ma widownię, na którą liczył, i będzie mógł sam sporządzić swoje epitafium, pomyślał Memnon.

- Powiedzcie moim przyjaciółom, że nie uczyniłem nic podłego ani niewartego nauk naszego mistrza!

- Filozof do ostatniego zipięcia - mruknął Memnon, gdy Hermiasz odszedł, krocząc raczej jak gość honorowy niż eskortowany więzień.

Mentor natychmiast porzucił wszelkie myśli o pojmanym. Uśmiechnął się szeroko do Omaresa, który odpowiedział tym samym.

- Ty stary łachu! - powiedział Mentor. - Wiedziałem, że będziesz maczał w tym paluchy!

- I to z przyjemnością, panie.

- Co? Jakie „panie”? Zeusie Zbawco i Heliosie! Czyżbyś sporządził? Coś ty mu zrobił, Memnonie?

Po zakończeniu oficjalnej części audiencji widzowie wrócili do spraw, które naprawdę ściągnęły ich do pałacu. Byli wśród nich ludzie z petycjami, oczekujący na chwilę czasu satrapów; inni po prostu przychodzili dzień po dniu, usiłując się wkraść w łaski swoich panów. Memnon widział gości z królewskiego dworu w Babilonie, posłańców egejskich miast, Fenicjan i Greków z kontynentu. Wszyscy wyklócali się z szambelanami o dostęp do Mentora. Nic dziwnego, że jest jeszcze chudszy i bladej jak całun, pomyślał Memnon, gdy dawał znak dowódcom u stóp schodów, aby rozpuścili kardaków. Sługa zaprowadził do stajni konie jego i Omaresa.

- Chodź. - Starszy Rodyjczyk odwrócił się i ruszył szerokim portykiem do paradnej sali

audiencyjnej. Jej ciężkie drzwi zawsze stały otworem, dzięki czemu chłodne, przesiąknięte kadzidłem powietrze swobodnie krążyło między kolumnami. - Ilu żołnierzy kosztowało mnie to przedsięwzięcie?

Na dworze było ostre słońce. Memnon potrzebował chwili, zanim wzrok przywykł mu do półmroku.

- Żadnego - oparł. Ogromna komnata wzmocniła jego głos. - Nie straciliśmy żadnego żołnierza.

Na to Spitrydates, który szedł przed nimi wraz z Rojsakesem, zatrzymał się i odwrócił.

- Niemożliwe! Nie da się spacyfikować tak dużego regionu, nie ponosząc strat!

- Nie jestem kłamcą, mój przyjacielu - powiedział Memnon. W jego głosie zadźwięczała niebezpieczna nuta. - I lepiej dobrze to zapamiętaj. Nie ponieśliśmy strat.

Mentor wyraźnie się zdziwił.

- Jak to możliwe?

- Użyłem broni, której się nie spodziewali. - Spod pancerza wyjął srebrny łańcuszek; wisiał na nim sygnet Hermiasza. Uniósł go tak wysoko, aby wszyscy mogli go obejrzeć. - Broń wypożyczona z naszego arsenału wielkiego króla. Widzicie, wysłałem listy do rad miasta i urzędników.

- Listy? - powtórzył szyderczo Spitrydates. - Nedorzecznosc!

Stojący za nim Rojsakes wybuchnął śmiechem.

- Nie kpjcie, szlachetni panowie - wtrącił się Omares. - To była najrzęczniejsza sztuczka, jaką w życiu widziałem.

Mentor uciszył ich spojrzeniem.

- Wysłałeś... listy?

- Tak. Informację o abdykacji, opieczętowaną znakiem eunucha. Zwolennicy Hermiasza uznali, że wybrał się na jakąś niedorzeczną filozoficzną wyprawę, ale uszanowali jego życzenie i uznali posłańców, greckich sojuszników, których sam wybrałem, za zarządców *poleis*. Pozostało tylko pozbyć się malkontentów.

Tubalny śmiech Mentora przeszedł w atak kaszlu. Uniósł dłoń, powstrzymując troskliwe pytania brata.

- Zeusie Zbawco! - wyrzeźził, łapiąc oddech. - Dzięki dobroczynnym bogom, że jesteś po naszej stronie!

Obaj Persowie jednak krzywili się pogardliwie.

- Mydlenie oczu to żalosny substytut męstwa - oświadczył Spitrydates. - Choćby nawet najsprytniejsze.

Po tych słowach satrapowie odwrócili się i wycofali w głąb apadany. Orszak dworaków trzymał się ich jak niemowlaki spódnicy matki.

- Bracie - rzekł cicho Memnon. - Jeśli możesz pozbawić ich stanowisk i odesłać, zrób to. Mają cię za wroga. Czuję to.

- Mnie? Ja tylko jestem kłodą pod ich nogami, w najlepszym razie kolcem w boku. To ciebie powinni się bać. - Mentor objął ramieniem brata. - Ale nawet jeśli są moimi wrogami, to ufam, że pomścisz mnie czymś boleśniejszym niż list. Chodź, Omariesie! Wina! Wina, żeby uczcić triumf Memnona i twój nagły powrót między żywych!



Zmierzchało już niemal, zanim Memnon zdołał się wyślizgnąć z urzędzonej przez brata popijawy, zostawiając starszego Rodyjczyka i Omaresa mocno podchmielonych i fałszywie śpiewających hymny do Dionizosa. Nie sami się zabawiali. Chętnie dołączyli do nich goście z greckich kolonii w Azji, a także garść umiejących wykorzystać okazję Persów, szanujących wielką mądrość swych przodków, nakazującą roztrząsać ważne sprawy dwa razy - po pijanemu i na trzeźwo. Memnon jednak uznał, że cała ta debata z każdą chwilą staje się coraz niedorzeczniejsza, zwłaszcza gdy biesiadnicy przeszli na nierozcieńczone wino.

Kiedy Memnon szedł w głąb pałacu, coraz mniej wyraźnie słyszał odgłosy zabawy. Żałował, że nie może się spotkać z Chafrem i Farna-bazosem. Szambelan zgłosił, że obaj się udali do Efezu. Egipcjanin uzupełniał zapas medykamentów, a Farnabazos w imieniu Mentora miał nawiązać kontakt z greckimi najemnikami. Przybywali z kontynentu wysyłani przez Tymondasa. Obaj mieli niebawem powrócić. Reszta rodziny udała się z Artabazosem na dwór króla, do Babilonu.

Pokoje Memnona w skrzydle pałacu zarezerwowanym dla krewnych króla niegdyś należały do ukochanego syna Krezusa, Atysa. Zginął w wypadku na polowaniu, ścigając w Myzji wielkiego odyńca. Według Herodota była to kara za *hybris* ojca nieszczęśnika. Lamy z polerowanego brązu oświetlały wielkie obrazy ilustrujące śmierć młodzieńca: ciało rozciągnięte na wrzosowisku, krąg płaczących towarzyszy, zlaną krwią głowę na podolku Krezusa. Każdy szczególnie przypominał tragedię starego króla. Nad paleniskiem wisiały żelazne włócznie do polowań na dziki, a inkrustacje z pozółkłych kłów słonia zdobiły meble - krzesła, stół, łóżko.

Niewolnicy przynieśli rzeczy Memnona; słudzy poukładali je, wieszając broń i tarczę koło drzwi i budując dwa stojaki na zbroję. Na jednym zawisł brązowy kirys i nagolenniki, na drugim lżejszy lniany gorset. Hełm z wysokim grzebieniem pomalowanego na niebiesko końskiego włosia spoczął na ramionach lnianego pancerza. Porysowany z wiekiem i z racji nieoględnego traktowania kufer podróżny z drzewa cyprysowego umieszczono w nogach łóżka. Wiklinowy kosz z rzemiennymi uchwytami, służący do przenoszenia zwojów, pełny zawłaszczonych z biblioteki Hermiasza pism stanął na stole. Memnon wziął go i wyszedł.

Kobiece pokoje były na końcu długiego korytarza, za drzwiami pilnowanymi przez siwych kardaków, weteranów, którzy w młodości służyli sprawie Artabazosa. Kiedy Memnon pojawił się w przedpokoju, przywitali go uśmiechami i poklepywaniem po ramieniu. Dalej rządził główny eunuch haremu. Był to łysy zrędlawy człowieczek, którego wydatny brzuch odznaczał się wyraźnie pod wielokolorową szatą. Wachlował go eunuch niższej rangi, podczas gdy dwie służki Barsi-ne - które powinny towarzyszyć swojej pani - wcierały rozgrzany olej z wkruszonymi ziołami w napuchnięte łydki.

Memnon obrzucił go gniewnym spojrzeniem, gdy przecinał przedpokój, w drodze do drzwi Barsine.

- Zaczekaj! - zapiszczał główny eunuch, zrywając się i odpychając pokojówki. - Pani odpoczywa!

- Więc się nie drzyj, żeby jej nie przeszkadzać - odparł Memnon.

Nie niepokoiony więcej Rodyjczyk dotarł do pokoi Barsine, zamykając drzwi przed nosem eunucha. Lamy z ażurowego srebra ukazywały amfiladę tak rozległą, że mogącą pomieścić całą rodzinę. Dywany pokrywały podłogę z ułożonego we wzory marmuru, zagłuszając kroki Memnona, gdy pokonywał główny korytarz. Dalej był mały dziedziniec z

fontanną, rozjaśniony ostatkiem dziennego światła. Memnon zajął do gynaikajonu, przebieralni, pokoi kąpielowych i sypialni. Wszystko zionęło pustką. Blisko dziedzińca, którego chłodne cienie pachniały liliami i jaśminem, usłyszał ciche popłakiwanie.

Barsine spała na kobiercu przy szmerzącej fontannie. Palce zaplotła kurczowo w szalu okrywającym ramiona. Memnon odstawił kosz na podłogę i ukląkł przy śpiącej. Rozpuszczone czarne pukle służyły jej za poduszki. Delikatne brwi ściągnęła niespokojnie. Jej twarz miała bladość alabastru. Morfeusz, bóg snu, trzymał ją w swych objęciach.

- Nie - zamruczała ledwo słyszalnie po persku. - Zaczekaj... wracaj. - Zwinęła konwulsyjnie palce.

Memnon przykrył jej dłonie swoją.

- Barsine - rzekł łagodnym głosem, aby zbyt nagle się nie przebudziła. Śpiący powinien wracać do królestwa jawy stopniowo, w innym wypadku mógłby się oddzielić od swego dajmonionu. - Barsine.

- Nie! - Łapała kurczowo powietrze. Otworzyła mokre od łez oczy i zacisnęła dłonie na rękę Memnona. Rozejrzała się gorączkowo. - Gdzie on jest?

- Kto? Tu nie ma nikogo prócz nas.

- Memnon? - Zarzuciła mu ramiona na szyję. Czuł, jak cała drży. - Memnon! Dzięki bogom!

- To był tylko zły sen - powiedział, gładząc ją po włosach. - Już wszystko dobrze.

- To... to wydawało się tak prawdziwe. Byłam uwięziona w labiryncie, który Dedal zbudował swojemu panu, Minosowi.

- Ściagał cię Minotaur?

- Nie. - Puściła go i odsunęła włosy z oczu, ocierając łzę. - To ja byłam ścigającą. Uciekał przede mną mężczyzna, ale nie ze strachu. Drażnił się ze mną, zatrzymywał, żebym znalazła się bliżej, i znów odbiegał, szybszy ode mnie. Miał coś, co musiałam odzyskać, coś, czego strata przyniosła mi rozdzierający ból i smutek, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć, co to było. Biegłam coraz szybciej, serce biło mi w piersiach. Odległość między nami zmniejszała się z każdym krokiem. Ale kiedy byłam na wyciągnięcie ramienia, obudziłam się. - Usiadła na kobiercu, otulając się szalem. Uśmiechnęła się. - Ale plotę. Jak oszalała Kasandra. Cieszę się, że wróciłeś z Troady cały i zdrowy.

- A ja się cieszę, że wysłaś z królestwa Morfeusza zdrowa na ciele i duchu - rzekł Memnon, odwzajemniając jej uśmiech. - Poznałaś tę postać we śnie?

Skinęła głową.

- Widziałam jego twarz tylko przez chwilę, ale to wystarczyło.

- Była potworna? Może to Minotaur.

- Nie. Był tak piękny, że aż serce się krajało na jego widok. Mógłby posłużyć Praksytelesowi za model Apolla. Włosy i brodę miał srebrno--złote i roztaczał niebiański blask... Co się stało, Memnonie?

Krew uciekła z twarzy Rodyjczyka; przez chwilę stara blizna na prawym ramieniu zapulsowała i zapłonęła.

- Memnonie? - powtórzyła zaniepokojona.

- Myślę, że spotkałem właśnie tego człowieka, którego opisałaś - rzekł - chociaż nie we śnie.

Wyprostowała się nagle, jak ukłuta igłą.

- Gdzie? Tu, w Sardes?

Memnon odchylił się.

- Przed laty. W dolinie Makestosu, zanim zostaliśmy wygnani z Daskylejon.

Barsine słuchała rozemocjonowana, podczas gdy Memnon opowiadał. Zmrok gęstniał. Gwiazdy zamigotały na niebie. Głosy nocnych stworzeń dołączyły do plusku fontanny. Padające z zewnątrz światło rozlało się po dziedzińcu. Służki Barsine zajęły się wieczornymi obowiązkami, podczas gdy główny eunuch szpiegował dwie postaci przy fontannie...

Memnon westchnął.

- Nigdy nie mówiłem nikomu o tej nocy, ani Mentorowi, ani nawet Chafrowi. Może to był tylko wytwór wyobraźni, iluzja zrodzona z bólu i upływu krwi.

- Jeśliby tak było, to jak mógł się pojawić w moim śnie? - spytała Barsine. Podciągnęła kolana i bawiła się frędzlami szala. - A co, jeśli to posłaniec bogów? - Nagle się rozplakała. Ukryła w dłoniach twarz. Szloch targał jej ramionami.

- Już dobrze, już dobrze - uspokajał ją Memnon. - Nie ma potrzeby płakać. Jesteś bezpieczna.

Wstał i usiadł obok niej, przyciągając ją do siebie. Widząc jej niepokój, pożałował, że podzielił się z nią swoją opowieścią.

- Wszystko dobrze, Barsine.

- Nie rozumiesz - załkała. - Jeśli... jeśli to posłaniec, co chciał mi przekazać? Nie odezwał się do mnie, tylko uciekał, naigrawał się ze mnie. Coś mi ukradł... coś cennego... - Spojrzała na niego błyszczącymi od łez oczami. - Jestem w ciąży, Memnonie. Czy to znak, że nie donoszę dziecka?

Zaskoczony Memnon zamrugał.

- Jesteś... w ciąży?

Barsine pokiwała głową. Przez chwilę Memnon nie potrafił pozbierać myśli. To, że Barsine zaszła w ciążę, było czymś najzupełniej naturalnym, jednak fakt, że równocześnie ujrzała we śnie znaną mu, przedziwną postać, wprawiło go w istne osłupienie.

- Czy Mentor wie?

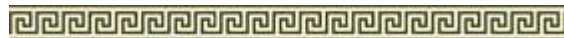
Znów otarła oczy.

- Sama upewniłam się o tym zaledwie kilka dni temu. Wkrótce mu powiem, ale wątpię, czy to potrzebne, jeśli mój sen miałby się okazać prawdą i bogowie zamierzają zabrać mi dziecko. - Poglądziła brzuch, jakby ten gest mógł uchronić jej maleństwo przed niełaską bóstw.

- Nie, musisz mu powiedzieć - poradził jej Memnon. Jego uśmiech przeszedł w głośnie rozbawienie. - Mój brat pewnie nigdy by się do tego nie przyznał, ale zawsze chciał mieć dużą rodzinę, równie wielką jak twój ojciec. Musisz mu powiedzieć, Barsine, i to szybko.

- Ale mój sen...?

- Nie potrafię wyjaśnić, czemu był tak podobny do mojego, ale nie każdy sen jest zapowiedzią przyszłości. Czasem to tylko sen. - Wstał i łagodnie pomógł jej się podnieść. - Jedno mogę ci przyrzec. Każdy, kto będzie chciał skrzywdzić twoje dziecko, człowiek czy bóg, będzie miał do czynienia z synami Timokratesa! Na Zeusa Zbawcę i Heliosa, przysięgam!



Mentor z niezwykłą powagą zareagował na wieść o błogosławionym stanie Barsine. Wezwał perskich i greckich kapłanów, kazał sprawdzić wróżby i złożył ofiary Herze i Anahicie. Sprowadził do pałacu lidyjską wróżkę, aby modlitwami i słodkimi kadzidłami zjednała miejscowe duchy. Za radą Memnona uczynił Chafra głównym lekarzem Barsine; a po tym, jak Egipcjanin ogłosił, że matka i dziecko są w dobrym zdrowiu, wysłał kurierów na wschód, Drogą

Królewską. Nie minęły dwa tygodnie, a lud na ulicach Babilonu dowiedział się, że księżniczka Farnakidów jest brzemienna.

Tymczasem nieprzerwanie trwały przygotowania do wojny. Dzięki wysiłkom Tymondasa przybywali greccy najemnicy z Europy, w pierw do Farnabazosa w Efezie, a stamtąd do obozów w dolinie Hermosu. Skończyło się lato. Nim nadeszły pierwsze jesienne przymrozki, do Sardes dotarły wieści o śmierci satrapy Karii, Hydrieusa. W tej sytuacji Mentor mógł się pozbyć zagrożenia ze strony drobnych tyranów. Wspierany przez pięć tysięcy najemnych hoplitów i tysiąc konnych kardaków wylądował w Halikarnasie, zaskakując samozwańczego następcę Hidrieusa, jego młodszego brata, Piksodarusa. Wyznaczył satrapą starszą siostrę zmarłego, Adę, i zostawił perski garnizon, aby zagwarantować sobie jej lojalność.

Po powrocie do Sardes zastał żonę w złożoną niemocą.

- Polecenie Chafra - wyjaśnił Memnon. - Jakaś nierównowaga humorów. Jakby jej ciało chciało wcześniej się pozbyć dziecka.

- Czy coś jej grozi?

Memnon wzruszył ramionami.

- Kto wie? Połóg zawsze grozi śmiercią, bracie, nawet w najlepszych okolicznościach. Ale jeśli ktoś potrafił zmniejszyć niebezpieczeństwo, to ufam, że Chafr.

Memnon odwiedzał ją codziennie, przynosząc zwoje, które mogłyby poprawić jej humor; gdy pozwalały na to sprawy państwowe, wpadał Mentor i cała trójka spędzała czas na ożywionych rozmowach, dopóki Chafr nie kazał im się rozstać. Czasem znużenie uprzedzało lekarza.

Skończyła się jesień i lodowaty zimowy wiatr z północy przelatywał z gwizdem nad pasmem Tmolosu. Jednak gdy Drogą Królewską przybył posłaniec z Babilonu, był dzień bladego słońca.

Memnon zastał brata w pustej sali audiencyjnej. Otulony w płaszcz siedział obok kosza z trzaskającym drewnem. Wsparłszy podbródek, uderzał o udo zwiniętym pergaminem, wpatrując się w dymiące głownie.

- Sami się załatwiliśmy - powiedział, gdy Memnon się zbliżył. - Ten drań zaczyna myśleć, że może od nas wymagać niemożliwego.

- O co chodzi?

- Najświeższy edykt Ochosa. - Mentor uniósł pergamin; Memnon czuł, że brat ledwo panuje nad sobą, by nie cisnąć pisma do ognia. - Artabazos w końcu go przekonał, że Filip przedstawia poważną groźbę. Żeby go uprzedzić, król chce z powrotem zagarnąć wyspy na Morzu Egejskim. Rozkazuje sprowadzić z Cypru sześćdziesiąt okrętów i przygotować je do inwazji przed początkiem sezonu żeglugowego!

- Zimowa kampania, rozumiem. Ale zimowa morska kampania...? Czy on oszalał?

- Nie, po prostu jest starym durniem! Gwarantuję, że to Bagoas go podpuścił! Ten wykastrowany drań nienawidzi mnie, od kiedy mimo jego głupoty uratowałem go w Egipcie! Chce tym sposobem wyrównać rachunki! Głowę daję!

- Pewnie o to mu chodzi. Co zrobisz? - spytał Memnon.

- Wypełnię swój obowiązek, oczywiście! Ściągnę te okręty na Morze Egejskie i niech piekło pochłonie Bagoasa i północne wiatry!

Memnon potrząsnął głową.

- Wyślij mnie.

- Chcesz zgarnąć całą chwałę dla siebie? - zawarczał Mentor.

- Chwałę? Nie bądź idiotą, nie chodzi mi o chwałę! Nie, bracie. Masz wiele zalet, jesteś niezrównanym taktykiem, błyskotliwym strategiem, ale nie jesteś idiotą ani żeglarzem. Nigdy nie

byłeś. Jak często mi klarowałeś, że każde zadanie wymaga właściwego narzędzia? Ja jestem narzędziem do tego zadania. Poza tym - głos Memnona złagodniał - powinieneś być tu, kiedy twoje dziecko się urodzi, na wypadek gdyby zaszły jakieś komplikacje.

Mentor przyjrzał się uważnie bratu. Podrapał się po karku, potarł nagą czaszkę, gdy obracał w głowie argumenty Memnona.

- Niech piekło pochłonie ciebie i twoją śliską sofistykę!
- A więc ustalone?

Mentor opadł na oparcie krzesła.

- Uhm, ustalone. Wyruszaj szybko, zanim przyjdzie łaskawsza pogoda. Posłaniec powinien dotrzeć do Salaminy dobrze przed tobą, więc twoje przybycie nie będzie niespodzianką. Obejmij dowództwo obu grup trier, z Cypru i z Tyru, i wracaj na północ. Postaram się, żebyś miał odpowiednie dokumenty i fundusze, zanim wyruszysz.

- A kampania?
- Jeśli przeżyjesz rejs na północ - Mentor się skrzywił - poprowadzisz kampanię, jak uznasz za stosowne.

Memnon skinął. Chciał ruszyć do wyjścia, lecz na jego ramieniu spoczęła dłoń brata. Najwidoczniej przekazanie tak wielkiej odpowiedzialności, tak niebezpiecznego zadania przychodziło mu z bólem. Zmusił się do uśmiechu.

- Nie zrób niczego nierozważnego, Memnonie. Nie chciałbym, żeby moje dziecko wyrosło bez ukochanego wuja z Rodos.

Memnon zrewanżował się uściskiem i rzekł:

- Nie martw się, bracie. Będę wzorem ostrożności.

Rozdział osiemnasty

Lewo na burtę!

Z pokładu bojowego flagowego tyryjskiego okrętu *Astarte* Memnon wydawał rozkazy załodze. Zacisnął ręce na relingu, gdy triera zrobiła zwrot. Otarła się o jednostkę wroga, ostrogą z brązu niszcząc w drzazgi wiosła przeciwnika. Rozległy się wrzaski i haki *Astarte* zanurzyły się w burcie unieruchomionego okrętu. Uzbrojeni w topory greccy marynarze usiłowali przeciąć liny i oderwać się od przeciwnika. Łucznicy obu stron nie próżnowali. Wyższy tyryjski pokład dawał Persom nieco przewagi. Oszczepnicy ciskali oszczepami. Ukryty za tarczą Memnon wrzasnął wioślarzom, żeby rzucili wiosła i wzięli się do haków. Popędzili wypełnić rozkaz. Nie przejmując się chmurą strzał, ciągnęli ile sił w rękach.

Dwa kadłuby zeszyły się powoli. Rozległ się złowieszczy huk.

- Żołnierze! - ryknął Memnon.

Greccy i fenicy mężczyźni w kirysach z brązu i otwartych hełmach, uzbrojeni w topory i bosaki wyroili się za burtę *Astarte*. Łucznicy nieprzyjaciela podwoili wysiłki, wypełniając powietrze gwizdem i sykiem śliskich grotów. Strzały wdarły się w gęste szeregi żołnierzy, zabijając wielu, gdy wisieli jeszcze w powietrzu. Trupy zaścieliły nieprzyjacielski pokład.

Ze swojego stanowiska na rufie *Astarte* Memnon dojrzał nieprzyjacielskiego kapitana, brodatego męża z Chios, w brązie i skórze, uzbrojonego w ciężki miecz. Poganiał łuczników, obiecując drachmę za każdego zabitego żołnierza Memnona.

Rodyjczyk zaklął. Wyrwał oszczep, który wbił się w pokład tuż pod jego stopami, wykręcił się w tył i z niezwykłą precyzją cisnął pociskiem. Uderzył kapitana w obojczyk i przygiął do ziemi. Mężczyzna zatoczył się, opluwając krwią brode; dwie perskie strzały wykończyły go. Spadł za burtę, znikając w czerwieniących wodach portu Chios...



Dym z płonących kadłubów unosił się nad miastem, zaciemniając oblicze wysoko wiszącego słońca. Dywan szczątków zalegał zmieszane z krwią wody portu; połamane wiosła, kawałki pokładu, dulki kołkowe, szerniałe fragmenty żagli, czerpaki żezowe - oraz nafaszerowane strzałami trupy wioślarzy i żołnierzy z Chios. Ławka wioślarzy kiwała się wśród wraków jak dziecięca łódeczka z kory; rozciągnięty na niej trup dawno wykrawił się na śmierć. Z brzegu uniósł się wielki kobiecy lament, gdy trójkątne miecze statków mierzwiły krwistą pianę.

Po godzinie z niewielkim okładem flota Memnona posłała na dno śmietankę greckich okrętów. Atak był tak błyskawiczny, że większość jednostek nawet nie zdążyła odciąć cum. Ostrogi okrętów tyryjskich i cypryjskich unieruchomiły wroga, kiedy jeszcze stał przy nabrzeżach. Tłukły pod kątem prostym w burty lub w rufy, po czym się cofały i atakowały kolejne cele. Załogi i wioślarze okrętów, którym się udało wyrwać z portu, byli atakowani przez łuczników. Żołnierze Memnona ciskali na pokłady gliniane garnki z płonąca smołą.

Memnon oceniał z pokładu *Astarte* te zniszczenia. Nie żałował mieszkańców Chios. Dał im szansę poddania się na tych samych warunkach, które przyjęli władcy Kos i Rodos. Jednak demokraci z tej wyspy odmówili, ślepo wierząc pustym obietnicom ateńskiego podżegacza, Charesa, który przysięgał, że jego flota wspomogę bunt przeciwko sługusom wielkiego króla.

- Gdzie teraz jest wasz zbawca? - spytał Memnon, odwracając się do delegacji urzędników miejskich, którzy przyszedli błagać go o łaskę. - Czy to okręty Charesa posłaliśmy na dno waszego portu? Czy to marynarzy Charesa bezczeszczą rekiny? Gdzie on jest, czcigodni? Wiecie?

A więc pozwólcie, że was oświecę. Chares siedzi w bezpiecznej Mityle-nie, bo jego ateńska wrażliwość nie pozwala mu się wybrać na morze, dopóki wiosna nie rozkwitnie jak należy!

- Wszystko, co powiedzieliście, to szczerą prawdą, panie - rzekł przewodniczący delegacji Chios. Uderzył w ton głębokiej uniżoności, który wydał się Memnonowi podejrzany. - Byliśmy głupcami, wierząc słowom takiego człowieka. Teraz to rozumiemy i błagamy ciebie... i wielkiego króla... o wybaczenie.

- Musicie również mnie uważać za głupca.

- Co? - wyjąkał przewodniczący poselstwa. - Nie, panie! Nie!

- A tak - odparł Memnon, mrużąc oczy. - Bo z jakiego innego powodu prosilibyście mnie, żebym zapewnił Chios te same warunki, jakie zaproponowałem Rodos i Kos? Wy odrzuciliście szansę pokoju! Czemu miałbym okazać wam wyrozumiałość?

- Zwiedziono... zwiedziono nas, panie! Nie...

Memnon uciszył go. Podszedł do burty, pogrążony w myślach. Z roztargnieniem patrzył, jak Autofrades, dowódca cypryjskiej brygady, rozstawia żołnierzy wzdłuż długiego wybrzeża, spodziewając się zajęcia wyspy. Broń i pancerze migotały w bladym wiosennym słońcu.

- Rodos i Kos skapitulowały bez rozlewu krwi - rzekł Memnon.

Poza tym w obu wypadkach wyrozumiałość nic go nie kosztowała, ale przyniosła wielkie zyski. Kos dostarczyło żeglarzy i otworzyło magazyny, tak że mógł uzupełnić zapasy zużyte podczas podróży z Cypru. Rodos otworzyło przed nim stocznię i nawet zgotowało triumfalne powitanie godne jednego z dawno utraconych synów wyspy.

„Powiedziano mi, że stary oligarcha Filolaos - Memnon w kilka dni po ujarzmieniu Rodos napisał Barsine - nie przeżył długo zamachu stanu. Królowa Artemizja, wdowa po jego karyjskim dobroczyńcy, Mauzolosie, kazała go uśmiercić tego samego roku, w którym uciekliśmy do Macedonii. To, że wcześniej się o tym nie dowiedziałem, wiele mówi o mojej głębokiej niechęci do tej wyspy i długotrwałej odmowie odwiedzenia jej. Pogrzebałem jednak moją wrogość. Najwyższy czas, abyśmy, Mentor i ja, zawieźli prochy ojca na ziemię, o którą walczył...”

W końcu potraktował oba państwa wyrozumiale, usunął karyjskie garnizony i nie ustanowił surowych zarządców. Zadowolił się nadaniem władzy umiarkowanym perskim oligarchom. Ale wyrozumiałość wobec zawzięcie demokratycznego Chios, gotowego uniknąć perskiego jarzma mieczem lub podstępem, mogła wiele kosztować i niewiele przynieść.

- Nie będzie żadnych warunków - nagle oznajmił zaskoczonym wysłannikom Memnon. Wskazał uzbrojonych żołnierzy na brzegu. Wzrok miał surowy, bezlitosny. - Chios podda się bezwarunkowo albo nakazę je zniszczyć.

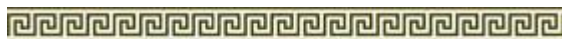
Członkowie poselstwa - demokraci do szpiku kości, kupcy i członkowie starej arystokracji - wymienili spojrzenia. Kolejno skinieniem głowy przekazali swoje stanowisko przewodniczącemu. Nie trzeba było wielkiego intelektu, aby zgadnąć, co knują. Byli gotowi zgodzić się na wszystko, czego teraz zażąda zwycięzca; gdy później zajmie się czymś innym, zmienia front i poproszą o pomoc Ateny.

- Chios się poddaje, panie - rzekł przewodniczący.

Memnon się uśmiechnął. Jeszcze nie wiedzieli, co ich czeka.

- Przyjmuję waszą kapitulację - rzekł. - I żeby zapewnić waszą całkowitą i stałą

współpracę, żądam zakładników. Najstarsi synowie wszystkich przywódców wyspy mają...



Chios zapłaciło wysoką cenę za swoje szaleństwo. Nie tylko spadkobierców najpoważniejszych rodzin - od niemowlaków po pięćdzie-sięciolatek - zagnano na statki i wysłano do Efezu, a stamtąd do Sardes i jeszcze dalej, lecz wielu gorących zwolenników demokracji spotkała egzekucja lub wygnanie. Memnon obdarzył władzę oligarchię, wspomógł ją garnizonem i wprowadził miażdżący podatek. To było ostrzeżenie pod adresem innych enklaw bogactwa i powodzenia, na wypadek gdyby rozważały sprzeciw wobec jego woli. Odpłynął pewien, że zniszczył w zarodku wszelkie plany kolejnego buntu.

Wieści powoli docierały do floty na Morzu Egejskim, ale najlepsze Memnon dostał w Erytrei, na wybrzeżu jońskim. Był początek lata, a dostarczył je Farnabazos. Dwa miesiące wcześniej, na początku *Ela-pherebolion*, Barsine urodziła zdrową dziewczynkę.

- A jak się ma matka?

Farnabazos się uśmiechnął.

- Od czasu, gdy zdobyłeś Chios, w pełni doszła do siebie. I powinieneś wiedzieć... teraz święcie wierzy Chafrowi, nie chce go puścić i grozi najgorszym każdemu, kto chciałby go od niej zabrać!

- Siedzenie na tyłku dobrze mu robi - powiedział Memnon. - Nasz Egipcjanin zbyt szybko zestarzał, aby się błąkać po Morzu Śródziemnym. Czy zdecydowali, jak dziecko będzie miało na imię?

Farnabazos uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Apame, po naszej babce.

Rozmawiali w ciasnej kajucie Memnona na *Astarte*. Siedzieli przy stole zasłanym mapami i listami - wiele z nich przysłał Arystonimos - i z drewnianych misek jedli potrawkę z ryby, zagryzając ją chle-bem. Farnabazos uniósł brew.

- Co się dzieje?

- Chares ruszył na Metymnę. Ateńskie okręty blokują port, podczas gdy sojusznicy atakują mur od strony lądu. Arystonimos zaręcza, że przełamie oblężenie, byłem się zajął Charesem. - Memnon oblizał palce i pogrzebał w stosie pism. - Ale bardziej mnie martwi to. Od zarządcy Abydos. - Wręczył krótki list Farnabazosowi.

Damastes śle Mentorowi pozdrowienia. Filip dotarł do Propon-tydy. Macedońskie wojsko oblega Perinthos, które wezwało pomocy. Odpowiedziało Byzantion, drogą morską przysłało wojska i zaopatrzenie. Ateńczycy z Chersonezu usunęli macedoński garnizon. Śladu Charesa i ateńskiej floty.

- Wystarczy im zajrzeć na Lesbos i znajdą swojego zbłąkanego wodza - powiedział Farnabazos. - Czyżbyśmy mieli zwalczać Charesa na jednym froncie, a sprzymierzać się z nim na innym?

Memnon ponuro się zaśmiał.

- Można by tak rzec. Przy Lesbos podzielimy flotę. Ty i Autofrades weźmiecie Cypryjczyków i okrążycie wyspę od zachodu, przepłyniecie cieśninę i dotrzecie do Propontydy. Tam zacumujecie i będziecie oczekiwać rozkazów Mentora i wielkiego króla. Ja zabiorę Tyryjczyków, udam się na wschód, do zatoki Adramyttion, i przerwę blokadę Charesa.

- Tak po prostu? - Farnabazos spojrział z niepokojem na wuja.
- Tak po prostu. Widzisz jakieś słabości tego planu?
- Ojciec od urodzenia wbijał mi do głowy jedną zasadę: nigdy nie lekceważ przeciwnika. Czy na pewno traktujesz Charesa poważnie?

Memnon się uśmiechnął.

- Wiem, ile jest wart. Ma gładki język i pozory odwagi. Ale sama odwaga niewiele znaczy. Tartar jest pełen odważnych mężczyzn. Nie, Farnabazosie, wcale go nie lekceważę. Bogowie obdarzyli Charesa wieloma przymiotami poza najważniejszym... dajmonionem prawdziwego przywódcy. Bez niego jest znakomitą postacią, ale pustą w środku.

- Jak ocenić, czy ktoś ma ten dar, takiego dajmoniona?
- Nie potrafisz tego dostrzec? - spytał Memnon. - Zbadaj charaktery mężów, których najbardziej podziwiasz, a ujrzysz, jak się przewija przez ich czyny niczym wątek w tkaninie. To coś więcej niż odwaga i głód chwały. Mężczyzna, który jest nim obdarzony, nie sam wynosi się ponad przeciętność, ale pociąga za sobą również tych, którzy go otaczają, tak że sięgają szczytów, które wcześniej wydawały im się niedosiężne. Jeśli musisz walczyć, Farnabazosie, najlepiej walcz przeciwko tym, którzy nie mają nawet cienia takiego dajmonionu. Tak jak Chares.

Farnabazos pochylił się głęboko zamyślony.

- A jeśli nie masz wyboru? Jeśli zły los rzucił cię przeciwko mężowi, którego bogowie obdarzyli tym darem, i na dodatek jeszcze przeciwko innym mu podobnym? Jak należy z nim walczyć?

- Szczerze mówiąc - rzekł Memnon, gładząc dwoma palcami brodę - nie wiem. Nigdy nie walczyłem z kimś takim. Być może unikałbym bezpośredniego starcia, wyczekiwałbym, aż rozproszy swoje siły, a może szukałbym sposobu, który podważyłby morale jego zwolenników. Myślę, że sztuka w tym, żeby wiedzieć, jakie zalety sam posiadasz.

- „Poznaj samego siebie” - powiedział Farnabazos, kiwając głową. Słowa Memnona rozjaśniły mu często słyszaną maksymę.

- Właśnie.

Z Erytrei flota miała popłynąć na północ, przeciwko Ateńczykom na Lesbos, lecz tymczasem z Sardes przybył posłaniec. Był to jeden z kardaków Mentora, wychudły z niewyspania i z podkrążonymi oczami. Dzień był jasny, wiatr korzystny, więc ta zapowiedź opóźnienia popsowała dobry humor Memnona.

- O co chodzi, żołnierzu? - spytał, gdy marynarz doprowadził posłańca na pokład rufowy *As tarte*. - Lepiej, byś miał wieści od samego Zeusa, abym przejął z barków Atlasa ciężar całego świata!

- Panie! Musicie z najwyższym pośpiechem wracać do Sardes!

Memnon się zaniepokoił.

- Dlaczego? Czy Mentor mnie wzywa?

- Nie, panie! Złe z nim!



Z Erytrei jeździec mógł przejechać do Sardes w niecałe sześć dni. Memnon i Farnabazos przejechali ten dystans w trzy, pozostawiając za sobą sznur padłych i wyczerpanych koni. Po drodze, w Starych Klazmenach i nawiedzanej przez duchy Smyrnie, Memnon pytał o nowiny. Czy była bitwa? Czy panowie Sardes wyruszyli na wojnę? Ale nikt nie wiedział; mówiło się, że wiosna w dolinie Hermosu przebiegła w pokoju i dostatku.

Dotarli do Sardes o zmierzchu. Pałac Krezusa jarzył się światłami; dworzanie i prosty lud tłoczyli się u dołu schodów prowadzących do portyku i apadany, oczekując obwieszczenia z pałacu. Pochmurni gwardziści nie dopuszczali dalej ciekawskich. Kiedy wyczerpani drogą jezdni przepychali się przez tłum, rozległy się pomruki:

- To Memnon, on będzie wiedział. To muszą być poważne wieści.

Rodyjczyk ignorował te głosy, popędził konia w górę schodów i wjechał w krużganek. Wraz z Farnabazosem zeskoczyli z siodeł i rzu-cili wodze zaskoczonym strażnikom. W apadanie wyszedł im na spotkanie szambelan.

- Dzięki Mitrze! Pośpieszcie się! Tędy!

Gładkolicy eunuch zaprowadził ich przez wielką salę do pokoi zajmowanych podczas wesela przez Barsine. Ciągnął Memnona za rękaw i nalegał, by się pośpieszył, lecz Rodyjczyk złapał go za ramię i zatrzymał.

- Na psa Hadesa, co się stało? Czy mój brat nie żyje?

Szambelan struchlał.

- Nie, panie! Nie, pośpiesz się!

Rodyjczyk odepchnął go i wpadł na pokoje. Arystokracja i mężowie wysokiej rangi, kapłani i wysłannicy miast podległych Mentorowi, tłoczyli się w przedpokoju. W kącie puszyli się Spitrydates i Rojsakes otoczeni pochlebcami - pozbawionymi znaczenia Medami, którzy marzyli o powrocie dawnego porządku. Na wejście Memnona wszyscy się odwrócili. Czy to satysfakcja błyszczała w ich zmijowych oczach? Nieważne. Dowiemy się, co się stało, i wyrżniemy w pień wszystkich, całą klikę, która maczała w tym palce, pomyślał Memnon. Mina idącego obok niego siostrzeńca zdradzała te same uczucia.

Znajoma twarz przywitała ich u wejścia do kolejnej komnaty.

- Chafr! - zawołał Memnon. - Co się stało? Powiedziano mi, że z Mentorem źle.

Chafr skinął głową. Był wyczerpany i zaniedbany, jak człowiek, który przez kilka dni odmawiał sobie snu czy pożywienia i teraz porusza się tylko siłą woli.

- Choroba, Memnonie. Przyszła nagle. Wysoka gorączka i krótki oddech. Zabrałem się do leczenia i za dnia było lepiej, a nocami choroba wracała. To świadczy o obecności złego ducha. Nakazałem mu wdychanie oparów z żywicy oliibanowej, kory cynamonowej i mirry.

- Pomogło?

- Na początku. Ale zaraza siadła mu na piersiach i zaatakowała płuca. Niewątpliwie jej zjadliwość spotęgowały skutki wielu starych ran. Wobec nich jestem bezsilny.

- Ale przecież potrafisz go wyleczyć, prawda?

Egipcjanin przesunął ręką po czole i srebrnej szczecinie włosów.

- Moje umiejętności tu nie wystarczą, Memnonie. Próbowałem wszystkiego, ale zły duch nie opuszcza jego płuc. Zatapia go swymi płynami.

Załamany Memnon wsparł się o ścianę.

- Ale musi dać się coś zrobić!

- Teraz jest w rękach pana Ozyrysa. - Łzy wypełniły oczy Egipcjanina i pewnie załkały, gdyby nie zacisnął szczęk. - Wybacz - szepnął.

Memnon uściskał go.

- Oddałeś mojej rodzinie wielką przysługę - rzekł ze zdumiewającym spokojem. - Nie, nie musisz za nic przeproszać. Zawsze będziemy... będę twoim dłużnikiem, Chafrze. Dziękuję ci. - Polecił Farnaba-zosowi: - Zaopiekuj się nim i odeślij te sępy. Gdyby odmówili, wezwij kardaków i każ ich wygonić pod groźbą włóczni. Muszę iść do brata.

Farnabazos skinął głową. Sam też miał łzy w oczach. Wsparty na młodym Persie Egipcjanin dał się odprowadzić do izdebki przy przedpokoju. Memnon się odwrócił i wszedł do komnaty chorego.

Pamiętał ją z wesela, lecz teraz wyglądała nieco inaczej; na ścianach wisiały bogate kobierce, a w rogu stała przepiękna lampa z brązu na postumencie imitującym drzewo, którego liście były ze złota i srebra. Zasłony zaciągnięto i balkon był niewidoczny. Lniane płachty falowały wraz z nocnym powiewem. Z dworu dobiegał chłopot Paktolosu.

Mentor spoczywał na łożu z rzeźbionego i polerowanego drewna. Pod głowę podłożono mu stos poduszek, żeby było mu wygodniej. Twarz miał bladą i zlaną potem. Rozdziawiał bezradnie usta, oddychając, rzeził i bulgotał.

Przy łóżku siedziała Barsine, trzymając na kolanach misę z chłodną wodą. Zdjęła kompres z czoła chorego, zamoczyła go i wyżeła. Ręce jej drżały, gdy położyła z powrotem kompres na czoło męża. Na dźwięk kroków się odwróciła. Pomarszczone czoło, zapadłe policzki zdradzały wysiłek ostatnich tygodni. Na widok Memnona w jej zaczerwienionych oczach pojawiła się wielka ulga.

- Modliłam się do bogów o twój powrót - powiedziała, odstawiając misę i unosząc się. Memnon złapał ją za rękę.

- Wyruszyłem, kiedy tylko się dowiedziałem. Jak on się ma?

- Chafr powiada... - urwała i opanowała wzruszenie, które mogłoby ją pozbawić głosu - powiada, że jest na progu Hadesu, ale nadal czepia się życia. Pytał o ciebie.

Memnon podszedł do łóżka brata, pochylił się i ucałował rozpalone czoło. Będąc tak blisko, musiał dostrzec, że każdy oddech kosztuje Mentora ogromny wysiłek. Mięśnie i ścięgna szyi nabrzmiały mu jak liny. Powoli rozchylił powieki. Kiedy usiłował zaczerpnąć powietrza, aby przemówić, jego klatka piersiowa rozděła się niczym miech kowalski.

- Jes... jesteś... - wyrzeził. Łzy spływały z nabiegłych krwią oczu.

Memnon usiadł i ujął jego dłoń. Była zimna i spocona, ale na palcu nadal tkwił złoty pierścień władzy.

- Tak bracie, jestem. Przywiozłem ci prezent: wyspy Morza Egejskiego. Są zjednoczone pod twoją władzą, Mentorze. Twoją! Tak więc, widzisz, musisz zwalczyć tę zarazę...

Mentor ścisnął i rozluźniał szczęki.

- Już czas...

- Nie, nie. - Memnonowi załamał się głos. - Wystarczy, żebyś odpoczął. Siły ci wrócą. Do tej pory przejmę twoje obowiązki. Nie pozwolę, żeby te psy zepsuły twoje osiągnięcia!

Mentor z trudem przełknął ślinę, rzeżąc i kaszląc.

- Barsine...

Wróciła do jego boku i pogładziła spocony policzek.

- Proszę, mężu. Oszczędzaj oddech.

Dał jej znak, by się pochyliła. Spełniła to polecenie, niemal dotykając uchem jego warg. Na chwilę zastygła w tej pozycji. Zamknęła oczy, łzy spływały jej po policzkach strumieniami, gdy skinęła głową. Memnon nie słyszał słów brata, ale sprawiły, że Barsine zaszlochała. W

końcu się odwróciła i ukryła oblicze w ramieniu młodszego Rodyj-czyka. Objął ją i uściskał.

Na zalanej łzami twarzy Mentora nie było urazy, przygany, gdy jego żona poszukiwała pocieszenia w ramionach jego brata. Przeciwnie, w oczach umierającego pojawiła się ulga, jakby naprawił jakieś zło, z którego popełnienia od dawna zdawał sobie sprawę. Zaciśnął dłoń na dłoni Memnona, chociaż z każdą chwilą tracił siły.

- Poprosiłem... w twoim... imieniu - rzekł chrapliwym szeptem. Powieki mu zadrżały i zamknęły się. - Poprosiłem...

Jego oddech stał się jeszcze płytszy i bardziej wysilony, zazgrzytał mu w piersiach, gdy duch umierającego osłabł prawie całkowicie. Uścisk na dłoni brata zelżał.

- Co powiedział? - spytał Memnon.

Barsine uniosła głowę.

- Uwolnił mnie od mego obowiązku i rzekł, że nie ma hańby ani niesławy w miłości. Powiedział... - głos uwiązał jej w gardle, kiedy odwróciła się tyłem do małżonka - że ojciec dał mnie nie temu synowi Timokratesa, któremu powinien.

„Poprosiłem w twoim imieniu”. Memnon poczuł ucisk w sercu, gdy powtórzył w myślach ostatnie słowa brata, jego ostatni dar. Jednak był to tyleż dar co obowiązek - jako spadkobierca Mentora Memnon był zobowiązany strzec Barsine, dbać o nią, czy to odsyłając do ojca, czy znajdując odpowiedniego męża. W tej ostatniej sprawie pragnienie Mentora było jasne. „Poprosiłem w twoim imieniu”.

Łzy przesłoniły mu pole widzenia. Usiłował nad nimi zapanować. Uniósł do ust rękę brata.

- Będzie, jak chcesz - rzekł, całując ciężki złoty pierścień.

Barsine uczyniła to samo, po czym łkając, przytuliła głowę do ramienia Memnona.

Siedzieli przy łóżku umierającego, do północy sprawując bez słowa straż; wtedy Mentor zadrżał i wydał ostatnie tchnienie. Zgodnie ze zwyczajem swego ludu Barsine rozpoczęła lament, wydając przenikliwy krzyk, podjęty i wzmocniony przez Persów i Persjanki w pałacu. Eunuchowie krzyczeli i bili się w piersi. Kardakowie tłukli włóczniami o tarcze. Grecy - najemnicy, kupcy i posłowie - stali nieruchomo. Ich spokój ostro kontrastował z rytualnym zawodzeniem Persów.

- A więc nie żyje - stwierdzili i szeptali między sobą, roztrząsając, co też mogą przynieść nadchodzące dni.

A Memnon przy boku brata wbrew wszelkim zwyczajom i zasadom greckiej przyzwoitości zamknął oczy i zapłakał.

Interludium IV

Pogrzeb Mentora trwał trzy dni i trzy noce - powiedziała Barsine, ocierając czubkami palców łyzy. - I zakończył się podpaleniem wielkiego stosu, który rozjaśnił nocne niebo jak widziana daleko wokół latarnia. O poranku kapłani z powagą zalali ostatnie żarzące się węgle winem i zebrali szerniałe kości w złote płótno, po czym umieścili je w urnie z najdoskonalszego egipskiego alabastru.

Krzywiąc się, powstała z krzesła. Ariston poszedł za jej przykładem i zaoferował ramię, gdy powłócząc nogami skierowała się do łóżka. Przebycie nawet kilku kroków pozbawiło ją oddechu. Słabła, niebawem miał się pojawić Harmutes i przynieść służący lepszemu oddychaniu *pharmakon*. Chwycił ją atak kaszlu, gdy kładła się do łóżka.

- Przewieźliśmy prochy na północ i pogrzebali w Assos, obok jego ojca - powiedziała ostrym, chrapliwym głosem.

Chłód przenikał pokój. Ariston podszedł do paleniska i rozgarnął węgielki.

- Memnon nigdy nie wrócił na Rodos?

Barsine potrząsnęła głową.

- Sądzę, że tego najbardziej żałował. - Podciągnęła okrycie.

- A ty, pani? - spytał Ariston.

- Czego najbardziej żałuję? - Szare, filtrowane przez zimowe chmury światło, odebrało wszelką barwę policzkom Barsine. Jej rysy stwardniały. - Że z nim nie umarłam.

Podczas gdy Ariston zajmował się ogniem, wszedł Harmutes. Niósł dymiący kubek, owinięty szmatką, by nie parzył palców. Barsine smutno się uśmiechnęła do wiernego sługi.

- Za bardzo się starasz, podtrzymując przy życiu taką starą kobietę.

- Dzięki temu moje ostatnie lata mają sens, pani - odparł Harmutes. - Nie zajmując się tobą, niewątpliwie trawiłbym czas na niecnym uczynekach i machlojkach. Chybabyś sobie tego nie życzyła, prawda?

Barsine wzięła kubek i popatrzyła na niego, jakby była to jakaś przeszkoda, uniemożliwiająca jej osiągnięcie od dawien dawna wypatrywanego celu. Uniosła go do ust, zastygła i ostro potrząsając głową, odstawiła na bok naczynie.

- Przynieś mi zimnego wina bez dodatków - rozkazała. - Nieroz-cieńczonego wodą, bez ziół i lekarstw.

Egipcjanin się skrzywił. Zabrał kubek.

- Jak sobie życzysz pani. Ale wpierw musisz wypić to.

- Nie, Harmutesie, koniec z wywarem. Tylko wino.

- Co powiadasz?

Barsine odebrała mu kubek, postawiła go na stole i ujęła dłonie Egipcjanina.

- Mój stary przyjacielu - rzekła łagodnie. - Byłeś mi sterem i sternikiem podczas wielkich i małych burz, ale oboje wiemy, że mój czas się kończy. Niebawem wyruszę w podróż, w której nie możesz mi towarzyszyć. Jestem gotowa, Harmutesie. Jestem znużona tym światem. Chcę zakończyć moją opowieść i gdy dotrę do finału, nie ociągać się nawet chwili dłużej. Na pewno mnie rozumiesz, prawda?

Harmutes się przygarbił. Pochylił się i ucałował jej dłonie.

- Tak. Będzie zgodnie z twoją wolą. Wino bez dodatków.

Barsine opadła na poduszki.

- Dziękuję ci, Harmutesie.

Ariston skończył grzebać w palenisku i odprowadził wzrokiem Egipcjanina, który zabrał kubek i wyszedł. Czuł smutek starca. Kiedy drzwi się zamknęły, Ariston przystawił krzesło do łóżka Barsine.

- Współczuję mu - wyznał. - Nie wiem, czy potrafiłbym stać beczynnie i tylko patrzeć, jak ktoś, kogo kocham, odchodzi.

- Zrobiłbyś to - odparła Barsine. W oczach miała ślady łez. - Gdyby osoba, którą kochasz, nie miała szans powrotu do zdrowia. - Odchrząknęła. - Na czym stanęliśmy?

- Na przewiezieniu szczątków Mentora na północ.

- Ach tak. Po pogrzebie zamieszkaliśmy w posiadłości Memnona koło Adramyttion i zgodnie z pragnieniem Mentora przed końcem roku wzięliśmy ślub. Chociaż mój ojciec pobłogosławił i pochwalał nasz związek, śmierć Mentora była dlań ciężkim ciosem, tak ciężkim, jakby utracił własnego syna; dzielił swój czas między dwór w Suzie a satrapię Armenii, domenę jego kuzyna, Artaszaty. O ile sobie przypominam, na zachód wrócił tylko raz, rok potem, kiedy urodziłam siostrzyczkę Apamy, Artonis, nazwaną tak na cześć mojej matki. - Barsine nagle się uśmiechnęła. - Memnon miał bzika na punkcie córeczki i bratanicy i nauczył je jeździć konno niemal zaraz po tym, jak zrobiły pierwszy krok. Brakowało mi ojca, ale otaczała nas reszta rodziny i przyjaciele. Patron i Omares mieszkali w Assos. Farnabazos ożenił się z Greczynką i miał nieopodal posiadłość, a Kofen i Ariobarzanes odwiedzali nas często, przynosząc wieści od ojca lub listy od Dejdamii. Przez cztery lata żyliśmy w spokoju, aż...

Ariston się zdziwił.

- Wybacz mi, pani, ale czy nie mogłabyś opowiedzieć więcej o swoim małżeństwie? Cztery lata nawet przeżyte w spokoju nie mijają w mgnieniu oka. Może masz jakieś anegdoty, którymi mogłabyś się podzielić?

- Nie - odparła.

Na tę jednoznaczną odmowę zdziwienie Aristona przeszło w rozdrażnienie.

- Twoja postawa bardzo zaszkodzi tej opowieści. Zabierając się do pisania na jakiś temat, muszę mieć możliwie najszerzy obraz postaci. Przedstawiłaś mi bogatą i wnikliwą charakterystykę jego osoby... postawę na wojnie, umiejętności konstruowania intryg i planów. Nawet pokrótce przedstawiłaś, jakim był człowiekiem w czasie pokoju, ale powinienem wiedzieć więcej, jeśli mam oddać sprawiedliwość pamięci po nim.

- Jednak przez wzgląd na moją pamięć, muszę ci odmówić.

- Dlaczego? Czyżby ten rozdział twojego życia napawał cię takim wstrętem, że usunęłaś go z niej na zawsze? Jeśli nie, to nie pojmuję twojego oporu. Myślałem, że bardzo pragniesz, aby świat dowiedział się wszystkiego o twoim małżonku.

Wzgarda zmroziła jej twarz, po czym Barsine wydeła wargi na tę próbę manipulacji.

- Wcześniej mówiłaś o miłości, Aristonie, ale czy kiedykolwiek kochałaś? Nie chodzi o zwykłe zadurzenie czy lubieżne pożądanie, ale ten rodzaj miłości, który sprawia, że w obecności ukochanej osoby nie możesz złapać tchu, ten rodzaj miłości, który poeta stara się utrwalić w słowach, a rzeźbiarz w marmurze. Czy kiedykolwiek całą noc nie spałaś, przyglądając się ukochanej, dziękując bogom za wasze szczęście i zarazem przeklinając ich za to, że uczynili ją kimś, kim musisz się dzielić ze światem?

Ariston poczuł, że się czerwieni.

- Nie, pani, nie zdarzyło mi się nic takiego.

- Tylko kiedy bogowie pobłogosławią cię takim doświadczeniem, zaczniesz rozumieć mój, jak go nazywasz, opór. - Jej dłoń spoczęła na srebrnej skrzyneczce. - Niech wystarczy, że do tamtej pory spędziłam życie, przygotowując się na owe cztery doskonałe lata, tak jak spędziłam

jego resztę, starając się je utrwalić w mojej pamięci. Czas jest naszym nieprzyjacielem, Aristonie, i niewiele moich wspomnień nie zbladło z wiekiem, nie rozmyło się pod wpływem bólu, utraty i gorczy niespełnionych marzeń. Przekazałam ci ich wiele i przekażę jeszcze więcej, ale owe cztery lata nie są dla potomnych. - Westchnęła. - Są tylko moje.

Ariston przełknął rozdrażnienie i skinął głową.

- Przepraszam, pani. W takim razie idźmy dalej. Miałaś mi opowiedzieć, co zniszczyło tę idyllę.

Barsine przez chwilę nic nie mówiła, ściągając brwi i zbierając myśli.

- Czy wierzysz, że wszystkie rzeczy wiążą się ze sobą, że krosna Mojr łączą nasze nitki życia w jedną tkaninę? Że kiedy się przetnie jedną nić, ma to wpływ na pozostałe?

- To jak najbardziej możliwe - powiedział Ariston.

- Śmierć Mentora... nie nazwę jej przedwczesną, jak stało się modne powiadać w wypadku tak wielu... jego śmierć została zdecydowana przez bogów i przysłała w wyznaczonym czasie, jak będzie w wypadku śmierci twojej i mojej... jego śmierć dotknęła więcej żywotów niż tylko moje i Memnona. A nie licząc naszych, najbardziej odmieniła żywot eunucha Bagoasa.

Ariston pochylił się, przygryzając wargę.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że jego imię w jakikolwiek sposób mogłoby wiązać się z opowieścią o Memnonie.

- Och, nie. Bagoas obawiał się Mentora jak nikogo w świecie i jego pozycja, sama obecność były największymi przeszkodami ambicji eunucha. Bagoas uznał odejście mojego pierwszego małżonka za znak łaski bogów, który umocnił jego niczym nieskrępowaną żądzę władzy.

- Był eunuchem. Jak mógł liczyć na to, że zawędruje wyżej?

Barsine zadrżała.

- Dążył na sam szczyt. Dla Bagoasa nie miało znaczenia, że został wykastrowany. Mimo że eunuch, okazał się jednym z najbardziej krwiożerczych i przebiegłych ludzi, jakich miałam nieszczęście spotkać. Jeszcze przed śmiercią Mentora układał plany unicestwienia każdego rywala do łask Ochosa. Jeden Błogosławiony wie, ile niewinnych istot wysłał w ręce kata, a z nimi ich rodziny, opierając się na wymyślonych zarzutach lub najzwyklejszych kłamstwach. Ale jak się pewnie domyślasz, wiedział, że perska arystokracja nigdy nie zniesie rządów eunucha, musiał więc znaleźć uległego członka królewskiej rodziny i wynieść go na tron. Większość wierzy, że pomógł choremu Ochosowi zejść do grobu i jego synom też, oszczędzając tylko najmłodszego, niedorostka imieniem Arses. Ten biedny młody dureń przez rok rządził jako marionetka Bagoasa, zanim okazał nieco samodzielności, przez co zginął. Tymczasem Persja znalazła się w żalosnym stanie. Ludy jak natura nie znoszą próżni, tak więc, gdy zabrakło władzy, Egipt zdobył niezależność, w ten sposób niszcząc dzieło Mentora, a Macedonia poczyniła próbne wypadki na tereny azjatyckie. Nie napotkała żadnego oporu. Jednakże z powodu jego predylekcji do trucia każdego, kto mu się nie spodobał, Bagoasowi coraz trudniej było znaleźć członka królewskiej rodziny skłonnego objąć tron. Mój ojciec przekonał Artaszatę, aby to uczynił.

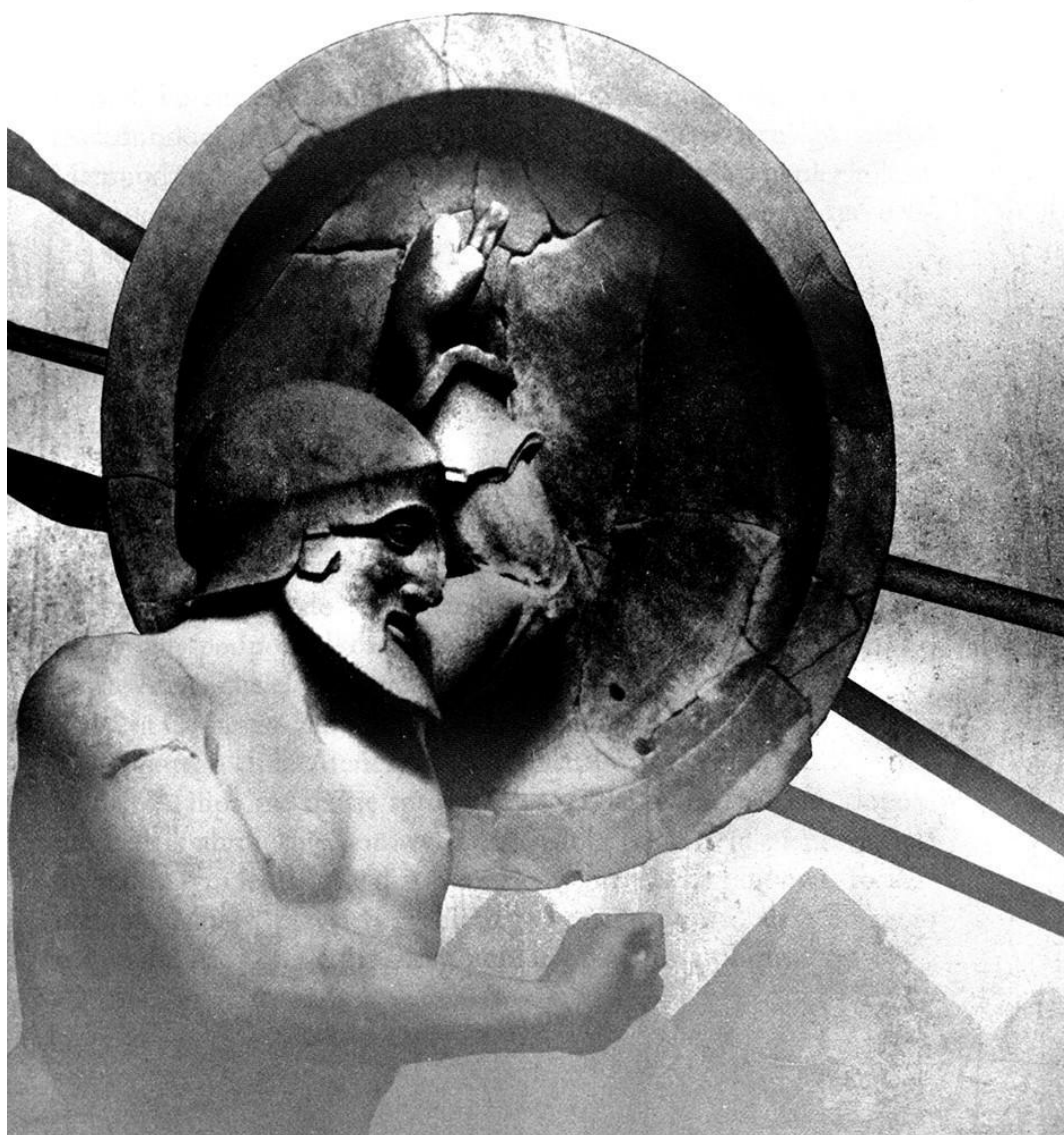
- Czemu sam Artabazos się tego nie podjął? - spytał Ariston. - Przecież miał najczystsza krew perskiego arystokraty.

- Nie o krew poszło, ale o jego przeszłość. Dlatego wielu nie miało do niego zaufania. Poza tym miał na karku siódmy krzyżyk. Ojciec uważał, że wymogi korony przerosłyby człowieka w jego wieku. Dwadzieścia pięć lat młodszy Artaszata miał równie szlachetną krew... jego dziadek i mój pradziadek, Artakserkses Drugi, byli braćmi... i całe życie służył prawowitemu królowi, zdobywając wielką sławę dzięki bitwom z barbarzyńskimi Kaduzjami na

wybrzeżach Morza Kruków. Ale mimo to był łagodnym człowiekiem, niemal delikatnym i z pewnym oporem nałożył spiczastą tiarę i przybrał imię Dariusz jako trzeci z perskich władców. Pierwsze, co zrobił jako król królów, to przed wymarszem na Egipt wysłuchał rady mojego ojca i zmusił swego morderczego dobroczyńcę do wypicia z jego własnego zatrutego pucharu. Po drugie, znów kierowany przez mojego ojca, nadał Memnonowi godność perskiego wodza i rozkazał mu wypędzić Macedończyków...

HELLESPONT

1. rok 111. olimpiady faraona Chnemibre Ahmose
(336 r. p.n.e.)



Rozdział dziewiętnasty

Obłok kurzu, podniesiony przez maszerujące nogi siedmiu tysięcy macedońskiej piechoty, zmącił widok niebieskiego letniego nieba. Memnon widział blask i lśnienie długich saris, hełmów i napierśników z brązu, gdy poszczególne oddziały falangi zajmowały pozycje po drugiej stronie rzeki Skamander.

- Popatrz na nich, Efialtiesie - rzekł do ponurego Ateńczyka, stojącego po jego lewej ręce. - Czy nie są wspaniali?

Efialties, gigant w niedopasowanej zbroi, tylko odchrząknął i splunął, nie racząc odpowiedzieć. Memnon uśmiechnął się do stojącego po jego prawej Farnabazosa.

- Ach, nadal dokucza mu żądło porażki. Powiedz mi, Efialtiesie, czy Macedończycy wyglądali tak wspaniale pod Cheroneą?

Tamta bitwa, rozegrana dwa lata wcześniej nad rzeką Kefisos w Be-ocji, doprowadziła do supremacji Filipa nad Grekami. Od tej pory Ateny były podporządkowane Macedonii - sytuacja, którą dumni synowie Ateny chcieli zmienić.

- Na Cerbera - zahuczał Efialties - atakujemy czy nie?

- Tamtego dnia Ateńczycy za niecierpliwość zapłacili przegraną.

Widzisz, Filipa nie da się sprowokować. Nie kiwnie palcem, dopóki nie będzie absolutnie gotowy, a jeśli zdoła podpuścić nieprzyjaciela do ataku, tym lepiej. Ale dziś nie stajemy przeciwko Filipowi. To Par-menion. Może i przycięty wedle tego samego wzoru, ale z gorszego materiału. Ale i on się nie ruszy, póki my tego nie zrobimy.

Żołnierze Memnona też się nie spieszyli z atakiem na Macedończyków. Trzymali prawy brzeg Skamandra, niewielkie wzniesienie, z którego rozciągał się widok na leniwie płynący nurt. Pięć tysięcy chłopów stało za plecami Memnona, jego osobista gwardia kardaków wzmocniona mieszaniną greckich najemników, głównie Arkadyjczyków - żołnierzy wyćwiczonych do wojny w żelaznych szkołach Peloponezu i opłaconych przez nowego króla Persji, Dariusza. Ku dumie Memnona stali nieporuszeni, cierpliwi, nie przejmując się niczym.

Efialties wskazał na nich.

- Po co wojsko, skoro nie zamierzamy go użyć? Zeusie Zbawco, Memnonie! Już piątą dzień, jak ich wyprowadzasz na te same pozycje! Pięć dni pod rząd ustawiamy się, przez godzinę albo dłużej gapimy się na tych sukinsynów, Macedończyków, i zamiast dać sygnał do ataku, każesz się wycofać i wracać do obozu? Czy ty nie masz kręgosłupa, człowieku?

- Nie masz szacunku, psie? - rozgniewany Farnabazos wystąpił przeciwko Efialtiesowi.

Szczupły Pers nie przejmował się rozmiarami Ateńczyka. Jednak Memnon złapał go za ramię. Na twarzy miał lekki uśmiech.

- To nie sprawa kręgosłupa, Efialtiesie, flegmy, odwagi albo jej braku. To sprawa pomysłu. Pewnie zauważyłeś, że Parmenion reaguje na moje ruchy, jak marionetka, którą ja pociągam za sznurki: my wychodzimy na pozycje, on wychodzi. My tworzymy szyk, on tworzy szyk. My stoimy, on stoi. My się wycofujemy, on się wycofuje. On czeka, ponieważ tego nauczył go Filip... świadomości, że twój wróg musi stracić cierpliwość i musi popełnić błąd. Farnabazosie, powiedz naszemu niegdysiejszemu Ateńczykowi, co by się stało, gdybyśmy teraz ruszyli na Macedończyków.

Farnabazos szyderczo się wykrzywił, dobył noża i na piasku nakreślił plan bitwy.

- Nie widzę konnicy, więc Parmenion trzymałby nas na dystans... jego sarisy są o pięć stóp dłuższe niż nasze włócznie... podczas gdy wydłużyłby flanki. To oznacza, że skrzydła

przerzedziłyby z dwudziestu szeregów do dziesięciu, ale dzięki temu wydłużyłyby linię na tyle, aby nas obejść i okrążyć. Wtedy...

Czubek noża Persa przekreślił ich pozycje.

- Więc co robimy? - burknął Efiates. - Bawimy się z nimi, aż zima przyjdzie i wszyscy wrócimy do domu?

- Macedończycy nie przerywają kampanii, dlatego że skończył się ciepły sezon, Efiatesie, i my też nie.

Dołączyli do nich inni dowódcy Rodyjczyka; Omares, Patron i Damastes, były zarządca Abydos.

- Jakie rozkazy, Memnonie? Atakujemy? - spytał Patron.

Od powrotu z Syrakuz Patron porzucił morze, stał się dowódcą lądowym i nawet zabrał do nauki konnej jazdy. „Widziałem, jak wściekłość Posejdona kosztowała życie zbyt wielu dobrych ludzi - rzekł raz Memnonowi, kiedy się upił - niepogrzebanych i po śmierci skazanych na nie wiadomo jakie miejsce. Na Hadesa! Kiedy umrę, chcę, żeby moje kości spoczęły pod poczciwą ciężką ziemią!”

- Widzieliśmy ich - odparł Memnon, zaciskając wargi. - Oni widzieli nas. Parmenion się nie spodziewa, byśmy wykonali jakiś ruch, dopóki on go nie wykona, a tego nie robi. Pamięta grozę, jaką rozsialiśmy, kiedy wiosną przeszliśmy rzekę Idę i zaskoczyli Attalosa pod Kyzikos. Tamta rzeź kosztowała go trzy tysiące dobrych żołnierzy. Wolałby nas przeczekać i zmusić do zrobienia pierwszego kroku. A więc znów zawiedzimy jego nadzieje, prawda? Na pozycje. Przygotować się do odwrotu.

Ćwierć godziny później rozległy się głosy rogów. Powoli, jak wielka ociężała bestia, oddziały Memnona podniosły świeżą kurtynę kurzu, cofając się od rzeki. Z macedońskiej strony rozległy się szyderstwa i drwiny. Zagrzecotały sarisy i wybuchł śmiech, gdy kilku górali Parmeniona podniosło lniane chitony i potrząsało genitaliami w kierunku cofających się Greków.

- Chodźcie tu - wołali - przelecimy was jak należy!

Ostatni schodził z pozycji Memnon. Tylko pomachał Macedończykom i poszedł za swoją kolumną.

Podczas gdy nieprzyjaciel stanął niecałą milę od Skamandra, Memnon rozłożył i umocnił swój obóz jakieś pięć mil w górę rzeki; teraz dobrze wydeptana droga prowadziła tam z potencjalnego miejsca bitwy. Pierwsze dwie mile żołnierze przeszli w dwie godziny.

Mieli nastrój do bitki, gdyż byli dobrze opłaceni, dobrze nakarmieni i dobrze dowodzeni. Po pokonaniu macedońskich najeźdźców pod Pitane, nad zatoką Elea, pod Kyzikos i wreszcie pod Perkote, odepchnęli ich niemal do burzliwych wód Hellespontu. Parmenionowi pozostały tylko Abydos, przylądek Retion i Równina Darda-nelska.

- Wkrótce nawet mniej - zapowiedział Memnon.

Szedł wraz z żołnierzami, słuchając ich opowieści i snując własne. Tylko Ateńczyk wydawał się nie w humorze.

- Przynajmniej mogliśmy bliżej rozbić obóz - zrzędził - wtedy nie musielibyśmy tyle maszerować każdego przekłętego dnia!

- Jest piękna pogoda, przyjacielu, a marsze dobrze robią duszy. Poza tym, co innego masz do roboty? - Memnon klepnął Ateńczyka w ramię.

- Zabijanie Macedończyków jest przyjemniejsze niż wleczenie się w tej spiekocie i kurzu.

- Cierpliwości, Efiatesie.

Po przebyciu połowy trzeciej mili ruch na tyłach zatrzymał Memnona. Odwrócił się, gdy konny zwiadowca, tubylec, osadził wierzchowca i zeskoczył na ziemię.

- Panie! - powiedział miejscowym, prawie niezrozumiałym akcentem. - Macedończycy! Nie odczekali! Poszli do obozu! I nie wystawili zwiadu!

- Warty?

- Są, ale wcale się nie rozglądają!

Memnon podziękował mu i odszedł na bok. Przyglądał się drodze, którą przybyli. Było późne popołudnie, ale jasne, gorące słońce jeszcze wisiało wysoko. Powinni mieć sporo czasu...

Na ostry dźwięk gwizdka adiutanci niezwłocznie przybiegli. Memnon wysłał rozkaz na czoło kolumny. Nie kazał dąć w rogi, gdyż ich dźwięk rozszedłby się ponad wzgórzami. Komenda była prosta, jeden wyraz, *exeligmos!*, zrozumiała nawet dla najbardziej tępych piechurów. Adiutanci przekazali rozkaz wodza i w chwilę potem armia stanęła. Memnon usłyszał, jak jego rozkaz przechodzi coraz niżej drabiny dowodzenia, od dowódców niższego szczebla przez weteranów do najzwyczajniejszych piechurów. Pięć tysięcy żołnierzy z wyćwiczoną precyzją przeprowadziło kontrmarsz lakoński.

Na komendę „*Exeligmos!*” dziesięciu żołnierzy prowadzących każdy tysięcosobowy oddział zrobiło krok w prawo, w tył zwrot i przemaszerowało z powrotem między szeregami. Drugi z kolei żołnierz szedł w ślady pierwszego, aż w końcu setny piechur, *ouragos*, zrobił tylko w tył zwrot i wyrównał szereg. Adiutant przyniósł Memnonowi tarczę i hełm. Dowódcy biegiem zajęli stanowiska na czele przestawionej kolumny.

Efialtes rozejrzał się zdziwiony.

- Co się dzieje?

- Nadszedł czas - powiedział Memnon, ściskając skórzany uchwyt tarczy. - Teraz pozabijamy trochę Macedończyków.



Nagle pojawienie się Memnona zaskoczyło nieprzygotowanych i ponurych wrogów. Większość znużona i zła z powodu kolejnego dnia bezczynności zrzuciła zbroje i zajmowała się przygotowaniem strawy, piekła chleb lub popijała dzienną rację wina. Ostatnią rzeczą, której się spodziewali, był widok Greków pokonujących Skamander, pędzących jak na skrzydłach przez rów obronny i wał.

Po obu stronach zagrzmiały rogi. Pięć tysięcy greckich gardeł wydało okrzyk bojowy, który miał rozproszyć lęk i wzmocnić odwagę, *alala!* Z macedońskich gardeł wyrwały się przekleństwa i krzyki na alarm. Parmenion i jego dowódcy zerwali się, by zgonić żołnierzy w jaką taką falangę. Macedończycy wpadali jeden na drugiego, potykali się o broń, niektórzy porywali sarisy i półnaczy stawiali opór Grekom; inni wkładali napierśniki lub hełmy.

Nic im to nie pomogło.

Prowadzeni przez Memnona Grecy przełamali obronę Parmeniona. Rodyjczyk przeskoczył rów i wdrapał się na wał, unosząc wysoko tarczę, którą odpierał ciosy sarisy lub miecza. Dotarł na górę i uderzając od dołu, wbił włócznię w odsłonięty brzuch obrońcy. Ten runął, krzycząc i zaciskając ręce na śliskim od krwi drzewcu. Memnon przedostał się na drugi stok wału. Przycisnął nogą trupa i wyrwał z niego oręż. Kolejny, odziany tylko w nagolenniki i tracki hełm Macedończyk, z wyciem zasłonił sobą wyrwę. Memnon uderzył brzegiem tarczy. Dąb i brąz napotkały ciało i brąz, wydając obrzydliwy chrzęst. Żołnierz upadł; hełm i czaszka pod nim nie wytrzymały siły uderzenia. Rodyjczyk zmienił pozycję. Trzeci obrońca, który natarł zaraz po poprzednim, dostał zakrwawionym żeleźcem włóczni prosto w zarośnięty podbródek.

Głowa odskoczyła mu w bryzgach krwi i wybitych zębów. Żelazo przebiło podniebienie i mózg. Memnon kopnął trupa, uwalniając włócznię.

Grecy wlewali się z trzech stron obozu, pokonując wał. Oddział Damastesa uderzył z prawej, Omaresa z lewej. Mający po bokach żołnierzy Farnabazosa i Patrona oddział Memnona przetoczył się przez środek, zmierzając w kierunku namiotu dowódcy i Parmeniona. Tam walka była najbardziej zacięta. Rozszalały tłum górali, krajan Parmeniona, uniósł płot saris, chroniąc wodza i pobratymcę. Żelazo rozrywało brąz i ciało, każdy cios akcentowany był rozbryzgiem krwi jasnej jak koguci ogon. Ziemia zafalowała i nasączyła płynami ciała, zamieniając się w cuchnący muł, Ignący do żołnierskich sandałów.

Greckie natarcie ustałoby, gdyby nie Efiates. Zakrwawiony gigant gołymi rękami zrobił wyłom w linii nieprzyjaciela. Na oczach Memnona dźwignął nad głowę rannego Macedończyka i cisnął nieszczęśnika na sarisy, potem drugiego i trzeciego, aż pod połączonym ciężarem drzewca pękły i otworzyła się luka. Efiates porwał w każdą rękę miecz i rycząc jak szaleniec, runął w to miejsce. Memnon wysłał za Ateńczykiem osłonę kilkunastu hoplitów.

Kiedy obóz został zdobyty i linie obronne pękły, Parmenionowi nie pozostało nic innego jak wydać rozkaz do generalnego odwrotu. Musiał ratować ostatki swojego kontyngentu. Zahuczały salpingi, kończąc żałobną nutą. Memnon rozpoznał ten dźwięk. Poleciał swoim trębaczom, by kazali Grekom zakończyć rzeź. Macedończycy setkami odrywali się od przeciwnika i uciekali; jednak byli i tacy, którym rany lub bitewny wysiłek odebrał siły. Ci odrzucali broń i błagali litości.

Efiates zabił jednego z rannych i uniósł miecz nad drugim, ale Memnon złapał go za rękę. Ateńczyk o szklistych, oszalałych oczach warknął, usiłując się wyrwać. Memnon wierzchem dłoni dzielił go po policzku.

- Zbierz się w kupę, do cholery! - ryknął. - Zbierz się albo zabiję cię na miejscu!

Efiates potrząsnął głową. Krew ściekała mu z twarzy, tors ciężko pracował z każdym oddechem. Opuścił miecz i rozejrzał się niczym człowiek budzący z głębokiego snu.

- Ruszaj - rozkazał mu Memnon, tym razem łagodnie - odpocznij. Zasłużyłeś na to. Ateńczyk skinął głową i ruszył w kierunku wału.

Wyczerpani skwarem, pragnieniem i wysiłkiem Grecy rozkładali się między martwymi i rannymi Macedończykami, łapiąc powietrze przez wąskie otwory korynckich hełmów. Inni szukali rannych towarzyszy broni, ignorując błagania Macedończyków o pomoc.

- Nie, bracia! - zawołał Memnon, zdejmując hełm i podając go adiutantowi. - Im też pomagajcie!

Nosiciele wody krążyli zarówno między swoimi, jak i wrogami.

Rodyjczyk znalazł Farnabazosa. Siedział przed namiotem Parmeniona posiniaczony i zbryzgany krwią, ale cały.

- Po tym dniu stary drań nie zmruży oka przez wiele nocy, wuju - powiedział uśmiechnięty. - Pewnie przeklina siebie, że pozwolił ci wyjechać z Tracji żywym.

- Hm, prawdziwa próba dopiero przed nami - rzekł Memnon. - Parmenion to tylko prolog, próba przed rzezią, której imię Filip.

- Chyba Filip nie będzie tak głupi, żeby realizować plan inwazji. Nie po tym, jak odesłaliśmy jego sławnego wodza do Europy, rozkwasiwszy mu nos.

Memnon się uśmiechnął. Wyciągnął rękę i pomógł Farnabazosowi wstać.

- To też tylko prolog. Chodź, mamy wiele do zrobienia, no i trzeba się zająć rannymi i martwymi. Dzisiaj będziemy tu obozować. Wszystko, co może się przydać, zabierzemy jutro. Wyślij czujki. Chcę dokładnie wiedzieć, gdzie się podziewa Parmenion. Kazałem Patronowi wystawić warty i pilnować więźniów. Czy nie byłaby to ironia losu, gdybyśmy my z kolei wpadli

w podobne sidła?

Żołnierze Memnona pracowali do późna w noc, zabezpieczając nowy obóz. Pożywiali się zdobycznymi zapasami, podczas gdy ogniska z połamanymi saris dostarczały światła greckim kowalom, zbierającym każdy kawałek brązu i żelaza. Słodziej pachnące kadzielnice płonęły wokół namiotów chirurgów na skrajach obozu, bliżej Skamandra. Umyty, chociaż nadal opancerzony Memnon siedł między pryczami z rannymi, rozmawiając z żołnierzami obu stron. Do swoich zwracał się po imieniu, pytając o rany i czyny z tego dnia; Macedończykom podawał swoje imię i uspokajał ich obawy, pytając, jak się nazywają i kim byli ich ojcowie. Wielu z nich rozpoznawał, spotkawszy ich podczas wygnania w Pelli.

Jedna twarz zwróciła jego szczególną uwagę. Przykucnął przy rannym Macedończyku.

- Kojnos, prawda? - spytał.

Rudobrody mężczyzna skinął głową. Krew ściekała mu z ciętej rany w boku; druga na głowie zlepiała włosy.

- Minęło wiele lat od tamtej drogi do Miedzy, ale nie zapomniałem twojej cierpliwości wobec mojego siostrzeńca. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, przyjacielu?

- Panie - wychrypiał z łzami w oczach Kojnos. Uniósł się na łokciu. - Błagam o zmiłowanie. Zabij mnie i niech się to skończy, bo raczej wolę nie żyć, niż być czymś niewolnikiem.

Jednak Memnon wezwał jednego z greckich chirurgów.

- Oczyśćcie tego człowieka. Nie potrzebujesz się bać śmierci ani niewoli, Kojnosie - rzekł. - Daję ci na to moje słowo. Ty i twoi żołnierze będziecie moimi gośćmi, dopóki nie ustalę warunków z Parmenionem. Gdyby się to nie udało, sam odeślę cię z powrotem do Pelli. I wszystkich twoich.

Kojnos podziękował szeptem i osunął się z powrotem na posłanie.

Damastes i Omares również byli wśród rannych. Względem Damastesa chirurg nie miał wielkiej nadziei. Topór górala rozbił mu hełm i rozłupał czaszkę. Memnon usiadł u boku umierającego, ujął bezwładną dłoń i dodawał mu szeptem otuchy. Rokowania Omaresa były znacznie lepsze, chociaż cios sarisą w udo przykuł go do łóżka na dobry miesiąc.

- Odeślę cię do Assos - powiedział Memnon z uśmiechem. - Niech kurtyzany przywrócą cię do zdrowia.

- Chwała Zeusowi! Lepiej niech to potrwa dwa miesiące - odparł Omares. Jego uśmiech przeszedł w grymas, gdy chirurg zszywał i kau-teryzował ranę. - Szkoda, że nie ma tu twojego Egipcjanina. Ten ma ręce jak drwał.

- Ha, Barsine nie puszcza Chafra na krok.

Po prawdzie, sam wolałby go mieć przy sobie. Może potrafiłby coś zrobić dla biednego Damastesa. Ale odesłał Egipcjanina wraz z Barsine i dziećmi do Efezu, z dala od niebezpieczeństwa. Uśmiechnął się.

- Raz powiedziałeś mi, że każda rana ci o czymś przypomina.

O czym ta będzie ci przypominać?

Pot załśnił na poblížnionym czole Omaresa.

- Że jestem wolniejszy niż dawniej.

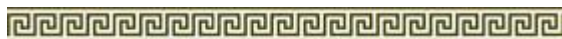
Godzinę potem Farnabazos zastał go nadal siedzącego przy Omaresie. Ranny spał niespokojnie; Memnon wpatrywał się w tańczący płomień lampy. Lekki dotyk siostrzeńca wytrącił go z zamyślenia.

- Posłaniec dostarczył to.

Farnabazos trzymał w dłoni strzęp pergaminu, kawałek mapy. Zwinięto go i przewiązano rzemykiem.

Memnon zsunął wiązanie, rozprostował zwój i podniósł go do światła. Jednolite jak od sztancy greckie litery niosły jasny przekaz... podobnie nie dało się pomylić lokalizacji wskazanego na mapie miejsca.

- Co to jest?
- Wiadomość od Parmeniona - odparł Memnon. - Chce rozmawiać.



W pobliżu Sigejon, na omiatanej wiatrami Równinie Dardanelskiej, porośnięty niskimi krzakami kamienisty kurhan panował nad pienistymi wodami Morza Egejskiego. Plażę kiedyś poznały ślady gigantów, gdyż to do niej przybił Agamemnon, król Myken i Achajów, gdy grecka furia zwróciła się przeciwko trojańskiej twierdzy. To starożytne miasto, teraz ledwo senna wioseczka, leżało cztery mile w głąb lądu, po drugiej stronie Skamandra, tam gdzie się łączył z rzeką Simeis.

Memnon zbliżył się do kurhanu od południa. Jechał samotnie wzdłuż wydm, tworzących naturalny bastion między równiną i wybrzeżem. Nie towarzyszyła mu straż, zabronił jechać z sobą nawet Farnabazosowi.

- To może być pułapka, wuju! Nie możesz mu ufać!

Rzeczywiście, pokonany dowódca mógł być na tyle zdesperowany, by zorganizować pułapkę, ale w tym wypadku Memnon nie żywił podobnych obaw. Parmenionowi na czymś zależało - na czymś konkretnym. Tak więc pojechał sam, czujny i pełen ciekawości.

Od podstawy kurhanu na płaski szczyt wiała się koźła ścieżka. Memnon zsiadł z konia i rozejrzał się. Miał na sobie pełną zbroję - pancerz atletry z wykładanego srebrem brązu, spodniczkę z nabijanej ćwiekami skóry, nagolenniki z podobnego materiału, z wyobrazeniami szczerzącej kły Gorgony i sandały z grubej wołowej skóry. Złożona pochwa miecza zwisała na zwykłym czarnym pasie przebiegającym przez ramię, a okrągła tarcza z brązu miała wizerunek perskiego orła, oddanego w złocie i lapis-lazuli. Hełm był koryncki, z wysokim pióropuszem z barwionego na egipski błękit końskiego włosia.

Przywiązał konia do krzewu i ruszył w górę, trzymając rękę na rękojeści miecza i nasłuchując każdego dźwięku, który mógłby świadczyć o zasadzce. Jednak poza wyciem wiatru i dalekim hukiem i sykiem bijących o brzeg fal nie słyszał niczego.

Na szczycie zastał Parmeniona. Macedończyk czekał w pełnej zbroi, uzbrojony. Kirys miał z matowego brązu, a znaki na nim, podobnie jak na zwykłych nagolennikach, nie służyły upiększeniu, ale były świadectwem walk. U pasa miał miecz i wspierał się na krótkiej kawaleryjskiej włóczni. Światło odbijało się od ostrego żelaznego grotu. Przez chwilę żaden z mężów się nie poruszył ani nie przemówił. Wiatr gwizdał między skałami, mierzwiąc pióropusz hełmu Memnona.

- Porozmawiamy - krzyknął w końcu Rodyjczyk - czy rozstrzygniemy to jak Hektor i Achilles?

Parmenion wbił w ziemię włócznię, odpiął pas i złożył go obok. Memnon uczynił podobnie, oparł tarczę o skałę, pozbył się hełmu i miecza. Obaj mężowie się wyprostowali i podeszli na środek kurhanu.

- Nie myślałem, że przyjedziesz - rzekł Parmenion. W ostrym świetle wyglądał na znużonego, jak człowiek, który znalazł się na skraju wyczerpania i został zmuszony postąpić krok dalej. - Nie myślałem, że mi zaufasz.

Memnon się uśmiechnął.

- Nie ufam ci. Ale kiedyś byliśmy przyjaciółmi i przybyłem w dowód, że nie żywię wobec ciebie złych intencji.

- Masz część moich żołnierzy.

- I obiecuję ci, że będą otoczeni opieką. Moi lekarze zajęli się nimi tak jak moimi żołnierzami.

- A co z tymi, którzy nie żyją?

- Spaliliśmy ich - rzekł Memnon. - Ich kości zostaną przesłane do twojego obozu.

Jednak więźniów nie mogę ci odesłać, dopóki Macedonia nie ustąpi z azjatyckiej ziemi. Nie chciałbym za rok czy miesiąc zobaczyć tych samych żołnierzy przeciwko sobie.

- Filipowi to się nie spodoba - rzekł Parmenion.

Nozdrza Memnona rozděły się.

- W takim razie niech przybędzie i sam poprosi o ich uwolnienie.

- Przybędzie wkrótce. - Przy tych słowach Parmenion obnażył pożółkłe zęby w grymasie nienawiści. - Czemu wysługujesz się obcemu despotcie, gdy tak wielki król jak Filip byłby zaszczycony, mogąc ci zaufać? Nie rozumiesz, że twoja niewolnicza postawa nie służy interesom twojego ludu?

- Na tej ziemi - Memnon kopnął grunt, który miał pod nogą - ty służysz obcemu despotcie, nie ja! Mój lud to nie Macedończycy, ale azjatyccy Grecy, i służę im godnie!

- Persja nie jest warta twoich starań, Rodyjczyku, i wiesz o tym! Przyłącz się do nas!

Nic nie stracisz, ale pomyśl, ile zyskasz! Wyobraź sobie, Memnonie! Własne królestwo rozciągające się od cieśniny hel-lesponckiej do rzeki Halys na zachodzie i od wybrzeży Cylicji na południu do wybrzeża Euxine na północy... wszystkie ziemie i miasta zarządzane przez ciebie, jak uznasz za stosowne.

- Pod egidą Filipa, oczywiście. Za zgodą Macedonii.

- Oczywiście.

- I mówisz, że niczego nie tracę, Parmenionie? Co z moim honorem? Przysięgłem bronić mojego pana i władcy, wielkiego króla Dariusza Trzeciego. Jak Filip mógłby powierzyć mi setkę żołnierzy, a co dopiero całe królestwo, gdybym zdradził i przeszedł na jego stronę? Co powstrzymałoby mnie od kolejnej zdrady i przejścia na stronę innego władcy w zamian za jeszcze więcej ziemi?

Parmenion spochmurniał.

- Nie jest zmałą na honorze zdradzić barbarzyńcę. Więcej, Filip uważa, że taka perfidia winna być nagrodzona.

- Pewnie, że tak uważa - rzekł Memnon. - Chyba że podobna perfidia byłaby skierowana przeciwko niemu. Ciekaw jestem, jak wtedy będzie łaskawy?

- Jesteś krnąbrny, Rodyjczyku. - Parmenion pokręcił głową.

- Mój ojciec mówił podobnie.

- To jest twoja odpowiedź? Umrzesz dla tego Dariusza, dla człowieka, którego ledwo znasz?

- Jestem gotów.

- Dlaczego?

Memnon jednak tylko się uśmiechnął. Już miał się odwrócić, ale jeszcze przystanął.

- Ostatnia rzecz. Zatrzymaj sobie przyczółek przy Abydos, nie przeszkadza mi to. Ale zapuść się dalej, a utopię cię w Hellesponcie. Rozumiemy się?

Parmenion roześmiał się krótko i chrapliwie.

- Nie przeszkadza ci armia na twoim progu?

- Armia? Wielkie słowo na kilka setek posiniaczonych i obitych żołnierzy. Tak, nie przeszkadza mi. Kiedy Filip znuży się szarpaniną z psami Hellady i zapagnie prawdziwej walki, powiedz mu, że będę tu czekał.

- Stałeś się arogancki, Rodyjczyku - rzekł Parmenion.

- To nie arogancja - poprawił go Memnon, ruszając z miejsca. - Szczerłość.



Memnon dotrzymał słowa i zwrócił Parmenionowi kości zabitych Macedończyków, dołożywszy do nich listy więźniów i rannych. Jednak odrzucił wszelkie sugestie wymiany za okup. Efiates był niepokieszony.

- Moglibyśmy zbić na nich fortunę, Memnonie!

- Nic byśmy na nich nie zbili - ostudził go Rodyjczyk. Siedział na starym składanym krześle z drewna i poźółkłej kości słoniowej, czytając raport od szpiega w Lampsakos, ostrzegający o rosnącej facji promacedońskiej. - Zyski trafiłyby do skarbcza króla, a nam przysłoby znów bić się z tymi samymi żołnierzami. Tylko tym razem byłiby jeszcze bardziej rozjuszeni, bo walczyliby o utracony honor i rodzinne bogactwo.

Efiates się pochylił.

- Wielki król nie musiałby niczego wiedzieć...

- Ja bym wiedział.

Memnon machnięciem dłoni oddalił Ateńczyka. Stojący nieco dalej Farnabazos pełnym pogardy spojrzeniem odprowadził wielkoluda.

- Miałeś rację, wuju. W tych ludziach nie ma nic z dawnej chwały. Ateńczycy stali się raj furami i demagogami.

- Ale nadal można ich do czegoś wykorzystać - odparł Memnon, wracając do raportu.

Czas zaczął się dłużyć, monotonię przerywały tylko drobne potyczki patroli z oddziałkami aprowizacyjnymi Parmeniona, który nie miał sił na frontalny atak. W środku lata bezczynność działa na nerwy Macedończykom; aby odwrócić ich myśli od wojaczki, Memnon posłał im prezent - statek z winem z Tasos.

- To powinno ich zająć na tak długo, abym zdołał się wyslizgnąć do Efezu - powiedział Rodyjczyk. - Zostawiam ci dowództwo, Farnabazosie. Gdyby się coś zmieniło, daj mi znać.

Podróżując konno i okrętem Memnon w tydzień przybył niezapowiedziany do posiadłości na wzgórzach, z których rozciągał się widok na Efez. Zapukał do frontowych drzwi jak zwykły gość.

Drzwi otworzył jeden ze strzegących domu kardaków. Fraates, bo takie było imię starego lwa pół bitewnych, miał na sobie prosty niebieski chiton i nosił miecz u boku. Memnon się uśmiechnął i złapał go za ramię, zanim weteran zdążył krzyknąć z radości.

- Witaj, przyjacielu - rzekł stłumionym głosem Rodyjczyk. - Szybko, wezwij panią! Nie mów, w jakiej sprawie!

Fraates wyszczerzył zęby.

- Pani! - zahuczał, znikając w głębi domu. - Przybywaj szybko! Zjawił się człowiek z wieściami!

W chwilę potem Memnon usłyszał głos Barsine:

- Jakimi wieściami?

Żadna muzyka nie była słodsza dla jego uszu, nawet gdyby palce Afrodyty trąciły

zaczarowaną lirę Orfeusza. Memnon głęboko odetchnął.

- Szybko, pani!

Wiadomości powoli docierały z Troady do Efezu, mimo że wiele statków wpływało do portu i karawan przybywało z wnętrza kraju. W mieście handlu i wytwórstwa informacja była najcenniejszym towarem. Tak więc Barsine nie zważała na godne zachowanie i popędziła do drzwi. Tylko duszący lęk temperował jej ciekawość - nie wszystkie wiadomości były przyjemnej natury.

- Czy masz wiadomości od mojego męża? - Okrążyła róg, szeroko otwierając oczy w oczekiwaniu.

- Jak najbardziej - odparł Memnon.

Z okrzykiem radości Barsine rzuciła mu się w ramiona.

- Och, ty okrutny człowieku! Ty okrutny i pozbawiony serca człowieku!

Rodyjczyk złapał ją i okręcił w koło. Śmiali się jak dzieci, nie zważając na powagę i dostojność. Stary Fraates otarł z oka łzę i poszedł ogłosić dobrą wiadomość: pan domu wrócił.

Tej nocy świetliki tańczyły w ogrodzie, konkurując blaskiem z płonącymi w dolinie poniżej wzgórza Koressos światłami Efezu i gwiazdami w górze. Odgłosy wesela dolatywały z domu, gdy Chafra zabawiał domowników opowieściami o figlach kotów królowej Nitokris, a każdej towarzyszyły piski śmiechu dziewczynek, Apame i Artonis.

Memnon skłonił głowę na ramię, uśmiechając się na reakcje dzieci. Na ławce obok siedziała Barsine.

- Uwielbiam opowieści Chafra - szepnęła.

- To istny czarodziej - przyznał Memnon. - W Egipcie na każdym zakręcie spodziewałem się, że trafię na mówiące koty, tyle mi o nich naopowiadał. Ale się zawiodłem. Tylko mrucały i kazały się głaskać.

Barsine pogładziła go po podbródku.

- Kiedy będzie można bezpiecznie wrócić na północ? Poza wszystkim dziewczynom brakuje przejażdżek konnych.

- Mam nadzieję, że niebawem. - Memnon ujął ją za rękę i całował każdy palec. -

Tęsknisz za Adramyttion?

Położyła głowę na jego ramieniu.

- Tęsknię za ciszą i spokojem. Efez ma swoje... uroki, ale jest tu za duży ruch i jak na mój gust tutejsi politycy robią wokół siebie zbyt wielki rejwach. Obawiam się, że twoja Penelopa zamieniła się w wieśniaczkę.

Ucałował ją w czoło.

- Kiedy tylko Macedończycy wyniosą się za cieśninę hellesponcką, wrócimy do Adramyttion. Też brakuje mi spokoju.

- A czy to nastąpi? To znaczy, czy się wyniosą?

Memnon westchnął i nie odpowiedział.

- Nie wierzysz, że to nastąpi, prawda? - Barsine czytała mu w myślach. - Mimo że złamałeś ich ducha, rozbiłeś ich wojsko? Czemu miałyby służyć ich pobyt?

- Tylko chwilowo powstrzymałem Filipa. Nie mogę rościć sobie prawa do niczego więcej - przyznał Memnon. - Ściągnie nowe wojska i sytuacja się wyrówna. Celowo zostawiłem otwartą drogę do Azji. Miałem nadzieję, że go skusi. Kiedy to nastąpi, naszą największą szansą będzie całkowite zmiżdżenie Filipa w takim miejscu, które ja wybiorę.

- Bądź ostrożny, ukochany.

Memnon przeczesał palcami jej włosy. Pobliznione ręce łagodnie ujęły kobiecą głowę i przyciągnęły ją bliżej.

- Powtórz to - szepnął, muskając wargami jej wargi.

Objęła go za szyję, pieszcząc jego kark i barki.

- Ukochany.

Zabrakło jej tchu w piersiach, gdy Memnon uniósł ją i zaniósł w głąb ogrodu, gdzie tylko świetliki i gwiazdy były świadkami ich miłości.

Lato w Efezie nie było tak monotonne i nużące jak w Troadzie. Memnon wypełniał dni obowiązkami, robił przeglądy najemników Tymondasa i wyklócał się z kowalami o ceny tarcz, nagolenników i hełmów. Wieczory należały do rodziny, bratanicy i córki, a zwłaszcza do Barsine.

Jednego z takich wieczorów, miesiąc po powrocie, bijąca do drzwi frontowych pięść przerwała wieczorny spokój; znajomy głos wykrzyczał imię Memnona, zagłuszając łomotanie.

- Miłościwy Zeusie! - powiedział Rodyjczyk, powstając z łoża i nakładając chiton. - Co tu robi Farnabazos?

Barsine sięgnęła po szatę. Ręce jej się trzęsły i nagle poczuła rosnący w brzuchu węzeł desperacji. Poszła za Memnonem na dziedziniec. Dołączył do nich Chafr, Fraates i kilku innych kardaków.

Dwaj żołnierze pomogli Farnabazosowi, gdy na uginających się nogach wszedł na dziedziniec. Po szybkiej jeździe był rozczochrany i pokryty kurzem. Memnon podtrzymał go, gdy próbował ustać.

- Wuju! - wystękał.

- Barsine! Wody! Chafr, sprawdź, czy nie jest ranny! - Memnon ostrożnie usadził siostrzeńca koło fontanny, na środku dziedzińca. Fraates nieproszony postawił bliżej lampę, podczas gdy Chafr przyklęknął i przesunął rękami po ciele Farnabazosa.

- Nie... nie jestem ranny, wuju!

Barsine przyniosła dzban z wodą i napełniła kubek. Woda zachlu-potała, gdy Farnabazos wyrwał siostrze naczynie i pochłaniał zawartość, plując i dusząc się.

- Nie tak szybko, bracie - napomniała go. Drugi kubek ugasił pragnienie.

- Co się dzieje, Farnabazosie? - spytał zaniepokojony Memnon.

- Chodzi o Filipa!

- Wkroczył do Azji?

Pers potrząsnął głową.

- On nie żyje, Memnonie! Zamordowany przez własnego gwardzistę! - Zapadła pełna oszołomienia cisza. - Jechałem najszybciej, jak się dało, żeby ci przekazać te wieści.

Memnon wymienił spojrzenia z Barsine; Chafr ujął w dłoń wiszący na szyi amulet i poruszał wargami w bezsłownej modlitwie. Kardako-wie zamrugali, nie wiedząc, czy dobrze usłyszeli. Filip? Nie żyje?

- Mówisz, że zrobił to żołnierz jego gwardii? - Rodyjczyk odchylił się. - Ciekawym, kto go opłacił?

- To był Pauzaniasz - dodał Farnabazos. - Pamiętasz go? Z Orestis. Jeden z byłych kochanków króla.

- Pamiętam - powiedział Memnon. Jednak trudno było mu uwierzyć, że morderca przez dziewięć lat chował w sercu urazę. Co sprawiło, że teraz się zemścił? Zauważył, że Barsine i Chafr nie wiedzą, o kim mowa. - Pauzaniasz obraził nowego kochanka króla. To doprowadziło do śmierci młodzika podczas walki z Ilirami. Było to w roku, w którym powróciłem z Sydonu. Krewni zabitego za królewskim pozwoleniem zemścili się na Pauzaniasz. Upili go i oddali stajennym. W geście pojednania Filip awansował go na gwardzistę. Najwyraźniej Pauzaniasz nigdy nie przebaczył obrazy. Jak się to stało?

- Z tego, co słyszałem, Filip szykował się do wejścia do teatru w Ajgaj, podczas uroczystości zaślubin jego córki z królem Epiru. Zamierzał wejść sam, by pokazać greckim gościom, że nie ma się czego bać ze strony pobratymców. Pauzaniasz zbliżył się, jakby chciał uściskać króla, ale nie objął go, lecz zasztyletował. Próbował uciec, jednak inni gwardziści dopadli go i zabili, zanim zdążył wskoczyć na przygotowanego konia.

- Lub też zanim go przesłuchano.

Farnabazos uniósł brew.

- Zastanów się. Dziewięć lat to kawał czasu na chowanie urazy, nie sądzisz? - spytał Memnon. - Ktoś musiał namówić Pauzaniusza do tego czynu. Jeśli nie Aleksander, to najpewniej Olimpias. Królowa od dawna nienawidziła małżonka.

- Nieważne. Teraz Aleksander rządzi Macedonią - powiedział Farnabazos.

- Zawiadomimy Artabazosa, króla i nadal będziemy prowadzić przygotowania.

- Przygotowania do czego? Filip nie żyje, więc to też koniec wyprawy przeciwko Persji. Parmenion wycofał się z Azji, zostawiając tylko zastępcę, Kalasa, który ma pod sobą niewielu żołnierzy. Powinniśmy wypchnąć ich na drugą stronę cieśniny i świętować nasze zwycięstwo, wuju. - Na pokrytej kurzem twarzy pojawił się uśmiech.

Memnon powstał. Widząc jego ponury wzrok, Barsine poczuła kolejny przyptyw strachu.

- Nic się nie zmieniło - rzekł. - Zamiast Filipa przybędzie Aleksander z dowódcami Filipa i jego armią. Może zyskaliśmy chwilę wytchnienia, ale nie więcej. Świętuj tylko wtedy, Farnabazosie, kiedy twoi wrogowie nie żyją. Wszyscy wrogowie.

Rozdział dwudziesty

Ledwo dusza Filipa udała się w drogę do Hadesu, a pierwsze oznaki buntu zaczęły się rozchodzić z epicentrum niezadowolenia, jakim były Ateny Grecy głośno składali hołd Aleksandrowi i jednocześnie szeptem spiskowali przeciwko niemu. „Zwykły Margites”, szydził mówca Demostenes, przywołując postać homeryckiego przemądrzalca, który nie potrafił liczyć dalej niż do dziesięciu. Aleksander ignorował te reakcje i zajął się zabezpieczeniem granic, niezbędnym przed marszem na Azję.

Rok Demostenesowskiej retoryki doprowadził do przekształcenia zwykłego niezadowolenia w żarliwy opór. Tebańczycy zadali pierwszy cios. Wspierani ateńskim arsenałem i skarbcem, mając obiecaną pomoc Sparty, zrzucili macedońskie jarzmo, przeprowadzili oblężenie garnizonu w środku ufortyfikowanego akropolu, Kadmei, i wyróżnęli sympatyków króla. Wieści o powstaniu dotarły do Aleksandra, gdy przebywał w Ilirii, walcząc z plemionami zamieszkującymi dolinę Ap-sos. Chociaż liczył sobie zaledwie dwadzieścia jeden lat, zareagował z zaciekleścią wieloletniego monarchy.

Zrównał z ziemią Teby.

Może chciał ostrzec pozostałych Greków, a może zademonstrować, jak daleko jest gotów się posunąć, karząc nieposłusznych. Niezależnie od tego, co legło u podstaw jego decyzji, miasto, które przetrwało wieki, miasto uświetnione w muzyce i poezji, przestało istnieć po kilku dniach walki. Sześć tysięcy mężczyzn oddało życie. Kobiety i dzieci sprzedano w niewolę. Memnon dowiedział się potem, że dwadzieścia tysięcy Tebańczyków wypełniło targi niewolników aż po Egipt.

- W ten sposób głosi - powiedział Memnon - że jego zamiarem jest przynieść wolność Grekom w Azji i pomścić perską inwazję na Helladę.

Jechał wraz z synami Artabazosa - Farnabazosem, Kofenem, Ariobarzanesem i młodym Hydranesem - przez Idę, kierując się do doliny rzeki Ajsopos. Prowadził trzy tysiące kawalerii, kardaków i najemników. Za nimi szedł Omares z pięcioma tysiącami najemnej piechoty. Zmierzali do Zelei. Tam zachodni satrapowie wyznaczyli zgrupowanie przed wojną.

- Aleksander jest hipokrytą! - oburzył się Farnabazos. - Zapamiętajcie, co mówię, bracia, sam zabije więcej Hellenów niż jakikolwiek Pers w historii!

- Powinniśmy wysłać do Pelli posłańca - powiedział Kofen. Dwu-dziesięcioletni Pers przygryzł wargę, marszcząc z zastanowieniem brwi. Odmiennie niż bracia Kofen był gładko ogolony na modłę grecką, obecnie popularną wśród Persów. - Może jest jakieś dyplomatyczne rozwiązanie, które pominęliśmy.

- Posłaniec?

Aristobarzanes wykręcił się w siodle, patrząc na brata jednocześnie wstrząśnięty i pełen pogardy. Chociaż dopiero dziewiętnastoletni, górował wzrostem nad innymi - odziedziczył go po matce, po ojcu ostre rysy, a szerokimi ramionami i muskulaturą przypominał Mentora. Nawet szczupły Hydranes, dwa lata młodszy od Ariobarzanesa, parsknął szyderczo na uwagę Kofena.

- Czas rozmów minął, Kofenie - rzekł Farnabazos, kręcąc głową. - Wyprawiliśmy się na wojnę i jeśli brakuje ci odwagi, najlepiej powiedz nam to teraz.

- Nie jestem tchórzem! - zaperzył się Kofen.

- Nie?

- Nie - powiedział ostro Memnon. - Ale to delikatna sytuacja.

Wyraźna ulga pokazała się na twarzy Kofena. Jadący obok niego Ariobarzanes

zmarszczył brwi i spytał:

- W jakim sensie?

Rodyczyk obejrzał się na niego.

- Był gościem i pozostał przyjacielem Aleksandra.
- Szczeniackie przymierze - powiedział Farnabazos.
- Bynajmniej - odparł karcącym tonem Memnon. - Jest księciem z rodu Farnakidów,

który przysiągł przyjaźń synowi macedońskiego króla. Być może byli zbyt młodzi, ale ich przysiędze nie można nic zarzucić. Jednakże teraz, Kofenie, jesteś żołnierzem króla królów, a on rozkazał nam zatrzymać Aleksandra. Postąpić wbrew jego woli byłoby podeptaniem przysięgi złożonej Dariuszowi. A więc które słowo łamiesz? Czy dane wobec bogów Aleksandrowi, że na zawsze pozostaniesz przyjacielem, czy również dane wobec bogów wielkiemu królowi, że będziesz mu służył najlepiej jak potrafisz? To niewątpliwie delikatna sytuacja.

- Nie zazdroszczę ci - mruknął Hydranes.
- Kogo wy byście wybrali, będąc w mojej sytuacji?
- Wielkiego króla - rzekł bezzwłocznie Ariobarzanes. - Jest krewnym nas wszystkich, to nasza krew.

- Po pierwsze, nigdy bym się nie zaprzyjaźnił z tym pyszałkiem, ale zgadzam się z Arim - przyznał Farnabazos. - Co więcej, Aleksander również jest twoim dłużnikiem, gdyż nie postąpił, jak nakazują więzy przyjaźni. Według mnie złamał przysięgę, wypowiadając wojnę naszemu krewniakowi.

- Hydranesie? - Memnon wrócił do niego spojrzeniem. - Wyraź swoje zdanie. Co powiesz w tej sprawie?

Nastolatek zarumienił się, wezwany do zajęcia stanowiska.

- Ja przedłożyłbym przysięgę nad przyjaźń z Aleksandrem - wyznał. - Choćby ze względu na ojca i matkę. Przez wzgląd na nich jesteśmy zobowiązani działać, jak nakazuje prawość. W innym wypadku narazilibyśmy na szwank ich życie.

Memnon skinął głową.

Kofen słuchał, skłoniwszy głowę na ramię, chłonąc opinie braci.

- A ty, wuju? - spytał.

Memnon nie od razu odpowiedział. Zmarszczył brwi, żując w myślach odpowiedź i oceniając ją pod każdym kątem. Długo się nie odzywał.

- Wuju?

- Walczyłbym - odparł wreszcie. - A to moje rozumowanie: przyjaźń związała cię z Aleksandrem, nie z całą Macedonią. Dlatego też nie jesteś zmuszony unikać walki z poddanymi Aleksandra, ale z nim osobiście. To doprawdy proste. Powinieneś nie wchodzić mu w drogę i walczyć do ostatniej kropli krwi. Tym sposobem dotrzymasz obu przysięg, przyjacielowi i królowi.

Bracia jak jeden mąż skinęli głowami.

- Dziękuję - rzekł Kofen. - Rzuciłeś światło na ścieżkę moich obowiązków. Będę walczył.

Farnabazos z żartobliwym namaszczeniem otarł czoło.

- Jeśli o mnie chodzi, bracia, czuję wielką ulgę. Powinniśmy wyjaśnić sprawę żołnierzom. Kamień spadnie im z serca...

Gruchnął śmiech. Nawet Memnon się uśmiechnął, kręcąc z rozbawieniem głową na żart najstarszego syna Artabazosa. Kofen nie pozostał braciom dłużny.

- Żaden z nas nie powalczy, jak będziemy się tak wlekli. - Spiął konia, który przeszedł do galopu.

Oddział Memnona dotarł do zacienionej doliny Zelei następnego dnia. Mała osada nie zmieniła się wiele od czasów, w których Artabazos rządził tym regionem. Może wyrosło kilka domów, ale w porównaniu z miastami wybrzeża Morza Egejskiego była zapadłą dziurą. Bardziej imponujące było drugie miasto okalające Zeleję, miasto namiotów dużych i małych wspinające się po obu brzegach Ajsopos. Dymy ognisk, przy których żołnierze szykowali strawę i pracowali kowale, unosiły się ku zachmurzonemu niebu, okrzyki w kilkunastu językach konkurowały z brzękiem kowadeł i rykiem wołów. Oddziały pospolitego ruszenia ćwiczyły na polach, uzbrojeni we włócznie wieśniacy maszerowali pod okiem posiwiiałych weteranów. Oddziały kawalerii, Hyrkanów w hełmach z futrzanymi otokami i Medów w turbanach popędziły na zwiad.

- Jak oceniasz, ilu ludzi zabrali satrapowie? - spytał Farnabazos.

- Trzydzieści do czterdziestu tysięcy - odparł Memnon. - Ale to tylko w części prawdziwi żołnierze. Reszta to uzbrojone pospólstwo.

Memnon zarządził postój, gdy konny, perski dowódca w błyszczącym, wyszywanym złotem kaftanie, wyjechał im na spotkanie. Ściągnął wodze i pozdrowił ich, unosząc wypielęgnowaną dłoń.

- Memnon z Rodos? Wielmożny Aristes przesyła ci pozdrowienia. Jestem Nifates. Mam ci wskazać twoje kwatery.

- Witaj, Nifatesie - rzekł Memnon, kłaniając się głęboko.

- Wielmożny Aristes również polecił ci przypomnieć, że narada wojenna zaczyna się jutro o trzeciej godzinie po świcie.

- Porozmawiam z nim dziś wieczór.

- Niestety, to niemożliwe - rzekł Nifates. - Wielmożny Aristes rozmawia na osobności z innymi satrapami i rozkazał, aby mu nie przeszkadzano. Porozmawia z tobą jutro, panie.

- Z którymi satrapami, zacny Nifatesie? - Memnonowi to natychmiastowe wykluczenie z grona najwyższych dowódców wydało się podejrzane.

- Wielmożni Spitrydates i Rojsakes - wyjaśnił Nifates. - Arsamenes z Cylicji, Mitrobarzanes z Kapadocji i Reomitres z Frygii Większej. Zechcesz jechać za mną, panie?

Memnon gestem kazał mu prowadzić i ruszył z wojskiem.

- Galeria podejrzanych typów - mruknął po grecku Farnabazos. - I wygląda na to, że przybyliśmy na czas.

- Nie wierzę, że w ogóle byliby gotowi nas wezwać - powiedział Memnon - gdyby nie wpływy twojego ojca u wielkiego króla.

- Myślisz, że narada będzie stratą czasu? Jeśli podjęli decyzję, jak działać...

Memnon wzruszył ramionami.

- Wątpię. Dziś będą pili i przelewali z pustego w próżne, jutro wyklócali się o najkorzystniejszą pozycję w szyku. Jeśli o mnie chodzi, to powiem i zrobię to, co najlepsze dla królestwa. I nie obchodzi mnie, czy będzie się im to podobało czy nie. Przecież wszyscy walczymy dla wspólnego dobra.

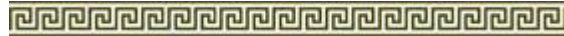
Farnabazos skinieniem głowy wskazał przewodnika.

- Miejmy nadzieję, że oni też zdają sobie z tego sprawę.

Nifates przeprowadził ich przez pozbawiony roślinności obóz. Jechali blisko milę, oddalając się od Zelei. Byle jakie namioty już zajęły tę część obozowiska. Pospolite ruszenie, ocenił Memnon, widząc chitony z szorstkiej wełny i skórzane wąskie spodnie mężów z rzecznych dolin i dolinek frygijskiego interioru. Popatrywali ciekawym wzrokiem na maszerujące w szyku, błyszczące greckie szeregi. Memnon zignorował to, że tak lekceważąco potraktowano jego żołnierzy, zsyłając ich w najgorsze miejsce obozu. Uprzejmie pożegnał Nifatesa.

- Pozdrów ode mnie wielmożnego Aristesa - powiedział, uśmiechając się, gdy nadęty Pers odjechał niespiesznym kłusem. Ale kiedy się odwrócił do synów Artabazosa, wzrok miał zimny i twardy jak krzemień. - Ari, poszukaj dowódców pospolitego ruszenia i zaproś ich do mnie. Farnabazosie, podzielimy się z nimi jadłem i winem. Każ żołnierzom się rozejść i pobratać z sąsiadami. Do brzasku mają być naszymi sojusznikami nie tylko z nazwy.

Pokaże satrapom, że lepiej od nich potrafi rozgrywać polityczne szarady.



Dowódcy Memnona trzymali frygijskie pospolite ruszenie na polu ćwiczeń od drugiej godziny po świcie, ucząc ich umiejętności niezbędnych do walki z macedońską falangą. To były lekkie jednostki - oszczepnicy, procarze i kilkuset łuczników. Omares przeformował oddziały, przypisując im znaki z ojczyzny, żeby łatwiej je zapamiętali: lisa, lwa i niedźwiedzia. Szeroko uśmiechnięty wódz Frygijczyków stał z boku, podczas gdy Omares uczył jego ludzi rozwijania skrzydeł i osłony atakujących, dodając nowe umiejętności do niemal czarodziejskiej sztuki błyskawicznego ataku i odwrotu, z której byli sławni.

Memnon i Farnabazos zostawili instrukcje na dzień bezlitosnych ćwiczeń, dosiedli koni i galopem udali się wzdłuż rzeki Ajsopos do Zelei. Obaj przedstawiali imponujący widok: groźni, odziani w zdobiony złotem i srebrem brąz. Pod zbroją Memnon miał prosty chiton i skórzaną grecką spódniczkę. Farnabazos wolał bogatszą chlami-dę i spodnie perskiego wielmoży.

Twierdza Zelei wyróżniała się wysokimi wieżyczkami i starożytnymi stajniami. Teraz wrzało tam jak w ulu. Słudzy biegali, spełniając w najwyższym pośpiechu polecenia swych panów. Arsites zajął każdą piędź ziemi, wysiedlając władcę miasta i jego rodzinę, zyskując miejsce dla swoich dworzan, bliskich, pochlebców i grajków. Hojnie zaoferował dach nad głową innym satrapom, Arsamenesowi i Mitrobarza-nesowi, którzy nie mieli w pobliżu pałaców. Obecność ich orszaków dodatkowo wzmogła ruch i chaos.

Na zatłoczonym dziedzińcu pojawił się Nifates, wychodząc na spotkanie Memnonowi i Artabazosowi.

- Mam nadzieję, że spaliście dobrze, wielmożni?

Przybyli zeskoczyli z koni i przekazali wodze giermkom.

- Świetnie, zacny Nifatesie - odpowiedział zza maski grzeczności Memnon.

Pers niepozobawionym szyderstwem gestem zaprosił ich, by udali się za nim. Przeszli na wykładany kamieniem taras, z którego rozciągał się widok na Ajsopos. Pośrodku wąskie drewniane kolumny podtrzymywały zadaszony terakotą i łupkiem balkon. W istic medyjskim stylu ogrodnicy rozstawili wszędzie donice z pachnącymi krzewami i kwiatami; kobierce uprzyjemniały odpoczynek, podczas gdy słudzy stali nieopodal, gotowi spełnić kaprysy satrapów. Na stole rozłożono mapy.

Memnon zauważył wychudłą postać, jaszczurczy wzrok i siwą brodę rozciągniętego na puszystym dywanie Spitrydatesa; jego brat, Rojsakes, i kilkunastu wysokiej rangi urzędników otaczało satrapę, śmiejąc się i dowcipkując.

- To narada wojenna czy bankiet? - mruknął Farnabazos.

Nifates ogłosił ich przybycie.

- Wielmożni panowie, Rodyjczyk Memnon i Farnabazos, syn Ar-tabazosa.

Odwróciły się głowy.

- Witajcie - rzekł Memnon.

Lekko się skłonili wraz z Farnabazosem, nie popadając w uniżoność. Po chwili milczenia rozmowa potoczyła się dalej. Memnon wymienił spojrzenia z siostrzeńcem. Wyglądało na to, że mają być ignorowani. Lecz dwaj mężczyźni odłączyli się od reszty i podeszli do Memnona. Jeden był wysoki i dobrze umięśniony, mniej więcej trzydziestoletni, o czarnych włosach i brodzie. Jego towarzysz był co najmniej dwadzieścia lat starszy. Obfity brzuch zdradzał smakosza. Poczzerwieniała twarz, pełna fałd i fałdek, częściowo zasłonięta rozwichrzoną brodą, nosiła pamiątki wielu uczt i pijatyk, lecz nie bitew.

- Jesteś bratem Mentora? - spytał młodszy.

- Tak.

- Ze smutkiem dowiedziałem się o jego odejściu. Jestem Arsamenes. To mój stryj, Mitrobarzanes.

- Witaj, Rodyjczyku - wymamrotał tłusty Pers.

- Witajcie. - Memnon wskazał Farnabazosa. - To jest...

- Jego nie trzeba przedstawiać, Rodyjczyku. Wszyscy wiemy, czyj to syn. - Zbliżył się trzeci satrapa, Arsites z hellesponckiej Frygii, wywijając z szyderczym obrzydzeniem wargi. Miał grzywę ciemnych włosów i ostre rysy twarzy. Farnabazos chwalebnie nie dał się sprowokować. Arsites mówił dalej. - Słyszałem, że twoi dowódcy dali niezły wycisk frygijskiemu pospolitemu ruszeniu. - Zawołał przez ramię do innego satrapy: - Słyszałeś, Reomitresie? Rodyjczyk ma nadzieję przerobić twoich górali na wojowników!

- To tchórzliwe złodzieje i kundle - odparł Reomitres. Był pleczy-sty, jego skóra miała lekko oliwkowy odcień, a starannie ufryzowane włosy i broda rudawe, co zdradzało armeńskie pochodzenie. - Lepiej wykorzystałbyś czas, ucząc moje psy tańca.

Memnon odebrał od sługi puchar wina.

- Nie zgadzam się. Pod właściwym dowódcą twoi Frygijczycy będą znakomitymi piechurami.

- A kto miałby być tym właściwym dowódcą? Ty?

- Lub ty, byłeś poświęcił im czas.

Reomitres się najeżył.

- Mój czas to nie twoja sprawa, Rodyjczyku! Ani moi Frygowie!

Spitrydates podniósł się z dywanu.

- Nie zebraliśmy się tu głądzić o waszych parszywych Frygijczykach! - rzekł. W towarzystwie brata zbliżył się do map. Memnon i inni poszli za ich przykładem. - Szczeniak Filipa próbuje zdobyć sławę i wyjść z cienia ojca. Wielki król polecił nam go zatrzymać.

- Ten Aleksander to dopiero chłopiec? - spytał Arsamenes. Podobnie jak Mitrobarzanes pochodził z głębi Azji. Obaj bardzo niewiele słyszeli o młodym macedońskim królu, tyle co z pogłosek i plotek greckich kupców. - Dwudziestoletni młodzik?

- Ba!

- Dwudziestodwuletni - poprawił go Memnon. - Ale nie oceniajcie go tylko po latach. Uczył się sztuki wojennej u stóp jednego z najwytrawniejszych wojowników, własnego ojca, i odziedziczył prawdziwą machinę wojenną w postaci macedońskiej armii. Jego żołnierze darzą go prawdziwą czcią. Co więcej, ma poparcie dowódców Filipa, w tym Parmeniona i Antypatra. Nie, wielmożni panowie, ten szczeniak jest równie groźny jak stary brytan. Może nawet bardziej.

- Gdzie jest i co wiemy o stanie jego oddziałów?

Memnon spojrzął na Farnabazosa, który podszedł do stołu.

- Wedle ostatnich raportów naszych szpiegów Macedończycy są w pobliżu Karii, na Chersonesie. To było kilka dni temu. Zakładałbym, że do tej pory Aleksander dotarł do Sestos, i kiedy rozmawiamy, pokonuje cieśninę i podąża do Abydos. Główna część jego armii to piechota,

sześć oddziałów falangi, towarzyszy, gwardzistów, wspomaganych przez lżej uzbrojonych żołnierzy, oszczepników i procarzy. Ale główna siła uderzeniowa to ciężka kawaleria, hetajrowie, elita towarzyszy i słynni tesalscy jeźdźcy. W sumie dowodzi blisko czterdziestoma tysiącami żołnierzy.

- Ilu żołnierzy mamy do dyspozycji? - spytał Spitrydatesa Memnon.

Satrapa przyglądał się mapie.

- Mamy wielu konnych z regionów, w których mężowie rodzą się na końskim grzbiecie: oddziały z Medii, Baktrii, Hyrkanii i Paflagonii. Dodaj swoją grecką kawalerię i mamy dziesięć tysięcy jezdnych. Piechoty zebraliśmy kolejne dziesięć tysięcy, przeważnie pospolitego ruszenia i twoich najemników.

Przejęcie odbiło się na twarzy Memnona.

- Dwadzieścia tysięcy wojska? Czy możemy się spodziewać, że wielki król wyśle go więcej?

- Musimy się opierać na tym, co mamy.

- W takim razie musimy liczyć na to, że Aleksander rozdzieli siły albo zostawi część do osłony łączności i zaopatrzenia. Najlepiej byłoby unikać bezpośredniego starcia...

- Chcesz, żebyśmy zachowywali się jak tchórze? - warknął Arsites. - Radzisz nam bawić się w chowanego, licząc na to, że ten smarkacz się znudzi i wyniesie z Azji?

Memnon zachował spokój.

- Nic z tych rzeczy. Proponuję, byśmy zadali cios tam, gdzie Aleksander jest najsłabszy... w jego linię dostaw. Wiemy, że Filip zubożył doszczętnie Macedonię, która zapłaciła za jego nieustanne wojny i polityczne machinacje. Aleksander stawia na to, że znajdzie żywność i furaz w naszych bogatych spichlerzach i na naszych polach. Nie możemy do tego dopuścić.

- Co sugerujesz, Rodyjczyku? - zapytał Spitrydates.

- Wycofajmy wojska i wprowadźmy taktykę spalonej ziemi - rzekł Memnon, patrząc po kolei na perskich wielmożów. Wskazał mapę. - Zniszczymy wszystko, co mogłoby mu się przydać: żywy inwentarz, zasiewy, źródła, studnie. Zatrujmy rzeki i jeziora. Ogołocmy miasta, w których mógłby szukać oparcia. Spalmy każdy liść, każdą gałąź i trawę. Odbierzmy mu furaz, wielmożni panowie, a obiecuję wam, że nie minie miesiąc, a młody król będzie zmuszony wycofać się do Tracji. Wtedy uderzymy. Sprowadzimy flotę z Cypru, utrudniając mu powrót na europejską ziemię. Będziemy mogli go zmiażdżyć jednym połączonym uderzeniem, na lądzie i morzu.

Arsamenes z Cylicji skinął głową, wyraźnie pod wrażeniem logiki wyводу Memnona, podczas gdy na twarzach innych satrapów ukazała się cała gama reakcji - od niedowierzania przez gniew po oburzenie.

- Dobrze ci proponować zniszczenie naszych ziem - powiedział Arsites - kiedy masz posiadłości gdzie indziej!

- Spaliłbym każdy skrawek mojej ziemi, gdyby oznaczało to pogrążenie Aleksandra - odparł Memnon.

Arsites potrząsnął głową.

- Nie! Nie zgodzę się na takie spustoszenie, nie na moich ziemiach! Wy, bracia, możecie mnie przegłosować i sprowadzić biedę i zgrozę na te obszary, ale ja nie przyłożę do tego ręki!

- Ani ja - poparł go Spitrydates. - Sama myśl o tym to obraza bogów.

- Gdybym był w waszej skórze, wielmożni panowie, mniej martwiłaby mnie obraza bogów, a bardziej sprawienie zawodu wielkiemu królowi. On żąda zatrzymania Aleksandra - przypomniał im Memnon - i nie możemy sobie pozwolić na mazgajstwo.

- Tak, musimy go zatrzymać, ale za jaką cenę? Żądasz od nas zniszczenia tych samych ziem, które mamy chronić! To szaleństwo! - wykrzyknął Reomitres. - Posłuchajcie, bracia! Musimy dać wolną rękę naszej kawalerii! Pozwólmy jej działać tak, jak działała przez wieki. Niech uderza i wycofuje się, uderza i wycofuje się! Niech nęka Macedończyków, aż wrócą do cieśnin!

Spitrydates z roztargnieniem pogładził brodę.

- Nie. Tu trzeba uderzyć raz a dobrze.

- Myślisz, że powinniśmy wydać mu walną bitwę? - Rojsakes skrzyżował ramiona na piersiach.

Bracia wymienili spojrzenia.

- To bezczelne wyzwanie pod adresem króla królów nie pozwala na łagodniejsze potraktowanie. Musimy się zetrzeć z Aleksandrem twarzą w twarz, ale w takim miejscu, które my wybierzemy, miejscu, które zniweluje jego przewagę.

- Zamierzacie zaatakować najlepsze oddziały macedońskiej armii - spytał z niedowierzaniem Memnon - pospolitym ruszeniem i żółtodziobami?

- Nie. - Spitrydates zwręził oczy. - Zamierzam zaatakować najlepszą kawalerią Azji. Nasi jeźdźcy przewyższają ich liczebnie, Rodyjczy-ku. Jeśli się postaramy, żeby to była walka konnicy, co nas powstrzyma przed zmieceniem w pył tych górali na kucykach?

- Nie rozumiecie zagrożenia, przed którym stoicie? - odparł Memnon. - Widziałem macedońską armię w działaniu, wielmożni panowie, w Tracji. Nie walczy tak, jak byście się tego spodziewali. Czy kiedykolwiek zadaliście sobie pytanie, dlaczego Filip wyposażył swoją falangę w szesnastostopową sarisę, najbardziej nieporęczną broń w dziejach? Nie? Bo nic nie potrafi tak skutecznie trzymać wroga na dystans. To kowadło współpracujące z młotem, którym jest jego kawaleria. Filip wyćwiczył różne formacje, by walczyły razem, nie osobno. Falanga unieruchamia nieprzyjaciela, podczas gdy klin konnych towarzyszy miażdży jego szeregi. Bitwa po bitwie widziałem, jak ze straszliwym skutkiem używał tej taktyki. Nasze pospolite ruszenie, nasza kawaleria wcale nie spisz się lepiej! - Dla podkreślenia tych słów Memnon uderzył dłonią w stół.

Ale Persowie pozostali głusi na jego słowa. Rozdęte nozdrza zdradzały nieprzystępność i szyderstwo. Nie zamierzali stosować innych rozwiązań prócz własnych.

Memnon z rezygnacją pokręcił głową.

- Jak sobie życzycie, wielmożni panowie. Jeśli jesteście przekonani, że najlepiej dążyć do czołowego starcia, doradzam taki wybór pola walki, w którym najłatwiej będzie stawić czoło piechocie i kawalerii, w którym współpraca ich falangi będzie najtrudniejsza.

Satrapowie patrzyli na mapę. Troadę i Frygię opasywała delikatna czarna linia, główne miasta i drogi zaznaczono czerwienią. Gdzie? Gdzie mogli zbudować przewagę pozycyjną?

- Na brzegu rzeki - nagle przerwał ciszę Farnabazos. Wskazał miejsce o dzień podróży od Zelei. - To równina Adrastei, kraina rumaków, nawadniana strumieniami i małymi rzekami, spływającymi z Idy do Propontydy. Większość z nich jest szeroka i płytka, a przy tym wartka, jednak wschodni brzeg tej rzeki, Granika, wyrasta na wysokość mężczyzny nad lustro wody.

- Znam to miejsce. - Arsites kiwnął głową. - Jest szerokie na jakieś osiemdziesiąt stóp, miejscami głębokie po uda, koryto ma muliste i gliniaste, rzadziej pokryte luźnymi kamykami. Brzeg zachodni prawie płaski.

- I jest na drodze do Daskylejon - dodał Farnabazos. - Aleksander będzie musiał zaatakować, jeśli zechce nas zepchnąć. Tak zostanie zmuszony do złamania kardynalnej zasady sztuki wojennej Filipa: zmusz nieprzyjaciela, aby przyszedł do ciebie.

- Chwała Mitrze! - Rojsakes poklepał po plecach Farnabazosa. - Syn Artabazosa utrafił

znakomicie! Doskonały plan!

- Co wy na to? - zapytał Spitrydates. Satrapowie jeden po drugim poparli propozycję. W końcu wielmoża spojrział na Memnona i uniósł brew. - Rodyjczyku?

Memnon patrzył to na jednego satrapę, to na drugiego, to znów na mapę, przygryzając wargę.

- Stanowczo zalecam, przemyślcie to - rzekł. - Jednak Farnabazos ma rację. To idealne miejsce, jeśli pragniecie doprowadzić do bezpośredniego starcia. - Położył rękę na ramieniu siostrzeńca.

Spitrydates kiwnął głową. Pochylił się nad stołem, wsparty na pięściach.

- A więc Granik. I to musi być decydujące starcie, bracia. Decydujące. Nie wątpię, że wielki król będzie hojny dla tego, który dostarczy mu głowę syna Filipa!



Zachodzące słońce zmieniło płynące wody rzeki Granik w krew. Memnon przykucnęła na wysokim brzegu i przyglądał się zbliżającemu jeźdźcowi. Sądząc po stroju, był to Pers. Pokonał rzekę i skierował konia w górę zdradzieckiego wschodniego brzegu. Patrząc, jak się biedzi, Memnon pojął, że Farnabazos ma rację. Ta rzeka właściwie broniona mogła okazać się murem, o który roztrzaskają się żołnierze Aleksandra.

- Ale musi być właściwie broniona - mruknął pod nosem Rodyjczyk, powstając.

I w tym tkwił problem; satrapowie nie mieli pojęcia, czego potrzeba, aby stworzyć na Graniku linię oporu, która powstrzyma Aleksandra.

- Ustaw piechotę, oszczepników i procarzy w centrum - poradził tego dnia Spitrydatesowi Memnon, gdy konno dokonywali inspekcji terenu. - Na flankach rozmieść silne oddziały kawalerii, a w odwodzie ustaw jeszcze jeden oddział piechoty. Niech Aleksander połamie zęby na naszych włóczniach. Potem natrzesz ze skrzydeł i dobijesz go!

Jednak satrapa nie zgodził się z nim. Honor wymagał, żeby przeciwko groźnej jeździe Aleksandra wystawił swoją.

- Ustawimy konnych wzdłuż brzegu - powiedział Spitrydates, kiwając głową, gdy wyobrażał sobie błyszczące w słońcu rzędy opancerzonych jeźdźców, ich konie kopytami niecierpliwie grzebiące w ziemi, wiatr szarpiący jasne proporczyki. - Piechota może zmieść resztki, które jej zostawimy.

Skończyło się na tym, że rady Memnona kolejny raz odrzucono. Wedle rozkazu miał wraz z kawalerią z Troady trzymać lewe skrzydło. Obok pozycję zajmował Arsamenes i półdzika jazda z Cylicji. Kolejno stał Arsites na czele jeźdźców z Paflagonii, kraju na południowym brzegu Pontos Euksejnos. Mieli najdoskonalszą broń i pancerze, wytwory bogatej w żelazo Synopy. Kolejną pozycję zajmował Spitrydates z Hyrkanami z doliny Kajkosu - tymi samymi, którzy dwadzieścia lat temu pomogli pokonać Artabazosa - i odzianymi na biało lidyjskimi kopijnikami. Rojsakes z mieszaniną Jończyków miał zająć stanowisko na skrzydle brata. Memnon uważał tych najemników za najsłabszą część całej kawalerii. Mitrobarzanes i Reomitres mieli trzymać prawe skrzydło, pierwszy z Baktrianami, drugi - Medami. Byli to wojskowi osadnicy, sprowadzeni w początkach imperium z zachodu. Mimo upływu dwóch wieków pozostali wierni swoim tradycjom i tożsamości.

Za rekomendacją Memnona Omares miał dowodzić rezerwą piechoty. Wyznaczono jej stanowisko kilkaset kroków od brzegu, na wzgórk. W sumie dziesięć tysięcy jezdnych miało

stworzyć perski front, rozciągający się nieprzerwaną linią długości mili.

Memnon modlił się, aby to wystarczyło.

Podszedł do miejsca, w którym czekali perscy konni. Tam jeden z kardaków trzymał wodze jego rumaka. Rozczochrany i ubrudzony mułem żołnierz był zwiadowcą. W mroku Memnon nie potrafił rozpoznać przynależności żołnierza.

- Czego się dowiedziałeś? - spytał.

Zwiadowca się wyprężył.

- Macedończycy niedaleko. Będą tu jutro, najwcześniej w południe.

- Daleś radę podejść tak blisko, żeby rozpoznać ich oddziały?

Żołnierz potrząsnął głową.

- Ich lekka jazda z dobrym wyprzedzeniem osłania główną kolumnę.

- Świetnie. - Memnon dał znak kardakom. - Zaprowadźcie go do wielmożnego

Spitrydatesa i zadbajcie, żeby dostał jedzenie i wino. Z moich osobistych zapasów.

Zwiadowca skłonił się w pas.

- Dziękuję, panie.

Memnon odprawił go i po raz ostatni odwrócił się ku Granikowi. Rdzawe światło zmierzchu słabło coraz bardziej, gdy słońce opadało za odległy grzbiet Idy. W górze ożyły gwiazdy, nieco przyćmione obecnością synów Aresa, Strachu i Przerżenia. Na ziemi niewielu miało spać tej nocy. Memnon nie był wyjątkiem. Czekająca go kolacja w towarzystwie siostrzeńców i podkomendnych, spacer po obozie, cicha wymiana zdań z żołnierzami i w końcu udanie się do namiotu, napisanie listu do Barsine i córeczek. Przed świtem pomodlił się do bogów pokoju...

Po wschodzie słońca kolejny raz miał przejść pod władzę Pana Wojny.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zeusie! - szepnął Hydranes, klepiąc szyję niespokojnego konia. Siedemnastoletni syn Artabazosa obserwował z mieszaniną strachu i podziwu drugi brzeg Granika, podczas gdy kolejne błyszczące szeregi Macedończyków wychodziły na pozycje. Lekki powiew przygnał kłębiące się chmury kurzu. - Ilu ich tam jest?

Memnon podjechał bliżej siostrzeńca. Młody wiek Hydranesa przyprawiał go o niepokój, chłopiec jednak znalazł się tu z woli ojca, który chciał, żeby syn się sprawdził. Memnon nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie. Mógł tylko być w pobliżu i strzec go najlepiej, jak umiał.

- To się nie liczy. Ty przejmuj się tylko tym jednym, którego będziesz miał przed sobą. Skup się na jednym żołnierzu, Hydranesie. Jak go zabijesz, skup się na następnym, potem na następnym. Rozumiesz?

Hydranes z trudem przełknął ślinę i kiwnął głową.

- Patrzcie - rzekł Farnabazos, wskazując włócznią. Jak Memnon i wszyscy dowódcy, zamienił oszczep na ciężkie ośmiostopowe drzewce ze stopką również zakończoną grotem, służącym przy okazji za przeciwwagę. - To Parmenion. Chyba ten pawik jednak naprawdę zamierza zaatakować.

Memnon z łatwością rozpoznał starego macedońskiego wodza, kiedy otoczony dowódcami niższego szczebla przegalopował na lewą flankę. Miał się zetrzeć z Reomitrem i Mitrobarzanasem stojącymi na prawym skrzydle Persów.

- Pewnie po raz ostatni klarował Aleksandrowi, żeby był ostrożny - powiedział Memnon.

- Aleksander to nie Filip - rzekł Kofen. Stał w szyku za Farnabazosem. Ton głosu miał równie poważny jak wyraz twarzy. - Ostrożność nie należy do jego cech charakteru.

- Ani przesadna skromność - zauważył Memnon, osłaniając oczy przed blaskiem popołudnia. - Patrzcie tam.

Naprzeciwko nich ustawiło się macedońskie prawe skrzydło. Klina jazdy towarzyszy, lekka piechota po prawej i uzbrojona w sarisy falanga po lewej. Wiwaty rozległy się z tysięcy gardeł, kiedy dosiadający potężnego tesalskiego wierzchowca Aleksander zajął miejsce na czele gwardii. Młody król, chociaż pleczysty i umięśniony, był niższy od Filipa. Nosił podobną zbroję jak jego żołnierze: kirys i nagolenniki z brązu, a do tego otwarty beocki hełm wykończony pióropuszem z czerwonego końskiego włosia i parą długich, białych piór pustułki. Wyróżnia się, nie potrzeba mu wzrostu ojca, pomyślał Memnon.

Wiwaty ucichły; dwie armie stały w milczeniu.

Nie miało być żadnych wzniosłych przemówień, chełpliwych obietnic. Żołnierze za plecami Memnona, tak jak ci za Aleksandrem, byli zawodowcami, chmurnymi uczniami morderczej akademii Pana Wojny, których umiejętności nie wyszlifowała bezużyteczna gadanina, ale krew, cierpienie i wojenna konieczność.

Konie przestępowały z nogi na nogę, rżały.

Memnon miał wrażenie, że Aleksander patrzy prosto na niego; Ro-dyjczyk skupił wzrok i odpowiedział mu tym samym. Chciał pokonać rzekę i spytać młodzieńca, dlaczego... co świat mu zrobił, że zapragnął go sobie podporządkować? Dlaczego kryje się za bajeczkami o greckiej zemście? Ale Memnon chciał się dowiedzieć jeszcze czegoś - co stało się z dociekliwym chłopcem, który siedział z Artabazosem i bez końca wypytywał go o wewnętrzne sprawy perskiego dworu. Ale Memnon wiedział, że nie będzie odpowiedzi. Będzie tylko krew. Krew i

cierpienie.

Między nimi wirowały i szumiały wody.

Memnon odetchnął głęboko. Po jego bokach skrzypiała skóra, brzęczał brąz, gdy wojownicy kręcili się, czując rosnące napięcie. Siedzący obok Farnabazos strzelał kłykciami. Ariobarzanes po raz setny poluzował miecz w pochwie. Z tyłu Kofen mruczał modlitwę. A Hydranes - siedemnastoletni Hydranes, którego okryta potem twarz była równie gładka jak oblicze Aleksandra - dyszał ogarnięty zgrozą i starał się nie wyrzygać śniadania. Czy czułem się inaczej nad jeziorem Ma-nyas? - zastanawiał się Memnon.

Aleksander uniósł i opuścił rękę. Zahuczały macedońskie salpingi. Ruszyły trzy oddziały kawalerii - dwa jazdy lekkiej i jeden gwardii. Za nimi oddział falangi. Podniosły hałas, obrzucając przekleństwami Persów i wznosząc wojenne okrzyki. Kawaleria dotarła do Granika, odrywając się od falangi.

- Dajcie z siebie wszystko! - wezwał krewniaków i najbliższych żołnierzy Memnon, wspominając słowa brata skierowane do niego przed bitwą nad jeziorem. - Walczcie z sercem i honorem, a resztę zostawcie Mojrom! - Dźgnął niebo włócznią i krzyknął: - Za Zeusa Zbawcę i zwycięstwo!

- Zeus Zbawca i zwycięstwo! - zahuczeli żołnierze.

Za oddziałami Memnona odezwały się trąby; pierwsza nawała oszczepów wleciała w powietrze. Zadarł głowę i poprowadził ją wzrokiem. Przez moment jakby wisiała w powietrzu, zanim ciężar ściągnął ją na macedońskie szeregi. Po pierwszej nawale poszła druga, potem trzecia.

Na rzece rozpętało się pandemonium.

Konie rżały i rzucały się, przewracając wraz z jeźdźcami w spienione wody Granika. Piechurzy ślizgali się, porywani przez prąd. Konie jazdy lekkiej cofały się; chronieni grubszymi pancierzami gwardziści przetrwali deszcz oszczepów i wyłonili się na zdradzieckim brzegu, nadziewając prosto na włócznie i miecze kawalerii Memnona.

- Za króla! - zagrział Rodyjczyk.

Uniósł się na udach i włócznią zadał cios prosto w wykrzywioną twarz macedońskiego żołnierza. Miecze zabłyśły wzdłuż pierwszego szeregu; z dalszych leciały szybko i gęsto oszczepy, rozrywając ciała nieprzyjaciół. Memnon raz za razem kruszył ruchomą ścianę wroga, powstrzymując pieszych i konnych przed wdarciem się na wysoki brzeg. To była rzeźnicza robota. Żelazo zgrzytało o brąz, o kość. Wyziewy poruszonego mułu, potu i mokrej skóry nie potrafiły zdusić unoszącego się nad Granikiem smrodu ludzkiej i końskiej krwi.

Kawaleria obu armii tak się zbiła, że żadna ze stron nie miała szansy manewru. Walka ograniczała się do pchnięcia i cofnięcia broni, pchnięcia i cofnięcia. Pozostało jeszcze tylko utrzymać się na koniu. Oszczepy syczały nad ramionami Memnona; dostrzegł po lewej, jak ostrze sarisy wybebesza brzuch konia jednego z kardaków. Człowiek i zwierzę runęli w dół brzegu. Śmiertelnie ranny wierzchowiec, przebierając kopytami, pogrzebał kilku żołnierzy wroga; jeździec stanął na nogi i szerzył chaos krótką włócznią, dopóki obciążona stopka włócznie piechura nie roztrzaskała mu czaszki.

Farnabazos z jednej strony Memnona, a Ariobarzanes z drugiej walczyli z maniacką furją. Włócznie rozrywały grzęzawisko wyczerpanych do bólu morderczym wysiłkiem ciał; Kofen posyłał oszczepy z dokładnością polującego rybaka. Hydranes również wytrzymywał tempo, ciskając jesionowo-żelazne pociski z szybkością szaleńca.

- Trzymać szyk! - nawoływał Memnon. - Trzymać odstępy!

Przez wrzawę jatki - krzyki wściekłości i strachu, trzaski oszczepów i włócznie o tarcze, plusk zbrukanych krwią fal rzeki - przebiło się kolejne wezwania rogów bojowych. To odezwały

się macedońskie sal-pingi. Memnon spojrział poza pole walki. Spodziewał się ujrzeć nową falę piechoty, nacierającą na jego pozycję. Ale słysząc wrzaski i okrzyki wzywające Pana Wojny, dostrzegł, że Aleksander prowadzi gwardię po łuku i uderza pod kątem w perskie centrum. Gorzej wyszkolona i słabiej uzbrojona kawaleria Rojsakesa była skazana na przyjęcie głównego ataku Macedończyków.

Pierwsze uderzenie było manewrem mylącym, uświadomił sobie Memnon. Jego szacunek wobec młodego króla wzrósł. Zaatakował nasze lewe skrzydło, bo wiedział, że wtedy Spitrydates albo ten dureń Arsites odciąży centrum, wzmacniając flankę. A my zrobiliśmy to, czego sobie życzyliśmy! - pomyślał z furią.

Ale nie miał czasu na analizy. Kiedy królewska gwardia zaatakowała perski środek, wsparły ją główne siły Macedończyków. Teraz kawaleria Memnona musiała się zadowolić łucznikami i oszczepnikami prawej flanki Aleksandra, przeważnie Kreteńczykami i Agrianami, którzy mogli oczyścić brzeg przed atakiem zdobywającej przyczółek konnicy.

Memnon zacisnął w furii zęby. Gdyby zdołał ich zatrzymać, może nadwątliliby zbyt rozciągnięty szyk Aleksandra...

Koń Rodyjczyka odskoczył przed zakrwawionym żełźcem sarisy; na skrawek ziemi wdzierał się na czworakach Macedończyk, kryjąc się za tarczą z brązu i dębu. Oszczepy odbijały się od grubej osłony. Kolega podał mu złamaną sarisę; dzielny piechur przykucnął i machał przy ziemi bronią, pełznąć dalej. Liczył na to, że ochwaci konia lub złamie mu przednią nogę. Za nim wspięli się na brzeg dwaj następni.

- Nie dajcie im sformować klina!

Z tymi słowami Rodyjczyk spiął konia. Prerażone zwierzę uniosło się na zadzie. Memnon pochylił się i włożył cały ciężar swój i opadającego konia w mordercze pchnięcie. Włócznia odbiła się od tarczy pierwszego Macedończyka i wbiła w kark jego towarzysza. Drzewce i kark żołnierza pękły równocześnie. Bryznęła krew.

Prowadzący Macedończyk z rykiem zadał mocarny cios sarisą, celując w głowę Rodyjczyka. Memnon widział, co się święci. Wykręcił się, parując cios złamanym drzewcem. Trzasnęło drewno, poleciały odłamki. Siła uderzenia, które mogło rozpołowić czaszkę, na moment sparaliżowała mu rękę po bark. Przeciwnik potknął się, opuszczając o pół dłoni tarczę. To wystarczyło przybocznym Memnona. Błysnęło żelazo. Dwa oszczepy przebiły tors Macedończyka. Pokoziółkował w tył, na ostrza towarzyszy broni.

Pozostał jeden żołnierz.

- Włócznię! - huknął Memnon, ciskając resztki drzewca.

Ktoś z drugiej linii - może Hydranes - wcisnął mu w dłoń oszczep. Memnon zwinął się i z taką zaciekłością cisnął pocisk, że przebił brązowy policzek hełmu Macedończyka, ciało, kości, mózg i wyskoczył za uchem. Trup zniknął w grzędawisku. Kolejny raz bezbronny Memnon dobył z pochwy miecz.

Łucznicy na drugim brzegu znaleźli cel, posyłając grad strzał w żołnierzy Memnona. Pracujące z bliższej odległości sarisy i oszczepy opróżniały siodła, gdy Macedończycy zaatakowali z nową energią, raniąc konie i łamiąc szyk pierwszych szeregów Memnona. Gwardziści i falangici niepowstrzymanie wdzierali się na brzeg. Memnon musiał ustąpić. Uniósł miecz.

- Wycofać się i przeformować szyk! Wyco...

Rodyjczyk zgiął się. Strzała odbiła się od jego hełmu i groźne ostrze oszczepu Agrianina musnęło mu brodę. Usłyszał, jak przebija zbroję i ciało żołnierza za nim. Wyprostował się i krzyknął:

- Trębacz! Wycofać się i przeformować! Ogłosić!

Róg zahuczał. Persowie z wolna odrywali się od przeciwnika. Memnon rozejrzył się na boki. Farnabazos i Ariobarzanes, chociaż poranieni i pokrwawieni, wraz z resztkami pierwszego szeregu trzymali pozycję. Mieli osłaniać odwrót, dając tyłom czas na cofnięcie się sto kroków i przeformowanie. Memnon w głębi spostrzegł pokrytą krwią twarz Kofena. Uzbrojony we włócznię zabitego towarzysza broni zajął jego miejsce w szyku. Memnon poszukał wzrokiem Hydranesa...

Znalazł go leżącego bezwładnie na końskiej szyi. W piersi tkwiło mu żeleźce oszczepu Agrianina. Okryte zaschniętą krwią ręce ścisnęły drzewce. Dźwignął głowę. W oczach miał niewymowną żalność, jak porażone wstrząsem dziecko, które nie wie dobrze, co się wydarzyło.

- Wuj-wujku? - zdołał wykrztusić. Strumyczki krwi ciekły mu z ust.

Zanim Memnon zdołał zareagować, na brzegu wyrósł mur Macedończyków. Błysnęły ostrza saris i mieczy, fala strzał i oszczepów poprzedziła atak piechoty. Koń Memnona szaleńczo zarżał i padł. Włócznia przeszła mu szyję. Rodyjczyk poleciał na plecy i upadł bezbronny. Miecz wyleciał mu z ręki. Atakujący go wyrwał sarisę z rzucającego się konia, przestąpił zwierzę i uradowany uniósł broń do morderczego uderzenia. Jednak radosne uniesienie Macedończyka miało trwać krótko. Ariobarzanes przebił mu włócznią bok.

- Wstań, wuju! Wstań! - rozległ się krzyk Ariego.

Memnon na ośleposzukał miecza. Wstał i zataczając się, wyszedł poza zasięg nieprzyjacielskiej broni. Szukał Hydranesa. Młodzik leżał kilkanaście stóp dalej, na boku, na zgniecionej trawie. Nieruchomy. Jego koń przepadł.

- Nie! - Memnon podbiegł do chłopca. - Hydranesie! - Ukląkł i łagodnie przewrócił go na plecy. Pochylił się, ucałował czoło zabitego i szepnął: - Oddaję cię w opiekę Zeusowi. Idź do bogów jako mężczyzna.

Ale miał mało czasu na opłakiwanie siostrzeńca. Atak Aleksandra rozbił perskie centrum. Skrzydła również pękały i Macedończycy zagrażali pozycjom najemników.

Memnon wstał. Wezwał do siebie dwóch kardaków. Rozpoznał ich mimo warstwy krwi i brudu.

- Mardiusz, Azanes, zabierzcie ciało mojego siostrzeńca i cofnijcie się do Omaresa. Staniemy przy piechocie. - Rozejrzył się za koniem.

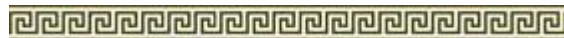
- Weźcie mojego, panie - rzekł Azanes, zeskakując z siodła. - Znajdę innego na tyłach.

- Stokrotne dzięki, Azanesie.

Kiedy Kardak podawał ciało Mardiuszowi, Memnon po raz ostatni spojrzął na twarz zabitego, niezwykle bladą i młodzieńczą w chwili śmierci. Jak miał powiedzieć Dejdami, że jeden z jej synów został zabity? W duszy westchnął do bogów, żeby to był jedyny nieżywy w rodzinie...

Wskoczył na konia i zebrał wodze. Czas wycofać innych.

- Trębacz! - krzyknął. - Odwrót!



Piechota, pięć tysięcy greckich hoplitów, czekała na wzgórku ćwierć mili od Granika. Omares poznał wynik bitwy, zanim Memnon nadjechał. Dowiedział się od perskich kawalerzystów, którzy uciekali obok jego pozycji. Aleksander powiększał przewagę, ale natarcie ugrzęzło w masie perskiej konnicy. Do zmierzchu nie miał szans na zmierzenie się z piechotą.

- Słyszałem, że większość satrapów padła - rzekł na przywitanie Omares, gdy Memnon

i synowie Artabazosa dołączyli do niego.

Zdołali jeszcze raz odrzucić Macedończyków i zepchnąć ich do rzeki. Podczas chwilowej przerwy w walce uciekli.

- Od kogo?

- Od ich żołnierzy, kiedy wiali obok nas. Mitrobarzanes, Rojsakes, Spitrydates...

wszyscy zeszli ze swoich pozycji i natarli na Aleksandra. Chłopak ich usieknął. Arsites i Reomitres uciekli z garstką ludzi. Nie wiem, co z Arsamenesem. Wygląda na to, że kiedy robi się gorąco, honorowy Pers zostawia piechotę, nie martwiąc się niczym.

- Przyjechaliśmy was wesprzeć - powiedział Memnon.

Omares spojrział tam, gdzie Mardiusz i Azanes sprawowali straż nad ciałem Hydranesa. Wcześniej własnymi rękami wyciągnął zabójczy pocisk. Ułożył chłopca i zmył mu krew z twarzy, nie żałując wody z manierki, po czym własnym płaszczem okrył zabitego. Ale żaden akt dobroci nie mógł wyrównać długu, jaki miał względem Artabazosa. Poza jednym. Gdy Kofen i Ari podeszli do ciała brata, wstrząsani bolesnym szlochem, Omares wrócił spojrzeniem do Memnona. Farnaba-zos pozostał na koniu, zwiesiwszy głowę.

- Nie możesz z nami zostać, Rodyjczyku - stwierdził Omares.

Memnon potrząsnął głową.

- Nie, przyjacielu. Nie odjadę. Poprowadzę do tego starcia ciebie i twoich ludzi i z niego wyprowadzę albo przeleję moją krew obok waszej.

- Wzruszający gest, ale psu na budę. Jak zginiesz, król wyznaczy jakiegoś perskiego dupka, żeby poprowadził za niego tę wojnę. Ten ją spieprzy i wielu zacnych mężów zginie niepotrzebnie. Jak na mój rozum ty jedyny potrafiłbyś zatrzymać Aleksandra. Ta bitwa jest przegrana. Od ciebie zależy, czy wygramy wojnę.

- On ma rację, wuju - rzekł Farnabazos, unosząc głowę. - Dariusz uświadomi sobie błąd, jaki popełnił, nie czyniąc cię naczelnym wodzem, i szybko go naprawi. Tylko pod twoim dowództwem mamy szansę odzyskać Hellespont. Ale żeby to uczynić, musisz żyć...

Memnon nic nie odpowiedział; gryzł wargę, wpatrując się w ciało Hydranesa.

- Musisz się wycofać, Memnonie! - powtórzył Omares. - Chociażby po to, żeby przeprowadzić tych chłopców w bezpieczne miejsce. Zrób to ze względu na Artabazosa! My zostaniemy w tyle i osłonimy twój odwrót!

- Przysięgnij mi, Omaresie! Przysięgnij mi, że złożysz broń i będziesz błagał o pokój, kiedy tylko zjedziemy z pola! Nie ma potrzeby, żebyś został męczennikiem! Nie ma potrzeby, żeby ten los spotkał twoich żołnierzy!

Omares skinął głową.

- Kiedy tylko się oddalicie - powiedział - pocałuję tego szczeniaka w dupę, jeśli będzie trzeba! Ale najpierw sformujemy szyk i zrobimy im pokaz. Ty i chłopcy ruszajcie, panie.

Memnon smutno się uśmiechnął.

- Panie?

- To pewnie wina twojej prześwieczonej obecności. - Złapał Memnona za rękę. - Jeśli tu się coś wydarzy...

- Możesz być pewien mojej zemsty. Masz na to moje słowo.

Omares odetchnął głęboko i skinął głową.

- Lepiej ruszajcie. Co z ciałem chłopca?

- Farnabazosie? - spytał Memnon.

- Zabierzemy go - rzekł Pers. - Ojciec... ojciec nie chciałby, żebyśmy go zostawili

Macedończykom.

Rodyjczyk dał znać żołnierzom, aby dosiedli koni. Mardiusz i Aza-nes ostrożnie podnieśli

ciało Hydranesa i złożyli je na jucznym koniu. Ari wziął wodze. Memnon wskoczył na siodło. Kiedy zawrócił konia w kierunku Omaresa, zabrzczczały ozdoby ogłowia.

- Pamiętaj, żadnych męczenników!
- Zegnaj. - Stary wiarus się uśmiechnął i klepnął zad konia Memnona, gdy ten udał się za kolumną. Kierował się na południe, dalej od krążących sępów.



Memnon poprowadził niedobitków wzdłuż góry Idy, przez gęste sosnowe lasy. Dywan zeszlętych igieł tłumiał tępy klekot kopyt przemęczonych wierchowców. Mimo wyczerpania, mimo ran Memnon wiódł żołnierzy przez całą noc. Jeździł wzdłuż kolumny, dodając ducha żołnierzom i pilnując, aby nikt nie został z tyłu. W końcu przed świtem zarządził postój, pozwalając maruderom z innych konnych oddziałów zrównać się z nimi. Osobiście witał Hyrkanów, Medów, Baktrian i Lidyjczyków. Chciał pozbierać w całość losy perskich satrapów.

- Mało go nie zabili - stęknął do Farnabazosa, gdy rozsiadł się na ziemi obok siostrzeńca. - Tylko szczęście uratowało tego drania.

- Aleksandra?

Memnon wypił kubek wody i napełnił go jeszcze raz.

- Satrapowie rzucili się na niego, pociągając za sobą gwardzistów. Mitrobarzanes zginął pierwszy, jak mi mówiono, Aleksander przeszył go lancą. Rojsakes zaatakował drugi, odciął kawałek hełmu Aleksandra, ale zanim zdążył zadać ostateczny cios, młody król się odwrócił i nadział na lancę i jego. Zaraz potem nadjechał Spitrydates. Aleksander go nie widział. Podobno satrapa już miał mu rozplatać mózg, gdy króla uratował gwardzista. Odrąbał Spitrydatesowi rękę, w której tamten dzierżył miecz.

- Nie można ich oskarżyć o brak odwagi - rzekł Farnabazos.

- Nie, ale o brak wyobraźni można.

Farnabazos rozgarnął małe ognisko. Ari i Kofen spali jak większość żołnierzy, rozciągnięci na ziemi, nieokryci, nadal w zakrwawionych zbrojach. Inni siedzieli i rozmawiali po cichu jak Memnon i Farnabazos. Jeszcze inni siedzieli samotnie, zagubieni w myślach.

- Co teraz zamierzasz, wuju?

- Przegrupować się. Aleksander zabezpieczy Daskylejon, a potem najpewniej ruszy na Sardes. Potem na Efez. - Twarz Rodyjczyka pociemniała. Przed wyjazdem do Zelei posłał Barsine z dziećmi do Efezu. - Tam zabiorę żołnierzy. Ciebie wysyłam do Suzy, może już jutro. Zabierz ze sobą Ariego i przekazaj wszystko, co widziałeś, wielkiemu królowi... i ojcu. Powiedz Dariuszowi, że jeśli tylko nie nakaze mi złożyć broni, poczynię przygotowania do odwetu.

- Do odwetu? Jak go przeprowadzisz?

Ale Memnon nie miał zamiaru nic więcej zdradzać. Wpatrywał się w trzeszczące głownie głęboko zamyślony, rysując patykami na piasku plan bitwy. Ściągnął brwi...



Efez był w szponach lęku. Memnon wyczuł to, gdy tylko wraz z żołnierzami przebył dolinę rzeki Kaystros i okrążył górę Pion. Mimo że poruszali się szybko, wieści z nad Granika

były jeszcze szybsze, jakby niesione na skrzydłach wron. Aleksander nadchodził, ale miał przynieść wolność czy rozpacz? Wielu przywódców miast, nastawionych propersko oligarchów, nie czekało na odpowiedź na to pytanie; pakowali manatki i uciekali morzem na wyspy greckie lub kontynentalną Helladę.

Nie minęło południe, gdy Memnon dotarł do swojej posiadłości na obrzeżu Efezu. Pozwolił żołnierzom się rozejść, a Kofenowi rozkazał poczynić przygotowania do pogrzebu Hydranesa. Wyprzedziły go wieści o przybyciu i grupa mężów w świetnych medyjskich szatach przywitała go u bramy, poselstwo niedobitków rady miejskiej. Jak stado zięb tłoczyli się wokół konia Rodyjczyka, zasypując Memnona pytaniami.

- Czy to prawda, wodzu? Czy Aleksander zamierza zniszczyć Azję?
- Też mamy uciekać?
- Co mamy czynić, panie?

Memnon podniósł rękę, nakazując ciszę.

- Aleksander jest człowiekiem, do tego młodym. Zniszczenie Azji nie jest w jego mocy, jak nie jest w mojej czy waszej. Ale przybywa do Efezu, czcigodni. Musimy się przygotować, żeby stawić mu opór. Proszę, przebyłem długą drogę. W tej chwili pragnę tylko spotkać się z żoną i rodziną.

- Ale mówisz, że powinniśmy walczyć? - spytał wyzywająco jeden z mężczyzn. -

Nawet po tym, co zrobił twoim najemnikom?

Memnon zmarszczył brwi.

- Nic im nie zrobił. Poddali się...

- Więc nie wiesz? - Prowokacyjne zachowanie zniknęło, zastąpione niepewnością. Inni odsunęli się od niego.

- Czego nie wiem? Mów, człowieku!

- Aleksander odmówił przyjęcia ich warunków, wodzu! Pozwolił swoim żołnierzom wyrzucić ich, nawet gdy złożyli broń!

Memnon zachwiał się w siodle. Czerwony welon furii zasłonił mu oczy, gdy wyobraził sobie śmierć Omaresa, odrzucenie jego prośby o pardon. Porzuciłem ich, pomyślał. Wina i żal dołożyły swój ciężar do niewyobrażalnie wielkiego poczucia odpowiedzialności już spoczywającego na barkach Memnona. Zacisnął tak mocno zęby, że aż poczuł krew w ustach.

- Czy to prawda? - syknął.

Posłowie pokiwali głowami.

- Część przeżyła, ale Macedończyk zamierza sprzedać ich w niewolę i odmawia przyjęcia okupu.

- Mają być przykładem tak jak Teby.

- Jeśli Aleksander tak chce prowadzić wojnę, to czy musicie się pytać, co powinniście uczynić? - warknął Memnon. Rozkazał kardakom otworzyć bramę. - Bardzo dziękuję, czcigodni. - Skinął krótko głową i spiął konia do galopu.

Barsine wyszła na powitanie męża przed dom. Niosła puchar wina i wilgotny ręcznik. Była równie poważna i przejęta jak Memnon. Ten zszedł z konia i powoli pokonał schody portyku. Słońce plamiło złotem niebieską szatę Barsine. Zatrzymał się o stopień niżej i westchnął. Zmarszczki pocięły mu czoło; musiał jej powiedzieć o Hydranesie.

- Barsine...

- Nie, ukochany - rzekła. - Nic nie mów, dopóki nie odpoczniesz i nie zbierzesz myśli.

Wszelkie złe wieści, które przynosisz, nie staną się jeszcze gorsze, jeśli trochę poczekają. -

Zachęciła go do wypicia chłodnego wina, mocnego tesalskiego, podczas gdy ocierała mu twarz ręcznikiem. - Kazałam przygotować kąpiel i lekki posiłek, a potem prześpisz się kilka godzin. -

Ucałowała zmarszczki na czole męża.

- Nie mogę odkładać na później tego, co mam ci do powiedzenia - rzekł, obejmując ją w pasie. - Chodzi o Hydranesa... - Wpatrywał się intensywnie w zagłębienie jej szyi, tam gdzie łączyła się z tarsem. Nie chciał spojrzeć żonie w oczy. Pełen żalu szloch wydarł mu się z gardła. - Hydranes...

Łzy zabłysły na policzkach Barsine, gdy pochyliła się ku mężowi. Pogładziła go po włosach, po karku.

- Och, Memnonie... - szepnęła.

- Należało go zostawić w Zelei - rzekł. - Był za młody... za młody.

- Chodź, ukochany. Chodź i odpocznij. - Wzięła go za rękę i zaprowadziła do łazienki.

Głęboka kamienna wanna była pełna dymiącej wody Barsine odesłała sługi i sama zajęła się mężem.

Memnon machinalnie zdjął zbroję, sztywny od zaschniętej krwi chiton i sandały i zanurzył się w wannie. Stęknął, gdy gorąca woda za-kłuła każde rozcięcie i siniak na jego ciele. Kiedy Barsine myła i wycierała mu włosy i brodę, cały czas wpatrywał się w jej twarz. Zamrugał leniwie, czując, jak wyczerpanie daje o sobie znać. Barsine oczyściła płytkie rany skóry, upewniając się, że nie trzeba szwów ani bandaży. Rozmasowała spięte mięśnie ramion i barków. Pod koniec kąpieli Memnon potrzebował pomocy, aby wstać.

Wytarła go pachnącymi miętą ręcznikami i zaprowadziła do sąsiedniej komnaty, w której służące przygotowały miękkie kobierce. Przy nim stały niskie stoliki z chlebem, oliwkami, serem i winem. Pod sufitem pracował wielki wachlarz, poruszany niewidzialnymi dłońmi.

Memnon rozciągnął się na kobiercu. Zasnął, zanim Barsine zdążyła nalać mu wina.

Obudził się po kilku godzinach, patrząc w sufit. Tańczyły na nim cienie rzucane przez lampkę oliwną. Na ramieniu poczuł ciepło i ciężar. Spojrzał w bok i ujrzał głowę Barsine. Obejmowała dłońmi jego muskularne ciało. Spała na podłodze, siedząc u jego boku. Wolną ręką pogładził włosy żony. Dotknął jedwabistej skóry na jej karku i poczuł dreszcz pożądania.

Barsine rozchyliła powieki.

- Jesteś głodny? - szepnęła.

Potrząsnął głową. Delikatnie położył się na niej, całując z namiętnością, która odebrała oddech obojgu. Barsine uniosła nogi, ściskając go udami. Czuli żar jego ciała i własną wilgoć. Uniosła się, zdejmując szatę przez głowę. Palce Memnona przebiegały po jej udach, biodrach; sięgnął wyżej, ku piersiom, zakrywając je. Westchnęła, gdy się w nią wślizgnął.

Ich cienie wiły się w słabym złotym blasku; z miazdżonych głodnych warg nie zdołał się wyrwać nawet krzyk namiętności. Wreszcie pokryte kroplami potu ciała spoczęły na kobiercu. Barsine złożyła głowę na piersi Memnona, słuchając bicia jego serca. Przez długi czas się nie odzywali. W końcu Barsine westchnęła:

- Jak... jak zginął mój brat?

- Od oszczepu - rzekł Memnon. Ze spokojem opowiedział o bitwie i jej następstwach.

Zaniepokojona uniosła wzrok, gdy mówił o losie Omaresa.

- Oby wielki bóg zachował nas od szkody - powiedziała.

Memnon poprawił się na dywanie.

- Spotkałaś się z Kofenem?

Przytuliła się do niego mocniej. Potrząsnęła głową.

- Nie opuściłam twego boku. Kiedy spałeś, Chafr zajął się rannymi. Nie ruszaj się.

- Jest wiele do zrobienia.

- Nie może poczekać do rana?

Memnon przestał się wiercić, jedną rękę podłożył pod głowę Barsi-ne, drugą objął jej

ramiona. Czują, jak znów ogarnia go napięcie, czują, jak jego mięśnie napinają się i rozluźniają - niewątpliwie reagując na niepokój umysłu.

- Co się dzieje? - spytała, wspierając się na łokciach.

Westchnął.

- Muszę cię odesłać, Barsine. Ciebie i dzieci - rzekł cichym, ochrypłym głosem. - W Azji nie jest już bezpiecznie i nie będzie, dopóki się nie weźmie w karby Macedończyków. Nawet miasta, które nie leżą na szlaku Aleksandra, będą zagrożone tym konfliktem. Demokraci powstaną przeciwko oligarchom... czeka nas powtórka chaosu na Rodos.

Barsine usiadła.

- Dokąd nas wyślesz?

- Do króla... do twojego ojca. Wysyłam z tobą Kofena. Aleksander jest jego przyjacielem i Kofenowi brak ikry, by walczyć z Macedończykiem.

- Co chcesz powiedzieć? - Sięgnęła po szatę i strzepnęła ją przed włożeniem. - Czy ta wojna zapowiada się jako coś wyjątkowego?

Memnon również usiadł. Przeczesał palcami włosy, rozluźnił ramiona, skłonił głowę w przód, w tył. Zmęczenie zostawiło niezatarty cień na jego obliczu.

- Wyjątkowego? Będzie wyjątkowo brutalna. Aleksander już pokazał w Tebach i nad Granikiem, na jakie barbarzyństwo go stać, jaki potrafi być litościwy. Zamierza podporządkować sobie Azję, jak to zrobił z Helladą. Udowodnię mu, że się pomylił. Wyczerpie siły podczas kolejnych nie prowadzących do niczego oblężeń, straci to, co ma najcenniejszego, swoich żołnierzy. A kiedy już nasyci się widokiem swoich gwardzistów roztrzaskujących się o mury Azji, przeniosę teatr wojny do jego ojczyzny. Choćbym nawet musiał spalić na popiół Macedonię, żeby go przegnać z naszych krain, zrobię to. - Ujął żonę za rękę i ucałował. - Ale nie mogę prowadzić takiej wojny, kiedy ty i dzieci jesteście w pobliżu.

- W takim razie nie posyłaj nas do króla, lecz do Damaszku lub Egiptu. Jestem pewna, że Chafr zapewni nam znakomitą opiekę w Egipcie. - Łzy nabiegły jej do oczu. Uklękała. - Proszę, ukochany. Nie odsyłaj nas tak daleko od siebie!

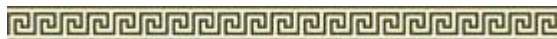
- Muszę. - Serce pękało mu w piersiach. - Tylko w cieniu króla królów będziesz poza zasięgiem moich wrogów, macedońskich i perskich. Muszę mieć swobodę działań, nieskrępowany lękiem o ciebie i dzieci.

Załkała. Memnon wziął ją w ramiona, przytulił i wyplakała się na jego ramieniu.

- Kiedy? - spytała.

Memnon zamknął oczy. Łzy popłynęły mu na brodę.

- Wkrótce.



Rozstanie przyszło szybciej, niż Memnon się spodziewał. Trzy tygodnie po bitwie nad Granikiem, w połowie maja, przyszły wieści z Sardes. Dowódca cytadeli, jeden z kuzynów Spitrydatesa, wydał miasto Aleksandrowi. Ten perfidny postępek oznaczał, że nie będzie długiego oblężenia, nie będzie bitwy na równinie Hermosu, nie popłynie macedońska krew.

- Aleksander ma po ojcu dar do intryg - powiedział z niezadowolaniem Memnon. Wraz z Chafrem stali nad stołem na dziedzińcu.

Oglądali mapy Jonii i Karii. - Okazując łaskę Sardes, doda sił naszym przeciwnikom.

- Ile czasu minie, zanim rozejdą się wieści o tym wydarzeniu? - spytał Chafr.

- Mamy kilka godzin, najwyżej dzień. - Memnon podniósł wzrok. Na dziedziniec weszli Kofen, Tymondas, Azanes i Mardiusz. - Co tam?

Kofen skinął głową.

- Okręt czeka, wuju. Możemy odpływać, kiedy tylko Barsine i dzieci będą gotowi.

- Dobrze. Wyplyniecie w ciągu godziny. Zabierz ich na południe, Kofenie, do zatoki Issos. Po zejściu na ląd udacie się Drogą Królewską; będziecie mieli wolny szlak aż do Suzy. Mardiuszu i Azanesie, będziecie im towarzyszyć. Zabierzcie ze sobą pięćdziesięciu zaufanych kardaków. Chafrze?

Egipcjanin westchnął głęboko.

- Ja również pojadę, chociaż nadal uważam, że bardziej przydałbym się na polu bitwy.

- Będę się lepiej czuł, wiedząc, że podróżujesz z nimi, Chafrze - rzekł Memnon, ściskając ramię Egipcjanina. - Tymondasie, ty i ja wyprowadzimy żołnierzy, zanim zacni mieszkańcy Efezu zdadzą sobie sprawę, że odeszliśmy. Weź tysiąc hoplitów i wzmocnij Milet. Ja wezmę resztę do Halikarnasu. - Wyprostował się. - Żołnierze. Liczy się czas. Ruszajcie.

Wszyscy zajęli się swoimi sprawami; żołnierze i niewolnicy szykowali konie i wozy; dowódcy rozesłali wieść o rychłym wyruszeniu z miasta, wprowadzając stan gotowości. Pośrodku tego wiru aktywności Memnon pozostał nieruchomy, studiował uważnie mapę, zadając sobie pytanie, czy jego taktyka jest rozsądna. Muszę go zwabić w głąb lądu. Niech traci żołnierzy... myślał.

Usłyszał szelest szat. Odwrócił się.

- A więc to prawda? Sardes padło? - Barsine weszła w światło słońca. W czarnej szacie, ukrywając włosy pod szalem barwy węgla drzewnego, wyglądała tak żalobnie jak skazana na Hades Persefona.

- Prawda - potwierdził Memnon. - Aleksander ma do nas nie więcej niż pięćdziesiąt mil. Nie jesteśmy gotowi stawić mu czoło, więc wycofujemy się z Efezu. Ty i dziewczynki w ciągu godziny wyplyniecie do Suzy.

- Dokąd ty się udasz?

- Do Halikarnasu. Będę czekał na decyzję króla.

Barsine skinęła głową.

- Będziemy... będziemy gotowe. - Odwróciła się i zniknęła w głębi domu.

Rodyjczyk westchnął i wrócił do mapy. Niech traci żołnierzy... powtórzył w myślach.



Nie chcąc wzbudzać paniki, Memnon rozłożył przeprawę do portu. Najpierw wysłał Chafra i rodzinę. Towarzyszył im wóz z niewielką ilością rzeczy. Po nich ruszył Kofen. Azanes, Mardiusz i kardakowie rozdzielili się i przeszli bocznymi drogami. W oczach ciekawskich wyglądali na wzmocnione patrole. Sam ruszył ostatni.

Statek, *Hezjone*, miał szeroki pokład i dwa rzędy wiosł, umożliwiające żeglugę przy niekorzystnych wiatrach.

- Miej oko na kapitana - przestrzegł Chafra Memnon, zanim Egipcjanin wszedł na pokład. - I kiedy tylko miniecie Rodos, wyznacz własnego człowieka do obserwacji. Ta część wybrzeża roi się od piratów.

- Sam będę uważał, Memnonie - obiecał Chafr. - Przyjacielu, niech pan Ozyrys strzeże cię i obsypie swoimi błogosławieństwami.

- I ciebie, Chafrze. - Memnon pożegnał się z dowódcami kardaków, kiedy wchodzili na statek.

W końcu pojawił się Kofen z dziećmi.

- Ach, moja Gołębiczko i Jaskółeczko - powiedział Rodyjczyk, przyklękając.

Dziewczynki podbiegły do niego i uściły go. Ucałował obie w policzki. - Słuchajcie mamy i pozdrowcie ode mnie dziadka.

- Czy jeszcze cię zobaczymy, ojczy? - spytała Apame, roniąc z gęstych rzęs łzy.

- Oczywiście, że tak, Jaskółeczko! Za rok przyjadę z konikami do Suzy i pojedziemy do Babilonu, obejrzeć wiszące ogrody.

Artonis pociągnęła nosem.

- Obiecujesz?

Memnon się uśmiechnął i pocałował ją jeszcze raz.

- Obiecuje. A teraz idźcie z wujkiem Kofenem.

Dziewczynki niechętnie rozstały się z Memnonem i podreptały za Kofenem. Rodyjczyk stał uśmiechnięty, opanowując drżenie warg. Machał dzieciom, jakby wybierały się na popołudniową przejażdżkę, a nie wielomiesięczną podróż.

Poczuł uścisk dłoni Barsine i się odwrócił.

- Czy to naprawdę najlepsze rozwiązanie?

- Tak - odparł. - Będiesz w Suzie bezpieczna, obiecuję ci. Będiesz z rodziną, ojcem i Dejdamią i nie będzie ci niczego brakowało.

- To nieprawda - powiedziała, unosząc do ust jego rękę. - Będzie mi ciebie brakowało.

Memnon wziął ją w ramiona.

- Kocham cię - rzekł.

- Mój Odyszeuszu - szepnęła przez łzy. - Mój ukochany, przybądź po nas! Bez względu na to, co będziesz musiał znieść, bez względu na to, ile cię to będzie kosztowało, przybądź po nas, Memnonie! I to szybko! Obiecuj mi!

- Masz moje słowo - powiedział, wypuszczając ją z objęć. - Już czas. - Odprowadził ją do pomostu i przekazał Kofenowi. - Trzymaj się, chłopcze, i pilnuj moich najdroższych skarbów.

Kofen się uśmiechnął.

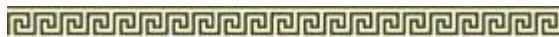
- Jak własnych, wuju.

Czując się, jakby miał ołów w nogach, Memnon wrócił na nabrzeże. Żeglarze wciągnęli pomost, odrzucili cumy i długimi drągami odepchnęli *Hezjone* od brzegu. Kapitan wydał komendę „Do wiosł” i wiosłarze pochylili się do rytmu podawanego przez flecistę. Statek zostawiał ślad na wodzie. Odwrócił się dziobem ku morzu.

Nagły ruch na rufie zwrócił uwagę Rodyjczyka. Przy relingu pojawiła się Barsine. Wiatr szarpał kosmykami włosów, które uwolniły się spod szala. Uniosła palce do ust...

Memnon stał i patrzył, wypalając w pamięci jej wizerunek, aż *Hezjone* zniknęła za przylądkiem.

- Pilnuj ich, panie Posejdonie. Błagam cię - wyszeptał.



Długie cienie poznały mury domu, zanim Memnon wrócił do posiadłości. Na portyku kładło się złote światło, prześwitujące przez liście dębów, które nadały miejscu imię. Kiedy Memnon mijał próg, uderzyła go atmosfera pustki; brakowało mu nawet kroków dzieci na

kamieniach, delikatnego szelestu pantofli Barsine.

Głosy zwabiły go na dziedziniec. Zastał tam zgarbionego nad mapami Tymondasa. Nie był sam. Ku zaskoczeniu Memnona naprzeciwko niego stał Farnabazos. Chociaż ubrudzony po tygodniach niemal nieprzerwanej jazdy, triumfalnie się uśmiechnął na widok gospodarza.

- Obyś przywoził dobre wieści - rzekł pogrążony w ponurym nastroju Rodyjczyk.

Farnabazos złapał go za ramię.

- Król podjął decyzję, wuju. Do każdego satrapy i dowódcy na Zachodzie zostały wysłane listy.

- Z czym?

- Za radą ojca król królów mianował cię najwyższym wodzem azjatyckiej wojny, na lądzie i morzu! Rozkazuje ci pozbyć się macedońskiego zagrożenia w taki sposób, jaki uznasz za właściwy, bez względu na to, dokąd będziesz musiał się udać, aby tego dokonać. Prosi tylko, abyś, jeśli powstanie taka możliwość, przesłał Aleksandra w kajdanach do Suzy.

Tymondas odchrząknął.

- To zmienia sprawę.

- Bez tego mieliśmy związane ręce. Teraz szanse się wyrównały. - Rodyjczyk odetchnął głęboko. Poczul, jak spadają z niego więzy podległości. To będzie moja wojna, mój Egipt, pomyślał. - Tymondasie, wyjeżdżamy przed świtem. Farnabazosie, sprowadzisz flotę z Egiptu i Cypru.

- Ile okrętów?

- Wszystkie! - rozkazał Memnon. - Czas dać Aleksandrowi nauczkę!

Interludium V

Stan Barsine pogarszał się z każdą godziną. Czy była to wina emocji, które towarzyszyły przeżywaniu dawnych wydarzeń? A może sprawiła to postępująca choroba i odmowa przyjęcia wywaru starego Egipcjanina? Nieważne, co było przyczyną. Ariston mógł tylko zrozpaczony patrzeć, jak oddycha coraz płycej i z większym trudem, podczas gdy pot zlewał jej rozgorączkowane czoło. Leżała na boku. Harmutes siadł za nią i poklepywał ją po plecach, jakby była dzieckiem i mógł ją uzdrowić od humorów, które przylgnęły do jej płuc.

- Ostatni... ostatni raz! - wysyczała przez zaciśnięte zęby Barsine, plując krwią na kapę.
- Ostatni raz go wi-widziałam!

- Pani, proszę! - powiedział Harmutes, ocierając jej usta rękawem swojej szaty. - Pozwól, że przygotuję ci napar! Błagam cię!

- Nie! - Spazm wykręcił jej ciało; atak kaszlu, któremu nie mogła poddać nawet srebrna szkatułka. Barsine zacisnęła na niej palce. - Już... czas! - wyrzęziła. - Opowiedz mu... O Halikarnasie!

Ariston pochylił się ku niej.

- Znam historię oblężenia Halikarnasu, pani. Po tym, jak Aleksander zdobył bez walki Efez, pomaszerował na Milet, zniszczył jego mury i wyznaczył jako kolejny cel Halikarnas. To dumne miasto. Byłem tam, widziałem ruiny po oblężeniu. Część weteranów mieszka nieopodal i chętnie służyła relacją z walk.

- Macedończycy? - spytał Harmutes. Ariston skinął głową. - W takim razie znasz tylko ułamek prawdy, młody panie. Pochlebcy Aleksandra wyczyścili urzędowe zapiski ze wszystkiego, co nieprzychylne wobec ich króla. Jego byli żołnierze oczyścili nawet swoją pamięć. Jestem pewien, że według ich relacji oblężenie Halikarnasu zakończyło się jednoznacznym macedońskim zwycięstwem.

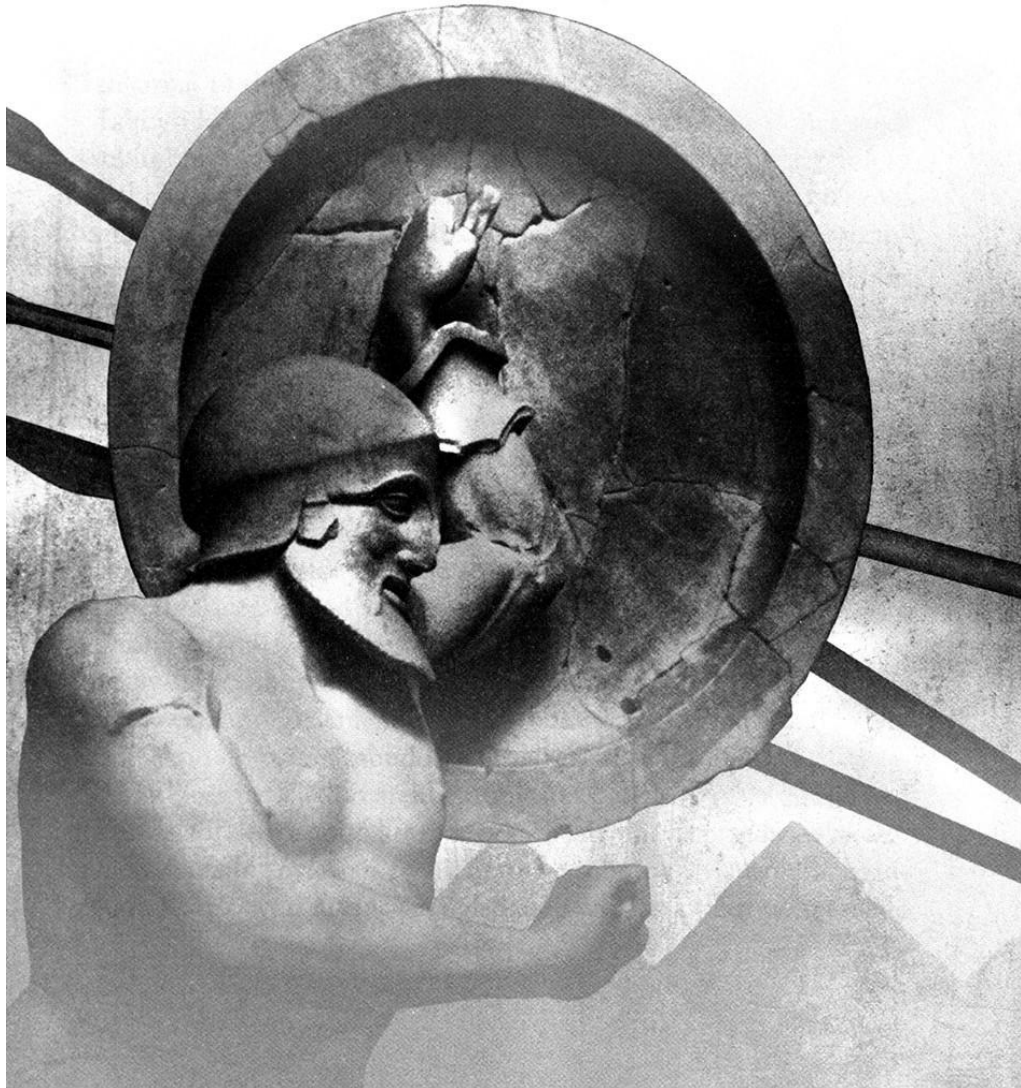
- Uczciwie mówiąc - rzekł Ariston - Aleksander zdobył miasto.

Harmutes spojrział na Barsine. Chociaż pragnęła mówić, walka o każdy oddech kosztowała ją tyle, że nie miała już siły na nic więcej. Łzy błyszczały w jej oczach. Harmutes westchnął i pogładził jej mokre czoło.

- Aleksander nie zdobył tego miasta, Aristonie. Memnon mu je dał...

HALIKARNAS

3. rok 111. olimpiady
(koniec 334 r. p.n.e.)



Rozdział dwudziesty drugi

Halikarnas to skała.

Ta myśl krążyła w głowie Memnona, gdy o wschodzie słońca szedł wysokimi murami. Od czasu do czasu patrzył przez otwór strzelniczy na głęboką suchą fosę wykopaną od strony lądu. Halikarnas miał znakomitą pozycję obronną. Poza fosą mógł się poszczycić czterdziestostopowymi murami, gęsto rozstawionymi wieżami, trzema wzmocnionymi bramami, ogrodzonym murem akropolem i dwiema cytadelami - Salmakisem na zachodzie i Arkonesosem na wschodzie - broniącymi wejścia do portu. Strumienie i cysterny zapewniały obfitość świeżej wody i dopóki flota Memnona kontrolowała tę część Morza Egejskiego, mógł do woli uzupełniać zapasy żywności. Nie tylko skała - myślał dalej Rodyjczyk, wchodząc seriami schodów na najwyższy punkt w mieście, mur nad akropolem - ale twierdza, której przeznaczeniem jest rozbić macedońskie natarcie.

Rozciągające się pod nim miasto przypominało amfiteatr. Agora od strony portu tworzyła orchesterę, czyli scenę, a nad nią półkolami wznosiły się trybuny z kamienia, niewypalanej gliny i gipsu - domy, sklepy i warsztaty ocieniane mirtem, bukszpanem i karłowatym dębem. Piękno i prostota zabudowy rywalizowały z urodą Assos.

Wyjątkiem było jedno architektoniczne szaleństwo. Na tarasie nad agorą rozsiadł się monolit, który w oczach Memnona przedstawiał czystą niewybaczalną *hybris*; niewykończony grobowiec Mauzolososa, Mauzoleum. Robiło wrażenie nawet oglądane z wysokości akropolu i miało za podstawę biały marmur wykończony rozległą kolumnadą i stromą piramidą. Na szczycie, sto sześćdziesiąt pięć stóp nad ziemią, wznosił się posąg Mauzolososa i jego siostry-żony, królowej Artemizji, powożących czterokonnym rydwanem. Lśnił w porannym słońcu. Mimo groźby wojny na rusztowaniach pracowało czterech rzeźbiarzy i armia pomocników. Już rozlegało się dzwonięcie młotów i skrzypienie lin.

Memnon pokręcił głową. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby złupić tę obrazę dla oczu - i niech przepadnie pamięć zmarłego tyrana! - gdyby to okazało się konieczne ze względu na obronę miasta. Był gotów wrywać płyty z ulic i ciskać je przez mury, gdyby była potrzeba.

Rodyjczyk przeszedł w cieniste serce wieży. Tam chłodne powietrze było zabarwione dymem, potem i naoliwioną skórą. Zszedł schodami na poziom akropolu. Na trawiastym skrawku siedzieli wyznaczeni do obrony wieży żołnierze i zajmowali się ostrzeniem i natłuszczaniem grotów strzał. Nieopodal, w cieniu starego bukszpanu, oddział pro-carzy wypisywał na ołowianych kulach pozdrowienia dla wrogów: „Masz!” albo „Wszystkiego!”

Jeden z wojaków, wiecznie uśmiechnięty zabójca z Kos, układał kule w stosy. Każdy miał imię jednego z dwunastu olimpijskich bogów.

- Kto powinien dostać dodatkowe, panie? - zawołał do przechodzącego Memnona. - Zeus czy Posejdon?

Rodyjczyk wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Ares.

Ich śmiechy towarzyszyły mu na następnym tarasie akropolu, gdzie grupa dowódców oczekiwała go na stopniach świątyni Zeusa Polias. Farnabazos i Tymondas stali razem, rozmawiając przyciszonymi głosami; Efialtes siedział na stopniach, krojąc żołnierskim nożem jabłko. Dowódca floty Memnona, Autofradates, szczupły Med o grubych powiekach i gładko zaczesanych czarnych włosach, czekał z dwoma mężczyznami, których Memnon ledwo znał. Pierwszy, Orontobates, był rozbójnikiem z Suzy, który załatwił sobie satrapię Karii. Ten

przeciętnie wyglądający mąż o oczach węża przypominał Memnonowi Ocho-sa. Drugi z czekających, Amyntas, syn Antiochosa, był macedońskim uchodźcą. Miał jasną skórę i rude włosy syna Lynkestis. Jeśli można mu było wierzyć, więzy krwi łączyły go z zabójcą Filipa, Pauzaniaszem. Posłuszny nakazom zemsty rodowej Aleksander już rozkazał pozbawić życia dwóch braci Amyntasa.

- Witajcie - rzekł Memnon. - Wszystko gotowe?

Zgromadzeni dowódcy jednym głosem potwierdzili gotowość.

- Cała flota oczekuje przy Kos twoich rozkazów - zameldował Au-tofradates. - Jak sobie życzyłeś, jedna brygada zakotwiczyła w porcie, a druga po przeciwnej stronie półwyspu, w zatoce Mendelia.

- Wszystkie magazyny i składy miast są pełne - zgłosił Farnaba-zos. - Mamy dość zapasów, żeby wytrzymać wielomiesięczne oblężenie, gdyby flota była potrzebna w innym miejscu.

- A jak żołnierze, są gotowi walczyć? - spytał Memnon.

- Bardziej niż gotowi - mruknął Efiates.

- Nie spotkałem tak wysokiego morale - ocenił Tymondas. - Jednak niektórzy mieszkańcy krzywią się i narzekają, że jesteśmy bezwzględni tyranami i należy nas usunąć.

- Orontobatesie?

- Już ja się ich pozbędę, wodzu - rzekł Pers, piorunując wzrokiem Tymondasa.

- Spodziewam się. - Memnon się odwrócił i spojrzał na miasto. Wskazał grób Mauzolososa. - To ironia losu. Drań pochowany pod tą potwornością w pewien sposób odpowiadał za zamordowanie mojego ojca. Teraz ja bronię jego miasta przed Aleksandrem. - Odwrócił się do Orontobatesa. - Jak dobrze znałeś komendanta Sardes?

- Mitrenesa? - Satrapa wzruszył ramionami. - Niezbyt dobrze.

- Więc nie należysz do tych malkontentów, którzy są gotowi zdradzić swego prawowitego króla za zapłatę dziwki?

- Nie mów bzdur! - najeżył się Orontobates. Twarz pociemniała mu z gniewu. - Kim jesteś, żeby kwestionować moją lojalność wobec wielkiego króla?

- Twoim panem i władcą z łaski króla królów i twoim katem, jeśli wyczuję choćby cień zdrady! - Memnon przeszył wzrokiem podwładnych, szczególnie groźnie Orontobatesa i Amyntasa. - To samo ostrzeżenie stosuje się do każdego żołnierza pod moim dowództwem, tak więc zapamiętajcie sobie: spróbujecie mnie oszukać, a przysięgam na cień zamordowanego ojca i zatrute wody Styksu, nie będzie wam dane długo się tym cieszyć! Zrozumiano? - Kiedy odpowiedziało mu tylko czołobitne milczenie, Rodyjczyk nieznacznie skinął głową. - Rozejść się. Farnabazosie, Tymondasie, na słowo.

Pozostała czwórka udała się na swoje stanowiska dowodzenia - Orontobates do Arkonesosu, Efiates do Salmakisu, Autofradates do portu, a Amyntas do głównej bramy. Kiedy zostali sami, Memnon odwrócił się do krewniaków.

- Jakież wieści od Patrona?

- Na razie żadnych - odparł Farnabazos.

Memnon się skrzywił. Wysłał Fokejczyka na Kretę. Miał się tam spotkać z emisariuszami króla Sparty, Agisa. Rodyjczyk zdawał sobie sprawę, że jeśli chce dokonać inwazji na Macedonię, będzie potrzebował odzianych w czerwone płaszcze spartańskich wojowników. Ale czy mógł im zaufać? Taki był cel misji Patrona. Miał ocenić, jak bardzo Spartanie zniechęcili macedońskie zwierzchnictwo nad Helladą i czy są skłonni zawrzeć przymierze.

- Kiedy wróci, chcę od razu o tym wiedzieć. To...

Przerwało mu łomotanie drewna o brąz. To wartownik na wieży podniósł alarm, tłukąc

stopką włóczni o wiszącą na trójnogu tarczę. Pozostali wartownicy podjęli alarm, aż rozległ się w całym mieście. Sparta musiała poczekać...

- Na stanowiska - rozkazał Memnon. Uśmiechnął się bez cienia wesołości. - Nasi goście przybyli.



Kurz. W suchym upale sierpnia trzydzieści tysięcy żołnierzy, ich zwierzęta i maszyny oblężnicze wzbijali tumany kurzu, duszącą żółtą mgłę, która jak całun zawisła nad armią Aleksandra. Nie widać było żadnych szczegółów, jedynie migotanie broni, gdy kolumna szła krętą drogą przez wzgórza na wschód od Halikarnasu.

Memnon obserwował przemarsz z wieży akropolu. Stały strumień adiutantów i posłańców przynosił raporty i roznosił rozkazy. Efialtes informował, że dostrzeżono zwiadowców po wschodniej stronie, pod bramą Mylasa, nazywaną tak od dawnej stolicy Karii, leżącej dwadzieścia pięć mil w głąb lądu. Memnon rozkazał Tymondasowi ściągnąć dwa oddziały peltastów, ponad tysiąc lekkobrojnych piechurów, do wzmocnienia obrony bramy i muru łączącego ją z Arkonesosem. Far-nabazosowi polecił przyprowadzić na agorę ciężkobrojnych, hoplitów i kardaków. Tworzyli rezerwę, gotową udać się w miejsce najbardziej zażartych walk.

Słońce przesunęło się po rozżarzone błękitnym niebie. Do południa podniecenie opadło; znużeni żołnierze stali rozluźnieni, ale cały czas z bronią pod ręką. Memnon przeszedł murem z akropolu do bramy Mylasa. Często przystawał, rozmawiając z obsadą wież, łucznikami, procarzami i załogami *katapeltes*, machin miotających wielkie bełty. Miał pod swoim dowództwem wielojęzyczne wojsko, Greków i barbarzyńców. Weteranów znaną Granika obok żółtodziobów z kariańskich wzgórz, dumnych patriotów walczących o swą ojczyznę, stojących ramię w ramię z najemnikami, dla których liczyła się tylko grabież. Memnon witał uchodźców wszelkiej maści; Tebańczyków płonących żądzą pomśzczenia ich *polis*, Macedończyków nie mogących znieść rządów syna księżniczki Epiru, Ateńczyków, których zraniona duma odrzucała podległość obcemu królowi. Chociaż różnili się tradycją i zwyczajami, broniących Halikarnasu żołnierzy łączyło przekonanie, że Rodyjczyk Memnon uwolni ich od syna Filipa.

A Memnon nie pragnął niczego więcej, jak to zadanie wypełnić.

Po dotarciu do bramy zastał Tymondasa opartego o blanki i przyglądającego się przez welon kurzu odległym o pół mili Macedończykom. Szarpał brodę, głęboko zamyślony. Dołączył do nich Efialtes, który przybył z drugiej strony miasta. Zbudowany jak byk nosił pancerz z brązu. Na piersi miał relief, głowę Meduzy.

- Co robią? - spytał Memnon.

Tymondas wzruszył ramionami.

- No cóż, to inżynierowie, oceniają obwarowania. Przeważnie pilnują odległości, ale jeden z tych drani próbował zbliżyć się do rowu. Związał, zanim łucznicy mieli szansę go naszpikować. Poza tym wygląda na to, że rozbijają obóz.

- Żadnych posłów? Żadnej propozycji układów?

Efialtes skrzywił się i splunął.

- A po co ten wypierdek miałby sobie strzępić język? Na zęby Ha-desa! Ściągnijcie go na zasięg ręki i wbiję mu włócznię w srakę, chociaż wcześniej pewnie bym musiał zabić jego kochasia, żeby ostrze miało gdzie wejść!

Memnon zmierzył Ateńczyka spojrzeniem, które rozpuściłoby żelazo.

- Jesteś tu, żeby walczyć z Aleksandrem, nie żeby go lżyć. - Rodyjczyk przez chwilę milczał, bacznie obserwując ludzi Macedończyka. W końcu odwrócił się do syna Mentora. - Wiesz, co jest największym wrogiem oblegającego i obleganego, Tymondasie? Samozadowolenie... nuda zrodzona z robienia w kółko tego samego. Po pewnym czasie nie reagujesz na to niebezpieczeństwo. Aleksander myśli, że będziemy czekali za murami, aż on zacznie.

- A będziemy? - spytał Tymondas.

- Nie. Myślę, że przypomnimy mu, jak niebezpieczna potrafi być wojna.

Memnon klepnął w ramię przyszywanego bratanka i zszedł z bramy. Wysłał gońców na agorę, do fortecy, na akropol i do głównej bramy. Rozkaz wszędzie był ten sam: stać w gotowości. Zaraz coś się wydarzy...

Zgromadził mieszane siły: tysiąc lekkobrojnych, procarzy i łuczników, rdzeń w postaci pięciu tysięcy hoplitów i dwa tysiące konnych kardaków na skrzydła. Tym ostatnim wydał pochodnie.

- Dopadnijcie ich, naróbcie zniszczeń, wycofajcie się - mówił Rodyjczyk, chodząc wzdłuż kolumny. - Spalcie co się da, nawet gdyby to była kupa ostów. Ludzi, konie, zapasy, namioty... wszystko, co wam się nawinie. Walcie w nich, aż usłyszycie długi sygnał rogu. Wtedy odrywacie się od nich i wracacie do miasta. Zrozumiano?

Żołnierze na znak zadowolenia załomotali bronią o tarcze.

Zachodzące słońce okryło rdzawym blaskiem Halikarnas. Memnon spojrzał w górę bramy.

- Tymondasie! Coś się zmieniło?

- Nic! - Syn Mentora wychylił się tak, że Memnon mógł go widzieć. - Kurz opada.

Rozpalają ogniska do gotowania stawy.

- Dobrze. - Memnon dobył miecza. - Otworzyć bramę!

Napięły się liny i zaskrzypiały zawiasy, kiedy zaprzęgi mułów pociągnęły skrzydła. Jak dwie inne, brama Mylasa miała skrzydła wysokie na szesnaście stóp, obite płytami z brązu i pomalowane na czarno. Żołnierze na murze opuścili drewniany most spinający brzegi suchej fosy. Szybkość akcji miała zadecydować o jej powodzeniu. Łańcuchy zagrzechotały na kamieniach. Ciężar zaczął ściągać w dół most i rozległy się ostrzegawcze krzyki. Runął z hukiem. Jeszcze nie osiadł dobrze, a Memnon i jego żołnierze przebiegli przez fosę i znaleźli się na przedpolu miasta.

Pół mili dzieliło mury Halikarnasu od obozu Aleksandra. Słońce było za plecami Persów i znaleźli się w zasięgu pocisków, zanim macedońskie warty podniosły alarm. Memnon usłyszał ich krzyki, głosy salping.

- Rozproszyc się! - wrzasnął. - Rozproszyc!

Jezdni spięli konie do galopu, pochodnie zatrzeszczały, sycone powiewem. Zaszumiały pociski procarzy. Łucznicy napinali i zwalniali cięciwy, wybierając za cel wartowników, którzy uparcie nie opuszczali posterunków i umierali, gdzie stali. Ołowiana kulka trafiła trębacza w gardło. Róg ucichł, trysnęła spieniona krew.

Kawaleria Memnona skupiła się na obrzeżu obozu, ciskała pochodnie w namioty, w wiązki saris. Wybuchły płomienie. Czarny dym uniósł się w powietrze, zasłaniając gasnące światło i powiększając zamieszanie. Memnon wysłał przodem hoplitów; łucznicy z każdą nawałą strzał zwalniali atak. Procarze wybierali indywidualne cele; żołnierzy wybiegających z namiotów, na wpół ubranych w pancerze i szukających broni, dowódców wykrzykujących rozkazy.

Memnon wycofał się z walki. Skupił uwagę na sercu obozu, skąd miał się rozwinąć nieunikniony kontratak. Niebawem Aleksander miał zdać sobie sprawę z ograniczeń tej wycieczki i zmobilizować całe wojsko. Dowódcy wezmą w karby podwładnych, wróci żelazna dyscyplina i postarają się odepchnąć Persów. Więcej, gwardziści spróbują odciąć drogę odwrotu, postarają się dotrzeć do bramy, zanim się zawrze. Memnon nie mógł na to pozwolić. Jego żołnierze mieli jeszcze tylko chwilę do odwrotu.

Stos paszy zapłonął po jego lewej ręce. Za kłębam dymu Memnon dostrzegł zbierającą się kawalerię nieprzyjaciela.

- Wracać do miasta! Trębacz, odwrót!

Rozkaz pokonał wrzawę, długa nuta zawisła w powietrzu.

Żołnierze Memnona nie zwlekali. Z ostatnią strzałą, ostatnim pchnięciem włócznią oderwali się od przeciwnika i wracali. Nie był to zdezorganizowany odwrót, nie pędzili, tratując się wzajemnie. Byli świadomi, że są oglądani przez bliskich - braci, przyjaciół, kochanków, którzy stali na murach. Ich obecność dodała żołnierzom na równinie niezłomnej odwagi.

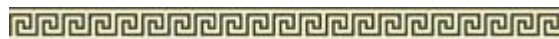
Macedończycy pędzili za nimi konno i pieszo, wyjąc z wściekłości. Dwa razy tak bardzo się zbliżyli, że Memnon musiał się odwrócić i przytrzymać ich na dystans. Jego łucznicy zabijali konie, procarze - piechurów, a hoplici tylko czekali w zwartej formacji, żeby posiekać na kawałki każdego, kto byłby gotów przerwać ten kordon zniszczenia.

Kiedy zbliżyli się do bramy, łucznicy na murach posłali ścigającym deszcz śmierci. Konie rżały, kiedy żelazne groty rozrywały ich zakurzone boki. Żołnierze zatrzymywali się, i szukali osłony za tarczami, podczas gdy ścigani przez nich kryli się bezpiecznie.

Kopyta koni perskiej kawalerii stukotały na moście. Potem przebiegli lekkozbrojni. Hoplici na końcu. W środku rozległy się huczne wiwaty i wrzaski radości z odniesionego zwycięstwa. Memnon ostatni wrócił do Halikarnasu. Zatrzymał się na środku mostu i odwrócił. Samotny macedoński jeździec przyglądał mu się, stojąc poza zasięgiem perskich strzał. Nie dało się pomylić ostrości jego spojrzenia ani też czerwonego grzebienia i białych piór na hełmie z kimś innym. Zawstydzeni żołnierze Aleksandra wlekli się obok wodza, odwracając oczy i spuszczać głowy. Przeciwnik zrobił z nich pośmiewisko, a oni zawiedli swojego króla i wiedzieli o tym.

Memnon słyszał, jak żołnierze w Halikarnasie wykrzykują jego imię. Rodyjczyk przesadnie skłonił się wrogowi, wypełniając ten gest możliwie największą dawką szyderstwa i kpiny. Równie dobrze mógłby rzec młodemu królowi: „Jesteś tylko chłopcem, który bawi się w wojnę; ja jestem żołnierzem”. I kręcąc przesadnie głową, Memnon przeszedł pod bramą, podziwiany przez swoich żołnierzy.

Teraz zobaczymy, jak Aleksander przyswoił przestrogi ojca przed szaleństwem, które budzi wściekłość, pomyślał.



Do północy Memnon znał koszt pierwszej wycieczki. Osiemnastu żołnierzy zostało zabitych, trzydziestu ośmiu rannych. Z tych ostatnich dwunastu nigdy nie miało wydobrzcć, reszta odniosła tylko lekkie rany. Rodyjczyk rozkazał wyrycić na marmurowej steli imiona zabitych i umieścić ją w świątyni Zeusa.

- Jak myślisz, ilu stracił Aleksander? - spytał Farnabazos.

Pers przyniósł Memnonowi ostatnie raporty wartowników z bramy Mylasa. Wielkie

ogniska zapłonęły na brzegach macedońskiego obozu, teraz otoczonego wartami. Najwidoczniej wzmocniono czujność.

- Dwa razy tyle co my, może więcej - odparł Memnon. Zdjął pancerz i siedział na brzegu wąskiej pryczy, w izbie, którą zarekwirował na tyłach świątyni na szczycie akropolu. Lekki wietrzyk poruszył kawałkami papirusu na sporządzonym naprędce stole.

- Kiedy znów wyjdziemy z miasta? Żołnierze są gotowi do następnej...

Rodyjczyk uniósł rękę, hamując zapal siostrzeńca.

- Cierpliwości, Farnabazosie. Teraz czekamy, oceniamy reakcję Aleksandra. Idź, odpocznij. Jutro będzie kolejny ciężki dzień.

Farnabazos niechętnie usłuchał wuja. Zostawił Memnona rozciągniętego na pryczy.

Godzinę później Rodyjczyk usiadł, wzdychając ciężko. Nie mógł spać. Doskwierała mu blizna na prawym barku, a ból przywołał wspomnienie złotej mgły, młodzieńczo-starczego głosu, słów: „Niektórzy mówią na mnie posłaniec”. Nie potrafił też się nie martwić o Barsine. Nigdy nie zdarzyło im się rozjechać na tak długo. W ciszy i ciemności nie umiał odpędzić myśli, które łomotały mu w głowie: Gdzie ona jest? Czy jest bezpieczna? Co z dziewczynkami? Pragnął osiąść sztukę latania, zdobyć opatrzone skrzydełkami sandały Hermesa, tak aby za dnia móc krzyżować miecz z Aleksandrem, a nocą być u boku Barsine.

Wstał i podszedł do stołu - jeśli pięć starych desek na krzywych kozłach zasługiwało na to miano. Miał przed sobą kawałek papirusu przyciśnięty na postrzępionych rogach ołowianymi kulkami. Odtwarzał na nim z pamięci mapę, której Parmenion używał podczas kampanii w Tracji i Macedonii. Obok leżał rylec i woskowa tabliczka pełna zapisków na temat inwazji w Macedonii - jacy szpiedzy będą potrzebni i gdzie, na jakich sojuszników mógł liczyć, ile gotówki będzie wymagało przekupienie greckich oddziałów Aleksandra...

Sięgnął po tabliczkę, przeczytał ją raz jeszcze i odłożył na stół. Tej nocy nawet rozpatrywanie planu kampanii nie mogło mu w niczym pomóc. Potrzebował powietrza. Może przechadzka wzdłuż murów odświeży mu umysł? Bosy, tylko w krótkiej spódniczce, *zoma*, noszonej pod kirysem przez żołnierzy, narzucił na ramiona płaszcz i zapiął na biodrach pas z mieczem.

Wyszedł zza świątyni, przeciął schody i wspiał się na mury akropolu. Wiatr od morza szarpnął płaszczem. Ze wschodu nadal dolatywał ostry zapach stosów pogrzebowych Macedończyków; patrząc na tłusty pomarańczowy blask, Rodyjczyk zastanawiał się nad stanem umysłu Aleksandra. Czy udało mu się rozjuszyc młodego króla? Czy powodowany gniewem Macedończyk popełni jakiś śmiertelny błąd? Przeczucie podpowiadało Memnonowi, że nic z tego. Aleksander był synem Filipa do szpiku kości; podejmie działanie dopiero we właściwym momencie - najpewniej zaatakuje za dzień lub dwa. Szkoda, a tak liczyłem na jego niecierpliwość, pomyślał Memnon.

Szedł blankami pod zimnymi, dalekimi gwiazdami. Wyobrażał sobie rozwój ataku Macedończyków, tragedię poczętą z kurzu i gwiazd - upiorną *Iliadę* opiewającą nieśmiertelnych bohaterów. W muzyce koników polnych słyszał trzaski cięciw nieprzyjacielskich łuków i huk machin obłączniczych, zapewniających osłonę zasypującym suchą fosę saperom. W biciu serca słyszał echo taranów tłukących o podstawę murów. Słyszał własny słaby głos nawołujący do spuszczenia deszczu śmierci na głowy oblegających.

Krzyki i wrzaski, brzęk żelaza, trzask kości, wszystko to zmieszane z muzyką peanów na cześć Aresa unosiło się w nocnym powiewie;

Memnon już czuł za ramieniem obecność Pana Wojny, tak znajomą jak brata lub zaufanego towarzysza broni. To wrażenie sprawiło, że dostał gęsiej skórki.

Dotarliśmy do części murów najslabiej chronionych wieżami, gdzie rzeźba terenu

wzbraniała dostępu poblaskowi dalekich ognisk, zatrzymał się. Zastygł. Jakiś nietypowy hałas przerwał mu tok myśli. Tym razem nie był to dźwiękowy fantom utkany z wyobrażeń i mgły, ale bardzo realny stukot metalu o kamień. Po nim rozległo się ostrzegawcze syknięcie. Rodyjczyk opadł do przysiadu. Kilka kroków dalej odziana na ciemno postać z przesadną ostrożnością zbliżała się z dołu schodów. Była owinięta w pasie liną. Za nią szła kolejna.

- Pochyl się, żeby cię warty nie zobaczyły - szepnął męski głos. - Na pewno wiesz, co robisz?

Pierwszy mężczyzna ostro skinął głową.

- Zrób należycie, co do ciebie należy. Razem z resztą macie opanować i otworzyć bramę. Niech Macedończycy nie myślą, że wciągam ich w pułapkę.

Rozwścieczony Memnon zagryzł wargi. Zdradzieckie dranie! Mimo gniewu poczuł ulgę, że to nie jego żołnierze. To byli miejscowi, najpewniej mieszkańcy Halikarnasu. Nieważne, Grecy czy Karyjczycy, to był koniec ich zdradzieckich knoń.

Jednym skokiem wydostał się z cieni osłonięty wirującym płaszczem. Pierwszy zobaczył go mężczyzna owinięty liną. Wytrzeszczył oczy; krzyknąłby ostrzegawczo, gdyby Memnon nie walnął go pięścią w szczękę. Czaszka zdrajcy gruchnęła o zimny kamień muru. Padł jak uderzone wiatrem młode drzewko.

Jego współnik odwrócił się, chwytając za nóż u pasa. Memnon nie dał mu sposobności go użyć. Płynnym ruchem zawiął prawą rękę wokół rękojeści miecza; dobył broń z pochwy i wbił zdrajcy w nos głowicę. Rozległ się chrzęst i trzask. Wiedział, że nie musi nic więcej robić. Uderzony padł, spazmatycznie unosząc ręce do twarzy. Krew z roztrzaskanego nosa chlusnęła spomiędzy palców. Memnon nie oszczędzał rannego. Pchnął go na mur i trzymał pod mieczem.

- Straże! - ryknął. - Zdrajcy przy murze!

Lina opadła luźno na ziemię. W ciemności rozległ się cichnący tupot nóg. Pierwsi żołnierze, którzy przybiegli, poznali ostry jak strzał z bicza głos wodza.

- Byli inni! Przeszukać podstawę murów i najbliższe domy! Znaleźć ich! Tych durniów związać ich własną liną! Już!

Żołnierz przyniósł latarnię. W jej słabym świetle Memnon chodził tam i z powrotem, podczas gdy żołnierze związali jak prosiaki dwóch Karyjczyków. Ten ze złamanym nosem płakał i bełkotał, że jest niewinny.

- Jestem ofiarą przypadku...

- Przypadku...! - napadł na niego Memnon. - Głupoty, nie przypadku!

- Ale, panie! Nie...

Na znak Memnona żołnierz przygwoździł brzuch zdrajcy nogą. Sapnął kurczowo, ucichły protesty i lament.

W tym rozgardiaszu pojawił się Farnabazos. Przybiegł z akropolu z kolejnym zastępem żołnierzy. Pers został wyrwany z głębokiego snu; włosy miał zmierzwione, spodnie pogniecione, szatę niezapiętą. W dłoni ścisnął nagi krzywy miecz.

- Wuju! Co się dzieje?

- Mamy wśród siebie zdrajców! - huknął Memnon. - Obywateli miasta, którzy wolą sprzymierzyć się z naszym wrogiem! Rozstaw swoich żołnierzy i podwój warty przy każdej bramie i wieży! Wyślij patrole wzdłuż zwieńczenia murów i podstawy! Aresztuj każdego cywila, który zbliży się do murów albo bramy, bez wyjątku!

- Co z tymi dwoma?

Memnon spojrzął na pojmany. Pierwszy nadal był nieprzytomny, drugi łykał własną krew, żeby się nie udusić.

- Zabierz ich do portu i niech Autofradates przetrzyma ich w ładowni! Ma ich

przesłuchać. Jeśli powiedzą mu coś przydatnego, może czeka ich jaśniejsza przyszłość niż ich współników, którzy uciekli. Tamtych zabić na miejscu.

- Jak sobie życzysz.

Oddziałek Farnabazosa zabrał pojmanych i ruszył do portu, zostawiając Memnona samego na murze. Wodzowi jednak towarzyszyła znajoma furia Pana Wojny.

Brzask przyniósł znaczące zmiany na ulicach Halikarnasus. Na rozkaz Memnona żołnierze zebrali najstarszych synów prominentnych obywateli miasta, potomków znanych kupców i rzemieślników, mówców i polityków. Od trzydziestolatków po niemowlęta w ramionach matek byli wyciągani z domów, z łóżek, prowadzeni do portu i upychani na statki zmierzające do Kos. Przejęci ojcowie przybyli na akropol, domagając się odpowiedzi.

Memnon wyszedł im na spotkanie na stopnie świątyni Zeusa. Znużony brakiem snu Rodyjczyk nadal prezentował się znakomicie w pełnej zbroi, podczas gdy ciepła, zapowiadająca kolejny okrutnie gorący dzień bryza unosiła mu płaszcz. Nieopodal stał w oficjalnych szatach satrapy Orontobates. Pojawili się przyodziani w błyszczące zbroje Efialtes i Amyntas. Ten imponujący widok jednak nie powstrzymał ojców miasta. Dali upust swojemu wzburzeniu.

- Czemuś to uczynił?

- Gdzie zabrali naszych synów?

- Są wśród was tacy, którym się wydaje, że jest mądrze wtykać nos w moje sprawy - zagał Memnon - którzy myślą, że najlepiej będzie przywitać Aleksandra z otwartymi ramionami... otworzyć przed nim bramy! Skoro wy pchacie się tam, gdzie nie jesteście ani potrzebni, ani chętnie witani, postanowiłem odwdziżyć się za tę uprzejmość! Teraz wasi synowie są moją własnością! - Wśród zebranych zapadła głęboka cisza. Memnon nie użył słowa „gość” ani nawet „zakładnik”. Zamiast tego padło określenie znaczące to samo co „niewolnik”. Oszołomieni wpatrywali się w Rodyjczyka. - Nie spadnie im włos z głowy, ale ich egzystencja będzie całkowicie zależeć od waszego zachowania! Niech jeden człowiek mnie zdradzi... choćby jeden...! a wszyscy wasi synowie za to zapłacą! - Zrobił pauzę, żeby ta zapowiedź dobrze zapadła w umysły zebranym.

- Kiedy... kiedy zostaną nam zwróceni? - spytał Skopas, jeden z rzeźbiarzy Mauzoleum, którego najstarszy syn był również jego głównym pomocnikiem.

- Kiedy się przekonam, że ani wy, ani wasi sąsiedzi nie żywicie już promacedońskich sympatii. A teraz zechciejcie mi wybaczyć. Mam sprawy do załatwienia.

Z głębi rozległ się wysilony głos.

- To haniebne! To...

Jednak protestującemu nie było dane ciągnąć dalej. Współobywatele uciszyli go przekleństwami, kułakami i kopniakami.

Memnon docenił ich postawę.

- Szybko się uczycie. To dobrze wróży przyszłości waszych dzieci. Do widzenia.

Kiedy odeszli przepelnieni lękiem, który zastąpił gniew, Memnon odwrócił się do Orontobatesa.

- Wyznacz ludzi do obserwacji Efezjan. Zgłaszać najmniejsze narzekania.

Satrapa skinął głową.

- Odpoczniesz i coś zjesz, zanim przystąpisz do dalszych zajęć?

- Może później. Mam niecierpiącą zwłoki sprawę z okrętami - odparł Rodyjczyk. - Prześlij wiadomość, gdyby się coś zmieniło.

Opuścił akropol i zakurzonymi ulicami udał się do miasta. Czekająca nań wiosłowa łódź przewiozła go na *Ganimeda*, flagową jednostkę Autofradatesa, cypryjską trierę z kadłubem w stylu fenickim. Marynarze na pokładzie wykonywali poranne obowiązki. Byli to Grecy i

Fenicjanie, trafiło się nawet dwóch chudych jak trzcina Egipcjan. Zostali wybrani z wielu tysięcy marynarzy perskiej floty, gdyż umieli prowadzić jednostki po otwartych morzach. Opuszczono sznurową drabinkę i łódź uderzyła o burtę *Ganimeda*. Memnon wszedł na pokład i przywitał czekającego przy relingu Autofradatesa.

- Puścili farbę? - spytał Memnon.

Pers potrząsnął głową.

- Podali tylko imiona innych spiskowców. Poza tym nic, o czym byśmy już nie wiedzieli. Chyba nic więcej z nich nie wydusimy.

Memnon spochmurniał jeszcze bardziej i kazał się prowadzić do wnętrza okrętu. Przeszli obok mocowań ław najwyższego pokładu i dotarli do żęzy. Za nimi podążało trzech odzianych w skórzane zbroje żołnierzy. Słabe światło przenikało las belek, nadając słonemu powietrzu szarą barwę. Dwaj mężczyźni z rękami związanymi na plecach leżeli na brzuchu w wodzie, która zalegała żęzę. Kiedy opuścili głowy, czwarty żołnierz szturchnął ich ostrzem bosaka.

- Podnieść ich - rozkazał Autofradates. - Na kolana.

Żołnierze unieśli dygocących Karyjczyków. Założyli im pętle na szyje, żeby się nie osunęli na dno. Oprócz pamiątek po spotkaniu z Memnonem mieli opuchlizny i siniaki po torturach.

- A więc to są te psy, które chciały mnie zdradzić - wycodził Memnon. Twardym wzrokiem mierzył każdego z mężczyzn, jakby to były odpadki, które musi zdrapać z sandałów. - Powiedzcie, czemu to Aleksander miałby być łaskawszym władcą niż król królów? Obiecał wam wolność? Autonomię? Czy ogłosił, że uwolni was od daniny? Myślę, że w każdym wypadku odpowiedź brzmi „nie”. Więc czemu? Gadajcie!

- My-myśleliśmy...

Memnon pochylił się błyskawicznie, wierzchem dłoni policzkując niedoszłego zdrajcę.

- Coście myśleli? Co? Mówcie, do cholery!

- Że dostaniemy złoto! - wykrztusił drugi, ten ze złamanym nosem. - Że dostaniemy od Aleksandra złoto!

- Chciwość - powiedział Memnon, rozdymając nozdrza. Pokręcił głową. - Pospolita, marna chciwość. Jakiś polityczny motyw mógłbym przynajmniej uszanować. Nawet zemsta jest dozwolona w oczach bogów. Nie chciwość. - Odwrócił się do Autofradatesa. - Szukali złota. Masz kilka sztuk złota?

Pers wyjął z kiesy dwa darejki wybite w królewskiej mennicy w Persepolis, sercu imperium. Grecy musieliby pracować miesiąc, żeby dostać jedną taką monetę. Autofradates wręczył je Memnonowi, który uniósł je przed oczami pojmanych.

- Piękne, żółte złoto. Otwórz gębę.

Karyjczyk szybko zamrugał. Pot ściekał mu z czoła. Spojrzał na współnika i ujrzał na jego twarzy odbicie własnego lęku.

- Rozdziawić gębę! - huknął Memnon.

Mężczyzna zadygotał. Drżąc, rozchylił usta.

Memnon brutalnie wcisnął w niego monetę.

- Dla hadesowego przewoźnika, sukinsynu!

Na znak Memnona żołnierz stojący za plecami niedoszłego zdrajcy wbił mu w plecy kolano i zacisnął pętlę. Mięśnie nabrzmiały mu na ramionach. Jego ofiara rzucała się, łapiąc związanymi rękami powietrze. Złoto błyszczało między zębami Karyjczyka, gdy na próżno usiłował zaczerpnąć tchu; błagał wzrokiem Memnona, ale twarz Rodyjczyka ani drgnęła. Ostatnie konwulsje człowieka, który był gotów wydać go nieprzyjacielowi, nie robiły na nim wrażenia. Żołnierz po raz ostatni napiął mięśnie i został nagrodzony. Rozległ się trzask

kręgosłupa i chlupot krwi. Trup runął w brudną wodę u stóp Memnona. Ten skinął głową i skupił się na drugim pojmanym.

- Litości! Błagam!

Memnon uniósł rękę; w promieniu światła zabłysła moneta. Nie było litości...

- Wyrzuć obu za burtę - rozkazał Memnon, gdy drugi trup spoczął obok pierwszego. - Niech żołnierze aresztują ich współników. Stracimy ich na agorze. Wytłumaczyłem arystokracji, o co mi chodzi. Teraz niech prosty lud Halikarnasu zrozumie, że nie zniosę zdrady.

- Sam o to zadbam - powiedział Autofradates.

Memnon i Pers zostawili żołnierzy, żeby zajęli się trupami, i wyszli z powrotem na pokład. Bryza łagodziła rosnący żar. Autofradates patrzył na tarasy Halikarnasu, drapiąc krótką brodę i marszcząc czoło. Memnon znał żeglarza na tyle długo, że wyczuł jego niepokój.

- O co chodzi?

- Czy przejrzałeś strategię Aleksandra? Odcina nas od portów na kontynencie... Assos, Efezu, Miletu. Teraz Halikarnas. Jeśli to miasto upadnie, zostaniemy odcięci od całego wybrzeża Morza Egejskiego.

- Wtedy znajdziemy nowe porty, mój przyjacielu.

- Gdzie? Na wyspach?

Z rufy rozległ się plusk, potem drugi; żołnierze półgłosem stawiali zakłady, który trup pierwszy zwabi rekiny.

- W Macedonii - odparł po chwili Memnon. Autofradates milczał, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Memnon zapewnił go: - Nie, uszy nie płatają ci figla.

- Śmiały plan - ocenił Pers. - Jak...

Memnon gestem uniesionej ręki pohamował jego ciekawość.

- Wszystko w swoim czasie. Czy mogę ci coś przekazać, ufając, że nie rozejdziesz się dalej?

- Oczywiście. Na męki Tartaru przysięgam ci, że moje usta nigdy nie powtórzą tego, co mi powiesz.

Memnon skinął głową i wskazał miasto.

- Halikarnas nie padnie. Nie. Zamierzam sprzedać miasto Aleksandrowi. Wyzaczyłem wysoką cenę za te mury i jedyna moneta, którą jestem gotów zaakceptować, to macedońska krew. Kiedy chłopiec spełni moje wymagania, kiedy nie będę mógł już z niego wycisnąć ani kropli krwi, w zamian dam mu Halikarnas. Z własnej woli. Zbyt długo biłem się na warunkach Aleksandra. Czas, żeby on walczył na moich.

- Panie - powiedział głosem niewiele mocniejszym od szeptu Autofradates - wielki król słusznie obdarzył cię zaufaniem.

- Przekonamy się. - Zanim zszedł do łodzi, pochylił się do Persa. - Nie ma nic łatwiejszego, niż ułożyć plan. Dopiero kiedy zaczynasz go realizować, zdajesz sobie sprawę, gdzie popełniłeś błędy. Obawiam się, że ta wojna sprowadzi się do tego, kto będzie miał więcej szczęścia... ja czy Aleksander.

- Modlę się, żebyś ty miał go więcej.

- Ja też się o to modlę, Autofradatesie - wyznał Memnon, schodząc po drabince. - Ja też.

Rozdział dwudziesty trzeci

Tej nocy Halikarnas spał niespokojnie za murami z kamienia i strachu: arystokracja nękana lękiem o los swoich dzieci, prostaczekowie przerażeni losem sześciu powieszonych na agorze. Ich trupy jeszcze kołysały się na szubienicy. Tym dobitnym sposobem szlachetny Memnon zapowiedział, że za wszelką cenę będzie bronił imperium. Lichwiarz w rezydencji, kowal w kuźni, kuternoga w szopie, w tę bezsenną noc wszyscy wyglądali za próg, spozierając

na lśniącej piramidę Mauzoleum i marząc o powrocie cudownych czasów króla Mauzolososa i jego królowej. Obywatele Halikarnasu byli uwięzieni między młotem Macedonii i kowadłem Persji. Uwięzieni i niezdolni się uwolnić...



Równie niespokojne były sny Memnona. Prześladowały go wizje młodego-starego człowieka o srebrno-złotych włosach. Na wspomnienie jego głosu macki bólu przeszywały poblížniony bark Rodyjczyka. „To boginie losu, Mojry, jak je nazywają, decydują o człowieczej egzystencji”. Śniący się miotał, pot skropił mu czoło. „Mojry wyznaczyły długość twojej. Widziałem tkaninę twojego żywota, jego osnowę i wątek; widziałem jego barwy i fakturę”. Rodyjczyk rwał palcami płaszcz, którym się okrył. „I widziałem jego koniec. Nożyce Atropos, Memnonie... nożyce przysuwają się bliżej z upływem lat. Chciałbyś poznać godzinę swojej śmierci? Chodź... pokażę ci”. Nienamacalny dotyk na ramieniu wydarł z gardła Memnona zduszony krzyk:

- Nie!

Rodyjczyk usiadł prosto. Farnabazos cofnął się od pryczy, przestraszony wściekłością w głosie wuja. Oliwna lampka płonęła na stole; w jej słabym świetle Farnabazos dostrzegł wyraźne drżenie rąk Memnona, szybki oddech i przyklejone potem do czoła włosy.

- O co... o co chodzi, Farnabazosie?

- Coś się dzieje, wuju. Chyba Aleksander szykuje się zaatakować rankiem.

Memnon skinął głową. Przeczesał palcami włosy.

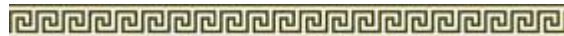
- Świetnie. Spotkamy się na murach.

- Dobrze się czujesz, wujku?

- Jestem zmęczony, Farnabazosie. To wszystko. - Wstając, Memnon zacisnął rękę na ramieniu Persa. - Ruszaj. Będę za chwilę.

Niepokój pobruździł czoło Farnabazosa, ale młody człowiek usłuchał polecenia; po chwili Memnon stał samotnie w małym pokoju. W kącie pokoju wisiała zbroja. Memnon ujrzał na lśniącem brązie zniekształcone młodzieńczo-starcze oblicze. „Chciałbyś poznać godzinę swojej śmierci?”

- Nie - szepnął. - Nie.



Zapinając ostatni rzemyk kirysu, Memnon wszedł na mur akropolu w chwili, gdy słońce rozplómiło horyzont na wschodzie. Jaskółki wirowały na niebie. Ich świergot konkurował z żalonymi głosami mew wiszących nad lasem masztów w porcie. Chociaż szare cienie nadal okrywały doliny wokół Halikarnasu, już roiło się tam od żołnierzy - niewyraźnych postaci obleczonych w brąz i żelazo jak zjawy nieżywych wojowników przed zimnym tronem Hadesa. Rodyjczyk słyszał głosy, brzęk mieczy. Słyszał skrzyp kołowrotów machin oblężniczych Aleksandra, klekot żelaznych beltów i kamiennych pocisków.

- Nadchodzą - powiedział Farnabazos.

Memnon skinął głową, patrząc wzdłuż obwarowań.

- Zarządź pobudkę na wieżach, ale po cichu. Niech Aleksander pierwszy zrobi ruch, nie chcę, żeby reagował na nasz alarm. Zawiadom Tymondasa i Amyntasa, niech przyślą łuczników na mury. Wyślij gońców do Salmakisu i Arkonesosu. Mamy mało czasu, Farnabazosie. Ruszaj!

Memnon nie zamierzał wysyłać heroldów na ziemię niczyją między murami Halikarnasu a linią bojową Aleksandra, nie szukał wyrozumiałości, nie grał na czas, nie oferował dyplomatycznych rozwiązań. Żaden wysłannik z miasta nie miał wyjść za bramy. Znał intencje Aleksandra równie dobrze jak młody król znał jego zamiary. Żaden nie zamierzał obrażać drugiego, wysyłając nie mające do niego uprawnień poselstwa, czężą gadaniną.

Który fragment murów zaatakuje pierwszy? - rozważał Memnon. Oceniał wzrokiem linie obronne, zgadując, gdzie Aleksander wypatrzył słaby punkt. Rzuci się na bramy? Każę przetransportować wielkie kłody i zrobi tymczasowe mosty, na które wprowadzi tarany, by nimi rozbić wyniosłą zaporę bramy Mylasa? Czy też zapełni fragmenty suchej fosy, stwarzając drogę wieżom oblężniczym, jak zrobił w Milecie? Doszedł do wniosku, że świeżo wyrwanym ze snu i zajmującym pozycje na zwieńczeniu murów żołnierzom tak naprawdę nie robi to różnicy. Łucznicy i procarze, włócznicy i oszczepnicy byli gotowi zetrzeć się z Macedończykami wszędzie i o każdej porze.

- Nie czekajcie na moje rozkazy - mówił, chodząc między nimi. - Atakujcie, kiedy tylko dojrzycie wyraźny cel. Nie dajcie im złapać tchu, ale bądźcie rozważni. Pamiętajcie, oni też mają łuczników.

- Co mówią bogowie, panie? - spytał jeden z kardaków, poblądły młodzieniec, który tak mocno ścisnął łuk, że kłykcie mu zbieleły.

- Co mówią bogowie? - powtórzył Memnon, łapiąc go za ramię. - Mówią, że jesteśmy po trzykroć błogosławieni i że dziś będzie dzień rzezi i potopu krwi Macedończyków! Przygotować się!

Jego słowa wzbudziły wiwaty najbliższych żołnierzy. Pewność siebie wodza przechodziła z jednego na drugiego, z pierwszej wieży na kolejne. Żołnierze pozbyli się lęku i obaw. Czekali ze strzałami na cięciwach, kulami w procach, oszczepami w rękach. Memnon dobył miecza.

Słońce dotarło do wierzchołków wzgórz, zalewając światłem dolinę Halikarnasu.

Stało się oczywiste, gdzie pójdzie atak Aleksandra. Tysiące Macedończyków zgromadziło się na odległość strzały z łuku między główną bramą miasta, monumentalną Trój bramą (nazywaną tak z racji trzech obronnych wież) i Rogiem, najbardziej na północ wysuniętym fragmentem grodu. Od Rogu mur skręcał ostro na południe i opadał ku bramie Mylasa i portowej fortecy, Arkonesosowi. Macedończycy nieśli kosze z ziemią - co oznaczało, że Aleksander zamierza podciągnąć wieże oblężnicze - osłaniany przez tarczowników.

Za piechotą Rodyjczyk zobaczył maszyny miotające - kolejny element spadku po Filipie. Kilkanaście *katapeltes* oczekiwało w pobliżu Rogu, każda zdolna wystrzelić sześciostopową strzałę z drewna i żelaza lub kamień wielkości dużego gara. Za nimi stały cztery wieże oblężnicze. Zbudowane z drewna sięgały na wysokość pięćdziesięciu stóp i były okryte twardą skórą. Poruszały się na wzmocnionych kołach. Memnon wcześniej widział podobne monstra. Każde miało trzy poziomy - na najniższym był taran, na kolejnych otwory dla łuczników. Biorąc pod uwagę stan liczebny wojska macedońskiego, Memnon uznał, że Aleksandrowi wystarczą dwa dni na wypełnienie rowu. Następnie doprowadzi do murów wieże. Rodyjczyk postanowił, że będą to kosztowne dwa dni.

Od strony macedońskiej rozległo się zawodzenie salping. W odpowiedzi wystrzeliły *katapeltes*. Zaraz potem rozległa się muzyka wiązek strun, gigantycznych cięciw pracujących na drewnianych ramach. Żołnierze kucali na murach, gdy kilka bełtów z sykiem przeleciało im nad głowami; inne rozbiły się niżej, roztrzaskując o kamień. Wybuchły wiwaty, gdy łucznicy

powstali i ulewą strzał przywitani zbliżających do suchej fosy Macedończyków. Grad żelaznych grotów skosił pierwsze szeregi, roztrzaskując się o tarcze i przeszywając ciała.

I tak zaczęła się bitwa.

Szybko przeszła w pojedynek między łucznikami. Chmury strzał zaciemniły niebo po obu stronach. Celem Macedończyków było oczyszczenie murów i danie czasu towarzyszącej broni na wypełnienie rowu. Strzały i bełty ryły mury. Wystrzelwane przez maszyny miotające kamienie były zbyt miękkie, aby zniszczyć granit obronny Hali-karnasu, ale pod wpływem uderzenia rozlatywały się na odłamki, które przebijały tarcze z brązu i twardego dębu. Ostry trzask, chmura kurzu, spadające ciała i strumyczki krwi wyznaczały każde uderzenie. Koszmarne wrzaski rannych rozrywały bębni w uszach.

Memnon ukierunkowywał wściekłość swoich żołnierzy. Z trzech krzepkich wież Trójbramy i Rogu łucznicy ostrzeliwali środek linii bojowej Macedończyków; procarze mieli trudniejszy obowiązek, wybierali indywidualne cele wśród łuczników wroga. Pracowali w parach, biegnąc po murach i szukając ofiar. Na zmianę jeden był obserwatorem, a drugi strzelał, wystawiając się na ostrzał Macedończyków. Ich ołowiane pociski wiele razy znajdowały cel. Jednak od czasu do czasu płacili za swoją odwagę krwią. Jedna para zaraz po zabiciu wroga dosłownie została rozerwana na strzępy, gdy kamień z katapulty roztrzaskał osłonę strzelniczą. Odłamki tego samego kamienia wydarły oczy kucającemu obok łucznikowi. Poderwał się, łapiąc za koszmarne poranioną twarz, i wszedł w tor lecącej ze świstem strzały. Wielki pocisk przedziurawił go na wylot i strącił do wewnątrz, w rosnącą kupę kamienia, drewna i ludzkich ciał.

Każda śmierć podwajała wysiłki żywych. Memnon wraz z oddziałkiem hoplitów - lepiej zabezpieczonych, gdyż noszących ciężkie pancerze - wystawili się na grad kamieni i żelaza, odcinając rannych w bezpieczne miejsce i uzupełniając puste sajdaki.

- Nie zwalniać naporu! - ryknął Memnon. - Nie dawać im odsapnąć!

Do południa Farnabazos przyniósł wiadomości o podobnych atakach na bramę Mylasa i jej bliźniaczkę po zachodniej stronie miasta, bramę Myndos, chociaż żaden z nich nie był tak zaciekły jak uderzenie na Róg.

- Tamte to manewr mylący - ocenił Memnon. - Chodzi o odciągnięcie naszych z centrum, żebyśmy wzmocnili skrzydła. Aleksander uwielbia ten manewr.

- Wykorzystał go nad Granikiem.

- Z dobrym skutkiem - powiedział Memnon.

Pył z kamieni pokrył mu twarz i włosy, mieszając się z potem i krwią rannych. Oblicze Rodyjczyka przypominało upiorną maskę. Pers podał mu bukłak z wodą. Memnon wypił trochę ciepłego płynu, a resztę wylał na głowę, zmywając nagromadzony brud.

- Musimy tłuc ich dwa razy skuteczniej.

- Co sugerujesz?

- Zawiadom Autofradatesa. Niech przeszuka okręty, port, magazyny, każde miejsce, które wpadnie mu do głowy, i dostarczy mi cały zapas bituminu, który znajdzie w Halikarnasie. Ty zbierz wszystkie dzbany z warsztatów garncarskich.

Farnabazos szeroko się uśmiechnął.

- Materiały zapalające?

- Metoda prostacka, ale skuteczna - powiedział Mentor.

Farnabazos skinął głową i pobiegł z posłaniem. Rodyjczyk wrócił w samo serce bitwy, rozkazując łucznikom kryć się, a nosiwodom dalej przekazywać bukłaki.

Czas mijał. Ciężki i łączyska pękały od zużycia. Zapas strzał malał; podczas gdy gońcy pobiegli po świeże do portu, łucznikom wystarczyło się pochylić i zebrać z murów leżące pociski

- wrogów lub własne, nieważne. Żelazne groty nie znały słowa „lojalność”.

U podstawy murów macedońskie trupy spadały do fosy... Ten odcinek nie był już suchy. Namókł krwią, śluzem i potem z podziurawionych ciał. Memnon dwa razy dostrzegł w największym bitewnym zamieszaniu samego Aleksandra, jak otoczony tarczownikami zachęcał żołnierzy do większego wysiłku. Rodyjczyk podziwiał, choć niechętnie, młodego króla, jak to człowiek, który własnym przykładem zachęca innych, i ma okazję obserwować drugiego przy tym samym zajęciu.

Zanim Farnabazos znów się pokazał, słońce zaczęło powrót na zachód.

- Materiały zapalające gotowe, wuju - zameldował Pers. - Z dwieście dzbanów pełnych bituminu i oliwy do lamp. Miałeś rację. Kiedy nie daliśmy się nabrać, Aleksander rozkazał żołnierzom wycofać się spod bram Mylasa i Myndos. To był atak pozorny, jak przewidziałeś.

- Nasze straty?

- Minimalne - odparł Farnabazos. - Jego też.

Memnon się skrzywił.

- Sprawdźmy, czy nie dałoby się go też odciągnąć od Rogu. Przynieść dzbany z bituminem.

Rodyjczyk był gotów odejść, ale siostrzeniec jeszcze go zatrzymał słowami:

- Mam jeszcze coś wuju. Patron wrócił z Krety i jest z nim gość.

Memnon gwałtownie odwrócił głowę.

- Patron wrócił? Dzięki Posejdonowi! Gdzie jest? Kim jest ten gość?

- To Spartanin, wuju. Nie wiem, jak się nazywa. Ale obaj czekają na ciebie w świątyni Zeusa.

Memnon się zdziwił. Spartanin?

- Przejmij dowództwo. Zaczekaj z materiałami zapalającymi, aż wrócę.



Mimo tumultu oblężenia cała cisza zalegała świątynię Zeusa Polias. Memnon przystanął w otwartych drzwiach i odczekał, aż wzrok mu się przystosuje do półmroku, z przyjemnością witając cienie po przeszywającym żarze bitwy. Z mis z brązu unosiły się w chłodne powietrze słodkie wonie kadzideł. Kanelowane kolumny wypełniały centralną komnatę, *naos*, w której Zeus surowo spoglądał z marmurowego tronu na wiernych. Gromowładny, Pan Brzemiennych Chmur, łagodny na swój sposób, ale nieustępliwy, gdy podrażniony. Memnon pomodlił się bezgłośnie, prosząc Pana Olimpu o zwycięstwo. Niewątpliwie Aleksander błagał o to samo dla swych żołnierzy. Kiedy Grek walczy z Grekiem, kogo bogowie kochają bardziej?

Ze środka dobiegały głosy - jeden znajomy, drugi ostry i chrapliwy. Rodyjczyk przeszedł na lewo, między kolumny, i dostrzegł w głębi świątyni Patrona i jego gościa. Siedzieli przy bocznych drzwiach, otwartych na obiegający budynek perystyl. Chociaż Patron pozostał szczupły jak w okresie, gdy stał za sterem *Kirke*, uległ czasowi, który przydał głębokich zmarszczek jego czołu, siwizny włosom i brodzie. Prosty niebieski chiton dawnego żeglarza, ściśnięty starym skórzanym pasem, ostro kontrastował z elegancją drugiego rozmówcy.

Spartanin przedstawiał imponujący widok - wysoki, dobrze zbudowany, z bujną kasztanową brodą i długą, nieskazitelnie utrzymaną fryzurą. Miał na sobie kirys ze znakomitego brązu, rzeźbiony i wykładany srebrem, oraz nagolenniki z wizerunkami twarzy nimf. Mimo upału nosił szkarłatny płaszcz spartiaty, członka stale malejącej kasty pełnoprawnych obywateli Sparty.

- Mówisz o wyższości - rzekł Patron. - Ale Aleksander jest królem. Czy wedle spartańskich norm król nie jest najznakomitszym ze wszystkich mężów?

- Może znakomitszym od innych Macedończyków, ale nie od Spartan. Czy w towarzystwie lwów mysz król popiskiwałby o swojej znakomitości?

- Tylko gdyby mysz miała środki stawiające ją na równi z orłami - zauważył Memnon. Dwaj mężczyźni odwrócili się.

- Na Zeusa Zbawcę, chłopcze! - wykrzyknął Patron, szczerząc zęby. - Wyglądasz jak człowiek, który wytarzał się w piachu z bandą psów!

Spartanin skinął aprobuszując głową.

Memnon spojrzął na siebie. Warstwa zaschniętej krwi, potu i brudu pokrywała mu członki i pancerz. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Nie wszyscy dostajemy luksusowe zadania, Patronie. Jak tam kurtyzany na Krecie?

- Pozdrawiają cię - odparł Patron. Wskazał Spartanina. - To jest Kalikratydes, wysłannik króla Sparty Agisa.

- Witaj, szlachetny Kalikratydesie.

- Witaj, Rodyjczyku. Patron mówi o tobie w samych superlatywach. Tak dobrze, że poczułem się zobowiązany spotkać z tobą osobiście i przekazać moje wrażenia Agisowi.

- Teraz już wiesz, że Fokejczycy to najwięksi kłamcy, Kalikratydesie, nawet Kreteńczycy im nie dorównują - powiedział Memnon, puszczając oko. - Ale niezależnie od tego na czas twojego pobytu mój dom jest twoim. Jednak zanim wyruszysz do ojczyzny, sporządź list do króla Agisa, w którym najprościej jak się da opiszę swoje stanowisko. Czy mógłbym cię obciążyć obowiązkiem dostarczenia pisma do jego rąk?

- Oczywiście - odparł Kalikratydes.

Przez otwarte drzwi doleciało dalekie echo salping. Memnon natężył słuch, skłaniając głowę na ramię.

- To mi wygląda na sygnał do odwrotu. Czyżby Aleksander miał już na dzisiaj dość?

- Jak idzie walka? - spytał Patron.

- Całkiem nieźle. Mimo wszelkich błędów Aleksander jest wytrwały i potrafi improwizować w trudnych warunkach. Chociaż jesteśmy nieprzyjaciółmi, musimy uszanować jego zdolności przywódcze, inspirowania żołnierzy. Macedończycy już poszliby do Tartaru i napluli Cerberowi w ślepią, żeby sprawić przyjemność swojemu królowi.

- Uszanować go? - warknął Kalikratydes. - Phi! Bogowie nieomylnie rozpoznają mordercę i w końcu czarne Mojry zawsze zniszczą darzonego szczęściem, lecz łamiącego prawo człeka! Filip przynajmniej był godnym przeciwnikiem, który znał swoje miejsce!

- Przemieniasz słowa Ajschylosa, ale przynajmniej jesteś z nimi obznajmiony, zacny Spartaninie - powiedział Memnon, rozpoznając passus z *Orestei*. - To właśnie dlatego, że Aleksander nie zna swego miejsca, może okazać się o wiele bardziej przerażającym przeciwnikiem od Filipa, który mógł tylko zamarzyć o sukcesach syna. Nie ma potrzeby obawiać się człowieka, który zna swoje granice, Kalikratyde-sie. Ja lękam się tego, który ich nie zna.

Spartanin zacisnął usta i z namysłem zwęził oczy.

- Przekażę twoje słowa Agisowi. Nie wątpię, że go zaciekawia.

Wyciągnął dłoń. Memnon ją ujął.

- Czyny mówią głośniejsz niż słowa - rzekł Rodyjczyk. - Mógłbyś mi wyświadczyć przysługę, Patronie? Dzisiejszej nocy... tak mniej więcej koło północy... przyprowadź szlachetnego Kalikratydesa na mury akropolu. Nasza rozmowa zainspirowała mnie do podjęcia pewnego eksperymentu. Chcę się przekonać, czy Aleksander naprawdę nie zna granic.

- Jak tego dokonasz? - spytał Patron.

Memnon uśmiechnął się niewesoło.

- Za pomocą materiałów zapalających.

Gwiazdy błyszcząły w ciemnościach nad Halikarnasem. Ogniska płonące w macedońskim obozie rywalizowały z ich wspaniałością. Wyczerpanie ujęło w swój uścisk obie armie. Jednak nie wszyscy legli znużeni; ruch wart na ziemi odpowiadał krokom straży przemierzających zwieńczenie murów. Muzyka płynęła z portu, z winiarni, w której bawiono się, zapominając o walce.

Dźwięki pojedynkujących się flecistów sięgały nawet do Rogu. Tam, w blasku pochodni, żołnierze Memnona pilnowali prawie wypełnionego fragmentu suchej fosy. Nie mogli pozwolić, żeby Macedończycy zakończyli zadanie, korzystając z ciemności. Żołnierze Aleksandra również nie spuszczały z oka tego odcinka, czujni na każdy sygnał mówiący, że Persowie chcą zniszczyć owoce całego dnia ich pracy.

Memnon kucnął za otworem strzelniczym kilkadziesiąt kroków od Rogu, nieopodal miejsca, w którym dwie noce wcześniej zaskoczył niedoszłych zdrajców. Obok niego kulili się Tymondas i Amyntas. Osłonili głowy, twarze wysmarowali sadzą. Nałożyli lekkie skórzane kirysy. Sadza ukryła błysk broni, kawałki materiału zagłuszały brzęk ostrzy i pasów. Kilkanaście lin skrzypiało, gdy podobnie zakamuflowani żołnierze opuszczali w dwóch miejscach drabiny i plecione koszyki, pełne wypakowanych sianem glinianych dzbanów. Odbierali je żołnierze już stojący na zewnątrz murów. Kolejnych trzystu mężczyzn na zwieńczeniu muru czekało na sygnał Rodyjczyka.

- Wiecie, co macie robić? - spytał Amyntasa Memnon.

Macedończyk skinął głową.

- Ja i moi ludzie sprzątniemy i zastąpimy kilku wartowników w linii posterunków przy machinach miotających. Będziemy osłaniać Tymondasa, kiedy razem ze swoimi chłopakami zrobi użytek z tych dzbanów.

- Tymondasie?

Syn Mentora pochylił się.

- Wchodzimy, rozkładamy bitumen i wracamy. Żadnych wyskoków. Kiedy tylko moi żołnierze zrobią swoje, dają sygnał do podpałki. - Splunął trzykrotnie, żeby odpędzić złe moce.

- Kiedy Aleksander wysła żołnierzy, żeby zgasili pożary - powiedział Memnon - uderzymy, wynurzając się z ciemności. Zabijcie, ilu się da, ale kiedy zorganizują kontratak... a zorganizują... oderwijcie się od nich i biegnijcie do Trójbramy. Będzie tam Farnabazos i da sygnał „Do broni!” Jego łucznicy osłonią wasz odwrót.

Amyntas wyszczerzył zęby. Zalśniły, odbijając się od pomazanej twarzy.

- Nawet się nie połapią, kiedy z nimi skończymy.

- Chęć się, kiedy bezpiecznie przyprowadzisz z powrotem żołnierzy, nie wcześniej - skarcił go Memnon. Wskazał liny. - Ruszajcie.

Amyntas nie tracił czasu. Ześlizgnął się jak urodzony góral. Za nim zjechali Tymondas i Memnon. W ich ślady poszli odziani na czarno wojownicy, kreteńscy łucznicy i oszczepnicy kardakowie, jońscy peltaści i zastęp odstępców, rodaków Amyntasa. Już na ziemi przebiegli skuleni do suchej fosy i szybko zniknęli, schodząc po drabinach. Nawet w kompletnej ciemności rowu każdy żołnierz rozpoznał miejsce zbiórki. Ludzie Tymondasa ustawili się na lewym skrzydle, Memnona na prawym. Oddział Amyntasa zajął centrum. Klekotała broń; padały stłumione przekleństwa, kiedy żołnierze nadziewali się na niewidzialne przeszkody, tłukąc palce u nóg lub golenie, ale Memnon miał nadzieję, że hałasy nie zdradzą ich pozycji, nie zniweczą planu. Stał nieruchomo, nasłuchiwał.

Cisza. Żadnych okrzyków na alarm w zastygłym powietrzu, żadnych rogów ani tętentu

kopyt. Kiwnąwszy głową, Memnon klepnął w ramię Amyntasa. Macedończyk syknął rozkaz; jego podwładni przełożyli drabiny na drugi brzeg fosy i zniknęli w czerni nocy, kierując się ku linii posterunków Aleksandra.

Memnon czekał. Krótkie jak uderzenie serca chwile ciągnęły się w nieskończoność. Nie słysząc nic, cicho gwizdnął na Tymondasa. Stu dwudziestu Jończyków ruszyło w górę drabin. Co drugi mężczyzna przyciskał do ciała dzban z bitumenem - jedną czwartą arsenału środków zapalających.

Memnon dał Jończykom czas na rozproszenie się i dotarcie do celu, po czym wyprowadził z rowu ostatnią grupę, stu sześćdziesięciu Kreteńczyków i kardaków. Rodyjczyk przez miesiąc badał ten fragment terenu, ustalając, jak spożytkować każdy wzgórek i zagłębienie do obrony grodu. Poprowadził swoich prostopadle do murów, do wyschniętego strumienia między dwoma niskimi wzgórzami, gęsto zarosłymi oliwkami i dzikim mirtem. Roślinność ukryła ich przed obserwatorami Aleksandra. Drobne rumowiska i spulchniona ziemia trzeszczały pod sandałami. Każdy dźwięk rozlegał się hukiem w wyczulonych uszach Memnona.

Pół mili od murów biaława blizna koryta strumienia wiła się wokół wzgórza. Memnon przystanął; dał znak żołnierzom, że mają się rozwinąć w luźny szereg. Wyszli na szczyt niskiego wzniesienia. Roślinność zapewniała im osłonę. Pokazały się ogniska Aleksandra. Obrońcy znaleźli się za machinami miotającymi, na jednej linii z wieżami oblężni-czymi. Memnon dał znak stop.

Warty pilnowały machin, ale Rodyjczyk nie potrafił rozpoznać, czy są to jego ludzie, czy Aleksandra. Czy się pomyliłem, ufając Amyntasowi? - spytał się w myślach. Wtedy dostrzegł ruch. Za najbliższymi pięcioma wartownikami niewiarygodnie szybko wyrosły cienie. Rzuciły się na Macedończyków i przygwoździły ich do ziemi. W miejsce każdego powalonego żołnierza zrywał się inny i obejmował wartę, z udawaną nonszalancją wspierając się na oszczepie. Niebawem dwa razy zahuczała sowa. Po chwili znów odezwała się dwa razy - Amyntas dawał znak, że wszystko w porządku.

Memnon usłyszał z prawej strony szelest materiału; Tymondas i jego żołnierze, widoczni jedynie jako ciemne kształty, pomknęli ku wyrwie w linii macedońskich posterunków. Jończycy biegle pochyleni. Czółówka niosła garnki z bitumenem. Syn Mentora mądrze zakazał masowego ataku. Duża liczba ludzi wokół machin miotających z pewnością wzbudziłaby alarm. Tak więc tylko on sam i czterech jego żołnierzy rozlewało palny płyn, po dwóch naraz. Reszta Jończyków czekała w cieniach, odbierając puste garnki i podając pełne. Niebawem Memnon poczuł ostry smród bitumenu.

Zadanie wykonano w połowę godziny. Jończycy zniknęli w ciemności, za nimi Amyntas i jego podmienienci wartownicy. Reszta żołnierzy - podkomendni Tymondasa - użyła łuczywa, które wcześniej trzymał jeden z wartowników, zapaliła płynny lont i również zniknęła.

Memnon patrzył. Strumyczek ognia przebiegł po ziemi, rozszerzał się i zapalał kałuże oliwy. Najpierw dotarł do jednej z katapult; języki ognia polizwały zlane oliwą drewno, ugryzły liny wykonane z poskręcanych ściągien i ludzkich włosów. Ogień z hukiem spotęźniał, pożerając maszynę jak ciało na stosie pogrzebowym. Rozszerzył się na inne urządzenia. Pożar bitumenowej rzeki przesunął się do składu pocisków i do podstawy najbliższej wieży oblężniczej.

Z linii wart rozległ się dźwięk rogu, na moment zagłuszając huk potężniejącego piekła płomieni. W macedońskim obozie wybuchł alarm. Memnon słyszał krzyki i wrzaski wyrwanych ze snu załóg machin. Widząc płomienie pożerające ich ukochane urządzenia, wybiegli nadzy z namiotów. Nieśli płaszcze i bukłaki z wodą. Jeden z dowódców rozpoznał smród płonącej oliwy.

- Ziemią! - ryknął, wskazując wzgórek usypanej ziemi, gdy kolejni żołnierze wytoczyli się z namiotów. - Zarzućcie je ziemią!

- W niego - szepnął na ucho Memnon łucznikowi obok, smagłemu Kreteńczykowi o czarnych brwiach.

Żołnierz kiwnął głową, ucałował łuk i założył groźnie ostrą strzałę. W całym szeregu zatrzeszczały łączyska. Memnon uniósł i opuścił rękę.

Zwolnione cięciwy trzasnęły jak rozdzielane płótno.

Grad śmierci spadł z nocnego nieba. Załogi machin, które jeszcze chwilę temu myślały tylko o uratowaniu swych podopiecznych, teraz walczyły o własne życie, chwytając za strzały, które przebijały im ciała. Krzyki alarmu przeszły we wrzaski agonii. Powaleni na ziemię wili się lub leżeli nieruchomo.

Chociaż Memnon nie mógł śledzić lotu pocisku Kreteńczyka, dostrzegł, jak żelazny grot zagłębia się w karku macedońskiego dowódcy. Zabity runął na wzgórek.

- Ostrzelajcie ich jeszcze raz!

Łucznicy Memnona posłali w zamieszanie drugą i trzecią salwę; kardakowie zaatakowali pozostałych przy życiu wartowników, każdego, kto był na tyle nierozważny, żeby próbować ugasić płomienie. Po prawej ręce Memnona Amyntas i jego ludzie krzyczeli w rodzimym języku do Macedończyków, błagając pomocy. Ci, którzy ruszyli w ich kierunku, zostali wymordowani ulewą jońskich oszczepów.

Wieża oblężnicza stała w ogniu. W jej świetle Memnon dostrzegł klin gwardyjskiej kawalerii zataczający łuk z lewej; tuż za nim nadjeżdżał kolejny oddział. Niewątpliwie inni zbliżali się z drugiej strony, a z nimi łucznicy Aleksandra i zastęp *pezhetairoi*. Nadszedł czas schronić się w bezpieczne miejsce, w osłonę Trójbramy.

- Oderwać się! - krzyknął. - Oderwać się!

Jeden z Kreteńczyków zadął krótko w róg. Odwrót z konieczności musiał być szybki, więc nie mógł być ukradkowy. Porzucając wszelką ostrożność, Kreteńczycy zerwali się na nogi i popędzili w dół wzgórze, do Jończyków. Tymondas grzmiącym głosem zaprowadził porządek w szeregach; obrońcy wracali jako jeden oddział. Prowadzili Macedończycy, Memnon i kardakowie osłaniali tyły. Lśniące mury Halikarnasu były coraz bliżej.

Po chwili wahania kawaleria Aleksandra zdecydowała się na pogoń. Krzyki jeźdźców i dudnienie kopyt zwróciły uwagę innych żołnierzy, którzy wysypywali się z obozu i gasili płomienie.

- Tam! - rozległy się wołania. Zaraz potem spotęźniał łomot końskich kopyt. To jezdni zmienili kierunek pogoni.

- Mierzyć w konie! - wydyszał Memnon. - Już!

Tylna straż przystanęła na dnie zagłębienia terenu. Odwróciła się i posłała wykończone żelazem jesionowe pociski. Cel miała niedaleki, mierzyła w rysujące się na tle ognia, nacierające z góry sylwetki. Konie rżały przeraźliwie, ludzie wrzeszczeli, waląc się przez głowę na ziemię, gdy oszczepy trafiły w cel. Przebierające w powietrzu kopyta zahaczały o nogi innych koni. Powstała wijącą się, żywa zapora ciał. Memnon nie zwlekał, nie patrzył na powstały zamęt. Wraz z kardakami pobiegł dalej, zanim reszta kawalerii zdążyła ich okrążyć.

Ćwierć mili dalej lśniły światła na murach miasta. Pochodnie i żelazne misy z płonąca oliwą przyzywały wracających żołnierzy. Zagrzmiały trąby.

Jeszcze dwieście kroków i łucznicy Farnabazosa zapewnią osłonę. Utrzymają na dystans Macedończyków i wycieczka zniknie za Trójbramą. Mniej niż dwieście kroków. Memnon otarł pot z czoła...

Załomotały kopyta. Niewidzialny do ostatniej chwili oddział kawalerii gwardii wbił się w prawe skrzydło tylnej straży, rozbijając ją na dwie grupy. Trzasnęły kości, gdy konie tratowały kardaków; biegnący dwa kroki przed Memnonem żołnierz wrzasnął, gdy włócznia przeszła

skórzaną zbroję. Smród krwi i jelit wypełnił pełne kurzu powietrze. Krzyk triumfu Macedończyka przeszedł w rżenie umierającego. Ro-dyjczyk wbił mu oszczep w szyję i strącił go z konia. Memnon stracił przy tym równowagę i przewrócił się na umierającego Macedończyka. Przetoczył się, uciekając przed kopytami następnego jeźdźca. Ten, klnąc, zadał cios ostrą stopką włóczni. Uderzenie trafiło głęboko w biodro. Rodyjczyk zacisnął kurczowo zęby, gdy metal zazgrzytał o kość.

- Draniu! - ryknął.

Porwał leżący na ziemi oszczep i przejechał nim po brzuchu konia. Rżące zwierzę stanęło dęba; jeździec stracił panowanie nad rumakiem i upadł plecami na ziemię.

Memnon dopadł go, zanim tamten zdołał się otrząsnąć. Wbił żelazne ostrze w kirys z brązu. Metal zazgrzytał, gdy Rodyjczyk naparł całym ciężarem ciała. Przebił pancerz, ciało i zębra. Macedończyk zadrgał konwulsyjnie. Krew rzuciła mu się z ust. Memnon, dysząc, zatoczył się w tył.

Gwardziści oderwali się od tylnej straży, zatoczyli koło i gotowali się do następnej szarży. Jednak zanim konie znalazły swój rytm, Memnon usłyszał muzykę kreteńskich łuków. Z ciemności runęły dziesiątki strzał, przeszywając pancerze i ciała. Rodyjczyk wykorzystał sposobność, którą nastroczyli łucznicy.

- Zabrać rannych! - wrzasnął. - Do bramy!

Pobiegł, kulejąc, biodro i noga dygotały mu z bólu. Krew spływała mu po udzie. „Chciałbyś poznać godzinę swojej śmierci?” Usłyszał ten głos i zagryzł wargi, czując ból, jakby rozżarzone do białości żelazo wwiercające mu się w ranę.

- Nie!

Zatoczył się, opadł na kolano. Złota mgła zafalowała na obrzeżu jego pola widzenia.

- Nie!

Nagle pojawił się Tymondas. Złapał Memnona za ramię i dźwignął go w górę.

- Szybko, wuju! - krzyknął. - Jesteśmy prawie przy bramie!

Rodyjczyk poczuł napływ sił, gdy głos w jego głowie się rozpląnął. Nie, jeszcze nie, odpowiedział mu w myślach.

Ostatnie sto kroków zapamiętał jako rozmyty obraz; niebawem zamajaczyła nad nimi Trójbrama. Trzy gigantyczne wieże unosiły się sześćdziesiąt stóp nad ich głowami, o dwadzieścia stóp przerastając otaczające je mury; blanki jeżyły się od perskich łuczników. Pracujące ciężki brzęczały w zadymionym powietrzu, gdy nawała za nawałą żelaznych grotów spadała na goniących Macedończyków.

Chociaż Trójbrama miała podwójne wierzeje z brązu i dębu, prowadził przez nią tylko jeden drewniany zwodzony most, spuszcany ze środkowej wieży. Memnon uśmiechnął się szeroko, słysząc upragniony grzechot łańcuchów. Równocześnie doleciały go ostrzegawcze krzyki z góry. Obejrzał się przez ramię. Oddział macedońskiej piechoty, *pezhetairoi*, wyłonił się z rdzawego mroku, osłaniany tarczami. Zbliżał się do bramy, nie bacząc na chmurę strzał.

Memnon parsknął i odrzucił Tymondasa.

- Łucznicy! - huknął.

Kreteńczycy, usłyszawszy go, odwrócili się na pięcie. Kardakowie i Jończycy zrobili to samo. Teraz przed sobą mieli Macedończyków, za sobą - rozwartą bramę Halikarnasu.

- Zabić drani!

Macedończycy okazali się bezsilni wobec jednoczesnego ostrzału z murów i z ziemi. Używali mniejszych tarcz niż tradycyjne *aspides* Greków z południa. Kiedy zakrywali korpusy, odsłaniali nogi i na odwrót.

Byli jak czekający na sierp jęczmień.

Uderzające z bliska strzały Kreteńczyków zanurzały się po czarne lotki w torsach, brzuchach i gardłach nieprzyjaciół, wydając dźwięki jak pracujące w zwierzęcym mięsie rzeźnicze topory. Żołnierze miotali się na ziemi; krew bluzgała z podziurawionych organów. Pierwsza linia Macedończyków rozpadła się, niebawem również druga. Memnon patrzył, gdy trzecia pogodziła się ze śmiercią i parła przed siebie. To byli urodzeni żołnierze, którzy szli do bitwy z obolem pod językiem, gotowi zapłacić za przewóz do królestwa Hadesa. Ginęli pięknie, ale ginęli.

Kreteńczycy opróżnili sajdaki, zanim Memnon wydał rozkaz do kontynuowania odwrotu. Kiedy zbliżyli się do Trój bramy, Efiartes poprowadził przez most oddział hoplitów i stworzył ochronną falangę, strzegącą ostatniego odcinka. Płomienie odbijały się na ostrzach włóczy, tarczach i zwieńczeniach hełmów z brązu. Efiartes grzmiącym głosem wydał rozkaz i formacja rozdzieliła się, przepuszczając żołnierzy z wycieczki, po czym zrobiła w tył zwrot i poszła za nimi do miasta.

Memnon z pomocą Tymondasa przekuśtykał przez bramę i wyszedł na zatłoczoną ulicę. Załoga wiwatowała, przepychając się i poklepując po plecach wyczerpanych i zakrwawionych uczestników wycieczki. Rannych z pośpiechem zaniesiono do polowego szpitala u stóp akropolu. Zabitych z ciężą uniesiono i odstawiono do domów, gdzie mieli być umyć i przygotowani do złożenia na stosach.

- Ilu straciliśmy?

Tymondas bezradnie wzruszył ramionami.

- Dowiem się, kiedy tylko odprowadzę cię do chirurgów.

- Prawie mnie dopadli - szepnął Memnon.

Rozeszła się wiadomość o zranieniu wodza; przejęci szeregowi wznosili w jego intencji okrzyki do bogów, podczas gdy dowódcy przeciskali się przez tłum, oferując pomoc. Tymondas nie odstępował go jak troskliwa niańka. Pojawił się Farnabazos, zaraz potem przybyli Amyntas i Efiartes. Patron i Kalikratydes oczyścili przejście.

- Dowiedziałeś się czegoś, Memnonie? - zapytał Spartanin.

- Że wojsko Aleksandra nie jest niezwyciężone - odparł, ciężko łapiąc oddech.

Odkaszlnął, spluwając kurzem i krwią. - Powiedz swojemu królowi, Kalikratydesie... powiedz Agisowi, że jeśli chce się ze mną sprzymierzyć przeciwko Aleksandrowi, jeśli też chce rzucić na kolana Macedonię, niech na wiosnę spotka się ze mną w Eubei!

Żołnierze, którzy to usłyszeli, wiwatowali. Ich głosy rozniosły się dalej. Wydawało się, że nawet kamienie Halikarnasu wibrują na cześć Memnona.

- Powiem mu - rzekł mimo wrzawy Kalikratydes.

Memnon skłonił się nieznacznie i dał znak Tymondasowi, by ruszył dalej.

Spartanin szepnął do siebie:

- I pomodłę się, chociaż może na próżno, aby czarne Mojry nie skierowały na ciebie swego spojrzenia, Memnonie z Rodos.

Rozdział dwudziesty czwarty

Światło poranka przebijało dym unoszący się ze spalonych machin oblężniczych. Płomienie zniszczyły jedną wieżę i poważnie nadwerżyły drugą, zanim udało się opanować ogień. Poczerniałe katapulty milczały, ich załogi były martwe lub zbyt wyczerpane od ran i trudów, aby zająć się naprawami. Macedończycy raz za razem podchodzili zabrać leżące bliżej murów trupy *pezhetairoi*, lecz zawsze kończyło się na tym, że byli odpierani przez łuczników.

- Niech zgniją - warczeli perscy łucznicy, z mściwym ferworem szyjąc z luków.

Memnon spodziewał się odpowiedzi Aleksandra, powtórnego ataku na Róg, furii jego żołnierzy spowodowanej kolejnymi niepowodzeniami. Spodziewał się podwojenia wysiłku, podwojenia rozlewu krwi. Ale nie spodziewał się, że Aleksander wyśle herolda.

Farnabazos zabrał Memnona z namiotu chirurga, nie słuchając obdarzonego haczykowanym nosem, brodatego męża z Chios, który obłożył biodro rannego kompresami maczany w ziołowych wywarach, przewiązał je bandażami i głośno nakazywał położenie się do łóżka. Memnon zamknął mu usta podziękowaniami, po czym o własnych siłach wykuśtykał z namiotu. Błady, zaciskając wargi w cienką linię i gryząc je, by nie stęknąć z bólu, powlókł się w górę murów. Farnabazos nie prezentował się lepiej. Był kompletnie niewyspany, wyostrome rysy i szklisty wzrok zdradzały wyczerpanie. Tylko siła woli i świadomość zagrożenia zmuszały obu mężczyzn do działania.

- Czy o coś prosił? - zapytał Memnon.

Farnabazos potrząsnął głową.

- Tylko stoi poza zasięgiem strzał i wywołuje cię po imieniu. Zabroniłem do niego strzelać, dopóki się nie dowiemy, o co chodzi. Efialtes mówi, że należy nagrodzić tego łucznika, który trafi go pierwszy.

- Efialtes to dureń - stwierdził Memnon.

- Co do tego nie będę się z tobą kłócił.

Kiedy Memnon pokazał się na murach, wzbudził entuzjazm żołnierzy, którzy zaraz nabrali animuszu, mimo że wyraźnie kulał. Przy Rogu dołączył do swoich dowódców. Amyntas i Efialtes rozmawiali półgłosem, śmiejąc się z dowcipu, którego nie raczyli przedstawić Orontobatesowi. Satrapa stał osobno, nachmurzony. Ten wyraz twarzy nie opuszczał go od jakiegoś czasu.

- Co się dzieje? - warknął Memnon.

- Nie wyjaśnił, o co mu chodzi - rzekł Orontobates, wskazując herolda. - Chce rozmawiać tylko z tobą.

Memnon minął podkomendnych i stanął samotnie.

Herold, starszy Macedończyk w prostym chitonie, z flagą wysłannika, stał po drugiej stronie zwału trupów *pezhetairoi*. Wykrzykiwał ze srogą miną:

- Memnonie z Rodos, synu Timokratesa! Wzywam cię!

- Mów, to ja! - krzyknął Memnon.

- Mój pan, Aleksander, syn Filipa, król Macedonii i naczelny wódz Greków, jest gotów z tobą rozmawiać. Masz zaszczyt wybrać miejsce i porę. Mówi tylko, żebyś przybył sam i bez broni, podobnie jak on.

- To śmierdzi pułapką - mruknął Efialtes.

Memnon zignorował Ateńczyka. Rozważał ofertę Aleksandra.

- Co powiesz, panie? - krzyknął herold.

- Pozdrów ode mnie swojego króla. Powiedz Aleksandrowi, że za godzinę spotkam się z nim na szczycie tego wzgórza.

Wskazał na wzniesienie, obok którego jego żołnierze przeszli tej nocy. Na szczycie rosła stara oliwka. Posłaniec odwrócił się, spojrzął na wskazane miejsce, po czym skinął głową.

- Niech tak będzie. Tamto zwieńczenie za godzinę.

Zrobił w tył zwrot i powrócił do macedońskiego obozu.

Farnabazos podszedł do Memnona.

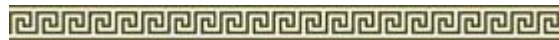
- Jak myślisz, czego chce Aleksander?

- Niebawem się dowiemy.

Mówiąc to, Rodyjczyk wzruszył ramionami. Pot zrosił mu czoło. Przystąpił z nogi na nogę i pochylił się w bok, odciążając ranne biodro.

- To szaleństwo, wuju! - syknął Farnabazos, zniżając głos, aby inni go nie usłyszeli. - Teraz nie dosiędziesz konia, a nie ma mowy, żebyś tam zaszedł bez pomocy!

- Więc co? - spytał Memnon. - Ściągniemy tego herolda i spytamy Aleksandra, czy spotka się ze mną gdzie indziej? Może chciałby usiąść pod murem i posłużyć za tarczę naszym łucznikom? On nie jest głupcem, Farnabazosie, i ja też nie. Tak więc wyświadczyć mi przysługę, siostrzeńcze, zachowaj swoje opinie dla siebie i znajdź mi rydwan!



Memnon wchłaniał gorące, pełne kurzu powietrze, podnoszone przez kasztanowego wałacha, kiedy rydwan, wiekowy pojazd ze szcnotkowanego brązu i nadgryzionego przez korniki drzewa, grzechotał na nierównym gruncie. Rodyjczyk widział już ogiera Aleksandra szczypiącego rzadką trawę u podstawy wzgórza. Na szczycie, pod konarami oliwki, błyszczała zbroja młodzieńca.

Rodyjczyk zatrzymał rydwan i niezdarnie zszedł na ziemię. Czuł, jak rozgrzane, spuchnięte biodro napiera na skórzaną spódniczkę. Przywiązał wałacha do krzewu mirtu. Kulejąc, wszedł na szczyt. Był nieuzbrojony, nie miał nawet noża u pasa, jednak dźwigał pełny strój bojowy: wykładany srebrem kirys, nabijaną ćwiekami z brązu spódniczkę, nagolenniki i sandały z twardej skóry. Hełm zdjął i niósł na przedramieniu. W razie potrzeby w jednej chwili mógłby go użyć jak pałki, jednak nie spodziewał się podstępu ze strony Aleksandra. Takie zachowanie stało w sprzeczności z charakterem młodego króla.

Dotarł na górę i poczuł na sobie moc nieustępliwego spojrzenia Macedończyka. Król nie spuszczał z niego wzroku. Zrewanżował mu się spojrzeniem. Ocenił wroga, którego nie oglądał od czasów spotkania w Miedzy. Urósł, chociaż niewiele. Był o głowę niższy od Rodyjczyka, ale muskularna budowa wyrównywała niezbyt imponujący wzrost. Nosił się gładko ogolony i miał gęste, spływające do ramion włosy barwy ciemnego złota. Jego rysy były delikatniejsze niż rysy Filipa, skóra spalona wiatrem i słońcem. W jego oczach Memnon rozpoznał tajemniczego dajmoniona, przed którym często ostrzegał Farnabazosa, duch prawdziwego przywódcy.

- Jesteś ranny - nagle rzekł Aleksander.

Zmarszczki przecięły jego wysokie czoło. Zrobił szybkie dwa kroki do boku Memnona i podał mu ramię, na którym tamten się wsparł. Król nosił lniany pancerz zdobiony złotymi ornamentami i wzmocniony płytkami żelaza. Wizerunek szczerzącego kły lwa chronił tors.

- To nic - odparł Memnon. - Tylko draśnięcie.

- Gdybyś potrzebował medyka, mogę wezwać mojego. To zacny człek z Akarnanii,

imieniem Filip.

Aleksander podprowadził go w cień oliwki. Memnon wsparł się o poskręcany pień.

- Mówiłem, to tylko draśnięcie.

Memnon zmruczył oczy, patrząc na Aleksandra. Pod strojem żołnierza nadal widział ciekawskiego chłopca i to wrażenie było dziwnie miłe.

- Dobrze się prezentujesz, Aleksandrze. Wygląda na to, że królewska korona ci służy.

- Służy mi nie jej blask, ale odpowiedzialność, która z nią przychodzi - odparł

Aleksander. Zrewanżował się Memnonowi równie szczerym osądem. - Ty też masz się czym pochwalić. Przeważnie wodzowie, którzy ponoszą tak ciężkie klęski jaka ta, która spotkała cię nad Granikiem, są odsuwani od dowodzenia. Ty dostałeś awans. Dariusz musi pokładać wielkie nadzieje w twoich umiejętnościach.

Memnon się uśmiechnął, chociaż jego oczy nie zmieniły wyrazu. Pozostały zmruczone i zimne.

- Granik to nie była moja bitwa; ta klęska obciąża wyłącznie satrapów. Mężów, których zabiłeś ku wygodzie wielkiego króla. Uwolniłeś go od ciężaru stracenia ich, ciężaru, który zapewne przerzuciłby na mnie. Jednak nie jestem ci za to wdzięczny. Straciłem zbyt wielu dobrych żołnierzy. Przyjaciół i krewnych.

Aleksander spochmurniał.

- Czy to prawda, że syna Artabazosa zginął tego dnia?

- Prawda - potwierdził Memnon, wzdychając. - Hydranes. Pewnie go nie pamiętasz.

Kiedy przebywaliśmy na dworze twojego ojca, ten syn Artabazosa ledwo uczył się chodzić. - Głos Rodyjczyka stwardniał. - Jeden z twoich Agrian go zabił.

Młody król skinął głową.

- Kofen często mówił o swoich braciach, co mnie intrygowało. Mam tylko jednego, przyrodniego brata, Arridajosa. To nie jego wina, ale jest półgłówkiem. Według mojej matki coś poszło nie tak podczas jego przyjścia na świat. Współczuję utraty siostrzeńca, Memnonie, a Artabazosowi syna. Dobrze wiesz, że wojna to surowa pani. Czy Kofen jest z tobą w Halikarnasie?

Mimo że kondolencje Aleksandra były szczerze, nie wzbudziły w Memnonie oddźwięku, który przekształciłby się w sympatię wobec młodego króla. Rodyjczyk pozostał obojętny na jego urok.

- Nie - rzekł. - Odesłałem go do ojca. Był rozdarty między przyjaźnią wobec ciebie i lojalnością wobec króla królów i nie wiedziałby, co czynić. Nie chciałem narażać go na żadną pokusę.

- Szkoda. Chętnie znów bym się z nim spotkał.

Cierpliwość Memnona wyczerpała się.

- Czy zależało ci na tym spotkaniu, bo po prostu chciałeś sobie powspominać, Aleksandrze, czy też chcesz wykorzystać skromny szczątek naszej wspólnej przeszłości, aby spróbować przekonać mnie do zmiany obozu?

- Parmenion zapewnił mnie, że wszelkie takie usiłowania byłyby daremne - powiedział młody król. Chłód wkradł się w jego słowa. - Podjąłeś decyzję i szanuję twoje poczucie lojalności bez względu na to, jak mylnie jest skierowane. Nie, Rodyjczyku, jestem tu, ponieważ chciałbym osobiście prosić cię o przysługę: pozwól moim żołnierzom wynieść z przedpoła miasta zabitych braci i kuzynów. W zamian dostarczę do bram zabitych, których zostawiłeś na polu ostatniej nocy.

- Prosisz o zawieszenie broni?

- Nie przeceniaj tej propozycji, Memnonie. - W oczach Aleksandra pojawił się błysk. -

Jeśli chcesz, nazywaj to zawieszeniem broni, ale zrozum, że to tylko przerwa w walce, przyjacielska wymiana.

Memnon wyprostował się, ignorując rozdzierający ból w biodrze.

- Przychylę się do twojej prośby, bo chodzi o prawy czyn, nie ze względu na wymaginowane więzy, które miałyby nas łączyć. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, Aleksandrze. Jesteś synem człowieka, który zaproponował mojej rodzinie schronienie, nic więcej. Czy dzisiejszy dzień wystarczy ci na zniesienie zmarłych z pola i urządzenie im pogrzebu?

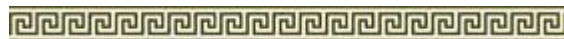
- Cały dzień to aż za dużo.

Aleksander rozdał wąskie nozdrza. Memnon wyczuł, że jego królewskiego rozmówcę przeszły fala gniewu. Młody król nie przywykł, aby odrzucano jego ofertę przyjaźni. To bardziej ubodło jego dumę niż strata machin oblężniczych. Chociaż wyraz jego twarzy pozostał niewzruszony, w środku Memnon poczuł złośliwą uciechę.

- A więc niech tak będzie. Żegnaj, królu Macedonii. - Memnon skłonił głowę.

- Żegnaj, Rodyjczyku - powiedział Aleksander. Gniew przywołał rumieniec na jego policzki. - Kiedy moi żołnierze obalą mury Halikarnasu... a obalą je...! potraktuję cię nie inaczej niż każdego mojego wroga. Zrozumiano?

- Jeśli obalą, jeśli - poprawił go Memnon, szykując się do odejścia. - Nie spodziewam się niczego innego.



Pod czujnym wzrokiem łuczników Memnona Macedończycy zebrali trupy zabitych *pezhetairoi*; następnie przywieźli zabitych Persów do Trójbramy i zostawili ich tam, w sumie dwadzieścia dwa ciała. Memnon rozkazał otworzyć bramę i wciągnąć wóz do środka - jednak dopiero, gdy żołnierze dokładnie go przeszukali, upewniając się, że na wozie są tylko trupy, a nie również ukryci żołnierze nieprzyjaciela. Być może Aleksander nie miał w swoim arsenale tego rodzaju wybiegów, ale Parmenion z pewnością od nich nie stronił. Rodyjczyk nie był Priamem dającym się złapać na lep sztuczek chytrego Odysa.

Chociaż zawieszenie broni trwało, przygotowania do walk nie ustawały. Pod murami załogi machin miotających usuwały zwęglone korpusy urządzeń, naprawiały zniszczone katapulty i uzupełniały zapasy pocisków. Wewnątrz robotnicy rozbierali domy w miejscu wybranym przez macedońskiego króla na przełamanie wałów i wykorzystywali gruz do wzmocnienia murów. Żołnierze zajmowali się bronią, wymieniali cięciwy i ostrzyli żelźca, odlewali świeże ołowiane kule i wymieniali zniszczony brąz tarcz. Zapadła noc i po obu stronach muru zapłonęły stosy pogrzebowe.

- Przygotujcie się - zlecił Farnabazosowi Memnon.

Siostrzeniec przyniósł mu talerz z pieczonym ptactwem, chleb, ser i do popicia dzban mocnego wina z Tesalii. Czekał, aż chirurg zmieni opatrunek na biodrze wuja. Memnon spoczywał na miękkim kobiercu.

- Jutro zacznie się bitwa na poważnie.

- Cięższa niż to, czego zakosztowaliśmy, wuju? - spytał Pers. - Trudno mi w to uwierzyć.

Memnon powąchał wino i zamknął oczy.

- To będzie najstraszliwsza bitwa, jakiej zakosztowałeś - odparł.

Przepowiednia Rodyjczyka się sprawdziła. O świcie gniew Aleksandra uderzył o mury

Halikarnasu; jego furia i frustracja przelały się w żołnierzy i walczyli jak zwierzęta, chcąc udowodnić młodemu królowi swoją wartość. Doprowadzono bliżej katapulty, w zasięg perskich pocisków, skąd mogły obrzucać cięższymi kamieniami mury, kamieniami, które miażdżyły blanki i żołnierzy za nimi. Strzały znaczyły niebo, przelatując w obu kierunkach, raniąc i zabijając tyle samo żołnierzy. Wrzaski i przekleństwa unosiły się w zmętniałym od kurzu powietrzu.

Na ziemi żołnierze z niebywałą szybkością wypełniali fosę, wzmacniając górną warstwę rozłupanymi kłodami, ściągniętymi ze wzgórz. Saperzy, których specjalnością było niszczenie fundamentów murów obronnych, już mogli pod osłoną wielkich tarcz pokonać rów i zacząć pracę. Oskardy i młoty zadudniły o potężne ławy. W odpowiedzi Memnon rozkazał zapalić materiały palne i ciskano je ze zwieńczenia murów. Gliniane gary rozlatywały się, lejąc na głowy saperów płonący bitumen. Ich rozpaczliwe wrzaski zastąpiły monotony stukot narzędzi.

O zmierzchu, kiedy salpingi ogłosiły koniec walk tego dnia, mury przy Rogu przypominały jatki - trupy zmiażdżone lub rozdarte, pokryte krwią, nagie kości prześwitujące przez rozłupane pancerze i ciała. Farnabazos, którego twarz zniknęła pod upiorną maską kurzu i krwi, chwiał się na nogach i upadłby, gdyby Memnon go nie podtrzymał.

- Miłosierni bogowie - szepnął chrapliwie Pers. Mało nie stracił głosu, kiedy przekrzykując hałas, wydawał rozkazy. - Czemu... czemu dzisiaj było tak zupełnie inaczej niż pierwszego dnia?

- Bo ich nastawienie się zmieniło - odparł Rodyjczyk. Z pomocą Farnabazosa, kulejąc, przeszedł do osmolonej kupy kamieni. - Podczas pierwszego natarcia Aleksander oceniał, jakie są granice naszych możliwości. Jak głęboko będzie musiał nacisnąć, żebyśmy stawili opór. Teraz się nie zastanawia, jak głęboko naciskać. Teraz liczy się tylko mur... zburzenie go, jeśli jesteś Macedończykiem, obronienie, jeśli jesteś Persem. Przywykłeś do starć w polu, zderzeń piechoty i kawalerii, podczas których następuje spiętrzenie i przepływ, ruch i przeciwruch, szarża i odwrót. Oblężenie to zupełnie inna sprawa. Mur jest nieruchomy, dopóki nie padnie, a my z nim. - Wskazał na szerokie na piętnaście stóp obwarowania, za którymi cienie zmierzchu litościwie okryły zabitych. - Trwamy na pozycjach. Nie ma szarży, nie ma odwrotu. Jesteśmy wystawieni na furię ich pocisków i albo przeżyjemy, albo umrzemy, los zdecyduje. Ale się nie ruszamy. Gdybyśmy to uczynili, Aleksander zyskałby przyczółek, zanim bylibyśmy gotowi.

- Na wszystkich bogów - rzekł Farnabazos. W zapadającym zmroku jego twarz stała się jeszcze bardziej ponura. - Kiedy będziemy gotowi?

Lecz Memnon mu nie odpowiedział.

Oblężenie trwało z całą mocą. Krwawy dzień po krwawym dniu Aleksander nadkruszał obronę miasta. Jego żołnierze zakończyli drogę przez suchą fosę, stwarzając na tyle szerokie przejście, by mogli jednocześnie podsunąć pod mur dwie nietknięte wieże oblężnicze. Trzecia stała kilkaset kroków dalej. Drewniani tytani najeżeni łucznikami. Chmury pocisków strącały Persów z murów Rogu. Chronione potężnymi budowlami dwa tarany - zakończone żelazem i wiszące na łańcuchach kłody - w nieprzerwanym rytmie tłukły o mury, poruszane wyłącznie ludzkimi mięśniami.

Memnon patrolował mury. Jego rozżarzony do białości gniew był silniejszy niż ból. Żołnierze karmili się wściekłością wodza. Jego gniew podsyczał ich, prowadząc do czynów niebywale odwagi. Porzucając wszelką osłonę, ciskali przez otwory strzelnicze w wieżach oblężniczych materiały palne, mimo że padali od pocisków nieprzyjaciela. Perscy łucznicy szyli strzałami owiniętymi płonącym szpagatem. Płomienie wybuchały ze środka wieży, szkodząc bardziej Macedończykom niż jeszcze świeżemu drewnu, z którego zbudowano wieżę. Wiwaty obrońców zagłuszyły wrzaski atakujących.

Tego samego dnia chroniony przez tarczowników oddział z okrętów ruszył przeciwko wieżom oblężniczym. Ciskali hakami na linach, zaczepiając je o szczyt wieży. Kiedy napięły się liny i żelazne haki wgryzły w drewno, belki wieży zaczęły trzeszczeć i pękać. Jednak wieża nie runęła. Uzbrojony w topór Macedończyk odciął liny. Niedługo cieszył się swoim triumfem. Dopadły go perskie strzały i runął na ziemię.

Tarany nadal biły w mur i nie przestały, dopóki salpingi nie wezwały do odwrotu. Zasypywani strzałami i oszczepami żołnierze Aleksandra odciągnęli od Halikarnasu maszyny. Na noc znalazły się w obozie.

Tego wieczoru Memnon wykorzystał przerwę w walkach na naradę dowódców. Spotkali się na akropolu, na tarasie z widokiem na niedokończone Mauzoleum. Podcienia z rzeźbionych i malowanych cedrów chroniły przed zachodzącym słońcem. Każdy mężczyzna dotarł na naradę prosto z murów. Nadal oblepieni brudem bitwy pozbyli się pancerzy na brzegu tarasu. Słudzy podali im misy z chłodną wodą i pachnące ręczniki, świeże chitony i głębokie puchary wina z korzeniami, po czym zaprowadzili do kręgu kobierców.

Nie tylko Memnon był ranny pośród zebranych. Amyntas nosił opatrunek na czole i jedynym oku. Jęknął, siadając. Orontobates również. Satrapa utracił palec i wykręcił sobie stopę, uskakując z drogi pociskowi z katapulty. Farnabazos miał poobijane żebra. Kawalki kamienia podziobały mu kirys. Nawet zwykle cieszący się witalnością Heraklesa Efiates pił wino w milczeniu, doszczętnie wyczerpany. Jedyne Autofradates nie miał nawet zadrapania. Jego stanowisko w porcie było najdalsze od miejsca walk. Tymondas i Patron przybyli ostatni, okryci potem i kurzem. Patron kulał. Strzała trafiła go w biodro. Tymondas nadal krwawił z szerokiej rany na ramieniu. Gdyby strzała, która go musnęła, przeszła pół dłoni bliżej, zginąłby na miejscu. Usiadł i przyciskał do rany opatrunek.

- A więc? - spytał Memnon.

Pozostali podnieśli wzrok. Patron potrząsnął głową.

- Jeszcze dzień, może dwa i mur runie.

- Da się go wzmocnić?

- Może, ale po co? - spytał Patron. - Kiedy jeden odcinek zostanie nadwątlony, możemy go podsypać całym gruzem Halikarnasu, a tarany i tak sobie z tym poradzą.

- Musimy spalić te cholerne wieże - mruknął Efiates.

- Jak? - spytał Farnabazos. - Aleksander ma się na baczości przed kolejną wycieczką.

- Uderzymy za dnia - zaproponował Ateńczyk.

Amyntas zakaszłał i splunął.

- Na cycki Hery, człowieku! Nie dorównujemy im liczebnie! Wyjdźmy za mury w środku dnia, a wypatroszą nas tak, że nawet flaki po nas nie zostaną.

- Pozbądźmy się tych cholernych wież! - powtórzył Efiates i zamilkł.

- Jakie mamy straty, Tymondasie?

Żołnierz się skrzywił, przyciskając mocniej opatrunek.

- W ciągu ostatnich kilku dni zabito blisko czterystu naszych żołnierzy. Dwa razy tyle raniono. Większa część z nich nigdy więcej nie będzie walczyć. A te wyrzutnie... Ospa na tych, którzy je wynaleźli! I ospa na człowieka, który wpadł na pomysł wyrzucania tak wielkich kamieni, że nawet kaleka potrafi się od nich uchylić, ale za to roztrzaskujących się na kawałki gorsze od włócznie! - Drewno zatrzęszczało, gdy Tymondas wyciągnął się na kobiercu. - To najbardziej niehonorowy sposób walki, jaki znam!

- Tylko dlatego jest niehonorowy, że nie wpadamy na niego pierwsi - zauważył Patron. Przez chwilę przyglądał się siedzącemu w milczeniu, głęboko zamyślonemu Memnonowi. - Więc co, chłopcze?

Rodyjczyk drgnął.

- Autofradatesie, ściągnij z Kos resztę floty.
- Będzie tu przed południem - zapewnił go Pers.

Memnon skinął głową.

- Zaczniemy od ewakuacji rannych. Orontobatesie, pozostawiam ci tysiąc żołnierzy do obrony garnizonów i flotyllę okrętów, która zabezpieczy port.

Orontobates rozglądał się nierozumiejącym wzrokiem.

- Pozostawiasz mi? Co to znaczy?
- Czy Halikarnas to nie stolica twojej satrapii? Kiedy odpłynę, ktoś musi w niej

pozostać, aby utrzymać ją w perskich rękach. Kto lepiej się do tego nadaje niż sam satrapa?

Memnon spojrział na innych dowódców. Wszyscy poza Eflaltesem i Amyntasem zrozumieli jego intencję i na ich twarzach ukazała się mniejsza lub większa ulga. Jednakże dwaj Grecy nie ukrywali wściekłości.

- Tak po prostu chcesz mu je wydać? - warknął Eflaltes. - Chcesz wydać Aleksandrowi miasto?

Amyntas wstał i zaczął chodzić w tę i we wtę.

- Nie wylewałem tutaj mojej krwi, żebyś mógł się wycofać i uciec, kiedy zrobiło się gorąco!

Memnon opanował wzburzenie. Patrzył od jednego mężczyzny do drugiego, od Ateńczyka do Macedończyka; obaj mieli powód nie-nawidzieć Aleksandra, ale obaj kierowali się dumą - Eflaltes pragnął zmyć obrazę wyrządzoną ateńskiej supremacji, Amyntas spragniony spełnienia małostkowych ambicji. Żaden nie potrafił spojrzeć poza czubek nosa.

- Kiedy król Kserkses prawie półtora wieku temu pomaszerował na Helladę - rzekł wolno - czy wojna rozstrzygnęła się na przesmyku Termopile? Nie, nie tam. Ale Hellada potrzebowała Termopil, żeby przygotować się do zwycięstw pod Salaminą i Platejami. Halikarnas to w żadnym wypadku nie Termopile, ale spełnił swoje zadanie. Nie daję też miasta Aleksandrowi, jak się wyraziłeś. Nabył je za najcenniejszy kruszec... krew swoich żołnierzy. Ale co nabył, przyjaciele? Nie port, gdyż zachowamy nad nim kontrolę. Nie forty portowe, bo Orontobates utrzyma nad nimi władzę w imieniu wielkiego króla. Nad czym Aleksander chciał uzyskać kontrolę, przybywając pod Halikarnas? Nad tym? - Wskazał Mauzoleum. - Tą kupą umalowanych kamieni kryjącą trupa tyrana?

Nachmurzenie Eflaltesa rozplęnęło się; Ateńczyk zachichotał. Osuszył puchar i podał go słudze.

- Dokąd się udamy?
- Do Pelli - odparł Memnon. - Przez Eubeę.

Te słowa wywołały poruszenie dowódców. Tymondas cicho gwizdnął. Eflaltes mało się nie zakrztusił winem. Amyntas przestał chodzić. Po jego minie widać było, że usiłuje zrozumieć motyw, który krył się za słowami Rodyjczyka.

- Dlaczego do Pelli? - spytał Orontobates.
- Przeniesienie wojny do Macedonii to najprostszy sposób wywabienia Aleksandra z Azji, a takie zadania nałożył mi król królów. Nigdy nie zamierzałem pobić Aleksandra pod Halikarnasem, chciałem się tylko dowiedzieć, ile jest wart. Teraz wiem. Możemy przejść do następnego celu.

- Antypater i Kasander dowodzą strażą ojczyzny - powiedział z namysłem Amyntas. - Antypater jest zaprzysięgłym zwolennikiem króla, ale Kasander nienawidzi Aleksandra...

- I znenawidzi mnie po tym, jak pokonamy jego ojca - dodał Memnon.

Amyntas miał sceptyczną minę. Macedoński odszczepieniec wyraźnie cenił regenta.

Nieważne, pomyślał Memnon. Pobitem Parmeniona, pobiję Antypatra.

- Ale zbytnio wybiegamy w przyszłość, przyjaciele. Zanim będziemy mogli najechać Macedonię, wprawdzie musimy się wycofać z Halikarnasu... i dać ostatnią nauczkę Aleksandrowi.

- Masz plan, wuju? - spytał Farnabazos.

Ze wszystkich dowódców siostrzeniec i Patron byli najmniej zaskoczeni niecodziennymi pomysłami Memnona - niewątpliwie wieloletnia znajomość przyzwyczaiła ich do jego stylu działania. Memnon się uśmiechnął.

- Mam - rzekł. - Chodzi o te cholerne wieże oblężnicze.



Słońce podniosło się przez chmury kurzu. Z centralnej wieży Trójbramy Memnon i jego krewni obserwowali, jak żołnierze Aleksandra powoli pchają wieże, obracając koła, i przesuwają potężne budowle na pozycje bojowe. Za nimi szli saperzy, a potem kolejno oddziały łuczników, tarczowników, oszczepników i ciężko opancerzonych pieszych gwardzistów. Nawet z daleka Memnon wyczuwał towarzyszącą Macedończykom obojętność.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem, Tymondasie? - spytał Rodyjczyk, odwracając się. - Pierwszego dnia oblężenia?

- Strzeż się samozadowolenia.

- W samej rzeczy. Samozadowolenie to zaprzysięgły wróg wojny oblężniczej. Jest jak choroba, nie zna sojuszu ani lojalności.

Szedł pierwszy, prowadząc bratanka i siostrzeńca na mury. Niżej stali w gotowości żołnierze. Każdy znał swoje miejsce i zadanie. W cieniu Trójbramy tysiąc uzbrojonych w pochodnie i materiały zapalające lekkobrojnycy Greków oczekiwało sygnału Memnona. Dowodził nimi Amyntas.

- Waszym celem są wieże oblężnicze - rzekł wcześniej macedońskiemu odszczepieńcowi wódz. - Łucznicy na murach dadzą wam ochronę, ale się nie ludźcie. To jakbyście wchodzili między kamienie młyńskie. Musicie zawierzyć szybkości, zręczności i modlitwie.

- Spalimy te draństwa!

Za pierwszą falą miała ruszyć druga. Tysiąc Greków pod Efiatesem - ciężka piechota, hoplici w pełnej zbroi uzbrojeni w dziewięcio-stopowe włócznie i szerokie tarcze - miało utworzyć falangę i uderzyć na flanki Aleksandra, kiedy uwaga Macedończyków skupi się na płonących wieżach.

- Waszym jedynym celem jest zabijać - zapowiedział potężnemu Ateńczykowi Memnon. Słyszając te słowa, Efiates się rozpromienił jak ukochany na widok ukochanej.

W końcu, kiedy chaos osiągnie szczyt, sam Memnon miał wyprowadzić ostatnią falę: dwa tysiące kardaków w gęstym szyku. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, mieli rozbić szeregi Macedończyków jak młot i klin.

Jeśli, pomyślał Memnon, opierając się o osłonę strzelniczą i patrząc na toczące się coraz bliżej wieże. Jak tak małe słowo może zawierać tyle możliwości. A jednak plany wojenne z samej natury są niepewne; nawet jeśli jego podkomendni nie zdołaliby rozbić nieprzyjaciela, przynajmniej wyleją wiele cennej macedońskiej krwi. Memnon się wyprostował. Biodro mu płonęło, ale bitewna gorączka maskowała ból.

- Na stanowiska - rozkazał Farnabazosowi i Tymondasowi. - Już prawie czas.

Tymondas miał dowodzić łucznikami na Rogu, Farnabazos na Trójbramie. Z pozostałych dowódców Orontobates miał doglądać zaopatrzenia fortec portowych, podczas gdy Patron i Autofradates ładowali rannych i nadmiar zaopatrzenia na okręty.

Tego dnia żadni trębacze nie ogłosili rozpoczęcia walk. Kiedy wieże wjechały w zasięg łuczników na murach, ci zasypali je strzałami - najpierw mżawką, potem deszczem, w końcu ulewą. Żelazne groty wbijały się w drewno i skórzane fartuchy z tępym stukotem, punktowanym od czasu do czasu krzykiem, gdy przebiły osłonę i wniknęły w ciała. Kule z proc z warkotem rozcinały powietrze i klekotały, odbijając się od brązu lub drewna; roztrzaskiwały na kawałki, obsypując atakujących na ziemi.

Macedońscy łucznicy z początku sporadycznie odpowiadali wymianą pocisków, gdy wieże dotarły do stanowisk i zablokowano koła. Żołnierze w piekielnych machinach zajęli się taranami i niebawem mury Halikarnasu odpowiedziały gromowymi hukami. Po każdym uderzeniu wibracje były odczuwalne aż na zwieńczeniu murów.

W końcu zaczęły pracować katapulty, wystrzeliwując kamienie i pociski celujące w Persów, którzy stali po bokach wieży oblężniczej. Do południa wszystkie siły Aleksandra zostały związane przy murach.

Dopiero wtedy Memnon dał sygnał do kontrataku.

Zagrzmiały rogi, przedłużając ostatnią nutę. Stojący na szczycie Trój bramy Farnabazos rozkazał spuścić most; wrota otworzyły się z łomotem i wyjący jak szalenie Amyntas wyprowadził swoich żołnierzy. Nieśli wysoko płomienne proporce.

Z murów runęła zdwojona ulewa strzał. Łucznicy Tymondasa porzucili ukrycie i powstali. Strzelali, lekceważąc niebezpieczeństwo. Przeważnie byli to Kreteńczycy. Urodzili się z łukiem w rękach i potrafili wystrzelić osiem strzał w sześćdziesiątej części godziny. Tego dnia ich umiejętności dorównywały talentom boskiego łuczniaka, Apolla. Persowie nie odstawali od nich, dotrzymywali kroku szaleństwu Kreteńczyków. Śmiercionośna ulewa sypała się na Macedończyków.

Chociaż Memnon nie potrafił z ziemi ocenić ich postępów, po ataku Amyntasa policzył do stu, zanim dał znak hoplitom. Noszący na kirysie wizerunek straszliwej Meduzy o wężowych włosach Efiertes uniósł wysoko włócznię, zahuczał: „Zabić tych sukinsynów!” i w dwóch kolumnach wyprowadził do bitwy swoich żołnierzy. Wybiegli za Trójbramę.

Warkocze dymu unosiły się z wież oblężniczych; okrążeni Macedończycy zadęli w salpingi. Ich rozpaczliwe nawoływanie znalazło swój odpowiednik w głosach rogów żołnierzy zaatakowanych przez Efiertes. To było wołanie o pomoc.

Memnon odwrócił się od odgłosów walki i ruszył między kardaka-mi. Wielu z nich przeżyło Granik, twardzi mężowie płonący żądzą odwetu za ujmę na honorze. W ich szeregach stali również srebrnowłosi weterani znad jeziora Manyas, żołnierze pamiętający rządy Artabazosa, towarzysze starego satrapy i jego rodziny w Daskylejon. W ich oczach to Memnon był synem Zeusa, nie chłystek Aleksander.

- Słyszycie te rogi? - rozpoczął Memnon. Mimo bitewnej wrzawy, która wlewała się nadal otwartą bramą, jego głos docierał do wszystkich. - Słyszycie? Czy kiedykolwiek słyszeliście tak dzikie i rozpaczliwe buczenie? Strach wypełnił ich płuca i teraz dmą w rogi, bo pragną pomocy! Te rogi przywiodą nam Aleksandra! - Włócznie uderzyły o tarcze. Miecz Memnona błysnął w słońcu. - Przywitajmy go tak, żeby zapamiętał na całe życie! Kolumnami naprzód! Biegiem!

Flety zakończyły swój śpiew, gdy Persowie wybiegli za bramę. Z brzękiem zamknęła się za nimi. Farnabazos miał dać rozkaz do jej otwarcia dopiero wtedy, kiedy usłyszy sygnał do odwrotu. Za murami szalał chaos, który sprawili żołnierze Memnona. Podstawa jednej wieży

oblężniczej płonęła. Dwie inne dymiły. Wystarczyło tylko oblać je materiałami palnymi i buchnęłyby płomienie. Żołnierze Amyntasa związali lekkozbrojnych Aleksandra, podczas gdy łucznicy na murach walczyli z macedońskimi. Falanga Efiatesa już wcięła się w nieprzygotowane oddziały gwardii. Odpychały wroga, przechodząc na lewo, aby osiągnąć również wież oblężniczych.

Memnon poprowadził kardaków w lukę między Efiatesem i Amyntasem. Kurz i dym zaległy pole bitwy, dusząc tak wroga, jak i swoich. W tym rozgardiaszu całe oddziały podążające na pomoc wieżom musiały przejść przed perskimi oszczepnikami. Kardakowie uderzyli na nich bezlitośnie, rozłamując szeregi wroga i rozrzucając je we wszystkich kierunkach.

Bitwa szalała przez cały dzień. Pożary wygasły, po części zduszone krwią zabitych. Długo Persowie mieli przewagę, gdy ich łucznicy powstrzymywali macedońską kawalerię od wkroczenia do akcji, Aleksander nie mógł sprowadzić posiłków spod innych bram - młody król obawiał się tam katastrofy, wycieczek, które wykorzystałyby jego odejście. Musiał zadowolić się oddziałami, które miał pod ręką.

Efiates doprowadził Persów aż do linii machin. Ateńscy hoplici wyróżnili załogi machin i zniszczyli kilka urządzeń, zanim runął na nich kontratak Macedończyków. Weterani Aleksandra, żołnierze z ery Filipa, nawet atakując Greków, przeklinali młodszych kolegów od szczeniaków i tchórzy. Falanga zderzyła się z falangą, sarisy zmierzyły z włóczniami. Dłuższe macedońskie piki kolejny raz udowodniły swą wartość, odpychając hoplitów do Trójbramy.

Rodyjczyk wyczuł, że tembr walki się zmienia. Jego lewa flanką topniała; mieszanka trackich peltastów i macedońskich góralszczyków walczyła ze zdwojoną furią przeciwko kardakom, podczas gdy weterani przerzedzali perskie szeregi.

Jakiś Trak z wrzaskiem rzucił się na tarczę Memnona, ściągając ją w dół, podczas gdy jego towarzysz, okryty krwią Macedończyk, zaatakował toporem i nożem. Nie zrobił nawet dwóch kroków, a stojący za Memnonem kardak wbił mu włócznię prosto w mostek. Kość pękła z trzaskiem. Trak wiedział, że jego sztuczka zawiodła. Kiedy uniósł głowę, ostrze Rodyjczyka rozpołowiło mu czaszkę.

Oblicze bitwy uległo kompletnej zmianie. Memnon zdał sobie sprawę, że jego żołnierze są zmuszeni do wycofania się i straty rosną. Nie możemy nic więcej zrobić, pomyślał. Musiał się zadowolić tą ilością krwi wroga, która już wsiąknęła w ziemię. Nakazał trębaczom ogłosić odwrót...



Płaszcz nocy okrył Halikarnas. Gwiazdy świeciły chłodne i obojętne, ułożone we wzory ukształtowane czynami bogów i ludzi. W nikłym świetle Memnon obliczył straty. Z czterech tysięcy, które wzięły udział w wycieczce, tysiąc pięćset zostało na polu bitwy. Kolejny tysiąc był ranny, w tym jedna trzecia ciężko. Jedna czwarta z siedmiuset Kreteńczyków na murach miała nigdy nie wrócić na oblewaną morzem wyspę. Połowa nosiła z dumą blizny od strzał, kamieni, ognia.

Efiates zginął, walcząc z weteranami Aleksandra - Filipowymi żołnierzami - tymi samymi, którzy okryli hańbą jego *polis* na polu pod Cheroneą. Wedle wszelkich danych potężny Ateńczyk zabrał ze sobą kilku na długą drogę do Tartaru.

Również Amyntas stracił życie - rozpoznali go członkowie dwóch rywalizujących klanów i odrąbali mu głowę. Memnon nie mógł nic zrobić, aby odzyskać ciało ani zapobiec jego zhańbieniu. Taki był los odszczepieńca i Amyntas dobrze o tym wiedział. Efiates przynajmniej

miał być pochowany z resztą Persów, gdyż taki był zwyczaj Aleksandra. Nie w wypadku Amyntasa. Memnon odmówił modlitwę za cień Macedończyka.

- Co teraz, panie? - spytał jeden z żołnierzy. Nie dało się rozpoznać jego twarzy pod maską krwi.

Memnon klepnął go w ramię i poszedł dalej, przez agorę, która szybko wypełniała się żołnierzami. Ranni zostali wyprawieni na okręty; widząc, że cała flota podniosła kotwice, reszta garnizonu tłoczyła się w pobliżu, czekając na rozkazy. Czuło się zmianę.

Farnabazos i Patron przytargali na środek agory kilka głazów, tworząc prowizoryczną mównicę. Rodyjczyk wszedł na nią. Na jego gest trębacze zwołali zgromadzenie. Tłum żołnierzy zagęścił się i zbliżył. Słowa wodza miały być przekazane do najdalszego kąta agory.

Memnon przez chwilę nic nie mówił. Patrzył na morze podniesionych twarzy, niektóre zabandażowane i zakrwawione, wszystkie okryte kurzem nie ich miasta. Na każdym obliczu czytał opowieść o miażdżącym zmęczeniu, smutku i bóleści. Co oni czytali z jego twarzy?

- Był czas - zaczął - kiedy potrafiłem wygłosić przemówienie sprawniej niż ateński demagog. Wiecie, mój ojciec był mówcą i ludzie mówili, że odziedziczyłem po nim dar słowa. Może tak, może nie. Sam nie mam takich pretensji. Jeśli będę dobrze przemawiał, to dzięki wam, bracia. Wasze czyny dały mi fundament, na którym można zbudować chwiejną wieżę słów. Na wszystkich bogów, napełniliście mnie dumą! Wszyscy!

Odpowiedzieli mu tym samym, wiwatując na cześć Rodyjczyka, aż uciszył ich dłonią.

- To miasto trafiło pod mój zarząd, mając swoją cenę, cenę wyliczoną we krwi! Nie naszej, przyjaciele, lecz Aleksandra! Spłacił ją, a potem dorzucił jeszcze trochę! Teraz musimy mu oddać Halikarnas!

Z tłumu rozległy się wołania:

- Nie! Zostańmy i walczmy!

Memnon kolejny raz uniósł rękę i zapanował nad rozgardiaszem.

- Kupił to miasto, przyjaciele! Zapłacił za nie swoją najcenniejszą własnością, macedońską krwią! I niech je sobie weźmie! Tak, niech weźmie! Bo wy i ja, bracia, mamy większe cele do osiągnięcia! Czym jest to jedno miasto w porównaniu z całym wybrzeżem Morza Egejskiego!

Agora wybuchła szaleńczymi wrzaskami. Pochwy i drzewca tłukły o tarcze, o pancerze. Żołnierze wywoływali imię Memnona, aż kamienie mało nie popękały. Niech szczeniak ma Halikarnas! Oni zajmą wybrzeża Morza Egejskiego! Może sama Helladę! Trzeba było kolejnego sygnału trąb, żeby zapanować nad tłumem.

- Tu zrobiliśmy wszystko, bracia! - powiedział Memnon. - Kiedy Aleksander jutro wstanie, będziemy daleko stąd, a jego żołnierze będą mogli sami ocenić, za co zginęli ich towarzysze broni.

Rodyjczyk wskazał na potężne Mauzoleum. Śmiech przebiegł przez tłum. Uspokojeni żołnierze się rozchodzili i kierowali do portu; mieli wejść na pokład świadomi, że ofiara Halikarnasu była dla większego dobra.

Farnabazos pomógł wujowi zejść z mównicy. Rana w biodrze otworzyła się podczas walki. Krew przesączyła opatrunek i ból pulsował głębiej niż zwykle.

- Masz dar słowa - ocenił Pers. - Nie zarzekaj się.

Memnon uniósł głowę ku gwiazdom i westchnął. O tej nocnej porze tęsknota za Barsine trawiła go najmocniej.

- Tylko czy posłuży mi kiedyś w sprawie pokoju?

Interludium VI

Halikarnas był macedońskim zwycięstwem jedynie w najwęższym znaczeniu tego słowa - rzekł Harmutes. - Tak, Aleksander zajął miasto. Ale za straszliwą cenę.

Egipcjanin popatrzył na Barsine. Spała niespokojnie. Co chwila gwałtownie rozwierała powieki, gdy walczyła o oddech. Jej usiłowania słabły, coraz mniej gorączkowe.

Ariston zacisnął wargi i spytał:

- Czy ona...
- Teraz jest w rękach wielkiego Ozyrysa. Nie możemy nic więcej uczynić.
- Boleję nad tym, Harmutesie.

Egipcjanin ostro spojrzał na młodego człowieka.

- Ja jeszcze jej nie oplakuję - powiedział. - Walczy z wezwaniem na zachód. Może jeszcze się uratować.

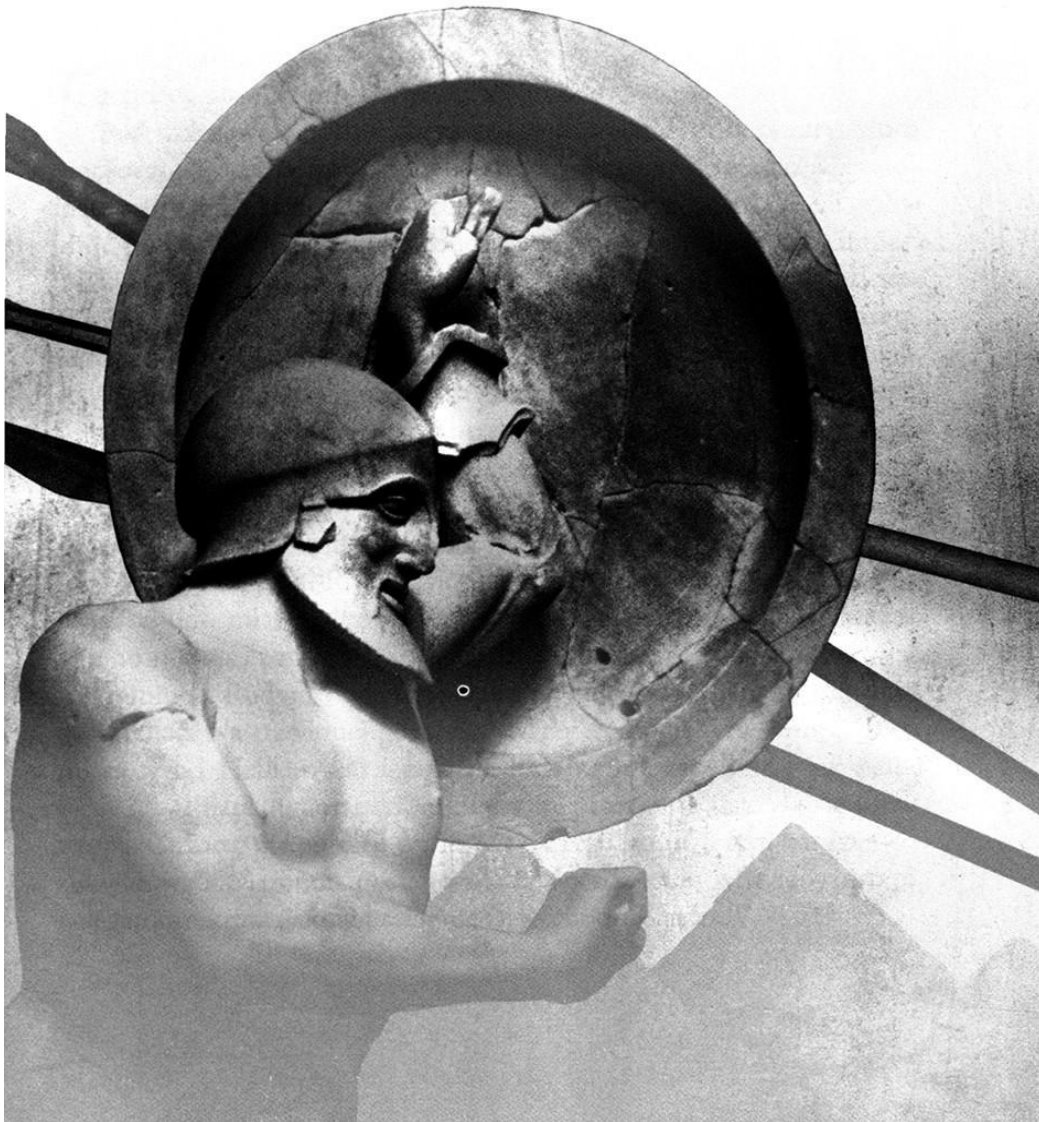
- Czy plany Memnona się ziściły? Czy zdołał przenieść wojnę do Eubei? - spytał z westchnieniem Ariston.

Harmutes podniósł się z posłania Barsine i podszedłszy do okna, uchylił je nieco, aby wpuścić zimne nocne powietrze. Gwiazdy świeciły przez poszarpane chmury.

- Po Halikarnasie trzymał się swoich zamierzeń, ale powstania na Chios i Lesbos pokrzyżowały mu plany. Nikt nie mógł powiedzieć, jak długo chwiejni Spartanie są gotowi na niego czekać, więc spędził zimę na odzyskiwaniu wysp, powtórnym osadzaniu garnizonów i wymierzaniu kontrybucji. Były miazdzące. Walczył, kiedy powinien był zająć się leczeniem. - Harmutes zamknął okno i wrócił do łóżka umierającej. Pogładził jej czoło; szepnęła coś przez sen. - Chios okazało się tak łatwe do zdobycia jak poprzednio, podobnie pięć miast Lesbos. Była to zasługa jego kuzyna, Aristonimosa. - Egipcjanin westchnął. - Jednak Mitylena...

MITYLENA

3. rok 111. olimpiady faraona Chnemibre Ahmose
(początek 333 r. p.n.e.)



Rozdział dwudziesty piąty

Cuchnący płaszcz śmieci otaczał Memnona.

Pod żelazowoszarym niebem mimo mżawki dymiły pożary. Nocą podłożyły je oddziały greckich najemników, którzy na rozkaz Memnona przeniknęli do miasta. Wyruszyli z wysuniętego bardziej na południe portu Mityleny, żeby zakończyć ciągnący się od miesiąca impas. Nawet teraz, dwie godziny po wschodzie słońca, na ulicach rozlegały się krzyki i brzęki oręża słyszalne na szczycie ogrodzonego murem akropolu. Za tą osłoną władcy Mityleny - możni patriarchowie z najlepszych rodzin demokratów - słuchali bezsilnie, jak ich *polis* umiera.

Kiedy Memnon zszedł na brzeg, oczekiwał go dowodzący nocną wyprawą Tymondas. Twarz młodego mężczyzny pokrywały sadza i strumyki krwi. Pogięty pancerz zdradzał zaciekłość walki. Tymondas jednak uśmiechał się triumfalnie, kiedy podawał rękę Memnonowi.

- A więc? - spytał Rodyjczyk, przyjmując pomoc.

Wychudł, miał podkowy pod oczami i nie nadawał się do walki, lecz nosił kirys i żołnierską spódniczkę. Niebieski płaszcz ciasno owijał mu ramiona. Rodyjczyk ciężko wsparł się na włóczni. Nogi nie chciały go słuchać. Na trawionej gorączką twarzy perlił się pot. Minęło pięć miesięcy od Halikarnasu i rana na biodrze nie zagoiła się jak należy. Miewał napady gorączki, a z rany nieprzerwanie sączyła się krew z ropą. Chirurg nie potrafił wytłumaczyć tego stanu, a tym bardziej go zlikwidować. Memnon postanowił, że po zdobyciu Mityleny ustąpi naleganiom krewniaków i ściągnie ze wschodu Chafra.

- Wszystko poszło zgodnie z planem?

- Dopadliśmy połowę ich floty w suchym doku. To ci, którzy miesiąc temu, zaraz po naszym przybyciu, nie zdołali się wyślizgnąć - powiedział Tymondas.

Razem przeszli z nabrzeża do portowych składów. W kolumnowej arkadzie pozostały ślady niedawnego rozlewu krwi - zużyte strzały i porzucone oszczepy, pogięte tarcze i zniszczone hełmy. Trupy leżały w kałużach błota i krwi, odcięte kończyny, ciała pocięte mieczami lub przeszyte pociskami. Rodyjczyk przyłapał się na tym, że w tej mieszaninie ciał nie potrafi rozróżnić atakujących od obrońców. Śmierć, błady Tanatos, pozbawiała cech indywidualnych równie bezwzględnie jak przyszłości. Dlaczego zmarli są tak podobni, mają to samo szkliste spojrzenie, te same rozdziawione w przerażeniu usta? - zastanawiał się w duchu.

- Gdzie były najcięższe walki?

Tymondas wskazał na tyły magazynów

- Prawie otoczyli nas na agorze, ale Kreteńczykom udało się zająć dachy sąsiednich domów. Ale i tak ustąpili dopiero wtedy, gdy podpaliliśmy połowę kwartału. Wycofują się w kierunku akropolu, chociaż wątpię, aby te dranie za murami otworzyły przed nimi bramę.

Życie większości miast nad Morzem Egejskim obracało się wokół portów. W Mitylenie było podobnie. Miała dwie przystanie po obu stronach szerokiego, wychodzącego daleko w morze przylądka. Po zachodniej stronie, na płaskim wzgórzu, stał akropol - forteca z wieżami, murami i wzmocnionymi brązem wrotami. Strugi deszczu utrudniały widoczność, lecz choć Memnon ledwo dostrzegł zwieńczenia murów, znał rozkład, mocne i słabe punkty tego miejsca. Dobrze zapłacił za tę wiedzę...

Zamgliło mu się w oczach. Gniewnie otarł pot z czoła. Biodro pulsowało bólem.

- Czy... czy próbowali paktować?

Tymondas skrzywił się i potrząsnął głową.

- Jak do tej pory ograniczyli się do wyzwisk i przekleństw. Powinieneś usiąść, trochę odpocząć. Memnonie?

Rodyjczyk chwiał się na nogach. Był blady.

- Wyślij he-herolda - powiedział. Przetarł oczy raz, drugi. - Powiedz... powiedz, że jeśli się pod-poddadzą, warunki będą łagodne...

- Memnonie!

Rodyjczyk nagle się zatoczył, łapiąc się ramienia Tymondasa. Zawodzenie wypełniło mu uszy, jak wycie wiatrów, które słyszał w Egipcie, tak głośne, że pochłonęło głos bratanka. Twarz Tymondasa zniknęła i powracała; Memnon chciał się odezwać, powiedzieć, że wszystko będzie w porządku, ale język miał jak kawałek wyschłej zwierzęcej skóry. Zamknął oczy, nie stać go było na nic więcej. Snu, powiedział w myślach, łaski snu...

W głowie usłyszał głos:

- Jesteś prawie gotowy do podróży, synu Rodos. Twój czas nadchodzi.



Obudził się, widząc rozmyte odbicie zimowego słońca, ruchliwą srebrną kałużę na zakopconych belkach sufitu. Pod głową miał stos poduszek, gruba kołdra okrywała mu ciało. Skórę miał rozgorączkowaną; biodro mu płonęło i nie czuł nic poniżej górnej partii uda. Powietrze cuchnęło czosnkiem i ziołami, dymem palonego drewna i zbyt słodkimi kadzidłami. Memnon zamrugał.

Leżał w białej izbie i światło popołudnia - jak i zimne słońce powietrze - sączyło się przez trzy wółprzymknięte okna. Słyszał krzyki mew, ściszone głosy i dzwonięcie metalu o metal. Obok łóżka dymił kosz z płonącym drewnem, w kącie leżała jego zbroja i stał kufer podróżny. Gdzie jestem? - zapytał się w myślach.

Doleciały go głosy z sąsiedniego pokoju, a z nimi brzęk glinianych naczyń.

- Muszę odjąć nogę, panie! Pewnie już jest za późno!

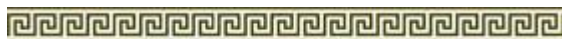
- To go zabije, durniu! - Memnon rozpoznał głos Patrona. - Czy ty w ogóle wiesz, dlaczego gorączkuje? Nie powinieneś oczyścić rany i zmienić opatrunku? Mówię, że ta infekcja to twoja wina, ty sukinsynu!

- Jego humory są niezrównoważone, panie! - odszczeknął drugi głos, chirurga z Chios.

- Ty i twoje przeklęte przez bogów humory! Zejdź mi z oczu, zanim tobie utnę nogę!

Bezużyteczny dziad!

Memnon zakaszłał i odprężył się, zamknął oczy...

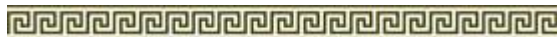


Rzeka płynęła przez upstrzone wyschłymi krzakami ugory. Oleiste wody odbijały wiszące nieruchomo na szarobiałym niebie, wiecznie zaćmione słońce. Żar i białe światło były z poczerńiałego dysku. Memnon poszedł dalej. W suchym powietrzu nic się nie poruszyło, a jednak słyszał jęki i zawodzenie wiatru w szkieletach krzewów.

- Znam to miejsce - rzekł. Głos miał płaski i zniekształcony.

Zza pleców usłyszał odpowiedź, głos równie płynny jak jego syczący.

- Oczywiście, że znasz, synu Timokratesa.



Wstrząsany bólem Memnon westchnął długo i głęboko. Oddech zarzęził mu w piersiach.

- Teraz wiem, kim jesteś - rzekł cicho. - Przewodnikiem dusz zagubionych na drodze do Tartaru. *Psychopompos*.



Postać za nim była nieziemskiej urody, jednak znajoma. Ubrany w krótki dorycki chiton i srebrnoszarą, zarzuconą na ramię chlamidę mężczyzna miał złoto-srebrne włosy i skrzące się oczy, których spojrzenia Rodyjczyk nie potrafił wytrzymać. Uśmiechnął się z wyjątkową dobrocią i wyrozumiałością.

- Ta rzeka to Styks, granica królestwa Hadesu.
- W takim razie umarłem?

Przygięty wielkim ciężarem - ciężarem rozpacz, smutku i lęku o tych, których zostawił - Memnon opadł na kolana.

- Jeszcze nie całkiem. Ale niebawem to nastąpi.

Rodyjczyk spojrział w nienawistne wody Styksu.

- Dlaczego tu jestem, skoro jeszcze nie umarłem?

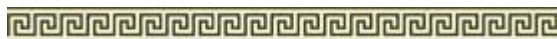
- Z ciekawości? Lęku przed nieznanym? To wielka sprzeczność twojego ludu. Na równi uwielbiacie odkrywać to, co jest za następnym zakrętem, jak i boicie się uczynić pierwszy krok, który by was tam zaprowadził. Śmierć to tylko część tej podróży.

- Kiedyś powiedziałeś mi, że powinienem odcisnąć swój ślad na ziemi, że bogowie patrzą nieżyczliwie na tych, którzy marnują swoje talenty...

- Nie obawiaj się, Memnonie z Rodos. Bogowie są zadowoleni.

- Co z Barsine? - zapytał Memnon. Gorące łzy spłynęły mu po policzkach. - Dałem słowo, że po nią przyjadę! Błagam, nie mogę umrzeć! Nie teraz!

- To nie twoja decyzja, dziecko. Atropos włada swymi nożycami bez względu na żądania miłości czy pragnienia ludzi i bogów. Twoja nić się wysnuła, synu Timokratesa. Wróć i uporządkuj swoje sprawy. Przyjdę po ciebie niebawem, poprowadzić cię w twej podróży...



Memnon zamrugał. Łzy spłynęły i znów widział wyraźnie. Powoli usiadł. Zaciskając zęby, opanował ból. Odrzucił przykrycie i postawił nogi na podłodze. Pod wpływem zimnego powietrza dostał gęsiej skórki.

- Nie bądź durniem. - Patron stał w drzwiach. Memnon nie pamiętał, aby jego przyjaciel kiedykolwiek wyglądał na równie starego i znużonego. Słońce podkreślało blizny na torsie i ramionach. - Zostań w łóżku i przykryj się. Jesteś w wystarczająco złym stanie, nie potrzebujesz

jeszcze choroby płuc.

- Jak długo byłem...

- Trzy dni. Mityleńczycy poddali się wczoraj wieczorem, po tym, jak zagroziliśmy im losem Teb. Farnabazos i Tymondas panują nad wszystkim. Powinieneś odpocząć.

- Pomóż... mi, stary przyjacielu - wystękał Rodyjczyk. - Do... okna.

Wstał z pomocą Patrona, otworzył okno i wyjrzał. Od morza wiał chłodny wiatr, ale słońce błyszczało na wodach południowego portu, a postrzępione chmury żeglowały po wypłowiałym lazurze nieba. Przy nabrzeżu żołnierze zbierali pozostałości po bitwie. Zaopatrywali użyte strzały w lotki, żelazne groty ostrzyli i oliwili, żeleźca oszczepów osadzali na nowych jesionowych drzewcach. Ten widok przywrócił mu wspomnienie innego miasta, innego portu...

- Rodos wydaje się tak daleko - szepnął. - Ciekaw jestem, co przydarzyło się Talii.

Pamiętasz ją?

- Twoją przyjaciółkę z Cyrenajki? - Patron się zaśmiał. - Była niebrzydka. Jestem pewien, że powiodło jej się w życiu, Memnonie. Mówią, że Afrodyta opiekuje się swoimi wybrankami, a ta królowała w tej kategorii. Tak, założyłbym się, że nie ma się na co skarżyć.

- Obyś miał rację. - Po tych słowach Memnon zamilkł na dłużej. Siły go opuszczały. - Pomóż mi wrócić...

Przejęty Patron zmarszczył czoło, gdy prowadził Memnona do łóżka i okrywał go. Wstrząsane gorączką ciało Rodyjczyka było lekkie jak piórko. Pobladł, jakby utracił całą krew. Wymamrotał popękanymi wargami podziękowania.

- Powinieneś teraz odpocząć, stary przyjacielu - napomniął go Patron. - Nawet się nie obejrzymy, a ruszy wiosenna kampania. Musisz być zdrow jak ryba, żeby zniszczyć Macedończyków.

Memnon skinął głową. Złapał Patrona za rękę.

- Gdyby... gdyby mi się coś stało, niech Farnabazos obejmie dowództwo floty, dopóki wielki król nie zadecyduje inaczej. - Rodyjczyk przyciągnął starszego mężczyznę. - Przypilnuj, żeby skierował kurs na Eubeę! Antypater na pewno wyśle wojska i pieniądze, może nawet okręty, jeśli uda mu się je znaleźć, żeby pchnąć go gdzie indziej. Chłopak będzie potrzebował twojej rady bardziej niż ja, zwłaszcza jeśli ma ściągnąć z powrotem Aleksandra do Pełli.

- Będę radził wam obu, czy się wam to podoba czy nie - powiedział Patron, uśmiechając się. - Potrzebujesz czegoś?

Memnon wskazał kąt izby.

- W tym kufrze... - zaczął, oddychając ciężko. - W tym kufrze jest srebrna skrzyneczka, podręczny skarbczyk. Mógłbyś ją opróżnić i podać mi? I przybory do pisania?

- I wtedy odpoczniesz?

„Przyjdę po ciebie niebawem, poprowadzić cię w twej podróży”. Memnon westchnął.

- Wtedy odpocznę.

Patron łatwo znalazł wskazane przedmioty. Srebrna, wyłożona macicą perłową skrzyneczka zawierała małą fortunę, stos złotych dorej-ków. Przesypał je do skórzanego worka. Przybory do pisania były darem Chafra - egipska *meszta*, płaskie puzderko z palmowego drewna ozdobione rysunkami skryby służącego Panu Nilu. Zawierała papirus, trzciniowe piórka i buteleczki atramentu.

Memnon podciągnął się do pozycji siedzącej, gdy Patron przyniósł mu te rzeczy.

- Twoi krewniacy i Arystonimos wrócą wieczorem. Będą chcieli się z tobą zobaczyć, więc postaraj się dobrze wypocząć. - Patron się pochylił i pocałował Memnona w czoło. - Jesteś mi bliski jak brat, przyjacielu. - Po tych słowach wyszedł.

Memnon odepchnął falę rozpacz. Ręce mu drżały, gdy rozwiązywał rulon papirusu, przypinał go do gładkiej powierzchni meszty i sięgał po piórko. Zmarszczył brwi. Ostrożnie zamoczył pióro w kałamarzu i zaczął:

Memnon śle ukochanej Barsine pozdrowienia.

Zanim skończył list, światło przygasło. Ledwo miał siły zwinąć papirus i umieścić go w skrzyneczce, razem z pierścieniem Hermiasza. Farnabazos zadba, żeby do niej dotarł, pomyślał. Zamknął wieko, opadł na poduszki. Zeusie Zbawco, strzeż je, modlił się w myślach. Zachowaj je od złego i niech zaznają w życiu szczęścia. Daj im mądrość, Panie Olimpu.

Na obrzeżach jego pola widzenia pojawił się złoty blask silniejszy niż tylko gra promieni zachodzącego słońca.

- Rodyjczyku - rzekł znajomy głos. - Przybyłem.
- Chcę żyć - powiedział cicho, zamykając oczy.
- Żyłeś i to dobrze. Ale teraz nic jest przecięta, dziecko. Czas. Memnon poczuł na ramieniu wyimaginowane dotknięcie, niosące ulgę i spokój. Ból uleciał, zastąpiony wyczerpaniem. Memnon z Rodos odetchnął głęboko i poddał się wszechwładnej ciemności...

Epilog

Świt wstał nad Efezem wraz ze słońcem na niebie bławatkowej barwy. Ciepło tchnące przez okno obiecywało łagodny dzień. Siedzący przy łóżku Harmutes otarł oczy i westchnął.

- Memnon już nie odzyskał świadomości. Zmarł wieczorem następnego dnia, otoczony krewniakami i przyjaciółmi. Dotarły do mnie najdziwniejsze plotki dotyczące jego śmierci. Że to był spisek satrapów, którzy mieli go otruć, że to skrytobójcy przysłani przez dworaków Aleksandra... Ale to sprawiła gorączka wynikła z rany, którą otrzymał pod Halikarnasem. Nic więcej. Uważam, że jego śmierć to kolejny wyraźny dowód niesłychanego szczęścia Aleksandra. Kiedy zabrakło Memnona, który przeniósłby wojnę do Macedonii, król królów upadł na duchu. Aleksandra nie dało się zatrzymać. Dariusz uciekł przed nim pod Issos i kolejny raz pod Gaugamelą; Egipt przywitał go jako boga, Babilon jako wyzwoliciela. Cała Persja stanęła przed nim otworem. Ale było coś, czego nie zdołał podbić, coś, czego jego cudowne szczęście nie potrafiło pokonać. - Wzrok Egipcjanina spoczął na jego pani, palce dotknęły cennej skrzyneczki. - Kilka lat później Aleksander znalazł to w jej osobistych rzeczach, w śnieżnej Marakandzie przy najdalszych granicach Azji, i miał czelność to otworzyć.

Harmutes otworzył skrzyneczkę. W środku Ariston ujrzał sygnet z siedzącą na tronie Ateną oraz małą sakiewkę i zwój papirusowy. Egipcjanin wyjął go i podał Aristonowi. Papirus pociemniał z wiekiem, wożony wiele setek mil, zawsze blisko serca Barsine. Wyglądał na zniszczony. Rodyjczyk ostrożnie go rozwinął. Był to ostatni list Memnona.

Memnon śle ukochanej Barsine pozdrowienia. Zanim ten list dotrze do Ciebie, śniegi stopnieją; pola i lasy otrzymają nowe odzienie, porzucą zimowe szarości i brązy, przywdziewając zielenie wiosny. I wiem, że kiedy będziesz to czytać, wieści o mojej śmierci już dotrą do Suzy.

Nie rozpaczaj, ukochana! Nie ma potrzeby. Okrutne siostry, Mojrzy, obdarzają i zabierają, nie patrząc na sprawiedliwość, układają wzór życia każdego na swój niepojęty sposób. Te same słowa, które wypowiedziałś naszego ostatniego wspólnego dnia w Efezie, mówię teraz Tobie: Bez względu na wszystko musisz wytrwać! Czyni i mów to, co musisz, aby przeżyć, aby zapewnić bezpieczeństwo sobie i naszym córeczkom. Ucałuj je ode mnie i powiedz, że je kocham. Musisz dalej kroczyć przez życie, piękna Penelopo! Kroczyć dalej od miejsca, w którym ja zawiodłem.

Chciałbym Ci wiele powiedzieć, droga żono. Tak wiele powiedzieć, ale czasu na to nie wystarczy. Dadaś mojemu życiu równowagę i cel; Twoja miłość dała mi siłę, bym szedł dalej, kiedy nic innego nie potrafiło mnie do tego zachęcić. Podczas wojny pamięć o Tobie darowała mi wytchnienie. Chciałbym tylko dotrzymać danej Ci obietnicy, przywitać Ciebie i dziewczynki w Suzie, a potem zabrać was do Adramyttion, żebyśmy mogli żyć w pokoju nad wybrzeżem morza. Wiedz, że oddałbym wszystko, aby jeszcze raz usłyszeć Twój głos, ostatni raz Cię ujrzeć, ostatni raz objąć i ucałować. Czas i przestrzeń zawsze były naszymi wrogami...

Kocham Cię całym sercem, Barsine, i zawsze będę blisko. Wystarczy, abyś wspomniła letnie noce w Adramyttion, głosy cykad, blask światełków, i będę przy Tobie. Żegnaj.

U dołu zwoju dodano jeszcze cztery wersy. Ariston rozpoznał fragment z Eurypidesa:

*Płacz za tymi, którzy przybywają na ten świat,
Gdyż czeka ich nieszczęście,
Ale wzniesź pieśń radosną za zmarłych,
Których cierpienia teraz znalazły swój koniec.*

Ariston podniósł wzrok. Miał łzy w oczach. Ostrożnie zwinął list i odłożył go do skrzyneczki, z wielką ostrożnością zamykając wieko.

- Po tym - mówił dalej Harmutes - Aleksander oddalił ją... z całym szacunkiem, gdyż takie były jego obyczaje... wysyłając do Azji Mniejszej. Jak słyszałem, na jej miejsce wziął sobie za żonę córkę świniopasa z Sogdiany, dziewicę nie umiejącą czytać ani pisać.

- Dlaczego?

Egipcjanin podrapał się po łysej czaszce.

- Bo mimo wszystkich swych talentów Aleksander nie mógł ścierpieć tego, że w czyimś sercu jest na drugim miejscu, a dodatkowo owo miejsce jest bardzo niepokazne. Kochała Memnona i tylko jego.

Promienie słońca wślizgnęły się przez okno i przesunęły po łóżku. Złote strzały dotknęły oblicza Barsine i natchnęły bladą skórę życiem. Wygląda na uspokojoną, nawet piękną, pomyślał Ariston. Zniknęły zmarszczki zdradzające wiek i utrapienia. Nie poruszała się jednak. Jej pierś pozostała nieruchoma.

Egipcjanin zadrżał; położył rękę na jej sercu i długo tam trzymał. Nic. Starzec westchnął.

- Poszła do niego - rzekł.

Przygnieciony ciężarem żalu Harmutes ukrył twarz w poznaczonych przez czas rękach i zapłakał.



Wiosną Ariston, syn Trazyllusa, wrócił na Rodos po krótkiej wizycie w Assos i zamieszkał w posiadłości ojca, w Lindos, po południowo-wschodniej stronie wyspy, aby spisać swoje *Historiai Rhodos*. Z nim przybył stary Egipcjanin. Co dziwne, mężczyźni przywieźli cztery urny. Zakopali je w utrzymanym w perskim stylu ogrodzie, na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na morze barwy ciemnego wina.

Wraz z ojcem, bratem i kobietą, którą kochał, Memnon, syn Timokratesa, wrócił na Rodos...

Nota historyczna

Domysły są krwiobiegami powieści historycznej, zwłaszcza mającej za bohatera postać z czasów starożytnych. W pobieżnej opowieści o losach ludzkości Memnon z Rodos jawi się wyłącznie jako przypis do biografii króla Macedonii, Aleksandra III. Z tej perspektywy cieszył się jedynie niewielkim zainteresowaniem uczonych, badających z grubsza życie tego urodzonego w Grecji perskiego arystokraty, życie budzące więcej pytań niż dostarczające odpowiedzi.

Pełno w nim niedopowiedzeń. Na przykład, nie znamy imion jego rodziców ani jego statusu w społeczności Rodos. W źródłach, które się zachowały, nigdy nie pada jego patronimik, jedynie „Rodyjczyk” lub „z Rodos”. Timokrates z Rodos jest wspomniany w *Historii greckiej* Ksenofonta (III 5,1.) i w anonimowych (lecz pouczających) *Papirusach z Oksyrynchos* (7,5). Zachowałem jego czyny tak, jak je zapisano. Dodałem jedno: z racji jego związków z satrapą Farnabazosem uczyniłem go ojcem Memnona. Podobnie zaginęło z czasem imię siostry Memnona, a żony Artabazosa. Epizody z jego młodości, między innymi śmierć ojca i okoliczności ucieczki z Rodos, są całkowicie fikcyjne.

Są pewne dowody, że Memnon przed małżeństwem z Barsine miał inną żonę. Arrian w I księdze, rozdz. 15. *Wyprawy Aleksandra* pisze, że Memnon i jego synowie walczyli nad Granikiem. Z powodu ubóstwa informacji zdecydowałem się pominąć istnienie pierwszej żony i dzieci z tego związku. Tak więc Memnon walczy nad Granikiem razem z synami Artabazosa.

We wszystkich źródłach sporo się pisze o wieku i liczbie dzieci Artabazosa. Według Kwintusa Kurcjusza Rufusa, w roku 330 p.n.e. miał dziewięćdziesiąt pięć lat i dwadzieścioro czworo dzieci - dwoje ze związku z Persjanką, a resztę podobno ze związku z siostrą Memnona (gdyż brak wzmianki o innych żonach). Współcześni badacze są skłonni podawać w wątpliwość jego wiek, mówiąc, że dziewięćdziesiąt pięć to z pewnością błąd tłumacza i pięćdziesiąt pięć jest pewnie bliższe rzeczywistości. Ja jednak poszedłem za Kurcjuszem Rufusem, czyniąc Artabazosa starszym.

Jedną z najbardziej intrygujących i prowokacyjnych białych plam w biografii Memnona są lata wygnania na dworze Filipa II. Rodyjczyk znika z historycznych zapisków na dziesięć lat, co budzi niezliczone pytania dotyczące jego czynów i podróży w tym okresie. Jak dobrze poznał Aleksandra i czy został jednym z samodzielnych macedońskich dowódców? Czy uczestniczył w niezliczonych nadgranicznych kampaniach Filipa? Czy podróżował do Egiptu i walczył u boku brata? Znając jego charakter, możemy przyjąć, że nie siedział z założonymi rękami, ale co konkretnie robił, to sprawa otwarta. Co się tyczy młodości Memnona, to puściłem wodze fantazji, wymyślając ludzi i zdarzenia, które mogłyby urozmaicić opowieść. Mam nadzieję, że czytelnicy chętnie posmakują owych owoców imaginacji.

Dodatek I

Chronologia wydarzeń

(daty p.n.e.)

ok. 375 Memnon przychodzi na świat na wyspie Rodos.

371 Epaminondas i Tebańczycy zwyciężają Spartan w bitwie pod Leuktrami; koniec dominacji Sparty w Grecji.

370 Śmierć króla Macedonii, Amyntasa II, ojca Filipa. Jego najstarszy syn, Perdikkas III, obejmuje tron.

369 Młody król Filip zakładnikiem Teb.

367 Perska żona Artabazosa wydaje na świat Farnabazosa. W Macedonii rodzi się Ptolemeusz (towarzysz Aleksandra i przyszły król Egiptu).

364 Perska żona Artabazosa Barsine przychodzi na świat. Jej matka umiera podczas porodu.

362 Epaminondas zabity podczas bitwy ze Spartanami pod Mantineą.

360 Artabazos żeni się z Dejdamią, córką starego przyjaciela, Timokratesa z Rodos; tego samego roku najstarszy syn Timokratesa, Mentor, wstępuje na służbę u satrapy. Śmierć króla Sparty, Agesilaosa. W Macedonii rodzi się Filotas, syn Parmeniona.

359 W Macedonii ginie w bitwie król Perdikkas III; jego młodszy brat, Filip, wstępuje na tron jako Filip II; Antypatrowi rodzi się syn Kasander.

358 Śmierć króla Artakserksesa II. Jego najstarszy syn, Ochos, zostaje królem Artakserksesem III. Nakazuje zachodnim satrapom rozpuścić prywatne armie; rozkazuje Artabazosowi stawić się na dworze w Suzie. Ten odmawia i wszczyna otwartą rebelię. Na wybrzeżach Morza Egejskiego Mauzolos z Ka-rii wywołuje wojnę Aten z sojusznikami, przekonując Kos, Chios i Byzantion, by opuściły Związek Ateński. W odpowiedzi Ateńczycy wysyłają sześćdziesiąt trier pod Charesem i Chabriasem.

357 Rodos przystępuje do powstania przeciwko Atenom; Timokrates z Rodos ginie podczas walk fakcyjnych. Jego syn, Memnon, przyłącza się do rebelii Artabazosa w Assos. Ateńska flota zostaje zniszczona pod Embatą przez połączone siły Kos i Chios. Chabrias ginie, Chares ucieka na wyspę Imbros. W Azji Mitrydates z Daskylejon dostaje rozkaz ujarznienia Artabazosa. Filip Macedoński żeni się z Olimpias, księżniczką Epiru.

356 Artabazos ratuje Charesa i Ateńczyków z Imbros; najmuje ich i tworzy jądro armii najemników. Ponadto satrapa zapewnia sobie usługi beockich najemników dowodzonych przez Pammenesa. W Macedonii Filipowi i Olimpias rodzi się Aleksander. W Assos Mentorowi z Rodos rodzi się syn z nieprawego łoża, Tymondas.

355 Bitwa nad jeziorem Manyas. Mitrydates zostaje pokonany i Daskylejon wraca pod władanie Artabazosa. Karyjskie oddziały okupują Kos i Rodos. Titraustes, prawa ręka Ochosa, zostaje wysłany na zachód przeciwko Artabazosowi. Ochos wysyła list do Aten, żąda przywołania z powrotem Charesa i zawarcia pokoju ze zbuntowanymi wyspami.

354 Koniec wojny Aten z sojusznikami. Eunuch Hermiasz obala swojego pana, Eubulosa z Assos i zostaje tyranem większej części Troady. W Macedonii Filip traci oko podczas oblężenia Methone, miasta na granicy Macedonii i Tesalii.

353 Mentor ucieka do Egiptu; Artabazos i Memnon, obaj z rodzinami, szukają azylu na dworze króla Filipa Macedońskiego. Onomarchos dwa razy zwycięża Filipa w Tesalii.

352 Filip wkracza do Tesalii, pokonuje i zabija Onomarchosa w bitwie na Krokusowym Polu. Umiera Mauzolos, satrapa Karii; tron obejmuje jego siostra-zona, królowa Artemizja II. Zaczyna budowę Mauzoleum (jednego z siedmiu cudów świata).

351 W Atenach Demostenes występuje przeciwko Macedonii w tzw. *Pierwszej filipice*.

350 Faraon Nektanebo wysyła Mentora i cztery tysiące najemników z pomocą królowi Sydonu, Tennesowi, przeciwko satrapom Syrii, Belezysowi, i Cylicji, Mazajosowi. Mentor posyła po Memnona i czyni go swoim dowódcą.

348 Filip zdobywa Olint na Chalkidyce i równa go z ziemią.

347 Umiera Platon. Arystoteles opuszcza Ateny i osiedla się w Assos oraz w pobliżu Mityleny na Lesbos. Jego przyjaciel Hermiasz zostaje jego patronem.

346 Ochos wyrusza przeciwko Fenicji. Mentor odkrywa zdradzieckie plany Tennesa. Filip i Ateny zawierają pokój (tzw. pokój Filokratesa). Wiekowy mówca Izokrates sporządza swoje pismo do króla Macedonii, *Filip*.

345 Memnon wraca do Macedonii. Barsine jest obiecana Mentorowi. Małżeństwo ma być zawarte po kampanii przeciwko Egipcjowi.

344 Demostenes sporządza *Drugą filipikę*. Aleksander ujarzmił Bucefała. Memnon oddaje się pod rozkazy Parmeniona jako najemnik.

343 Arystoteles nauczycielem Aleksandra. Mentor zwycięża w Egipcie; Ochos czyni go naczelnym wodzem na zachodzie. Artabazos i Memnon przywołani do Persji. Barsine i Mentor biorą ślub w Sardes.

342 Memnon bierze w niewolę Hermiasza i podstępem podporządkowuje sobie Troadę.

Eunuch zostaje wysłany do Suzy na egzekucję.

341 Filip podbija Trację. W Atenach Demostenes wygłasza *Trzecią filipikę*.

340 Umiera Mentor z Rodos. Memnon zostaje panem Troady; w Adramyttion żeni się z Barsine. Filip opanowuje Perinthos i Byzantion. Ateny ogłaszają wojnę z Filipem.

338 Król Artakserkses III Ochos zamordowany przez swego doradcę, eunucha Bagoasa, który wynosi na tron najmłodszego syna Ochosa, Arsesa. W Grecji, pod Cheroneą, Filip i Aleksander miażdżą zjednoczone wojska greckie. Egipt kolejny raz wszczynają rebelię.

336 Bagoas zabija Arsesa i sam zostaje pozbawiony życia przez Artaszatę, satrapę Armenii, który wstępuje na tron jako Dariusz III. Filip wysyła przez Hellespont do Azji poważny oddział rozpoznawczy. Podczas zaślubin córki Kleopatry z królem Epiru, Aleksandrossem (bratem Olimpias), zostaje zamordowany przez byłego kochanka. Aleksander królem Macedonii.

335 Zniszczenie Teb. Dariusz rozkazuje Memnonowi zatrzymać Macedończyków; ten zwycięża Parmeniona, zmuszając go do wycofania się do azjatyckiego przyczółka, Abydos. Arystoteles wraca do Aten i tworzy szkołę filozoficzną, Likejon.

334 Aleksander przedostaje się do Azji. Persowie koncentrują wojska w Zelei; ignorując radę Memnona, satrapowie wydają Aleksandrowi bitwę nad rzeką Granik i ponoszą klęskę. Memnon otrzymuje najwyższe dowództwo na perską armię i flotę. Wysyła do Sparty poselstwo, proponując sojusz i inwazję na Macedonię, co miałyby odciągnąć Aleksandra z Azji. Oblężenie Halikarnasu; Memnon ranny podczas wycieczki. Persowie wycofują się na wybrzeże Morza Egejskiego.

333 Podczas oblężenia Mityleny, na wyspie Lesbos, Memnon umiera nagle w wyniku gorączki spowodowanej przez ranę. Dowiedziawszy się o jego śmierci, Dariusz zbiera wojska i spotyka się z Aleksandrem pod Issos. Persowie zostają pobici. Barsine wraz z licznymi osobami z rodziny królewskiej pojmana w Damaszku.

Dodatek II

Pieniądz w starożytności

Jednolitych metalowych monet zaczęto używać w połowie VII w. p.n.e. w Azji Mniejszej, na obszarze Lidii (obecnie Turcja). Pierwszymi monetami były płaskie krążki elektronu, naturalnego stopu srebra i złota. Nosiły po jednej stronie pieczęć emitenta - przeważnie stylizowanego lwa reprezentującego lidyjskiego króla - i znak puncy po drugiej. Grecy z wybrzeża Morza Egejskiego i Azji Mniejszej szybko przyjęli ten nowy środek płatniczy i od 575 r. p.n.e. monety rozpowszechniły się w całym świecie greckim.

Późniejsze monety bito z czystego złota lub srebra, z wizerunkami po obu stronach, często przekazującymi treści patriotyczne lub religijne. Każde polis (miasto-państwo) rezerwowało sobie prawo do bicia własnej monety, co bardzo utrudniało handel ze względu na rozmaite standardy miar i wag (czasem chodziło o ułamek grama). W końcu około 449 r. p.n.e. Ateny wydały adresowany do sojuszników i państw zależnych dekret zakazujący używania wszelkich innych monet, miar i wag poza ateńskimi. Dla uproszczenia w *Memnonie* używany jest system ateński, nazywany standardem eubejsko-attyckim.

Z powodu niewielkiej ilości złota w Grecji kontynentalnej monety były przeważnie ze srebra. Ateny dzięki kopalniom pobliskiego Lau-rionu (obecne Lawrio) miały go pod dostatkiem. Najmniejszą monetą był obol. Sześć oboli równało się jednej drachmie; sto drachm równało się minie, a sześćdziesiąt min (lub sześć tysięcy drachm) jednemu talentowi, około 26 kg srebra. Dwa największe nominały służyły tylko jako jednostki rozliczeniowe lub miary wagi; nigdy nie wybito monet odpowiadających minie czy talentowi. Mennice, *argyrokepeion*, były przeróżne monety, w tym didrachmy, o wartości dwóch drachm, lub tetradrachmy, mające wartość czterech drachm. W IV w. p.n.e. Ateńczycy produkowali również miedziane monety, *chalkus*, mające najmniejszą wartość. Sześć miedziaków równało się jednemu obolowi. Inną monetą cenioną przez Greków był perski darejek - złoty pieniądz wybity po raz pierwszy ok. 512 r. p.n.e. przez króla Dariusza I. Za sławnego z czystości darejka chętnie dawano dwadzieścia greckich drachm.

Chociaż bezpośrednie porównania są niemożliwe, mówiąc dzisiejszym językiem, „minimalna płaca”, dniówka niewykwalifikowanego robotnika, w epoce Memnona wynosiła półtora drachmy (dziewięć oboli). Za półtora kwarty (ok. 0,75 l) cienkusa trzeba było dać obola, ta sama miara dobrego wina, np. z Chios, kosztowała czternaście drachm. Pełny pancerz hoplity kosztował dwieście, trzysta drachm. Za konie płaciło się od pięciuset do sześciu tysięcy drachm. Porównajmy to z ceną Aleksandrowego Bucefała, za którego Filip podobno wyłożył astronomiczną sumę osiemnastu tysięcy drachm (trzech talentów).

Dodatek III

Grecki kalendarz

Wydarzenia ze starożytności wyjątkowo trudno określić za pomocą współczesnego kalendarza. Grecy nie mieli jednego systemu na oznaczanie miesięcy i lat. Każde polis miało przynajmniej dwa kalendarze - pierwotny, lunarne, i kalendarz urzędowy oparty na roku solarnym. Na dodatek różne regiony różnie wyznaczały pierwszy dzień roku kalendarzowego. W Attyce, Atenach i okolicy, nowy rok zaczynał się wraz z dzisiejszym lipcem, podczas gdy Macedończycy zaczynali swój rok w październiku. Jońscy Grecy z Azji Mniejszej mieli własny system oznaczania czasu, niewątpliwie pod wpływem długich związków z Persami i Wschodem; wyobrażam sobie, że Memnon był najlepiej zaznajomiony z jońskim kalendarzem. Jednak ze względu na jego prostotę zdecydowałem się użyć w *Memnonie* systemu ateńskiego, gdyż jest najlepiej znany.

Grecki rok składał się z dwunastu miesięcy. Miesiące naprzemiennie miały dwadzieścia dziewięć lub trzydzieści dni. Ponieważ ten kalendarz miał pochodzenie lunarne, urzędnicy i ojcowie miasta musieli włączyć do niego dodatkowe dwa dni - tzw. interkalację. Dzięki temu godzili kalendarz urzędowy z rokiem solarnym. Oto nazwy miesięcy i ich współczesne odpowiedniki:

Hekatombaion (czerwiec/lipiec)
Metageitnion (lipiec/sierpień)
Boedromion (sierpień/wrzesień)
Pyanepsion (wrzesień/październik)
Maimakterion (październik/listopad)
Poseideon (listopad/grudzień)
Gamelion (grudzień/styczeń)
Anthesterion (styczeń/luty)
Elaphebolion (luty/marzec)
Mounichion (marzec/kwiecień)
Thargelion (kwiecień/maj)
Skirophorion (maj/czerwiec)

Za czasów Memnona greccy historycy wykorzystywali igrzyska olimpijskie, rozgrywane co cztery lata na cześć Zeusa w Olimpii, na zachodzie Peloponezu, do datowania wydarzeń w całym helleńskim świecie. Czteroletnie cykle między igrzyskami były nazywane „olimpiadami”. Pierwsza przypada na 776 r. p.n.e.

Jako pierwsze panhelleńskie święto igrzyska miały ogromną wagę dla wszystkich Greków, nie tylko atletów. Do Olimpii przybywali najbardziej wpływowi ludzie świata, mężowie stanu, wodzowie, poeci i inni artyści. Zgodnie z religijnym dekretem podczas igrzysk objawy wszelkiej nienawiści i wrogości były niedopuszczalne i nawet państwa pozostające w otwartym konflikcie (jak Ateny i Sparta podczas wojny peloponeskiej) mogły współzawodniczyć w pokoju ramię w ramię. Stąd też historycy uznali, że powinni znaczyć przebieg czasu od pierwszego święta olimpijskiego, nazywając go rokiem pierwszym pierwszej olimpiady.

Ale od IV w. p.n.e., po podboju Egiptu i Wschodu przez Aleksandra Wielkiego, połączono kalendarz macedońsko-grecki z wartościowszymi systemami Egipcjan i

Babilończyków. Podział czasu według olimpiad wyszedł z użycia.

Bibliografia

- Nazwiska autorów podane wytłuszczoną czcionką wskazują na starożytne źródło
- Adkins, Lesley i Roy A. Adkins, *Handbook to Life in Ancient Greece*, Oksford 1977.
- Athanassakis, Apostolos N., *The Homeric Hymns*, Baltimore 1976.
- Bunson, Margaret, *A Dictionary of Ancient Egipt*, Oksford 1991.
- Cartledge, Paul, *Alexander the Great*, Nowy Jork 2004.
- Casson, Lionel, *The Ancient Mariners*, Nowy Jork 1959.
- Cook, J.M., *The Persian Empire*, Nowy Jork 1983.
- Davidson, James, *Courtesans and Fishcakes*, Nowy Jork 1997.
- Diodorus Siculus**, *Library of History*, t. XVI i XVII, przeł. na j. ang. C. Bradford Welles, Cambridge 1939.
- Durando, Furio, *Greece: A Guide to the Archeological Sites*, Nowy Jork 2004.
- Flaceliere, Robert, *Life in Ancient Greece at the Time of Pericles*, przeł. na j. ang. Peter Green, Londyn 2002.
- Flawiusz Arrian**, *Wyprawa Aleksandra Wielkiego*, przeł. H. Gesz-toft-Gasztold, Wrocław 2004.
- Fuller, J.F.C., *The Generalship of Alexander the Great*, Hertfordshire 1998.
- Grant Michael *A Guide to the Ancient World*, Nowy Jork 1997.
- Graves, Robert, *The Greek Myths*, t. I i II, Nowy Jork 1984 [wyd. poi.: *Mity greckie*, przeł. H. Krzeczkowski, Warszawa 1974].
- Hammond, Nicolas, *The Genius of Alexander the Great*, Chapel Hill 1998 [wyd. poi.: *Geniusz Aleksandra Wielkiego*, przeł. J. Lang, Poznań 2000],
- Hanson, Victor Davis, *The Wars of Ancient Greeks*, Londyn 1999.
- Hendricks, Rhoda A., *Classical Gods and Heroes*, Nowy Jork 1978.
- Herodot**, *Dzieje*, przeł. S. Hammer, Warszawa 2008.
- Homer**, *Iliada*, przeł. F.K. Dmochowski, Wrocław 2004.
- Odyseja*, przeł. L. Siemieński, Wrocław 2004.
- Houtzager, Guus, *The Complete Encyclopedia of Greek Mythology*, Edison 2004.
- Ksenofont**, *Wyprawa Cyrusa*, przeł. Wł. Madyda, Warszawa 2003.
- Historia grecka*, przeł. W. Klinger, Warszawa 2004.
- Minor Works*, przeł. E.C. Marchant i G.W. Bowersock, Cambridge 1925.
- Kwintus Kurcjusz Rufus**, *Historia Aleksandra Wielkiego*, przekład zbiorowy pod red. L. Winniczuk, Warszawa 1976.
- Lane Fox, Robin, *Alexander the Great*, Nowy Jork 1986.
- McCoy, W.J., *Memnon of Rhodes at the Granicus*, „American Journal of Philology”, vol. 110, ss. 413-433.
- Plutarch**, *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1955.
- Polyaenus**, *Strategms of Wars*, 1.1 i II, przeł. na j. ang. P. Kentz i I.L. Wheeler, Chicago 1994.
- Renault, Mary, *The Nature of Alexander*, Nowy Jork 1976.
- Rhodes, P.J., *The Greek City States: A Source Book*, Norman 1986.
- Sacks, David, *A Dictionary of Ancient Greek World*, Oksford 1995.
- Saunders, A.N.W., *Greek Political Oratory*, Nowy Jork 1970.
- Shawn, Ian, opr., *The Oxford History of Ancient Egypt*, Oksford 2000.

de Souza, Philip Waldemar Heckel i Lloyd Llewellyn-Jones, *The Greeks at War*, Oksford 2004.

Strabo, *Geography*, 1.1-VIII, przeł. na j. ang. Horace Leonard Jones, Cambridge 1969.

Tarn, William, *Hellenistic Civilization*, Nowy Jork 1975 [wyd. poi.: *Cywilizacja hellenistyczna*, przeł. C. Kunderewicz, Warszawa 1957].

Tukidydes, *Wojna peloponeska*, przeł. K. Kumaniecki, Warszawa 1988.

Warry, John, *Warfare in the Classical World*, Nowy Jork 2000. Worley, Leslie J., *Hippeis: The Cavalry of Ancient Greece*, Boulder 1994.

Zimmerman, J.E., *Dictionary of Classical Mythology*, Nowy Jork 1971.

Słowniczek terminów greckich i perskich

Agesilaos II - król Sparty, walczący z Persami w Azji Mniejszej.

Andreia - uosobienie męskości, odwagi.

Anahita - jedno z głównych bóstw religii perskiej, bogini płodności, urodzaju i wojny.

Asklepios - syn Apolla, bóg sztuki lekarskiej.

basileus (gr.) - król.

chairete (gr.) - „Witajcie”.

chiliarcha - „dowódca tysiąca żołnierzy”; Grecy określali tak również wezyra króla perskiego.

choreg - obywatel wyznaczony do wystawienia własnym sumptem chóru dla agonów muzycznych.

Dejmos - uosobienie trwogi, członek orszaku boga wojny Aresa.

Fanes z Halikarnasu - dowódca wojsk egipskich podczas bitwy z Persami pod Peluzjum, zdrajca.

Feraj - miasto w starożytnej Tesalii.

Fobos - syn Aresa i Afrodyty, uosobienie bitewnego przerażenia wojowników.

gynaikeion, gynaikonitis (gr.) - część domu greckiego przeznaczona dla kobiet.

heloci - warstwa ludności Sparty, niewolni chłopcy pracujący dla spartiatów.

himation - prostokątny kawałek materiału, układany w fałdy i noszony jako okrycie wierzchnie, płaszcz.

hybris (gr) - ściągająca karę bogów pycha.

Hyperborea - mityczna północna kraina („pod Boreaszem”).

Jezioro Asfaltowe - Morze Martwe.

Kaukaz Indyjski - starożytna nazwa Hindukuszu.

Lenaje - obchodzone w styczniu-lutym święto tłoczenia wina.

menady - ogarnięte szaleńcami istoty tworzące orszak Dionizosa.

Mojry - mitologiczne boginie losu, przędące i przecinające nić życia człowieka.

Nimfajon - grotty poświęcone nimfom wodnym, wzbogacone posągami i fontannami.

Nisa - starożytne miasto w obecnym Turkmenistanie, nieopodal Aszchabadu. Miejsce hodowli najszlachetniejszych koni starożytności.

pairidaeza (pers.) - piękny park lub ogród.

pentekonter (gr.) - okręt z pięćdziesięcioma wioślarzami (po 25 na burtę).

peplos - kobiecy strój bez rękawów.

pezhetairoi (gr.) - piesza gwardia w wojsku macedońskim.

perystyl - kwadratowy dziedziniec bądź ogród basenem lub fontanną, otoczony kolumnadą.

polis (gr.) - miasto-państwo. L. mn. *poleis*.

Pontos Eukseinos (gr.) - „Morze Gościnne”. Eufemiczna nazwa Morza Czarnego.

Propontyda - Morze Marmara.

prytanejon - budynek, w którym urzędowali prythanowie, najwyżsi urzędnicy na Rodos.

Rezos jako sprzymierzeniec Trojan przybył z białymi końmi, od których miały zależeć losy Ilionu. Gdyby napiły się wody z tamtejszej rzeki, miasto Priama byłoby nie do zdobycia. Uprowadził je - oczywiście - Odyseusz.

salpinks (gr.) - trąba używana w wojsku oraz w czasie igrzysk olimpijskich.

stadion - miara długości, 174-210 m.

stoa - w dawnej Grecji wolno stojąca, wydłużona hala kolumnowa, którą zamykała ściana, często zdobiona malowidłami. Portyki były miejscem handlu, ale służyły też do odpoczynku lub wykonywania zadań administracyjnych. Najszlachetniejsza była Stoa Pojkile („barwna”) na agorze w Atenach, siedziba szkoły filozoficznej Zenona, stąd zwanej stoicką.

Yauna - staroperska nazwa Greków.

symposion (gr.) - uczta, podczas której zabawiano się rozmową na tematy literackie, filozoficzne, urozmaicona występami akrobatów, tancerek.

Źródła

1. Plutarch, *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1955.
2. Arystofanes, *Żaby*, przeł. A. Sandauer, Kraków 1977.
3. Flawiusz Arrian, *Wyprawa Aleksandra Wielkiego*, przeł. H. Gesz-toft-Gasztold, Wrocław 2004.